

**Dlaczego obraz Matejki przepowiadający losy świata
do dziś pozostaje w ukryciu?**

Sensacyjna powieść oparta na prawdziwej historii



444

MACIEJ SIEMBIEDA

MACIEJ SIEMBIEDA

444

Rodzicom

CZEŚĆ PIERWSZA

Wypadek

trzecie millenium

Rozdział 1

Tamtego przedpołudnia Paweł Włodarczyk zupełnie niepotrzebnie wymył i wywoskował samochód, ponieważ kwadrans później zginął w nim staranowany przez tira, któremu wysiadły hamulce.

Wypadek zdarzył się w centrum Warszawy, na ulicy Towarowej, którą auta z reguły jeżdżą zbyt szybko. Za kierownicą ciężarówki wyładowanej naturalnym asfaltem siedział struchlały Albańczyk z Kosowa. Nawet nie wyszedł sprawdzić, co się stało z człowiekiem w błyszczącej toyocie, na którą najechał z impetem swoich kilkunastu ton i która tkwiła teraz zmiażdżona pod jego olbrzymią chłodnicą. Policja wytłumaczy to szokiem, a gazety ujawnią, że sprawca był półanalfabetą prowadzącym kupę złomu, która badania techniczne mogła przejść tylko na wsi pod Tiraną. Sąd natomiast przychylił się do opinii biegłego, że brak reakcji Albańczyka to syndrom pewnego emocjonalnego paraliżu, jaki sprawia, że ludzie będący świadkami masowych mordów i okropieństw nie są zdolni rozpoznać traumy śmierci w wypadku samochodowym.

Nikt z autorów powyższych opinii nie mógł zauważyć dziwnego grymasu, jaki przebiegł przez twarz kierowcy tira w chwili, gdy wyprostował się po uderzeniu, spokojnie położył ręce na kierownicy i czekał na przyjazd polskiej policji – kompletnie głuchy na krzyki ludzi gromadzących się w miejscu tragedii. Tym bardziej nikt nie mógł wiedzieć, że człowiek ten się modli. Mimo różańca z krzyżykiem rozkołysanego pod sufitem kabiny nie było to *Ojciec nasz* z prośbą o odpuszczenie win. Albańczyk, nie poruszając wargami, żarliwie powtarzał wersety Koranu, odmawiane

z wdzięczności.

Rozdział 2

Kwadrans przed śmiercią Paweł Włodarczyk czuł, że życie się przed nim otwiera. W lusterku wstecznym toyoty przesuwanej przez taśmociąg myjni z upodobaniem studiował własną twarz. Lekko zmarszczył brwi, nadając oczom wyraz skupienia, który w ułamku sekundy przekształcił się we wzrok gracza z trudem zachowującego powściągliwość na widok pięciu kart układających się w wielkiego pikowego pokera. Włodarczyk najwyraźniej triumfował.

Do wczoraj był nikiem. Zużytym dziennikarzyną, wydobytym z bagna alkoholu i paroletniego bezrobocia, po czym zatrudnionym z litości w redakcji popularnej gazety. Angaż do działu dokumentacji prasowej, czyli piwnicy, w której mieściło się archiwum, podpisał syn przyjaciół. Dziś prezes wydawnictwa, dziesięć lat wcześniej poważnie zagrożony student, którego karierę na wydziale dziennikarstwa uratował niedokończony doktorat Włodarczyka pospiesznie przerobiony na pracę magisterską. Przyszły boss pogubił się podczas obrony, ale komisja egzaminacyjna doceniła skrupulatność i wnikliwość pracy, stawiając kompromisowe trzy plus.

Mimo niewątpliwej polisy emerytalnej, legitymacji prasowej z logiem znanego tytułu i pensji pozwalającej na urlopy w Turcji Włodarczyk nie był najlepszego zdania o sobie. Dobiegał pięćdziesiątki, gnieźdząc się w dwóch małych pokojach architektonicznego koszmaru z wielkiej płyty. Dzielił je z synem, który nim gardził i którego od dawna obiecywał wyrzucić z domu, oraz żoną, której datę urodzenia bezskutecznie nakazywał sobie

zapamiętać od dobrych kilkunastu lat. Poza tym miał parę dziennikarskich dokonań, o których nie pamiętał nikt poza nim i które codziennie pragnął umieścić w internecie. Ich brak wywoływał w nim frustrację, która narastała z każdym niezrealizowanym postanowieniem. Te zaś, choć łatwe, ludziom o chwiejnych charakterach nigdy się nie udają.

Jednym z tych postanowień było zajęcie się w końcu tematem życia: zagadkowym obrazem Jana Matejki o sensacyjnej historii, jaką można by obdzielić pół zawartości Ermitażu, Prado i Luwru. Po raz pierwszy Paweł Włodarczyk usłyszał ją w czasach studenckich od narzeczonej, która nabożnym szeptem wyjawiała mu rodzinny sekret. Otóż jej pradziadek znał wielką tajemnicę: przepowiednię zdolną zmienić losy świata. Proroctwo powierzył w 1881 roku Matejce, a ten namalował obraz wskazujący drogę do pojednania chrześcijaństwa z islamem. Płótno było krótko własnością rodziny, ale wkrótce stało się najczęściej chyba kradzionym obrazem świata. Dziewczyna opowiadała o tym z wypiekami na twarzy, gestykulując i podnosząc głos, a jej piwne oczy z emocji przybierały barwę dojrzałych kasztanów.

Paweł słuchał jej z uprzejmym skupieniem, po czym puścił wszystko w niepamięć. Wtedy pochłaniało go energiczne, reporterskie i koniecznie współczesne dziennikarstwo, a nie baśnie. Zresztą z narzeczoną i jej kasztanowymi oczami niebawem się rozstał, a tajemniczy obraz rozmazał się w codzienności studiów, pierwszej pracy w redakcji i setkach innych wydarzeń.

Nieoczekiwanie zetknął się z nim parę lat później, wertując w pociągu kolorowy magazyn. Na rozkładówce czasopisma redakcja zamieściła sensacyjny artykuł o Pieterze Mentenie, słynnym holenderskim esesmanie podejrzanym o liczne zbrodnie wojenne. I o coś jeszcze. Tym „czymś” była tajna misja. Funkcjonariusz SS prowadził ją od 1940 roku w Galicji Wschodniej, a jego prawą ręką był Józef Stieglitz – antykwariusz z Krakowa, przed wojną szanowany obywatel tamtejszej gminy żydowskiej.

Włodarczyk nie mógł uwierzyć.

– Żyd? – szepnął na tyle głośno, że dwoje starszych współpasażerów spojrzało nie niego z dezaprobatą. Żyd partnerem esesmana? – kolejne pytanie zadał sobie już w duchu. Niebawem. A jednak. Autor artykułu nie pozostawiał wątpliwości.

Zamiast opaski z gwiazdą Dawida wspólnik hitlerowskiego Hauptscharführera nosił paszport z nadrukiem: „Niezbędny dla III Rzeszy” i przechadzał się pod Sukiennicami po godzinie policyjnej. Obaj, Menten i Stieglitz, brali udział w głęboko utajnionej misji. Jej celem było znalezienie i wywiezienie z okupowanej Polski dzieł sztuki, w tym płótna Matejki, o którym opowiadała niegdyś narzeczona. Autor artykułu nie zdołał wyjaśnić, dlaczego akurat ten obraz był tak ważny dla hitlerowsko-żydowskiego duetu i wspominał o misji zaledwie kilkoma zdaniem, ale one wystarczyły, aby reszta podróży minęła Pawłowi Włodarczykowi w stanie dziwnego letargu, pełnego natarczywych myśli.

Kilka kolejnych dni spędził w czytelni Biblioteki Narodowej. Kilka kolejnych lat – na wertowaniu archiwów i książek, na wysyłaniu listów i poszukiwaniu informatorów. Pisał nawet do Stieglitza – znalezionego przez Polski Czerwony Krzyż i mieszkającego przy Allenby Road w Tel Awiwie – ale jak nietrudno się domyślić, bez odpowiedzi. Z roku na rok rosło w nim zdumienie: wszystko, co dawna narzeczona wyszeptwała o tajemniczym obrazie i prorocztwie, okazywało się prawdą. Tylko kto w nią uwierzy?!

Pewnej nocy Włodarczyk postanowił, że nie opublikuje tej historii. Bał się konfrontacji. Bał się historyków bufonów, rozpartych w telewizyjnych fotelach z pobłażliwymi minami i wygłaszających głodne kawałki o dziennikarskiej fantazji. Bał się reporterów szczutych przez konkurencyjne redakcje, którzy popsują jego opowieść, węsząc wokół niej jak psy – niby szukające tropu, a tak naprawdę zdeptujące prawdziwe ślady. Bał się rozmiaru tej sprawy. Dotychczas wiedziało o niej kilku papieży, garstka największych przywódców świata arabskiego, paru

najgroźniejszych terrorystów, jeden sławny polski malarz i on: Paweł Włodarczyk. Kto mu uwierzy?

Nikt. Dlatego musi odnaleźć obraz. Nie pisać o nim, ale namierzyć go, przywieźć do Polski i odsłonić w blasku fleszy. Udowodnić, że istnieje i że jego sekret jest autentyczny. Wtedy nikt go nie zakwestionuje. Tylko jak tego dokonać? Przez długi – zbyt długi – czas to pytanie ciążyło mu jak ołów, dręczyło i oskarżało o nieudacznictwo, jakby obraz miał tajemniczą moc mieszania w głowach tym, którzy się nim interesują. Wreszcie Włodarczyk zaczął unikać tematu i odłożył go do szuflady; znalazł się w przegródce z innymi marzeniami. I właśnie to jedno najbardziej nierzeczywiste marzenie dziś nabrałoby realnego kształtu. I właśnie na nie najechał rozpedzony Albańczyk, miażdżąc odmianę losu Pawła Włodarczyka w blachach toyoty pokrytej woskiem, który nie zdążył nawet stężeć.

Rozdział 3

Kilka tygodni wcześniej, w przebłysku śmiałości, zadzwonił do Instytutu Pamięci Narodowej, prosząc o połączenie z Jakubem Kanią – prokuratorem, którego dociekliwość wyzierała z wielu wycinków prasowych, zgromadzonych w piwnicznym archiwum gazety. Ten postrach przestępców z przeszłości lubił telefony z mediów, ale teraz, wysłuchawszy apelu o wszczęcie poszukiwań zaginionego obrazu Matejki, nie okazał entuzjazmu.

– Czy ja wiem, panie redaktorze... – Westchnął do słuchawki, łaskocząc Włodarczyka tytułem zarezerwowanym dla dziennikarzy z kondygnacji wyższych niż piwnica. – Do tego trzeba by zaangażować sztab ludzi i mnóstwo pieniędzy. Małe szanse. O... gdyby Matejko znalazł się na liście tajnych współpracowników służb PRL-u i trzeba by sprawdzić, czy nie malował dla SB – zażartował – wtedy tak. Wtedy z pewnością środki by się znalazły. Pan wybaczy, ale teraz to my mamy pół Polski do zlustrowania.

Włodarczyk docenił autoironię, uznając ją za zaproszenie do dalszej rozmowy.

– Ten obraz to prawdziwa sensacja – ciągnął niezrażony. – Najważniejsze jagiellońskie dzieło Matejki obok *Bitwy pod Grunwaldem* i *Hołdu pruskiego*. Szukałby pan *Hołdu pruskiego*, gdyby zaginał?

– No... sądzę, że... tak – prokurator zawahał się. Na szkoleniu z komunikacji z mediami trener mówił wyraźnie, aby nie wdawać się w gierki z pytaniami retorycznymi. – Ale...

– Nie ma żadnego ale – skwitował Włodarczyk. – Szukałby pan. To proszę sobie wyobrazić, że ten obraz jest jeszcze ważniejszy.

Niewielu ludzi go widziało. W Zachęcie przed wojną wisiał zaledwie przez kilka dni. Potem był tylko kradziony, przemywany i ukrywany.

Niewiele osób go widziało, ale wiele przez niego zginęło – chciał zakończyć wypowiedź efektowną klamrą, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język.

– Ja to wszystko rozumiem – odparł Kania tonem, jakim uspokaja się narwańców, kładąc im dłoń na ramieniu. – Ale proszę mi wierzyć, niewiele mogę. IPN naprawdę nie ma funduszy. Zdaje pan sobie sprawę, ile pozycji liczy lista dzieł sztuki, które należałoby odzyskać dla kultury polskiej?

– To nie jest zwykłe dzieło sztuki! – nie wytrzymał Włodarczyk. – To jest szyfr! Tajemnica! Pan rozumie? Klucz do zagadki o światowym znaczeniu. Kod, proszę pana! Kod! Taki jak ten Leonarda da Vinci.

Zamilkł. Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza.

– Ma mnie pan za wariata? – zapytał po chwili, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie.

– Skądże – zaprzeczył prokurator, o kilka sekund za późno. – Ale zgodzi się pan, że pańskie informacje brzmią dość fantastycznie... Oczywiście w dobrym znaczeniu tego słowa – dodał pospiesznie. – Zrobimy może tak... Proszę mi to wszystko opisać w mejlu. Obiecuję, że się z tym zapoznam. Ale teraz, pan wybacz, zaczynam ważne spotkanie.

Włodarczyk usłyszał sygnał zakończonego połączenia.

– W mejlu – warknął do siebie.

Wy i wasze mejle! Jak byście poradzili sobie ze spławianiem ludzi, gdyby ktoś nagle pozbawił was mejli? Pieprz się – dodał w duchu pod adresem Kani. Taki z ciebie detektyw jak ze mnie ksiądz.

– Pieprz się – powtórzył półgłosem.

Rozdział 4

Nazajutrz rano w blokowisku Bemowa było tyle słońca i rześkości, że Paweł Włodarczyk przy śniadaniu nawet zagadnął żonę, co u niej w pracy. Z wrażenia omal nie upuściła patelni z jajecznicą.

Nocna ulewa umyła wysłużoną toyotę, co tym bardziej poprawiło mu humor. Mknąc Górczewską, na której dziś jakimś cudem nie było korka, postanowił, że jednak napisze do Kani.

– Bartek... – zaczepił w holu redakcji młodego reportera z dredami. – Gdybyś miał napisać bardzo ważnego mejla z bardzo długą historią, to jak byś to zrobił?

– Krótko, Pawełku, krótko. Tysiąc znaków maks. Bez przewijania ekranu. Kumasz? I konkret. Bez tego waszego nawijania. Jarzysz? No, bez tego – dodał na widok zdumionej miny archiwisty – jak to kiedyś nudziliście w gazetach...

Czekaj, gówniarzu – pomyślał Włodarczyk – jeszcze będziesz czegoś ode mnie chciał. Ale rady posłuchał.

Łaskawy Panie Prokuratorze! – zaczął niby staroświecko, ale z aluzją do wczorajszego zachowania Kani, który protekcyjnie zezwolił mu na mejla. Zastanawiając się, czy prokurator rozpozna sarkazm nagłówka, podniósł do ust starą peerelowską szklanę osadzoną w metalowym koszyczku z uchwytem. Kawa – afrodyzjak pisania – smakowała mu tylko tak: sypana, bez mleka, z trzema czubatymi łyżeczkami cukru i w szklance, z której starsza cześć redakcji żartowała, a młodsza toczyła bekę. Włodarczyk junior, który wpadł do archiwum któregoś przedpołudnia, oczywiście żeby stary kopsnął trochę kaski,

na widok szklanki doznał szoku:

– Dżizys, ojciec, pogieło cie? – jęknął. – Nie możesz se kupić jakiegoś spoko kubka? Jak człowiek?

– Właśnie dlatego że jestem człowiekiem – odparł Włodarczyk z godnością – nie ulegam instynktom stadnym tak jak ty. Mam pić kawę z kubka, bo wszyscy tak robią? Nie. Mnie smakuje ze szklanki i...

– Ale to obciach – przerwał mu syn, robiąc pogardliwą minę, na którą mógł już sobie pozwolić, bo wyłudzone pięćdziesiąt złotych wcisnął właśnie do kieszeni postrzępionych džinsów.

– A branie pieniędzy od ojca w wieku dwudziestu dwóch lat to nie obciach? – rzucił Włodarczyk, ale większa część oskarżenia dotarła jedynie do zamykanych drzwi.

Na wspomnienie tamtej sceny, która nie wiadomo czemu przysła mu teraz do głowy, pogroził synowi w duchu identycznie jak reporterowi z dredami. Zobaczycie, gnojki. Jeszcze znajdę ten obraz. Jeszcze wam wszystkim pokażę. Jeszcze będziecie się grzecznitko pytać, gdzie można kupić taką samą szklankę do kawy.

Palce animowane adrenaliną same pobiegły po klawiaturze: *W nawiązaniu do rozmowy telefonicznej ponownie zwracam się do Pana Prokuratora z apelem o wszczęcie dochodzenia IPN-u w sprawie zaginionego obrazu Jana Matejki, o którym opowiadałem wczoraj. Nadmieniam, że dysponuję obfitą dokumentacją w tej sprawie. Wiele lat starannego researchu – Włodarczyk ucieszył się z przywołania słowa modnego wśród młodych dziennikarzy, choć wymagało ono sprawdzenia w słowniku – przekonano mnie, że to obraz pod każdym względem unikatowy. To bezcenny skarb naszego narodu.*

Włodarczyk zamyślił się, upił łyk kawy i z niesmakiem spojrział na ekran. Skarb? Narodu? Jezu – pomyślał – cóż to za patetyczny bełkot. Nawet w IPN-ie tego nie kupią – zganił sam siebie, po czym zaznaczył ostatecznie zdanie niezgrabnym ruchem myszki i nacisnął klawisz przenoszący je w niebyt. Postanowił zagrać bardziej marketingowo: *To jeden z najczęściej kradzionych obrazów*

na świecie – napisał – ale mam przypuszczenia, gdzie się teraz znajduje. Jego oficjalne poszukiwania mogłyby mieć kolosalne znaczenie nie tylko dla kultury polskiej, mającej szansę na odzyskanie jednego z największych dzieł Jana Matejki, ale również dla polityki zagranicznej naszego rządu. Sama próba poszukiwań zdolna jest przedstawić obecność Stanów Zjednoczonych i NATO w Iraku oraz Afganistanie w zupełnie innym świetle oraz najważniejszym uczestnikiem tych misji uczynić Polskę jako kraj od wieków pragnący dialogu i przyjaźni z islamem. Chodzi o to, że obraz Matejki zawiera przesłanie, które...

Włodarczyk z niepokojem spojrział na zbliżający się koniec strony i przypomniał sobie przestrożę reportera z dredami. Na dokończenie historii zostały mu dwa wiersze. Przez chwilę wpatrywał się w komputer, a potem wymamrotał przekleństwo pod adresem Bartka i opisał wszystko po swojemu.

Rozdział 5

Tablica umieszczona na skraju zagajnika ostrzegała, że nielegalny wywóz śmieci będzie karany grzywną w wysokości pięciuset złotych, ale dochodzący z zarośli charakterystyczny fetor wysypiska dowodził, że dla mieszkańców pobliskiego osiedla domków jednorodzinnych nie była to dostateczna przestroga. Jakub Kania, poszukujący w podwarszawskim lesie spokoju i porządku myśli, nagle uruchomił swój detektywistyczny umysł, doszedłszy do przekonania, że w ciągu kilku godzin mógłby zidentyfikować sprawców niszczenia środowiska. Czubkiem buta trącił puszkę po świeżej seledynowej farbie do elewacji. Wokół leżało kilka identycznych. Wystarczyłoby sprawdzić, kto w okolicy tak jaskrawo wyróżnił swój dom. Konkretnym tropem były również puste słoiki z odręcznie wypisanymi nalepkami: „maliny babci Zosi”, a także plastikowe koperty przesyłek kurierskich z danymi adresatów. Banalnie proste. Tylko że IPN nie zajmuje się śmieciami. Przynajmniej nie takimi.

Prokurator uciekł z biura do lasu, aby przełknąć gorycz porażki. Niespełna pół roku wcześniej pewien bardzo znany polityk, którego ugrupowanie trzęsło instytutem, wezwał go przed swoje oblicze i przesuważąc w stronę Jakuba Kani tekturową teczkę, rzekł tonem wykluczającym pytania:

– Proszę się zająć przywróceniem czci tym bohaterom. – I nie podnosząc wzroku znad podpisanych właśnie papierów, dodał: – Mówiono mi, że jest pan nieustępliwy, kolego. Liczę na pana.

Dochodzenie specjalne, zlecone osobiście przez człowieka, któremu nie należało się sprzeciwiać, dotyczyło likwidacji latem

1945 roku oddziału Armii Krajowej, który nie złożył broni i zaszył się w konspiracji, zadając poważne straty nowej władzy. Liczne obławy nie dawały rezultatów. Wreszcie bezpieka umieściła w oddziale wyjątkowo przebiegłego agenta. Ten zorganizował zasadzkę na partyzantów, w wyniku której większość z nich zginęła.

Na podstawie relacji świadków oraz wspomnień dowódcy oddziału majora „Żbika”, któremu udało się cudem ująć z życiem, Jakub Kania wszczął śledztwo. Towarzyszyły mu kamery telewizyjne, liczni reporterzy i kompania wojsk inżynieryjnych, przez tydzień przekopująca teren ostatniego obozowiska oddziału, na którym miano pogrzebać ciała ofiar zasadzki. Saperzy uzbrojeni w wykrywacze metalu, detektory termiczne, szpadle i oskardy sprawdzili każdy centymetr lasu wskazanego przez świadków. Znaleźli jedną kość, która później okazała się „pochodzenia zwierzęcego”, oraz zardzewiały hełm, który od razu okazał się nocnikiem. Wiadomego pochodzenia. Jakub Kania się zdenerwował.

Ignorując odgórne dyrektywy gwarantujące wiarygodność dostarczonych mu zeznań, w dwa dni osobiście przesłuchiwał osoby, które je złożyły, uprzedziwszy o konsekwencjach prawnych grożących za poświadczenie nieprawdy. Po kilku rozmowach i wizytach w archiwum miał wrażenie, że śni. Nie tylko nie znalazł żadnego, najmniejszego potwierdzenia likwidacji oddziału, ale nawet... dowodów jego istnienia. Owszem formacja majora „Żbika” figurowała w kartotekach AK, ale tylko jako planowane uzupełnienie, tak zwany rzut alarmowy. To znaczy, że gdyby po drugiej wojnie światowej wybuchła trzecia – ze Związkiem Radzieckim – to oddział mógłby zostać sformowany i uzbrojony. Mógł, ale nie został. Co z kolei prowadziło do logicznego wywodu, że skoro nigdy go nie było, to raczej nie mógł paść ofiarą ubeckiej zasadzki.

Dzień przed spacerem w lesie prokurator IPN-u usłyszał to wszystko od wybitnego historyka, którego poprosił o konsultację.

– Ten oddział zmyślono, aby wyłudzić prawa kombatanckie dla

kilku osób – oświadczył profesor – co zresztą skończyło się przegraną w sądzie. Byłby z tego nie lada skandal, gdyby nie śmierć „Żbika” parę miesięcy temu. Jeśli potrzebuje pan twardego dowodu, proszę udać się na jego grób na Powązkach.

Kania odwiedził wojskowe kwatery cmentarza tego samego popołudnia. Bohaterski major AK (na nagrobku zapomniano podać jego stopień wojskowy) w chwili zakończenia wojny był kilkunastoletnim chłopcem.

Kiedy prokurator przemierzał leśną ścieżkę, głowiąc się, jak zjeść tę żabę, w kieszeni marynarki zadrżało służbowe blackberry, anonsując kilkoma taktami Mozarta nadejście nowego mejla. Niech to szlag – zaklął w duchu, widząc, że poczta przyszła z redakcji popularnej gazety. – Już się dowiedzieli?! Jakim cudem?

Po chwili odetchnął z ulgą. Mejl wysłany został przez Pawła Włodarczyka, nawiedzonego poszukiwacza obrazu Matejki. List miał ponad trzy tysiące znaków i prokurator ani myślał go czytać. Chociaż... Przeszło mu przez głowę, że paradoksalnie mógł to być prezent od losu. Niezły pretekst, by odwrócić uwagę mediów od oddziału widma i śledztwa zakończonego nocnikiem. Zagłębił się w lekturze. Po kilku minutach dziwnie spoważniał, schował telefon do kieszeni i ruszył w stronę samochodu z takim pośpiechem, że z roztargnienia omal nie przewrócił się o puszkę po seledynowej farbie elewacyjnej.

Rozdział 6

Dyrektor Wiesław Paluch, szef departamentu śledczego IPN-u, tego dnia również spędził kilka godzin poza biurem. Po powrocie sprawdził telefon komórkowy pozostawiony w szufladzie antycznego biurka. Nikt nie dzwonił, nikt nie przysłał esemesa. Cudownie. Paluch nade wszystko cenił spokój, a brak prób kontaktu idealnie wpisywał się w te oczekiwania. Dlatego pukanie do drzwi, które rozległo się w tym właśnie momencie, zabrzmiało niemal agresywnie.

Jego sprawczynią była sekretarka, która wiedziała, że panu dyrektorowi przeszkadza się tylko w ostateczności. Przybył jednak prokurator Jakub Kania i prosi o spotkanie. Sprawa pilna.

Paluch w pierwszej chwili chciał go splawić. Nie trawił Kani. Jego inteligencję uważał za narcyzm, kompetencje za zarozumialstwo, a urodę za niezbity dowód na to, że ten „Kubuś” (jak go pogardliwie nazywał) musi być gejem. Nie miał najmniejszej ochoty widzieć Kani ani tym bardziej z nim rozmawiać, ale górę wzięła okazja skomentowania ostatniego śledztwa IPN-owskiego gwiazdora.

– Ależ naturalnie... – Dyrektor uśmiechnął się do zaskoczonej sekretarki. – Niech pani prosi pana prokuratora.

A kiedy ten stanął w drzwiach, Paluch rozpromienił się jeszcze bardziej.

– Pięknie witam drogiego kolegę!

Kuba gorączkowo próbował rozszyfrować tę wylewność, ale dyrektor go uprzedził:

– Jak tam rezultat głośnego śledztwa?

Już wie – pomyślał prokurator. – Wie i teraz sobie użyje. Nie odpowiedział ani słowem, co Paluchowi zupełnie nie przeszkodziło.

– Słyszałem, że kolega dokonał spektakularnego odkrycia – stwierdził, pozorując zaciekawienie. – Czy można wiedzieć, cóż takiego kolega wykopał?

– Nocnik – odrzekł Kuba zażenowany.

– Nocnik... – Paluch nie potrafił dłużej maskować triumfu. Udał, że się zamyśla, po czym poważnie pokiwał głową i oświadczył niby zatroskanym tonem: – To dowód... taki raczej... do dupy.

Kuba poczerwieniał. Dyrektor z lubością sycił się jego upokorzeniem. Nagle spoważniał:

– No dobrze. I co pan zamierza z tym zrobić? Media pana zjedzą.

– Nas – bąknął Kuba. – Jeśli już, to zjedzą nas.

– Nas!?! – Twarz zwierzchnika w sekundę przybrała barwę piwonii.

– Nas, panie dyrektorze. Instytut, mnie, departament. Pewnie pan też będzie musiał wypowiedzieć się w tej sprawie przed kamerą.

Jakub Kania był wytrawnym graczem. Znał Palucha i wiedział doskonale, że dyrektor odsłania gardę tylko w emocjach. Spokojny był nie do trafienia. Ale teraz podniecił się drwinami z podwładnego, tokował jak głuszczyk, łatwo było go podejść. Strzał z mediami okazał się wyjątkowo celny. Dyrektor, podręcznikowy model lizusa, otrzymał stanowisko z namaszczenia partyjnego, a jak każdy polityk bał się dziennikarzy niczym diabeł święconej wody.

– Niech pan sobie nie żartuje, kolego – powiedział zbity z tropu Paluch.

– Ani mi to w głowie, panie dyrektorze – odparł prokurator. – Ale zdaje pan sobie sprawę, że w tej sytuacji musimy jakoś obronić reputację instytutu.

– My!?! – Paluch przez moment wrócił do poprzedniego tonu, ale szybko z niego zrezygnował. – Pozwolę sobie przypomnieć – dodał rzeczowo – że to pan wszczął to dochodzenie i...

– ...i mam publicznie przyznać, kto mi to zlecił? – przerwał

mu Kuba.

Paluch zbladł. Jeśli chodzi o gwałtowne zmiany kolorystyki twarzy, mieli w tej rundzie remis. Ma rację – pomyślał. – Tego absolutnie nie wolno ujawnić. Nawet za cenę przyjęcia winy na siebie. Kompromitacji. Może dymisji. Cwał czarnych myśli w jego głowie właśnie przechodził w galop. W tym samym momencie uświadomił sobie, jak łatwo Kania wybrnął z kryzysu i zyskał przewagę. Oczami wyobraźni Paluch ujrzał osobliwą scenę: nocnik rzucony w przeciwnika nagle odbił się od prokuratora rykoszetem i ugodził jego samego prosto w czoło. Niemal pożałował tamtej drwiny.

– Ale jest pan przecież poukładany z tymi pismakami – spróbował z tej strony. – Niech pan coś wymyśli.

– Właśnie z tym przychodzę – oznajmił Kuba spokojnie, jakby nie było wcześniejszej scysji, i nieproszony rozsiadł się w fotelu. – Jest pewien pomysł – rzekł tajemniczo, a potem wyciągnął w stronę Palucha wydruk mejla Pawła Włodarczyka: – Pan dyrektor zechce to przeczytać.

Rozdział 7

Bzdura – zachnął się Paluch po zakończeniu lektury, rzucając papiery na biurko.

– A jeśli nie? – spytał Kuba zagadkowym tonem. – A jeśli ten Włodarczyk naprawdę zebrał potwierdzenia proroctwa i obraz Matejki jest jednym z nich?

– Kupuje pan to? – zdziwił się dyrektor. – Wierzy pan, że tysiąc lat temu zapisano coś, co może zmienić wydzwięk współczesnych misji NATO w krajach islamskich?

– A pan by uwierzył dwadzieścia lat temu, że Polska kiedyś będzie w NATO? – Kuba odpowiedział pytaniem. I dodał filozoficznie: – O tym, że niektóre rzeczy są niemożliwe, często decyduje nasz brak wyobraźni.

Zapadła cisza. Prokurator domyślał się, że Paluch porządkuje myśli i planuje kolejne ruchy. Dyrektor w warunkach spokoju potrafił być niezłym strategiem. W końcu puchary z mistrzostw szachowych, tłoczące się w stylowej witrynie obok biurka, nie znalazły się tu przypadkowo.

– Dobrze – zawyrokował wreszcie, spoglądając na Kanię, jakby z jego twarzy chciał wyczytać prognozę powodzenia swojego scenariusza. – Spotka się pan z tym człowiekiem od obrazu. Zaprosi go pan do nas na Towarową. Do pańskiego biura. Proszę potraktować go uprzejmie, ale chłodno. Żadnych gestów na wyrost: zaciekawienia, entuzjazmu, broń Boże obietnic czy deklaracji. Na razie niech nie przynosi żadnych kwitów: notatek czy dokumentów. Proszę tylko z nim porozmawiać i wy badać, czy nie jest oszołomem. Zadziała pan jak wariograf. – Paluch wyraźnie

ucieszył się z trafnego porównania, którym popisał się przed Kanią. – A jeśli test na wykrywaczu kłamstw, jakim bez wątpienia jest pańska inteligencja, wyjdzie pozytywnie, wówczas zastanowimy się, jak grać dalej.

Kuba wpatrywał się w niego badawczo, nawet nie rejestrując nieoczekiwanego komplementu.

– Sądzi pan dyrektor, że możemy dostać zielone światło? Jest szansa, że IPN zajmie się poszukiwaniem tego obrazu?

– Niech pan nie będzie naiwny, kolego. – Skrzywił się Paluch. – Przynosi mi pan tę historię jako sposób na odwrócenie uwagi mediów i w takim opakowaniu ja ten produkt kupuję. Nic poza tym. Naprawdę przyszło panu do głowy, że pójde z tym do prezesa? Wie pan, co bym usłyszał?

– Że mamy szukać agentów, a nie krasnoludków. – Kuba potrafił idealnie naśladować ton szefa IPN-u.

– Coś w tym stylu. Zapewniam pana, że nie mam najmniejszej ochoty ani na jego złote myśli w rodzaju tej, którą pan przed chwilą wygłosił, ani tym bardziej na przywoływanie mnie do porządku. Dlatego możemy wstępnie zainteresować się tym obrazem. Podkreślam: zainteresować. Żeby w razie czego mieć co rzucić na żer sępom i hienom z mediów. Ale musimy też mieć dobry pretekst. Bo jeśli wyjdzie z tego blamaż i stary zapyta, czemu się w to zaangażowaliśmy, ten pretekst ochroni nam tyłki. Tylko co to może być? – Paluch wysunął dolną wargę.

Kuba doskonale znał tę minę. Oznaczała, że dyrektor już coś wykombinował.

– Ten pana Kucharczyk napisał...

– Włodarczyk – sprostował Kania.

– Włodarczyk. Napisał, że poszukiwaniem obrazu przez wiele lat zajmowała się Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

– To prawda. Wspomniał mi w rozmowie telefonicznej, że jeden z prokuratorów komisji pod koniec lat siedemdziesiątych mocno się w to zaangażował i był dosłownie o krok od odzyskania obrazu. Wystąpił nawet do władz w Amsterdamie o nakaz przeszukania

willi byłego esesmana, który podczas okupacji wywiózł dzieło Matejki do Holandii, ale nic z tego nie wyszło. Szczerze mówiąc, nie dziwię się. Gość był urzędnikiem zza żelaznej kurtyny, a mimo umizgów, jakie rząd Gierka stroił wobec Zachodu, oni nam nie ufali za grosz. To nie miało prawa się udać.

– I to jest nasz pretekst – zawyrokował Paluch, potwierdzając swój werdykt klepieniem dłonią w blat biurka. – Obrazu Matejki oficjalnie szukała Główna Komisja, ale jej się to nie udało, bo była instytucją państwa komunistycznego. Dlatego IPN reprezentujący demokratyczną Polskę może podjąć trop. To uzasadnia nasze zainteresowanie. Niech pan przesłucha tego Włodarczyka. Jak najszybciej. Aha, mediom na razie ani słowa. Ani o obrazie, ani o poszukiwaniach śladów oddziału AK. Niech się pan wykręci, że dochodzenie nadal trwa czy coś tam. A tym nocnikiem i tak mogą nas ośmieszyć tylko tabloidy. – Paluch nie miał już problemu z użyciem pierwszej osoby liczby mnogiej. – Gdyby naciskali, niech im pan zaproponuje premię za sklerozę: zapomną o oddziale AK, a w zamian dostaną sensacyjne prorocstwo na obrazie Matejki, czym oficjalnie interesuje się IPN. Zatem do końca tygodnia wysłucha pan Włodarczyka. W poniedziałek poproszę o raport.

Rozdział 8

Paweł Włodarczyk gryzł końcówkę długopisu, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran komputera. Nie spodziewał się tak szybkiej odpowiedzi prokuratora IPN-u. Co tu dużo mówić: w ogóle się jej nie spodziewał. A jeśli już, to nie w takim brzmieniu. Mejl wysłany ze służbowej skrzynki Jakuba Kani zapraszał jutro w południe na ulicę Towarową, do biura instytutu.

Włodarczyk odpowiedział natychmiast: *Oczywiście będę niezawodnie*, choć nawet po czwartym przeczytaniu wiadomości nadal nie wiedział, co o niej sądzić. Zaproszenie niby świadczyło o zainteresowaniu obrazem Matejki, ale z drugiej strony było oschłe i stanowcze. Przyszło mu do głowy, że Kania wyznaczył termin, nawet nie zapytawszy, czy Paweł jest w tym czasie wolny. Wezwał mnie jak na przesłuchanie – skomentował w duchu. – I dlaczego zaznaczył, że to rozmowa wstępna i żebym na razie nie przynosił dokumentów? Skąd ta asekuracja?

Po piątej lekturze mejla zrozumiał.

– Chce mnie sprawdzić – szepnął. – Przekonać się, czy nie jestem wariatem.

Włodarczyk znał tę obawę aż nazbyt dobrze. Wiele lat przepracował w dziale łączności z czytelnikami, do którego przychodziło mnóstwo nawiedzonych. Niemal każdy przynosił sterty papierzysek, które rozkładał na biurku i objaśniał godzinami bez względu na to, czy chodziło o zbyt niski wymiar renty, czy inwazję kosmitów. Po roku pracy Włodarczyk nauczył się bezbłędnie rozpoznawać zależność aktywności wariatów od pogody i wskazań barometru.

A teraz Kania potraktował mnie tak samo – pomyślał z irytacją, niemal przegryzając długopis, ale po chwili się uspokoił. – W porządku. Jutro ten IPN-owski celebryta się przekona. Jutro dotrze do niego, że oto trafił na najważniejszą sprawę w swojej wypielegnowanej karierze. Nie ma sensu interpretować tego mejla i w każdym słowie doszukiwać się ukrytych znaczeń. Najważniejsze, że temat ruszył z miejsca.

Tej samej nocy Paweł Włodarczyk w keflarowej kamizelce kuloodpornej poprowadził szturm żołnierzy Gromu na willę w Bagdadzie, w której satelita namierzył cel. Olbrzymi komandos roztrzaskał drzwi taranem i wpadli do holu. Było kompletnie ciemno. Na ścianach tańczyły czerwone kropki celowników laserowych. Nagle Włodarczyk ujrzał przez noktowizor otwarte drzwi do pokoju. Uskoczył z kocią zręcznością, a potem ostrożnie wyjrzał zza futryny: na wprost jego oczu wisiał obraz Jana Matejki.

Obudził się zlany potem i długo głębokimi oddechami uspokajał pracę serca. Mimo to już nie udało mu się zasnąć.

Rozdział 9

Koszulę wyprasował sam.

– Jakim cudem przypomniałeś sobie instrukcję obsługi żelazka? – zapytała żona z wyraźną złośliwością, ale nie udało się wciągnąć go w sprzeczkę. – To może wyznasz chociaż, co to za doniosłe wydarzenie zapędziło cię do deski? – nie ustępowała.

Odpowiedział szelmowskim puszczeniem oka. Przez chwilę pomyślała, że ma kochankę, ale kiedy obrzuciła go taksującym spojrzeniem, uznała tę myśl za absolutnie niedorzeczną. No, chyba że poznał jakąś niewidomą, pozwoliła sobie na pełen sarkazm. Ale wtedy nie prasowałby koszuli.

Tymczasem Paweł Włodarczyk promieniał. Pogwizdywał przy goleniu, a po pokoju poruszał się krokiem, który przy sporej tolerancji można było uznać za taneczny. Generalnie zachowywał się jak licealista, który dziś wybiera się do szkoły po odbiór świadectwa z czerwonym paskiem, a jutro wyjeżdża na wymarzone wakacje. Z domu wyszedł trzy godziny przed spotkaniem z Kanią. Mieszkanko na Bemowie nagle wydało mu się ciasne i zapyziałe. Nie pasowało do tego, co teraz miało nastąpić w jego życiu. Toyota zaparkowana przed blokiem też wyglądała żałośnie, ale jej przynajmniej mogły pomóc aktywna piana, szczotki i woskowanie. Najdroższy program myjni. Wyjeżdżając z niej, ujrzał w lusterku wstecznym twarz człowieka sukcesu. Kwadrans później na środku Towarowej, niedaleko siedziby IPN-u, znów zerknął w lusterko, w którym zobaczył coś bardzo dziwnego. Rozpędzona ciężarówka zbliżała się jak szalona do jego tylnego zderzaka. Nie miał najmniejszych szans ucieczki na sąsiedni pas.

Kilkaset metrów dalej, z okna hotelu Kyriad Prestige, wypadek obserwował niewysoki, szczupły mężczyzna około czterdziestki, ubrany w szarą koszulkę polo, zlewającą się z kolorem elewacji budynku. Jako jedyny z kilkunastu świadków tragedii nie okazał żadnych emocji. Przez następne dwie godziny niemal się nie poruszył. Patrzył na przyjazd służb ratowniczych, blokadę ulicy i odizolowanie sporego odcinka Towarowej policyjną taśmą. W rękę trzymał lornetkę, ale przyłożył ją do oczu dopiero wówczas, gdy strażacy rozcięli blachy zmiażdżonej toyoty i ostrożnie wydobyli z niej ciało kierowcy. Kilka metrów dalej – migając niebieskimi światłami – stała karetka pogotowia, ale to nie ona zabrała Pawła Włodarczyka. Mężczyzna w hotelowym oknie odczekał, aż jeden z ratowników dosunie do końca zamek błyskawiczny czarnego plastikowego worka na zwłoki, po czym wyjął telefon komórkowy i wysłał esemesa o treści, jaką codziennie przekazują sobie miliony ludzi: „OK”.

Sekundę później wiadomość dotarła do śniadego bruneta w beżowym lnianym garniturze, pijącego miętową herbatę w lobby hotelu Hilton w Ras al-Chajma, stolicy emiratu o tej samej nazwie. Człowiek ten starannie sprawdził numer nadawcy esemesa, a następnie powoli uniósł się z fotela, położył na stoliku kilka dirhamów i wyszedł na zewnątrz, z najwyższym trudem maskując ogarniające go uniesienie. Nazywał się Raszid i był tylko posłańcem, ale dziś czekał go niebывały zaszczyt. Miał odebrać wiadomość, a następnie dostarczyć ją osobiście przywódcy bractwa Bokira – szejkowi Matarowi, który przyjął imię od jednego z władców dynastii Al-Kasimi rządzącej emiratem od niepamiętnych czasów.

Matar był świętym mężem, godnym najwyższego szacunku. Choć mógł mieć najwspanialszy pałac w dowolnym emiracie półwyspu, mieszkał w ascetycznych warunkach, zajmując wraz z garstką zaufanych ludzi niewielki dom w górach, nieopodal granicy z sułtanatem Omanu. Szejk nigdy nie postawiłby stopy w Hiltonie; było to sprzeczne z jego przekonaniem i z pewnością mogłoby uszczęśliwić służby wywiadowcze wielu państw, z CIA

i Mossadem na czele. Nigdy też nie nosił europejskiego garnituru. Z domu wychodził w kefii na głowie, która osłaniała jego twarz podobnie jak nieodłączne ciemne okulary. Ubierał się w białą długą diszdaszę – tradycyjną szatę arabskich mężczyzn. Nie uznawał komputerów, telefonów i poczty. Wiadomości odbierał tylko od zaufanych ludzi, którzy szeptali mu je wprost do ucha.

Na myśl o spotkaniu i przekazaniu szejkowi radosnej wieści o usunięciu kamienia ze ścieżki Proroka Raszid spojrzął w lusterko wsteczne wysłużonego mercedesa i odsłonił w uśmiechu olśniewająco białe zęby. Właśnie wjechał na most prowadzący do dzielnicy Nachil i upewniwszy się, że w pobliżu nie ma żadnych samochodów, opuścił szybę, po czym wrzucił do rzeki kupiony rano telefon komórkowy.

CZEŚĆ DRUGA

Przepowiednia

kwiecień 998 roku

Rozdział 10

Księżyc zdawał się maleć z każdą chwilą, zapisując swój comiesięczny pobyt na tablicy nieba coraz węższym sierpem, do złudzenia przypominającym łacińską literę C. Abelardo da Tarragona, leżąc na wznak na wzgórzu, na którym od dzieciństwa szukał samotności, uśmiechnął się do własnych myśli.

– Księżyc kłamca – powiedział szeptem, choć mogły go usłyszeć najwyżej trawy, granatowe wody rzeki Mondego płynącej w dolinie i duchy rzymskich legionistów, którzy przynieśli na ziemię Galisji przypowieść o *luna mendax*, księżycu łgarzu, choć rzadko zapuszczali się na północ od Luzytanii i nigdy nie odważyli się założyć tu swoich municipiów, bogatych i wspaniałych jak południowa Felicitas Iulia Olisipo, która kiedyś nazwana zostanie Lizboną.

Abelardo powrócił myślami do dzieciństwa, zastanawiając się, jak długo zna tę przypowieść. Miał sześć, może siedem lat. Pewnego chłodnego wieczoru nie mógł zasnąć i piastun Aurelio, znudzony opowiadaniem o smokach i ukrytych skarbach, okrył go opończą i zaprowadził do okna kamiennej komnaty w zamku ojca.

– Spójrz w niebo – rzekł. – Nauczę cię kiedyś jego mądrości, która rozjaśnia najteższe umysły, choć sama widoczna jest tylko w ciemności. Spójrz w niebo – powtórzył. – I zapamiętaj, że dziś nie ma na nim księżyca. A teraz wróć na posłanie i zaproś do siebie sen. Jeśli tak uczynisz, jutro będziesz miał jeszcze jednego gościa: księżyc. Poznasz pierwszą tajemnicę nieba.

Abelardo był tak przejęty, że zasnął natychmiast, w obawie że księżyc go nie odwiedzi. Nie potrafił ukryć radości, kiedy następnego wieczoru ujrzał na niebie jego sierp.

– To księżyc kłamca – powiedział Aurelio z pełną powagą. – Dziś przypomina literę D, od której zaczyna się łacińskie słowo *decrescit*, co znaczy „zmniejsza się”. Nieprawda. Jest odwrotnie. – Aurelio odsłonił w uśmiechu białe zęby kontrastujące z czernią brody i śniadą cerą. – Kiedy księżyc wygląda jak D od *decrescit*, nie maleje, ale rośnie, i z każdą nocą jest coraz większy. Aż do pełni. Dopiero po niej się zmniejsza, dochodząc po kilkunastu dniach do kształtu litery C, od której zaczyna się słowo *Crescit*, tłumaczone jako „zwiększa się”. Czyli znów na odwrót, bo za chwilę księżyc zmniejszy się tak, że zniknie w ciemności, na krótki czas odwracając się do Ziemi swoją nieoświetloną półkulą. Właśnie tę różnicę między wyglądem księżyca w pierwszej i ostatniej kwadrze a kształtem liter symbolizujących jego rośnięcie i zmniejszanie się Rzymianie nazywali astronomicznym oszustwem, zarzucając księżycowi, że w ten sposób okłamuje ludzi. Tak będzie do końca świata.

Krócej, bo do końca życia, Abelardo gotów był pielęgnować dziecięcą zachwyty tamtą opowieścią. Co miesiąc z zapartym tchem śledził przemiany księżyca, czując się powiernikiem tajemnicy wszechświata. Wolał ją od wszystkich baśni z tysiąca i jednej nocy, które piastun znał doskonale: wiele lat temu był najwierniejszym sługą zmarłej matki Abelarda. Zanim przechrzczono go na Aurelia, nosił imię Ahmet, a od nauczycieli w miastach dawnego Bizancjum otrzymał wiedzę astronomiczną, jakiej nie mieli wszyscy razem wzięci mędracy nad Sekwaną, Tybrem i Tagiem.

Wieczór opowieści o księżycu kłamcy dla Abelarda stał się datą graniczną: tej nocy przestał być dzieckiem słuchającym baśni. Został młodzieńcem, który poznał kosmiczną prawdę. Jutro miało dokonać się to samo. Siedemnastoletni, pierworodny syn hrabiego Rodriga da Tarragona – dziedzic terytoriów i dumy krainy, która przegnała Rzymian, Swewów i Wizygotów – jutro miał przestać być młodzieńcem i stać się dojrzałym mężem. Rano czekała

go pierwsza bitwa.

Nie podnosząc się z miękkiego kobierca trawy na wzgórzu, Abelardo odwrócił głowę i spojrzał na południe. Na równinie za rzeką Mondego płonął gwiazdozbiór ognisk kolejnych najeźdźców krainy nazywanej Portucale – Maurów.

Rozdział 11

Półksiężyc odbijający się w wodach rzeki Mondego przywołał w pamięci Abelarda pewną muzułmańską historię – tajemnicę powracającą w snach i zajmującą jego myśli od wielu lat. Jej bohaterką była Arabka, której mądrość i urodę nadal wspominano w zamku hrabiego. Miała piętnaście lat, kiedy Rodrigo da Tarragona, jeden z bohaterów rekonkwisty, starł się podczas wyprawy na południe z silnym oddziałem należącym do gwardii siedmiu kuwar – muzułmańskich gmin na ziemiach dawnej Luzytanii. Arabscy wojownicy gardzili strachem, wierząc, że śmierć w walce z niewiernymi otworzy im bramy raju. Żaden z nich się nie poddał. Żaden też nie przeżył bitwy, podczas której dolina została zasłana setkami ciał. Na jej południowym krańcu, w cieniu korkowych dębów, muzułmanie rozpięli kilka podróżnych namiotów. W jednym z nich Rodrigo da Tarragona znalazł arabską dziewczynę.

Stała bez lęku, z rękami opuszczonymi wzdłuż turkusowej szaty, gotowa przyjąć los, jaki przeznaczył jej Prorok. Było w niej tyle spokoju i dostojeństwa, że hrabia, oszołomiony bitwą, niemal bezwiednie złożył jej pokłon. Nie zareagowała.

Przez trzy miesiące pobytu w jego zamku nie odezwała się ani słowem, jakby wtedy – w namiocie otoczonym makabrą bitwy – czas się dla niej zatrzymał. Całymi dniami w milczeniu wpatrywała się w nagie wzgórza za oknem, szukając w nich ładu myśli. A może wróżby? Choć mieszkała w komnacie i z rozkazu hrabiego traktowano ją łagodnie, była branką. I więźniem. Jej życie zastygło.

Została sama wśród obcych, dręczona pytaniami o przyszłość, gorszymi niż tortury. Rodrigo da Tarragona nie niepokoił jej, ale też nie wyznaczał żadnych obowiązków w niewielkim zamku, w którym wszyscy mieli jakieś zajęcia, a co najgorsze – nie wymieniał na chrześcijańskich jeńców pojmanych przez wojowników Proroka. Los Szeherezady, która przez tysiąc i jedną noc zastanawiała się, czy rankiem sułtan rozkaże ją zgładzić, mimo wszystko wydawał się lepszy w porównaniu z udręką, jaką znosiła od niemal stu dni.

Po trzech miesiącach nagle wszystko się zmieniło. W letni wieczór granie cykad w zaroślach otaczających zamek przerwał tętent koni. Grupa jeźdźców wysłanych przez Rodriga da Tarragona na cotygodniowy rekonesans wróciła po paru dniach, wlokąc na arkanie śniadego męża z brodą czarną jak skrzydło kruka. Hrabia akurat rozmawiał na dziedzińcu z jakimś mnichem, zatem rycerze zręcznie zeskoczyli z koni i pchnęli jeńca w stronę swojego pana.

– Na kolana, psie – krzyknął jeden z gorliwszych, ale Rodrigo powstrzymał go gestem dłoni.

– Ktoś ty? – zapytał pojmanego.

Ten pokłonił się z szacunkiem.

– Nazywam się Ahmet, panie – odparł, nie podnosząc oczu.

Hrabia Rodrigo bacznie mu się przyjrzał.

– Nie widzę, aby cię poturbowano – rzekł. – Poddajesz się bez walki? A może szukasz śmierci?

– Szukam życia, efendi. – Maur znów się pokłonił. – Nie noszę miecza.

– Maur bez miecza. – Tarragona przekrzywił głowę, jakby chciał rozwiązać zagadkę dziwnego jeńca, spoglądając na niego z innej strony. – Gdzieście pojмали tego odmieńca? – Odwrócił się do swoich rycerzy. – W pałacu emira? – I uśmiechnął się, patrząc na ich zakłopotane miny.

Przez kilka długich chwil panowała cisza.

– Właściwie... – przerwał ją dowódca podjazdu, ostrożnie ważąc słowa – właściwie to go nie pojmalıśmy. To znaczy, niby

pojmaliliśmy, wzięliśmy na ramię i w ogóle, ale... to nie do końca było pojmanie, bo... on nie uciekał. Siedział ze skrzyżowanymi nogami opodal starego szlaku Wizygotów, jakby na nas czekał.

– Jak to wyjaśnisz, Maurze? – spytał hrabia.

Jeniec złożył trzeci pokłon.

– Nie jestem Maurem, efendi – rzekł pokornie. – Pochodzę z Konstantynopola. Podróżowałem do Jabury, którą wy, panie, nazywacie Evorą, ale słudzy zdradzili mnie, ograbili z koni i dobytku, zostawiając jeno sakwę z miksturami i przyrządami do leczenia. Jestem medykiem.

– Medykiem? – Zdumienie Rodriga rosło. – Cyrulikiem? – upewnił się.

Tym razem jeniec nie zgiął karku.

– Nie strzygę włosów – wyjaśnił z pewną hardością, co u gorliwego rycerza znów wywołało złowrogi syk:

– Milcz, psie, zważ, do kogo mówisz.

Ale gest hrabiego ponownie go uciszył.

– Nie strzygę włosów – dodał ciszej jeniec. – I nie jestem psem. Jeśli zechcesz, panie, uczynić mi tę łaskę – głęboko pokłonił się krewkiemu rycerzowi – mogę być kotem. W moim kraju koty uchodzą za mędrców.

Dziedziniec wypełniła gromka salwa śmiechu. I właśnie wtedy, w chwili gdy gromada galisyjskich zabijaków rozbawiła się niemal do łez, hrabia dostrzegł wzrok jeńca skupiony na jednym z zamkowych okien. Natychmiast spojrzął w tamtą stronę i chociaż trwało to zaledwie kilka sekund, Rodrigo da Tarragona dałby głowę, że przez twarz arabskiej dziewczyny wpatrzonej w człowieka, który nazwał się Ahmetem, po raz pierwszy od trzech miesięcy przebiegł prawie niewidoczny cień uśmiechu.

Rozdział 12

Ahmet rychło zyskał przychylność hrabiego Tarragony. Sprawnie posługiwał się językiem krainy Portucale, ale – co istotniejsze – opowiadał o rzeczach, których Rodrigo słuchał z zapartym tchem. Dla galisyjskiego szlachcica, który całą młodość spędził w siodle – choć dopiero przed rokiem dotarł nad brzeg pobliskiego oceanu – Ahmet stał się przewodnikiem po świecie i wszechświecie. Dzięki niemu Rodrigo poznał obyczaje ludów Orientu, ujrzał mapę świata kreśloną patykiem na nadrzecznym piasku oraz konstelacje gwiazd na nocnym niebie. Brał udział w wyprawach Aleksandra Wielkiego i Juliusza Cezara, poznał słowa starożytnych mędrców i tajemnice nauki lekarskiej.

Ta ostatnia przysporzyła Ahmetowi wiele popularności i wdzięczności wśród ludu przyzamkowej osady, choć mieszkający w niej mnisi sarkali, że śniady poganin to wysłannik szatana czyniący czary. Nie słuchano ich. Posłańcy piekieł nie składają kości pogruchotanych w boju, nie uśmierzają bólu i nie wypędzają gorączki – to raz. A po wtóre – przyjaźń hrabiego Rodriga była wystarczającą gwarancją bezpieczeństwa i nietykalności przybłądy, nawet jeśli ci, którzy nie byli pacjentami Ahmeta, ukradkiem spluwali na jego widok przez lewe ramię i pospiesznie czynili na czole znak krzyża. Któregoś wieczoru, po udanych łowach, Rodrigo – milczący i wpatrzony w płomienie ogniska – odprawił służbę i kiedy zostali sami z Ahmetem, rzekł coś, co najwyraźniej chciał rzec od dawna:

– Jak ci pewnie wiadomo, w zamku mieszka arabska niewiasta. Jest... – Urwał nagle i cisnął w ogień kij, który od dłuższego czasu

obracał w dłoniach.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Ahmet w lot pojął, że hrabia nie potrafi ubrać w słowa tego, co kłębi się w jego duszy, dlatego nie zadał ani jednego pytania, tylko szepnął zachęcająco:

– Słucham cię, panie.

Rodrigo drgnął, jakby chciał się podnieść z kobierca rozpostartego przy ogniu i odejść, ale opanował ten odruch. To, że Maur (jak ciągle go nazywał) nie wypytywał, kim jest Arabka, skąd się wzięła i co takiego robi w zamku, przyniosło mu wyraźną ulgę. Przez chwilę porządkował myśli, uznając, że pominię wszelkie wyjaśnienia, po czym wpadł na zręczny koncept:

– Chciałbym, abyś ją zbadał – powiedział – jako medyk. Ona nigdy się nie odzywa – dodał. – Nie wiemy, czy jest niema, czy też trapi ją jakaś choroba duszy. Znasz jej język, może zdołasz się czegoś dowiedzieć.

Ahmet chciał odpowiedzieć „będzie jak chcesz, panie”, ale doszedł do wniosku, że sam ukłon złożony w milczeniu da lepsze świadectwo temu, że zrozumiał dyskrecję sprawy. Ukłonił się zatem bez słowa, dostrzegając na obliczu Rodriga da Tarragona potwierdzenie swojego przypuszczenia.

Kilka dni później Ahmet poprosił o rozmowę w komnacie hrabiego. Rodrigo okazywał obojętność, ale był kiepskim komediantem. Nie potrafił udawać.

– Dziewczyna nosi imię Muszira – rzekł Ahmet, dziękując gestem dłoni za cynowy kubek z winem. – Jest szlachetnie urodzona. Podróżowała z portu na wybrzeżu czerwonych klifów do krewnych w Al-Uzbana, którą chrześcijanie zwą Lizboną. Miała tam zostać zaślubiona człowiekowi, którego wybrała jej rodzina i który jest ważnym bejem w marchii As-Saghr al Adna, na południe od twoich ziem, panie. Dlatego wojownicy eskorty walczyli tak zaciekle. Nawet gdyby któryś z nich uszedł z bitwy cało, zostałby ścięty albo jeszcze gorzej, uduszony. Za hańbę oddania oblubienicy beja w twoje ręce, panie.

W tej samej sekundzie Ahmet pojął, że zagalopował się z tą

hańbą, więc na wszelki wypadek głęboko się pokłonił. Ale Rodrigo stał nieruchomo, nie wiedząc, co uczynić z informacjami o dziewczynie, której imię poznał dopiero po trzech miesiącach, podobnie jak nadal nie wiedział, co uczynić z nią samą. Maur jak zwykle przyszedł mu z pomocą.

– Muszira moimi niegodnymi ustami dziękuje ci, panie, za to, że uszanowałeś jej cześć, i pragnie zapewnić, że jej krewni chętnie zapłacą wysoki okup. Jeśli zgodzisz się, panie, ją wysłuchać, będę tłumaczył wasze słowa.

– Nie jestem złoczyńcą porywającym ludzi dla okupu – warknął Rodrigo, ale zaraz przywołał się do porządku. – Jeśli chce rozmawiać, niech to będzie dziś przy wieczery. – Hrabia podniósł się z zydlu, bacznie wpatrując się w medyka. – Czy prosiła cię, abyś to ty udał się do Lizbony w moim imieniu z żądaniem okupu?

– Nie rozmawialiśmy o tym, panie. – Ahmet spuścił wzrok, a przez umysł Rodriga da Tarragona przebiegła myśl, że Maur nie trafił do jego zamku przypadkowo.

Rozdział 13

Tamta wieczera, nieoczekiwanie dla wszystkich, otworzyła nowy rozdział historii zamku i jego mieszkańców. Uczestnicy rozmawiali ostrożnie, jakby dotykali lutni, której struny zaczarowane przez złe moce mogą zostać poruszone w niewłaściwym miejscu, zabrzmieć złowrogo i zniweczyć nastrój porozumienia. Do kwestii okupu więcej nie wracano. Hrabia Rodrigo nie zgodził się na wyznaczenie ceny za Muszirę ani na wysłanie do jej krewnych poselstwa w tej sprawie. Przyrzekł natomiast, że skoro dziewczyna czuje się jak w niewoli, gotów jest zwrócić jej wolność, i kiedy tylko wojna z Maurami przycichnie, odeśle ją do krewnych pod pieczęą Ahmeta i eskortą rycerzy. Najpewniej przed zimą, kiedy chłód przegania wojska muzułmańskie do siedlisk w kuwarach. Postanowił, że do tego czasu opiekunem i tłumaczem Musziry będzie Ahmet. W zamian obydwójce przysięgną na swoją wiarę, że nie będą próbowali ucieczki.

Przyrzeczenie zostało przyjęte i wszystkim zrobiło się lżej, choć Muszira nie okazała radości i uznania dla szlachetności Rodriga. Siedziała ze spuszczonego wzrokiem i prawie nic nie jadła. Ahmet udawał, że nie widzi, jak na jej widok hrabiemu płoną oczy, a policzki oblewa purpura.

A potem wydarzenia przetoczyły się przez galisyjski zamek Tarragonów jak wiosenna burza.

Po tygodniach rozmów, przejażdżek konnych, uczt i polowań Muszira najpierw odwzajemniła miłość Rodriga – trwającą od chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy wtedy po bitwie – a potem podzieliła jego przekonanie, że nie mogą bez siebie żyć. Rok

później, jednego dnia, przyjęła dwa sakramenty: chrzest z rąk biskupa Coimbry, a następnie małżeństwo, które ten sam duchowny pobłogosławił mocą swojego Kościoła. Piastunem syna, urodzonego po kolejnym roku, został Ahmet, przechrzczony wraz ze swoją panią, odtąd noszący imię Aurelio.

Mały Abelardo da Tarragona rósł zdrowo, karmiony mlekiem wiejskiej mamki. Cała okolica szemrała, że jest przeklęty. Chłopiec urodził się ze znamieniem na czole, w kształcie leżącej cyfry cztery tuż nad prawą brwią. Niemowlę ze zmarszczką starca, szeptano po izbach i szynkach, wieszcząc, że Abelardo ściągnie na swój ród nieszczęście.

Hrabia puszczał te pogłoski mimo uszu, ale Muszirze zatruwały one życie. Ahmet, wiedząc, jak reagują niewiasty po połogu, próbował ratować swoją panią naparami z ziół przynoszących ukojenie, ale niewiele wskórał. Ku rozpaczycy jego i Rodriga Muszira znów zamilkła i godzinami wpatrywała się we wzgórza, po kryjomu żarliwie modląc się do Allaha, co było śmiertelnym grzechem, zakazanym w pierwszym przykazaniu: „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”.

Być może Bóg chrześcijan istotnie wpadł w gniew, bo z Muszirą było coraz gorzej. Jej uroda zgasła, a ciało zwiędło od postów i zgryzoty. Zmarła po kilku miesiącach, z przyczyn, których Ahmet-Aurelio nie potrafił rozpoznać, jakby wraz z imieniem i wiarą przodków wyrzekł się talentu lekarskiego. Okolice szemrała teraz o spełnieniu klątwy dwóch bogów. Znaleźli się nawet tacy, którzy widzieli nad zamkiem anioła zemsty, zstępującego na ziemię i rozkazującego żonie hrabiego wypicie trucizny.

Abelardo został sam. Ojciec cały swój ból zamienił w zapiekłą nienawiść do muzułmanów. Uznał, że żonę zabrało mu przywiązanie do religii Mahometa, i od tej pory stał się postrachem pogranicza. Do zamku zaglądał rzadko, a syna powierzył opiece Aurelia. Bóg wie, ilu Maurów wysłał do raju Proroka, zanim berberyjska włócznia nie strąciła go z konia podczas wyprawy króla Ordoneza III na Lizbonę w 995 roku.

Hrabia Rodrigo przeżył, ale resztę życia miał spędzić przykuty do łoża.

Któregoś wieczoru, blisko trzy lata po ostatniej bitwie ojca, Abelardo po cichu wślizgnął się do jego komnaty, a widząc, że hrabia nie śpi, podszedł do łoża, przyklęknął i z szacunkiem ucałował jego dłoń.

Rodrigo uśmiechnął się delikatnie.

– Wyrosłeś na dorodnego młodzieńca – rzekł. – Cieszę się, że to właśnie ty wzniesiesz miecz Tarragonów nad głowami tych arabskich szakali.

Abelardo już otwierał usta, aby w młodzieńczej zapalczywości wykrzyknąć, że też jest półkrwi Arabem, ale zmilczał w porę, świadom, że sam obróciłby wniwecz prośbę, z jaką przyszedł do ojca.

– Ja właśnie w tej sprawie, panie – rzekł oficjalnie. – Chcemy jutro zastąpić drogę Maurom, którzy rankiem zamierzają przekroczyć rzekę Mondego. Przyszedłem prosić, ojcze, abyś zechciał zezwolić mi na udział w tej bitwie. Godnie wzniosę miecz Tarragonów – dorzucił ojcowski frazes, który mógł okazać się pomocny.

Ale na obliczu starego hrabiego nie było już zapalczywości sprzed kilku minut. Wydawał się zaniepokojony.

– Ilu ich jest? – zapytał.

– Zwiadowcy mówią o tysiącu, może tysiąc dwustu końskich ogonach. Sama lekka jazda. Nas jest przynajmniej półtora tysiąca. Mamy ciężką jazdę, piechotę z włóczyniami, łuczników...

Rodrigo da Tarragona uciszył syna grymasem niezadowolenia.

– Nie pytam o naszą liczebność. Powiedz, kto będzie dowodził.

– Belduino Varela.

Hrabia z uznaniem pokiwał głową.

– Dobry wódz. Jaki ma plan?

– Genialny, ojcze! – Abelardo znów podniósł głos, ale zaraz przywołał się do porządku. – Kiedy zwiadowcy donieśli przed tygodniem o pochodzie Maurów kierujących się w stronę brodu na rzece Mondego, senior Varela wymyślił, że na równinie

na naszym brzegu wykopie my doły i ukryjemy w nich dwustu łuczników. Kiedy Maurowie zobaczą, że równina jest pusta, bez szysku wkroczą do rzeki, a wtedy w środku przeprawy słudzy odrzucą żerdzie z darnią maskujące kryjówki, łuczniczy wyjdą i wystrzelają połowę pogan. Resztę dokończy jazda, którą zawiadomią w odpowiedniej chwili, puszczając w stronę naszego obozu za wzgórzem płonące strzały i ustępując jej miejsca do szarzy.

– Nic z tego nie będzie. – Ojciec machnął ręką. – Myślicie, że oni nie mają oczu? Nie zauważą, że kopiecie doły i nie domyślą się fortelu?

– Nie mogą – odrzekł Abelardo. – Nadciągnęli nad rzekę dopiero dziś rano, a Varela rozkazał kopać kryjówki już w śróde po zmierzchu. Kilkuset ludzi pracowało całą noc, a nad ranem zamaskowało w dołach łuczników i służbę, zostawiając im strawę i zapas wody. Siedzą tam od trzech dni. Nikt nie domyśli się ich obecności, choćby oczy wypatrzył z drugiego brzegu.

Hrabia zadumał się na chwilę.

– Oby było, jak przewiduje Belduino Varela. Mimo to nie zawierzyłbym losu bitwy jedynie łucznikom. Tylko że – z uśmiechem poklepał się po bezwładnych nogach – moje bitwy już odbyłem. Ruszaj, synu, i niech cię Bóg prowadzi. – Rodrigo da Tarragona przez moment zatrzymał wzrok na znamieniu Abelarda i ominął je dwoma palcami, czyniąc na czole syna znak krzyża.

Rozdział 14

Kolczuga ojca zdawała się ważyć dwa razy więcej niż podczas ćwiczeń na dziedzińcu zamkowym, kiedy Abelardo uczył się fechtunku i sztuki walki. Teraz, w obozie za wzgórzem nad rzeką Mondego, z którego lada chwila miał ruszyć atak na Maurów, kolczuga krępowwała ruchy, a koń dziedzica rodu Tarragonów parskał i nerwowo grzebał kopytami. W odróżnieniu od jeźdźca, który go dosiadał, rumak bywał już w bitwach i czuł, że zbliża się groza kolejnej. Nie tylko wierzchowce okazywały zniecierpliwienie.

– Czemu oni jeszcze nie wypuszczają płonących strzał? – denerwował się Belduino Varela, którego puklerz i hełm nosiły ślady licznych wgnieceń. – Słońce jest już wysoko, poganie musieli zacząć przeprawę. A może – krzyknął, aby słyszano go w najbliższych szeregach – łucznicy wystrzelali ich co do jednego i już ucztują? Galisyjscy rycerze zatrzęśli się ze śmiechu, aż zadźwięczał ich żelazny ekwipunek.

Aurelio, którego koń niemal dotykał strzemionami rumaka Abelarda, był jednak śmiertelnie poważny. Pochylił się w stronę młodego hrabiego, wręczając mu kwadratowy kawałek metalu zawieszony na cienkim rzemieniu.

– To amulet twojej matki, panie – powiedział cicho. – Dała mi go przed śmiercią. Przysiągłem, że przekażę ci go w chwili, gdy może grozić ci niebezpieczeństwo. Weź go, panie. On cię uchroni.

Abelardo sięgnął po amulet lewą ręką, starając się mocno trzymać wodze niespokojnego rumaka. Zaskoczony, spojrział na arabskie znaki na kwadratowej tabliczce, na chwilę zapominając o czekającej go bitwie.

Nagle znalazł się w środku piekła. Jazda Maurów wyrosła jak spod ziemi, spadając ze wzgórza na podobieństwo stada jastrzębi, i z nieludzkim wyciem runęła na chrześcijańskich rycerzy, z których wielu nie zdołało nawet dobyć miecza. Pogan było ponad tysiąc; łucznicy nad rzeką nie zatrzymali ani jednego z nich. Szarżowali w pełnym galopie, z impetem podsycanym wyraźną wizją klęski i pogromu chrześcijan. Atak był tak błyskawiczny, że konie rycerzy rekonkwisty, gwałtownie spięte ostrogami, stawały dęba, zrzucając jeźdźców, nie mając miejsca choćby na jeden krok do przodu.

Rozpęd – największy atut ciężkiej jazdy – został całkowicie udaremniiony, a bez rozpędu ciężka jazda może tylko ginąć w starciu ze zwrotniejszym i szybszym przeciwnikiem. I to właśnie działo się na polu bitwy nad rzeką Mondego. Padali ludzie, konie i proporce, a bujna wiosenna łąka powoli zmieniała kolor na purpurowy. Belduino Varela płacił tragiczną cenę za pychę: przekonany o niezawodności swojego fortelu, koniecznie chcąc udać przed Maurami nieobecność wojsk na drugim brzegu, nawet nie wystawił na wzgórzu obserwatorów, którzy mogli ostrzec przed niebezpieczeństwem. Zanim krzywa arabska szabla strąciła mu hełm, a kolejna rozłupała czaszkę, nie zdążył nawet zadać sobie pytania, co mogło się stać z łucznikami.

Abelardo spadł z konia potracony przez Maura, który atakował Belduina. Próbował odzyskać równowagę i stanąć na nogi, ale poślizgnął się w kałuży krwi. W tym samym momencie z siodła zsunął się Aurelio, chcąc pomóc swemu panu, ale zanim dotknął ziemi, włócznia wroga rzucona wprawną ręką przebiła go na wylot. Upadł na kolana. Abelardo chwycił go za ramiona w geście bezsilnej rozpacz, ale z oczu jego starego opiekuna już zniknęło życie.

– Twoja matka... – wychrypiął, ale potok krwi z ust przerwał mu w pół słowa. – Ona nie... nie była... Nie dokończył. Zanim do Abelarda dotarło, że powiernik matki chciał mu przed śmiercią powiedzieć coś bardzo ważnego, poczuł na szyi chwyt arkanu. Po chwili odpłynął w niebyt.

Ocknął się wśród setki jeńców klęczących w rzędzie, z rękami spętanymi z tyłu sznurem. Za każdym stał strażnik z obnażonym mieczem, a wzdłuż szpaleru przechadzał się bogato odziany starzec, przed którym wojownicy Proroka z czcią pochylali głowy. Abelardo znał ten rytuał z opowieści rycerzy ojca. Muzułmański wódz po wygranej bitwie miał przywilej osobistego decydowania o losie jeńców. Dwóch, trzech z reguły puszczał wolno, aby wrócili do swoich i dali świadectwo klęski. Część przeznaczal na sprzedaż na marokańskich targach niewolników, resztę kazał ścinać – ku chwale Allaha i przestrodze niewiernych.

Starzec w asyście dwóch olbrzymów czarnych jak heban, którzy najwyraźniej stanowili jego straż przyboczną, z uwagą przyglądał się pojmanym galisyjskim rycerzom, aż nagle stanął oniemiały i nie wierząc własnym oczom, dotknął znamienia na czole Abelarda.

– Arba – szepnął, jakby ogarnięty lękiem, a potem rzucił kilka innych słów po arabsku.

Paru wojowników w turbanach natychmiast ostrożnie podniosło Abelarda z ziemi, przecięło mu więzy i na własnych ramionach zaniósł go do obozu Maurów, nad którym górował namiot wodza. Tu go obmyto, przebrano w czystą szatę i wskazano miejsce na poduszkach ułożonych na miękkim kobiercu. Kiedy usiadł, słudzy wycofali się schyleni w pokornym pokłonie. Został sam.

Rozdział 15

Myślał, że śni, gdy poły namiotu się rozchyliły i do wnętrza wszedł starzec – wódz Maurów. Klęknął przed Abelardem i pochylił się, dotykając czołem ziemi przed jego stopami.

– Bądź pozdrowiony – rzekł w języku krainy Portucale. – Noszę imię Al-Hakan i pochodzę z królewskiego rodu Umajjadów. Jestem emirem południowych marchii i wiernym sługą Allaha, który dziś nagroził mnie zaszczytem odnalezienia ciebie, wysłannika prawdy i dobroci.

Twarz Abelarda musiała wyrażać bezgraniczne osłupienie, więc starzec postanowił dać mu ochłonać, klasnął w dłonie i w namiocie natychmiast pojawili się słudzy, tym razem z tacami pełnymi jadła i dzbanami z aromatycznym naparem z suszonych owoców. Gospodarz uprzejmym gestem dłoni zachęcił młodzieńca do skosztowania poczęstunku. Po chwili usadowił się obok Abelarda na poduszkach, rozpromieniony uśmiechem przyjaźni i wdzięczności.

– Widzę, panie, że nie jesteś świadom swojego powołania – rzekł, starając się dobrze dobierać słowa. – Posłuchaj zatem: istnieje przepowiednia, znana tylko chrześcijańskim papieżom i przywódcom islamu, która mówi, że nasze religie rozdarte nienawiścią mogą się pojednać i żyć w zgodzie. Dziś, kiedy rozdziela nas święta wojna i morze przelanej krwi, wydaje się to niemożliwe, ale Bóg postanowił inaczej. Bóg, który jest jeden, choć ma wielu proroków, w tym Mahometa i Jezusa Chrystusa, dał ludziom wolną wolę, ale ludzie nie użyli jej do życia w pokoju. Dlatego prorocstwo arby, czyli czwórki, mówi, że Bóg ofiaruje

światu cztery możliwości pojednania chrześcijaństwa z islamem.

Może się to dokonać za sprawą czterech wybrańców, którzy począwszy od roku tysięcznego, co czterysta czterdzieści cztery lata mogą przynieść światu wieczny pokój, o ile świat przyjmie ich misję. Proroctwo arby mówi o czterech sposobnościach: w roku tysięcznym, tysiąc czterysta czterdziestym czwartym, tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym i dwa tysiące trzysta trzydziestym drugim. Pierwszą z nich otrzymałeś ty, panie. Jesteś wybrańcem Boga. – Al-Hakan głęboko się pokłonił. – Mamy rok dziewięćset dziewięćdziesiąty ósmy. Za dwa lata z woli Boga możesz stać się najważniejszym człowiekiem na Ziemi, sługą pojednania odwiecznych wrogów niszczących tysiące istnień w imię fanatycznej nienawiści. Jeśli się jednak okaże, że przepowiednia arby jest prawdziwa, bo pojawił się pierwszy wybrańiec, przywódcy naszych światów mogą w nią uwierzyć, posłuchać jej mądrości i zaprowadzić pokój. Wyznawcy Chrystusa przekazują sobie znak pokoju. My witamy się słowami *salam alejkum*, co znaczy: pokój z wami. Dlaczego się zabijamy?

Abelardo słuchał w milczeniu, próbując uporządkować myśli. Nie było to łatwe, zwłaszcza dziś, w dniu, w którym zwycięska bitwa zamieniła się w pogrom, zginął Aurelio, matka z zaświatów wysłała doń kolejną tajemnicę wyrytą na płytce amuletu i zawartą w ostatnich słowach wiernego sługi, a on sam zamiast ściecia mieczem dostąpił czci wyrażanej przez potężnego emira, bijącego przed nim pokłony i opowiadającego rzeczy, które przekraczały granice świadomości. Po długiej chwili ciszy, w której brzmiało ostatnie pytanie Al-Hakana, Abelardo powrócił do rzeczywistości.

– Czemu sądzisz, panie, że to ja jestem wybrańcem z tej przepowiedni?

Emir pokiwał głową, doceniając logikę pytania.

– Nosisz znamię arby, o którym mówi przepowiednia. Wyraźny znak arabskiej czwórki leżącej nad prawą brwią. Z proroctwa można też wyczytać, że wybrańcy będą potomkami dwóch różnych religii. Czy twoi rodzice i dziadowie, panie, wszyscy byli chrześcijanami?

Abelardo pokręcił głową.

– Nie. W zasadzie jestem półkrwi Arabem. Po matce, która zanim przyjęła chrzest, była wyznawczynią islamu.

Al-Hakan nie wydawał się zaskoczony.

– Oto kolejny dowód. Czy zechcesz, panie, opowiedzieć o matce? Jak to się stało, że została żoną niewiernego?

– Niewiele o niej wiem. – Abelardo wyraźnie posmutniał. – Umarła wkrótce po moim przyjściu na świat. Nawet jej nie pamiętam. Ale na pewno poślubiła mojego ojca z miłości. Tego jestem pewien.

– *Ma sha Allah.* – Stary emir się rozpromienił. – Bogu się to podobało. Jak widzisz, panie, religie nie muszą dzielić. Kim była twoja matka?

– Jak już mówiłem, nie wiem zbyt wiele. Ojciec ocalił ją z jakiejś bitwy. Mieszkała w naszym zamku. Opowiadano mi, że miała możliwość powrotu do swoich, ale zakochała się w moim ojcu i została. Potem ja się urodziłem, a ona odeszła. Miała na imię Muszira.

– Muszira – powtórzył stary emir. – Oznacza kobietę mądrą, dającą rady. Rzadko się to imię spotyka. Szkoda, że wiesz o niej tak niewiele.

– Wiem tyle, ile opowiedział mi jej wierny sługa, człowiek, który mnie wychował, a dziś zginął w bitwie.

Abelardo opuścił głowę, aby nie pokazać łez, które napłynęły mu do oczu, ale zaraz się wyprostował. Sięgnął ręką do szyi i zdjął z niej amulet otrzymany rano od Aurelia. Podał go emirowi:

– To należało do mojej matki i zostało mi przekazane dopiero dziś. Może potrafisz, panie, odczytać te znaki?

Al-Hakan wziął amulet z czcią, obydwoma dłońmi, spojrzał na niego i zbladł. Metalowy kwadrat omal nie wypadł mu z rąk.

– Wybacz – rzekł nieswoim głosem. – Wybacz staremu człowiekowi. Zbyt wiele wrażeń jak na jeden dzień. Poczuję się strudzony. Odpocznę teraz. Słudzy wskażą ci namiot, w którym i ty zaznasz snu. Niech Bóg da ci pokój i wytchnienie.

Rozdział 16

Abelardo da Tarragona nie mógł zasnąć. Myśli pędziły w jego głowie z impetem arabskiej konnicy, która rozbiła w pył wojska jego pobratymców. Usilnie się zastanawiał, dlaczego nie udał się podstęp z ukrytymi łucznikami, ale zanim zdążył rozważyć jakiegokolwiek możliwości, stanęła mu przed oczami twarz umierającego Aurelia. Uległby fali rozpaczycy po stracie piastuna i przyjaciela, ale ta z kolei ustąpiła niespokojnym myślom o amulecie i słowach, które stary medyk wypowiedział przed śmiercią. A kiedy zagłębił się w próby rozwiązania tajemnicy matki, tę natychmiast wyparła opowieść o dziwnej przepowiedni i posłannictwie, którego zupełnie nie pojmował. Sen zmorzył go przed świtem, ale nie przyniósł odpoczynku.

Rano przybył emir, który ruchem dłoni odprawił służbę sprzątającą po posiłku Abelarda. Po uprzejmych pozdrowieniach, które Arabowie najwyraźniej mieli w zwyczaju, Al-Hakan oddał mu amulet.

– Jeśli ten przedmiot był własnością twojej matki, panie – rzekł powoli – to imię Muszira nie należało do niej. Podała je, jak mniemam, aby odwrócić od siebie uwagę. Naprawdę nazywała się Afra i – emir badawczo spojrział w oczy Abelarda, jakby chciał sprawdzić, czy młodzieniec gotów jest na kolejną wiadomość burzącą jego dotychczasowy świat – była siostrą Hiszama II. Kalifa Kordoby, najpotężniejszego króla naszych czasów, którego słońce przyćmiewa nawet blask władcy Bagdadu. Afra zaginęła podczas podróży, mimo ochrony silnego oddziału. Kalif szukał jej przez wiele lat. Wysłał nawet kilkudziesięciu zaufanych ludzi, którzy

dobrowolnie zgodzili się wpaść w ręce galisyjskich rycerzy, aby odnaleźć ślad księżniczki, ale żaden z nich nie wrócił. Afra przepadła jak kamień w studni.

– Ahmet – szepnął Abelardo. – Mój piastun, zanim przyjął imię Aurelio, nazywał się Ahmet. Był astronomem i lekarzem z Konstantynopola, którego nasi ludzie znaleźli gdzieś w okolicach Coimbry. Został przyjacielem mojego ojca i wiernym sługą matki. Dla niej przyjął chrzest i pewnie przysiągł dochować tajemnicy. Pragnął mi ją wyjawić na polu wczorajszej bitwy, podczas której zginął, chroniąc moje życie. Nie zdążył.

– *Insz Allah* – rzekł Al-Hakan z pokorą. – Bóg tak chciał. Niechaj da mu szczęście w raju.

– A do którego raju trafi? – spytał Abelardo.

– Raj jest jeden – odparł emir. – Dla wszystkich dobrych ludzi. Nie ma granic. Sądzisz, że twoja matka i Ahmet zgrzeszyli, przyjmując chrzest? Tu na ziemi przywykliśmy sądzić, że to czyn haniebny. Ale w niebie zostanie im to wybaczone, jeśli ich postępek służył czynieniu dobra. Nawet nie wiesz, młodzieńcze, ilu prawych ludzi zmieniło wyznanie. Znasz imię potężnego pana Meridy Abd ar-Rahmana Ibn Junusa? To syn hiszpańskiej rodziny z Północy, rodowity Ibn-al-Dżillihi – Galisyjczyk, który przeszedł na islam. Te ziemie pełne są muwalladów, czyli nawróconych. Na wiarę Proroka lub chrześcijaństwo. Każdy z nich jest dowodem na możliwość pojednania.

– Sądzisz, panie, że jest ono możliwe? – spytał Abelardo.

– Oczywiście – ożywił się starzec. – Jesteśmy ludźmi obdarzonymi rozumem, a mordujemy się bez opamiętania, zamiast handlować, podziwiać nasze kultury i wymieniać pożytki z wiedzy. Trzeba to tylko uzmysłwić światu i właśnie z takim przesłaniem pojedziesz do Kordoby na dwór kalifa. Będzie ci niesłuchanie rad. Jest twoim wujem. A przy tym zastępcą Mahometa na ziemi i mądrym władcą. Zdolnym spełnić przepowiednię. Wystarczy, że da światu świadectwo twojego istnienia – cudownie odnalezionego syna swojej siostry, który nosi znak arby zapisany w prorocत्वie. Dam ci listy. Jeden oficjalny, drugi prywatny. Ten drugi ukryjesz.

Twoje posłannictwo powinno zostać utajnione do czasu, gdy kalif pokieruje nim według własnej woli. Ruszysz jutro. Z ludźmi, którzy zawiozą naszemu władcy wieść o bitwie, a przy tym będą eskortą krewnego kalifa. I mojego – dodał starzec z uśmiechem. – Wszak płynie w nas ta sama krew Umajjadów.

– Wybacz, wasza dostojność. – Tym razem Abelardo złożył dyskretny ukłon. – Ale jaką wieść przekażesz kalifowi o wczorajszej bitwie? Jestem niezwykle ciekaw, jakim cudem, mając mniej konnych, udało się nas pokonać.

Starzec uśmiechnął się chytrze.

– Trapi cię inne pytanie – rzekł. – Co się stało z waszymi łucznikami?

Abelardo skinął głową.

– Zatem posłuchaj. – Al-Hakan wygodniej ułożył się na poduszkach. – Chrześcijanie mają w zwyczaju wysyłać przed bitwą podjazdy złożone z kilkunastu jeźdźców, którym się wydaje, że są niewidzialni i bezszelestni. A to niemożliwe. My wysyłamy po informacje o wrogu jednego, zazwyczaj bardzo zmyślnego człowieka. Tak było i tym razem. Nasz posłaniec nie był na tyle głupi, aby przechodzić przez bród na Mondego, obserwowany przed paroma dniami przez wasze strażę. Przepłynął rzekę nieco dalej, pieszo podkraść się do pozycji chrześcijan i ukrył w trawie, przylepiając jej źdźbła błotem do swoich szat. Sam niewidoczny, wszystko dokładnie obejrzał. Dwa dni przed bitwą wiedzieliśmy już o waszych łucznikach i dokładnie poznaliśmy ich kryjówki.

– Wymordowaliście ich?! – niemal krzyknął Abelardo.

– A po co? – Emir wzruszył ramionami. – Zaczęliby wrzeszczeć i się bronić, co z pewnością zostałyby dostrzeżone. Nawet przez ślepcę, jakim okazał się Belduino Varela. Dwie noce wcześniej, kiedy wycofaliście strażę, żeby oszukać nas, że bród nie jest pilnowany, przez płyciznę przekradł się niewielki oddział Berberów. Każdy niósł worek z kilkudziesięcioma szcurami. Wypuścili je tuż przed świtem na drugim brzegu, wiedząc, że dalej same sobie poradzą.

– Nie rozumiem – rzekł Abelardo, a jego mina świadczyła o tym

dobitnie.

– To proste – odparł Al-Hakan. – Szczury, które schwytaliśmy w pułapki i głodziliśmy przez kilka dni, wypuszczone na wolność na waszym brzegu natychmiast wpełzły do kryjówek łuczników. Ci musieli je zauważyć, ale nie mogli nic zrobić, bo mieli przykazane pod karą gardła nie czynić najmniejszego hałasu. Gdyby zaczęli wojnę ze szczurami, natychmiast zdradziliby swoją obecność. Siedzieli więc cicho, tymczasem gryzonie zajęły się swoim przysmakiem: zwierzęcymi jelitami, z których skręcone są cięciwy łuków. Przez cały dzień i noc przed bitwą musiały dokonać dzieła zniszczenia.

Żrenice Abelarda rozszerzyły się ze zdumienia.

– Następnego dnia rano – kontynuował emir – uważnie przeprowadziliśmy się przez płyciznę, ale na drugim brzegu nikt nas nie powitał. Łucznicy pozbawieni broni pozostali w kryjówekach, wiedząc, że jeśli je odkryjemy, czeka ich rzeź. Udaliśmy zatem, że nic o nich nie wiemy, starannie ominęliśmy zamaskowane doły i po cichu wjechaliśmy na wzgórze, z którego na was uderzyliśmy. Resztę widziałeś sam. No, może poza ucieczką łuczników, którzy drżąc z lęku, doczekali mroku, a potem rozpięchli się we wszystkie strony.

– Szczury – syknął Abelardo, nie wiadomo czy pod adresem gryzoni, czy przebiegłych Maurów. Poruszony opowieścią ożywił się. – Plaga szczurów tej wiosny wszystkim daje się we znaki – stwierdził. – Waszych obozów nie atakują?

– Oczywiście, że atakują – spokojnie potwierdził Al-Hakan. – Tylko że po naszej stronie walczy oddział niezwykle dzielnych perskich wojowników – emir zawiesił głos dla spotęgowania efektu – kotów. Od kiedy szczury przegryzły nam cięciwy, trzymamy ich w obozie około stu. Żaden gryzoń się nie prześlizgnie.

Rozdział 17

Tego samego dnia emir rozkazał przywołać do namiotu niskiego, żylastego wojownika o gorejących oczach i twarzy naznaczonej bliznami.

– To Faris – rzekł do Abelarda. – Dowódca twojej eskorty. Wierny sługa i doskonały wojownik zaprawiony w bojach.

– Ty zaś – odwrócił się do Farisa – pozdrów syna siostry kalifa Hiszama, oby słońce Proroka nigdy nie zachodziło nad jego głową. Zaprowadzisz go do Kordoby, do pałacu naszego pana. Masz go strzec jak źrenicy oka.

Faris upadł na twarz i dotknął czołem ziemi przed Abelardem.

– Będzie, jak rzekłeś, najmądrzejszy z emirów. Klnę się na wiarę, że siostrzeniec kalifa dotrze tam, gdzie powinien.

Po zachodzie słońca Faris wyszedł ze swoimi ludźmi z obozu, aby nad rzeką odmówić wraz z nimi modlitwę *Maghrib* i poprosić o błogosławieństwo Allaha przed podróżą.

– Wybrałem was – Faris zwrócił się do mężczyzn siedzących na ziemi – bo jesteście wierni religii i należycie do bractwa Bokira, któremu Bóg kazał mi przewodzić. Rano wyruszamy do Kordoby, aby zawieźć do pałacu Hiszama II kogoś bardzo ważnego. To cudem odnaleziony syn siostry kalifa. Wiem o tym człowieku coś jeszcze. Przez płótno namiotu podsłuchałem jego rozmowę z emirem. Dostojny Al-Hakan nie wie, że rozumiem mowę niewiernych. Ale o tajemnicy siostrzeńca kalifa powiem wam w drodze, bracia. Wyruszamy jutro przed wschodem słońca, po modlitwie Fadżr. Niech Allah da wam siłę.

W drugim dniu oddział Farisa dotarł na płaskowyż położony na południowy wschód od miasta Leira. Wojownicy, którzy nie zabrali ze sobą sług, aby ci nie opóźniali podróży, rozsiedłali konie i krzatali się przy rozbijaniu obozu. Abelardo stał w milczeniu, wpatrując się w nieśmiały sierp księżyca kłamcy na szarzejącym niebie. Faris uśmiechnął się do niego, złożył pokłon i spytał gestem, czy może podejść, aby zadać pytanie. A kiedy Abelardo przywołał go zachęcającym ruchem dłoni, arabski wojownik zbliżył się i błyskawicznym ruchem wbił mu sztylet w serce aż po rękojeść.

CZEŚĆ TRZECIA

Tajemnica

trzecie millenium

Rozdział 18

Jakub Kania nienawidził takich dni. Tuż po siódmej obudził go telefon. Traktorzysta ciągnący przyczepę pełną tyczek do pomidorów przekrzykiwał kaszel silnika, informując, że właśnie jest na Polnej w Hrubieszowie, ale żadnej szklarni tu nie widzi. Zanim prokurator IPN-u skutecznie odwrzeszczał, że to pomyłka, minęły dobre dwie minuty.

– Pomyłka? – powtórzył tamten z rozbijającym zdumieniem. – To co ja mam teraz zrobić?!

Kuba miał odpowiedź na końcu języka, ale powstrzymał się, choć stanowczo zbyt mocno wcisnął czerwony klawisz telefonu komórkowego z symbolem odłożonej słuchawki.

Potem zacięły się przesuwane drzwi kabiny prysznicowej. Próbował je ruszyć różnymi sposobami, wreszcie – mokry i wściekły – kopnął z impetem, jakim nie popisał się żaden napastnik narodowej drużyny futbolowej od czasu mistrzostw w Monachium. Szyba rozleciała się na kawałki, a jeden z nich utkwiał mu w pięcie. W ułamku sekundy przypomniał sobie wszystkie filmowe sceny, w których torturowano bohaterów, skupiając się na piętach, i wydał ryk, który bardzo by te filmy uwiarygodnił. Chwilę potem skakał do kuchni na jednej nodze, brocząc krwią, ale w apteczce nie było ani bandaża, ani wody utlenionej.

Ze stopą grubo owiniętą papierem toaletowym i zapakowaną w reklamówkę z logiem znanych delikatesów dotarł taksówką do pobliskiego Szpitala Bielańskiego. Mimo wczesnej godziny na oddziale chirurgii urazowej była kolejka, tak że ledwo zdążył

na dwunastą do instytutu na umówione spotkanie z Włodarczykiem.

Dwadzieścia minut później co chwilę zerkał na zegarek, irytując się coraz bardziej. Który to raz dzisiaj? O wpół do pierwszej stało się jasne, że żarliwy poszukiwacz obrazu Matejki okazał się zwykłym blagierem. Paluch miał rację – pomyślał. – Jak mogłem wziąć na serio te brednie o pojednaniu chrześcijaństwa z islamem? Dobrze, że nie pobiegłem do dyrektora z rewelacją, że łasiczka na rękach damy namalowanej przez Leonarda da Vinci i wiszącej w Muzeum Czartoryskich zwiastuje wyprawy na Marsa – znęcał się nad sobą w duchu.

Kilkakrotnie podnosił słuchawkę telefonu, żeby zadzwonić do szefa i zamknąć temat, ale za każdym razem rezygnował. Obawiał się drwin Palucha zdolnego popsuć mu rozpoczynający się za kilka godzin weekend. Raport miał być w poniedziałek, więc będzie w poniedziałek. Do domu wracał z bólem głowy, bólem stopy i generalnie z bólem wszystkiego. Milczał, choć denerwowały go utyskiwania taksówkarza na piątkowe korki i ulicę Towarową, która dziś przez pół dnia była zamknięta z powodu jakiegoś wypadku. Taki dzień.

Rozdział 19

W tym samym czasie, w którym Kuba z pocerowaną piętą kuśtykał po schodach Szpitala Bielańskiego, a Paweł Włodarczyk wyjeżdżał z myjni przy Połczyńskiej, przed drzwiami mieszkania na Bemowie stanął niewysoki szczupły mężczyzna około czterdziestki. Ubrany był w sportowe buty, spodnie od dresu, bluzę z kapturem i bejsbolową czapkę – strój, który w blokowisku czyni człowieka idealnie wtopionym w otoczenie. Poza tym że mężczyzna był niemal niewidzialny, był także niemy. Gdyby ktokolwiek o cokolwiek go zapytał, nie otrzymałby żadnej odpowiedzi, uznając, że ma do czynienia z kimś upośledzonym. Tymczasem gość wyglądający na ziomala z dzielni nie mówił ani słowa po polsku. Nazywał się Semir Salmadžić i pochodził z Mostaru, nieformalnej stolicy Hercegowiny.

Przez moment bacznie rozglądał się po korytarzu, po czym bez trudu otworzył zamki w drzwiach i do mieszkania Włodarczyków wszedł jak do siebie. Wiedział doskonale, że nikogo nie zastanie: żona pracowała w księgowości pewnej korporacji na drugim końcu Warszawy, a syn jak co dzień przebywał u kolegi na Kabatach. Obaj planowali wpaść na genialny pomysł i zarobić miliony w internecie, ale jako że Facebook i Google zostały już wynalezione, leżeli na sofie upaleni marihuaną. O niespodziewanym powrocie któregoś z domowników na Bemowo nie było mowy: korporacja nie pozwalała Barbarze Włodarczyk wychodzić nawet do toalety, jamajski staff rozmazywał świat wokół juniora, a jego ojciec albo już nie żył, albo za chwilę miał zginąć. Jednak na wszelki wypadek całą trójkę strzegli bystrzy

opiekunowie, którzy znali numer telefonu komórkowego Semira.

Mimo zagwarantowanego komfortu mężczyzna w bluzie z kapturem poruszał się po mieszkaniu z niezwykłą ostrożnością. Nikt nie mógł się zorientować, że tu był i że przetrząsnął regał Pawła Włodarczyka. Czynił to powoli i pieczołowicie. Każdą teczkę dokładnie oglądał i odkładał na miejsce, a kiedy sytuacja tego wymagała, rozpylał na papiery specjalny kurz w aerozolu. Nie miał trudnego zadania: gruba koperta z reprodukcją obrazu Matejki oraz poświęconymi mu wycinkami, kopiami dokumentów i notatkami leżała na środkowej półce.

Semir Salmadžić bez śladu emocji opakował kopertę w folię, przymocował ją do tułowia za pomocą specjalnego pasa, obciągnął bluzę i chwilę nasłuchiwał pod drzwiami w przedpokoju. Opuścił mieszkanie, po czym starannie zamknął obydwie zamki i poprawił czubkiem sportowego buta wycieraczkę na korytarzu, która wydała mu się przesunięta o kilka milimetrów.

Wysiadł z windy na parterze i przeszedł obok grupy wyrostków. Jeden z nich – żywo gestykulując i imitując wystrzały – opowiadał jakiś sensacyjny film. Reszta słuchała jak urzeczona, nie mając bladego pojęcia, że właśnie minął ich człowiek, przy którym agenci wymyśleni przez hollywoodzkich scenarzystów byli mali i śmieszni jak postacie z kreskówek.

Bliźniacy Semir i Mustafa Salmadžićowie stanowili dwuosobową formację militarną, która w nieustraszonych bośniackich Serbach budziła lęk. Bracia pochodzili ze starej chrześcijańskiej rodziny, przechrzczonej na islam wieki temu, w czasach tureckiej dominacji na Bałkanach. Byli nierozłączni. Obaj studiowali na politechnice w Sarajewie, obaj ożenili się z dobrymi muzułmankami, obaj mieli po troje dzieci, a przed sobą błyskotliwą karierę naukową w katedrze matematyki stosowanej macierzystej uczelni. Specjalizowali się w zarządzaniu ryzykiem.

Podczas wojny w Bośni obaj stracili rodziny pogrzebane pod gruzami wspólnego domu ostrzelanego przez artylerię armii Ratko Mladicia. Tego samego dnia zostali bojownikami Proroka. Szkolili

się sami. W ciągu dnia z naukową precyzją podpatrywali muzułmańskich oficerów wojsk niedawnej Jugosławii, nocami studiowali podręczniki dla komandosów, które wały się po zniszczonych koszarach pułku desantowego stacjonującego w Sarajewie.

Różnili się od towarzyszy broni. Nie podzielali ani zimnej determinacji bośniackich wyznawców Allaha, ani fanatycznej odwagi mudżahedinów, którzy ścigali na tę wojnę tysiącami i tysiącami ginęli – kompletnie nieprzygotowani do walki, za to pełni pogardy dla życia. Czerstwi i zaprawieni w bojach chłopcy Radovana Karadžicia mawiali, że ich zabijanie staje się nudne, a potem pozwali do zdjęć obwieszeni naszymi naszyjnikami z nanizanych na żyłkę ludzkich oczu, które parę dni wcześniej patrzyły na świat w Arabii Saudyjskiej, Libii i Jemenie.

Po masakrze w Srebrenicy w lipcu 1995 roku, kiedy Serbowie bezkarnie wymordowali osiem tysięcy braci Semira i Mustafy, bliźniacy złożyli kolejną przysięgę zemsty. Tym razem przeciwko wszystkim, których wojska stały w bezruchu tuż obok, nie sprzeciwiając się największej masakrze od czasu drugiej wojny światowej. Srebrenica leżała w strefie bezpieczeństwa ONZ.

Oficjalnie należeli do „białej al-Kaidy” w Kosowie, ale za zgodą saudyjskich protektorów szli własną drogą – często wykonując zadania, o których nigdy z nikim nie rozmawiali. Pracowali dla bractwa Bokira, prowadzonego przez szejka Matara, strażnika praw islamu.

W pustynnych obozach treningowych nauczyli się perfekcyjnego władania nożem, glockiem i semtexem, ale woleli własną broń – precyzyjne, matematyczne myślenie. O ich dwuosobowym oddziale Serbowie mówili: *mozak*. Mózg. Słowo to najczęściej wypowiedziano szeptem przy okazji nagłej śmierci kolejnego z dowódców srebrenickich plutonów egzekucyjnych. Zdumienie budził fakt, że wielu z nich popełniło samobójstwo. A jednak za zamachami na własne życie wilków Karadžicia kryły się nie wyrzuty sumienia, tylko bracia Salmandzić. Cisi, nieuchwytni, przerażająco skuteczni.

Skrupulatne, niemal matematyczne rozliczanie Srebrenicy przerwała braciom łatwa misja w Warszawie, zlecona przez człowieka, którego nigdy nie widzieli, ale darzyli nabożnym szacunkiem. Szczegóły przekazał im posłaniec podczas czerwcowego spotkania w ogrodzie botanicznym Vrelo Bosne w Sarajewie.

– Uważamy na tego człowieka od wielu lat – powiedział posłaniec. Semir i Mustafa wydawali się bardziej zainteresowani sąsiednim rododendronem, ale słuchali w najwyższym skupieniu. – Dotychczas był nieszkodliwy, ale teraz się uaktywnił. Może uczynić wiele szkód. To kamień na ścieżce Proroka.

Znali aż za dobrze znaczenie tej metafory. Mustafa kiwnął głową. Potem dokładnie zapamiętali wszystkie instrukcje i w milczeniu wstali z ławki, nie zadając ani jednego pytania. Posłaniec na koniec dodał półgłosem zdanie, które było zupełnie zbędne:

– To ma wyglądać na wypadek.

Rozdział 20

Dwa dni później bracia Salmandżić wylądowali na Okęciu. W barze hali przylotów czekał Dżabir Al-Gazi – rezydent bractwa Bokira w Warszawie. Był Palestyńczykiem. Dawno temu skończył medycynę w Łodzi, trochę tułał się po polskich szpitalach, wreszcie osiadł w renomowanej stołecznej klinice. Należał do ścisłej czołówki warszawskich ortopedów. Pacjenci przyjeżdżali do niego nawet ze Skandynawii. Ożenił się z Polką, miał dwoje dzieci, które chodziły w szkole na lekcje religii, i żył po europejsku, choć w duchu pozostał żarliwym wyznawcą Allaha. Od lat pracował dla jego chwały w ciemnościach kamuflażu i milczenia, które zachowywał nawet przed żoną.

Teraz był pochłonięty lekturą „Newsweeka”, ale co chwilę podnosił wzrok i badawczo lustrował pasażerów opuszczających bramkę, za którą widać było taśmociąg z bagażami. Wreszcie dostrzegł bliźniaków. Pierwszy wyszedł niemal natychmiast, obciążony tylko niewielkim plecakiem. Drugi kazał na siebie czekać kilka minut. Ciągnął dużą czarną walizkę z nalepkami wielu kontroli bezpieczeństwa.

Doktor Al-Gazi poczekał, aż bracia opuszczą terminal, po czym spokojnie udał się na parking. Jadąc ulicą Żwirki i Wigury, której nazwy nigdy poprawnie nie wymówi, minął taksówkę z Semirem i Mustafą. Pod żadnym pozorem nie mógł się z nimi kontaktować. Polskie służby chodzące na pasku Amerykanów interesowały się każdym Palestyńczykiem, choćby był on katolickim księdzem, a nie tylko znanym ortopedą.

Nie wiadomo, czy w tej właśnie chwili nie prowadził Dżabira

satelita, który mógł sfotografować jego spotkanie z bliźniakami. W ten sposób Semir i Mustafa zostaliby rutynowo wytypowani do sprawdzenia i trafiliby do bazy piekielnie inteligentnego komputera, który przez dwadzieścia cztery godziny na dobę mieli miliardy danych i kojarzy szczegóły z całego świata. Dla duetu, nazywanego przez Serbów mózgiem, mogło to być bardzo niebezpieczne. Dla bractwa Bokira jeszcze bardziej.

Wjeżdżając na rondo z pomnikiem, doktor Al-Gazi przez moment poczuł dyskomfort swojego podwójnego życia. Czasami mu się to zdarzało. Wiele lat temu otrzymał zadanie inwigilacji Pawła Włodarczyka i doskonale się z niego wywiązał. Zadbał, aby znaleźli się na tym samym przyjęciu, a kiedy zostali sobie przedstawieni, Dżabir sprytnie nastraszył polskiego dziennikarza objawami skoliozy, które rzekomo u niego zauważył. Po paru dniach zaprosił go do gabinetu, zbadał, uspokoił i wkradł się w jego łaski. Z czasem zostali przyjaciółmi. Jeździli nad jezioro, jadali domowe kolacyjki z żonami, pili polską wódkę nawet podczas ramadanu, bo Al-Gazi – identycznie jak bracia Salmandżić – miał prawo hołdować zwyczajom wroga dla dobra kamuflażu. Dziesiątki razy rozmawiali o obrazie Matejki.

– Zajmiesz się tym kiedykolwiek? – Dżabir robił znudzoną minę i udawał zmęczenie tematem, choć było to dla niego najważniejsze pytanie.

– Sam nie wiem. – Włodarczyk machał ręką, sięgając jednocześnie po kieliszek czystej, który wychylał, nie siląc się na toasty. – A jak ty myślisz? Jesteś w końcu Arabem. Czy z waszej strony pojednanie z chrześcijaństwem jest w ogóle dopuszczalne? – pytał.

– Nie należę do zbyt gorliwych wyznawców islamu – skłamał Al-Gazi. – Poza tym to druga co do wielkości religia świata. Dwa miliardy ludzi, miliony osobowości i poglądów. Mamy fatalny PR, zwłaszcza po zamachach na World Trade Center, ale nie zapominaj, że muzułmanie nie są orędownikami wojny. Słowo „islam” pochodzi od *salam*, co znaczy pokój. Oczywiście istnieją fundamentaliści, którzy znajdują fanatyków, robią im wodę

z mózgu, a potem zakładają kamizelki z kostkami trotylu, przyszyte do ubrań – powiedział z doskonale udanym oburzeniem.

Był tak przejęty rolą krytyka własnych braci, że nieopatrznie wymknął mu się istotny szczegół. Bo niby skąd warszawski ortopeda mógł wiedzieć, że kamizelki zamachowców samobójców są solidnie przyszywane do ich odzieży, na wypadek gdyby w ostatniej chwili się rozmyślili?

Spojrzał na Włodarczyka badawczo, ale ten zupełnie nie skojarzył niuanisu.

– To co radzisz? – zapytał.

– Szczerze? – Doktor Al-Gazi błysnął nieskazitelnym uśmiechem. – Zostaw tę bajkę dla wnuków – powiedział i wzdrygnął się w duchu na samą myśl, jakież to dzieci może spłodzić Włodarczyk junior, gnuśny i godny pogardy wyznawca konsumpcjonizmu toczącego Zachód jak rak, który niechybnie doprowadzi do zagłady świata niewiernych.

– A jednak obie religie szukają porozumienia – stwierdził Włodarczyk z uporem, który zawsze pojawiał się u niego po kilku kieliszkach. – Słyszałeś, że Konferencja Episkopatu Francji zaczęła prace nad dialogiem między chrześcijaństwem a islamem?

– Nonsens – warknął Al-Gazi tak nieprzyjemnie, że żona rejestrująca jego uniesienia niczym najczulszy sejsmograf szepnęła karcąco:

– Co to za ton, *habibi*...

– Nonsens? – zaperzył się Włodarczyk. – Pan doktor zdaje się nie widzi świata poza połamanymi gnatami. Wiedz zatem, arabski medyku – jak zwykle po alkoholu dziennikarz budował dziwne figury stylistyczne – że w Watykanie powołano Komisję Dogmatyczną, która wydała już pierwszy dokument *Jak chrześcijanie i muzułmanie mówią o Bogu*. To się naprawdę dzieje – dodał z entuzjazmem. – A mój obraz może stać się teraz bardzo ważny. Rozumiesz?

– W Watykanie? – Al-Gazi znów się uśmiechnął, tym razem ze szczerym cynizmem. – Niedawno twój Watykan po raz pierwszy w dziejach Kościoła przyznał ze wstydem, że liczba wyznawców

islamu przekroczyła liczbę katolików. Napisało o tym „Corriere della Sera”. Jeśli dalej będziecie wielbić kulturę singli oraz model rodziny dwa plus jeden, a przyrost naturalny w krajach muzułmańskich utrzyma się na dotychczasowym poziomie, islam zakryje waszą cywilizację turbanami. I nie będzie potrzebne ani pojednanie, ani twój obraz.

Paweł Włodarczyk stracił rezon jak bokser po zainkasowaniu celnego ciosu. Tego wieczoru już nie rozmawiali na ten temat, ale Dżabir Al-Gazi wyszedł z mieszkania na Bemowie wyraźnie zaniepokojony. Po raz kolejny odnotował determinację dziennikarza związaną z tajemnicą płótna Matejki, dlatego postanowił zawiadomić o tym Bokirę.

Tej samej nocy otrzymał zalecenie zachowania szczególnej czujności wraz z hakerską instrukcją ściągania poczty Włodarczyka, czytania wszystkich jego mejli, bezzwłocznego tłumaczenia wiadomości dotyczących obrazu i przekazywania ich do skrzynki kontaktowej. Kiedy po kilku dniach kazano mu tę instrukcję usunąć, domyślił się, że zaczął obowiązywać najwyższy stopień procedury alarmowej. Wiedział, że teraz bractwo Bokira uśpi go na dłuższy okres, może nawet na kilka lat.

Parę dni później Paweł zadzwonił z informacją, że zamierza rozpocząć poszukiwania dzieła Matejki wraz z Instytutem Pamięci Narodowej. Al-Gazi udał radość:

– Nareszcie! – zawołał do słuchawki. – Cieszę się, że cię ostatnio nie zniechęciłem. Działaj, przyjacielu! I koniecznie informuj mnie o wszystkim, bo jestem bardzo ciekaw, jak to się potoczy. Jeśli będę potrzebny, wiesz, ze znajomością świata islamu, języka czy coś, dzwoń o każdej porze. Powodzenia – dodał jakby innym tonem, ale jego rozmówca tego nie wychwycił. A potem Dżabir Al-Gazi się rozłączył, sięgnął po telefon na kartę kupioną tylko po to, aby wysłać jednego esemesa, i go wysłał.

Kilka dni później otrzymał polecenie od ludzi szejka Matara, że ma się w określonym terminie udać na Okęcie i uważnie obserwować pasażerów przedpołudniowego rejsu Lufthansy z Frankfurtu. Z chwilą gdy ujrzy bliźniaków opuszczających halę

przylotów, jego wieloletnia misja pilnowania Pawła Włodarczyka dobiegnie końca. Myślał o tym, wjeżdżając na rondo i dochodząc do wniosku, że jeśli kiedykolwiek zobaczy jeszcze polskiego dziennikarza, z którym obowiązkowo przyjaźnił się przez te wszystkie lata, będzie to miało miejsce w prosektorium.

Rozdział 21

Plan autorstwa braci Salmandżić był prosty. Godzinę po spotkaniu w ogrodzie botanicznym Mustafa sprawdził kontakty z Polską i niemal natychmiast znalazł to, czego potrzebował. Firma z Tirany wozila do Warszawy próbki albańskiego złota, czyli naturalnego asfaltu, który w Europie występował tylko tam. Polska rozpoczynająca z pięćdziesięcioletnim opóźnieniem budowę autostrad przejawiała spore zainteresowanie tym surowcem, a w firmie wydobywającej asfalt pracował jako kierowca bliski kuzyn Salmandżićów, któremu niegdyś uratowali życie w Kosowie. Nazywał się Farat i z radością odebrał telefon Mustafy.

Spotkali się następnego dnia na parkingu przed monastylem Ostrog w czarnogórskim Niksziciu. Uściskali się i ruszyli w dół wąskiej kamiennej uliczki.

– Załatwisz sobie kurs do Warszawy – powiedział Mustafa. – Jak najszybciej. Dotrzesz tam i będziesz czekał na nasz sygnał. Ktoś na miejscu do ciebie zadzwoni i da ci polski telefon, przez który będziemy się kontaktować. Tylko pamiętaj, żeby po wszystkim zniszczyć i wyrzucić kartę. Kiedy zdarzą się pomyślne okoliczności, damy ci znać, gdzie masz czekać, i poinformujemy cię, że nadjeżdża tam samochód pewnego Polaka. Opiszemy go, a ty spowodujesz wypadek. Ale tak, żeby tamten nie przeżył. To kamień na ścieżce Proroka. Musi umrzeć.

– Wyjadę natychmiast. – Farat zareagował tak gorliwie, jak bracia się spodziewali. Możliwość spłacenia długu za ocalenie życia i oddania przysługi wierze Allaha była dla niego cennym darem. – Czy masz dla mnie polecenia, co mam zrobić po kraksie? – zapytał.

– Zostaniesz na miejscu – stwierdził Mustafa. – Ucieczka w obcym kraju ci się nie uda, a poza tym będzie podejrzana. Wiesz, o czym mówię? Nikt nie ma prawa nawet przypuszczać, że spowodowałeś ten wypadek z rozmysłem. Będziesz więc czekał na polską policję, a kiedy przyjadą, udawaj człowieka otepiałego, wręcz niespełna rozumu. Mów, że zawiodły hamulce i że bardzo się zdenerwowałeś, nie mogąc zatrzymać ciężarówki. Znajdziemy adwokata, który zaświadczy, że w Kosowie przeszedłeś przez piekło i że w stresie tracisz panowanie nad sobą.

Przystanęli i Mustafa głęboko popatrzył mu w oczy.

– Mimo to możesz pójść do więzienia. Nawet na kilka lat.

– Wiem, bracie – Farat odpowiedział spojrzeniem wyrażającym wdzięczność. – To dla mnie zaszczyt.

Farat stanowił plan A – najbardziej wiarygodny. Wypadek zawsze wyglądał na zrzącenie losu. Ale... mógł się nie udać. Paweł Włodarczyk mógł w ostatniej chwili zmienić trasę. Farat mógł się zagapić i nie znaleźć się na pasie ruchu tuż za nim. Albo ktoś inny mógł mu zajechać drogę. Mógł wreszcie zawieść system łączności ekipy naprowadzającej toyotę pod koła ciężarówki. Tych „mógł” matematycznie było zbyt wiele.

Bracia Salmandżić potrzebowali planu B, czyli Bosajny Džananović – drobnej dziewczyny o zielonych oczach i kruczonych włosach, która przed dwoma dniami przyleciała z Bośni. Była młoda, ale doświadczona. Pierwszy obóz treningowy w górach Tora Bora zaliczyła w wieku szesnastu lat, zyskując respekt nawet u talibów.

Teraz przechadzała się przed wejściem do Instytutu Pamięci Narodowej przy ulicy Towarowej w Warszawie i co jakiś czas zerkała na ekran telefonu komórkowego. Można było odnieść wrażenie, że jest typową nastolatką czekającą na kogoś i z nudów przeglądającą esemesy. Rzeczywiście czekała. Zapamiętując twarz mężczyzny ze zdjęcia w telefonie, powtarzała w duchu zadanie otrzymane podczas wczorajszej odprawy: jeśli Faratowi nie uda się spowodować wypadku i ten mężczyzna dotrze do instytutu, Bosajna przypadkiem się potknie i wpadnie wprost na niego.

Wykorzysta to i za pomocą ukrytego w dłoni niewielkiego, pneumatycznego urządzenia wstrzyknie mu pewną substancję.

– Czy mogę wiedzieć, co to za preparat? – spytała, wykorzystując słabość, jaką miał do niej Semir, choć na ogół nie tolerował zbędnych pytań.

– Chlorek potasu. Wiesz, jak działa?

– Nie.

– Lekarze używają go podczas operacji na otwartym sercu – wyjaśnił z cierpliwością naukowiec, którym był przed wojną w Bośni. – Serce bije, czyli tłoczy krew. Rusza się i bardzo trudno wykonać na nim precyzyjny zabieg skalpelem. Więc wstrzykuje się pacjentowi chlorek potasu i serce staje. W tej samej chwili tłoczenie krwi przejmuje maszyna i chory nie umiera, bo korzysta z tak zwanego krążenia pozaustrojowego. Po skończonej operacji serce się ożywia, jakby podłącza na nowo, i wszystko wraca do normy.

– Ale tu nie wróci. – Przez twarz Bosajny przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

– Nie ma na to szans. Twój pacjent umrze, zanim dotrze do windy na parterze instytutu.

– Czy sekcja zwłok wykaże, że mu w tym pomogłam?

– Wykluczone. Potas i chlor występują w organizmie w postaci naturalnej. Patolog stwierdzi po prostu zatrzymanie akcji serca. U mężczyzny w tym wieku to się często zdarza. Zwłaszcza pod wpływem stresu i alkoholu, a jego wątroba powie wyraźnie podczas sekcji, że pił niemało i miał mocno zaburzoną gospodarkę lipidową.

– Skoro tak, to po co urządzamy wypadek? A co będzie, jak ten człowiek wyjdzie z niego cało? – wypaliła Bosajna i widząc lodowate spojrzenie Semira, natychmiast tego pożałowała. Bracia nie tolerowali kwestionowania ich planów.

– Kobiety zawsze zadają o kilka pytań za dużo – stwierdził. – Ale odpowiem ci. Przed budynkiem IPN-u są kamery. Jeśli ten człowiek umrze po tym, jak na niego wpadniesz, ktoś może to skojarzyć. Dlatego to plan rezerwowy, a raczej... do realizacji w ostateczności. Wypadek będzie bardziej naturalny. A jeśli

przeżyje, odwiedzi go potem w szpitalu z bukietem kwiatów i tą samą fiolką KCl, czyli chlorku potasu, o ile wcześniej nie zdecydujesz wstrzyknąć go sobie jako lekarstwa na gadatliwość.

Bosajna z pokorą opuściła głowę. Jeszcze dziś było jej wstyd, że okazała się wścibska. Potem zerknęła kolejny raz na ekran telefonu i w tej samej chwili usłyszała dochodzący z odległości kilkuset metrów łoskot zderzenia samochodów.

Rozdział 22

Stewardesa Polskich Linii Lotniczych LOT, obsługująca wieczorny piątkowy rejs do Belgradu, otworzyła dwie małe butelki czerwonego wina i z gracją wlała część ich zawartości do plastikowych kubków. Dwaj pasażerowie zajmujący sąsiednie miejsca w trzecim rzędzie embraera podziękowali niemal równoczesnym skinieniem głów. Posłała im firmowy uśmiech i pomyślała, że bliźniacy są zabawni, mają tak identyczne reakcje, jakby się wcześniej na nie umówili.

Dokładnie w tym samym czasie, sto kilometrów dalej i dziesięć kilometrów niżej, prokurator Jakub Kania delectował się smakiem czerwonego wina, gdy nagle do jego świadomości przedarł się Włodarczyk i wszystko zepsuł. Ciekawe, czy ten jego cholerny obraz w ogóle istnieje? W Kubie obudził się detektyw. Odstawił kieliszek i sięgnął po laptopa. Uważnie raz jeszcze przeczytał mejla od dziennikarza, a potem zaczął serfować.

Sieć niemal dusiła się od tekstów o twórczości malarza *Pocztu królów polskich*, ale na temat płótna poszukiwanego przez Włodarczyka milczała. Prokurator wpisał do wyszukiwarki tytuł obrazu – bez rezultatu. Na hasło „pojednanie chrześcijaństwa z islamem w malarstwie” internet zareagował tak samo.

Dałem się nabrać wariatowi – wyznał w duchu. – I jeszcze poleciałem z tym do Palucha. Jeśli mnie w poniedziałek wyśmiej, będzie miał absolutną, uzasadnioną, kompletną i nie wiem jeszcze jaką słuszność. Ten obraz nie istnieje i nigdy nie istniał. Istnieję za to ja, Kuba, patentowany kretyn.

Tuż przed ponowną wymianą laptopa na kieliszek szare komórki

prokuratora IPN-u, odpowiedzialne za jego sukcesy detektywistyczne, zasugerowały jeszcze jedno hasło: „Zaginione obrazy Jana Matejki”. O dziwo, tym razem sieć wyłowiała tylko kilkanaście opracowań. W żadnym z nich nie odnotowano dzieła, o którym bredził Włodarczyk, ale po kwadransie serfowania na ekranie pojawił się artykuł z portalu sztuka.pl, traktujący o odnalezieniu niektórych dzieł malarza.

Pod tekstem zamieszczona była galeria zagubionych płócien Matejki – ze specjalnym suwakiem. Po przesunięciu go w prawo Kuba zdębiał. Na dwunastym miejscu widniała archiwalna fotografia obrazu, który zdążył już skazać na niebyt. Okienko w internecie miało rozmiar karty kredytowej i nie pozwalało się powiększyć, ale było niezbitym dowodem istnienia zaginionego płótna. Kuba wpatrywał się w nie jak urzeczony.

Nie spojrzawszy na zegarek, wybrał numer profesora Lipskiego, wybitnego znawcy malarstwa polskiego dziewiętnastego wieku, któremu kiedyś wyświadczył przysługę, wyszukując pewien smaczny kąsek w archiwach IPN-u. Profesor, pamiętający Rydza-Śmigłego i mówiący nieco archaiczną polszczyzną, parokrotnie „ofiarował się z rewanżem”.

– A to pan! – ucieszył się profesor, ale dopiero po dobrej minucie, którą Kuba przeznaczył na wyjaśnienia, kim jest i skąd się znają. – Jestem pańskim dłużnikiem – oświadczył niemal uroczyście. – W czym mogę być pomocny?

Prokurator streścił całą historię, dodając, że dziennikarz, który usiłował go nakłonić do poszukiwań obrazu Matejki, niestety się dziś nie pojawił i nie zadzwonił, tymczasem sprawa wydaje się ciekawa.

– I to bardzo, młody człowieku – rzekł profesor. – I to bardzo. Słyszałem o tym płótnie. To istotnie nie lada zagadka. Dziś jest już dość późno, ale niech pan będzie łaskaw odwiedzić mnie jutro popołudniową porą. Moja skromna wiedza i księgozbiór są do pańskiej dyspozycji.

Rozdział 23

Duma Toskanii – brunello di montalcino – świetnie prezentowało się na stoliku państwa Lipskich, w towarzystwie koronkowej serwety i starej porcelany. Kiedy wino pooddychało przez kilkanaście minut, Kuba, zachęcony przez gospodarza, napełnił nim kryształowe kieliszki. Profesor upił łyk i z głębokim namysłem zatrzymał trunek w ustach. Znamca – pomyślał Kuba. – Mam nadzieję, że doceni ten rocznik, choć eksperci uważają, że pełnię smaku osiągnie dopiero za dwa lata. O cholera – zauważył – coś się krzywi. A może wino jest zepsute? Prokurator Kania przestraszył się nie na żarty.

Ale dylemat kubków smakowych profesora Lipskiego miał zupełnie inne podłoże.

– Cierpkie jakieś – oświadczył, po czym bezceremonialnie przysunął cukiernicę, wrzucił do kieliszka dwie kostki, zamieszał, posmakował raz jeszcze i mina mu się rozpogodziła.

Kuba zakrztusił się z wrażenia, co starszy pan uznał za potwierdzenie swojej tezy.

– Mówiłem: cierpkie. Ale na czym to skończyliśmy? Chce pan dowiedzieć się czegoś o tym obrazie, powiada pan.

– Będę zobowiązany, panie profesorze. – Kuba starał się zachować maniery, choć profanacja brunella sprawiła, że akcje Lipskiego, nestora polskiej kultury, spadały na łeb na szyję.

– Otóż trzeba panu wiedzieć, panie Jakubie drogi, że Matejko należał do nielicznych szczęśliwców, którzy zyskali sławę za życia. Malarzom nader rzadko się to zdarza, nawet dziś. Obcinają sobie uszy, żeby zwrócić na siebie uwagę – profesor zachichotał jak

gimnazjalista – przymierają głodem i za psi grosz nie mogą sprzedać płócien, które po ich śmierci warte są miliony. To powszechna klątwa unosząca się nad sztalugami. Tymczasem z Matejką było odwrotnie: każde jego machnięcie pędzlem odnotowywano na pierwszych stronach gazet. Da pan wiarę?

– Istotnie – wymamrotał Kuba, przestraszony perspektywą długiego wykładu – był dość popularny.

– Popularny. – Lipski posmakował to słowo jak przed chwilą brunello. – To raczej niestosowne określenie. Takie dla... – zastanowił się – ...celebrytów. Matejko, drogi panie, był niemal bogiem. Apologetą polskiej świetności, piewcą historii, inkubatorem patriotyzmu i ducha narodu wymazanego z mapy Europy przez zaborców. Marszandzi gotowi byli płacić za jego dzieła krocie i...

– No właśnie, panie profesorze – przerwał Kuba, rozpaczliwie szukając okazji sprowadzenia rozmowy na interesujący go temat, nawet za cenę głupiego pytania: – To ile wtedy mógł być wart ten obraz?

– Więcej niż inne – odparł z zadumą Lipski. – To wyjątkowe płótno.

– Wyjątkowe – Kuba powtórzył przymiotnik z zachęcającą intonacją gospodarza teleturnieju, naprowadzającego gracza na właściwą odpowiedź – bo...

– Bo Matejko jakby przez nie zwariował – profesor oświadczył z pełną powagą. – Trochę pogrzebałem dziś przed pańską wizytą we wspomnieniach jego najbliższych i, ręczę panu, ciekawych rzeczy się dowiedziałem. To był rok tysiąc osiemset osiemdziesiąty pierwszy. Mistrz malował akurat cykl jagielloński. Niedawno skończył *Bitwę pod Grunwaldem*, która okazała się narodowym wydarzeniem, zresztą komu ja to tłumaczę. – Uśmiechnął się przepraszająco. – Pomysł miał taki, że każdemu władcy dynastii poświęci jedno dzieło malarskie. Prasa galicyjska dużo o tym trąbiła i pewnie dlatego w pracowni przy Floriańskiej pojawił się któregoś dnia zagadkowy szlachcic. Z tego co ustaliłem, pochodził z Kresów i nazywał się Jan Głębocki, a jego przodek Mikołaj, noszący to samo nazwisko, był ojcem chrzestnym pierworodnego

syna Władysława Jagiełły, królewicza Władysława.

Kuba niemal podskoczył na krześle:

– Czy ten Głębocki przywiózł do Krakowa jakąś tajemnicę?

– To wielce prawdopodobne – rzekł Lipski po chwili namysłu. –

Ta wizyta zrobiła na mistrzu piorunujące wrażenie. Matejko, zazwyczaj niechętny sprawom towarzyskim z powodu żony, rok później odwiedzonej do zakładu dla obłąkanych, traktował Głębockiego wręcz z nabożną atencją. Zamykali drzwi na klucz, szeptali długo w noc i generalnie zachowywali się nad wyraz konfidencyjnie. Nagle, choć na sztalugach stała już *Bitwa pod Warną*, czyli dzieło dedykowane Władysławowi III, Jan Matejko postanowił, że dla tego jednego jedyne króla uczyni wyjątek i namaluje jeszcze jedno płótno mu poświęcone. I tak, drogi panie, powstał obraz, który pana do mnie sprowadza – oświadczył profesor niemal uroczyście.

– *Chrzest Warneńczyka* – szepnął Kuba bezwiednie.

– *Chrzest Warneńczyka* – powtórzył Lipski z zadumą. – Wielka zagadka polskiego malarstwa.

Rozdział 24

Do końca wizyty Kuba pozostał w dziwnym transie. To, co jeszcze wczoraj było wytworem chorej wyobraźni Włodarczyka, dziś nabierało realnych kształtów, zyskując na dodatek autoryzację profesora Lipskiego, który – chociaż słodził wino – na malarstwie naprawdę się znał.

A więc to może być prawda – pomyślał. – Skoro obraz jest autentyczny – kalkulował jak podczas dochodzeń w najpoważniejszych sprawach IPN-u – prawdziwy może być też „kod Matejki”, czyli powód, dla którego mistrz namalował to płótno. Prokurator czuł, jak przyspiesza mu puls.

Ten obraz rzeczywiście może się stać międzynarodowym hitem. Zwłaszcza dziś, w dobie al-Kaidy, Iraku i Afganistanu. Trochę zręcznego PR-u i możemy zakomunikować światu przesłanie *Chrzta Warneńczyka*: Polska już sześć wieków temu była orędownikiem pojednania chrześcijaństwa z islamem. Włodarczyk miał rację. Tylko czemu, do diabła, nie pojawił się wczoraj na spotkaniu?

Kuba postanowił, że zadzwoni do niego w poniedziałek rano, natychmiast po przyjściu do pracy. Raport dla Palucha może poczekać do końca dnia. Bo poniedziałek minuta przed północą jest nadal poniedziałkiem – wymyślił wymówkę na wypadek, gdyby dyrektor chciał rozliczać jego słowność.

Tymczasem profesor Lipski opowiadał. O tym, że Jan Głębocki przywiózł do Krakowa całą rodzinę, a Matejko umieścił na obrazie wszystkie ich twarze, co pewnie wywołało wściekłość kłótlivej i despotycznej żony malarza. To ona miała monopol na pozwanie.

Jest prawie na każdym płótnie historycznym, na którym uwiecznione zostały postacie kobiece.

– A tak po prawdzie, to Matejko nie przepadał za modelami. Był próżny – Lipski przyciszył głos i zrobił szelmowską minę, jakby zdradzał pikantną plotkę – chciał, żeby postacie historyczne wyglądały w wyobraźni kolejnych pokoleń Polaków tak, jak on je wymyślił. Żebyśmy dziś myśleli „Bolesław Chrobry” albo „Kazimierz Wielki” i żeby przed oczami pojawiały się nam portrety jego pędzla. Chciał panować nad skojarzeniami.

Kuba słuchał z lekkim roztargnieniem, ale jego detektywistyczny umysł pracował na pełnych obrotach. Co skłoniło Matejkę do nadania postaciom na obrazie rysów Głębockich? Dlaczego ta rodzina była tak ważna? Czy ci ludzie byli wtajemniczeni w przepowiednię, o której wspominał Włodarczyk? Jak ona brzmiała? I w jaki sposób została utrwalona na płótnie? Pytania dosłownie piętrzyły się w jego głowie. Wreszcie pojawiło się ich tak wiele, że przeprosił gospodarza i wyszedł do przedpokoju po notes ukryty w kieszeni kurtki.

Dlaczego ten obraz od początku był „ściśle tajny”? – notował, nie przestając słuchać Lipskiego. Dlaczego zamiast na Wawel trafił do prywatnego salonu? Rodzina zabrała go, zanim zdążyła wyschnąć farba. Skąd ten pośpiech? Parę tygodni później do majątku Głębockich został zaproszony inny znakomity malarz Leon Wyczółkowski, żeby coś dyskretnie na obrazie uzupełnić. Co?! Wreszcie Kuba napisał drukowanymi literami: „Dlaczego tak mało wiemy o *Chrzcie Warneńczyka*?” – i zadał to pytanie głośno.

– Trudno orzec. – Profesor Lipski bezradnie rozłożył ręce. – Przypuszczam, ale to tylko hipoteza, że Matejko namalował obraz na specjalne zamówienie, a warunkiem kontraktu było dotrzymanie sekretu. Historia z prorocstwem, opowiedziana przez pańskiego dziennikarza, idealnie tu konweniuje: Jan Głębocki wiedział o czymś bardzo ważnym i chciał to coś mocno uwiarygodnić. Wie pan, co mam na myśli? Płótno Matejki w tamtych czasach było jak film dokumentalny nakręcony przez ekipę BBC. Było nośnikiem prawdy, w którą nikt nie ośmieliłby się

wątpić.

– Nie kupuję tego. – Kuba z emocji przestał kontrolować swoje słownictwo. – Film poświęcony megaodkryciu i nakręcony przez BBC do szuflady? Niemożliwe. – Pokręcił głową z powątpiewaniem.

– Dziś niemożliwe – sprostował Lipski. – Dziś informacja podlega regulaminowi wyścigu szczurów: kto opublikuje ją pół sekundy szybciej, ten wygrywa *grand prix*. Ale wtedy?

– No dobrze – przekornie zgodził się Kuba. – Pan Głębocki z panem Matejką mają hitowe przesłanie dla świata i supernośnik, jakim jest obraz najważniejszego polskiego malarza. Mimo to nie nagłaśniają tego, tylko ukrywają swoją rewelację. Powód! – podniósł głos jak podczas przesłuchania. – Proszę mi podać jeden powód.

– A nie przyszło panu do głowy, że mogła to być informacja niebezpieczna? – Profesor wydawał się lekko zniesmaczony zmianą, jaka zaszła w jego rozmówcy. – Może po prostu chcieli ujawnić ją we właściwym czasie? Moim zdaniem celowo wywieziono obraz do domu Głębockich w Łaszkach, gdzie mało kto go oglądał. Tak miało być. Płótno stanowiło ważny dokument, ale na razie nie do upublicznienia. Nie wydaje się panu, że ta teoria ma sens?

Kuba w milczeniu skinął głową. Lipski nie czekając na znak jego aprobaty, wstał z fotela i zniknął w sąsiednim pokoju z księgozbiorem – przedmiotem zazdrości kilku bibliotek uniwersyteckich. Po paru minutach wrócił z naręczem pożółkłych tomów.

– Najlepsze monografie i opracowania matejkowskie – wyjaśnił, kładąc je na stoliku obok zapomnianej butelki brunello. Zebrałem je na półkach dziś rano – dodał z dumą, jakby prezentował efekty imponującego grzybobrania. – Niech pan zwróci uwagę, jak starannie zatarto ślady tego obrazu. – Otworzył pierwszą z książek: – Proszę bardzo: Stanisław Tarnowski. Wspomina o najdrobniejszych szkicach Matejki, ale o *Chrzcie Warneńczyka* ani słowa. Dalej: książka Stępniovej, ani słowa. Szypowska, ani słowa. Czerniewski, ani słowa.

Po kolei przekładał tomy na osobny stosik.

– Bardzo rzetelne opracowanie Wójcickiego o zaginionych obrazach mistrza, ani słowa. Wreszcie – profesor zatrzymał w dłoni jeden z ostatnich tomów i machał nim przed oczami prokuratora – Mieczysław Treter. Świetna monografia wydana tuż przed wojną we Lwowie i...

– ...ani słowa – dokończył Kuba.

– To prawda – zgodził się profesor. – Treter nic nie pisze o obrazie, ale... zamieszcza jego reprodukcję.

Kuba niemal poderwał się ze swojego fotela.

– Pozwoli pan? – zapytał niemal proszącym tonem.

– Naturalnie – rzekł Lipski, podając mu niewielki album w sztywnej oprawie, otwarty na stronie z *Chrztem Warneńczyka*. – Przypuszczam, że to jedyne drukowane świadectwo istnienia tego płótna.

– Ja znalazłem obraz wczoraj w internecie, ale w bardzo małym formacie – powiedział cicho Kuba, nie odrywając wzroku od reprodukcji.

– Internet – powtórzył profesor. – Pan daruje, ale nie poważam – oświadczył.

Kuba, dosłownie zatopiony w obrazie, nie usłyszał jego ostatnich słów.

Rozdział 25

Noc nie zapowiadała początku kalendarzowego lata. Temperatura w Warszawie wynosiła zaledwie siedem stopni Celsjusza. Wyszedłszy z mieszkania profesora Lipskiego Kuba postawił kołnierz marynarki, aby uchronić się przed zimnem. Minął postój taksówek przy placu Trzech Krzyży i – mimo obolałej stopy – pokuśtykał w stronę ronda de Gaulle’a. Musiał ochłonać. Ochłonać i dotlenić umysł. W oddali światło latarni rozmazywało na tle czerwcowego nieba gmach Muzeum Narodowego, w którym nie wisiał, choć powinien, *Chrzest Warneńczyka*. Odnotowując w świadomości tę refleksję, Kuba uznał, że popada w obłąd.

Szczęśliwym trafem obrazy na ścianach pobliskiego klubu nocnego nie wyszły spod pędzla Jana Matejki. Przedstawiły hiperrealistyczne wizerunki krążowników szos z lat pięćdziesiątych oraz budynki Broadwayu i odbite w ich oknach neony Manhattanu. Cadillaki i drapacze chmur drżały w rytmie muzyki techno, która z pewnością nie była relaksacyjna, za to kategorycznie wykluczała zebranie jakichkolwiek myśli. Wszystko wokół było bardziej amerykańskie niż sierżant marines pałaszujący cheeseburgera popijanego coca-colą i słuchający szlagieru Elvisa w barze w Beverly Hills. Przy drugiej szklaneczce bourbona ze sprite’em prokurator IPN-u poczuł, że wsiąka w klimat.

– Sam? – zagadnęła go imitacja Marilyn Monroe siedząca kilka miejsc dalej przy barze. Kuba, zatopiony w amerykański *entourage*, nie potrafił skojarzyć, czy pyta o jego imię, czy status towarzyski.

– Sam – odpowiedział na wszelki wypadek. Dla niej mógł być

Samem. Nawet wujem Samem.

Blondynka posłała mu obiecujący uśmiech, ale amerykański sen przerwał osobnik, który wyrósł nie wiadomo skąd i którego prokurator od razu nazwał Kokosem. Jego wygolona głowa i bicepsy miały dokładnie kształt palmowych orzechów, a cera – promująca solarium w Wołominie – ich kolor i fakturę. Kokos posłał Kubie spojrzenie George'a Busha juniora skierowane do Saddama Husajna, po czym szerokim zamachem wytatuowanego ramienia zgarnął z barowego stołka Marilyn i niemal przeniósł na parkiet. Po chwili włączyli się w rytm muzyki z takim oddaniem, że złoty łańcuch na połączeniu tułowia i czaszki Kokosa zaczął podskakiwać, choć na oko ważył znacznie więcej niż insygnia sędziów i urzędników stanu cywilnego. Kuba kwaśno uśmiechnął się do kostek lodu w bourbonie.

Podobał się kobietom, ale relacje z nimi nieuchronnie kończyły się porażką. Tak naprawdę zakochał się tylko raz – niedługo po studiach na Uniwersytecie Gdańskim. Wtedy naprawdę czuł motyle w brzuchu, o których pojękiwały zagrożone matrymonialnie koleżanki z IPN-u podczas przerw na kawę.

Miała na imię Kinga i była zgrabną szatynką o buzi aniołka oraz chabrowych oczach, w których nieustannie obracały się pierścienie maszynek do liczenia pieniędzy. Widzieli to wszyscy poza Kubą. On pisał wiersze o jeziorach tych oczu i tonął w nich, nie zważając, że zabraknie mu tchu, a raczej kasy na bezpieczne dotarcie do jakiegokolwiek brzegu.

Imię otrzymała po... ojcu. Stefan G., pseudonim King, był legendą trójmiejskiego światka handlu walutą. Zaczynał pod pewexem we Wrzeszczu, skąd wystartowało wiele błyskotliwych karier. W sierpniowe przedpołudnia 1980 roku, kiedy cała Polska wpatrywała się w bramę pobliskiej Stoczni imienia Lenina, grupa koleżków Stefana zaciągała się na alei Grunwaldzkiej dymem cameli, wypatrując piegowatych turystów z Niemiec i Skandynawii oraz miejscowych marynarzy.

Jedni i drudzy starannie unikali mielizny oficjalnego kursu wymiany marek, koron i bonów dolarowych, a chłopcy z Wrzeszcza

byli niezawodni w roli nawigatorów. Gospodarkę wolnorynkową i starania o silną pozycję złotówki mieli w małym palcu ozdobionym złotym sygnetem. Można powiedzieć, że makroekonomiczne rezultaty sierpniowego strajku i późniejszych obrad Okrągłego Stołu wyprzedzali przynajmniej o dekadę.

Wirtuozi *czendź many*, mimo ciepłej bryzy wiejącej znad zatoki, przestrzegali obowiązkowego *dress code*. Nosili krótkie skórzane kurtki z wełnianymi ściągaczami, markowe koszulki polo, wranglery, enerdowskie mokasyny i okulary Police. Ich solidarność wyglądała szpanersko, miała tupet i pachniała old spice'em. Lubili pogwizdywać na zgrabne pielęgniarce z sąsiedniej Akademii Medycznej i kibicować pięściarskim pojedynkom dziesięciolatków, walczących o wpływy na parkingu przed pewexem.

Za mycie szyb i zamykanie drzwi zdarzało się dzieciakom trafić zawrotną sumę paru dolarów dziennie, nic więc dziwnego, że starcia były emocjonujące i wymagały sporej zadziorności. King, ekspert od prognoz, namówił kilku szczeniaków na treningi w Stoczniewcu, dzięki czemu wniósł niemały wkład w historię trójmiejskiego boksu.

Jak co dzień rozmawiali o wynalazkach Stefana. O ile większość ekipy z Wrzeszcza szła na ilość, czyli wymianę dużych sum, o tyle Kinga fascynowała jakość. Miał zupełnie niebywały talent do przekrętów i gdyby na wzór innych resortów istniało Zjednoczenie Przemysłu Cinkciarskiego, Stefan G. byłby laureatem jego dorocznych nagród racjonalizatorskich. Przynajmniej raz w miesiącu wymyślał nowy numer: składanie banknotów tak, aby jeden był liczony jako dwa, podmianki, podklejanki, dolary na gumce i Bóg wie co jeszcze – o ile Bóg w ogóle zna się na sztosach.

Wszystko to sprawdzało się w sprytnych palcach Kinga i było nie do wychycenia. King był kimś. Jeździł mirafiori, jadał z Nikosiem strogonowa w hotelu Marina, obstawiał ruletkę w Grandzie i szanowało go całe Trójmiasto – od złodziei z gdańskiej Starówki po przemytników z gdyńskiego Witomina. Tu wszystko było Kinga. Córka też.

Poza imieniem odziedziczyła po ojcu gen przekrętu. Kuba poznał ją w gdańskim sądzie przy Nowych Ogrodach podczas swojej aplikacji prokuratorskiej w 1996 roku. Była tuż po maturze i odbywała praktykę w Wydziale Karnym, aby zdobyć lepszą pozycję startową na studia prawnicze – największe marzenie jej ojca. Cwany stary oszust po prostu chciał mieć własną „papugę”, bo adwokatom z kancelarii jakoś nie potrafił zaufać.

Skromna, a przy tym pełna uroku, urzekła Kubę od pierwszego wejrzenia. Zakochał się jak uczeń. Mógł bez problemu zabierać akta do prokuratury, ale wołał mozolnie przepisywać je w sądzie. Chciał spędzać jak najwięcej czasu w pobliżu ukochanej, mimo że wytrawne sądowe sekretarki, prześwietlające ludzi lepiej od aparatu Wilhelma Roentgena, przestrzegały, żeby dał sobie spokój. Po latach przyjdzie mu do głowy cyniczna myśl, że śmiało mógł wtedy kandydować na prezesa gdańskiego Związku Niewidomych. Ale to dopiero po latach.

Któregoś dnia, zupełnym przypadkiem, zauważył przez szparę w drzwiach gabinetu, jak Kinga przekłada akta na biurku sędziego Jana Osęki, który wyszedł na rozprawę. Kuba delikatnie uchylił drzwi.

– Odłóż tę teczkę z powrotem na górę – szepnął wyraźnie zdenerwowany, rozglądając się, czy nikt go nie widzi. A kiedy go posłuchała i na palcach wyszła na korytarz, wyjaśnił: – Jeszcze tego nie wiesz, ale Osęka zawsze układa akta w kolejności, w jakiej sprawy mają znaleźć się na wokandzie. Te z samej góry idą na pierwszy ogień, te z dołu odbędą się najwcześniej za miesiąc, może dwa. On to ustala, a sekretarki mają przykazane pilnować porządku i wyznaczać terminy rozpraw według ułożenia teczek. Co ci strzeliło do głowy, żeby je przekładać?

Kinga spłoniła się jak pensjonarka.

– Będziesz się śmiał – szepnęła.

– Może przyda się nam teraz odrobina śmiechu – zachęcił ją.

– Chciałam... – zawiesiła głos, spuszcżając oczy – chciałam, żeby tecki pasowały kolorystycznie. Żeby białe były na górze, a zielone pod nimi – wyznała. Kiedy się wstydziła, była jeszcze bardziej

urocza.

– Głuptasie – rozczulił się Kuba. – Mogłaś sobie narobić kłopotów. – Pogroził jej żartobliwie palcem.

– Dziękuję ci, Kuba – szepnęła, a potem nieoczekiwanie pocałowała go w policzek i czmychnęła do sekretariatu. Była taka niewinna, naturalna, cudowna. Przez chwilę stał jak oniemiały, a potem odpłynął korytarzem, niemal unosząc się nad podłogą. Nie mógł widzieć, że kiedy się odwróciła i wpadła do sekretariatu, była naprawdę wściekła. Przez tego palanta musiała szukać kolejnej sposobności dostania się do gabinetu Osęki pod nieobecność sędziego.

Rozdział 26

Dwa tygodnie później Wydziałem Karnym wstrząsnęła afera na poziomie „dziesięć w skali Oseki”, którego ataki złości mierzono – jak to nad morzem – w stopniach Beauforta. Stary sędzia irytował się często i zazwyczaj z błahego powodu, ale teraz miał pełne prawo być rozwścieczony: sekretarki źle zaplanowały termin rozprawy przeciwko sprawcom napadu na sklep z bursztynem przy Mariackiej.

Z powodu ich błędu sprawa trafiła na wokandę o kilka dni za późno. Niby nic, ale właśnie te kilka dni wystarczyło, aby kumple aresztowanych bandziorów zmiękczyli jedyne go świadka, który nagle dostał amnezji, a swoje poprzednie zeznania uznał za wymuszone przez policję. Prowodyr napadu – atletyczny blondyn ze Stogów, o twarzy patologicznego mordercy i pseudonimie Lewar – tym razem został uniewinniony. Kuba nigdy nie skojarzył tego z incydentem dobierania teczek pod względem kolorystycznym, podobnie jak nigdy nie dowiedział się, że Lewar należał do najbardziej zaufanych ludzi jego teścia.

Tak, teścia, bo z Kingą pobrali się parę miesięcy później, tuż po tym, jak oblała egzamin na prawo. Ślubny kobierzec został utkany z jej przekonania, że nigdy więcej nie powinna startować na uniwersytecie, skoro dostała najmniej punktów ze wszystkich zdających, oraz z postanowienia papy, że skoro córka nie zostanie rodzinnym *consigliere*, to trzeba zainwestować w zięcia.

King nie stał już wtedy pod pewexem. Miał własne, legalne kantory i oficjalnie prowadził działalność, za którą przez dwa dziesięciolecia ryzykował odsiadkę. Wkurzało go tylko to, że przez

wąską szczelinę kantorowego okienka nijak nie dało się wykręcić żadnego zręcznego numeru.

Poza biznesami pod szyldem *Exchange money* (nigdy by nie przypuszczał, że to się tak pisze) Stefan G. miał też udziały w przeróżnych brudach Trójmiasta oraz kilku taksówkarzy, którym sprowadził z Niemiec używane mercedesy i którzy jeździli dla niego, ryzykując połamanie palców za lewy kurs. Przy mężu córki zabronił im opowiadać o wycieczkach urządzanych pijanym Szwedom, których z promu w Nowym Porcie wozili do hotelu Heweliusz przez Gdynię i Osowę.

Ale zięć najwyraźniej nie rozumiał pokładanych w nim nadziei. Chmurniał, kiedy przy niedzielnym obiedzie – między pomidorową a dewolajem – teść niby przypadkiem roztaczał wizje, jak to fantastycznie można się ustawić w prokuraturze. Pytany, czy w jego firmie zdarzają się przekręty, zasłaniał się tajemnicą służbową. Milczał, kiedy papa Kingi pokazywał mu upierścienionym paluchem artykuł w gazecie o aresztowaniu szefa katowickiej okręgówki. „A wiesz, czemu go zdrutowali? – perorował nestor trójmiejskiego cinkciarstwa. – No, wiesz, czy nie? Bo nie myślał, frajer! Trzeba myśleć, Kuba, myśleć!”. Kuba myślał, że zwymiotuje.

Pewnego dnia zapłakana Kinga długo nie chciała powiedzieć, co się stało, wreszcie – równie długo zachęcana przez męża – wyznała, że tato ma kłopot, z którym nigdy by się nie ośmielił zwrócić do Kuby.

– O co chodzi, kochanie? – spytał najczulej, jak potrafił.

Zanosząc się szlochem, powiedziała, że najbliższy przyjaciel taty popadł w konflikt z prawem. Jest oskarżony o przestępstwo. Niesłusznie, ma się rozumieć. Tato nigdy by się w to nie mieszał, ale ten przyjaciel uratował mu kiedyś życie po wypadku samochodowym, oddając własną krew, więc...

– Więc? – przerwał jej, tym razem chłodno i rzeczowo.

Kinga wyplakała informację, że z akt sprawy mógłby zginąć pewien dokument. Nikt się nie zorientuje, bo tato dałby na jego miejsce niemal identyczny, minimalnie zmieniony.

Kuba zauważył, że mimo strumieni łez wzrok żony był skupiony i badawczy.

Odmówił. Potem, już po rozwodzie, jego detektywistyczny umysł skojarzy, że kryzys małżeństwa tak naprawdę zaczął się od tamtej rozmowy. Po miesiącu dowiedział się, że żona romansuje z pewnym celebrytą gdańskiej palestry. Mecenasa B. miał dwa imiona na wizytówce i reputację człowieka, który bez wahania sprzedałby własną matkę. Za odpowiednio wysoką cenę, rzecz jasna.

Małżeństwo nie przetrwało roku. Było zbyt krótkie i zbyt pomyłkowe, żeby je rozpamiętywać, a jednak uruchomiło w psychice Kuby jakąś emocjonalną zapadkę. Nie miał bladego pojęcia o kobietach.

Był niezwykle łatwy do kupienia, naiwny i obciążony tym syndromem uczuciowej utopii, który pozwala ludziom wierzyć, że miłość z *Listu do Koryntian* istnieje naprawdę, choć naprawdę nie istnieje. Jego linia obrony przed rozczarowaniem kolejnym związkiem była tak samo prosta jak najskuteczniejszy sposób na kaca: nie pić dnia poprzedniego.

Przekształcając na własny użytek popularne przysłowie: „Kto nie ma szczęścia w miłości...”, Kuba uznał, że odnajdzie je w pracy. Zostanie sławnym detektywem. Wszystko jedno gdzie. W prokuraturze, w policji, może kiedyś we własnym, renomowanym biurze rozwiązującym największe zagadki na świecie. To było chłopiące marzenie, a kobiety z reguły biorą udział w chłopiących fantazjach, nie w marzeniach. Nie unikał ich, ale też nie potrzebował.

Nie były tym zachwycone, zważywszy na fakt, że w młodym prawniku drzemało coś dziwnie intrygującego. Przy stu siedemdziesięciu czterech centymetrach wzrostu i wbrew zapisowi w dowodzie osobistym, że jest wysoki, Kuba nie mógł uchodzić za koszykarza. Lekko się garbił i miał tendencję do tycia, więc sprawiał wrażenie niższego, niż był w rzeczywistości.

A jednak w jego sylwetce, postawie i oszczędnych ruchach było wiele gracji połączonej z siłą i stanowczością. Podobna sprzeczność tkwiła w wizerunku. Kuba z pewnością nie był *macho*, choć

na pierwszy rzut oka idealnie spełniał latynoskie kryteria gatunku: miał kruczoczarne włosy, przystojną twarz – nieco przypominającą młodego Seana Connery’ego z pierwszych „bondów” – policzki popołudniami ciemniejące od silnego zarostu i brązowe oczy. Było w nich widać i inteligencję, i ten rodzaj nieświadomości własnej urody, który zaciekawia kobiety bardziej niż najbardziej uwodzicielskie spojrzenia.

Od czternastu lat spał beztróskim snem singla, a jednak co jakiś czas budził się zlany potem. W takich momentach, powracających kilka razy w roku, miewał dziwny sen.

Wszystkie ulice w Warszawie były puste. Mógł po nich jeździć choćby dwieście na godzinę. Nie było korków, czerwonych świateł, pieszych na pasach i innych aut. Wszystkie budynki stały puste. Mógł spać w najlepszych apartamentach Bristolu, korzystać z basenów w ekskluzywnych willach, siedzieć z nogami na biurku premiera i jadać w najlepszych restauracjach wykwintne posiłki, które nie wiadomo kto przyrządził. Wszystkie sklepy też były puste. Mógł parę razy dziennie zamieniać porsche na ferrari, a ferrari na astona martina lub maserati. Mógł pić dom perignon pod kawior z białymi, a w winotekach otwierać specjalne gabloty z butelkami petrusa. Mógł nosić luksusowe garnitury i co godzinę sprawdzać czas na najdroższych rolexach. Dlaczego zatem budził się przerażony?

Wtedy gorączkowo, na oślep, natychmiast szukał partnerki, gotów dzielić z nią życie w zakorkowanym mieście, na dwudziestu metrach wynajętej kawalerki z mrówkami faraona, w starym dewoo, garniturze z hipermarketu, bez zegarka i przy butelce egri bikavér po siedem złotych. Byle z nią.

Szukał źle. Na portalach randkowych, do których nie miał niezbędnego dystansu, lub wśród znajomych swatających go z idealnymi kandydatkami na żonę, które przy drugiej kawie okazywały się mężatkami, ale oczywiście w separacji i jeśli nawet sypiającymi z mężami w jednym łóżku, to pod dwiema osobnymi kołdrami. A może to jego, Kubę, należało znaleźć? Może był minerałem, a nie geologiem? Skarbem, a nie poszukiwaczem?

Szybko uznał taką myśl za zbyt nieskromną i wykreślił.

Tymczasem światła nocnego klubu przestały imitować sygnalizację wozu strażackiego. Techno udławiło się paroma końcowymi akordami i ustąpiło miejsca lekkiemu chilloutowi, przy którym ściany, sofy i butelki w barze przestały mieć dreszcze. Kokos stęzał na środku parkietu i wyraźnie zde gustowany tą zmianą znów zagarnął ramieniem Marilyn i zaniósł ją do łoża. Kani przypomniało to scenę z *King Konga*. Dopił bourbona, postawił szklanekę z resztką lodu na banknocie dającym przyzwoity napiwek i wyszedł.

Rozdział 27

W poniedziałek rano zadzwonił na komórkę Pawła Włodarczyka.

„Abonent jest czasowo niedostępny” – powiedziała automatyczna sekretarka, nie zdając sobie sprawy, że w tym wypadku to mało taktowne sformułowanie. Kuba uznał wyłączony telefon za efekt popularnego zespołu niedyspozycji, który nazywał dziennikarskim poniedziałkiem. Kac.

– Pewnie imprezował od piątku i dlatego się nie pojawił – powiedział sam do siebie i chętnie uznał to za coś w rodzaju wyjaśnienia, wręcz usprawiedliwienia. „Proszę zadzwonić później”, sugerowało nagranie. Postanowił, że tak właśnie zrobi.

Tymczasem zajął się rozgrzebanym dochodzeniem w sprawie zbrodni komunistycznej – jak to oficjalnie określał IPN – popełnionej 2 lutego 1965 roku w Warszawie i znanej jako „afery mięsna”. Za nieprawidłowości w obrocie tym asortymentem zatrzymano wtedy ponad czterysta osób, w tym dyrektora Miejskiego Handlu Mięsem Warszawa Praga.

Był nim Stanisław W., ojciec znanego polskiego aktora. Aresztowano go na Okęciu, gdy wracał z podróży służbowej do Bukaresztu. Zgodnie z kodeksem za udowodnioną winę groziło mu do pięciu lat pozbawienia wolności, ale warszawski Sąd Wojewódzki – niezgodnie z konstytucją – zastosował tryb doraźny i skazał W. na karę śmierci. Powieszono go na Rakowieckiej. Sprawcy „mordu sądowego”, jak określiły to współczesne media, już nie żyli, a ofiarę pośmiertnie zrehabilitowano, wypłacając rodzinie odszkodowanie. Niemniej śledztwo IPN-u było niezbędne do udokumentowania bezprawia tamtego ustroju. Instytut często

oskarżał wobec sumień, nie trybunałów.

Kuba podniósł słuchawkę telefonu i wybrał numer człowieka obecnego w lutym 1965 roku na sali sądowej. Starszy pan – wówczas pomniejszy urzędnik w Ministerstwie Przemysłu Spożywczego – teraz był już mocno schorowany i zgodził się zeznawać, ale u siebie w domu. Był bliskim sąsiadem profesora Lipskiego. Kuba, wciąż pozbawiony możliwości prowadzenia auta z powodu kontuzji stopy, poprosił sekretarkę o wezwanie taksówki.

Niebo nad Warszawą wyglądało jak odlane z ołowiu. Nie wiadomo było, czy zapowiada deszcz, czy też bardziej złowróżbne wydarzenia. Prokurator IPN-u w jednej chwili stracił humor. Anulował usprawiedliwienie niesłownego dziennikarza i znów był na niego zły. Na placu Trzech Krzyży parkowało kilkanaście policyjnych busów, które przywiozły roślących funkcjonariuszy oddziału szturmowego. Policjanci, zaprawieni w bojach na stadionie przy Łazienkowskiej, palili papierosy, opowiadali dowcipy i zupełnie zrelaksowani czekali na manifestację krewkich związkowców, od kilku dni wywołujących awantury pod Sejmem.

Nosili specjalne ochraniacze na golenie i kamizelki przypominające czarne pancerze. Niektórzy trzymali w rękach hełmy, kilku trenowało fechtunek długimi pałkami. Kuba przyjrzał się im przez chwilę, dochodząc do dwóch refleksji naraz: że nagolenniki, puklerze i przyłbice policjantów w zasadzie niewiele się różnią od zbroi rycerzy Warneńczyka oraz że chętnie przyłabłyby taką pałką Pawłowi Włodarczykowi.

Gdy Kuba wrócił do biura, telefon komórkowy tropiciela obrazu Matejki nadal był wyłączony. Prokurator zirytował się na dobre i chciał nawet z nerwów w coś kopnąć, ale szwy na pięcie przypomniały, że powinien powściągnąć emocje. Jak uczono go kiedyś na zajęciach jogi, rozluźnił mięśnie i rozlał się w fotelu jak zegar na obrazie Salvadora Dalego. Wciągnął przez nos maksymalną ilość powietrza, a potem powoli wypuszczał je ustami, wyobrażając sobie – zgodnie z zaleceniami buddyjskich mnichów – że na wargach spoczywa odrobina puchu, której nie wolno zdmuchnąć podczas wydechu. Uspokoił się i zadzwonił na telefon

stacjonarny redakcji.

Irytacja o mały włos nie wróciła, kiedy wysłuchiwał litanii numerów, które należało wybrać tonowo, aby zgłosić ciekawy temat, odebrać nagrodę w konkursie dla czytelników albo nadać ogłoszenie drobne. Wreszcie odezwała się recepcjonistka, recytując sakramentalną formułkę zakończoną sakramentalnym: „W czym mogę pomóc?”.

– Może pani pomóc we wskrzeszeniu Pawła Włodarczyka – irytacja Kuby ustąpiła miejsca ironii. – Zapadł się pod ziemię – dodał, zmieniając ton na łagodniejszy. – Umówił się ze mną w piątek w IPN-ie. Nie pojawił się. Nie oddzwonił. Ma wyłączoną komórkę i nie daje znaku życia.

– Mhm... – powiedziała kobieta po drugiej stronie słuchawki i zamilkła.

Co za idiotka – pomyślał Kuba. – I to ma być cała odpowiedź? Kogo oni tam zatrudniają? Chrząknął.

– Jest pani tam?

– Tak. Recepcjonistka nadal sprawiała wrażenie sparaliżowanej.
– Przepraszam – dodała jakby nieswoim głosem. – Przepraszam, ale pan Włodarczyk nie żyje.

Rozdział 28

Pierwsze takty marsza żałobnego z *Sonaty b-moll* Chopina sprawiły, że na Powązkach nagle umilkły ptaki. Jeszcze przed momentem darły się wniebogłosy, uzgadniając plany na lato, które nareszcie zagościło w Warszawie. Teraz siedziały w zielonych przestrzeniach drzew, ciche i strapione tym, co się działo poniżej.

W świadomości Kuby mimo upływu trzech dni wciąż brzmiały słowa redakcyjnej recepcjonistki: „Przepraszam, ale pan Włodarczyk nie żyje”.

Miał wrażenie, że wszystko wokół powtarza to samo. Że za śmierć człowieka, z którym miał się spotkać w piątek, przepraszają czarne krawaty kolegów z wydawnictwa, tuby i waltornie orkiestry, margerytki na sąsiednich grobach i mury cmentarnego kościoła św. Karola Boromeusza. Jakby wszystko wokół chciało po swojemu wyrazić żal z powodu tego fatalnego zrzędzenia losu. Wbrew powadze chwili Kuba pokręcił głową z niedowierzaniem, które nie opuszczało go od trzech dni.

Tamtą rozmowę z recepcjonistką zakończył jakimś wyświechtanym „bardzo mi przykro” i rozłączył się, zamiast zapytać, co się stało. Odpowiedź znalazł kilka sekund później w poniedziałkowym wydaniu „Wyborczej”, leżącym na jego biurku w zasięgu ręki. Na drugiej stronie widniało kilka nekrologowych ramek z kondolencjami, a wewnątrz wydania wydrukowano wspomnienie o Pawle Włodarczyku oraz lakoniczną informację poświęconą wypadkowi, do którego doszło w miniony piątek na ulicy Towarowej. Spowodował go kierowca ciężarówki. Kuba uświadomił sobie w tym momencie, że Paweł Włodarczyk zginął

nie tylko w bliskiej odległości czasowej od ich umówionego spotkania, ale w ogóle blisko, bo zaledwie kilkaset metrów od instytutu. Było w tym coś przerażającego.

Nie zdążył pomyśleć, że wszystko to było bardzo podejrzanе, bo nagle dotarło do niego, że właściwie nie wie, dlaczego przyszedł na ten pogrzeb. Kiedy odprowadzał wzrokiem trumnę znikającą w rodzinnej krypcie, spojrzął na nagrobne medaliony. Wtedy ze wstydem uświadomił sobie, że nawet nie wie, jak wyglądał Paweł Włodarczyk.

Był niski? Wysoki? Szczupły? Otyły? Brunet? Blondyn? Jakiego koloru miał oczy? „Gazeta” wydrukowała wspomnienie bez zdjęcia, więc Kuba mógł zmówić modlitwę, odnosząc ją jedynie do zapamiętanego głosu w słuchawce telefonu. Przez chwilę poczuł się intruzem, który nie ma moralnego prawa tu być.

Po zakończonej ceremonii, podobnie jak inni, podszedł do żony zmarłego.

– Proszę przyjąć szczerе wyrazy współczucia – powiedział, zastanawiając się, czy wypada jemu pierwszemu wyciągnąć rękę.

Skinęła głową. Była przygnębiona, ale Kuba zauważył, że przyczyną tego stanu jest raczej zmęczenie niż rozpacz. Milczała. Kiedy zrobił krok, żeby odejść, zapytała:

– Pan z redakcji?

– Nie – odrzekł. – Jestem prokuratorem. W dniu, w którym wydarzył się wypadek, mieliśmy się spotkać – dodał, jakby chciał usprawiedliwić swoją obecność na cmentarzu.

– Czy on... czy Paweł – poprawiła się – zrobił coś złego?

Kuba uspokoił ją pokojowym gestem otwartej dłoni.

– Nie. Proszę się nie martwić. Pracuję w Instytucie Pamięci Narodowej. Pan Paweł chciał mi przekazać coś ważnego o zaginionym obrazie Jana Matejki, którym się bardzo interesowałem. Wspomniał, że ma dokumenty tej sprawy.

Pokiwała głową w milczeniu. Przez chwilę zbierała myśli, jakby rozważając, czy w ogóle to powiedzieć:

– Nic o tym nie wiem, ale proszę do nas przyjść i przejrzeć papiery męża. Niech pan zaczeka chwilę. Jak tylko to wszystko się

skończy, podam panu adres. – Zdziwienie Kuby musiało być bardzo widoczne, bo dodała: – Mój dziadek został zamordowany przez UB. Za to, że dostał Virtuti w Powstaniu Warszawskim. – Splunęła z pogardą, nie zważając na powagę miejsca i sytuacji. – Prokurator IPN-u zawsze może liczyć na moją pomoc i szklankę herbaty.

Kuba podziękował i odszedł na bok. Właśnie pomyślał, że sprawa obrazu i pojednania z islamem nadal jest otwarta, gdy stanął obok niego śniady mężczyzna o klasycznych arabskich rysach. Miał doskonale skrojony garnitur i nienaganne maniery.

– Dzień dobry. – Ukłonił się z bliskowschodnią galanterią.

– Dzień dobry – odrzekł Kuba i też chciał złożyć ukłon, ale uznał, że nie ma w tym wprawy i jego ruch głowy mógłby wyglądać nienaturalnie. Tamten gotów pomyśleć, że go przedrzeźnia.

– Czy pan, jeśli wolno spytać, jest, to znaczy, był przyjacielem Pawła?

Kuba miał zaprzeczenie na końcu języka, ale znów zrobiło mu się wstyd.

– Nie zdążyliśmy się zaprzyjaźnić – powiedział wymijająco. Jestem tu, żeby... – zawahał się przez sekundę – żeby go pożegnać.

– To wielkoduszne – uznał śniady mężczyzna. – Miło mi. Al-Gazi. Doktor Al-Gazi – przedstawił się i dodał: – Jestem ortopedą. Przyjaźniliśmy się od wielu lat.

– Proszę przyjąć moje kondolencje – odpowiedział zmieszany Kuba. – Od kilku dni myślę o tej śmierci i choć jest taka oczywista, nie daje mi spokoju – dodał. – Nie potrafię jej zrozumieć.

Al-Gazi spojrział mu prosto w oczy:

– *Inszallah* – rzekł. – Taka była wola Boga.

Rozdział 29

Domofon Włodarczyków rzeził, jakby cierpiał na anginę urządzeń komunikacyjnych. Kuba usłyszał brzęczek sygnalizujący otwarcie drzwi, pchnął je i znalazł się w obskurnym holu wieżowca. Zacieki na brudnych ścianach konkurowały z żenującymi próbami graffiti oraz pewnym zestawem liter określających opinię lokatorów o policji. Skrzynki na listy miały powyginane klapki, jakby mieszkańcy pogubili do nich kluczyki i odbierali pocztę, otwierając skrytki za pomocą tępych narzędzi.

Na niskim parapecie, obok doniczki z dawno zmarłą rośliną, tkwił w pozycji sfinksa pokancerowany pittbull, który na widok Kani przeniósł pytający wzrok na swojego pana – dresiarza z imponującymi bicepsami opasanymi drutem kolczastym tatuażu. Pies najwyraźniej czekał na sygnał do ataku, ale jego właściciel chwilowo nie widział powodu rozszarpywania frajera w garniturze, który wkroczył na jego terytorium.

Winda – przewożąca resztki laminatu na ścianach kabiny, torturowane zapalniczkami guziki z numerami pięter oraz kwaśny odór użytkowników – podrygiwała na linach, jadąc na ostatnią kondygnację. Rezerwat wielkiej płyty, pomyślał Kuba. Żywo zainteresowany socjologią osiedli jako niezawodnej wylęgarni przestępczości, czytał kiedyś o niezwykle ciekawym eksperymencie francuskich urbanistów. Otóż na opuszczonym boisku piłkarskim zbudowali oni trzy identyczne domki: z drewna, z cegły i z wielkiej płyty. Otynkowano je i pomalowano tą samą farbą. Były nie do odróżnienia.

Rano na boisko wpuszczono stado świń. Zwierzęta – znane

z nieprzeciętnej inteligencji – przez cały dzień szwendały się i wylegiwały na murawie. Gdy nadszedł wieczór, bez zastanowienia wszystkie poszły spać do drewnianego domku, choć nie miały prawa wiedzieć, z jakiego materiału został wykonany. Nazajutrz, gdy świnie wyszły na śniadanie, domek z desek rozebrano. Jego lokatorki nie okazały najmniejszych emocji, dzień spędziły tak samo jak poprzedni, a po zachodzie zgodnie udały się na spoczynek do domku z cegły. A gdy i ten rozebrano, trzeciego wieczoru świnie spały na dworze. Żadna z nich nie zaryzykowała noclegu w domku z wielkiej płyty. Żadna nawet nie spojrzała w jego kierunku.

Przez moment Kuba wyobraził sobie tysiące tubylców z Bemowa koczujących na osiedlowych trawnikach, ale silne szarpnięcie windy przerwało te rozważania. Dotarł na miejsce. Drzwi do mieszkania Włodarczyków były uchylone. Zapukał, ale odpowiedziała mu cisza. Lekko zaniepokojony, wszedł do przedpokoju, w którym po chwili pojawił się zblazowany młodzieniec w dżinsach z krokiem między kolanami oraz gigantycznym T-shircie z łodygą marihuany i hasłem wyborczym byłego szefa Solidarności: „Krzak – tak”.

– Dzień dobry – przywitał się Kuba, zastanawiając się, czy to syn Włodarczyka, bo nie pamiętał go z pogrzebu.

Młody człowiek nie uznał za stosowne odwzajemnić powitania. Popatrzył na niego przezroczyście wzrokiem i zniknął w pokoju, trzaskając drzwiami. Być może ten dźwięk miał umowne znaczenie komunikacyjne, bo z kuchni wypadła wdowa w bluzce pokrytej czerwonymi plamami, jakby przed chwilą brała udział w strzelaninie.

– A, to pan – skwitowała i oceniając kątem oka swój wygląd w pękniętym lustrze w przedpokoju, wyjaśniła: – Wiśnie robię. Do słoików. Dostałam dzień wolny należny za śmierć męża.

– Rozumiem. – Kuba sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– Proszę tutaj – powiedziała, otwierając drzwi drugiego pokoju. – Ten regał i biurko należały do niego. – Wskazała mocno sfatygowane meble pod oknem. – Niech pan szuka, czego pan chce.

– Machnęła ręką. – Będę w kuchni, jakby co.

Kuba został sam i rozejrzał się dookoła. Pokój zdolny wywołać klaustrofobię był ni to sypialnią, ni gabinetem. Królowała w nim wersalka obita tkaniną, która czasy świetności dawno miała za sobą. Obok tkwiły rachityczna półka wyraźnie protestująca przeciwko nadmiernemu obciążeniu książkami i papierami oraz biurko z przykręconą tabliczką znamionową – najwyraźniej odkupione z jakiejś plajtującej redakcji.

Na ścianie wisiała reprodukcja Słoneczników Van Gogha – tak wyblakła, że na widok jej kolorów malarz z całą pewnością obciąłby sobie drugie ucho. To było całe wyposażenie pokoju, nie licząc kilku świstków przypiętych pinezkami do tablicy korkowej nad biurkiem.

Prokurator Kania podszedł do regału i zaczął pieczołowicie przeglądać zgromadzone na nim tekturowe teczki. Gdyby mebel miał świadomość, doznałby uczucia deja vu: kilka dni wcześniej dokładnie tak samo zabrał się do rzeczy Semir Salmandżić. A ponieważ jego poszukiwania przyniosły oczekiwany efekt, Kuba nie znalazł niczego.

Po półgodzinie był tego absolutnie pewien. Spojrzał na swoje zakurzone dłonie i właśnie zamierzał wyjść z pokoju, gdy jego wzrok powrócił do tablicy nad biurkiem. Wisiała na niej jakaś ulotka, kartka z przypomnieniem o wizycie u dentysty i parę wygiętych fotografii przedstawiających Pawła Włodarczyka na lotnisku w tureckiej Antalyi oraz na Mazurach – z wędką w jednej i sporym karpem w drugiej ręce. Między nimi tkwił czarno-biały portret dziwnej twarzy, którą Kuba z pewnością już gdzieś widział.

Podszedł bliżej i próbował cokolwiek odczytać z fatalnej kopii bardzo starej fotografii, rozmazanej w zbyt dużym powiększeniu. Skąd ja znam tę twarz? – zastanawiał się gorączkowo. – Kto to może być?

Zerkając w stronę drzwi, delikatnie odzepił zdjęcie z tablicy i podszedł z nim do okna.

– Buzia dziecka – szepnął ze zdumieniem, a potem zawahał się przez moment i ukrył odbitkę w wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Znalazł pan coś? – usłyszał nagle za plecami głos Barbary Włodarczyk i skamieniał. Pyta kurtuazyjnie, czy zauważyła, że zabieram fotografię? Poczul nagle łomotanie serca, ale zaraz się uspokoił. Odwrócił się z niewinną, wręcz zakłopotaną miną.

– Niestety nie. – Rozłożył ręce. – Zagadkowa sprawa.

Kuba nagle poczuł się w obowiązku dodania czegoś więcej:

– Pani mąż zadzwonił do mnie jakiś czas temu z sugestią, aby instytut podjął poszukiwania *Chrzta Warneńczyka*, tego zaginionego obrazu Jana Matejki – wyjaśnił – o którym pozwoliłem sobie wspomnieć wczoraj na cmentarzu. Pan Paweł utrzymywał, że płótno zawiera istotne przesłanie, które może wpłynąć na współczesną percepcję islamu i wzmocnić dążenia ekumeniczne – brnął w coraz mniej precyzyjne określenia, widząc wyraźnie narastający sceptycyzm Barbary Włodarczyk i nie wiedząc, jak to wszystko ująć.

– Chciał naprawiać świat? – przerwała mu z wyczuwalną nutą kpiny.

– Nie nazwałbym tego w ten sposób – stanął w obronie zmarłego.

– Myślę, że był dobrym dziennikarzem, a tacy sprawdzają nawet najbardziej fantastyczne informacje. Twierdził, że dotarł do interesujących faktów. Zapewniał też, że zgromadził przekonującą dokumentację swoich poszukiwań. Nie wspomniał nigdy o tym?

– Nie – ucięła wdowa i w jednej chwili spochmurniała: – Byliśmy małżeństwem, ale – starannie poszukała odpowiednich słów – ale dawno temu przestaliśmy się sobie zwierzać.

– Rozumiem, że nigdy nie widziała pani tych dokumentów – uściślił Kuba z prokuratorowskiego przyzwyczajenia. Zanim zdążyła zareagować, nagle się ożywił: – Ale skoro nie ma ich u państwa w mieszkaniu, to może pan Paweł przechowywał je w redakcji. Muszę tam pojechać. – Niecierpliwie spojrzął na zegarek.

– Nie ma po co – odparła wdowa i wskazała niewielki karton stojący na podłodze w przedpokoju. – Przysłali to dziś rano. To wszystko, co tam miał. – Schyliła się i wydobyła z pudełka słoik z resztką mielonej kawy oraz szklanekę w metalowym koszyczku.

Kubie zrobiło się nieswojo. Stał, nie wiedząc, co ze sobą zrobić, kiedy otwarły się drzwi od pokoju młodego człowieka w koszulce z marihuaną, ale zamiast niego w progu stanął biszkoptowy labrador.

– To jest Daglas – powiedziała Barbara Włodarczyk, jakby chciała dokonać prezentacji. – Pies syna – wyjaśniła, podkreślając kolejną granicę rodzinnej autonomii.

Daglas reprezentujący najłagodniejszą i najbardziej sympatyczną rasę świata, zjeżył sierść na karku i obnażył zęby z głuchym warkotem. Boże – pomyślał Kuba. – Co za dom: żona nie ma pojęcia o sprawach męża, syn nie przychodzi na pogrzeb ojca, a labrador okazuje się bestią. Wielka płyta.

Rozdział 30

Wiesław Paluch z głęboką zadumą studiował własne paznokcie. Były wielkie, zdeformowane i z pewnością nie przysparzały mu wytworności. Niedobrze. Szef działu śledczego IPN-u lubił myśleć o sobie jako o ideale męskiego szyku, tymczasem natura wyrzuciła mu psikusa w postaci koślawych chłopskich dłoni, o sękatych palcach zakończonych koszmarnym snem manikiurzystki. W takich chwilach jak ta, kiedy sekretarka miała przykazane, aby nie łączyć żadnych rozmów spoza listy tych, które należy łączyć zawsze, Paluch rozsiadał się w służbowym fotelu, z szuflady antycznego biurka wyciągał kolorowe magazyny i wertował je z wypiekami na twarzy. Dziewięciu na dziesięciu przygodnych obserwatorów tej sceny dałoby głowę, że dyrektor emocjonuje się czasopismami erotycznymi, a wtedy kat miałby co robić. Wiesław Paluch pochłaniał bowiem bogato ilustrowaną wiedzę na temat stylu bycia, ubrań, fryzur, kosmetyków i gadżetów współczesnego menedżera z klasą. Miał olbrzymie aspiracje. Możliwości – jakby mniejsze.

Pochodził ze starej burżuazji, niestety jego mieszczańska rodzina krzepła od pokoleń nie pod Wawelem ani w sąsiedztwie Zamku Królewskiego w Warszawie, tylko niedaleko kościoła parafialnego w Pionkach. Miasteczko w pobliżu Radomia było niegdyś znane z wytwórni płyt gramofonowych, ale eksplozja technologii CD odesłała je do historii wraz z muzycznymi analogami. „Pionek z Pionek”, szeptało za plecami dyrektora na korytarzach, nawiązując do szachowych zamiłowań Palucha oraz jego partyjnej nominacji, której ceną było posłuszne uczestnictwo w politycznej

grze.

Pionki pozbawiły go również tych najbardziej subtelnych kubków smakowych, które tak naprawdę decydują o elegancji. Paluch żarliwie studiował żurnale, niemniej ciągle nosił cytrynowe krawaty do czarnych koszul z krótkim rękawem, buty z zadartymi noskami i spinki wielkości brukselek. Na dodatek wylewał na siebie takie ilości czerwonego joopa, że zapach natrętnej wody kolońskiej wyprzedzał jego pojawienie się w biurze o dobre dziesięć sekund. Ale najwięcej wesołości dostarczał swoim ludziom w piątek, który – za podpowiedzią kolorowej prasy – ogłosił „dniem bez garnituru”. Przychodził wtedy do biura ubrany jak bułgarski sprzedawca dywanów i nie mógł się nadziwić, dlaczego ci wszyscy warszawscy modnisie, których styl uważał za ewidentnie gejowski, noszą lekkie mokasyny na gołe stopy. Paluch też takie kupił, ale niezmiennie nosił do nich skarpety frotte.

Z uporem równym studiom nad stylem dyrektor prowadził tresurę własnej osobowości. W dyskretnym kalendarzu, w pierwszym dniu nowego kwartału, zapisywał postanowienia, które na wszelki wypadek szyfrował w sobie tylko znany sposób, aby nie trafiły w niepowołane ręce. Sekretarki na pewno myszkowały w biurku podczas jego nieobecności.

Czerwiec wieńczący drugą ćwiartkę roku akurat dobiegał końca, zatem Paluch odłożył numer eleganckiego magazynu dla mężczyzn, wyniesiony kiedyś z poczekalni u dentysty, i wydobyl z szuflady swój sekretny notes. Nadszedł czas kontroli zadań z pierwszego marca: miał zrzucić minimum dwa kilogramy. Zrzucił trzy. Brawo. Jako nagrodę wyznaczył sobie całą tabliczkę czekolady z orzechami, którą zje w aucie, w drodze do domu, żeby nie dzielić się z wszystkożerną gromadą dzieci. Liczne potomstwo poprawiało jego wizerunek w partii, ale niekoniecznie musiało być demoralizowane słodyczami.

Pozostałe postanowienia również udało się zrealizować. Na koniec zostało najważniejsze, podkreślone podwójną linią: „Nie wpadać w gniew”. Paluch zastanowił się głęboko, czy udało mu się to w minionym kwartale, ale rachunek sumienia przerwał dość

natrętny komunikat organizmu, który przypominał, że od rana wypił zbyt wiele kawy i wody mineralnej.

W drzwiach toalety niemal zderzył się z Kubą.

– O, witam kolegę – powiedział jak zwykle nienaturalnie i zbyt głośno. Nawet z pełnym pęcherzem dyrektor potrafił być nieznośnie protekcyjny. – Ma pan chwilę?

– Ja tak – odparł spokojnie Kuba. – Ale pan właśnie wchodzi... Może zaczekam na korytarzu albo zajrzę do pana gabinetu za jakiś czas?

– Nie ma takiej potrzeby. – Paluch machnął ręką – To potrwa dosłownie momencik. Czytałem pański raport w sprawie tego obrazu i rozumiem, że kończymy temat. Pański świadek już się nam raczej nie przyda.

Kubę oburzyło to sformułowanie, ale zachował kamienną twarz.

– Święte słowa, panie dyrektorze. Martwi ludzie są kompletnie bezużyteczni – starał się naśladować wyniosły ton Palucha, ale chyba mu się nie udało, bo tamten nie rozpoznał ironii.

– No, to po sprawie. – Klepnął podwładnego w ramię, co wywołało u Kuby kolejny przypływ odrazy. Postanowił za wszelką cenę popsuć dobry nastrój dyrektora.

– A jednak pozwoliłem sobie podjąć poszukiwania dokumentacji Pawła Włodarczyka. Byłem u niego w mieszkaniu i... – Zamilkł, widząc, jak Paluch oblewa się rumieńcem gniewu.

– Był pan w jego mieszkaniu?! Jak? Gdzie?

– Na Bemowie. – Prokurator Kania z pełną premedytacją udawał głupiego, a rosnąca irytacja Palucha sprawiała mu szczerą radość.

– Kto panu pozwolił?!

– Pani Włodarczykowa. – Kuba uniósł brwi i rozłożył ręce w rozbrajającym geście naiwności.

– Pani Włodarczykowa – wysyczał Paluch. – To pani Włodarczykowa jest teraz pańską szefową!? – podniósł głos, aż kilka osób przechodzących korytarzem odwróciło się z zaciekawieniem.

– Chciałem powiedzieć, że ona sama mnie zaprosiła. Skorzystałem i za jej zgodą rozejrzałem się za dokumentacją

poszukiwań *Chrzta Warneńczyka*. – Kuba starał się relacjonować sucho i rzeczowo, wiedząc, że w ten sposób rozsierdza dyrektora jeszcze bardziej. – Wszedłem więc do pokoju denata i dokonałem oględzin regału...

Paluch był już purpurowy. Prokurator doskonale manipulujący stanem emocjonalnym szefa wiedział, że od wybuchu dziękuję go sekundy. Opowiadał dalej, jednocześnie odliczając w duchu: cztery, trzy, dwa, jeden...

– Dość! – wrzasnął Paluch. – Nie chcę więcej o tym słyszeć. Ani słowa! Rozumie pan?!

– Ależ naturalnie, panie dyrektorze.

Kuba wykonał pretensjonalny ukłon, podpatrzony na cmentarzu u Al-Gaziego. Wyszło naprawdę kpiąco, ale dyrektor już tego nie widział. Z impetem pchnął drzwi i zniknął w toalecie.

Rozdział 31

Kolejne dni lata zamieniły Warszawę w ogród botaniczny. Ożywiły kolory miasta i rozpogodziły ludzi, którzy – tak jak rośliny – potrzebują ciepła i światła. Jadąc tramwajem do domu, Kuba przez szybę liczył warszawiaków, którzy się uśmiechają. Było ich nadspodziewanie wielu. Z reguły rozmawiali na chodnikach, przystankach i w kawiarnianych ogródkach. Przebłysk lata działał zbawiennie na zbiorową osobowość narodu, który – choć jest przekonany, że Pan Bóg jest Polakiem – nie został nagrodzony przez Stwórcę zbyt przyjaznym klimatem. Od kilku lat polska wiosna była zimna jak jesień, lato deszczowe jak jesień, a zima szara jak jesień. I tylko jesień pozostawała sobą, co wcale nie znaczyło, że była złota, urocza i pachnąca wrzosowiskami.

Kuba sforsował górny zamek u drzwi swego mieszkania na Żoliborzu. Wysłużona gerda od tygodnia zacięła się z coraz większym uporem, grożąc, że wkrótce nie wpuści go do środka. Był zły na siebie, że dotychczas nawet nie sprawdził w internecie ofert ślusarzy. Kiedyś reagował na podobne sygnały natychmiast, ze stuprocentową skutecznością.

A teraz? Co się z nim działo? Czterdziestka na karku sprawiała, że stawał się rozlazły? A może tajemniczy obraz Matejki rzucił na niego swoją klątwę? To prawda, że myślał o nim nieustannie, ale dziś wieczorem zamierzał postanowić, co dalej: zamknąć temat, tak jak rozkazał Paluch, czy kontynuować prywatne dochodzenie, choćby na złość dyrektorowi.

Na kolację ugotował sobie kilka frankfurterek. Zawahał się, czy dołożyć do nich kromkę chleba, ale rozsądnie zastąpił ją

pomidorem. Musiał uważać na wagę, tył nawet od patrzenia na witrynę cukierni. Po namyśle i przeliczeniu kalorii zdecydował się na kawałek francuskiego sera, którego nazwa w wolnym tłumaczeniu brzmiała: „nogi listonosza w sierpniu”, ale smakował wyśmienicie.

Odpowiednio zaopatrzony Kuba rozsiadł się na sofie i utkwiał wzrok w reprodukcji *Chrzta Warneńczyka* otrzymanej od profesora Lipskiego.

Z detektywistyczną skrupulatnością kilkakrotnie obejrzał scenę uwiecznioną przez Matejkę, a potem przestudiował każdy jej centymetr kwadratowy na tyle dokładnie, na ile pozwalała czarno-biała odbitka, której daleko było do ostrości. Nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Obraz przedstawiał dość nudną, statyczną sytuację rozgrywającą się przed wejściem do katedry wawelskiej. Z lewej strony, na szczycie schodów stoi biskup w odświętnych szatach i mitrze na głowie, wznoszący ręce w geście powitania królewskiego syna, niesionego w becie z gronostajowego futra przez mężczyznę w długim płaszczu. Gołą głowę ojca chrzestnego ozdobi tonsura, a zatem to duchowny. Jak nietrudno się domyślić: archidiakon poznański Mikołaj Głębocki, którego rodzina za czterysta sześćdziesiąt lat zahipnotyzuje Matejkę swoją legendą i doprowadzi do namalowania obrazu.

Tuż za biskupem Mikołajem tkwi barczysty wąsaty rycerz, trzymający oburącz obnażony miecz i przewodzący orszakowi królewskiemu. W jego skład wchodzi para panująca: Władysław Jagiełło i jego czwarta żona Zofia oraz liczni dworzanie. U stopni katedry kłębi się tłum gapiów: niewiast, mieszczan i żołnierzy. Tło sceny stanowi mur świątyni, oddany z dbałością o każdy architektoniczny detal, oraz proporzec z białym orłem niesiony nad królewiczem. To wszystko. Żadnych symboli, alegorii czy postaci z trzema rękami – jak u Leonarda. Żadnej mistyki. Trywialnie rzecz ujmując, obraz przedstawia kadr z chrzcin, z tym że uwieczniony pędzlem, a nie cyfrówką wbudowaną w komórkę.

Kuba oparł kark na splecionych dłoniach i uśmiechnął się

na wspomnienie dawnego, dzieciennego poczucia bezradności.

Ile mógł mieć wtedy lat? Dwanaście? Najwyżej trzynaście. Matka, jego przewodniczka duchowa, od zawsze prenumerowała „Przekrój”, który swego czasu był towarem mocno deficytowym. Na pożółkłych stronach starych roczników pisma, oprawionych przez znajomego introligatora, mieniło się znakomite dziennikarstwo, błyszcząca inteligencja i wysmakowana rozrywka. Kuba odkrycie bogactw „Przekroju” miał dopiero przed sobą, ale już wtedy uwielbiał wieczory, kiedy siadali wspólnie nad zaczytanymi egzemplarzami tygodnika z lat sześćdziesiątych, smakując wiersze Kerna, minikomiksy z profesorem Filutkiem i zabawne powiedzonka z ostatniej strony. A potem mama robiła poważną minę i otwierała tę stronę pisma, na której zamieszczano zabawę „Wytęż wzrok”.

Były to dwa rysunki przedstawiające tę samą scenkę. Na pierwszy rzut oka identyczne. A jednak ramka nad obrazkami twierdziła, że różnią się dziesięcioma szczegółami, które trzeba odnaleźć.

Kuba z reguły wpatrywał się w nie aż do bólu gałek ocznych, a potem głośno protestował, że tym razem tu nic nie ma, że zaszła pomyłka albo obrazki źle wydrukowano.

– Dobrze – zgadzała się mama. – To teraz zamknij oczy, policz powoli od dziesięciu do jednego i spróbuj spojrzeć na rysunki jeszcze raz, ale tak, jakbyś ich nigdy wcześniej nie widział.

O dziwo, czarodziejski rytuał zawsze skutkował. Otwierał oczy i nagle dostrzegał drobne różnice, szczegóły i niuanse ukryte przez rysownika, jakby były zaznaczone kolorowym markerem. Bezradność ustępowała miejsca euforii.

Wspomnienie tamtych chwil z matką ścisnęło go za gardło, ale pokornie – jakby dla niej – zamknął oczy i odprawił ten sam rytuał liczenia i patrzenia na reprodukcję *Chrzta Warneńczyka* od nowa. Zaklęcie zadziało. Już po sekundzie Kuba dostrzegł wyraźny zabieg kompozycyjny, na który wcześniej nie zwrócił uwagi.

Niemal wszystkie postacie zostały ustawione przez Matejkę bokiem do widza. Duchowni na schodach katedry widoczni byli

z prawego profilu, a członkowie orszaku z lewego. I tylko dwie osoby zwrócone były en face: król Jagiełło i jego nowo narodzony syn. Niemowlę w becie.

Kuba nagle drgnął, poderwał się z sofy, pobiegł do przedpokoju i dosłownie wyszarpał z kieszeni marynarki fotokopię zabraną z mieszkania Pawła Włodarczyka. Nie było najmniejszych wątpliwości. Odbitka przedstawiała twarz dziecka z obrazu Matejki. Dziennikarz na krótko przed śmiercią, co sugerowała świeżość wydruku, zapewne przysporzył sporo trudu kolegom ze składu komputerowego gazety, którzy skadrowali i powiększyli twarz królewicza do granic możliwości technicznych. Pozostawało tylko pytanie: w jakim celu to zrobił? Co takiego krył ten osobliwy portret otulony gronostajowym betem?

Niezawodna intuicja Kuby mówiła wyraźnie: twarz przyszłego Warneńczyka to niezwykle ważny, może nawet najważniejszy fragment obrazu. To nie przypadek, że Paweł Włodarczyk zrobił to powiększenie. To nie przypadek, że na płótnie tylko Władysław Jagiełło i jego syn patrzą wprost na widza.

Przeszedł się po pokoju, żeby uporządkować myśli, przez moment skupił się na swoim odbiciu w szybie balkonu i wtedy właśnie przypomniał sobie sytuację sprzed kilku lat. Po sukcesie głośnego śledztwa, które prowadził na Opolszczyźnie, zatelefonował do niego redaktor popularnego tabloidu z prośbą o zgodę na podesłanie do IPN-u fotografa w celu zrobienia kilku ujęć „naszemu sławnemu prokuratorowi”.

Kuba – odporny na pochlebstwa dziennikarzy, którzy potrafią być mili tylko wtedy, gdy czegoś chcą – zareagował sceptycznie:

– Czy to konieczne? Przecież podczas konferencji prasowej w Opolu wasz fotoreporter pstrykał mi zdjęcia bezustannie. Nie możecie czegoś z nich wybrać?

– Możemy – ton redaktora nadal był słodki i oślizły. – Mamy nawet zabawne ujęcia – zachichotał. – Problem w tym, że na żadnej z tych fotek nie ma pan ka-wu. A ka-wu – redaktor dodał z powagą – to w tabloidzie podstawa. Bez tego nie drukujemy zdjęć.

– Ka-wu? – zdziwił się Kania. Współpracował z mediami i znał sporo wyrażen branżowego slangu, ale o „ka-wu” słyszał po raz pierwszy. – A cóż to takiego?

– Ka-wu: kontakt wzrokowy – wyjaśnił redaktor. – Uważamy, że jeśli bohater naszego tekstu ma trafić do ludzi, no wie pan, coś przekazać, to musi na zdjęciu patrzeć czytelnikowi w oczy. Bez ka-wu jest niewiarygodny.

Ciekawe, pomyślał Kuba, wpatrując się w wieczorny pejzaż Żoliborza za oknem, co też miał do przekazania niemowlak w królewskim becie namalowany przez Matejkę długo przed tabloidami?

Rozdział 32

Zanim Kuba zdążył zanurzyć się w rozważaniach, jego uwagę przykuło kolejne odkrycie. Poza Władysławem Jagiełłą i małym królewiczem wprost w oczy widza patrzyły jeszcze dwie postacie drugoplanowe. Był to katolicki duchowny – mnich z długą brodą trzymający w dłoniach zapaloną świecę oraz górująca tuż nad nim postać w turbanie. Co islamski dostojnik robił wśród najważniejszych gości chrztu chrześcijańskiego królewicza, któremu historia wyznaczyła rolę przeciwnika imperium osmańskiego? A może misja Władysława Warneńczyka w wydarzeniach, które miały nastąpić, była zupełnie inna?

O ile to ostatnie pytanie było zasadne, a zapewnienia Pawła Włodarczyka były prawdziwe, odpowiedź znajdowała się na zaginionym płótnie Matejki. Kuba starannie wynotował wszystko, czego dotychczas dowiedział się o *Chrzcie Warneńczyka*, ale bilans tej wiedzy nie wyglądał zachęcająco.

O obrazie niewiele wiedzieli zarówno historycy sztuki, jak i znawcy biografii Matejki. Wiadomości zebrane przez profesora Lipskiego roily się od sekretów i niedopowiedzeń, przez co były jeszcze bardziej zagadkowe. Niestety: lista pytań, sporządzona podczas sobotniej rozmowy, w całości pozostawała bez odpowiedzi. Kuba miał ją teraz przed sobą i obok każdego pytajnika stawiał czerwonym flamastrem grube minusy. Po kolejnej lekturze notatek, głęboko zamyślony, otoczył poziome kreski kółkami i wtedy spostrzegł, że jego symbole do złudzenia przypominają drogowe znaki zakazu – zabraniające dotarcia do prawdy, która niepokoiła go od tygodnia z rosnącym napięciem. Szczególnie

intrygujące było tajemnicze przesłanie obrazu. Otaczała je gęsta ciemność. Kto mógłby ją rozproszyć, zapalając światełko w tunelu? – zastanawiał się.

Profesor Lipski? Nie potwierdził proroctwa zakodowanego na płótnie, choć uznał je za bardzo prawdopodobne – zważywszy dziwne losy *Chrzta Warneńczyka*, które nazwał wielką tajemnicą polskiego malarstwa. Paweł Włodarczyk? Nie żył. Przynajmniej częściowo mogły go zastąpić dowody poszukiwań obrazu, ale zniknęły. Co się mogło z nimi stać? Zniszczono je? Niemożliwe. Dziennikarz traktował je jako koronny dowód powagi swoich słów, dlaczego zatem miały się ich pozbyć?

Mało prawdopodobne, aby dokumentację unicestwiła żona albo półprzytomny syn Włodarczyka, bo – idąc tym tokiem rozumowania – równie dobrze mógł to zrobić labrador z piekła rodem. Należało dopuścić myśl, że poszukiwacz obrazu zabrał dokumenty ze sobą na piątkowe spotkanie, ale ta wersja również nie wchodziła w grę. Wdowa po Włodarczyku pokazała mu rzeczy męża oddane jej przez policję. Mimo zmiżdżenia auta pozostały nienaruszone. Papierów wśród nich nie było.

Czyli? Ktoś je zabrał z mieszkania na Bemowie? To też niedorzeczne. Rodzina zmarłego z pewnością poinformowałaby o włamaniu lub wizycie nieproszonego gościa. A może dokumentacja poszukiwań nigdy nie istniała?

No, ale bez wiarygodnych dokumentów Paweł Włodarczyk pewnie nawet by nie próbował przekonać IPN-u do wszczęcia śledztwa w sprawie obrazu. Co by mi opowiedział? – pomyślał Kuba. – Fantastycznie brzmiącą baśń? Nie mógł blefować w swoim mejlu, zarzekając się, że ma obfitą dokumentację wieloletnich poszukiwań i twarde dowody.

A może je ukrył? Kuba bezwiednie potarł kciukiem i palcem wskazującym skrzydełka nosa, co było gestem znamionującym podejrzliwość. Po chwili jednak odrzucił również tę myśl. Gdyby Włodarczyk schował dokumentację poszukiwań obrazu, nie zostawiałby na tablicy korkowej zdjęcia twarzy królewicza. Kuba uznał z pełnym przekonaniem, że w sprawie *Chrzta Warneńczyka*

trafił na mur.

Ten mur nie miał początku ani końca. Ciągnął się z nieskończoności w nieskończoność. Nie widać było jego górnej krawędzi, a przy tym był idealnie gładki. Słowem, nie dało się go ani obejść, ani się na niego wspiąć, aby iść dalej. Prokurator Jakub Kania był bez szans.

Uwielbiał takie sytuacje.

Szukaj szczeliny, mawiał wtedy do siebie. Szukaj. Drobnego pęknięcia, kruchej spoiny między cegłami lub choćby mikroskopijnego kamyka wystającego z muru. Czegoś, o co można zahaczyć, chcąc iść dalej. Coś takiego zawsze istnieje.

Istniało. Przypominając sobie rozmowę telefoniczną z Włodarczykiem i odtwarzając ją w myślach słowo po słowie, jak podczas odsłuchiwania nagrania w zwolnionym tempie, Kuba znalazł nagle swój punkt zaczepienia. Dziennikarz twierdził z przekonaniem, o czym również wspomniał w mejlu, że śledztwo w sprawie obrazu prowadziła pod koniec lat siedemdziesiątych Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Skoro tak, to musiał istnieć po tym ślad w archiwach. I to w archiwach znajdujących się tuż obok jego gabinetu. Komisja, która teraz ścigała zbrodnie przeciwko narodowi polskiemu, jak chciała oficjalna nazwa, nadal była integralną częścią IPN-u wraz z wszystkimi swoimi zasobami gromadzonymi od 1945 roku we współpracy z londyńską Komisją Narodów Zjednoczonych do Spraw Zbrodni Wojennych. Być może trop, którego szukał, tkwił w tym samym budynku, w którym pracował.

Rozdział 33

Zofia Sowińska – jedna z mrówek tworzących precyzyjną organizację Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN-u – dotarła do pracy dwie minuty po czasie. Z reguły przychodziła wcześniej, przed wszystkimi, ale dziś padła ofiarą awarii tramwaju i maszerowała na Towarową z placu Zawiszy, oddychając ciężko i jeszcze ciężiej się stresując, że po raz pierwszy od trzydziestu trzech lat spóźni się do pracy. Tym bardziej przygnębił ją widok prokuratora Jakuba Kani przestępującego z nogi na nogę przed wejściem do archiwum i nerwowo zerkającego na zegarek. Czego ten tu chce z samego rana? – zmartwiła się, bo generalnie miała tendencję do tego, żeby się martwić.

Kiedy spłoszona przyspieszyła kroku na korytarzu, postanawiając, że natychmiast musi sobie zaparzyć melisy, Kuba niemal podbiegł w jej stronę z promiennym uśmiechem. Chyba miał coś ze stopą, bo poruszał się dość komicznie.

– Dzień dobry, pani Zofio. – Prokurator sprawiał wrażenie posłańca przynoszącego wiadomość, że IPN funduje jej podróż dookoła świata lub przynajmniej nową jarzeniówkę, na którą czeka od trzech tygodni.

– Przepraszam – wymamrotała. – Tramwaj się zepsuł i...

– One zawsze się psują. – Machnął ręką, nie dając jej szans na przedstawienie szlaku bojowego, którym dotarła do instytutu. – A ja tu czekam na panią, żeby zapytać, czy może mi pani pomóc odszukać akta śledztwa, które prowadziła Główna Komisja w późnych latach siedemdziesiątych w sprawie zaginionego obrazu Jana Matejki, skradzionego podczas okupacji przez pewnego

hitlerowskiego łobuza...

– Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty siódmy rok. Śledztwo prokuratora Karewicza – tym razem ona mu przerwała, kojarząc temat szybciej od najlepszej internetowej wyszukiwarki. Nie bez przyczyny żartowano w instytucie, że starsza pani ma większą pojemność pamięci niż jakikolwiek twardy dysk. – Nie pamiętam sygnatury akt – dodała zakłopotana, ale wiem dokładnie, gdzie znajduje się tateczka. Zapraszam. – Uśmiechnęła się, przekręcając klucz w specjalnym zamku drzwi do papierowego skarbca, w którym kryło się mnóstwo niewygodnej prawdy. O melisie zupełnie zapomniała.

Kuba z nabożeństwem odwiązał tasiemki wyblakłej niebieskiej teczki z napisem *Chrzest Warneńczyka*. Podobnie jak podczas wizyty u profesora Lipskiego zupełnie wyłączył się z rzeczywistości, jakby ten obraz istotnie miał jakąś magię. Łapczywie wertował notatki, pisma i protokoły. Były pożółkłe, ale starannie ułożone w porządku chronologicznym, z wyraźną numeracją arkuszy. Od razu zauważył, że wielu stron brakuje. Co się mogło z nimi stać?

Pani Zofia, zerkając mu przez ramię, zdawała się czytać w jego myślach.

– Zastanawia się pan, gdzie się podziała reszta? – spytała, a kiedy popatrzył na nią wyczekująco i jednocześnie skinął głową, wyjaśniła cicho: – Pracowałam wtedy zaledwie od kilku miesięcy. Bogiem a prawdą, mimo że dobiegałam trzydziestki, byłam jakby gońcem. – Zarumieniła się. – Mogłam co najwyżej nosić akta. Przywilej porządkowania ich zawartości dano mi dopiero po dwóch latach, wraz z wyższą grupą zaszeregowania i stanowiskiem młodszej archiwistki. Ale dokładnie pamiętam tamtą sprawę. To było w maju, ale na dworze panował niemiłosierny upał...

– Pani Zofio, litości – jęknął Kuba. – Niech mi pani nie opowiada o pogodzie sprzed ćwierćwiecza.

– A właśnie, że to jest ważne. – Niemal tupnęła nogą. – Wie pan, kto nas wtedy osobiście odwiedził?

– Będę teraz rozwiązywał zagadki? – Mimo okazanego

zniecierpliwienia starsza pani zupełnie to zignorowała.

– Profesor Stanisław Lorentz, proszę pana. Dobry duch polskich zabytków i dzieł sztuki. Wiele z nich uratował podczas okupacji, a po wojnie walczył o odzyskanie tych, których mu się ocalić nie udało. Proszę sobie imaginować, że to profesorowi zawdzięczamy odbudowę Zamku Królewskiego w Warszawie.

– Nie bardzo rozumiem, co to ma wspólnego z upałem w maju siedemdziesiątego siódmego roku – westchnął Kuba.

– A ma, ma – zachichotała pani Zofia. – Profesor przyszedł wtedy do nas w koszuli non-iron. Pan chyba jest za młody, żeby kojarzyć – uznała. – To była taka sztuczna tkanina, która nie wymagała prasowania. Ale na upały raczej się nie nadawała, bo zupełnie nie przepuszczała powietrza. Poczciwy pan Lorentz musiał dorobić się odparzeń pod pachami, bo kiedy pojawił się w drzwiach, trzymał ręce odsunięte od tułowia jak rewolwerowiec na westernie. – Starsza pani niemal popłakała się ze śmiechu.

Kuba nadal nie widział związku.

– Bo widzi pan – dodała, wycierając oczy batystową chusteczką dyskretnie pachnącą perfumami – prokurator Karewicz miał taką samą koszulę i identyczny kłopot. No i stanęli naprzeciwko siebie jak w słynnej scenie z westernu *W samo południe...*

Tym razem Kuba też się roześmiał. Pani Zofia szybko przywołała się do porządku.

– Śledztwo w sprawie obrazu Matejki, wszczęte parę miesięcy wcześniej na prośbę profesora Lorentza, zaczęło się zabawnie, ale skończyło smutno. – Refleksyjnie pokiwała głową. – Zlecono je Kaziowi... – Nagle stanęła w pąsach i Kuba domyślił się, że niechcący ujawniła jakiś prywatny sekret. – Przepraszam. Zlecono je panu prokuratorowi Karewiczowi. Był najlepszy w wydziale – dodała z ledwo dostrzegalnym rozmarzeniem. – Tak jak teraz pan, panie Jakubie...

– Pochlebia mi pani – odparł z galanterią. – Proszę opowiedzieć, co było dalej.

– Pan Karewicz oddał się tej sprawie bez reszty. Mówiono, że chciał się przypodobać profesorowi Lorentzowi, ale ja tam w to nie

wierzę. Przyznaję słusność raczej tym, którzy twierdzili, że poszukiwanie tego obrazu to była fascynująca przygoda, że wciągnęła go, wie pan, co mam na myśli?

– Wiem doskonale, pani Zofio – zapewnił. – Czy panu Karewiczowi udało się coś odkryć?

Chwilę milczała. Kuba odniósł dziwne wrażenie, że pani Zofia wie o tej sprawie więcej, niż mógł przypuszczać. A może krył się za tym romans lub platoniczna miłość do błyskotliwego detektywa Głównej Komisji? Kiedyś, w jakimś wywiadzie, wyczytał, że dla inteligentnych kobiet najbardziej seksowną częścią ciała mężczyzny jest jego mózg.

– Był bliski – odpowiedziała na pytanie. – Proszę spojrzeć. – Odwróciła kilka kartek w teczce z dokumentami. – To pismo Główna Komisja wysłała do Holandii z prośbą o osobisty udział Kazimierza Karewicza w przeszukaniu willi Pietera Mentena, esesmana, który wywiózł *Chrzest Warneńczyka* z Polski podczas okupacji i którego aresztowano dopiero w siedemdziesiątym siódmym. Pamiętam dzień – twarz pani Zofii znów spowiła delikatna mgiełka wzruszenia – kiedy holenderski wymiar sprawiedliwości wyraził na to zgodę.

Prokurator Karewicz cieszył się jak dziecko. Wyjazd był za dwa dni, miał już paszport i wizy, gdy nagle, dzień wcześniej, przyszła depesza, że willa Mentena w Blaricum spłonęła podczas nocnego pożaru. – Posmutniała, jakby tamte wydarzenia były ciągle bolesne. – Kazio – pani Zofia nagle straciła potrzebę maskowania zażyłości z prokuratorem Karewiczem – zapadł się w siebie. Komisja oficjalnie zamknęła śledztwo. Ma pan tu dokument w tej sprawie – pokazała palcem lakoniczną notatkę – ale on chyba nigdy się z tym nie pogodził. Doszły mnie słuchy, że pisał listy do Tel Awiwu, do żydowskiego antykwariusza, którego podejrzewał o pomoc Mentenowi w kradzieży obrazu. Żądał wyjaśnień. Była nawet w tej sprawie jakaś izraelska nota dyplomatyczna. Szefer wezwał Kazia i dał mu naganę za nękanie tego człowieka. Od tamtej pory zamknął się w sobie jeszcze bardziej. Przypuszczam, że ten obraz go prześladował. Wie pan, panie

Jakubie – dodała szeptem – jestem przekonana, że to Kazio zabrał z teczki te brakujące dokumenty. Ale, błagam pana, niech to pozostanie między nami.

– Ręczę słowem honoru – odparł Kuba. – Niech pani będzie spokojna. Tylko proszę mi łaskawie powiedzieć, gdzie mogę znaleźć pana prokuratora Karewicza?

Pani Zofia popatrzyła na niego zdziwiona.

– Na Powązkach – wyjaśniła. – Odszedł w osiemdziesiątym dziewiątym, tuż po wyborczym zwycięstwie Solidarności. Mój Boże... – posmutniała jeszcze bardziej – ile to już lat?

– Zostawił rodzinę? – spytał Kuba.

– Żona nie żyje od kilku lat. Syn mieszka w Nowej Zelandii, wyjechał tam ze swoją przyjaciółką, obydwójce są lekarzami. – Starsza pani sporo wiedziała o Karewiczach. – W Warszawie została wnuczka. O ile wiem, jest stewardesą w Locie.

Rozdział 34

Sam widok Katarzyny Karewicz mógł wywołać turbulencje. Kilka tygodni temu skończyła trzydzieści jeden lat, ale zdecydowana większość dwudziestopięciolatek bez wahania zamieniłaby swoje metryki urodzenia na jej figurę, cerę i dziewczęcość. Była naturalną blondynką o migdałowych, roześmianych oczach, ukrytych pod ciemnymi brwiami i rzęsami, które gdyby były dłuższe o milimetr, byłyby o milimetr za długie. Miała szlachetny nos, lekko nadąsane usta Brigitte Bardot i perfekcyjnie wyrzeźbiony owal twarzy, co tworzyło oszołamiające połączenie oblicza rzymskiej bogini z buzią psotnej dziewczynki. Młodzi i pryszczaci teoretycy wdzięków niewieścich nie mogli się nadziwić, że Bóg stworzył ją bez Photoshopa.

Ideał uzupełniała nienaganna figura o kształtach i proporcjach wywołujących sztormy zazdrości u kobiet i fale zainteresowania u mężczyzn, choć niekoniecznie w tej kolejności. Ale największym atutem urody Katarzyny Karewicz był jej urok: naturalny i – jeśli można użyć takiego sformułowania – sprawiedliwy, bo Kasia potrafiła obdarzyć jednakowo ciepłym uśmiechem zarówno opalonego przystojniaka wyglądającego jak atlas anatomiczny, jak i otyłego, łysego safandulę. W odróżnieniu od wszystkich blond bóstw zdawała się zupełnie nieświadoma swojej urody, a jeśli nawet miała w domu lustro i potrafiła obiektywnie ocenić to, co w nim widzi, absolutnie nie wysyłała w świat komunikatu: „patrzcie i podziwiajcie”.

Mimo to świat – rzeczownik rodzaju męskiego – patrzył i podziwiał. Była przyzwyczajona do tych spojrzeń. Cielęcych lub

lubieżnych, pozornie zachwyconych, a tak naprawdę taksujących wyłącznie jej seksualną przydatność. Nauczyła się traktować je cierpliwie jak aktorka, zdolna zagrać Ofelię i zdobyć Oscara, którą uporczywie obsadzano w rolach wymagających tylko umiejętności noszenia bikini.

Tymczasem czarnowłosa mężczyzna o skupionych oczach, stojący po drugiej stronie bramek w hali przylotów, patrzył na nią z zachwytem pozbawionym jakichkolwiek domieszek hormonalnych. Był tak zafascynowany, że przecisnął się przez gromadkę osób oczekujących na pasażerów z Belgradu i najwyraźniej zmierzał w jej stronę. Interesujące – pomyślała. – Z reguły ci zapatrzeni nie mają odwagi się odezwać. To nawet czarujące.

Mężczyzna już stał przed nią.

– Pani Katarzyna Karewicz? – zapytał. Czar prysł.

– Tak, to ja. W czym mogę panu pomóc? – zdezorientowana, wyrecytowała służbową formułkę i natychmiast tego pożałowała.

– Nazywam się Jakub Kania. – Mężczyzna sztywno skinął głową. – Jestem prokuratorem. Służę legitymacją. – Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki, widząc jej zmieszanie, ale powstrzymała go ruchem dłoni.

– To zbyteczne. Czy stało się coś złego? – spytała rzeczowo.

– Proszę mi wybaczyć, zaniepokoiłem panią. – Zaczerwienił się tak szczerze, że natychmiast ją to udobruchało. Czar powrócił.

– Absolutnie nic się nie stało – zapewnił niemal żarliwie. – Odszukałem panią, bo... bo... Tak w ogóle – wyrzucił nagle z siebie – jestem prokuratorem w Instytucie Pamięci Narodowej i chciałem porozmawiać o pani dziadku.

Czar prysł. Tym razem zdenerwowała się na dobre.

Czego ci tropiecie ludzi, ci... teczкови szantażyści – Kasia szukała w myślach odpowiednich epitetów – chcą od dziadka? Wyniuchali coś, co może zszargać jego pamięć? Przez chwilę chciała stanowczo oświadczyć, że nie będzie rozmawiać na lotnisku, tuż po męczącym rejsie. „Jeśli ma pan powód, to niech mnie pan wezwie na przesłuchanie”, błyskawicznie sformułowała

gotową wypowiedź, ale nagle uznała, że wygłaszając ją, popełni błąd. Facet powie: „Dobrze, do zobaczenia w moim burze” i odejdzie, a ona będzie się zadręczać przez wiele dni, o co chodzi tym draniom z IPN-u. Opanowała emocje.

– Słucham pana – powiedziała lodowato.

– Zezłościłem panią. – Kuba zrobił minę, z której wynikało, że jest mu autentycznie przykro. – Odnoszę wrażenie, że pani mnie źle rozumie – dodał łagodnie. – Pani świętej pamięci dziadek, z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, był wspaniałym, powszechnie szanowanym człowiekiem. Proszę panią, o ile to możliwe, aby potraktowała mnie pani jako jego młodszego kolegę. Zwłaszcza że zajmuję to samo stanowisko. To byłby dla mnie prawdziwy zaszczyt. – Popatrzył jej w oczy i nagle zyskała przekonanie, że jest w porządku. Zrobiło jej się wstyd z powodu okazanej szorstkości.

– Przepraszam – powiedziała cicho. – Jestem kompletnie dezorientowana. Najpierw wzięłam pana za podrywacza, a potem okazało się, że jest pan prokuratorem... Na dodatek z IPN-u. Nie macie ostatnio najlepszej reputacji.

Puścił tę uwagę mimo uszu.

– Patrzyłem na panią z zachwytem, przyznaję. – Znów się zarumienił. – Nie wiedziałem, jak pani wygląda. Powiedziano mi: „Zgrabna blondynka, z ciemną oprawą oczu”. Takich są setki. Ale pani... – zawahał się – pani wygląda jak...

No, powiedz coś głupiego, pomyślała. „Pani wygląda jak...”, to była przeszkoda, na której wywracali się najlepsi zawodnicy, plotąc jakieś grafomańskie banały. No, słucham. – Popatrzyła na niego wyczekująco.

– Pani wygląda jak groźba bezrobocia dla chirurgów plastycznych – wypalił bez zastanowienia.

Roześmiała się. Czar powrócił.

– Wróćmy do dziadka – powiedziała zakłopotana.

– Usiądźmy na chwilę – zaproponował. – Napije się pani kawy?

Podobały się jej jego ruchy, szedł pewnie, krokiem człowieka zdecydowanego. Był oszczędny w gestach i miał naprawdę miły

głos. W drodze do lotniskowego bistro opowiadał o obrazie Matejki, którego szukał dziadek. Gdy usiedli, uśmiechnęła się sentymentalnie.

– Co ja się nasłuchałam o tym obrazie. Nie ma pan pojęcia. To była zmora mojego dzieciństwa. – Owinęła to stwierdzenie w ciepły aksamit wspomnień, wyczuwalnych w tonie, spojrzeniu, w ruchu warg. Kuba bez trudu doszedł do wniosku, że chętnie nadal znosiłaby opowieści dziadka, byle on nadal żył, byle wróciły tamte beztrudne czasy. Nie przerywał jej.

– Miałam dziesięć lat i nosiłam sukienkę w stokrotki. – Znowu się uśmiechnęła. – Chciałam słuchać o wróżkach i elfach, a nie o rycerzach chrześcijaństwa i islamu, którzy mieli się pojednać. Ale kochałam dziadka – dodała rozbrajająco. – Wszyscy w rodzinie mieli go za nieszkodliwego wariata z powodu tego obrazu, tylko ja słuchałam niekończących się opowieści o królewiczu i jego prorocztwie. Byłam jedynym, ostatnim widzem na widowni dziadkowego monodramu, choć prawie nie rozumiałam, o czym jest spektakl. Kochałam dziadka – powtórzyła cicho. – Dumna jestem, że nadal noszę jego nazwisko. – Chciała pomachać przed nosem Kuby dłonią bez obrączki, ale doszła do wniosku, że mógł to uznać za autoreklamę, więc tylko wykonała jakiś nieokreślony gest.

– Jak pani myśli – zapytał ostrożnie. – Dlaczego pani dziadek tak często mówił o tym płótnie Matejki?

– Dziś myślę, że miał na jego punkcie lekką obsesję – wyjaśniła. – Nieustannie dopatrywał się jakichś tajemniczych śladów, wertował przedwojenne archiwa sądowe cudem ocalałe z Powstania Warszawskiego, jeździł po Polsce w poszukiwaniu świadków. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym, tuż przed śmiercią, wybierał się w tej sprawie do Izraela i wiele sobie po tej wyprawie obiecywał. Opowiadał o jakimś sfingowanym pożarze w Holandii. Sam płonął ciekawością, ale zarazem jakby się bał tej sprawy.

– Bał się? – upewnił się Kuba.

– Nie wiem, jak to ująć – wyznała. – Często twierdził, że coś może mu się stać. To strasznie złościło babcię, która wierzyła, że

mówiąc tak, można ściągnąć złą energię. Krzyczała na niego, żeby nie krakał, bo wykracze. I miała rację...

Kuba drgnął.

– Chce pani powiedzieć, że dziadek nie umarł śmiercią naturalną? Że coś mu się stało?

Popatrzyła na niego zdumiona.

– Chyba nie odrobił pan lekcji, panie prokuratorze – powiedziała tonem, jakim oznajmia się rzeczy oczywiste, powszechnie znane: – Mój dziadek zginął w wypadku.

CZEŚĆ CZWARTA

Warneńczyk

maj 1440 – listopad 1444 roku

Rozdział 35

Siedmioletnia Jacinta zrywała stokrotki na wianek, kiedy dobiegł ją przeraźliwy krzyk brata. W ułamku sekundy zerwała się na równe nogi, upuściła kwiatki i sparaliżowana lękiem, ruszyła w kierunku skał, za którymi zniknął Francisco. Inne dzieci pasące owce na wyżynie, przez którą szło się do dawnej twierdzy Maurów, Porto de Mos, pobiegły za nią.

Francisco – starszy od siostry o dwa lata, ale krzepki i wyrośnięty – trzął się ze strachu wpatrzony w grotę, która nagle otworzyła się za nim jak w arabskiej baśni o sezamie.

Chwilę wcześniej brat Jacinty zapamiętale fechtował patykiem ze swoim rówieśnikiem Inaciem i pod naporem ciosów przeciwnika mocno oparł się plecami o porośniętą drobnymi krzewami ścianę skalną. Ta nieoczekiwanie ustąpiła, a pod stopy Francisca posypały się kamienie. Najwyraźniej ktoś kiedyś starannie je ułożył, aby zamaskować wejście do groty. Chłopiec ostrożnie zajrzał do środka i wrzasnął tak, że reszta małych pasterzy rozpierzchła się jak stado zajęcy.

Wewnątrz spoczywał ludzki szkielet. Kiedy dzieci zdobyły się na odwagę, aby podejść bliżej, Francisco już opanował strach i ośmielony obecnością gromadki gapiów powoli przekroczył pryzmę kamieni. Tuż za nim potykała się o nie Jacinta, która właśnie przybiegła i wiedzona instynktem postanowiła nie odstępować brata na krok. Ujrawszy szkielet, również krzyknęła, po czym chwyciła Francisca za kaftan.

– To Maur! – krzyczała. – Przeklęty Maur! Ściągnie na nas nieszczęście!

Dzieci jak na komendę zaczęły głośno modlić się do Najświętszej Marii Panny, ale Francisco, który teraz poczuł się bohaterem wydarzenia, uciszył je.

– To chrześcijański rycerz – zawołał. – Obok leży jego tarcza z krzyżem świętym i herbem.

Chłopiec badawczo przyjrzał się szczątkom. Oprócz tarczy zachował się pas spleciony z metalowych kółek i resztki skórzanych ciżm z solidnymi, okutymi obcasami. Francisco delikatnie dotknął patykiem jednego z nich, a wtedy obcas rozpadł się na dwie części, ujawniając skrytkę, w której tkwiło płaskie, metalowe i misternie zdobione puzderko. Chłopiec pochwycił je w przekonaniu, że jest fragmentem skarbu, i zanim ktokolwiek zauważył, schował głęboko za pazuchą.

Po drodze toczyli żarliwe spory. Cześć małych pasterzy słyszała, że Maurowie to potwory, które porywają chrześcijańskie dzieci w nieznanym celu, inni uznawali te opowieści za brednie. Tuż za wzgórzem, do którego dotarli, pędząc przed sobą owce, widać było rodzinne domostwa, ale żadne z uczestników sporu nie miało świadomości, że osada, w której urodzili się i mieszkali – założona została właśnie przez Maurów i nazywała się tak samo jak córka ich Proroka: Fatima.

Rozdział 36

Ramiro Alves da Silva, pan niewielkiego zamku w pobliżu Leiry, nerwowo skubał brodę. Umiał radzić sobie z poganami w bitwach, których odbył niemało jako kawaler Zakonu Rycerzy Chrystusa, ale stary kawałek jedwabiu pokryty równym arabskim pismem był dla niego zagadką trudną do rozwiązania. Dlatego dom Ramiro badawczo przenosił wzrok z dokumentu leżącego na stole komnaty na pełną pokory postać Raula, ubogiego bednarza z Fatimy, który przyniósł to osobliwe pismo.

– Powiadasz zatem, że twoje dzieci znalazły to w bucie martwego rycerza – upewnił się Alves da Silva.

– Tak, panie – potwierdził bednarz. – To znaczy, nie. Nie rycerza, ale jego szkieletu. To znaczy, nie... Nie, żeby szkielet był w butach.

– Głupiś – warknął dom Ramiro. – To jak w końcu było z tymi butami? Gadaj mi tu zaraz.

Wieśniak struchlał.

– Klnę się na świętego Fruktuozusa z Bragi – bednarz szybko się przeżegnał – mój syn Francisco zawiódł mnie do tej groty i widziałem wszystko na własne oczy. Buty leżały obok kości nóg. W obcasie jednego z nich była skrytka, a w niej taka płaska szkatułka z tą zapisaną tkaniną. Wszystko się dobrze zachowało. Pieczara jest sucha. Była zamaskowana kamieniami i osłonięta od wiatru. Szkielet mógł w niej leżeć i kilkaset lat.

– Głupiś – powtórzył szlachcic, choć przez moment pomyślał, że bednarz może mieć rację.

– A czemuś przyszedł z tym do mnie? – zapytał.

– Jesteś, panie, sławny w całym kraju. Dzięki twojej odwadze i bohaterskim czynom Portugalia jest wolna od Maurów. Znasz, panie, ich mowę i obyczaje. Jakżem tylko to zobaczył, od razu przyszedłeś mi na myśl, panie. – Wieśniak mocno przesadził, ale uznał, że pochlebstwa mogą okazać się korzystne. Nie pomylił się.

– Uczyniłeś roztropnie – pochwalił go dom Ramiro. – Ale – wskazał ruchem brody jedwab pokryty arabskim pismem – to nic ważnego. Możesz odejść – rzekł bardziej do uzbrojonych sług niż do speszonego gościa. – A dajcie mu tam parę dinheiro na drogę.

Po wyprowadzeniu bednarza Ramiro Alves da Silva popadł w zadumę. Co za przekłeta sprawa, pomyślał i w pierwszej chwili chciał cisnąć zapisaną tkaninę w ogień płonący na kamiennym palenisku, ale odezwał się jego zmysł handlowy. A może to jest coś warte? Niestety. Żeby odpowiedzieć na to pytanie, dom Ramiro musiałby wiedzieć, co zostało spisane na starym jedwabiu, a chociaż powszechnie chwalił się znajomością języka arabskiego, nie miał o nim bladego pojęcia.

– Manuel! – krzyknął na zaufanego sługę. A kiedy ten stanął w progu komnaty, gotów na rozkazy, Alves da Silva przywołał go gestem dłoni i rzekł cicho: – Opowiadałeś kiedyś, że w górach jest jeszcze wielu muzułmańskich koczowników, którzy wolą u nas żyć z hodowli owiec, niż wrócić do Maroka i zdechnąć na pustyni. Prawda to?

Manuel skinął głową.

– Prawda, panie. Niemało ich w okolicy, zwłaszcza w niższych partiach Serra da Estrela.

– Posłuchaj zatem – rzekł dom Ramiro. – Weźmiesz kilku sprawnych ludzi, pojedziesz w góry za doliną rzeki Mondego, odnajdziesz mi rozumnego Maura i po cichu przywieziesz do zamku. Ale bacz, abyś znalazł takiego, co potrafi czytać i pisać po arabsku. Ja się tu z nim rozmówię, a potem go odwieziesz. Ale, popatrz na mnie, droga powrotna będzie znacznie krótsza. Rozumiesz? Wtedy zabierzesz ze sobą tylko garotę.

Manuel pochylił głowę, po czym bez słowa odwrócił się w stronę drzwi i zniknął równie cicho, jak się pojawił.

Zanim Manuel ponownie otworzył drzwi komnaty, minęły cztery dni. Nie był sam, towarzyszył mu drobny śniady mężczyzna. Mógł mieć około sześćdziesięciu lat, co okazało się, gdy polecono mu zdjąć habit mnicha z obszernym kapturem, który miał go uchronić przed oczami ciekawskich.

– Jak się nazywasz i kim jesteś? – spytał dom Ramiro bez powitań, które w tej sytuacji uznał za zupełnie zbędne.

– Noszę imię Nabil, szlachetny panie. – Maur posługiwał się portugalskim niemal bez obcego akcentu. – Jestem pasterzem.

Alves da Silva z trudem opanował irytację. Kiwnął głową i rzekł z wymuszonym uśmiechem:

– Zapytam inaczej: kim byłeś, zanim nie przegnaliśmy was z naszej ziemi?

Starszy mężczyzna wyraźnie się strapił, ale odpowiedział głośno i wyraźnie:

– Byłem wazirem, panie. Zapisywałem słowa zarządcy dystryktu Ukszunuby, ze stolicą w Szilb.

– To dobrze – ucieszył się dom Ramiro, obdarzając Manuela miną wyrażającą satysfakcję z jego poufnej misji.

– Wobec tego – wrócił wzrokiem do Maura – przeczytaj to pismo i powiedz mi, czego ono dotyczy. – Podsunął Nabilowi jedwab pokryty arabskimi znakami.

Były kronikarz po lekturze pierwszych wersów przestraszył się nie na żarty.

– To bardzo stary i święty list, dostojny panie – szepnął nabożnie. – Napisał go ponad czterysta lat temu emir Al-Hakan do samego kalifa Kordoby, oby Allah dał im wieczne szczęście w raju.

Dom Ramiro nie podzielił jego przejęcia.

– Czytaj i mów, o co chodzi – rzucił nagłaco.

Maur powoli przemierzał tekst, jakby stąpał po najcenniejszym kobiercu, potem przeczytał go jeszcze raz i jeszcze. Zniecierpliwienie portugalskiego szlachcica wyraźnie rosło.

– Ten list, czcigodny panie, mówi o przepowiedni – wyjaśnił. – Według słów dostojnego Al-Hakana począwszy od roku tysięcznego

czterech wybranych, każdy co czterysta czterdzieści cztery lata, otrzyma od Boga sposobność przyniesienia światu wiecznego pokoju, który ma się zacząć od pojednania chrześcijaństwa z islamem. Wielki emir pisze, że zgodnie z prorocstwem w żyłach każdego z wybrańców płynąć będzie królewska krew, i spłodzą go rodzice wyznający różne religie. Każdy też nosić będzie znamie na czole, dzięki któremu wtajemniczeni ich rozpoznają.

Da Silva słuchał wyraźnie zafrapowany.

– I co? – ponaglił.

– Emir pisze, że wysyła z tym listem pierwszego z wybrańców Boga, który jest synem galisyjskiego hrabiego i zaginionej siostry kalifa Hiszama. Błaga, aby kalif postąpił według wskazań prorocstwa, co może zaskarbić Hiszamowi łaskę Allaha i uczynić go najważniejszym władcą w dziejach współczesnego mu świata. Pokornie prosi, aby przedstawił papieżowi i chrześcijańskim królom wybrańca jako żywy dowód prawdziwości prorocstwa. List napisany jest w dziewięćset dziewięćdziesiątym ósmym roku, więc emir Al-Hakan wyraża głęboką wiarę, że przez dwa lata kalif Kordoby zdoła zbudować gmach pojednania, najwspanialszy pałac ludzkości, jak dosłownie można przełożyć jego słowa.

W komnacie zapanowała cisza. Maur stał z pochyloną głową, dziękując w myślach swemu Bogu, że obdarzył go łaską przeczytania świętych wersów, mieniących się przed jego oczami jak tęcza Proroka. Myśli dom Ramira miały zupełnie inną barwę. Zerknął porozumiewawczo na Manuela, który przez cały czas tkwił przy drzwiach z kamienną twarzą, niewyrażającą żadnych odczuć. Jak zawsze zrozumiał w lot intencje swego pana: to zbyt ważna sprawa, aby ktokolwiek się o niej dowiedział.

Sługa zrobił krok do przodu, podniósł z zydla habit mnicha, na powrót oblókł w niego Maura, ujął go pod ramię i wyprowadził z komnaty.

Alves da Silva został sam.

Rozdział 37

Zmierzchało, kiedy orszak złożony z kilku jeźdźców dotarł do Algarve. Ostatnie promienie słońca dotykały strzelistych klifów, podkreślając ich czerwoną barwę, jakby urwiska ociekały krwią. Wrażenie nie było odległe od prawdy. Przez ostatnie wieki południowo-zachodni skrawek Półwyspu Iberyjskiego niemal co dnia słyszał szcęk oręża, a ziemia przyjęła setki tysięcy ofiar Galisyjczyków, Celtów, Luzytan, Rzymian, Swewów, Wizygotów, wreszcie rycerzy krzyża i półksiężycy.

Dosiadający gniadego rumaka dom Ramiro ściągnął wodze i przywołał do siebie Manuela.

– Weź dwóch ludzi i znajdźcie dobre miejsce na obóz – polecił. – Rozbicie namioty, rozpalcie ogień, przygotujcie strawę. Nie wiadomo, ile czasu przyjdzie nam tu zmitrężyć. Rano ruszysz do portu na poszukiwanie statku, którym będziemy mogli popłynąć do Maroka. Tylko pamiętaj, trzymaj się słów, które rozkazałem ci powtarzać: dom Ramiro Alves da Silva, świątobliwy sługa Zakonu Rycerzy Chrystusa, wyprawia się wraz z garstką czeladzi na ziemię Maurów, aby w imię Boga w Trójcy Jedyne go walczyć z wrogami naszej wiary. Twój pan stawia się na wezwanie księcia Henryka, syna króla Jana I. To powinno zamknąć gęby wszystkim mającym chęć dowiedzieć się czegoś więcej. Ale gdyby jednak się tacy znaleźli, nie mów nic ponad to, co ci rzekłem. Rozumiesz?

Manuel nie rozumiał, dlaczego jego pan strzepi język na zadawanie oczywistych pytań. Swoim zwyczajem pochylił głowę i skinął na dwóch konnych, z którymi oddalił się w gęstniejący mrok.

Trzy godziny później, wpatrzony w płomień ogniska, Alves da Silva rozmyślał nad misterną grą, jaką prowadził od miesiąca. Jak dotąd był z siebie dumny. Najpierw łatwo okpił bednarza z Fatimy. Ten dureń wyszedł przekonany, że list, który jego bękarty znalazły przy umrzyku w pieczarze, nie ma żadnej wartości. Jest zbyt głupi, aby wpaść na to, że listów bez wartości nie chowa się w tajnych skrytkach wydrążonych w obcasach. Ale żeby to skojarzyć, trzeba być dom Ramirem, a nie wiejskim parobkiem. Trzeba umieć układać fakty, a nie klepki beczek – Alves da Silva pokraśniał od udanego porównania i na wspomnienie miny ciemnego chłopca, wyrażającej bezgraniczne szczęście z powodu otrzymania paru miedziaków. Z pewnością nikomu nie piśnie ani słowa, wylękniony, że pan da Silva może kazać odebrać datek, a jeszcze go wychłostać za mielenie ozorem. Mistrzowsko rozegrane, pomyślał.

Arabski tłumacz? Kozi syn, niech go piekło pochłonie. Pewnie gnije w jakiejś górskiej szczelinie. I dobrze. Był tak przejęty słowami tego muzułmańskiego kacyka sprzed wieków, że powinien się cieszyć, iż Manuel umożliwił mu szybkie spotkanie z jego emirem na tamtym świecie – w zagrodzie przeznaczonej dla pogan. To też było sprytne, dom Ramiro pochwalił sam siebie w duchu i kto wie, gdyby mu się chciało wstać, może by się sam sobie pięknie pokłonił. Nie ma co, był człkiem rezolutnym.

Po pozbyciu się Araba, ponad trzy tygodnie temu, długo myślał nad treścią listu. Początkowo rzeczywiście uznał go za strzęp jedwabiu, który stracił jakiegokolwiek znaczenie przed czterema wiekami. Nawet jeśli głosił prawdziwe prorocstwo, to pierwszemu wybrańcowi z listem w bucie ktoś rozwalił łeb, a trupa ukrył w grocie i koniec.

Ale... Ten dureń z Fatimy mówił, że wejście do jaskini było starannie zamaskowane kamieniami. Czyli – wnioskował dom Ramiro – komuś bardzo zależało na utajnieniu listu, skoro ukrył go w bucie, a komuś innemu – aby nikt nie znalazł zwłok. Dziwne. Emir pisze, że wysyła wybrańca pod silną eskortą. Gdyby napadli

ich chrześcijanie, ten z listem w bucie i znamieniem na czole pewnie by krzyczał, że jest Galisyjczykiem, i ocaliłby skórę.

Może zatem – Alves da Silva głęboko się zamyślił – to właśnie eskorta go zabiła? Może miał przy sobie kosztowności? Albo ich rozzłościł? A może chcieli udaremnić prorocstwo, które miało się spełnić za dwa lata? – dom Ramiro dobrze zapamiętał szczegóły pisma. Może wybraniec miał przy sobie dwa listy: jawny i tajny, ukryty nawet przed eskortą? Tak – szepnął do swoich myśli – wizja pojednania z chrześcijanami musiała być im nie w smak. Dom Ramiro widział Arabów w bitwach i uważał za zapiekłych fanatyków swojej wiary. Istniało na to tylko jedno lekarstwo: miecz.

Jakkolwiek było, list musiał być ważny. Zwłaszcza dwa lata przed spełnieniem przepowiedni. Chociaż... – Alves da Silva nagle zerwał się na równe nogi – jest rok tysiąc czterysta czterdziesty. Prorocstwo mówi, że za cztery lata nastąpi kolejna sposobność pojednania. Drugi wybraniec już gdzieś jest. Płynie w nim królewska krew, rodzice pochodzą z różnych religii i ma jakieś znamię na czole, głośno myślał. Do diabła, ten list może być cenniejszy, niż się wydaje. Klasnął w dłonie, ale zanim echo komnaty zdążyło odbić dźwięk, w progu pojawił się Manuel. Dom Ramiro dokładnie mu wszystko wyłuszczył.

– Co radzisz? – spytał. Czynił to rzadko, jakby uciekanie się do pytania sługi uchybiało szlachetności da Silvów, ale na podpowiedzi Manuela nigdy jeszcze się nie zawiódł.

– Myślę, panie – rzekł Manuel po chwili zastanowienia – że przede wszystkim trzeba ten list przepisać.

– Racja – potwierdził dom Ramiro. – Powinniśmy mieć kilka kopii, na wszelki wypadek. – Bodajbym szczeł! – zawołał nagle. – Za szybko kazałem ci pozbyć się tego śmierdzącego pasterza. Musisz jechać po następnego.

– To zbędne, panie. – Manuel nigdy nie tracił zimnej krwi. – Tamten człek istotnie nam już nie pomoże, ale przecież mamy w okolicy niemało mnichów...

– A oni potrafią odtwarzać ornamenty w księgach, więc poradzą

sobie i z arabskimi bazgrołami. – Dom Ramiro z ukontentowaniem klepnął się w udo.

– Bardzo roztropnie to, panie, wymyśliłeś – rzekł sprytny Manuel.

– No i mnisi niczego nie rozumieją. Nie trzeba będzie uciszać ich garotą – rozpromienił się szlachcic, jakby brak konieczności pozbawienia kogoś życia był jednoznaczny z jego ocaleniem.

Zanim Ramiro Alves da Silva zlecił skopiowanie jedwabnego listu kilku bogobojnym braciszkom, umiejętnie wspierany podpowiedziami Manuela, uknuł naprawdę chytry plan.

Rozdział 38

Zidan, przywódca religijnego bractwa Bokira, zajął należne mu miejsce w południowej komnacie swojego domu w Fezie, w której z reguły przyjmował zaufanych ludzi. Po jego prawej stronie usiadł Abu Said – bajecznie bogaty kupiec sprzedający w Kastylii i Genui złoto i kość słoniową z Sudanu, po lewej natomiast Ali ben Imran – nakib, czyli namiestnik jednej z północnych prowincji Maroka. To on poprosił o dzisiejsze poranne spotkanie, co dawało mu prawo je rozpocząć.

– Ośmielamy się zakłócać twój spokój, szejku. – Ali ben Imran pokłonił się Zidanowi. – Ale zdarzyło się coś, o czym powinieneś wiedzieć. Kilka dni temu do jednego z moich sług, który handluje z portugalskim garnizonem w Ceucie, a przy tym jest naszym szpiegiem, dotarł galisyjski rycerz, który usilnie poszukiwał kontaktu z jakimś muzułmańskim imamem, aby sprzedać mu arcyciekawy list. – Ali wydobył z fałd szaty starannie złożony pergamin i z namaszczeniem położył go na niskim okrągłym stoliku przed szejkiem. Zidan nie uznał za stosowne okazywać dokumentowi jakiegokolwiek zainteresowania, dopóki nie wysłuchał do końca słów nakiba.

– To kopia pisma sprzed ponad czterystu lat, sporządzonego, jak wynika ze słów niewiernego, na kawałku jedwabiu. Ów portugalski pies zarzeka się, że posiada oryginał. List, napisany przez emira Al-Hakana do kalifa Kordoby, mówi o prorocत्वie arby, jednej z naszych największych tajemnic. Mój sługa nie znał tej przepowiedni, ale kiedy usłyszał imię Al-Hakana, od razu nastawił ucha. Należy do Bokiry, naszego bractwa, i wie, że emir jest

przeklęty jako ten, który przed wiekami chciał zdradzić islam i pojednać nas z niewiernymi, przynosząc hańbę wierze Allaha.

Mój sługa wie również, że udaremnił to czcigodny Faris, święty mąż i założyciel naszego zgromadzenia. Jego błogosławione imię pojawia się w liście. Dlatego mój sługa rozmówił się z Portugalczykiem, wziął od niego kopię listu i przyrzekł znaleźć odpowiedniego nabywcę oryginału. Mają się spotkać pojutrze.

Zidan bez słowa sięgnął po pergamin, rozłożył go i przeczytał. Nie powiedziawszy ani słowa, pogrążył się w zadumie.

Był przywódcą zgromadzenia Bokira od dwudziestu pięciu lat, kiedy to po śmierci poprzedniego szejka otrzymał święty obowiązek obrony islamu i miano Zidana (ojcowie duchowni bractwa na pamiątkę Farisa nosili tylko jedno imię). To nie było dobre ćwierćwiecze. O ile wiara Proroka kwitła jak najpiękniejszy kwiat w sąsiedniej Tunezji, Egipcie, a nawet za Bosforem – tu, w marokańskim państwie rządzonej przez dynastię Merynidów wiedła i groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo.

Merynidzi nie potrafili bronić islamu. Byli potomkami berberyjskich nomadów z Sahary, brakowało im wizji i talentu politycznego. Mogli rządzić stadem wielbłądów, nie państwem. Na efekty chaosu nie trzeba było długo czekać.

W roku, w którym Zidan objął przywództwo Bokiry, portugalska flota przepłynęła się na wybrzeże Maroka i zajęła port w Ceucie. Zarządca miasta Abu Bekra ben Salah klął się na Allaha, że przepędzi niewiernych, ale nic z tego nie wyszło. Od dwudziestu pięciu lat Ceuta pozostawała w portugalskich rękach, stając się bazą wypadową chrześcijańskiej konkwisty w Afryce Północnej.

Choć Portugalczyki zajęli tylko północny skrawek kraju, praktycznie paraliżowali Maroko, a Bokira była bezsilna wobec kryzysu państwa. Zwłaszcza że – zgodnie z wasiją (testamentem) następców Farisa – pozostawała bractwem elitarnym, zajmującym się ideologią, dyplomacją, polityką zagraniczną i ochroną przyszłości islamu, a nie rzucaniem się na wroga z imieniem Allaha na ustach i kindżałem w zębach. Dżihad Bokiry był

dżihadem sprytu i mądrości.

Niemniej Zidan z zazdrością zerkał na akty wiary ludu Maroka. Po wsiach i oazach co dnia powstawały nowe oddziały pobożnych wojowników, którzy samodzielnie skrzykiwali gromady uzbrojone choćby w kije i ruszali na Portugalczyków. Na północy mówiono o nich z podziwem i nazywano mudżahedinami.

Tymczasem bladość poranka ustępowała rumieńcom dnia. Słońce nagle rozgościło się w komnacie, budząc szejka z zadumy i kierując jego wzrok na pergamin oświetlony promieniem, który zakradł się przez okno, jakby niebo chciało zwrócić uwagę na list z przepowiednią. Zidan, który w duchu często ulegał mistycyzmowi, uznał to za znak. Pomyślał, że jeśli oryginał tego dokumentu istnieje naprawdę, to jest on dla bractwa bezcenny i może przynieść Bokirze olbrzymie, niewyobrażalne wręcz korzyści. Ale, jak uczono go w szkole koranicznej, stłumił przedwczesny entuzjazm i zastąpił go ostrożnością.

– Zachodzę w głowę, z jakich przyczyn ów niewierny przyplął z listem do sułtanatu Fezu, zamiast oddać go swoim zwierzchnikom? – spytał.

– Mój sługa – odparł Ali ben Imran – zadał mu to samo pytanie, szejku. Portugalczyk odpowiedział, że nosił się z takim zamiarem, ale biskupa, do którego powinien się udać z listem dotyczącym spraw religii, uważa za głupca. Wyznał, że nie jest mile widziany na dworze w Coimbrze, a zatem ujawnienie dokumentu pewnie zostałyby użyte przeciwko niemu, łącznie z oskarżeniem o korszachy z Maurami, a kto wie, może nawet o herezję. Jak stwierdził, lochy i tortury są w jego kraju częstą nagrodą dla chrześcijańskich rycerzy, którzy przywożą z krucjat tajemnicze dokumenty. Dlatego – jak powiedział mojemu słudze – on postanowił odwrócić sytuację. Zamiast złożyć list na ołtarzu swojego Kościoła, uknuł plan sprzedania go muzułmanom.

– Można mu wierzyć? – spytał Zidan z nieukrywanym sceptycyzmem.

– Tak, szejku. – Ali ben Imran kiwnął głową. – Poza przytoczonymi argumentami jest jeszcze jeden, który przemawia

do mnie znacznie bardziej: to łajdak, jakich mało. Zawożąc list do biskupa Coimbry, raczej nie mógł spodziewać się wynagrodzenia, a jego interesuje przede wszystkim złoto. To człek cyniczny i obłudny do szpiku kości, ale jego chciwość jest szczerą.

– Typowy chrześcijanin – mruknął Zidan. I dodał głośniejszym głosem: – Nie podejrzewacie, że może być szpiegiem wysłanym z tym listem, aby dotrzeć do naszego bractwa?

– Nie, szejku. – Tym razem Ali ben Imran nie potrzebował czasu do namysłu. – Przez te kilka dni nasi ludzie dokładnie go sprawdzili. Nazywa się Alves da Silva. I, co na początku nas zmartwiło, należy do Zakonu Rycerzy Chrystusa.

Zidan poruszył się niespokojnie, ale nakib uspokoił go gestem dłoni.

– Rychło dowiedzieliśmy się, że nie ma powodów do obaw. Wielkim mistrzem Zakonu jest Henryk, syn króla Jana I. Otóż książę Henryk wręcz nienawidzi da Silvy. Uważa go za człowieka pełnego pychy i zła. Parę lat temu ogłosił, że nie ma dla niego miejsca w szeregach Rycerzy Chrystusa, i przegnał precz. Od tej pory Alves da Silva nie rusza się ze swojego zamku w pobliżu Leiry. Upija się winem, cudzołoży z chłopkami i gnębi poddanych. Otacza go banda zbirów takich samych jak on. Mówi się, że zamaskowani napadają na kupców i łupią podróżnych, aby ich pan miał za co nurzać się w grzechu.

Szejk pokiwał głową.

– A jakiej sumy oczekuje ten łotr za oryginał listu? – spytał.

– Ogromnej – odezwał się milczący dotąd Abu Said. – Ale nie ma zmartwienia, zajmę się tym, przygotowałem już pieniądze. Czekam tylko na twoją zgodę, szejku. Pojutrze moi zaufani wypłacą Portugalczykowi w oberży w Ceucie połowę kwoty, resztę otrzymywać będzie co roku, w równych częściach, pod warunkiem, że przez najbliższe cztery lata nikt w świecie chrześcijan nie dowie się o przepowiedni.

– Twoja kupiecka sława nie jest przesadzona – rzekł Zidan z uznaniem. – Widzę jednak, że poza talentem handlowym masz dar zręcznej gry politycznej.

Abu Said zaczerwienił się z dumy i zgiął kark w pokłonie.

– Rozważcie, bracia... – szejek zwrócił się do obu swoich gości – dotychczas nie znaleźliśmy pewnych szczegółów proroctwa arby, które ujawnia ten list. O ile pergamin jest wierną kopią pisma przeklętego emira, to możemy zakładać, że następna sposobność zdrady wiary Mahometa i próby pojednania islamu z religią niewiernych pojawi się w tysiąc czterysta czterdziestym czwartym roku, czyli, jak dobrze wyliczył Abu Said, za cztery lata.

– *Allahu akbar* – szepnęli obydwaj goście.

– Przeklęty Al-Hakan pisze w liście, że wysłała pierwszego wybrańca do kalifa pod eskortą Farisa, naszego świętego ojca, niech błogosławione będzie jego imię. Niechybnie to on zgładził człowieka ze znamieniem arby, wypowiadając posłuszeństwo emirowi, który chciał zdradzić wiarę Proroka. Tym samym pierwsza próba pojednania, o jakim mówi proroctwo, się nie udała. Co nie znaczy – szejek uniósł w górę wyprostowany palec wskazujący – że nie uda się kolejna. Za cztery lata może tego dokonać drugi wybrańca. List twierdzi, że jest królewskiej krwi, urodził się z rodziców różnych wyznań i ma znamię na czole: zmarszczkę w kształcie arby, czyli czwórki, tuż nad prawą brwią. Musimy tego człowieka odnaleźć. Taka jest nasza święta powinność.

– *Allah jahdik wa jahdina* – rzekli jednocześnie Abu Said i Ali ben Imran. Oby Allah prowadził ciebie i nas.

Szejek Zidan uniósł dłonie w geście braterskiego pozdrowienia.

– Potrzebujemy oryginału tego listu – powiedział dobitnie – aby go porównać z treścią pergaminu, ale również po to, aby pokazać pobożnym władcom w krajach islamu pamiątkę spisana przez zdrajcę, ale zawierającą imię Farisa, naszego ojca i przewodnika. To nam pomoże zdobyć fundusze na bractwo Bokira broniące wiary Proroka dziś i za tysiąc lat. Niech Allah pomnaża twoje dobra, hojny Abu Saidzie. – Zidan położył rękę na sercu. – Ale skarbiec jednego kupca to zbyt mało na naszą misję.

– Kupcie ten list – zdecydował. – A potem wyślijcie zaufanych ludzi na dwory królewskie Europy i świata wiernych. Mamy cztery

lata, aby znaleźć drugiego wybrańca. Jego posłannictwo pojednania chrześcijaństwa z islamem nie może się udać.

Rozdział 39

A jednak się udało, pomyślał czarnowłosy młodzieniec, szybko odwracając wzrok w stronę nurtu Cisy widocznej z okien zamku, aby dostojni posłowie w turbanach nie dostrzegli w jego oczach błysku triumfu. Rzeka leniwie toczyła swoje szarobłękitne wody, prowadząc je korytarzem letniej zieleni zarośli i połyskując tysiącem refleksów południa. Nie bez przyczyny Segedyn, przez który przepływała, nazywany był najbardziej słonecznym grodem królestwa Węgier.

Wisła, nad którą dorastał młody człowiek o kruczych włosach, nie była tak urodziwa. Od jak dawna jej nie widział?

Miał dziesięć lat, gdy zamiast z innymi pacholętami pluskać się na płyciźnie u stóp Wawelu, przywdział uroczysty strój i szczerozłotą koronę, zostając władcą Polski. Dzieci nad rzeką oniemiały na widok jego orszaku – pełnego przepychu biskupów, najznakomitszych panów i kwiatu rycerstwa, gotowych na każde skinienie króla chłopca. Wszak był pomazańcem bożym, pierworodnym synem Władysława Jagiełły, po którym odziedziczył imię i berło.

Kiedy miał szesnaście lat, w sali tronowej krakowskiego zamku klękali przed nim magnaci węgierscy, błagając, aby został również ich monarchą. Nie chciał tego. Nad Dunajem czekał przymus ożenku z Elżbietą, wdową po Albrechcie, która była dużo starsza, a na dodatek nosiła w łonie dziecko swojego zmarłego niedawno męża. A jakby tego było mało, z całego serca nienawidziła Polaków i ich szesnastoletniego króla, z którym miała stanąć na ślubnym kobiercu.

Ale nie to było najgorsze. Najgorszy był wzrok wysłanników sultana Murada II, którzy dosłownie kilka dni wcześniej przybyli do Krakowa. Stali teraz w bocznej nawie wawelskiej sali tronowej i skamieniali z lęku wpatrywali się we Władysława rozmawiającego z klęczącymi Węgrami, choć on sam nie miał odwagi spojrzeć w ich stronę.

Poselstwo tureckie zdumiało wszystkich. Murad II – pan połowy świata, którego armie deptały południe Europy – nieoczekiwanie zwrócił się do chłopca na tronie w dalekiej Polsce z pokorną prośbą o sojusz. Władca potężnego imperium osmańskiego oferował braterstwo, wspólne okiełznanie Habsburgów wiecznie głodnych wojny i władzy, a potem wieczysty pokój i pojednanie. Państw i religii. Polski i Turcji. Chrześcijaństwa i islamu.

Gdyby szesnastoletni Władysław przyjął tę propozycję, zapewniłby swojemu krajowi prymat na kontynencie, sobie zaś chwałę jednego z najpotężniejszych władców piętnastowiecznego świata. Dlatego posłowie stojący w bocznej nawie żarliwie modlili się do Allaha, aby dał młodemu królowi mądrość. Ale Allah ich nie wysłuchał.

Wkrótce potem skołowany przez stronników papieża Władysław przyjął koronę węgierską. Trzeba ją było wydobyć z grobu świętego Stefana, bo wszystkie insygnia królewskie wykradła Elżbieta, która ogłosiła władcą swojego właśnie narodzonego syna. Zamiast welonem zakryła twarz przyłbicą i rozpętała zajadłą kampanię militarną przeciwko Polakom. Ale kontrakt madziarski miał jeszcze gorszą odsłonę: nowy król zobowiązał się do wypędzenia z sąsiedniej Bułgarii Turków, którzy zagrażali granicom Węgier. Tych samych Turków, którzy niedawno przywieźli do Krakowa przyjaźń, pokój i perspektywę polskiej potęgi.

Zamiast pojednania religie krzyża i półksiężycy znów rozpoczęły świętą wojnę. Znów rozkwitła nienawiść, lała się krew, siedziby ludzkie zamieniano w dymiące zgliszcza, a dzieci w sieroty. Polska, pozbawiona króla przebywającego na Węgrzech, pogrążała się w chaosie. Spuścizna Jagiełły z dnia na dzień coraz bardziej chyliła się ku upadkowi: magnaci przejmowali dobra koronne, a skarb

na Wawelu płacił gigantyczne koszty wojny, która z polską racją stanu nie miała nic wspólnego. No, może tylko to, że wyraźnie jej szkodziła.

I wtedy wydarzył się kolejny cud: po wielomiesięcznej kampanii wyniszczającej wojska polskie i węgierskie sułtan Murad II ponownie zaproponował Władysławowi pokój. Do stołu usiedli 1 sierpnia 1444 roku w Segedynie.

– Przekazaj królu, jasny panie – najstarszy z dostojników tureckich, o długiej białej brodzie, odezwał się z orientalną uniżonością, wrywając Władysława z rozmyślań o nadwiślańskich pejzażach Krakowa i błędach, jakie popełnił, godząc się na węgierską koronę i wojnę – czy zezwolisz nam, pokornym sługom, oznajmić ci słowa naszego władcy sułtana Murada?

Władysław powrócił wzrokiem znad Cisy, raz jeszcze spojrzął z ukrywanym triumfem na dokument traktatu leżący na ciężkim dębowym stole i dał dłonią znak wyrażający przyzwolenie. Miał dopiero dwadzieścia lat, ale od dziesięciu zasiadał na tronie, więc monarsze gesty nie były mu obce.

– Otóż wolą naszego władcy Murada II – zaczął uroczyście pasza turecki – jest, aby pokój dziś zawarty, podpisany i zaprzysiężony, nigdy nie został zerwany. Traktat gwarantuje go na dziesięć lat, ale największym z pragnień mojego pana jest, aby zamieniły się one w dziesięć stuleci i dziesięć tysiącleci. – Starzec pokłonił się trzykrotnie, dotykając turbanem dębowego blatu. – Jesteś, dostojny królu, najjaśniejszym promieniem nadziei na pokój kontynentu i świata. Na pojednanie państw i wyznań. Wierzymy w nie, tak jak wierzył twój wielki ojciec Władysław Jagiełło, walcząc pod Grunwaldem ramię w ramię z wojownikami Mahometa, a wcześniej dzielił chleb z Mamajem, muzułmańskim władcą zachodniej części Złotej Ordy. Wierzymy w twoją wielką moc i posłannictwo, synu Jagiełłowy, który przyniesiesz pokój po wsze czasy i wsze granice. – Pasza powtórzył swoje trzy pokłony z jeszcze większą żarliwością.

Władysław słuchał w skupieniu. On również wierzył, że traktat w Segedynie jest darem Boga, choć nadal nie rozumiał, dlaczego

sułtan dążył do jego zawarcia. Wszak miał przewagę liczebną, mógł zgnieść polsko-węgierską armię jak garść orzechów. Jakim cudem przystał na warunki, które nie dawały Turcji żadnych korzyści? Dlaczego?

– Dlatego – kontynuował pasza z nabożeństwem, jakby odczytywał sury Koranu – nasz czcigodny władca uznał, że z woli Boga nie wzniesie więcej miecza w tej wojnie. Mędracy naszej wiary, których umysły rozjaśnia sam Allah, prawią, że islam wywodzi się ze słowa *salam*, pokój. Niech on zapanuje.

Młody król przez chwilę zapomniał o dostojności majestatu i jego twarz rozpromienił uśmiech.

– Niech Bóg błogosławi te słowa.

Muzułmanie schylili głowy, szepcząc to samo w swoim języku. A kiedy ceremonia w Segedynie dobiegała końca, stary pasza rzekł na pożegnanie:

– Dziś jeszcze, najjaśniejszy królu, wraz z armią wracamy do Adrianopola. Murad II, pan naszych karków, po szczęśliwym przepłynięciu cieśnin zamierza – minister zawiesił głos, jakby przez moment ważył decyzję swego władcy – zrzec się tytułu oraz zwierzchności sułtana na rzecz swojego dwunastoletniego syna. Ma to przypieczętować jego przysięgę zaniechania wojen i pojednania z chrześcijaństwem.

Władysław Jagiellończyk po raz drugi w ciągu godziny zapomniał o królewskim obowiązku okazywania powściągliwości i w bezgranicznym zdumieniu uniósł gęste, czarne brwi. Prawa z nich niemal zakryła znamię na czole, do złudzenia przypominające cyfrę cztery.

Rozdział 40

Impet, z jakim legat papieski Julian Cesarini wtargnął do komnaty Władysława Jagiellończyka w Segedynie, da się porównać tylko z huraganem. Dwaj rycerze ze straży przybocznej króla z trudem odzyskali równowagę, pchnięci przez skrzydła drzwi, i w tej samej chwili sięgnęli po miecze, ale powstrzymały ich kardynalska szata intruza i gest młodego monarchy nakazujący zachowanie spokoju. Pokłonili się i wyszli. Zanim drzwi – tym razem potraktowane łagodniej – zdążyły się domknąć, legat spiorunował króla wzrokiem i wykrzyknął:

– Ten pokój musi zostać zerwany! To hańba!

– A o czyjej hańbie mówisz, eminencjo? – spytał spokojnie Władysław. – Tureckiej? Lak na traktacie nie zdążył jeszcze wyschnąć, zatem zrozumiałym jest, żeś nie zdążył go przeczytać. Uczyń to, zanim ponownie podniesiesz głos. Traktat dziś zawarty nie tylko kończy wojnę, która niechybnie zamieniłaby się w naszą klęskę, ale też daje nadzieję na trwałe pojednanie. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, eminencjo, że to Murad II poprosił o pokój, po czym przystał na wszystkie nasze warunki, choć, Bogiem a prawdą, to on powinien je stawiać. Gdyby zechciał, mógłby nas zetrzeć na proch. Zatem waż słowa, kardynale. – W ostatnim zdaniu Władysława zabrzmiała nuta ostrzeżenia.

Cesarini trzepnął rękawicami o blat stołu, a potem wyciągnął je oskarżycielsko w stronę króla.

– Turków można pokonać. Wiesz o tym, panie. Pogromiłeś ich nie raz w ciągu ostatnich miesięcy.

– Można – zgodził się Władysław. – Pod warunkiem, że sprosta

się ich liczebności. Dziś, żeby stanąć w polu przeciwko wojskom Murada, potrzebuję siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Strudzonych i zniechęconych obcą wojną.

– Nieraz się zdarzało – odparł Cesarini – że rycerstwo chrześcijańskie gromiło pohańców, mimo ich znacznej przewagi. A może – legat papieski spojrzał badawczo na młodego władcę – brakuje wam doświadczenia albo... – chciał powiedzieć „odwagi”, ale zreflektował się w porę – albo... ducha walki.

– I to prawda – Władysław skinął głową. – Rzekłem ci, kardynale, że to nie nasza wojna. Każdy polski rycerz ochoczo stanie przeciwko dziesięciu, jeśli broni własnych dzieci, domu i ziemi. Ale czy równie ochoczo ruszy na wroga, który z dobrej woli składa oręż i chce odejść w pokoju? Moi ludzie nie widzieli Polski od lat. Walczyli o węgierską i waszą – wyciągnął w stronę Cesariniego palec wskazujący – papieską sprawę, bo tak im nakazywał król i honor. Dziś mogą wracać do domów. Wyjrzyj przez okno, eminencjo: świętują. Pokój, o który poprosili Turcy, sprawił, że nie stracili ani honoru, ani króla.

– Są chrześcijanami! – Cesarini znów zagrzemiał jak z ambony. – Wojna, a nawet śmierć za wiarę jest ich obowiązkiem.

Władysław pokiwał głową.

– Najlepiej od razu śmierć. Bo ta wojna i tak by się nią skończyła. Dla nas wszystkich. Wiesz o tym dobrze, kardynale. Dowodzisz własną chorągwią, w Niemczech bywałeś w bitwach z husytami. Znasz to rzemiosło. Słyszysz też z niepospolitego rozumu. Jestem pewien, że w głębi duszy masz świadomość, że traktat pokojowy zawarty z sułtanem to dar od Boga.

Legat papieski przez chwilę pograżył się w zadumie, po czym zmienił front.

– Miłościwy królu – rzekł cicho. – Podziwiam twoją roztropność, niespotykaną w tak młodym wieku. I szanuję rację – Cesarini lekko się pokłonił – ale zechciej rozważyć wszystko raz jeszcze. Murad II poprosił cię o pokój, bo jest słaby. To najlepszy moment, aby zadać mu ostateczny cios. Na lądzie i morzu. Przywożę wolę wsparcia twojej armii przez liczne hufce rycerstwa. Chcą dołączyć

do nas chorągwie krzyżowców z całej Europy, a także Zakon Smoka, któremu przewodzi budzący wśród Turków grozę gospodar wołoski Wład, zwany Drakulą. Wszyscy przyjdą pod twoją komendę. Jego świątobliwość papież Eugeniusz Czwarty gwarantuje ci dwadzieścia zbrojnych galer, które strzec będą cieśnin prowadzących na Morze Czarne. Chrześcijaństwo zatriumfuje nad poganami po wieczne czasy. A ty, królu, staniesz się przywódcą ostatecznej, najważniejszej krucjaty. Staniesz się – Cesarini podniósł się z krzesła, aby nadać swoim słowom odpowiedni patos – drugim Aleksandrem Wielkim.

Władysław Jagiellończyk milczał.

– Zerwiesz pokój? – upewnił się legat.

– Mogę uczynić wszystko – odparł młody król. – Jutro dotrzymać pola Muradowi i oddać życie. Ale nie mogę dopuścić się krzywoprzysięstwa.

– Zerwij ten traktat, królu – rzekł dobitnie Cesarini.

– Nie mogę.

– Musisz – syknął kardynał, zrzucając maskę łagodności i nie wiedząc, że mimo olbrzymich talentów dyplomatycznych użył słowa, którego nigdy użyć nie powinien. Władysław popatrzył na niego uważnie i nic nie mówiąc, wyszedł z komnaty.

Dwa tygodnie później w marokańskim Fezie szejk Zidan, słuchając wieści przywiezionych przez kuriera bractwa Bokira, w jednej chwili postarzał się o kilka lat. Ciężko opadł na poduszki kryte perskim złotogłowiem i rozłożone na misternie rzeźbionej ławie. Zbladł i mimowolnie zakrył dłonią oczy, jakby nie chciał widzieć tego, co teraz miało nastąpić.

– A zatem przepowiednia się sprawdziła – rzekł ciężko. – W roku tysiąc czterysta czterdziestym czwartym, który zapamiętamy po kres czasu, sułtan Murad oddał niewiernym nie tylko potęgę imperium osmańskiego, ale i własną duszę. Niech będzie przeklęty. Zawarte w Segedynie pojednanie z chrześcijaństwem hańbi nie tylko jego, ale cały islam.

Kupiec Abu Said, który wczoraj wieczorem odebrał wiadomości

od kuriera i skoro świt pospieszył przekazać je przywódcy bractwa, wiedział, że świętemu mężowi nie wolno przerywać, dlatego z niecierpliwością czekał na zakończenie jego żalów, po czym rzekł:

– Nie trap się, szejku. Pojednanie z chrześcijaństwem istotnie nastąpiło, ale trwało zaledwie trzy dni. Czwartego sierpnia niewierni zerwali pokój w Segedynie. Ich listy dotarły do Murada tuż po jego powrocie do Adrianopola.

Zidan zerwał się na równe nogi.

– O czym ty mówisz!?

– Klnę się na Allaha, że to prawda – rzekł kupiec. – Szpiedzy donoszą, że tuż po podpisaniu traktatu króla niewiernych, który nosi korony Polski i Węgier, nawiedził wysłannik papieża. Był silnie wzburzony. Żądał zerwania pokoju. Krzyczał tak, że słysząc go było na zamkowych krużgankach. Ponoć kiedy opuścił komnatę Władysława Jagiellończyka, miał nieprzytomny wzrok i mówił sam do siebie, że król albo się podporządkuje woli papieża, albo zostanie obłożony ekskomuniką. Dla chrześcijan to straszna kara.

– Nic z tego nie rozumiem. – Zidan z powrotem usiadł na poduszkach, kręcąc z niedowierzaniem głową. – Przecież zwierzchnik Kościoła niewiernych powinien odprawić nabożeństwo dziękczynne w intencji tego pokoju i dziękować swojemu Bogu, że tak się stało. W istocie Murad ocalił chrześcijan przed niechybną zagładą. Tymczasem papież się oburza? Nie rozumiem – powtórzył i zaczął odliczać, używając do tego kolejnych palców lewej dłoni: – sułtan Murad ma potęgę zdolną zniszczyć giaurów, a zamiast tego prosi ich o pokój. Król Władysław podpisuje traktat zbawienny dla jego wojsk, a zamiast dotrzymać warunków choćby po to, aby odzyskać siły, po trzech dniach go zrywa. Papież Eugeniusz zamiast cieszyć się z ocalenia tysięcy chrześcijańskich dusz, dąży do ich unicestwienia w wojnie z Turkami. Powiedz mi, Abu Saidzie, czy oni wszyscy tam postradali rozum?

– Pobudek sułtana i króla nie zrozumieć nigdy – rzekł kupiec. – Co do papieża sprawa jest prostsza.

– Czyżby był aż tak żarliwym obrońcą wiary Chrystusa? – spytał Zidan.

Twarz kupca wykrzywił szyderczy uśmiech.

– Myślę, że sprzedałby swojego Jezusa taniej niż Judasz – odparł Abu Said, a zobaczywszy zdziwione spojrzenie szejka, dodał: – Pozwól panie, że to wyjaśnię językiem handlowym. Otóż Turcy mają przymierze z Genuą. To nader kosztowny, ale i opłacalny układ. Wojska sułtana stacjonujące na południu Europy wpuszczają na swój teren tylko karawany kupców genueńskich. Gwarantują im spokojny przejazd z towarami nad Morze Czarne i za Bosfor, a dalej na Bliski Wschód i do Azji. Ale to nie wszystko. Poza bezpieczeństwem szlaków handlowych Turcy dają Genueńczykom coś jeszcze: wyłączność. Na ziemię przez nich kontrolowane nie wjedzie żaden inny towar. Jak się domyślasz, szejku, rujnuje to fortuny cechów kupieckich Europy. Cierpią zwłaszcza Wenecjanie, najwięksi konkurenci Genui na rynkach wschodnich. A papież Eugeniusz chodzi na pasku Wenecji. Dlatego parę lat temu zwołał krucjatę przeciwko sułtanowi i wciągnął w nią tego bezmyślnego młokosa Władysława Jagiellończyka. Dlatego też pokój w Segedynie jest mu nie na rękę, bo nie służy interesom Wenecji, zainteresowanej zniszczeniem imperium osmańskiego. Papież, czcigodny szejku, robi to dla srebrników, nie dla wiary.

Zidan słuchał z zainteresowaniem, a kiedy kupiec umilkł, powiedział:

– Dziękuję ci, bracie, za rozjaśnienie myśli. Te najczarniejsze odleciały już ode mnie jak spłoszone stado wron. Pozostała jedna.

– Wyjaw mi ją, szejku – rzekł Abu Said – a uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby i ją przepędzić.

– Obawiam się, że to będzie najtrudniejsze, bracie – rzekł cicho Zidan – gdyż rzecz dotyczy ciebie.

Kupiec zbladł. Nie śmiał się odezwać, stał zatem z rozszerzonymi oczami, jakby chciał lepiej ujrzeć przyczynę niezadowolenia świętego męża. Czuł, jak zalewa go pot i ogarnia lęk. Po kilku chwilach długich jak wieki Zidan przemówił:

– Przed czterema laty w tej komnacie rozkazałem wam wyprawić wysłanników na dwory Europy i świata, którzy mieli

znaleźć drugiego wybrańca. Podjąłeś się przeprowadzenia tej misji, dla dobra bractwa Bokira i islamu. Dobrałeś najlepszych ludzi i nie pożalowałeś złota. Wiedzieliście z listu kupionego od tego portugalskiego łajdaka, że drugi wybraniec ma w sobie królewską krew i nosi na czole zamię arby. Odpowiedz więc, jak to się stało, że przeoczyliście fakt, iż jest nim polski król... Dlaczego pozwoliliście, aby doczekał roku tysiąc czterysta czterdziestego czwartego, daty drugiej sposobności, o której mówi przepowiednia? Moje myśli zaczernia to, że dopuściłeś, Abu Saidzie, do jej spełnienia i pojednania chrześcijaństwa z islamem, które niemal się powiodło.

Kupiec zgiął się w pokornym pokłonie i trwał w nim tak długo, aż kilka kropel potu spadło z jego czoła na kamienną posadzkę. Wreszcie przemówił, nie podnosząc głowy:

– Powiedz słowo, szejku, a przyjmę z twoich rąk jedwabny sznur, przeznaczony dla tych członków Bokiry, którzy zawiedli bractwo. Bez wahania skończę swoje życie, rozkazując sługom, aby mnie nim udusili, jak każe nasz kodeks. Wcześniej jednak uczyni mi łaskę: błagam o posłuchanie.

– Mów – rzekł Zidan.

– Przed czterema laty zgodnie z twoją wolą, szejku, wysłannicy Bokiry ruszyli również na północ Europy. Jeden z nich, Abdul Malik, znający trochę łacinę i języki Słowian, dotarł na Węgry, do Czech i wreszcie po wielu miesiącach do Polski. Nie szczędził pieniędzy na kupno informacji, rychło więc pozyskał kontakt, a potem przyjaźń i zaufanie tatarskich wyznawców Proroka służących na krakowskim dworze.

Był wśród nich niejaki Pelhowicz, stary setnik Ordy Nogajskiej walczący z Jagiełłą pod Grunwaldem, przygarnięty potem do służby przez jego pierworodnego syna Władysława. Pelhowicz był lojalnym poddanym polskiego monarchy, ale kiedy mój człowiek przybliżył mu posłannictwo bractwa, wierność wierze Mahometa wzięła górę i sędziwy Tatar wyjawiał zaskakującą prawdę: człowiekiem ze znamieniem arby nad prawą brwią był nikt inny tylko Władysław Jagiellończyk.

Wszystko się zgadzało. Królewicz należał do dwóch religii; Jagiełło przed koronacją na króla Polski wyznawał pogańskie bóstwa litewskie, a jego czwarta żona Zofia, matka Władysława, była chrześcijanką. Chłopiec urodził się ze znamieniem na czole, co uznano za klątwę kapłanów starej wiary jego ojca. Dowiedział się o tym ówczesny papież Marcin V i odmówił podawania go do chrztu. Tak twierdził Pelhowicz, ale Abu Malik, który w Polsce studiował kroniki, zakłada hipotezę, że papież wiedział o proroctwie pojednania.

– I? – szejek był wyraźnie poruszony.

– I nie przyjechał do Krakowa na ceremonię nadania imienia, aby nie robić zbędnego zamieszania wokół królewicza. Obecność papieża w roli ojca chrzestnego z pewnością ściągnęłaby na Wawel mnóstwo gości z całej Europy i nie tylko. Tym samym zagadkowe znamię syna Jagiełły stałoby się tajemnicą publiczną. Mówiono by o nim na wszystkich dworach, co szybko dotarłoby i do naszych uszu. Tymczasem papież Marcin – zdaniem Abdul Malika – doskonale zdawał sobie sprawę, że islam wyznaje dżihad i gotów jest zrobić wszystko, aby udaremnić pojednanie. Wszystko, łącznie ze zgładzeniem małego Władysława choćby w kołysce. Ponoć ów papież znał nie tylko prorocstwo arby, ale również naszą religię i zasady. Wiedział, co to muzułmański tarikat, ścieżka wiary, i zdawał sobie sprawę, że jeśli na tej ścieżce znajduje się kamień, to zrobimy wszystko, aby go usunąć. Dlatego nie przyjechał do Krakowa i wyznaczył zastępcę, który miał podawać królewicza do chrztu. Z woli papieża był nim archidiakon poznański Mikołaj Głębocki.

– Skąd to wszystko wiesz? – spytał Zidan.

– Już wyjaśniam, szejku. – W głosie Abu Saida zabrzmiała nuta nadziei, że opowieść wybawi go od jedwabnego sznura.

– Otóż mój wysłannik po kilku tygodniach pobytu w Polsce mocno zaniemógł. To kraj o przekłętym klimacie. Abdul Malik przeziębził się i legł w łóżu. W ciągu dnia spisywał wszystko, co odkrył, wieczorami trawiła go gorączka. Nim minął tydzień, zmarł.

– A może ktoś mu w tym pomógł? – Zidan słynął z podejrzliwości.

– Nie, szejku. To naturalna śmierć. Król Jagiełło też opuścił ten świat z powodu przeziębienia, choć był przyzwyczajony do zdradliwych polskich chłódów. Pod koniec kwietnia poszedł do lasu posłuchać śpiewu słowików, chwycił go ziąb i nic nie pomogło. Miejsce na tronie musiał zająć dziesięcioletni Władysław.

– Co było dalej z naszą misją? – Szejk sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

– Po śmierci Abdula Malika Pelhowicz nie wiedział, co czynić – kontynuował kupiec. – Znalazł jego arabskie zapiski i obawiając się oskarżeń o szpiegostwo na rzecz naszych, początkowo chciał je spalić, potem ukrył na długi czas. Ale nie dawały mu spokoju. Wreszcie, gdy Władysław został królem Węgier i pociągnął wraz z dworem nad Dunaj, nadarzyła się nie lada sposobność: Pelhowicz zaszył dokumenty Malika w skórzanym kaftanie, odział w niego zaufanego Tatara i wysłał go tam, gdzie było mu najbliżej do islamu: czyli do obozu wojsk sułtana Murada II, stacjonujących w pobliżu południowej granicy Węgier. Posłaniec strawił trochę czasu, próbując przedostać się przez kraj ogarnięty wojną, wreszcie dotarł do celu, kiedy sytuacja uspokoiła się przed zawarciem pokoju w Segedynie. Na szczęście zapiski Abdul Malika trafiły do rąk Karadży-paszy, wiernego sługi bractwa Bokira, który natychmiast przekazał je mnie. Jego kurier przybył z Europy wczoraj wieczorem, przynosząc wieści o pokoju i zerwaniu traktatu po trzech dniach. Ten sam człowiek przywiózł mi sakwę z raportem na temat drugiego wybrańca. Abdul Malik spisał ten raport tuż przed śmiercią. Studiowałem te zapiski przez całą noc, szejku, nie zmrużywszy oka.

Zidan patrzył w przestrzeń.

– Prawda, którą wyjawileś, Abu Saidzie – rzekł po dłuższej chwili – oczyszcza cię z zarzutów zaniedbania misji, jak strumień obmywa piasek z dłoni. Stwierdzam to z ulgą i radością.

– *Tabarak Allah* – głos kupca zadrzał przy pozdrowieniu, które pobożny muzułmanin wypowiada, słysząc dobrą wiadomość.

Szejk podszedł do Abu Saida i głęboko spojrział mu w oczy.

– Allah był z nami – rzekł. – Ale wciąż mamy rok tysiąc czterysta czterdziesty czwarty, a drugi wybraniec ciągle żyje. Radźmy, co robić, bracie.

Rozdział 41

Strzała wypuszczona przez Karadzę-paszę opuściła cięciwę ze świstem, a potem poszybowała w niebo z prędkością trudną do uchwycenia przez ludzkie oko. Powróciła dopiero po dłuższej chwili, spadając kilkaset kroków dalej wraz z gołębiem, którego przeszła na wylot. Stojący obok olbrzymi janczar w jasnym żupanie, czerwonych szerokich spodniach i kierei tego samego koloru, długiej do kolan, ale z krótkimi rękawami sięgającymi łokci, cmoknął z uznaniem.

– Masz celne oko, panie – powiedział.

Obyczaj zabraniał paszy dziękować osobie niższego stanu, dlatego Karadza – wdzięczny w duchu za dobre słowo – skierował uwagę na broń, z której strzelał.

– Spójrz – rzekł do olbrzyma. – To łuk refleksyjny używany przez Tatarów. Krótki i inaczej wygięty niż nasz, ale piekielnie szybki, celny i poręczny. Jeźdźcy ordy, ścigani przez wrogów, w pełnym galopie strzelają z tych łuków do tyłu i na odległość stu kroków nie chybiają nigdy.

Janczar delikatnie ujął podaną mu tatarską broń. W jego potężnych dłoniach łuk wyglądał jak dziecięca zabawka. Przyglądał mu się uprzejmie, dumny, że sam dowódca spahisów – słynnej tureckiej jazdy – zaszczyca go rozmową o walce stanowiącej dla janczarów treść i sens życia.

– Zaiste, zaiste – powtarzał, bo nic innego nie przychodziło mu do głowy.

– Szukam mistrza, który wykona identyczną broń dla moich ludzi – wyznał Karadza-pasza. – Czy wiesz, że doświadczony

jeździec turecki traci około dziesięciu strzał na trafienie przeciwnika, podczas gdy Tatar jadąc konno, zabija jednego wroga jedną strzałą? Wszystko dzięki konstrukcji i łatwości obsługi tego łuku. Co o tym sądzisz, Chazerze?

Olbrzymowi wyraźnie pochlebiało, że szlachetny pasza pyta go o zdanie. Wódz spahisów był jednym z siedmiu bołuków, namiestników doborowej jazdy sułtana, ale pozostałych sześciu okazywało mu szacunek i posłuszeństwo. Karadża był niezwykle biegły w sztuce wojennej, którą nieustannie doskonalił i obdarzał namiętnością większą niż najbardziej urodziwe hurysy. Nawet dziś, podczas prywatnej przejażdżki za mury miasta, miał na sobie perską zbroję nazywaną „czterema zwierciadłami” i był w pełni uzbrojony, jakby ruszał na wojnę.

Urodzony wojownik, pomyślał potężny janczar i rzekł:

– Uważam, panie, że twoja jazda powinna mieć takie łuki. Można je z łatwością troczyć do siodeł, o tak. – Zademonstrował, podchodząc do wierzchowca, na którym przyjechał spotkać się z paszą.

– Rad jestem, że tak myślisz, Chazerze. Wysoko cenię twoje doświadczenie wojenne i radę – odparł Karadża. – Ale nie o łukach chciałem dziś z tobą rozmawiać.

Olbrzymi wojownik w sekundę przyjął postawę oznajmiającą gotowość na rozkazy.

– Jak ci wiadomo, Chazerze – zaczął pasza – ty i ja w państwie i armii sułtana należymy do różnych kast.

Janczar w milczeniu skinął głową.

– Ale tu, poza murami – kontynuował dowódca jazdy – pod niebem Proroka jesteśmy takimi samymi sługami tego samego bractwa Bokira. Obyśmy dzięki niemu trafili do rajy, gdzie zawsze będziemy równi.

– Allah jest wielki – odrzekł janczar.

– Wiem, Chazerze, jak jesteś wierny i oddany wierze Mahometa, choć do przyjęcia islamu zostałeś zmuszony siłą.

– Byłem wtedy chłopcem – wyjaśnił olbrzym. – Miałem siedem lat, gdy zabrano mnie z domu, bardzo daleko stąd, by wyszkolić

na wojownika. Tam zostałem ukształtowany. Moim ojcem jest Allah, a matką walka. Nie chcę innego życia. Pragnę jedynie dwóch rzeczy: polec z honorem podczas bitwy, wcześniej wysławszy do piekła tylu niewiernych, ilu tylko zdołam.

– Jak na razie wychodzi ci tylko to drugie – roześmiał się pasza.
– Mimo że jesteś nad wyraz rośli, często w bitwie trudno dostrzec cię zza stosu trupów.

– Allah obdarzył mnie silną ręką i pozwolił wyćwiczyć zręczność, abym pracował na jego chwałę, jak umiem najlepiej – wyznał janczar. – Ale czasami mam przeczucie, że moim przeznaczeniem jest dokonać dla niego czegoś wyjątkowego.

– I ja w to wierzę – rzekł Karadża-pasza, choć stwierdzenie olbrzyma wydało mu się zuchwalstwem. – Będę prosił Boga, aby twoje imię: Kodża Chazer zapisało się w historii islamu po wiek wieków.

– Niech Allah błogosławi twoje słowa, panie – wzruszył się potężny wojownik. – Czy masz dla mnie jakieś rozkazy?

– Mam – odparł krótko dowódca jazdy. – Jak wiesz, w pierwszym dniu sierpnia sułtan Murad zawarł z niewiernymi traktat pokojowy w Segedynie, hańbiąc wiarę muzułmańską. Dziś rano odebrałem w tej sprawie listy z Maroka. Czcigodny szejek Zidan stojący na czele naszego bractwa, człowiek, któremu przysięgaliśmy absolutne posłuszeństwo, rozkazuje w tych listach...

– Wiem, panie. – Olbrzym uniósł otwartą dłoń, jakby chciał się przed czymś obronić. – Nigdy nie złamię przysięgi danej Bokirze, ale nie każ mi podnosić ręki na Murada. Byłem z nim w dziesiątkach bitew, to mój władca, ale i towarzysz broni. Stokroć wolę jedwabny sznur. Janczarzy z mojej orty dziś jeszcze, na moją prośbę, zrobią z niego użytek, pozbawiając mnie życia. Ale sułtana nie zabiję.

– Nie o to chodzi. – Karadża-pasza pochwalił w duchu lojalność potężnego wojownika, dorównującą jego wzrostowi i posturze. – Szejek Zidan nie każe ci zabijać Murada, chodzi o Władysława, króla Polski i Węgier. To kamień na ścieżce Proroka.

– Ale jak? – strapił się janczar.

– Będzie sposobność – uspokoił go Karadża-pasza. – Dziś po ostatniej modlitwie bejowie i wodzowie armii mają się spotkać w sali narad, aby wysłuchać woli syna Murada, sułtana Mehmeda, co do wojny z chrześcijanami po zerwaniu przez nich traktatu zawartego w Segedynie. Ufam, że mały sułtan okaże się wielkim władcą i wkrótce ruszymy za Morze Czarne.

– Cieśnin strzegą dwadzieścia dwie galery niewiernych dowodzone przez kardynała Francesco Condolmieriego. – Olbrzym nadal sprawiał wrażenie zmartwionego. – To nie lada wódz. Trudno pokonać go na morzu. Nawet gdy ma się flotę, a my jej nie mamy.

– Zostaw to strategom, Chazerze. – Namiestnik spahisów się uśmiechnął. – Pomyśl, jest październik. Lada dzień, może nawet lada godzina zerwą się silne jesienne wiatry, a wtedy okręty papieskie będą zmuszone rzucić kotwice. Gdyby Condolmieri rzeczywiście miał głowę na karku, unieruchomiłby galery na morzu, nie w cieśninach, gdzie staną się dla nas łatwym celem.

– Parę ort janczarów – Kodża Chazer dał się ponieść podnieceniu, po raz kolejny przerywając paszy – i zarzucimy ich ogniem z katapult ustawionych na obydwu brzegach.

– Ale wcześniej... – Karadża-pasza pogładził grzbiet tatarskiego łuku – marynarze kardynała posłużą nam za kukły na placu ćwiczeń.

– Jesteś wielkim wodzem, panie – rzekł janczar z niekłamany podziwem, składając pokłon.

– Wracajmy do najważniejszego. – Pasza gładko przełknął pochlebstwo. – Zapamiętaj, Chazerze, jeśli wojna z chrześcijanami powróci, jeśli dojdzie do otwartej bitwy, jeśli znajdziesz się w niej bliżej króla Władysława niż ja... zabij go. Na chwałę islamu, bractwa Bokira i własną.

Potężny wojownik pokłonił się jeszcze głębiej.

– Będę prosił Allaha, aby dał mi taką sposobność.

Kilka godzin później dostojnicy i wodzowie imperium osmańskiego

zgrupowali się w sali narad przed tronem, na którym zasiadł dwunastoletni Mehmed, sprawujący z woli Allaha po abdykacji ojca absolutną władzę sułtańską w państwie. Chłopiec milczał. Wszyscy czekali w narastającym napięciu na jego słowa, od których mógł zależeć los współczesnego im świata. Cisza dosłownie dzwoniła w uszach.

Przerwał ją dziecięcy głos sułtana, zwracającego się do ojca stojącego wśród zgromadzonych.

– Czcigodny Muradzie – powiedział chłopiec – podjąłem decyzję, że ruszamy na świętą wojnę z niewiernymi. Wobec czego wzywam cię, abyś wrócił na tron turecki.

– Nie mogę tego uczynić – odparł były sułtan. – Zrzekłem się władzy i ślubowałem nie walczyć więcej z chrześcijanami. Zerwanie pokoju w Segedynie nie zwalnia mnie z tego przyrzeczenia. Nie jestem już władcą imperium dynastii Osmanów. Teraz ty nim jesteś.

Chłopiec spojrział na niego i wypowiedział słowa, które zapisano potem we wszystkich kronikach: „Jeśli jesteś sułtanem – poprowadź swoją armię. Jeśli ja nim jestem, rozkazuję ci, abyś poprowadził moją”.

Przez salę przebiegł szmer podziwu.

Murad stał jak skamieniały. Mądrość syna, który w wieku dwunastu lat pokazał, że jest wielkim władcą, zaszklila mu oczy, a z serca przegnała hardość wszelkich przyrzeczeń. Na tyle głośno, aby usłyszeli go wszyscy, Murad rzekł do chłopca:

– Będzie, jak każesz, panie.

Rozdział 42

Jan Hunyady – wódz węgierski łączący w sobie odwagę lwa z przebiegłością lisa – dziesiąty raz tego ranka uniósł się w strzemionach, dziesiąty raz ocenił położenie wojsk, którymi dowodził, i dziesiąty raz doszedł do tego samego wniosku, co poprzednio: byli w pułapce.

Za plecami mieli fale Morza Czarnego i mury Warny. Z lewej strony bagna i jezioro Dewnia. Z prawej łańcuch wzgórz. Droga wyjścia z matni prowadziła tylko na wprost, pod lekkie wzniesienia, pod które można było podjechać bez specjalnego wysiłku, gdyby nie pewien szkopuł. Na ich szczytach stała potęga turecka licząca sześćdziesiąt tysięcy świetnie wyszkolonych, uzbrojonych i zaprawionych w bojach wojowników. W jednej chwili mogli spaść na osiemnaście tysięcy Polaków i Węgrów Hunyadyego, zamieniając ich we wspomnienie bezmyślnie zerwanego pokoju w Segedynie.

Mimo to czekali. Od trzech godzin stali nieporuszeni, licząc, że Hunyady – widząc swoje beznadziejne położenie – straci zimną krew i popełni błąd, przypuszczając atak pod górę. Ale to było niemożliwe: węgierski wódz nazywany przez Turków Przeklętym Janem nigdy nie tracił zimnej krwi i nie popełniał błędów. Trzykrotna przewaga armii Murada i jej o niebo lepsza pozycja na polu bitwy zdawały się nie robić na nim najmniejszego wrażenia.

Dlatego to oni nie wytrzymali. Lekka jazda sułtańska sfrunęła ze wzgórz dwoma stadami, ale obydwu połamano skrzydła. Wtedy ruszyli spahisi Karadży-paszy. Hunyady, patrząc na atak z drugiej

strony pola, nie potrafił stłumić podziwu dla ich bitewnej gracji, szyku i talentu wojennego.

Linia polsko-węgierska pękła jak sucha trzcina, a precyzyjna maszyna śmierci, jaką była doborowa turecka jazda, w kilka chwil wywołała niewyobrażalną panikę. Chorągwie wołoskie i kilka innych rozpięzchły się jak stado wróbli, w które wpadł jastrząb. Część wycięto na polu bitwy, inni uciekając potonęli w bagnach, jeszcze inni próbowali schronić się w Warnie, ale mieszczanie zamknęli przed nimi bramy. Przezorni Bułgarzy, z góry zakładając zwycięstwo sułtana, woleli uniknąć pytań, dlaczego udzielili pomocy jego wrogom.

Prawe skrzydło armii chrześcijan przestało istnieć.

Hunyady patrzył na triumf spahisów z kamienną twarzą. Wiedział, że w każdym starciu euforia sukcesu w pewnej magicznej chwili zamienia się w krótkie, ale za to pełne rozluźnienie i właśnie w tym jednym jedynym najważniejszym momencie trzeba przypuścić błyskawiczny kontratak. Dlatego badawczo przyglądał się apokalipsie na prawym skrzydle bitwy i czekał. W tej chwili niepokoiło go coś zupełnie innego: król.

Od dnia dysputy z legatem papieskim we Władysławie nastąpiła dziwna przemiana. Zamknął się w sobie, milczał, unikał rozmów. Szósty zmysł podpowiadał węgierskiemu wodzowi, że kryje się za tym coś tajemniczego, nie tylko niezadowolenie z zerwania pokoju w Segedynie. Władysław Jagiellończyk zachowywał się tak, jakby przegrał nie tylko ten traktat, ale i własne życie.

Kiedy do obozu dotarły wieści, że Turcy roznieśli flotę pilnującą cieśnin i przepłynęli Morze Czarne na genueńskich statkach, królowi nawet nie drgnęła powieka. Pokiwał głową, patrząc w przestrzeń, jakby widział tam spełnienie jakiejś przepowiedni, po czym dał rozkaz do wymarszu. Gdy wczoraj Murad II zastąpił im drogę pod Warną, Władysław przekazał dowództwo Hunyadyemu, każąc mu wyznaczyć sobie zadania w bitwie. Przeklęty Jan nie zastanawiał się długo. Nie był przekonany, czy dziwny stan króla daje gwarancję, że można na niego liczyć, ale rzekł krótko:

– Staniesz, miłościwy panie, w centrum pola, na czele dwóch chorągwi ciężkiego rycerstwa. Będziecie stanowić rezerwę taktyczną. Uderzysz lub nie. To będzie zależeć od przebiegu walki. Ale jeśli uderzysz, to tylko na mój znak. Bitwy wygrywa się, atakując w jednym jedynym najważniejszym momencie. Nie wcześniej i nie później. Pamiętaj o tym, panie.

Władysław w milczeniu skinął głową.

Hunyady patrzył teraz na niego, zadając sobie pytanie, czy wczorajsze skiniecie głową daje gwarancję niezawodności. Niby wszystko było w porządku. Chorągwie pancerne zajęły miejsce dokładnie tam, gdzie polecił. Król stanął na ich czele w lśniącej zbroi i sprawiał wrażenie pełnej gotowości, a jednak Jan Hunyady nie mógł pozbyć się dziwnego przeczucia, że coś jest nie tak. Władysław wydawał się nieobecny. Usiłował przepędzić tę myśl, ale nie ustępowała. Może dlatego, że król od rana tkwił w siodle z zamkniętą przyłbicą, zza której nie było widać jego twarzy? A może z powodu rumaka, który choć znany z doskonałego ułożenia, teraz grzebał kopytami i rżał z niepokojem, jakby dosiadał go ktoś inny?

Tymczasem spahisi na prawym skrzydle kontynuowali dzieło zagłady. Jeden jedyny najważniejszy moment wyczekiwany przez Hunyadyego zbliżał się coraz szybciej i oderwał jego myśli od króla. Widać było, jak w wodzu rośnie napięcie, jak napręża plecy i ramiona niczym drapieżnik przed atakiem na zwierzynę, wreszcie po raz jedenasty uniósł się w strzemionach i wykonał szeroki gest ręką, jakby zagarniał pół świata. Ciężkie chorągwie polsko-węgierskie ruszyły, sprawiając, że ziemia zadrżała.

Starcia obu elit piętnastowiecznej jazdy nie da się opisać. Spahisi – ćwiczeni w walce konnej od dzieciństwa – byli wojenną doskonałością, ale rycerstwo chrześcijańskie nie ustępowało im ani wyszkoleniem, ani obyciem w boju. Rezultat takich starć był zawsze niewiadomy, ale 10 listopada 1444 roku pod Warną w grę wchodziło coś jeszcze: jeden jedyny najważniejszy moment idealnie rozpoznany przez Jana Hunyadyego. Doborowa jazda turecka nie mogła dotrzymać pola jego rycerzom, bo w tej chwili była

kompletnie pijana triumfem. Ten w kilka minut przerodził się w pogrom.

Spahisi anatolijscy umierali w milczeniu, zajadle walcząc o przetrwanie, ale była to walka pozbawiona szans. Przenosili się zatem całymi dziesiątkami do rajy Proroka, gdzie czekał już na nich Karadża-pasza poległy na początku starcia.

Bitwa pod Warną z nieuchronnej klęski chrześcijan z minuty na minutę zamieniała się w ich zwycięstwo. Przeklęty Jan, który po raz kolejny zasłużył na swój przydomek, uporawszy się z jazdą anatolijską, z satysfakcją patrzył na jej dorzynanie i powrót chorągwi wołoskich, które runęły na obóz turecki, plądrując go w dzikim szale.

Wtedy Hunyady błyskawicznie przegrupował rycerstwo i runął na lewe skrzydło, zadając morderczy cios spahisom z Rumelii, którzy niebawem rozsypali się w nieładzie po polu bitwy, zostawiając na nim setki trupów. Obydwie flanki armii sułtana zostały doszczętnie rozbite. Trwał środek.

Janczarzy – otaczający Murada II, którego zatrzymali, bo chciał salwować się ucieczką – zaczęli umacniać swój słynny czworobok. Klęska nie robiła na nich wrażenia. Pracowali spokojnie, metodycznie szykując broń i poprawiając szaniec, do którego wiązali wielbłądy. Konie chrześcijan bały się ich panicznie, a taktyka janczarów była prosta: o islam mieli walczyć ludzie, zwierzęta i żywoły – skoro sam Allah zesłał dziś rano burzę i ulewę na wojska chrześcijan, pozostawiając swoich wiernych synów w słońcu, tak że nie spadła na nich nawet kropla deszczu.

Przeklęty Jan patrzył na ich pracę, wstrzymując wojsko. Teraz należało zaczekać. Uspokoić bitewną zadyszkę, sformować szyk i starannie przygotować się do ataku na doborową piechotę turecką, a potem wytracić ją do ostatniego człowieka. Janczarzy nie poddawali się nigdy i potrafili walczyć, nawet leżąc na polu bitwy z włócznią wbity w brzuch. Można ich było pokonać tylko rozważną siłą. Powoli i konsekwentnie.

Hunyady był panem sytuacji. Stając w strzemiionach, po raz dwunasty spojrzął na pobojuwisko i nagle chwycił się za głowę,

jakby dosięgnął go cios: król Władysław, który miał czekać na ostateczne uderzenie ciężkiej jazdy – o ile w ogóle będzie ono potrzebne – samowolnie ruszył z chorągwiami na janczarów.

Przeklęty Jan zdążył jeszcze krzyknąć: „Nie!”, aż przerażony koń stanął pod nim dęba, ale był to już tylko krzyk rozpacz. Pancerna konnica wbiła się w czworobok piechoty otaczający sułtana i nawet uczyniła w nim wyłom, ale dla janczarów opanowanie nieprzemyślanej szarży było dziecinnie proste. Precyzyjnie razili włóczniami konie, a kiedy te padały, zrzucając jeźdźców – zabijali leżących pojedynczym pchnięciem jataganu. Do likwidacji rumaka okutego żelazem i rycerza w pełnej zbroi potrzebowali tak naprawdę dwóch ruchów.

Wierzchowiec króla – rażony grotem – również zarył przednimi kolanami w piach, a jeździec w lśniącej zbroi przeleciał nad jego karkiem i runął metr dalej. Kilku tureckich piechurów ruszyło w jego stronę, ale powstrzymał ich krzyk olbrzymiego janczara w czerwonej kierei:

– Stójcie! Jest mój!

Cofnęli się. Lśniący rycerz z zamkniętą przyłbicą zdążył w tym czasie się podnieść, a wtedy Kodża Chazer mimo swoich potężnych rozmiarów podskoczył do niego z kocią zręcznością i jednym ruchem szabli odciął mu głowę. Nad centrum bitwy rozległ się ogłuszający ryk triumfu.

CZEŚĆ PIĄTA

Wyspa

trzecie millenium

Rozdział 43

Deszcz przybierał na sile. Ciężkie krople spadały na dach samochodu, zamieniając go w instrument perkusyjny, wydający coraz bardziej irytujące dźwięki. Tak przynajmniej odbierał je Kuba, wjeżdżający do Warszawy od strony Janek. Po zdjęciu szwów rana na pięcie już się zagoiła, a stopa powoli przypominała sobie dawne umiejętności, można więc było jej używać do obsługi pedału gazu. W raszyńskich korkach była to najmniej istotna część samochodu, służąca wyłącznie do przesuwania się po parę metrów do przodu w tempie paraolimpijskiego wyścigu żółwi. Kuba był wściekły.

Nie dość, że groziło mu spóźnienie na popołudniową naradę, nie wiedzieć czemu zwołaną przez Palucha, to jeszcze deszcz zagłuszał audiobooka, którego słuchał w samochodzie od kilku tygodni. Wreszcie dotarł do kulminacyjnego ostatniego rozdziału, w którym miała się rozstrzygnąć skomplikowana zagadka szpiegowska. Kuba miał od jakiegoś czasu swoją wersję zakończenia, ale autor powieści go przechytrzył.

Sprawy przybrały nagle zupełnie nieoczekiwany obrót, ale właśnie spadła na nie ulewa. Gdyby główny bohater audiobooka – agent CIA – naprawdę chciał uniknąć radzieckiego podsłuchu, nie powinien szukać specjalnie skonstruowanych pomieszczeń, ale korzystać z samochodu podczas deszczu, pomyślał Kuba i nerwowym ruchem wyłączył odtwarzacz. Teraz słyszał tylko dudnienie ulewy. Ono z kolei w jednej chwili przestało być istotne, gdy spojrzął na zegarek i uświadomił sobie, że do wieczornego spotkania z Kasią zostały zaledwie cztery godziny. Uśmiechnął się,

co bez wątpienia wyróżniło jego twarz wśród setek innych napiętych min ludzi unieruchomionych w korku.

Podczas tamtej rozmowy na Okęciu obiecali sobie z Kasią – wnuczką śledczego Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce – że razem poprowadzą rozpoczęte przez jej dziadka poszukiwania *Chrzta Warneńczyka*. Oczywiście, mówiąc zawodowym językiem Kuby, nosiło to znamiona prawdy, ale w rzeczywistości od pierwszego spotkania obydwójce poczuli magiczną i nieodpartą siłę wzajemnego przyciągania, przy której słabły wszelkie prawa grawitacji. Być może obraz istotnie niósł przesłanie pojednania chrześcijaństwa z islamem, dla Kuby i Kasi zaś okazał się proroczy.

Któregoś wieczoru zadzwoniła mocno podekscytowana.

– Kuba? Nie śpisz? Przepraszam, że tak późno, ale robiłam właśnie porządki na pawlaczu i trafiłam na karton ze szpargałami. I wiesz, co w nich znalazłam? – Najwyraźniej nie zamierzała czekać na jego odpowiedź. – Notes dziadka! Kuba, tu jest jakiś szyfr. Kurczę, powinieneś to natychmiast zobaczyć.

Powiniennem natychmiast zobaczyć ciebie – pomyślał – choć notes z szyfrem wydawał się apetycznym kąskiem.

– Wsiadaj w samochód i przyjeżdżaj – powiedział stanowczo, nie mając pojęcia, jak bardzo lubiła to jego zdecydowanie. – Już parzę herbatę – dodał – i wysyłam esemesa z adresem.

– Ale jest po jedenastej... – zaznaczyła dla przyzwoitości, mając nadzieję, że przez telefon nie słyhać, z jakim entuzjazmem wciąga dzinsy.

– Przyjeżdżaj – powtórzył tonem, z którego można było wywnioskować, że szyfr dziadka zapisany został specjalnym atramentem gotowym zniknąć w ciągu najbliższej godziny.

Przez następny kwadrans ona poprawiała makijaż na każdym skrzyżowaniu z czerwonym światłem, a on biegał po mieszkaniu jak postać z kreskówki, usuwając ślady jajeczniczy ze stołu, lenistwa z kanapy, zamiłowania do pistacji z dywanu i białych plam z armatury łazienkowej. Woda w kranach na Żoliborzu ciągle była mocno zakamieniona. Obydwójce myśleli to samo: cudownie, że

ją (go) zobaczę i: dobrze, że znalazła (znalazłam) ten notes. I obydwójce nie mieli odwagi przypuszczać, że to drugie może myśleć to samo.

Nacisnęła domofon z identycznym przejęciem, z jakim on otworzył drzwi. Czekał na schodach. Miał zmierzwiłone włosy, granatowy T-shirt i płonące oczy rewolucjonisty. Musi mu naprawdę zależeć na tych zapiskach dziadka, pomyślała, i nagle dostrzegła, że wpatruje się w jej twarz, zupełnie ignorując pawlaczowe znalezisko, które trzymała w dłoni. Czyżby...?

Kuba przywołał się do porządku. Wyraźnie zakłopotany, spuścił wzrok, zaprosił ją do środka, przeprosił i zniknął w kuchni, skąd wyniósł przezroczyste filiżanki z lekko przestudzonym wrzątkiem, w którym rozkwitały zielonopurpurowe kwiaty chińskiej herbaty. Opowiadał o niej przed kilkoma dniami i już wtedy spodobała jej się myśl o wspólnej degustacji orientального specjału. Szyfrem dziadka zainteresował się dopiero na sofie.

– Interesujące – mruknął, wpatrując się w notes. – Ciągi liczb wszystkie zaczynają się od czwórek. Ta cyfra musi mieć jakieś wyjątkowe znaczenie... – mówił do siebie, marszcząc czoło, wskutek czego robiła mu się śmieszna zmarszczka u nasady nosa. – Czy coś ci to mówi? – spytał po chwili.

– Absolutnie nic – odparła Kasia. – Może... poza podpisem – powiedziała ostrożnie, nie będąc przekonana, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie. – Spójrz tutaj, dziadek umieścił na dole strony, pod kombinacjami cyfr, literę G. i w nawiasie skrót L.i.m. Nie mam wątpliwości, że L.i.m to tytuł powieści. *Le ile mysterieus, Tajemnicza wyspa*, a G. to Gedeon. Dziennikarz Gedeon Spilett – wyjaśniła – ulubiony bohater dziadka z trylogii Juliusza Verne'a.

Czytałaś *Tajemniczą wyspę*? – Kuba patrzył na nią z fascynacją, jakby przed chwilą wyznała, że zna na pamięć koptyjskie ewangelie i to w oryginale.

– Musiałam. – Rozłożyła ręce w geście bezradności. – Dziadek zawsze chciał mieć wnuka. Otrzymałam od niego chłopięcą listę lektur obowiązkowych, która, jak przypuszczam, miała mnie uzależnić od przygód i zagadek, prowadzących w konsekwencji

do poszukiwań zaginionego obrazu Matejki. *Alicję w krainie czarów* i *Dzieci z Bullerbyn* mogłam sobie czytać po godzinach. Kiedyś pod choinkę zamiast lalki Barbie podarował mi plastikowego templariusza w pełnym rynsztunku. Udawałam zachwyconą, co i tak nie uchroniło dziadka przed rodzinną awanturą, jaka wybuchła przy wigilijnym barszczu z uszkami – westchnęła. – *Tajemniczą wyspę* mam w małym palcu.

Kuba patrzył na nią urzeczony. Przypomnił sobie chwile swojego gdyńskiego dzieciństwa, kiedy potrafił godzinami stać na tarasie Kamiennej Góry zahipnotyzowany widokiem morza i w przekonaniu, że za błękitem horyzontu musi gdzieś istnieć wyspa Verne'a wraz z wszystkimi swoimi sekretami i przygodami.

W pewnej chwili wstał i bez słowa zniknął w sąsiednim pokoju. Zanim zdążyła sobie uświadomić własne zdezorientowanie, wrócił z książką i położył ją na stoliku. Tom – w wyblakłej żółtej oprawie – był tak zaczytany i miękki, że przypominał solidną porcję lasagne.

– *Tajemnicza wyspa*. – Uśmiechnęła się, myśląc jednocześnie, że Kuba jest chłopięco uroczy. Kraśniał z dumy, że ma w domu książkę, o której rozmawiali.

Nagle przypomniał się jej towarzysz dzieciństwa – bokser Kacper, psi filozof i posiadacz imponującej kolekcji gumowych przedmiotów do gryzienia, który odróżniał piłki od wszelkich innych zabawek i proszony przynosił je w pysku z identyczną dumą.

– Droga współniczko poszukiwań obrazu – oświadczył prokurator IPN-u i podsunął jej książkę – rozpoczynamy działania operacyjne.

Niczego nie rozumiała. Nie kwapiąc się z wyjaśnieniami, Kuba otworzył notes dziadka i przeczytał pierwszą kombinację: 4-44-10-6.

– Ty sprawdzasz, ja zapisuję – zdecydował, sięgając po kartkę i ołówek. – A zatem: rozdział czwarty, czterdzieste czwarte zdanie, dziesiąte słowo w zdaniu, szósta litera. Słucham.

– „K” – powiedziała Kasia. – Ależ to dziecinnie proste! – zauważyła. – Dlaczego na to nie wpadłam?

– Może jesteś za mało dziecinna – odparł Kuba z uśmiechem.

Spodobała jej się ta odpowiedź. Większość mężczyzn wykorzystalaby okazję, by się chełpić odkryciem i eksponować swoją rzekomo wyższą inteligencję. Czyżby on naprawdę był wyjątkowy?

Następnymi literami wynikającymi z szyfru były: „a”, „z”, „i” i już po chwili pokładali się na sofie ze śmiechu: tajemniczy kryptogram był podpisem dziadka ukrytym w ulubionej powieści: Kazimierz Karewicz. Obok autor szyfru zakodował jeszcze trzy litery słowa, którego najwyraźniej nie dokończył: „des”. – Des? – detektywistyczny zmysł prokuratora IPN-u drgnął zaintrygowany, ale to nie on odpowiadał teraz za procesy myślowe. Kuba miał już gotową odpowiedź:

Destiny, rozmarzył się. Przeznaczenie. Ona jest moim przeznaczeniem, pomyślał, oszołomiony bliskością Kasi i spontaniczną wyprawą na tajemniczą wyspę, na której była jedyną lokatorką. Jak na komendę obydwójce podnieśli do ust filiżanki z herbatą i roześmiali się ponownie.

Rozdział 44

Czy sądzisz, że dziadek mógł zostać zamordowany? – spytała nieoczekiwanie.

Kuba popatrzył na nią badawczo.

– Co ci przyszło do głowy? Skąd to pytanie? – W jednym momencie stał się maksymalnie skoncentrowany.

– Kuba – powiedziała ciepło i przyjaźnie. – Stresujesz się. Tak samo zareagowałeś na lotnisku, podczas naszej pierwszej rozmowy, kiedy powiedziałam ci, że dziadek zginął w wypadku. Zbladłeś wtedy jak kreda. Dlaczego?

Milczał.

– Jeśli naprawdę chcesz, abyśmy razem zajęli się *Chrztem Warneńczyka*, traktuj mnie serio i bądź ze mną szczery, proszę.

– To nie tak – pokręcił głową. – Jesteś dla mnie ważna. Bardzo ważna. – Nagle spostrzegł, że nie określa tylko partnerstwa w poszukiwaniach obrazu i oblał się rumieńcem. – Ale... mam tendencję do teorii spiskowych i czasami wstydę się tego sam przed sobą. Nikomu o tym jeszcze nie mówiłem, ale tak właśnie pracuję: gromadzę w głowie wiele hipotez, praktycznie wszystkie możliwe, nawet te najbardziej nedorzeczne. To mi daje pełen obraz sprawy – wyjaśnił. – A potem robię selekcję. Tak długo, aż dotrę do najbardziej prawdopodobnej teorii. Ale o niektórych swoich przypuszczeniach po prostu nie mówię, żeby nie wyjść na wariata.

– Wstydzisz się podejrzenia, że wypadek dziadka mógł być morderstwem – podsumowała. – Bo pomyślałeś tak, prawda?

– Owszem. – Kiwnął głową. – Znasz okoliczności tego wypadku?

– Miałam niewiele ponad dziesięć lat – Kasia posmutniała. – Fiat

dziadka runął w przepaść na Zakręcie Śmierci między Szklarską Porębą a Świeradowem. Byłam tam przed dwoma laty i powiem ci, Kuba, że ten fragment drogi nie nazywa się tak bez przyczyny. Przeżyłam dziesiątki silnych turbulencji w samolotach, ale tam, jadąc trzydzieści na godzinę, miałam serce na ramieniu.

Pokiwał głową.

– A ja w zeszłym tygodniu byłem w czytelni czasopism Biblioteki Narodowej – oświadczył ni stąd, ni zowąd, jakby przeglądanie prasowych mikrofilmów było przynajmniej tak niebezpieczne jak pokonywanie samochodem piekielnego odcinka Drogi Sudeckiej. – Przejrzałem wydania wszystkich gazet regionalnych, które ukazały się tuż po tragedii twojego dziadka – wyjaśnił. – Tamtejsza prasa pisała o tym dość dużo, w końcu chodziło o prokuratora Głównej Komisji, który na Dolnym Śląsku zajmował się tajemnicą sztolni Walimia i zagadką zamku w Książu. W „Wieczorze Wrocławia”, popularnej wówczas popołudniówce, znalazłem wzmiankę, że za Kazimierzem Karewiczem jechała z dużą szybkością jakaś wywrotka czy ciężarówka; świadek składający relację reporterowi nie potrafił sobie przypomnieć. Był pierwszą osobą na miejscu wypadku, przeżył szok. Uderzyło go jednak to, że kierowca tego dużego wozu nawet się nie zatrzymał, zobaczywszy fiata taranującego barierkę i spadającego w przepaść. Milicja nigdy nie znalazła tej ciężarówki.

– Mogła go zepchnąć z drogi – szepnęła Kasia.

– I tu dochodzimy do progu teorii spiskowej – powiedział spokojnie Kuba. – Masz rację: mogła. Może nawet zepchnęła. Po wizycie w czytelni rozmawiałem w IPN-ie z paroma osobami, które dobrze znały twojego dziadka. Pytałem, jakim był kierowcą. Wiesz, co usłyszałem? Że jeździł tak rozważnie, że nie trzeba było życzyć mu „szerokiej drogi” czy „bezpiecznej podróży”, bo byłoby to nietaktowne. Mniej więcej tak samo jak śpiewanie *Sto lat* na urodzinach dziewięćdziesięciodziewięciolatka.

Kasia poczuła, że kręci jej się w głowie. To przecież potwierdzało teorię, że dziadek został zamordowany.

– Kuba – z przejęcia ponownie zniżyła głos do szeptu. – Trzeba...

Położył jej palec na ustach.

– Niczego nie udowodnimy po tylu latach – powiedział cicho, ale z tą swoją stanowczością. – A wiesz, czemu tak poblądłem na Okęciu?

Wpatrywała się w niego z niepokojem.

– Parę tygodni temu skontaktował się ze mną niejaki Włodarczyk. Niegdyś dość aktywny warszawski dziennikarz, w ostatnich latach skazany na wygnanie do archiwum. Wyobraż sobie, że on też poszukiwał tego obrazu. Też był w to bardzo zaangażowany. Też miał lekką obsesję na punkcie tego płótna. Też twierdził, że wie, gdzie ono teraz jest – wyliczał Kuba. – Też zginęła cała jego dokumentacja i też...

– ...nie mów mi, że nie żyje. – Kasia wyglądała na przerażoną.

Miał pretensje do siebie, że ją przestraszył.

– Wypadek?

Kiwnął głową.

– Samochodowy?

Powtórzył kiwnięcie.

– Jeśli mi powiesz, że ciężarówka, to nie uwierzę.

Patrzył na nią z wyrazem twarzy, któremu kolejne kiwnięcie nie było potrzebne.

– Boże, Kuba – szepnęła – jak to się stało?

– Paweł Włodarczyk właśnie jechał do IPN-u na spotkanie ze mną. Na Towarowej zmiądzzył go albański tir przewożący asfalt. Wysiadły hamulce, a raczej nerwy kierowcy: zahukanego biedaka, który cudem uszedł z życiem z pogromu w Kosowie. Widziałem go na Rakowieckiej, gdzie czeka na proces. Wygląda jak dziecko w ostrym stadium choroby sieroczej. Kiwa się, nie je, nie mówi. U nas w takim stanie psychiki nie dostałby karty rowerowej, a co dopiero prawa jazdy. Zapewniam cię, że nie przypomina zamachowca. Mimo to odpowie przed sądem za nieumyślne spowodowanie śmierci. To wszystko.

Kasia wyglądała, jakby zeszła z diabelskiego młyna, który miał awarię i kręcił się jak szalony wbrew woli pasażerów i obsługi wesołego miasteczka, niepotrafiącej go wyłączyć. Spojrzała

na zegarek, dochodziła druga w nocy.

– Strasznie późno – powiedziała cicho. – Musisz jutro, to znaczy dziś, wstać do pracy.

– A ty?

– Dopiero wieczorem mam Frankfurt. Krótki lot.

Podniosła się z sofy, doceniając jego dobre maniery: był na nogach, zanim zdążyła się wyprostować. Patrzył na nią zatroskany. Odwzajemniła spojrzenie i nagle zyskał absolutną pewność, że przez ułamek sekundy chciała zostać.

– Obciążyłem ci głowę, współniczko.

– Chciałam wszystko wiedzieć – odparła.

Odprowadził ją do samochodu. Stali przed nim, chłonąc lipcową noc i kompletnie nie wiedząc, co zrobić dalej. Jak się pożegnać? Co powiedzieć?

– Kasiu – wypalił nagle i zamilkł.

– Tak?

– Pojedź ze mną do Gdyni. Weź jakiś urlop. Kiedy możesz. Pokażę ci poskręcane sosny na klifie, dziką plażę w Redłowie, widok na torpedownię z Oksywia. Możemy się zatrzymać u mojego ojca. Będiesz miała własny pokój. Wygodny, niekrepujący – wyjaśnił tonem pośrednika zachwalającego nadmorskie kwatery prywatne. – Rzecz jasna – dodał – gwarantuję ci pełną nietykalność.

– Skoro tak, to nie jadę – powiedziała i roześmiała się na widok jego zaskoczonyj miny.

Rozdział 45

Kasia zasnęła, gdy wjeżdżali do Jabłonowa Pomorskiego. Kuba patrzył z zachwytem na jej nieziemskie rzęsy widoczne teraz w całej okazałości, podziwiał twarz wtuloną w zagłówek i kosmyk włosów, który nie poddał się dyscyplinie spinki. Tuż za miasteczkiem przyszło mu do głowy, że nagle pojawił Einsteina i jego teorię względności. Dotychczas wściekał się na roboty drogowe, ruch wahadłowy i przymusowe postoje, a teraz je błogosławił. Stojąc w korku, mógł do syta napatrzeć się na śpiącą dziewczynę.

Przez chwilę pożałował, że ominie ją jedna z największych atrakcji tej trasy – wyjazd z zapyziałego ryneczku Radzyna Chełmińskiego i zupełnie niespodziewana panorama ruin krzyżackiej warowni. Czworobok murów zamku z czerwonej cegły wyrastał nagle po prawej stronie, strzegąc drogi i natychmiast przenosząc podróżnych w średniowiecze: świat baśni i magii, do uruchomienia którego wystarcza najprostsze zaklęcie. Ale tym razem – zamiast rycerzy w białych płaszczach – Kuba wyobraził sobie, że zabierze tu Kasię jeszcze dziesiątki razy, i pozwolił jej spać.

Nocą wróciła z czarteru do Hurgady. Starła się nie brać fuch w rejsach turystycznych, pełnych wrzasku bezstresowo wychowanych dzieci, jęków niewiast z oparzeniami trzeciego stopnia oraz bełkotania ich partnerów sponiewieranych dwutygodniowym *all inclusive*, co po polsku znaczy: „wypić, ile się da”. Zdecydowała się na Egipt, ubłagana przez koleżankę, której wysiadł kręgosłup. A pierwsza podniebna zasada brzmi:

stewardesa nie odmawia stewardesie, gdy wchodzi w grę choroba.

Mimo, że spała tylko dwie godziny, rano przed domem, oparta o wysuwaną rączkę walizki na kółkach, wyglądała olśniewająco. Widziała to w oczach Kuby jak w czarodziejskim lustrze, które powinna mieć każda kobieta. Była ubrana w prosty biały T-shirt i klasyczne dzinsy, kompletnie różne od tych modnych biodrówek, zdolnych zniekształcić najzgrabniejsze damskie kształty.

Usadowiła się na siedzeniu pasażera z miną dziewczynki, która przez cały rok czekała na upragnione wakacje. Świadomość, że za godzinę będzie w Płońsku, cieszyła ją bardziej niż lot do Nowego Jorku pod koniec miesiąca.

– Ale szukamy dalej *Chrzta Warneńczyka*? – upewniła się, zatrzymując w pół drogi pas bezpieczeństwa, jakby śledztwo w sprawie obrazu było warunkiem podróży.

Kuba posmutniał. Czyżby chciała podkreślić, że jedzie z nim tylko dlatego, że tworzą dwuosobowy zespół dochodzeniowy w sprawie *Matejki*? Przecież wtedy, przed jego domem, wyraźnie zasugerowała... Z przekonaniem, że nigdy nie zrozumie kobiet, bąknął:

– Szukamy. Tak. Szukamy.

Zorientowała się, jak ją zrozumiał, i pogłaskała go po policzku.

– Kuba, nie masz pojęcia, jak się cieszę, że z tobą jadę. Chciałam tylko przestrzec, że skoro szukamy obrazu, to... powinieneś uważać na ciężarówkę. – Kasia zrobiła minę inspektora Clouseau z *Różowej pantery*, ale żart nie był udany. W jednej chwili on pomyślał o Pawle Włodarczyku, a ona o dziadku.

– Przepraszam – szepnęła – to było niemądre.

– Tego nie wiemy – podsumował Kuba pojednawczo. – Może w naszej teorii spiskowej jest więcej prawdy, niż obawiamy się przypuszczać? Może te wypadki rzeczywiście były wyreżyserowane? Ale jeśli istnieją ludzie, którym tak bardzo zależy na ukryciu tajemnicy obrazu, że potrafią z tego powodu zabić, to jesteśmy całkowicie bezpieczni.

Popatrzyła na niego pytająco.

– To oczywiście – odpowiedział temu spojrzeniu z pełnym

przekonaniem. – Rozumujmy logicznie: jeśli twój dziadek i Paweł Włodarczyk istotnie zostali usunięci, to stało się tak z powodu zdobytych informacji. Pamiętasz stare filmy sensacyjne? Co jakiś czas pojawia się tam motyw kogoś, kto zginął, bo „za dużo wiedział”. A my co? Nasza wiedza o przesłaniu *Chrzta Warneńczyka* jest, jak mawiają Brytyjczycy, umiarkowana, a bodaj nawet żadna. Ciągłe nie wiemy, na czym polega tajemnica obrazu, a zdaje się, że to ona jest najbardziej niebezpieczna.

– Jak myślisz? – spytała Kasia. – Komu może zależeć, aby proroctwo pojednania chrześcijaństwa z islamem nie ujrzało światła dziennego?

Kuba nie odrywając rąk od kierownicy, wzruszył ramionami.

– Bo ja wiem? Jednej ze stron. A może obydwu? Jeśli Matejko rzeczywiście znał sekret Jana Głębockiego z tym związany i zakodował go na płótnie, to, droga współpracowniczko, łącząc za tym, można nadepnąć na odciski dwóm potężnym religiom świata. Której się to bardziej nie spodoba? Ja typuję islam. To oni wymyślili dżihad i dopuszczają mordowanie innowierców, obiecując za to raj.

Słuchała w milczeniu. Kuba zastanawiał się, czy znów jej nie przestraszył, ale – jak dostrzegł kątem oka – twarz Kasi nie wyrażała żadnych emocji. Wpatrzona w zieleń mazowieckich łąk, wydawała się pogrążona w myślach. Na wszelki wypadek zachował dla siebie incydent sprzed kilku dni, którego nadal nie potrafił wyjaśnić.

W miniony poniedziałek, po pracy, prosto z biura pojechał do pobliskiego Klifu przy Okopowej, do ulubionych delikatesów doskonale zaopatrzonych w sery. Włóczęc się po centrum handlowym w pewnej chwili nabral przekonania, że ktoś go śledzi. Odwrócił się, ale nie zauważył nikogo podejrzanego. Zastawił dwie pułapki – z rzekomym zawiązywaniem sznurowadła i z dyskretną obserwacją otoczenia w lustrze sklepu z artykułami wyposażenia wnętrz – też bez rezultatu. Ale kiedy formułował pod swoim adresem oskarżenie o manię prześladowczą, nagle wpadł na doktora Al-Gaziego, przyjaciela Pawła Włodarczyka, poznanego

na pogrzebie dziennikarza.

– Co za spotkanie! – ucieszył się Arab, ale jego chytre oczy wcale nie wyrażały zaskoczenia. – Co u pana dobrego? – dopytywał, jakby znali się Bóg wie jak długo.

– Wszystko w porządku – odpowiedział Kuba wymijająco.

– Może wypijemy kawę? – wypalił Al-Gazi. – Ja zapraszam.

– Dziękuję – odpowiedział na zaproszenie Kuba. – Trochę się spieszę.

Przez twarz tamtego przebiegł niemal niedostrzegalny cień niezadowolenia. Szybko przegrupował argumenty.

– Odmawiać kawy Arabowi? – uśmiechnął się nieszczercze. – Odmawiać kawy przyjacielowi przyjaciela? – dołożył. – W moim świecie to afront. – Teatralnym gestem położył otwartą dłoń na sercu. – A poza tym... – Popatrzył na Kubę z nagłą troską – już na cmentarzu zauważyłem u pana lekki przechył lewego ramienia i zmartwiłem się, że może pan mieć początki skoliozy. Moim obowiązkiem jest pomóc. – Ukłonił się.

Kuba nie miał ochoty wyjaśniać ani tego, że z Włodarczykiem nie byli przyjaciółmi, ani tego, że jego kręgosłup jest prosty jak słup telegraficzny, co stwierdziły niedawne badania okresowe wymagane przez IPN.

– Nie myślę robić panu afrontu, doktorze – skapitulował. – Usiądźmy tam. – Wskazał stoliki popularnej sieciowej kawiarni.

Al-Gazi wyraźnie się ucieszył. Jego głęboko empatyczny niepokój wywołany stanem kręgosłupa Kubby nagle przestał mieć znaczenie, jakby filiżanka cappuccino była cudownym remedium na skoliozę. Czegoś chce, pomyślał prokurator, włączając czujność.

– Brakuje mi Pawła – wyznał Al-Gazi z żalem, który wydał się Kubie fałszywy. – A panu? – spytał, jakby prowadził rekrutację do Klubu Osób Tęskniących za Włodarczykiem.

– Praktycznie się nie znaliśmy. Nigdy go nie spotkałem. Raz rozmawialiśmy przez telefon – wyjaśnił Kuba. – Niemniej jest mi szczerze przykro z powodu jego śmierci.

Al-Gazi świdrował go przenikliwym wzrokiem.

– W zasadzie, jeśli wolno spytać, to co panów łączyło?

A co to pana obchodzi? – Kuba już otwierał usta, aby odpowiedzieć niegrzecznym pytaniem na wścibskość, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język i tylko nabrał powietrza. W głowie prokuratora zaczęło pulsować czerwone światło. Ciekawość Al-Gaziego wydała mu się mocno podejrzana. Przez ułamek sekundy skupił wzrok na twarzy arabskiego lekarza, wreszcie blado się uśmiechnął.

– Pan Paweł – rzekł powoli – bardzo interesował się pewnym zaginionym... – Kuba celowo zawiesił głos, badając reakcję Al-Gaziego na test, który właśnie wymyślił – ...zaginionym oddziałem Armii Krajowej, w którego sprawie prowadzę dochodzenie. – Kłamał jak z nut, ale dzięki temu już wiedział, że gdy tylko użył z pełną premedytacją przymiotnika „zaginiony”, twarz Araba stężała w skupieniu. Ten człowiek wie o obrazie i bada, czy Włodarczyk przekazał mi swoją wiedzę – pomyślał. – Śledził mnie, udał przypadkowe spotkanie, a teraz próbuje ciągnąć za język.

– Ach tak – rzekł Al-Gazi z zadumą. – Chciał o tym pisać artykuł?

Sprytne – uznał Kuba. – Jeśli potwierdzę, będzie mnie miał. Przekona się, że zmyślam. Włodarczyk pracował w archiwum, nie pisał od wielu lat. Dobry jest – docenił przeciwnika.

– Nie – zaprzeczył, starając się, aby zabrzmiało to całkowicie naturalnie. – Chodziło o jakieś prywatne wątki tej historii – improwizował.

– Prywatne? – Al-Gazi nie ustępował, jakby znał techniki przesłuchania.

Kuba przez chwilę się zaniepokoił, że zabraknie mu amunicji, ale w tym samym momencie przypomniał sobie wyznanie żony Włodarczyka.

– Tak – odparł. – Prywatne. Pan Paweł wspomniał w tamtej rozmowie telefonicznej o krewnych walczących podczas wojny w partyzantce na terenie, na którym działał ten poszukiwany przeze mnie oddział – zmyślał. – Mówił też o dziadku żony, bohaterze Powstania Warszawskiego zamordowanym przez Urząd Bezpieczeństwa – dodał, sprawdzając reakcję Al-Gaziego; nic tak

nie uwiarygodnia kłamstwa, jak umiejętnie wpleciony fragment prawdy.

To był celny strzał. Al-Gazi musiał słyszeć o dziadku, kawalerze Virtuti Militari, podczas towarzyskich spotkań z Włodarczykami. Kupił to – uznał Kuba i przyjrzał się arabskiemu lekarzowi, z którego nagle uszło powietrze, jakby jego misja wybadania prokuratora IPN-u została spełniona. – Teraz skończy rozmowę, pomyślał. Nie pomylił się. Dżabir Al-Gazi nagle spojrzął na zegarek i udał zakłopotanie.

– Najmocniej przepraszam – znów był pełen pretensjonalnej uprzejmości. – Na śmierć zapomniałem o umówionym pacjencie. Tak miło się z panem wspominało Pawła... Ale teraz, proszę wybaczyć, muszę biec do kliniki.

Kuba uścisnął podaną mu dłoń, ale nie uznał za stosowne podnosić się od stolika, na którym została nietknięta przez Araba filiżanka kawy.

Przejeżdżając obok radzyńskich ruin, Kuba jeszcze raz starannie przemyślał poniedziałkowe spotkanie i doszedł do wniosku, że wykonał w Klifie bardzo zręczny ruch.

Rozdział 46

Dokładnie w tej samej chwili, w której zegar na placu Towarzystwa Jaszczurczego w Radzynie Chełmińskim wybił godzinę dziewiątą rano, a srebrny peugeot Kuby mijał pozostałości tutejszego zamku, w górach łączących emirat Ras al-Chajma z Omanem było południe. Dawne krzyżackie miasteczko w północnej Polsce dzieliło od bezimiennej osady szejka Matara 4440 kilometrów w linii prostej, trzy godziny opóźnienia czasu Central Europe od strefy Gulf Standard Time, trzydzieści stopni Celsjusza i trzysta, a może trzy tysiące innych różnic.

Pobożny mąż skończył właśnie *Az-Zuhr*, drugą modlitwę dnia. Miał na nią wiele godzin. Zgodnie z przyzwoleniem Proroka mógł zaczekać z odmawianiem świętych słów do chwili, aż cienie przedmiotów osiągną ich długość, ale szejk Matar nigdy nie zwlekał. Słyszał z panowania nad czasem: podejmowania błyskawicznych decyzji, natychmiastowego rozstrzygania sporów i rozpoczynania modlitwy w tej samej sekundzie, w której słońce przekraczało zenit.

Czekał na ten moment każdego dnia, patrząc na niebo przez wąskie okno swojej górskiej siedziby i pielęgnując cnotę cierpliwości. Doskonale znał słowa Koranu i przestrozę unikania pierwszej modlitwy przed południem, kiedy to słońce wschodzi w warkoczach szatana. Dziś również pokornie czekał na spełnienie czasu *Zuhr*, powtórzył słowa Księgi, a potem zrolował modlitewny dywanik i pograżył się w myślach.

Wszystko układało się zgodnie z jego planem. Parę dni temu, w czasie modlitwy *Maghrib*, gdy tarcza słońca zsunęła się

za horyzont, do domu szejka przybył posłaniec z wieścią, że w dalekiej Polsce zniknął powód do zmartwienia. Niezawodni bracia Salmandżić skutecznie uciszeli dziennikarza, który mógł wywołać wiele zamieszania, a roztropny doktor Al-Gazi potwierdził ponad wszelką wątpliwość, że Włodarczyk nie zdążył przed śmiercią przekazać swojej wiedzy polskiemu instytutowi śledztw historycznych. Szejk znał tę instytucję z poprzedniego, socjalistycznego wcielenia, kiedy nazywała się Główną Komisją Badania Zbrodni Hitlerowskich i szukała *Chrzta Warneńczyka* tak zapamiętałe, że wymagało to interwencji bractwa. Ale zarówno wtedy, jak i teraz wszystko przebiegło pomyślnie i na tyle dyskretnie, że nikt nie mógł nawet przypuszczać, by sprawiła to czyjaś ręka. *Allah akbar*. Bóg jest wielki.

Matar nagrodził się kilkoma suszonymi daktylami, przechwytyjąc ukradkiem karcące spojrzenie Asifa, swojego służącego i ochroniarza. Żyłasty, niski mężczyzna o twarzy zeszpeconej radzieckim szrapnelem podczas masakry w afgańskim mieście Herat wiedział, że siedemdziesięciopięcioletni szejk cierpi na raka wątroby, i zżerała go bezsilność. Potrafił obronić świętego męża przed każdym wrogiem, w którego można było wycelować granatnik lub wbić nóż, ale wewnętrzny podstępny zabójca był poza jego zasięgiem. Legendarna waleczność Asifa, do którego zupełnie nie pasowało imię oznaczające łagodność i przebaczenie, była tu kompletnie bezużyteczna.

Zakazana słodycz daktyli sprawiła, że Matar zamknął powieki z poczuciem rozkoszy, przepędzając irracjonalny niepokój, że w Polsce coś jednak poszło nie tak. Było to zupełnie nieuzasadnione. Miał niezbite dowody i coś znacznie od nich ważniejszego: słowo ludzi, na których polegał. Skąd zatem te podszepty szatana? pomyślał, znajdując odpowiedź w smaku owoców.

– Starzeję się – szepnął do siebie. – Daktyle sprawiają mi taką radość jak w dzieciństwie i podobnie jak wtedy czuję wstręt przed zabijaniem.

Odprawił Asifa ruchem dłoni i z szuflady wspomnień wydobył

swoje zakurzone skarby. Były to obrazy młodości spędzonej na brytyjskim uniwersytecie Bradford. Bajecznie bogaty Matar, potomek emirów, nosił wtedy zupełnie inne nazwisko, garnitury najlepszych paryskich krawców i dzinsy będące niezawodną przepustką do społeczności kampusu. Słuchał Beatlesów, pił szkocką słodową whisky i nie zabraniał zgrabnym blondynkom składać hołdów swojej urodzie arabskiego księcia.

Pewnego przedpołudnia koledzy namówili go na lekcję tenisa. Wzbraniał się. W pierwszej godzinie za nic nie umiał opanować trzymania rakiety, a do piłek dochodził z gracją kulawego wielbłąda, wywołując salwy śmiechu. W drugiej stał się cud. Z bezgranicznym zdumieniem spostrzegł, że tenis jest niezwykle łatwy. Niuanse czystego forhendu opanował w kwadrans, jeszcze szybciej zakodował regułę wyprzedzania rakiety przez nadgarstek, a kolana uginał tak naturalnie, jakby się urodził w pozycji gracza przyjmującego serwis. Bekhend wychodził mu koncertowo, bez cienia slajsu. Pod koniec drugiej godziny grał jak mistrz, który po przebudzeniu z wieloletniej śpiączki nie pamięta swojego nazwiska, ale umiejętności zachował w stanie nienaruszonym.

– Pieprzony beduin! – wściekł się jeden z uczelnianych tuzów tenisa, który postanowił dać Arabusowi lekcję pokory, a przegrał gładko w trzech setach. – Zrobił z nas idiotów! – zawołał do kolegów osłupiałych na trybunie. – Musiał grać od dziecka!

– Daję słowo honoru, że was nie oszukałem – zarzekał się przyszyły szejek, kładąc rękę na sercu, ale nikt mu nie wierzył.

Piegowaci synowie lordów nagle znaleźli się po drugiej stronie siatki splecionej z niechęci. Szybko zrozumiał, że problemem nie jest jego fenomenalny talent, ale fakt, że ma go właśnie on, Arab. Właściciel sezamu petrodolarów i tytułu książęcego, ale tylko Arab. Żaloszny Ali Baba, któremu wydaje się, że pasuje do skórzanego chesterfielda w klubie dla dżentelmenów.

Brytyjskich pyszałków karciał na korcie bez odrobiny litości, wyceniając ich rzekomą wyższość w druzgocących gemach. W tenisie kochał przede wszystkim najmądrzejszą z życiowych zasad: im łatwiejszą piłkę pošlesz przeciwnikowi, tym trudniejszą

od niego otrzymasz. Wygrywają tylko ci, którzy potrafią być bezbłędni i bezwzględni. W kraju, w którym się urodził, mawiano, że jeśli zły człowiek ma nóż, to dobry musi mieć dwa.

Z czasem zaczął grać w Wimbledonie, stając się obiektem fantastycznych domysłów i bezskutecznych zabiegów łowców talentów. Po rozgromieniu jednego z championów pokonany nie podał mu ręki, za to syknął prosto w twarz:

– Kim ty, do licha, jesteś? Diabłem?

Przeraził się. Wychowany w tajemniczym świecie islamu, uwierzył, że jego talent jest nieczysty. Nie słuchał już sir Roberta ze sławnego Lawn Tennis Association, który przekonywał go, że ma zadatki na mistrza świata. Zapewnienia o genialnym, nigdy dotąd przez sir Roberta niewidzianym wyczuciu timingu, tylko potwierdziły jego zabobonną tezę. Nigdy więcej nie dotknął rakiety.

Z dyplomem Bradford wrócił na Półwysep Arabski, który w latach sześćdziesiątych potrzebował inżynierów jak pustynia wody, ale jego interesowała już tylko konstrukcja wiary. Po wielu latach studiów i żarliwego przestrzegania szariatu został muftim, praktykiem islamskiego prawa. Potem wszedł do elity kadich, sędziów i otrzymał duchowny tytuł szejka.

Głosił zasady Proroka w całym muzułmańskim świecie. Poznał pałace naftowych królów Kuwejtu, lepianki marokańskich Berberów i domy gościnne organizowane w Pakistanie dla braci pragnących walczyć z Armią Radziecką, która napadła na Kabul. Największy z tych domów, Maktab al-Khidamat, finansował syn jemeńskiego miliardera, który wkrótce zorganizował dla swoich gości kilka obozów o wspólnej nazwie al-Kaida. Matar, który zgodnie z regułą bractwa Bokira przyjął tylko jedno imię, należał do najważniejszych bywalców Maktab al-Khidamat, obdarzanych najwyższym szacunkiem gospodarza.

Syn Jemeńczyka nazywał się Osama bin Laden. Był dobrym muzułmaninem, miał dziewiętnaścioro rodzeństwa i wydawał miliony dolarów na walkę w imię islamu, a jednak nie przekonał szejka do swojej ścieżki przemocy. Matar popierał dżihad krwawiącego Afganistanu, ale nie uznawał zamachów podczas

pokoju. Uważał, że wiara Proroka zwycięży na ziemi dzięki swojej prawości i sile wyznawców, a nie za pomocą kostek trotylu przyszywanych do ubrań samobójców.

Dlatego nie uległ bin Ladenowi, pozostając wiernym sługą, a potem przywódcą zgromadzenia Bokira, głoszącego prawdę jutra i troszczącego się o prymat islamu nad chrześcijaństwem. Szejk unowocześnił zasady działania bractwa i zamienił je w doskonale funkcjonującą organizację, wierząc, że listy do cywilizacji Zachodu można pisać atramentem, a nie krwią. Wkrótce przekonał się, jak bardzo był naiwny.

Dwunastego września 2001 roku, nazajutrz po ataku na World Trade Center, szejk Matar stał się jednym z najbardziej poszukiwanych terrorystów na świecie, choć nie tylko nie miał nic wspólnego z nowojorskim zamachem, ale surowo go potępił. Po prostu CIA, usiłując ratować swoją reputację, jednym ruchem pióra jakiejś grubej ryby w Langley uznała najważniejszych gości domu bin Ladena w Pakistanie za... czołówkę al-Kaidy.

Matar, wiodący spokojne życie w Dubaju, w ostatniej chwili zdołał rozplątać się w górskiej mgłę emiratu Ras Al-Chajma, co kosztowało karierę kilku amerykańskich i izraelskich agentów. Ocalał tylko dzięki przezorności i sprytowi braci Salmandżić, oddelegowanych wiele lat temu do jego dyspozycji. Patrząc na ich kamienne twarze i wysportowane sylwetki, trudno było uwierzyć, że milczący bośniaccy bliźniacy niegdyś byli matematykami zajmującymi się zarządzaniem ryzykiem. Dziś usuwali je ze ścieżki szejka i bractwa Bokira ze skutecznością zaprzeczającą wszelkiemu rachunkowi prawdopodobieństwa.

Matar przywołał służącego. Asif pojawił się w pokoju modlitwy natychmiast i nie wiadomo skąd, jakby ktoś włączył projektor i wyświetlił na ścianie jego obraz. Miał napiętą twarz, z której można było wyczytać niepokój, że daktyle wywołały u szejka atak bólu.

– Dobrze się czujesz, ojcze? – Asif od kilku lat nosił zaszczytne imię Ibn Matar, syn Matara, i miał przywilej zwracania się do niego w ten sposób.

– Tak – szejek podziękował za troskę bladym uśmiechem. – Z Polski nadeszły dobre wieści – powiedział cicho.

– *Maszallah*. – Skłonił się Asif, wyrażając pokorę wobec woli Boga. – Czy w związku z tym masz dla mnie jakieś rozkazy?

Szejek zadumał się przez chwilę, choć wiedział doskonale, że sługa zada właśnie takie pytanie. Głęboko popatrzył mu w oczy.

– Pamiętaj – powiedział powoli, wyraźnie akcentując to słowo. – Tajemnica polskiego obrazu musi być strzeżona po mojej śmierci jak źrenica oka. – Gestem dłoni nakazał milczenie Asifowi, który już otwierał usta, aby zapewnić szejka, że będzie żył jeszcze bardzo długo. – Powtarzam: strzeżona jak źrenica oka. *Chrzest Warneńczyka* jeszcze przyniesie wierze Proroka więcej korzyści, niż myślimy. Tak jest zapisane.

– Będzie, jak powiedziałaś, ojczy. – Asif skłonił się po raz drugi. Przepęłniała go duma, że święty mąż właśnie jego uczynił powiernikiem przyszłości jednego z najstarszych sekretów bractwa Bokira.

Rozdział 47

Gdynia powoli żegnała się z latem. Pozornie wszystko wokół było urlopowe i upalne, a jednak wprawne oko Kuby potrafiło dostrzec symptomy końca wakacji w dziesiątkach niuansów. Mewy na wybrzeżu Dalmoru były leniwe i otyłe od dokarmiania przez turystów, sprzedawcy pamiątek na skwerze Kościuszki mieli ugruntowaną opaleniznę, a przed ich kramami snuły się oddziały kolonistów przygnębione perspektywą rychłego powrotu do szkoły. Dzieciaki nie potrafiły się już zachwycać masztami „Daru Pomorza” ani działami „Błyskawicy”, którą jakiś daltonista kazał pomalować na bieliźniany błękit. Kuba był pewien, że gdyby legendarny niszczyciel miał osobowość prawną, bez trudu wygrałby w sądzie proces o zniesławienie. A może to temat dla IPN-u? – sarkastycznie uśmiechnął się do swoich myśli.

Tymczasem cieszył się widokiem Gdyni, którą opuścił jedenaście lat temu po rozwodzie z Kingą, z absolutnym przekonaniem, że Trójmiasto jest zbyt ciasne dla niego i ekszony. Nie było w tym żadnej egzaltacji. Raczej wstyd i nagła potrzeba rekonwalescencji po małżeńskim nokaucie. Poza melodramatem zawiedzionej miłości rozegrała się wtedy jeszcze jedna scena, z zupełnie innego filmu.

Któregoś dnia, przechodząc korytarzem prokuratury, szary i wymięty psychicznie Kuba niespodziewanie natknął się na szefa, który nader rzadko transportował z gabinetu swoje sto trzydzieści kilogramów. Tym razem jednak przystanął przy podwładnym i przybrał zatroskaną minę.

– Kuba, chłopie – zagrzmiął jowialnie. – Nie wolno się tak

dreńczyć z powodu baby. Tego kwiatu to pół świata.

Stwierdzenie było tak olśniewającym objawieniem, że Jakub Kania powinien paść na kolana, z wdzięcznością ucałować rękę szefa i od tej chwili zacząć nowe, rozpromienione życie. Ale najwyraźniej się na to nie zanosilo. Stał jak słup soli i to soli kamiennej, który zaraz się rozsypie. Przeczuwając to, prokurator rejonowy położył mu dłoń na ramieniu, zmienił minę na poważną i oświadczył:

– Synu, uwierz mi, ten rozwód wyjdzie ci tylko na dobre.

– Nie rozumiem – wymamrotał kompletnie zaskoczony Kuba.

– No wiesz... – Grubas zatrzepotał w powietrzu swymi serdelkowatymi paluchami – mam na myśli reputację twojego niedawnego teścia. Znamy go tu jak zły szeląg. Dobrze, że nie jesteście już rodziną – ściszył głos, ale wygłosił swoją kwestię nad wyraz dobitnie. – No, Kuba – szef popatrzył na zegarek – uszy do góry.

Odwrócił się i odszedł w kierunku swojego gabinetu.

Kilka dni później Kuba zwabił na piwo w Sopocie Tomasza Jodłowskiego, kolegę z pracy, na którego związki chmielu w połączeniu z widokiem morza działały jak serum prawdy. Wyczekał odpowiedni moment i gdy tamten zaczął się już zwierzać z dolegliwości jelitowych żony, Kuba pochylił się nad stolikiem i spytał konfidencjonalnie:

– Tomek, czy na mnie jest jakieś embargo starego?

– Jest – odpowiedział bez namysłu Jodłowski, potwierdzając to energicznym skinieniem głowy. Sekundę później zorientował się, że palnął coś bardzo niedyskretnego, co może mieć bardzo nieprzyjemne konsekwencje, i się przestraszył. – To znaczy... wiesz... żeby aż embargo, to nie. – Kolega najwyraźniej się zaplątał. – Szef... po prostu kiedyś powiedział, żeby na ciebie uważać... – Jodłowski zaklął soczyście, bo ostatnie stwierdzenie wyszło mu fatalnie. – To znaczy... nie żeby uważać na ciebie jako na ciebie... rozumiesz?... nie żebyś miał robić przecieki... ale żeby uważać na ciebie w sensie, żeby cię chronić.

– Chronić? – Kuba nie ukrywał zdziwienia.

– No. Chronić, czy jakoś tak. Bo ten twój pieprzony teść, fader–in–loł – Jodłowski zachichotał nerwowo – miał mówić na mieście, że... wiesz... że jesteś niby ustawiony w firmie... wiesz... przez niego... w sensie przez tego całego Kinga.

– Co ty bredzisz? – wystękał Kuba, blady jak gipsowy odlew. – To zupełny absurd!

– Absurd, absurd – potwierdził Jodłowski zbyt gorliwie. – Ale do starego dotarł taki greps. Ponoć ten łobuz miał nawet cennik za sprawy, które ty rzekomo miałbyś załatwiać bandytce w prokuraturze. Absurd – dodał po raz trzeci, ale znów bez przekonania.

Nazajutrz Kuba poprosił o przeniesienie do Warszawy.

Kolega z praskiej rejonówki od dawna go do tego namawiał. Kusił apetycznymi zarobkami, szerszymi perspektywami awansu i czymś, co Kubie spodobało się najbardziej: ciekawszymi sprawami. Pozbawiony przez rozwód osłonek nerwów, przewrażliwiony i niespokojny po wyznaniach Tomka Jodłowskiego, nie zastanawiał się zbyt długo. Zostawił raport na biurku szefa, grób matki na Witominie, brata udobruchanego obietnicą, że go zabierze, jak tylko się urządzi w stolicy, i ojca w zbyt dużym mieszkaniu na Bema. Kania senior przejął się wyjazdem syna najmniej. Od lat żył we własnym świecie: sekretnym i hermetycznym jak kadłub łodzi podwodnej, w której spędził większość swojego umundurowanego życia. Kuba sam się sobie dziwił, z jaką łatwością przyszło mu wymazać z rubryki „przeznaczenie” nazwę ukochanej Gdyni i wpisać w jej miejsce obcą, nielubianą Warszawę. Ta łatwość miała się wkrótce na nim zemścić.

Ostrzegano go przed stołecznym wyścigiem szczurów, ale nie miało to wiele wspólnego z prawdą. Tu toczył się wyścig żmij. Szczury kęsają tylko w sytuacji bez wyjścia, żmije przy każdej okazji. Wtedy był na to zbyt słaby. Nie znał odtrutki na jad, nie nadawał się do bezwzględnej gry o karierę, nie potrafił odnaleźć się w środowisku, które nim gardziło, nazywając drwiąco „Darem

Pomorza”. Po dwóch miesiącach zwinął żagle, zwalniając się z prokuratury.

Tydzień przed godziną zero – oznaczającą koniec funduszy na wynajem mieszkania i poszukiwania pracy w nieprzyjaznym mieście – dowiedział się, że właśnie powołana Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, nazywana też Instytutem Pamięci Narodowej, rozwija pion śledczy i poszukuje doświadczonych prokuratorów. Rozmowa kwalifikacyjna była kompletnie inna od wszystkich sztucznych spotkań, jakie odbył w prywatnych kancelariach, w których obowiązywały dwa kanony: apartheid wobec prawników spoza Warszawy i sformułowanie „będziemy w kontakcie”, oznaczające coś zupełnie przeciwnego. Po pięciu minutach spędzonych w IPN-ie został zatrudniony na okres próbny.

Pierwsze zlecone mu dochodzenie zwiastowało nieuchronną porażkę. Wydział Śledczy poszukiwał Felczera – sadystycznego oficera Służby Bezpieczeństwa, który na początku lat osiemdziesiątych zajmował się środowiskiem Uniwersytetu Warszawskiego. Sformułowanie „zajmował się” miało tu głębsze, a raczej głęboko mroczne znaczenie. O ile specjalna grupa funkcjonariuszy i ich tajnych współpracowników wewnątrz uczelni inwigilowała studentów z Krakowskiego Przedmieścia, o tyle Felczera miał za zadanie skutecznie zniechęcać ich do działalności opozycyjnej. „Pracował” głównie z młodymi ludźmi zatrzymanymi podczas nielegalnych zebrań i manifestacji. W firmie wysoko ceniono jego kunszt, dlatego w ręce Felczera trafiali szczególnie aktywni działacze Niezależnego Zrzeszenia Studentów, żarliwe redaktorki podziemnych broszur, animatorzy demonstracji i ich uczestnicy wyróżniający się entuzjazmem.

Trzeba przyznać, że porucznik Waldemar T. doskonale znał się na rzeczy i w pełni zasługiwał na swój medyczny przydomek. Z poświęceniem studiował patofizjologię i anatomię ludzkiego ciała, jako wolontariusz brał udział w sekcjach zwłok, interesował się neurologią, receptorami i ośrodkami bólu. A potem w swojej „pracowni” w piwnicach Pałacu Mostowskich, którą sam urządził,

wyklejając ściany wytłoczkami służącymi do przechowywania jaj, zamieniał teorię w praktykę. Wytłoczki idealnie tłumiły krzyki ofiar, a Felczer przeszedł do legendy. Był jedynym w Warszawie funkcjonariuszem SB, który mógł się pochwalić próbą zamachu na swoje życie – amatorska bomba umieszczona pod służbowym polonezem zadymiała pół ulicy, ale nie wybuchła.

Mimo świetnych wyników, nagród resortowych i niemal stuprocentowej skuteczności latem 1989 roku Felczer został usunięty ze służby z obietnicą, że wkrótce otrzyma akt oskarżenia. Nie przejął się tym. Lubił, gdy mu grożono, odbierając to jako formę uznania. Nie rozumiał natomiast, dlaczego nowa Polska nie chce w szeregach swojej tajnej policji specjalisty z tak wysokimi kwalifikacjami.

Do mafii nie musiał składać cv. Znaleźli go niemal natychmiast, za sprawą byłych towarzyszy broni z SB, którzy nie przeszli weryfikacji, za to przeszli na drugą stronę. Nowym pracodawcom Felczer oddał nieocenione usługi, skłaniając bardzo wielu bardzo twardych ludzi do bardzo radykalnej zmiany postaw. Kres błyskotliwej karierze położyła fala aresztowań w tak zwanej grupie pruszkowskiej, która gwarantowała dobre warunki bezpieczeństwa i higieny pracy, opłacając kogo trzeba, ale nie przewidziała, że świadkowie koronni mogą istnieć naprawdę, nie tylko w fantazji hollywoodzkich scenarzystów. Jeden z nich, którego pseudonim – za pośrednictwem mediów – poznała masa Polaków, wydał także Felczera.

Kiedy były oficer SB cieszył się statusem osadzonego w zakładzie penitencjarnym Rzeczypospolitej Polskiej, korzystając z przywileju widzeń bezdolorowych z kobietami oraz zamawiania posiłków w restauracji, nieoczekiwanie wypłynęła sprawa śmierci pewnego księdza z 1983 roku. Duchowny – jak twierdziły gazety – nie umarł jednak na atak serca, bo oto pojawiły się nowe okoliczności, objęte na razie tajemnicą śledztwa. Felczer, codziennie otrzymujący świeżą prasę, potrafił czytać między wierszami. Szybko skalkulował, że skoro aż tyle przeciekło do mediów, to musi istnieć ktoś, kto dobrał się do znacznie większej liczby informacji

niż dziennikarze. A ponieważ eksporucznik SB Waldemar T. znał doskonale swój udział w „zawale” księdza, nie mógł zwlekać, czekając, aż nowe władze wyjmą go z więzienia jak śliwkę z kompotu po to, aby dołożyć drugi wyrok i utopić – tym razem na dobre.

Cudownego letniego poranka cztery dni później Felczer wyparował z za krat jak obłoczek bezwonnego gazu, a służba penitencjarna rozłożyła ręce w legendarnym już geście bezradności, znanym z sytuacji, gdy najważniejsi świadkowie nagle wieszali się w celach. Najsurowszą karą w podobnych okolicznościach była groźba dymisji wysokiego urzędnika w Centralnym Zarządzie Zakładów Karnych, której ani grożący, ani zagrożeni nie traktowali serio.

I właśnie zawodnika tego formatu, wytrawnego przestępcę, obdarzonego sprytem i możliwościami niewytłumaczalnej ucieczki z więzienia, wybrano jako sparingpartnera dla Jakuba Kani – nieopierzonego prokuratora IPN-u. Zadanie brzmiało: znaleźć Felczera, doprowadzić do jego aresztowania i postawić przed sądem za zabójstwo księdza. Bułka z masłem.

Kiedy prezes instytutu usłyszał o tym podczas cotygodniowej narady z dyrektorami pionów, zwrócił się do Piotra Korna, ówczesnego szefa Wydziału Śledczego, z pytaniem, które jego zdaniem nie wymagało dodatkowych wyjaśnień:

– Czy pan zwariował?

– Nie rozumiem. – Poprzednik Palucha chrząknął, jakby chciał podkreślić obcesowość szefa.

– Powierza pan takie zadanie nowicjuszowi? – prezes uzupełnił swój tok rozumowania.

Korn niespiesznie położył ręce na stole konferencyjnym i starannie splótł palce obu dłoni. Słyszał z tego, że na trudne pytania zwykł odpowiadać za pomocą metafor, anegdot i przypowieści, dlatego wszyscy uczestnicy narady oczekiwali jego popisu oratorskiego. W sali zapanowała kompletna cisza.

– Widziałem niedawno zabawną polską komedię – zaczął dyrektor i wymienił tytuł filmu. – Polecam. Płacze się tam kilka

naprawdę udanych aforyzmów. Jeden z bohaterów, na przykład, przemawiając podczas bankietu, wygłasza taką oto kwestię: „Jeżeli coś jest nie do zrobienia, to trzeba powierzyć to komuś, kto o tym nie wie. Pójdzie i to zrobi”.

Wszyscy przy stole pojęli aluzję. Widząc, jak z uznaniem kiwają głowami, prezes IPN-u, będący zwolennikiem gier zespołowych, zrezygnował z zamiaru zgłaszania kolejnych wątpliwości. Zwłaszcza że szef dochodzeniówki dodał rzeczowo:

– Ten Kania pracował w prokuraturze. Zna policję i dogada się z nimi. Da sobie radę.

Rozdział 48

Dał. Dwa dni później pojechał do Opola, gdzie miejscowa policja miała już na koncie dwie próby aresztowania Felczera. Obydwie nieudane, dziwne i wstydlive.

– Mieszka u konkubiny na Kołłątaja – relacjonował prokuratorowi sierżant o niemiecko brzmiącym nazwisku, który dowodził grupą wywiadowców, zawsze do wszystkich zwracał się per „ty” i zawsze używał czasu teraźniejszego. – Dowiaduję się o tym, proszę ciebie, i co robię? Wysyłam chłopaka, żeby miał oko na kwadrat tej laski. To znaczy – wyjaśnił, widząc osłupiałe spojrzenie Kuby – na mieszkanie damy, u której zatrzymał się pan Felczer. No i wyobraź sobie, nie mija pół godziny, a policjant ulokowany z lornetką w mieszkaniu po drugiej stronie ulicy daje przez radio cynk, że nasz chłoptaś łązi po pokoju w samych slipach. To co robię? Wchodzimy po cichutku na czwarte piętro, taran, proszę ciebie, drzwi wylatują z futryną, w przedpokoju przewracamy tę jego babkę, wpadamy do salonu, a tam nikogo. Felczer się zdematerializował, dasz wiarę? To co robię? Następnym razem wysyłam dwóch na obserwację. I znów potwierdzają, że jest w mieszkaniu na milion procent. Wpadamy i znowu to samo. Szukaliśmy go nawet w szafkach łazienkowych, rozumiesz? Nic z tego. A głowę dam, że moje chłopaki nie muszą chodzić do okulisty.

– Jest pan pewien, że Felczer tam jest? – spytał Kuba.

– Tak jak tego, że ciebie widzę, chłopie. – Policjant uderzył się w piersi. – Pilnujemy go przez cały czas, chociaż ta babka zasłania teraz okno. Czekamy, aż prokurator zmięknie, bo na razie zaparł

się, że nie da nakazu. Twierdzi, że nie będzie trzeci raz płacił za naprawę drzwi. – Sierżant o niemiecko brzmiącym nazwisku zarechotał, choć wcale nie było mu do śmiechu.

Kuba podziękował i prosto z komendy udał się na dworzec kolejowy usytuowany po drugiej stronie ulicy. Pociągi do Strzelec Opolskich odchodziły co czterdzieści minut, a w Strzelcach spodziewał się znaleźć klucz do zagadki. To właśnie tu, w słynnym Zakładzie Karnym nr 1, Felczer odsiadywał pierwszy rok kary. Nowo mianowanego prokuratora IPN-u niezwykle ciekawiło, jak ten rok wyglądał.

– A, normalnie. – Wąsaty oddziałowy założył ręce za głowę i wyciągnął się na służbowym krześle, jakby był to leżak na Teneryfie. Nie krył satysfakcji, że Felczer, jak to oryginalnie ujął, prysnął z innego więzienia niż placówka będąca w jego jurysdykcji.

Kuba pomyślał, że ludzie w mundurach uwielbiają łączyć język urzędowy z żargonem bez względu na to, jakiego koloru i jakiej formacji by te mundury były.

– Jakim był pensjonariuszem? – drażył, starając się używać branżowego słownictwa, które często wyglądało płaszczyzną porozumienia.

– A, normalnym – odparł oddziałowy. Najwyraźniej ten zwrot był jego ulubionym narzędziem komunikacji zewnętrznej.

– Niczym się nie wyróżniał? – Kuba badawczo wpatrywał się w wąsy rozmówcy, jakby cokolwiek od nich zależało.

– Czy ja wiem? – Wąsy się poruszyły. – Dostawał szału, jak wychowawca straszył, że w środę wieczorem nie pozwoli mu oglądać telewizji. Bo widzi pan, wychowawca robił to specjalnie, nienawidził esbeków. A Felczer... – Oddziałowy popukał się w czoło, co miało oznaczać dezaprobatę. – To jeden z tych nawiedzonych fanatyków futbolu. Kompletna korba. Miał szlaban na telewizję, ale mówiąc między nami, panie prokuratorze, ustępowaliśmy mu. Gdyby nie obejrzał środowego meczu, miałbym tu bunt, jak dwa razy dwa jest cztery. Niech mi pan wierzy, umiem czytać z osadzonych jak z książek.

Godzinę później, w pociągu powrotnym do Opoła, Kuba miał już gotowy plan.

Został w mieście do środy. Wcześniej starannie obejrzał kamienicę przy Kołłątaja, w której – zdaniem policji – ukrywał się Felczer. Dom, zniszczony podczas walk o *Festung Oppeln*, został odbudowany po wojnie i ciągle miał instalację elektryczną z tamtych czasów: niezawodną, ale przestarzałą. Skrzynki z bezpiecznikami, popularnie nazywanymi korkami, mieściły się na klatce schodowej i były strzeżone przez niewielkie kłódki. Punktualnie piętnaście po ósmej wieczorem, kiedy rozpoczął się mecz pucharowy między Realem Madryt a Manchesterem City, policyjny technik specjalnymi nożycami przeciął kłódkę na czwartym piętrze i wykręcił korki. Zapadła kompletna ciemność.

Po paru minutach za drzwiami mieszkania konkubiny rozległy się przekleństwa i brzęk czegoś metalowego zrzuconego na podłogę. A potem w drzwiach pojawił się poszukiwany Waldemar T. ze świeczką w jednej i bezpiecznikiem w drugiej ręce. Obydwa przedmioty również upadły na posadzkę klatki schodowej, gdy ukryci w mroku antyterrorystów brutalnie sprowadzili Felczera do parteru, wykręcili mu ręce i założyli kajdanki. W świetle latarek stanowiących element wyposażenia pistoletów maszynowych były esbek szukał wzrokiem człowieka, który go przechytrzył. Nie znalazł. Wokół kłębiło się kilku osiłków w kominiarkach, łysy szef wywiadowców i jakiś młokos w modnej kurteczce. Każdy z nich był dla niego za krótki.

Zagadka zniknięć Waldemara T. podczas nalotów na mieszkanie przy Kołłątaja ujrzała światło dzienne jeszcze tego samego dnia podczas rozmowy sierżanta o niemiecko brzmiącym nazwisku z konkubiną Felczera.

– Kochanie – rzekł pieszczotliwie szef wywiadowców – albo mi tu zaraz grzecznie mówisz prawdę, albo rozwalamy ci mieszkanie w drobny mak. Jutro wnosisz skargę, ale nic ci to nie daje: ja prowadzę czynności operacyjne zmierzające do ujęcia groźnego przestępcy i możesz się skarżyć nawet do Strasburga. To jak

będzie? – Sierżant po raz pierwszy użył czasu przyszłego.

Kobieta popatrzyła na niego z nienawiścią, a potem ruchem głowy wskazała zabytkowy piec kaflowy w rogu pokoju. Łączył podłogę z sufitem i był pusty w środku – jeśli nie liczyć drabinki prowadzącej na strych, którą dało się ujrzeć dopiero po otwarciu drzwiczek perfekcyjnie zamaskowanych przez kafle. Stary esbecki lokal, użytkowany przez Waldemara T. na początku lat dziewięćdziesiątych, znalazł się na rozkładówkach tych samych gazet, które Jakuba Kanię okrzyknęły polskim Sherlockiem Holmesem.

Przydomek prokuratora IPN-u wkrótce miał stać się uzasadniony. W dwa miesiące po spektakularnym śledztwie w Opolu Kuba rozszyfrował zagadkę „samobójstwa” bohatera spod Monte Cassino, który wrócił do Polski w 1947 roku i został powieszony na parkowym platanie przez funkcjonariuszy UB tylko dlatego, że przyszedł na zabawę taneczną ubrany w mundur z naszywkami Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Niedługo potem, w blasku fleszy, Kuba odnalazł zaginione podczas wojny cenne archiwum wrocławskiej kurii i pomógł rozwikłać tajemnicę zbiorowego grobu ofiar NKWD na Lubelszczyźnie. Ale prawdziwy rozgłos przyniosła mu w 2001 roku sprawa Obersturmführera SS Erwina Winklera.

Tuż po świętach wielkanocnych Kuba trafił przed znudzone oblicze dyrektora Korna, który ruchem dłoni wskazał mu fotel i zdawkowo zapytał, czy pan prokurator napije się kawy. Uprzejmą odmowę podwładnego potraktował z wyraźną ulgą; szef pionu śledczego nie znosił kurtuazyjnych pogawędek z personelem. Nienawidził pustych pytań, jakie wypadało zadawać – o rodzinę i samopoczucie – oraz odpowiedzi, które w najmniejszym stopniu go nie obchodziły. Dlatego chętnie przeszedł do rzeczy.

– Panie Jakubie... – Piotr Korn swoim zwyczajem splótł palce obydwu dłoni. – Z satysfakcją obserwuję pańskie dokonania i dostrzegam w nich szczególne zamiłowanie do historii...

– Wszyscy się nią tu zajmujemy – odparł Kuba, starając się, aby zabrzmiało to skromnie.

– Ma pan słuszność. – Dyrektor przychylnie kiwnął głową, choć przez moment potraktował tę uwagę jako bezczelność podwładnego, który przypomina szefowi o zakresie jego obowiązków. – Niemniej większość kolegów z naszego pionu koncentruje uwagę na historii najnowszej, czasach komunistycznych, przeszłości, którą pamiętamy. Pan sięga dalej. Doskonale porusza się pan w tematach drugiej wojny światowej. Ale żeby nie owijać w bawełnę... – Korn nieznacznie uniósł się w fotelu. – Mam dla pana pewną propozycję. Nie ukrywam, że wiąże się ona z nieco wyższą grupą zaszeregowania. – Dyrektor dobrze wiedział, jak negocjować.

– Zamieniam się w słuch – Kuba wyraźnie ucieszył się z perspektywy podwyżki.

– Chodzi o przestępców wojennych. Odziedziczyliśmy po Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce ich sporą kolekcję. Proszę się nie martwić – uspokoił Kubę, który posmutniał, wyobrażając sobie, że szef za większą pensję zamierza zesłać go do papierkowej roboty. – Nie będzie miał pan z tym wiele pracy. Większość tych drani już nie żyje. Zostało kilkunastu, góra dwudziestu. Przejrzy pan ich teczki, raz w miesiącu sporządzi raport, a od czasu do czasu napisze pismo do Interpolu z pytaniem, czy nie wiedzą czegoś nowego, a oni odpiszą, że przykro im, ale nie wiedzą. Nie liczymy na cud. Ci, których poszukujemy, albo dożywają starości gdzieś w Argentynie, albo są szanowanymi obywatelami Bundesrepubliki i nikt nigdy nie zgodzi się na ich ekstradycję. Chodzi tylko o to, żebyśmy mieli jakiś przyzwoity monitoring tej kwestii. Zgoda?

Zanim Kuba zdążył odpowiedzieć, dyrektor już podniósł się z fotela z wytrenowanym uśmiechem:

– No, to cieszę się bardzo. Do dzieła, panie prokuratorze. Jak to mawiał mój kapral w wojsku: „Wykonać, o trudnościach meldować po wykonaniu”. – Piotr Korn uwielbiał powiedzonka.

Nazajutrz w archiwum jedna z pracownic działu dokumentacji uprzątnęła blat służbowego stołu o rozmiarach lądowiska helikopterów i położyła przed Kanią teczkę zakurzonych akt,

na której ktoś kiedyś wymalował długopisem niezgrabną swastykę. Prokurator zatonął w dokumentach.

– Ciekawe – odezwał się po godzinie, ni to do siebie, ni do archiwistki zajętej własnymi obowiązkami. – Jeden z poszukiwanych przez nas esesmanów Erwin Winkler urodził się w Strzelcach Opolskich. Niedawno tam byłem. Przepraszam – tym razem zwrócił się do pracownicy działu dokumentacji, która musiała być tu zatrudniona od wieków – może orientuje się pani, kto w czasach Głównej Komisji zajmował się zbrodniami hitlerowskimi urodzonymi na terenie dzisiejszej Polski?

Kobieta zamyśliła się przez chwilę.

– Nasi prokuratorzy – odparła. – Ale również miejscowe komendy milicji, a ściślej – dodała – Służba Bezpieczeństwa w miastach, z których ci ludzie pochodzili.

Przez kilka następnych dni strzelecki esesman Erwin Winkler chodził za Kubą krok w krok, nie dając mu spokoju. W poniedziałek prokurator poprosił o audiencję u szefa, wykorzystując panujący w wydziale przywilej dopytania się o obszar nowych obowiązków. Korn zezwalał na to, ale tylko raz.

– Panie dyrektorze... – Kuba zachęcony gestem dłoni przycupnął na brzegu tego samego fotela co poprzednio, dając tym samym do zrozumienia, że nie zamierza się rozsiadać i zawracać głowy – proszę mnie oświecić, jak dotrzeć do poszukiwań Głównej Komisji, których nie ma w aktach?

– Czego nie ma w papierach, jest w ludzkich głowach – odrzekł filozoficznie Korn. – Domyślam się, że doskonale pan to wie, ale zastanawia się, jak do tych ludzi dotrzeć. Pomogę panu. Po wyjściu z mojego gabinetu proszę się udać cztery piętra niżej, iść w lewo do końca korytarza i odszukać ostatnie drzwi, też po lewej. Trzymają tam takiego dinozaura, jeszcze z Głównej Komisji. Nazywa się Dzwonnik. Powodzenia.

Jakub Kania przez dobre trzy minuty tkwił pod wskazanymi drzwiami, nie wiedząc co robić. Tabliczka „Samodzielnego Referatu Informacji”, wydziału, w którym nigdy wcześniej nie był, zawierała zupełnie inne nazwisko. Czyżby Korn się pomylił?

Na szczęście na korytarzu pojawiła się znajoma ze stołówki, którą kiedyś próbował podrywać. Uśmiechnęła się kokieteryjnie na jego widok.

– Co gwiazda wydziału śledczego robi w naszych skromnych progach? – zapytała żartobliwie.

– Szukam pana Dzwonnika. Wiesz, w którym pokoju pracuje? Dziewczyna wybuchnęła śmiechem.

– Tutaj. – Ruchem głowy wskazała drzwi, przed którymi tkwił. – Tylko się tak do niego nie zwracaj, bo niczego nie załatwisz. Facet ma pseudonim „Dzwonnik”, bo potrafi wszystkiego się dowiedzieć, nie wychodząc z tego pokoju. – A widząc, że Kania nadal niczego nie rozumie, dodała: – On po prostu dzwoni. Ogarniasz? Bierze telefon i dzwoni. Ma chyba ze sto lat, dorabia do emerytury i zna wszystkich. Warszawska książka telefoniczna przy jego notesie jest cienka jak broszurka. Czeka! – znajoma złapała go za rękę w chwili, gdy zamierzał zapukać do drzwi „Samodzielnego Referatu”. – Najpierw weź taksówkę, skocz do Bliklego i przywieź mu sernik krakowski. Wtedy załatwisz wszystko.

Rozdział 49

Na widok przewiązanej cienkim sznurkiem firmowej paczuszki z ciastem i logiem znanej cukierni zasuszony mężczyzna w pokoju „Samodzielnego Referatu” zapytał bez ceregieli:

– Co to ma być?

– Sernik – odparł zmieszany Kuba. – Krakowski.

– Nie o to pytam, baranku boży. Co mam ci znaleźć?

Prokurator wyjaśnił, że szuka kogoś, kto w czasach PRL-u zajmował się Erwinem Winklerem, esesmanem ze Strzelc Opolskich.

– W porządku. – Staruszek wyciągnął rękę po paczuszkę od Bliklego. – Daj mi parę godzin, baranku boży. Muszę podzwonić.

O trzeciej po południu wszystko było jasne. Dzwonnik położył przed Kanią karteczkę z numerem telefonu:

– Hubert Smolorz. Major. Urząd Ochrony Państwa. Wcześniej SB w Strzelcach Opolskich. Nie wzdygaj się, baranku boży. – Zasuszony mężczyzna popatrzył na Kubę, choć ten w ogóle nie zareagował. – To porządny gość. Wnuk powstańca śląskiego. W SB był w sekcji kontrwywiadu, zajmował się między innymi hitlerowcami. Z pewnością zna twojego przyjaciela z SS. Ciesz się, baranku boży. Masz go pod ręką, w Warszawie.

Jakub Kania podziękował, trzymając już dłoń na klamce, ale zanim ją nacisnął, uznał za stosowne powiedzieć coś jeszcze:

– Muszę przyznać, że mi pan zaimponował. Reputacja, jaką ma pan w instytucie, nie jest ani trochę przesadzona. Tylko...

– Co cię jeszcze trapi, baranku boży? – Dzwonnik zdawał się pochłonięty lekturą znanego tygodnika.

– No właśnie to. Dlaczego mówi pan do mnie „baranku boży”?

Starszy człowiek, nie podnosząc oczu znad gazety, powiedział półgłosem:

– Bo gładzisz grzechy świata.

Jak na rodowitego Ślązaka przystało, Hubert Smolorz był lekko rudawy i bardzo nieufny. Zanim uznał wizytę prokuratora IPN-u za nieszkodliwą, minęło dobrych piętnaście minut. Potem się rozgadał.

– Niech pan sobie wyobrazi... – Major przybrał niedbałą pozę w swoim fotelu w Zarządzie Kontrwywiadu, głęboko zaciągając się dymem camela. – Przez kilkanaście lat miałem zdjęcie Erwina Winklera przypięte do tablicy nad biurkiem i kiedy tylko na nie patrzyłem, brała mnie złość, że nigdy tego ptaszka nie złowimy. Herr Obersturmführer schował się za murem berlińskim i tyle. Interpol miał nas wtedy w... no wie pan... – Smolorz zreflektował się w ostatniej chwili. – Nie było szans. Pozostawało zżymać się, że porucznik SS, ciemna plama na historii Strzelców Opolskich, jeździ sobie paręset kilometrów dalej eleganckim mercedesem i gwizdże na naszą bezsilność. Aż tu nagle – major zrobił przerwę dla spotęgowania napięcia opowieści – w osiemdziesiątym dziewiątym mur runął, a starszy pan Winkler zrobił się sentymentalny i postanowił po cichutku odwiedzić swój Heimat. W Strzelcach miał siostrzenicę, którą dyskretnie obserwowaliśmy, więc namierzyliśmy wujka bez trudu. Tego samego dnia poleciałem z tym do szefa, a on, zamiast się ucieszyć z sukcesu, wydarł się, że teraz to on ma na głowie weryfikację, a nie łapanie leśnych dziadków z czasów Hitlera. – Smolorz zamyślił się, jakby rozważał, czy powierzyć Kubie ciąg dalszy tej historii. – I wie pan, nie wytrzymałem. Zagrałem va banque, choć nie miałem na Winklera nakazu aresztowania. Poszedłem do domu tej jego siostrzenicy z dwoma roslymi chłopakami i zaświeciłem mu w oczy legitymacją. Zachował spokój, ale dawało się wyczuć, że panicznie się boi. Bez słowa wyjął paszport, prawo jazdy, jeszcze jakieś dokumenty. „Proszę to wszystko skserować – powiedział. – Jestem zbyt stary,

żeby dokądkolwiek uciekać. Oddaję się do dyspozycji policji, ale pozwólcie, panowie, żeby aresztowano mnie w Niemczech”. Smolorz zdusił camela w popielniczce. – Przyznam, że zachował się z godnością. Nie skamlał, nie robił tego całego cyrku, że zaszła pomyłka, że to nie on i tak dalej. Puściłem go. Zresztą – powtórzył – nie miałem nakazu aresztowania. Parę dni później wysłałem notatkę do niemieckiej policji, ale oni tam wtedy mieli inne rzeczy na głowie. Sprawa Obersturmführera z mojego miasta ucichła na zawsze. Szlus. Ale... – major Smolorz znów przez moment udramatyzował narrację – Erwin Winkler dotrzymał słowa. Nigdzie nie uciekł. Wiem, że nadal mieszka w Berlinie przy Potsdamer Platz i w pobliskim parku gra w szachy z kumplami z SS. Chce pan jego adres?

Herr Winkler, szacowny siedemdziesięcioośmioletni notariusz z Potsdamer Platz został aresztowany podczas porannego spaceru ze spanielem Fifi, który ujadł na policjantów i fotoreporterów z furią obozowego owczarka. Parę dni później w kilku europejskich gazetach ukazały się notatki na temat aresztowania dawnego esesmana, a jeden z francuskich tygodników opatrzył swój artykuł nagłówkiem: *Jacques Kania – pogromca zbrodniarzy III Rzeszy*. Pod tytułem redakcja zamieściła zdjęcie przystojnego uśmiechniętego bruneta.

Rozdział 50

Mewy nad Motławą toczyły donośny spór w jakiejś niezwykle emocjonującej kwestii. Co chwilę kilka z nich startowało z krzykiem z pokładu „Sołdka”, zacumowanego przy nabrzeżu Muzeum Morskiego, aby wylądować na gzymsie gdańskiego Żurawia, podreptać tam w nerwowym tańcu przypominającym ptasi hip-hop i wrócić na drugą stronę lotem koszącym tuż nad fryzurami pasażerów statku wycieczkowego na Westerplatte.

Kasia i Kuba usiedli w ogródku kawiarni pełnej Skandynawów. Wybór miejsca podyktowany był narodowym wskaźnikiem decybeli. W lokalach okupowanych przez pijanych angielskich dokerów uważających się za jedynych lokatorów świata nie dało się wytrzymać, Niemcy byli bardziej kulturalni, ale też głośni, Szwedzi i Norwegowie wypadali zdecydowanie najkorzystniej. Okupacja stolików w ich wykonaniu była całkiem znośna.

Kuba uśmiechał się w myślach, wspominając pełne przygód początki pracy w IPN-ie, Kasia przebiegała palcami po klawiaturze laptopa w poszukiwaniu miejsc, które koniecznie trzeba jeszcze zobaczyć na Starówce. Od rana przeszli już chyba dystans maratonu, ale widząc jej szczęście, gotów był pokonać drugie tyle. Myślał o obrazie Matejki, dzięki któremu znalazł Kasię, i pewnie otworzył tą refleksją jakiś telepatyczny kanał, bo jego towarzyszka oderwała wzrok od ekranu i zapytała:

– Kuba, gdzie jest Zielona Brama?

– Tu. – Pokazał palcem budynek wieńczący przejście na Długi Targ, od którego dzieliło ich kilkanaście metrów. – *Voilà!* – Wykonał ręką gest kelnera prezentującego danie wyjęte spod

metalowego klosza.

– Pan Mądraliński. – Kasia żartobliwie kopnęła go w kostkę. – Pan Mądraliński zapomina, że dama jest pierwszy raz w Gdańsku. I o manierach też zapomina. Nie pokazuje się paluchem – dodała z uśmiechem.

– A cóż to damie podoba się w Bramie? – Kuba najwyraźniej był w doskonałym nastroju.

– Tak chciałam wiedzieć – odparła. – Bo właśnie o niej czytam i wiesz co? Jest tu oddział gdańskiego Muzeum Narodowego i niedawno mieli wystawę *Malarstwo polskie dwudziestego wieku*, po której wybuchła afera w internecie. Zgadnij, kto był jej powodem.

– Nie mam zielonobramowego pojęcia – Kuba rozkręcał się w zabawie słowami.

– Nasz Matejko! – oświadczyła Kasia niemal triumfalnie.

– Jak to? – zaniepokoił się, myśląc odruchowo, że chodzi o *Chrzest Warneńczyka*.

– A tak to... – Kasia spojrzała na Kubę nieco rozbawiona. – Główną atrakcją tej wystawy był obraz Jana Matejki *Polonia 1863*. Nieciekawo – dodała – widziałam go w necie. Na pierwszym planie znajduje się kobieta w czarnej sukni i w kajdanach, to Polska. Za nią koleżanka w bieli, też czeka na zakucie w łańcuchy. To Litwa. Obok stoją oficerowie w mundurach armii Rosji i Prus. To oprawcy. Dość natrętna alegoria i nic poza tym. Piszą, że Matejko tak się przestraszył tego, co namalował, że przez kilkanaście lat trzymał obraz ukryty za piecem, bo bał się represji ze strony namalowanych zaborców. Niepotrzebnie. W końcu był poddanym cesarza Austrii.

– I to cała afera? – spytał Kuba, z trudem maskując rozczarowanie.

– Ach, nie! – Kasia machnęła ręką. – Afera wybuchła z tego powodu, że hitem ekspozycji został obraz dziewiętnastowieczny, co wywołało święte oburzenie historyków sztuki. Czytałam komentarze, niektórzy mieli nawet pretensje do Matejki, że sam nie doczekał dwudziestego stulecia. Jakby to on był komisarzem

gdańskiej wystawy albo jakby był... niepełnoletni – zaśmiała się z własnego dowcipu.

– Mają ludzie problemy – skwitował Kuba i przeniósł zainteresowanie na sztukę zdobienia pianki na kawie, którą właśnie postawiła przed nim kelnerka. Z filiżanki wycierał chiński znak *ying i yang*. Kasia również przyglądała mu się w skupieniu, ale myślami najwyraźniej była gdzie indziej.

– Jak myślisz, Kuba? – spytała. – Trafimy jeszcze na ślad naszego obrazu?

Milczał. Wpatrywał się w kawę, ale to nie przynosiło odpowiedzi, chociaż nagły powiew wiatru znad Motławy zmarszczył ornament na piance, sprawiając, że proporcje symbolu równowagi uległy zniekształceniu. Filiżanka była teraz zdominowana przez *yang* – znak zwiastujący ciemność, smutek i brak nadziei. Kuba uznał to za zły omen.

– Nie wiem – odpowiedział w tonacji *yang*. – Naprawdę nie wiem. Wielka szkoda, że nie mamy zapisków Włodarczyka, a tym bardziej dokumentacji twojego dziadka. Od jego przyjaciółki w instytucie dowiedziałem się, że prawdopodobnie zabrał z archiwum większą część fotokopii, protokołów ustaleń i notatek.

– Nigdy tego nie widziałam – westchnęła Kasia. – Opowiadał mi o obrazie dziesiątki razy, ale nigdy nie pokazywał żadnych dokumentów. Zresztą – dodała logicznie – nie pokazuje się takich rzeczy dziewięcioletniej dziewczynce.

– A może ktoś z rodziny, kto robił porządek w rzeczach dziadka po jego śmierci – stwierdził ostrożnie Kania – po prostu wyrzucił papiery, które wydawały się bez znaczenia?

– Niemożliwe – uśmiechnęła się Kasia. – Tam działał mój tato, a on przechowuje nawet dowody kupna tenisówek sprzed piętnastu lat. Buty dawno wywalił na śmietnik, ale paragon ma.

– Wobec tego – w Kubie odezwał się detektyw – wróćmy do teorii spiskowej i cofnijmy się w czasie. Załóżmy, że prokurator Karewicz naprawdę obawia się ludzi strzegących tajemnicy *Chrzta Warneńczyka*. Często powtarza bliskim, że coś może mu się przydarzyć. Tak?

– Tak – kiwnęła głową Kasia.

– To mamy potwierdzenie. A zatem. Twój dziadek rozpoznaje niebezpieczeństwo, jakie grozi jemu i dokumentacji poszukiwania obrazu. Wobec tego wynosi najważniejsze dowody z archiwum. Tu mamy kolejne potwierdzenie pani Zofii Sowińskiej.

– Tylko po co je wyniósł? – zastanawiała się Kasia. – Te dokumenty – powtórzyła. – Dlaczego je zabrał? Przecież w siedzibie Głównej Komisji, pilnowanej przez zamki i strażników, były znacznie lepiej chronione niż w jego mieszkaniu.

– Bravo! – zawołał Kuba, aż kilku Szwedów odwróciło się od swoich kuflów. – Skup się i idź tym tokiem rozumowania. Jesteś swoim dziadkiem. Wiesz, że dokumenty nie są bezpieczne w archiwum, a tym bardziej w domu. Co robisz?

– Kasia na moment utonęła w myślach, ale zaraz się wynurzyła:

– Ukrył je – szepnęła. – Tak! Dziadek je ukrył! – Kiwnęła głową z przekonaniem. Oczy jej płonęły.

Kuba czekał na taką reakcję od dawna. Przeczował, że nadejdzie magiczna chwila, kiedy pamięć dziewięcioletniej dziewczynki może zostać reaktywowana jak w hipnozie. Zamknął jej dłoń w swoich dłoniach i spytał cicho:

– Gdzie, Kasiu? Gdzie?

Patrzyła na niego nieobecny wzrokiem. Świetnie. Tak jak przypuszczał, była znów w krainie dzieciństwa, może na wiosennym nadwiślańskim spacerze z dziadkiem. Jej mózg odkurzał starą, zapomnianą matrycę zawierającą dane, o jakich nie miała nawet pojęcia.

– Miał takie miejsce – szepnęła niepewnie.

– Gdzie? – Kuba z trudem panował nad emocjami.

– Nie pamiętam... – spojrzała przepaszająco, ale jej oczy nagle zmieniły wyraz. – Wiem – powiedziała – Na Mazurach. Na pewno na Mazurach. Wyjeżdżał tam. Zawsze sam. W rodzinie mówiło się, że Kazik znów ma chandrę i pewnie pryśnie na swoją wyspę. Bo tam, gdzie jeździł, była wyspa. I jezioro, rzecz jasna – przyłapała się na oczywistości. – Myślę – dodała – że miał gdzieś na Mazurach swój azyl. I kiedy chciał się znaleźć z dala od ludzi,

pomyśleć, poczytać, może popracować nad tymi swoimi historycznymi zagadkami, po prostu się tam zasztywał.

– Gdzie? – po raz trzeci padło to samo pytanie.

– Nie wiem. – Rozłożyła ręce. – To było ponad dwadzieścia lat temu. Nie przypomnę sobie, Kuba. Z trudem skojarzyłam Mazury. Ale nazwa miejscowości zupełnie zatarła się w pamięci – uśmiechnęła się blado.

– A gdybyś usłyszała tę nazwę jeszcze raz? Teraz? – dopytywał Kuba. – Może otworzyłaby ci się w głowie jakaś zapadka? Mógłbym – myślał głośno – zorganizować spis administracyjny województwa warmińsko-mazurskiego, a nuż by to coś dało? Czasami budzą się takie skojarzenia. Ciekawe – zastanowił się – gdzie by taki spis zdobyć?

– Tu – Kasia pokazała palcem ekran laptopa i przedrzeźniając jego gest wykonany wcześniej w kierunku Zielonej Bramy, dodała: – *Voilà*.

Ale skojarzenie się nie pojawiło. Ani w Ameryce koło Olsztyńka, ani w Baniach, Barcikowie, Barczewku, Bartągu, Bartołtach, Braniewie i Bukwałdzie, ani przy żadnej innej literze internetowego spisu miejscowości Warmii i Mazur. Ciąg dalszy spaceru po Starówce diabli wzięli, a Kasię rozboleła głowa. Już w samochodzie w okolicach hali Oliwii przypomniała sobie jeszcze, że dziadek, oprócz wyspy, na którą pływał starym czółnem, wspominał także o leśniczówce. Potem myślała już tylko o paracetamolu.

Następnego ranka wybrali się do Orłowa po świeżą flandrę i Kuba wrócił do tematu.

– Wczoraj, gdy się już położyłaś, przyszło mi na myśl, że dziadek mógł mieć skrytkę na tej wyspie.

– Dlaczego akurat na wyspie? – spytała. – Dlaczego nie na strychu w leśniczówce?

– Bo miał sentyment do *Tajemniczej wyspy* – wyjaśnił. – I prowadził na niej próby swojego kodu. Może chciał tam coś zaszyfrować, tylko nie zdążył? Myślę, że zamierzał w ten sposób

zostawić jakąś wiadomość dla ciebie, skoro uczynił cię powierniczką historii *Chrzta Warneńczyka*. Przypuszczam, że mogła to być wskazówka, gdzie należy szukać tych ukrytych dokumentów.

– Tymczasem zaszyfrował tylko swoje imię i nazwisko. – Kasia sceptycznie pokręciła głową. – Takie rzeczy robi się raczej z nudów lub dla zabawy niż z potrzeby ukrycia tajemnicy.

– Upieram się, że była to tylko próba kodu – oświadczył Kuba. – Coś w rodzaju ćwiczenia przed przygotowaniem właściwego komunikatu. Głowę dam, że twój dziadek po prostu nie zdążył go sformułować przed wypadkiem.

– Próba? Imię i nazwisko? – zastanawiała się.

– I „des” – uzupełnił rzeczowo Kuba.

– Des? – Kasia stanęła jak wryta na zwirowej alejce prowadzącej do orłowskiego mola.

– Trzy litery, które ukrył w *Tajemniczej wyspie* obok swoich personaliów – wyjaśnił: – Kazimierz Karewicz des. – Nie powiedziałem ci? – Kuba zarumienił się, przypominając sobie własną teorię uknutą tamtego wieczoru na sofie, w przyływie emocji: że „des” to ona. *Destiny* – przeznaczenie.

– Nie, nie powiedziałeś. – Kasia nadal tkwiła na ścieżce. – Ale znam te litery.

– Znasz? – Tym razem jego zamurowało.

– Tak. Dziadek używał ich jako podpisu, wyróżnika, takiego pisanego logotypu. Były wygrawerowane na kopercie jego zegarka i wewnątrz obrączki. Często sygnował nimi książki – dodała. – Ale nie mam pojęcia, co mogą znaczyć.

Na Bema wrócili niemal w milczeniu. Obydwoje błądzili w myślach, labiryntach skrótów, słów i anagramów. Na klatce schodowej Kuba nagle przystanął i bez słowa sięgnął po telefon. Wystukał numer i przez chwilę czekał na połączenie. Kasia przyglądała mu się z zaciekawieniem.

– Dzień dobry – powiedział do słuchawki. – Mówi Jakub Kania. Czy mogę prosić o połączenie z archiwum? Dziękuję. – Kolejną prośbę sformułował równie uprzejmie: – Czy zastałem panią Zofię

Sowińską? Chciałem z nią porozmawiać. Dzień dobry, pani Zofio – rozpromienił się po kilkunastu sekundach. – Mam jeszcze jedno pytanie o pana prokuratora Karewicza. Czy mówi coś pani wyraz: „des”?

Kasia obserwowała zmianę, jaka zachodziła w jego twarzy podczas słuchania odpowiedzi. Nie trwało to długo. Podziękował, bąknął bez przekonania: „Bardzo mi pani pomogła”, i się rozłączył. Milczał. Nie chciała być wścibska. Zwłaszcza że знаła go już wystarczająco, aby nie przeszkadzać w porządkowaniu myśli, które galopowały mu teraz w głowie. Usiedli przy stole w kuchni.

– To była zawodowa dewiza twojego dziadka. Bardzo mądra dewiza: Wątpię, więc jestem. Po łacinie *dubito ergo sum*. W skrócie: des. Nie *cogito* jak w słynnej sentencji Kartezjusza, ale *dubito*.

Kasia przez dłuższy moment wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, wreszcie szepnęła:

– Dubity. Ta miejscowość na Mazurach nazywała się Dubity.

Rozdział 51

Emerytowany starszy bosman sztabowy marynarki Antoni Kania przyszedł na świat na skrzyżowaniu światów, czasów, języków i narodów, w wigilię Bożego Narodzenia 1939 roku, w niewielkim domu w Redłowie podczas zadymki: śnieżnej i wojennej. Na północ od jego kołyski jeszcze parę miesięcy wcześniej kwitł entuzjazm Gdyni – budowanej z beżowego piaskowca przez ojca, który przyjechał tu z Mazowsza. Na południu czaił się brunatny Gdańsk: miasto matki – z domu Janke, pochodzącej spod Kartuz i wysłanej do Wrzeszcza, żeby zdobyć solidną niemiecką edukację. Na wszelki wypadek. Pragmatyczni Kaszubi często tak wtedy robili: jedno z dzieci szło do polskiej szkoły, drugie do niemieckiej. Obstawianie obu kolorów politycznej ruletki zmniejszało ryzyko przegranej. Zwłaszcza że ruletka kręciła się w niepojętym tempie, a czasy były pewne niczym kaszubska prognoza pogody: „Jak młewa na młerze sendze – deszcz bendze albo nie bendze”.

W redłowskim domu Kaniów mewy siadały na ganku, Goethe stał na jednej półce z Mickiewiczem, a babka Gertruda nuciła wnukowi kołysanki w języku, z którego obydwaj poeci nie zrozumieliby ani słowa. Jej kaszubskie zaplecze wkrótce miało okazać się zbawienne. Kiedy w Gdyni zaczęły się prześladowania i wysiedlenia Polaków, Gertruda Janke spakowała dobytek córki i zabrała ją wraz z wnukiem na wieś pod Kartuzami, gdzie niewielkie gospodarstwo i jezioro gwarantowały utrzymanie, a bezpieczeństwo zapewniał... Urząd do Spraw Rasowych NSDAP. Chałupa Janków znajdowała się bowiem w środku obszaru, który na mapach w Berlinie oznaczono jako *Wasserpolen* – tereny

zamieszkane przez „rozwodnionych Polaków”: Kaszubów, Mazurów i Ślązaków, przeznaczonych w przyszłości do całkowitego niemieczenia, a tymczasem pozostawionych w spokoju.

Antoni Kania raczej nie przejmował się wówczas planami, jakie miał wobec niego Adolf Hitler, choć historia otulała go szczerzej od pieluchy. Imię otrzymał po legendarnym królu Pomorza, który w języku ojczystym północnych Kaszubów nazywał się Tona Ôbram, chociaż – będąc żarliwym patriotą – używał polskiej wersji swojego nazwiska: Antoni Abraham.

Po ojcu, którego Antoni Kania nigdy nie widział, dostał najpierw ryngraf z Matką Boską Częstochowską, a potem kilkanaście linijek maszynopisu ze Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, z zawiadomieniem, że ojciec – zmobilizowany pod koniec sierpnia 1939 roku – wrócił w rodzinne strony wraz z 20. Dywizją Piechoty Armii Modlin i pozostał tam – na polu bitwy pod Mławą. Kolejnym wojennym upominkiem był kuzyn Andrzej, rówieśnik Antoniego, przywieziony w 1943 roku z Warszawy po śmierci rodziców. Trzeba przyznać, że zżyli się jak rodzeni bracia. Razem dorastali, razem poszli do szkoły i przystąpili do Pierwszej Komunii Świętej, a potem przez wiele lat byli ministrantami w kartuskiej kolegiacie. Wiadomość otrzymana któregoś wieczoru w drugiej połowie lat pięćdziesiątych okazała się dla Antoniego szokiem.

Andrzej nie był ani jego krewnym, ani katolikiem, ani nawet Andrzejem. Naprawdę nazywał się Avi Leibowitz i przyszedł na świat w rodzinie warszawskich prawników, którzy w latach trzydziestych często spędzali wakacje nad kaszubskimi jeziorami. Kupując nabiał u państwa Janke, zyskali ich przyjaźń. Podczas okupacji Leibowitzowie wydali cały majątek, aby przeszmyglować czteroletniego synka za mury getta, wyrobić mu aryjskie papiery i umieścić w rodzinie przedwojennych znajomych. Zanim szok minął, rankiem następnego dnia Avi wyjechał do Izraela, zabrany przez bogatego i wpływowego brata swojego ojca. Wkrótce wszelki śluch po nim zaginął.

Wtedy osiemnastoletni Antoni Kania postanowił zemścić się na wojnie. Za to, że zabrała ojca i oszukała go z Andrzejem-Avim.

A że najlepszą formą rewanżu wobec wojny jest walka o pokój, Antoni postanowił niezłomnie stanąć na jego straży, niczym dziarscy młodzieńcy z ówczesnych plakatów. Kaszubskie geny sprawiły, że wybrał szkołę podoficerską marynarki wojennej: bez niepotrzebnych ambicji, blisko domu i morza. Rychło okazało się, że nie będzie wybitnym żołnierzem, choć miał dwie cechy typowo napoleońskie: niski wzrost i wysoką inteligencję. Pierwsza załatwiła mu przydział na okręty podwodne, druga – specjalny rodzaj służby. Już w drugim roku szkolnym okazało się bowiem, że kadet Antoni Kania zrobił tak niebывałe postępy w nauce rosyjskiego, że wytypowano go do eliminacji konkursu językowego floty. Podczas finałów w Kołobrzegu bez trudu zajął pierwsze miejsce, pokonując dwóch kapitanów i komandora podporucznika po stażu w Bałtiju. Nie uszło to uwadze pewnego bystrego oficera kontrwywiadu, który tuż po promocji Antoniego Kania na mata najpierw starannie go sprawdził, a potem wręczył bilet do dyskretnego ośrodka szkoleniowego na Dolnym Śląsku. Do Gdyni wrócił po roku z naszywkami bosmana, sportową sylwetką i biegłą znajomością szwedzkiego.

Od tej pory służba uzdolnionego językowo podoficera stała się obiektem zazdrości kolegów z załogi okrętu podwodnego radzieckiego projektu 613, który w NATO zaliczano do klasy Whiskey. Łódź, wyposażona w specjalną aparaturę, podpływała pod powierzchnię szwedzkich wód terytorialnych, a Antoni Kania pilnie słuchał i jeszcze pilniej notował wszystko, o czym rozmawiali przez radio rozmaici Erikssonowie i Lindbergowie ze skandynawskich niszczycieli i kontrtorpedowców. Trwało to latami, zapewniając mu poczucie misji i komfortu: marynarka bowiem uważała bosmana Kanię za funkcjonariusza kontrwywiadu, a kontrwywiad za podoficera marynarki, w związku z czym nikt nie wymagał od niego strzelania obcasami, prężenia się na baczność, awansowania, robienia kariery i jakiegokolwiek wojskowej aktywności, od sportowej po polityczną. Bosman od zadań specjalnych miał własną kajutę z tabliczką zabraniającą wstępu nawet kapitanowi okrętu i swój świat – z identycznym zakazem.

W każdej armii świata to warunki służby, o jakich można tylko marzyć.

Wszystko skończyło się 2 września 1977 roku, kiedy Arne Johansson, oficer łącznikowy szwedzkiej łodzi podwodnej typu Sjoormen, podający przez radio kurs swojej jednostki, nagle odezwał się niemal nienaganną polszczyzną:

– Jak się masz, Antek? Co u ciebie? Jadwiga zdrowa? A Kuba? Jak mu się podobał pierwszy dzień w szkole?

Bosman Kania gwałtownym ruchem zerwał słuchawki i wpadł do mesy zlany potem. Nie potrafił odpowiedzieć na żadne z gorączkowych pytań, jakie zadawali mu zaniepokojeni koledzy. Do końca rejsu milczał, a myśli – otępione relanium wstrzykniętym przez lekarza pokładowego – krążyły na zwolnionych obrotach wokół jednej przerażającej pewności: wiedzą o mnie wszystko. Znają imię żony i syna. Śledzili go w drodze do szkoły. Czy zrobią mi krzywdę, jeśli on, ojciec Kuby, nie przestanie ich podsłuchiwać?

Przestał. Wywiad NATO miał pewnie ważniejsze zadania niż nękanie siedmioletniego Jakuba Kani, który właśnie poznał pierwszą stronę w elementarzu, ale program „Żonkil”, polegający na inwigilacji komunistycznych techników nasłuchu radiowego, wymyślony w centrali CIA, okazał się strzałem w dziesiątkę. To był psychologiczny majstersztyk: morale kilkudziesięciu operatorów urządzeń podsłuchowych wojsk Układu Warszawskiego nagle legło w gruzach. Po prostu dotarła do nich przerażająca świadomość, że ochrony przed wrogiem nie dają ani ściany bunkrów, ani pancerze czołgów i łodzi podwodnych, ani kadłuby ponaddzwiękowych myśliwców. „Żonkil” pachniał czystym strachem.

Po miesięcznym pobycie w sanatorium i długim urlopie bosman Kania nie wrócił do bazy na Oksywiu. Dostał biurko w dowództwie Marynarki Wojennej, pisał jakieś bzdurne ulotki propagandowe. Posiwał, kompletnie stracił dawny wigor. Po śmierci ukochanej żony, która przegrała walkę z rakiem, przestał brać udział w życiu. Wykonywał jej ostatni rozkaz: dopilnować, aby synowie ukończyli

studia, ale był już wtedy jak robot, któremu konstruktor wyłączył część funkcji. Nie tonął, ale i nie płynął. Dryfował, z całkowitą obojętnością wobec wiatrów, prądów i kompasu. W dniu ukończenia studiów prawniczych Kuba nie zauważył na twarzy ojca nawet cienia emocji i pomyślał ze smutkiem, że nie pamięta już radosnego ojca.

Na emeryturze bosman Antoni Kania znalazł jednak coś, co podtrzymywało jego zamrożoną wolę życia. Którejś nocy, z nikomu nieznanego powodu, zaczął poszukiwania legendarnego ORP „Orzeł”. Dwudziestego trzeciego maja 1940 roku okręt wyszedł w rejs patrolowy po Morzu Północnym, z którego nigdy nie wrócił. Nagle radiotelegrafista przestał odpowiadać na pytania bazy, a „Orzeł” rozplynał się w niebycie. Eksperci od marynarki, geografii, nawigacji, historii i polityki od ponad pół wieku zadawali sobie pytanie, co się mogło stać.

Od chwili, gdy to samo pytanie zaintrygowało Antoniego Kanię, jego mieszkanie wypełniły stosy książek poświęconych sławnemu okrętowi, kopie artykułów, płachty map morskich z okresu drugiej wojny światowej i listy, które emerytowany bosman wysyłał i otrzymywał z całego świata. Nie trzeba dodawać, że na użytek swojej nowej misji język angielski opanował na poziomie oksfordzkim.

Kiedy przed kilkoma dniami Kuba z Kasią przyjechali do Gdyni, ojciec jak zwykle tkwił pogrążony w papierach. Przyjaciółkę syna przywitał po swojemu: w milczeniu uściśnął jej dłoń, nie patrząc w oczy. Poczuli się nieswojo. Przez kilka bardzo długich sekund stali naprzeciwko siebie w przedpokoju, nie mając pojęcia, jak się zachować. Wreszcie w ojcu Kuby coś drgnęło. Ciągłe milcząc, wykonał nieśmiały gest ręką, wskazując Kasi mały pokój, w którym czekała rozłożona kanapa ze świeżą, niebieską pościelą w biało-żółte kwiatki rumianku. Zrozumiała, że ten starszy pan na swój sposób daje jej do zrozumienia, że na nią czekał, i cieszy się, że przyjechała, choć nie umie tego powiedzieć. Coś ścisnęło ją za gardło. Antoni Kania bez słowa zostawił ich samych.

– Musi się oswoić – wyjaśnił Kuba. – Daj mu trochę czasu.

Machnęła dłonią na znak, że wszystko rozumie i że nie ma o czym mówić, a potem rozejrzała się po pokoju. Pewnie wiele lat temu należał do obydwu braci. Naprzeciwko kanapy, na której kwitły teraz bawełniane rumianki, stał osobliwy mebel nazywany kiedyś tapczanopółką. Część przeznaczona do spania była złożona, a nad nią wznosił się regał, ciągle z książkami Karola Maya o szlachetnym Winetou. Pod sufitem toczyły bój plastikowe myśliwce na nylonowych nitkach, a obok okna wisiał plakat słynnej czwórki z Liverpoolu.

– Beatlesi? – zdziwiła się Kasia. – Nie wierzę. Kiedy kończyli karierę, byłeś jeszcze tak mały, że chodziłeś z drabiną na poziomki – dodała z filuternym uśmieszkiem. – No, chyba że mnie okłamałeś i masz dwadzieścia lat więcej. – Spojrzała na niego z udawaną podejrzliwością.

Wydawało się, że Kuba kompletnie nie zrozumiał żartu.

– Nie okłamałem – oświadczył oficjalnie, jakby składał zeznanie pod przysięgą. I pozostając ze śmiertelnie poważną miną, spytał: – Skąd wiedziałaś, że pod krzakami poziomek jest najlepsza akustyka do słuchania Beatlesów?

Roześmiała się, myśląc jednocześnie, że przy nim często się jej to zdarza. I że uwielbia się śmiać. A potem raz jeszcze zerknęła na plakat i zanuciła:

– *In the town, where I was born, lived a man who sailed to sea...* W mieście, w którym się urodziłem, żył człowiek pływający po morzach. I opowiedział nam o swoim życiu na pokładzie łodzi podwodnej. Wszyscy żyjemy na żółtej łodzi podwodnej...

Kuba spojrział na nią zdziwiony.

– Znasz nie tylko sekrety poziomek, ale i tego mieszkania... – powiedział.

Rozdział 52

Godzinę później, na spacerze po skwerze Kościuszki, opowiedział jej o ojcu. Nie potrafiła ukryć wzruszenia i od tamtej pory patrzyła na starszego pana z jakimś aksamitnym ciepłem. Jej oczy znów zmiękły, kiedy ojciec Kuby wszedł do kuchni właśnie w tym momencie, kiedy rozmawiali o swojej mazurskiej zagadce.

– Słyszałam, że szuka pan „Orła” – wypaliła Kasia, nieoczekiwanie chyba nawet dla samej siebie.

Kuba dałby głowę, że ojciec spochmurnieje i wyjdzie bez słowa, ale tak się nie stało.

– Znalazłem go – powiedział spokojnie, jakby chodziło o guzik, który oderwał się od koszuli i spadł na dywan.

Kuba usiadł z wrażenia.

– Tato... – zaczął ostrożnie, wpatrując się w ojca, jakby chciał zdiagnozować jego stan psychiczny. – Co ty mówisz? Znalazłeś „Orła”?

– Wiem, gdzie jest – odparł cicho ojciec.

– Ale jak? Skąd? – Kuba naprawdę nie wiedział, co ma myśleć o tym, co przed chwilą usłyszał. Mam do czynienia z historycznym odkryciem – myślał gorączkowo – czy z urojeniami?

– Byłem w Londynie – rzekł ojciec, jak zwykle bez żadnych emocji.

– Byłeś w Londynie?! Kiedy? Dlaczego nic nie powiedziałaś?

Emerytowany bosman wciąż patrzył w ścianę.

– Bo nie pytałeś – wyjaśnił. Ale wyczuwając niezrozumiałe napięcie w głosie syna, dodał uspokajająco: – Sam mi dałeś pieniądze na wyjazd, z tej nagrody Interpolu za odnalezienie

esesmana.

– Tato – jęknął Kuba – myślałem raczej o Egipcie, o Krecie, Turcji. Nie wiem... – Machnął ręką w geście zrezygnowania. – O Tunezji może....

– Nie lubię upałów – ojciec nie zmieniał rzeczowego tonu. – A poza tym w Londynie byłem umówiony – uzupełnił spokojnie.

– Z kim, na miłość boską?

– Z Avim Leibowitzem.

Kuba przypomniał sobie pożółkłą fotografię i opowieści o przyjacielu, z którym ojciec dorastał tuż po wojnie na kaszubskiej wsi, zanim tamten wyjechał do Izraela.

– Z Avim Leibowitzem – powtórzył jak echo.

– Tak. – Ojciec skinął głową, choć ciągle wydawał się jakby nieobecny. – Odnalazłem go parę miesięcy temu w internecie. Pisaliśmy mejle – wyjaśnił. Wspominaliśmy dzieciństwo, babcię i Kartuzy. Potem postanowiliśmy się spotkać.

– Jak długo się panowie nie widzieli? – wyrwało się Kasi.

Antoni Kania odpowiedział od razu, jakby czekał na to pytanie:

– Prawie pięćdziesiąt lat. Avi chciał tu przyjechać – dodał. – Ale przełożyliśmy to na wrzesień. Zależało mi na Londynie i on się zgodził.

– Zależało panu na Londynie z powodu „Orła” – upewniła się Kasia.

Potwierdził.

– Avi – wyjaśnił – był szyczą w Amanie, Agencji Wywiadu Wojskowego Izraela. Przez kilkadziesiąt lat pracowaliśmy we wrogich służbach, nawet o tym nie wiedząc. Chociaż – stary bosman zerknął pospiesznie w stronę Kasi – ja byłem tylko technikiem nasłuchu, a on prawdziwym szpiegiem. Jak James Bond... – Jego twarz nadal nie zdradzała żadnych uczuć. Wszystkie swoje rewelacje przekazywał jak profesjonalny spiker telewizyjny, który czyta serwis wiadomości. – Avi przez dawne kontakty ułatwił mi skorzystanie z archiwum brytyjskiej marynarki – zaczął po chwili.

– I tam pan znalazł ślad „Orła”? – nie wytrzymała Kasia.

Kuba nadal siedział jak osłupiały. Wyglądał na kogoś, kto osiągnął dzienny limit niespodzianek i nie zareagowałby nawet, gdyby łódź podwodna wpłynęła w tym momencie do jego dawnego mieszkania.

– Obejrzałem dokumenty, których raczej nie pokazuje się osobom postronnym – Antoni Kania odpalił kolejną torpedę. – Wiem, gdzie jest ORP „Orzeł”.

– I co teraz? – spytała Kasia.

– Nic – odpowiedział. – Polska ekspedycja, przygotowywana przez trzy lata, szukała go tam, gdzie nie powinna: sto pięćdziesiąt mil morskich na zachód od cieśniny Skagerrak. Przeczesał sonarem rozległy obszar dna. Bez rezultatu. Już wtedy przypuszczałem, że okręt spoczywa gdzie indziej. Dokumenty, które widziałem w Londynie, to potwierdziły.

– Podzieli się pan tą wiedzą? – Kasia nie dawała za wygraną.

Emerytowany bosman milczał.

– Dowiedziałem się – powiedział w końcu – że marynarka wojenna chce wysłać na poszukiwanie „Orła” okręt Dywizjonu Zabezpieczenia Hydrograficznego. Na razie ogłosili, że wybierają się na tydzień na Morze Północne. Kiedy poznam dokładny rejon poszukiwań, może wyślę im anonim. A może nie.

– Anonim? – zdziwiła się Kasia.

– Tak – odparł. – Oni tam uważają mnie za agenta komunistycznych Wojskowych Służb Informacyjnych – wyjaśnił. – Pewnie by nie wysłuchali takiej podejrzanej osoby.

Kuba się ożywił. Wiedział, że w teczce ojca w IPN-ie nie ma żadnej wzmianki o współpracy z WSI. Wywiad wykorzystywał jego raporty, ale nigdy nie wręczył mu formalnego przydziału. Otwierał usta, żeby to powiedzieć, ale Kasia była szybsza.

– A dlaczego waha się pan, czy zawiadomić marynarkę o swoim odkryciu? Przecież odnalezienie „Orła” to pańska pasja, cel, misja, sukces. Dlaczego?

Starszy pan popatrzył w przestrzeń.

– Pragnąłem odnaleźć „Orła” i go odnalazłem – rzekł. – Moja wachta skończona. Zawiadomię marynarkę, kiedy upewnię się, że

oni chcą tylko potwierdzić, gdzie leży wrak. Że nie zamierzają go wydobywać. To jest grób sześćdziesięciu ludzi, którym nie wolno zakłócać spokoju.

W kuchni zapanowało milczenie. Przerwała je Kasia.

– My z Kubą też prowadzimy poszukiwania – oświadczyła poważnie, marszcząc czoło. – Tropimy zaginiony obraz Jana Matejki, którym kiedyś zajmował się mój dziadek, pracownik Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. I właśnie trafiliśmy na mazurską wieś, w której być może dziadek ukrył dokumentację swojego dochodzenia. Tylko – rozłożyła ręce – sprawdziliśmy w internecie i... nie ma takiej wsi. Nigdzie. Ani jednego pozytywnego wyniku w wyszukiwarce.

Wydawało się, że ojciec Kuby słucha jej równie beznamiętnie, jak opowiadał o „Orle”.

– Na Mazurach to normalne – oświadczył nieoczekiwanie. – Tam wiele wiosek zniknęło z mapy. Mieszkańców wymordowano podczas okupacji lub przymusowo wysiedlono do Niemiec po wojnie. A potem całe osady pustoszały z powodu migracji młodych, którzy uciekli do miast. Podaj mi nazwę – po raz pierwszy zwrócił się do Kasi bezpośrednio. – Do jutra znajdę to miejsce i wydrukuję wam mapę – powiedział z pełnym przekonaniem.

I wyszedł z kuchni.

Rozdział 53

Krzyż na Oksywiu niczym konsul Pana Boga doglądał wieczności cmentarza marynarki wojennej i doczesności morza, które rozlewało się u jego stóp. W słońcu późnego sierpniowego popołudnia widok z klifu zapierał dech. Kasia była oszołomiona. Kuba stał tuż za nią. Silny, czuły i dyskretny. W chwili, gdy pomyślała, że to idealne połączenie męskich cech, nagle poczuła jego pocałunek na karku.

Usta Kuby dotknęły dokładnie tego punktu, w którym mieści się centralna dystrybucja dreszczy i nagłego zapomnienia o bożym świecie. Powoli zamknęła powieki, uświadamiając sobie, że ma pod nimi pełno błękitu.

Tego wieczoru nie wrócili na ulicę Bema.

Kuba zdecydował, że spędzą noc w słynnym sopockim hotelu, w którym znalezienie pokoju w sezonie było tak samo łatwe jak kupno biletu na finał Mundialu kwadrans przed meczem. Młoda recepcjonistka w grubych okularach rozłożyła ręce, chcąc podkreślić szczerą bezradność. Dziewczyna patrzyła na Kasię i Kubę i myślała, że tak właśnie muszą wyglądać ludzie naprawdę zakochani.

– Proszę państwa – powiedziała szybko, kiedy już niemal odchodzili od kontuaru wyłożonego kolonialnym drewnem. – Wpadłam na pewien pomysł – wyznała z tajemniczą miną, poprosiła o dowód Kuby i podpis na karcie meldunkowej, po czym wręczyła mu elektroniczny klucz do pokoju. – Mała prośba – dodała – gdyby państwo byli uprzejmi uregulować rachunek u mnie, jutro przed południem, zanim skończę zmianę. Życzę udanego pobytu.

Drzwi oznaczone tabliczką z numerem wskazanym przez recepcjonistkę prowadziły do apartamentu. Był imponujący. Za taflą szkła, sięgającą od sufitu do podłogi pokrytej wytwornym perskim dywanem, połyskiwały odległe światła statków czekających na redzie, a wody zatoki, zmęczone podróżami żaglówek i skuterów wodnych, szykowały się do snu. Na eleganckiej komodzie w salonie stała patera z owocami, a obok niej ze srebrnego wiaderka pochodzącego z tej samej co patera rodziny naczyń wyzierała oszroniona butelka szampana.

– Kuba – szepnęła Kasia, która nareszcie mogła go swobodnie objąć. – Zrzuńnijmy się na ten luksus.

– To nie ma teraz najmniejszego znaczenia – powiedział lekko drżącym głosem.

I rzeczywiście nie miało.

Temat powrócił nazajutrz, przed śniadaniem, kiedy Kuba podszedł do „ich” recepcjonistki z kartą kredytową i zdumiony spojrzał na rachunek.

– Nie chcę być niegrzeczny – rzekł z wyraźnym zakłopotaniem – zwłaszcza po tym, co pani wczoraj dla nas zrobiła, ale mam wrażenie, że zaszła pomyłka.

– Nie – powiedziała z przekonaniem.

– Niemniej jednak – Kania nie dawał za wygraną. – Znam ceny w tym hotelu i wiem, ile kosztuje taki apartament... Policzyła pani stanowczo za mało.

Recepcjonistka obdarzyła go firmowym uśmiechem, czekając, aż gość stojący tuż obok oddali się od kontuaru. Kiedy zostali sami, powiedziała szybko:

– Ma pan rację. Pomyliłam się. Wskutek tej pomyłki płaci pan tak mało, bo to cena za pokój klasy standard. Na dodatek cena obniżona z powodu „lasta”, czyli sprzedaży usługi w ostatniej chwili. Coś jak last minute w biurze podróży – uznała za stosowne to wyjaśnić na widok miny Kuby, który istotnie nie wyglądał teraz na swój wysoki iloraz inteligencji. Dziewczyna z recepcji najwyraźniej ceniła jasne sytuacje: – A za państwa apartament zapłaciła pewna firma produkująca meble... – Uśmiechnęła się

chytrze. – Oni wczoraj mieli jubileusz i zaangażowali do poprowadzenia uroczystości tego pana... – Wskazała dyskretnym ruchem podbródka znanego celebrytę, który właśnie wychodził z windy. – Jak pan sądzi? – Recepcjonistka udała zatroskaną. – Czy jego gwiazda przygasła z tego powodu, że spał w zwykłym pokoju?

Kuba nie potrafił odpowiedzieć. Spojrzał natomiast na identyfikator dziewczyny i przeczytał półgłosem jego treść:

– „Uczę się”. Ładnych rzeczy się pani uczy. – Pogroził jej palcem, ale zaraz dodał: – Mimo to... dziękuję za wymarzoną oprawę naprawdę ważnego wieczoru.

– To było widać – rozpromieniła się recepcjonistka, najwyraźniej dumna z powodu kombinacji, którą wymyśliła. – I proszę nie mieć wyrzutów. – Machnęła ręką. – Nikt się nie dowie. A ten pan – powtórzyła gest podbródka w kierunku pleców celebryty znikającego w drzwiach restauracji – to... przepraszam. – Zarumieniła się lekko. – Zagalopowałam się. Nie komentujemy zachowań klientów – wygłosiła korporacyjną formułkę. – Widział go pan w tym serialu, który pokazują w telewizji każdego wieczoru? – spytała nieoczekiwanie.

– Niestety – odparł. – Rzadko oglądam telewizję.

– Ja też, tylko z nudów – powiedziała recepcjonistka. – Ale tego pana zapamiętałam. On gra tak, że w teatrze szekspirowskim nie pozwolono by mu wnosić lichtarza na scenę – oświadczyła z przekonaniem. – Studiuję anglistykę i chodzę na zajęcia z teatrologii – przypieczętowała swoją tezę, na wypadek, gdyby Kuba chciał ją kwestionować. – Ale zagadam pana na śmierć. Głodową – uśmiechnęła się. – Zapraszam na śniadanie.

Celebryta z serialu siedział w restauracji odęty jak paw, który nie doczekał się aplauzu z powodu prezentacji ogona. Nie tylko nikt nie rozłożył przed windą czerwonego chodnika, po którym mógłby stąpać, a na dodatek sala, w której serwowano śniadania, była pełna cudzoziemców. Niemcy i Szwedzi nie oglądali popularnego polskiego serialu, a zatem nikt nie zwracał uwagi na odtwórcę jednej z głównych ról męskich. Na domiar złego tragiczny syndrom

braku rozpoznawalności amanta dotknął również personel hotelu. Żadna z kelnerek z wrażenia nie wywróciła się z tacą wędlin ani nawet nie jęknęła na jego widok. Żadna nie podeszła do jego stolika!

Przywołał jedną z nich wielkopańskim gestem, głośno informując, że życzy sobie omlet z białek z drobno zmielonymi orzechami nerkowca i świeżą rukolą, ale dziewczyna uprzejmie wskazała mu szwedzki stół, zapewniając, że oferta śniadaniowa hotelu cieszy się wysokim uznaniem gości. Celebryta był w szoku.

Kuba – zajmujący z Kasią sąsiedni stolik – też. Resztką skrupułów wywołanych kradzieżą gwiazdorskiego apartamentu stopniała jak kostka lodu w rozgrzanym piekarniku.

Rozdział 54

Rafał Małek wracał z zakupów w Ostródzie, klnąc na czym świat stoi rozklekotaną ładę niwę, którą od dwudziestu lat przemierzał leśne dukty na zachód od Miłomłyna. Brak wspomagania kierownicy radzieckiego jeepa sprawiał, że Małek miał mięśnie ramion wyrzeźbione lepiej niż na nowoczesnych przyrządach klubu fitness, ale to był jedyny walor jego służbowego auta – o ile słowa „walor” i „łada” w ogóle dadzą się umieścić w swoim sąsiedztwie.

Od dawna zamierzał wymienić wysłużonego gruchota na terenowego nissana lub toyotę. Niestety. W skromnym gospodarstwie leśnym Pawła Małka nieźle rosły sosny, natomiast rachunek zysków co roku odbierał nadzieję na kupno nowego wozu z napędem na cztery koła. Nadleśnictwo też się z tym nie kwapiło, choć urzędnicy – zachwyceni Małkową kiełbasą myśliwską z dzika – podczas każdego noworocznego polowania gwarantowali, że teraz to już na pewno wpiszą do budżetu nowe auto dla jego leśniczówki. A potem obietnice wyparowywały wraz z żubrówką i Rafał Małek wracał za kierownicę łady, oporną jak nadwoźański kułak.

Szczerze mówiąc, nawet się nie upominał. Od kiedy objął po ojcu leśniczówkę Dubity, został jednym z dwudziestu pięciu tysięcy pracowników Lasów Państwowych – firmy, która zarządzała jedną trzecią terytorium Polski i szczyciła się tym, że nigdy nie sięga do kieszeni podatnika. W odróżnieniu od wielu sektorów „budżetówki” dumne Lasy nie wymagały dotacji i utrzymywały się same. Bez propagandowego szumu jodeł sprowadzało się to do prostego matematycznego równania: leśniczówka zarabia – to ma na nowy sprzęt. Nie zarabia – to nie ma.

Rafał Małek był sprawnym gospodarzem i jeszcze lepszym leśnikiem, ale do ekonomicznego progresu w jego branży potrzebny był jeszcze dobry las. Dobry, to znaczy nie taki jak w Dubitach. Trochę piaszczystej sośniny, skrępowanej unijnymi przepisami Forest Stewardship Council, nie dawało pola do popisu, więc leśniczówka Małka ciągnęła się w galaktycznej odległości za gospodarstwami, które miały warunki do produkcji drzew zaopatrzonych w grzyby ektomikoryzowe, sadzonek zabezpieczonych przed zgryzaniem przez zwierzynę i innych rynkowych hitów. Ich szefowie jeżdżący land roverami chętnie drwili na służbowych popijawach z Małka, twierdząc, że jest sto lat za Murzynami, a on w takich momentach zastanawiał się, czy na dubickich piaskach nie posadzić baobabów.

Myślał o tym wszystkim, gdy za ostatnim zakrętem ujrzał przed leśniczówką srebrnego peugeota z warszawskimi tablicami rejestracyjnymi. W aucie nikogo nie było. Małek wjechał pod wiatę, zgasił silnik i kilka razy bez powodzenia próbował zamknąć drzwi łądy. Potem obszedł obcy samochód dookoła. Dostrzegł na jego desce rozdzielczej ksero fragmentu bardzo dokładnej sztabowej mapy. Leśniczówka Dubity była na niej zaznaczona odblaskowym żółtym markerem. Obok niej – w odległości dwóch kilometrów – wojskowy kartograf naniósł dokładny obrys zabudowań wsi, której już nie było. Takimi mapami nie dysponował byle kto. Co za licho? – pomyślał Rafał Małek, ale zanim zdążył pospekulować, do kogo może należeć ów peugeot, na ścieżce za domem pojawiło się dwoje ludzi. Wyglądali przyjaźnie i budzili zaufanie.

– Dzień dobry – powiedzieli niemal jednocześnie, ale inicjatywę przejęła atrakcyjna blondynka.

– Czy pan jest tu leśniczym? – spytała, przekrzywiając głowę z dziecinną ciekawością.

Małek potwierdził.

– Katarzyna Karewicz – przedstawiła się, wyciągając do niego rękę. – A to jest – dodała wskazując na stojącego obok mężczyznę – mój przyjaciel Jakub Kania.

Leśniczy grzecznościowo przeniósł na niego wzrok, ale w tym

samym momencie coś dotarło do jego świadomości.

– Karewicz? – spytał. – Czy pani ma coś wspólnego z Kazimierzem Karewiczem?

Dziewczyna zamrugła nienaturalnie długimi rzęsami.

– To mój dziadek – odparła. – Pan go znał?

– Oczywiście – ucieszył się Małek. – To ci niespodzianka. Pan Kazik kolegował się z moim świętej pamięci ojcem. Często do nas przyjeżdżał i twierdził, że nigdzie tak nie wypoczywa jak w Dubitach. I że trudno w to wątpić, zawsze powtarzał, coś tam dodając po łacinie, tak że wychodziła z tego nazwa naszej leśniczówki, dacie wiarę? – Rafał Małek zapędził się we wspomnieniach. – Oj, lubił on różne złote myśli. Na przykład tę, że kropla drąży skałę... Jak to szło dalej? – Uśmiechnął się przepraszająco i nagle spowaźniał. – Tato już wtedy chorował – dodał, jakby goście doskonale orientowali się, o jakich czasach mówi. – A i pan Kazik wkrótce przestał nas odwiedzać. Ostatni raz był wiosną osiemdziesiątego dziewiątego, zaraz po pogrzebie ojca. Kwiaty na grobie jeszcze nie zwiędły... Więcej się nie pokazał. Myślę, że Dubity bez mego taty nie były już dla niego takie same jak kiedyś.

– To nie tak... – Kasia pokręciła przecząco głową. – Dziadek w czerwcu tego samego roku miał wypadek samochodowy. Zginął na miejscu. Chciał...

– Matko święta – Małek przerwał jej, wyraźnie poruszony. – Nic nie wiedzieliśmy. Czasem wspominaliśmy go z żoną, ale zawsze tak, że pewnie dobiega sobie osiemdziesiątki w tej swojej Warszawie i ma się dobrze. Dobry Boże! – Leśniczy zdjął służbową czapkę i przeżegnał się z nabożeństwem. – To był taki miły człowiek.

Mężczyzna przedstawiony jako Jakub Kania, do tej pory milczał. Teraz odezwał się, jakby chciał przepędzić smutek, który otoczył leśniczówkę niczym poranna mgła:

– Dowiedzieliśmy się, że pan Kazimierz Karewicz miał tu gdzieś swoją ulubioną wyspę, na którą pływał łódką. Czy może nam pan coś powiedzieć na ten temat?

– Wyspę? – Rafał Małek sprawiał wrażenie zaskoczonego. – Tutaj? Niech pomyślę. Nie. – Po chwili stanowczo pokręcił głową. – Tu w pobliżu pełno jezior, ale na żadnym z nich nie ma wyspy. Zresztą – dodał na potwierdzenie swoich słów – widziałem, że macie bardzo dobrą mapę okolicy.

– No właśnie – rzekł Kuba bezradnie. – Na mapie też jej nie ma. Dlatego mieliśmy nadzieję, że pan nam coś podpowie.

Leśniczy przygryzł dolną wargę i popatrzył w las, jakby ściana zieleni była ekranem, na którym wyświetlał się film z przeszłości.

– Wiem – powiedział niepewnie, ale zaraz powtórzył z przekonaniem: – Wiem. Musi chodzić o Wyspę Orzechową na Jeziorze Drwęckim. Pan Kazik lubił tam wypływać. Czasem zabierał namiot i rozbijał obóz na parę dni.

– Jak się tam najlepiej dostać? – szybko spytał Kuba.

Rafał Małek znów myślał intensywnie.

– Najlepiej to z Piławek – oświadczył. – Tyle że tam przystań... prawie że się rozleciała. Nie wiem, czy jest jeszcze jakaś łódź. Trzeba by do Ostródy. Dwadzieścia kilometrów. Za przejazdem jest klub żeglarski, w którym można wypożyczyć rower wodny albo kajak. Tylko że – leśniczy dodał tonem ostrzeżenia – na Orzechową trzeba się napedałować albo namachać wiosłem dobre dwie godziny. – Drapał się w głowę. – Lepiej żaglówką – doszedł wreszcie do wniosku. – W klubie zawsze znajdzie się ktoś chętny zarobić parę złotych.

– Jedziemy – zarządził Kuba energicznie. – Robi się późno. Jeśli chcemy zdążyć na wyspę przed zmrokiem...

Małek przyglądał mu się z zaciekawieniem. W mazurskiej głuszy pośpiech nie był zjawiskiem codziennym, a jego objawy budziły zdziwienie.

– Za przeproszeniem szanownego pana – odezwał się leśniczy z lekką przyganą w głosie. – Nie wypada tak w gości jak po ogień. Może państwo przenocują? Kielbasę własnej roboty upieczemy na patyku. Powspominamy pana Kazika przy domowej dereniówce.

– Przepraszam – zreflektował się Kuba. I chcąc wyjaśnić swój nietaktowny brak cierpliwości, dodał: – Szukamy ważnych

dokumentów, które pan Karewicz prawdopodobnie wywiózł z Warszawy dwadzieścia lat temu. Przypuszczamy – mówił w liczbie mnogiej, choć Kasia nie podzielała teorii o papierach zakopanych na tajemniczej wyspie – że ukrył je w jakiejś skrytce w pobliżu tego swojego obozowiska. Dlatego chcielibyśmy tam jak najszybciej popłynąć i to sprawdzić.

Leśniczy szczerze się roześmiał, a nie chcąc, aby zabrzmiało to niegrzecznie, kordialnie ujął Kubę pod ramię.

– Panie kochany – rzekł, maskując rozbawienie. – Chcesz pan szpadlem przekopać Wyspę Orzechową? A po jakiego diabła pan Kazik miałby tam wywozić swoje papierzyska? Mało to mu było suchego miejsca w leśniczówce? Trzymał tu książki, to i pewnie dokumenty. Zresztą – leśniczy wykonał nieokreślony gest – pudło z jego makulaturą do tej pory stoi na strychu. Nie mieliśmy śmiałości spalić – wyznał – a adres w Warszawie znał tylko tato, świeć panie nad jego duszą.

Kuba z Kasią wymienili spojrzenia, w których nie dało się ukryć emocji. W myślach już przerzucali sterty papierów w poszukiwaniu dokumentacji obrazu.

Tymczasem Rafał Małek zniósł na ganek karton opakowany w plastikową reklamówkę. Postawił ją na stole, wyjął pudło, otworzył je i gestem dłoni zaprosił podekscytowanych gości, aby podeszli bliżej. Na równo ułożonych książkach leżała kartonowa teczka z tasiemką i odręcznym napisem: *Chrzest Warneńczyka*. Kasia bez trudu rozpoznała staranne pismo dziadka.

CZEŚĆ SZÓSTA

Znamię

styczeń 1863 roku

Rozdział 55

Mosiężny dzwonek wiszący nad okutymi drzwiami klasztoru odzywał się tak rzadko, że jego nieoczekiwany dźwięk nie tylko przerwał ciszę wieczerzy, ale mocno poruszył mnichów spożywających w milczeniu chleb i wędzone śledzie. Kilku braci drgnęło, jakby przeszedł ich dreszcz, ktoś przeżegnał się w odruchu lęku, inni jak na komendę przestali jeść i odwrócili głowy w stronę drzwi.

Furtian, którego obowiązkiem było wpuszczanie ludzi z zewnątrz na teren Nadmorskiej Pustelni Świętej Trójcy w Strielnie pod Petersburgiem, na chwilę skamieniał, a potem otarł brodę rękawem habitu, podniósł się z ławy i poczłapał w stronę wyjścia z refektarza, a dalej – korytarzem do okutych drzwi. Odsunął klapkę wizjera i spytał:

– A kogóż to Bóg prowadzi?

Przybysz początkowo milczał. Szukał czegoś po kieszeniach podbitej futrem szuby, wreszcie, nie podnosząc wzroku, rzekł:

– Prowadź, bracie, do archimandryty Ignacego. – A po sekundzie namysłu dodał: – Do Małyszewa.

Furtian w ostatniej chwili opanował oburzenie. Do archimandryty mu się zachciewa, pomyślał z gniewem i już zamierzał trzasnąć klapką wizjera, ale nagle zrozumiał, że zrobiłby błąd, a jeszcze przy tym mógł obrazić porządnego człowieka. Od kiedy klasztor zyskał samodzielność i przestał podlegać Ławrze Troicko-Siergijewskiej, jego przełożeni nosili tytuł archimandryty oraz imię Ignacy. To mógł wiedzieć każdy, ale prywatne nazwisko obecnego ojca Pustelni Świętej Trójcy było dostępne tylko dla kogoś

znacznego.

– Proszę, *wasze błogorodie*, już otwieram. – Mnich wypuścił z ust obłok pary. – Archimandryta zaraz przyjmie waszą miłość. Już rozkazuję podawać samowar, bo ziąb dziś siarczysty.

Wieczorny gość stanął przy piecu w niewielkiej celi wyposażonej jedynie w prosty stół, dwa krzesła i ikonę Chrystusa Pantokratora. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i stanął w nich zwierzchnik monasteru – Ignacy Małyszew. Miał na sobie mantię, szatę odpowiadającą jego wysokiej hierarchii zakonnej. Bez słowa podszedł do przybysza, objął go i przez dłuższą chwilę trwali w uścisku.

– Mam nadzieję – rzekł, gdy już usiedli naprzeciwko siebie i odprawili posłusznika, który przyniósł herbatę – że nie przybywasz ze złymi wiadomościami. Ile to lat cię nie widziałem?

– Minęło pięć – odparł gość i blado się uśmiechnął. – Posiwiałeś, braciszku.

– I przytyłem. – Archimandryta odwzajemnił uśmiech. – Ale tobie, Igorze, służy niebezpieczne życie. Sześćdziesiątka dawno ci minęła, a wyglądasz jak młodzieniaszek. Kto by pomyślał, patrząc na nas, że jesteś dwa lata starszy?

Igor Małyszew machnął ręką, opędzając się od komplementów.

– A jak tam się czuje nasz podopieczny?

Uśmiech zniknął z twarzy zakonnika.

– Zatem on cię sprowadza – rzekł cicho. – Mogłem się domyślić.

– On – odparł krótko Igor. – Jakie imię teraz nosi?

– Aleksy. Brat Aleksy – poprawił się archimandryta. – Choć ślubów nie złożył. Przeszedł tylko postrzyżyny, aby wprowadzić go w życie mnisze, ale nie szliśmy dalej, tak jak chciałeś. Żal mi go, biedaka. Od pięciu lat jest Aleksym, wcześniej, w Charkowie, był Dymitrem, jeszcze wcześniej, w mikołajewskiej szkole kadetów, miał na imię Borys, a urodził się na Krymie jako kto? Piotr? Bo już nie nadażam...

– Paweł – odrzekł Igor Małyszyn. – Paweł Aleksandrowicz. Ale nasza głowa w tym, braciszku, aby na razie pozostał bratem Aleksym. Na krzyż przysięgałem, że będę strzegł jego i tej

tajemnicy. Dlatego staram się go chronić przez ponad trzydzieści lat, z Bożą i twoją pomocą. Ale sprawy się skomplikowały. Nadal pracuję w tajnej służbie dworu. Wiem, że brat Aleksy z Pustelni Świętej Trójcy może zostać odnaleziony w ciągu najbliższych tygodni, może dni. Nie ma na co czekać. Daj mi zakonną pryczę i kawałek derki, a rano zabieram go i wyruszamy.

– Dokąd? – archimandryta Ignacy był wyraźnie przejęty.

– Najpierw do Petersburga, a dalej... – Igor machnął ręką – może lepiej dla ciebie, żebyś nie wiedział.

Rozdział 56

Tego samego poranka, kiedy Igor Małyszew z mnichem Aleksym opuszczali mury petersburskiej Pustelni Świętej Trójcy, w zupełnie innym zgromadzeniu religijnym, w zupełnie innej części świata, celebrowano wybór nowego przywódcy duchowego. Zgromadzenie nazywało się Bokira, miało blisko dziewięćset lat i trzystu braci we wszystkich krajach, w których wyznawano islam. Zrzeszało ludzi nieskazitelnych i bez reszty oddanych wierze Mahometa. Sprawdzanych latami i latami czekających na miejsce, które w szeregach bractwa zwalniało się tylko w wypadku czyjejś śmierci.

Tak było i tym razem. Poprzedni zwierzchnik Bokiry popełnił niewybaczalny błąd. Wbrew regułom otwarcie zaangażował się w politykę, wzywając pobożnych studentów uniwersytetu w Casablance – gdzie wykładał nauki przyrodnicze – do udziału w świętej wojnie z Hiszpanami, za co trafił do więzienia w Sewilli i tam nabawił się gruźlicy. Zmarł tuż przed końcem kary, nigdy nie zdradzając, że z celi kierował tajnym i perfekcyjnie zorganizowanym przymierzem islamskim działającym w kilkudziesięciu krajach świata.

Zgodnie z kodeksem bractwa Bokira każdy przywódca miał trzech młodszych następców, wyznaczanych w dniu, w którym obejmował święte obowiązki. Kolejność sukcesji też była ustalona z góry, zatem w styczniowy poranek 1863 roku nie mogło dojść do niczego zaskakującego. Świętym ojcem Bokiry został pięćdziesięciodwuletni adwokat z Agadiru, któremu nadano imię Omar: Długowieczny. Kryła się w tym nadzieja bractwa, że nowy

szejk – znany z mądrości i sprytu, jaki demonstrował na salach sądowych – zdoła bezpiecznie przeprowadzić swoją wspólnotę przez rok 1888, kiedy to miało dojść do trzeciej próby zdrady islamu poprzez jego pojednanie z religią niewiernych. Tak przynajmniej stanowiło proroctwo arby, budzące we władzach bractwa metafizyczny lęk.

Tuż po zaprzysiężeniu Omar z grupą najbliższych współpracowników udał się na przechadzkę po plaży. Morze było spokojne. Z dala dochodziły głośny przeciągły protest osła i odgłos kłótni rybaków.

Pobożni mężowie zatrzymali się. Kilku podniosło kamyki, aby rzucać nimi w wodę. Wszyscy z respektem czekali, aż szejk odezwie się jako pierwszy.

– Nie lubię tego miasta – stwierdził nieoczekiwanie Omar, wskazując ruchem głowy Agadir za ich plecami. – Za dużo w nim obcych wpływów – dodał, nie czekając na pytanie o przyczyny niechęci. – Francuska moda, brytyjskie prawa handlowe, iberyjska architektura. Snobizm i brak szacunku do tradycji przodków. – Skrzywił się. – Czasem nawiedza mnie sen, że Allah zdmuchnie to miasto jednym oddechem w ciągu piętnastu sekund. Czy wiecie, że Agadir założyli Portugalczycy? – zapytał i znów nie spodziewając się reakcji, kontynuował: – Przed wiekami uroili sobie, że mogą być panami świata. Od tej pychy zaczęła się historia ich kolonializmu, którego twórcą był Henryk, syn króla Jana I i Wielki Mistrz Zakonu Rycerzy Chrystusa. Tego samego zakonu, do którego należał pewien portugalski nikczemnik, przechowany w pamięci tylko dlatego, że ponad cztery wieki temu sprzedał naszemu bractwu list spisany na jedwabiu i zawierający szczegóły proroctwa arby.

Przez chwilę trwała cisza, podkreślana nieśmiałym pluskiem fal.

– Wspomniałeś o przepowiedni, szejku – odezwał się jeden z braci. – Czy masz już plan udaremnienia trzeciej próby?

Omar podniósł kamyk i ważył go w dłoni.

– Praktyka sądowa uczy, że wygranie sprawy wymaga mrówczej pracy – odparł. – obrońca winien sprawdzić najdrobniejsze detale,

pieczołowicie odtworzyć przeszłość i na jej podstawie przewidzieć wszystkie opcje przebiegu wydarzeń w przyszłości. Opcje pewne, prawdopodobne i niemożliwe. Nie znam lepszego lekarstwa na powodzenie w najtrudniejszym nawet procesie niż starannie zebrany materiał. Jako obrońcy islamu tak właśnie musimy postąpić. Perfekcyjnie się przygotować. Może to zabrzmie osobliwie, ale do trzeciej próby zostało zaledwie dwadzieścia pięć lat.

– Co rozkażesz, czcigodny ojcze? – padło kolejne pytanie, w którym zabrzmiał głęboki szacunek dla mądrości szejka, poparty pokorą tytułu.

Omar upuścił kamyk, podniósł patyk wyrzucony przez fale na plażę i narysował nim okrąg na mokrym piasku.

– Oto baza naszej wiedzy – wyjaśnił. – Mieszczą się w niej fundamentalne fakty. Trzeci wybraniec podobnie jak poprzednicy nosi na czole znamię w kształcie czwórki. Jest dzieckiem dwóch religii i ma królewską krew. Logika nakazuje szukać go w domach panujących Europy, północnej Afryki, Azji.

– Ameryki – usłużnie podpowiedział jeden z braci, ale inny natychmiast go zgasił:

– Tam nie ma i nigdy nie było monarchów.

Podpowiadacz umilkł jak niepyszny i oblał się rumieńcem wstydu.

Szejk nie zwrócił uwagi na tę wymianę zdań, kreśląc na piasku drugi okrąg wewnątrz pierwszego.

– Sprawdzimy każdą gałązkę i każdy listek królewskich drzew genealogicznych, zawężając poszukiwania do osób, które będą żyć w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku. Naturalnie łącznie z tymi, które dopiero się urodzą – uzupełnił, rysując wewnątrz mniejszego okręgu jeszcze jeden:

– Najlepszych ludzi Bokiry skierujcie na dwory królewskie w państwach, które mają jakiegokolwiek prywatne, gospodarcze lub polityczne relacje z krajami muzułmańskimi. To trzecie zawężenie kręgu poszukiwań.

Omar przekreślił okręgi kilkoma poziomymi i pionowymi liniami:

– Na to trzeba nałożyć wnikliwą obserwację polityki

międzynarodowej. Nasz poprzedni przywódca, oby zaznał rozkoszy raj, nie był jedynym członkiem bractwa związanym z życiem uniwersyteckim. Wykorzystajcie studentów. Stwórzcie sekcję, która będzie systematycznie śledzić doniesienia najlepiej poinformowanych gazet i selekcjonować wszelkie ważne dla nas informacje. Dla pewności zorganizujcie wywiad w środowiskach dyplomatycznych i sprawną agenturę w Watykanie. Nie zapominajcie o obserwacji poczynań przywódców państw muzułmańskich. – Omar dodał ostatnią kreskę, a następnie uniósł patyk w geście wzmocnienia uwagi i wskazał nim rysunek na piasku: – Jeśli przez dwadzieścia pięć lat skonstruujemy takie sito i będziemy je sprawnie obsługiwać, człowiek ze znamieniem z pewnością się przez nie nie prześlizgnie.

Rozdział 57

Eszelon pułkowy włókł się niemiłosiernie. Lokomotywa stękała niczym wysłużona kobyła ciągnąca ciężki ładunek. I identycznie jak strudzona szkapa w styczniowy mróz buchała kłębami pary bielszej od śniegu.

– Ot, matuszka Rosja – westchnął Igor Małyszew. – Nowoczesna linia Kolei Warszawsko-Petersburskiej raptem w zeszłym roku oddana do użytku, tory nowiutkie i równe jak stół, a tu masz: jedzie się po nich wolniej niż bezdrożami zakaukaskiej guberni w czas roztopów. Czy któryś z panów oficerów może mi to wytłumaczyć, bo sam rozebrać nie mogę – zwrócił się do towarzyszy podróży. Udawanie prostodusznego poczciwca zawsze przychodziło mu łatwo i było sprawdzonym kamuflażem.

Ale panowie oficerowie, otuleni szynelami, spali na drewnianych ławkach wagonu, a rozterki starszego urzędnika podróżującego z prawosławnym mnichem do Królestwa Polskiego wcale ich nie obchodziły. Mimo to młodziutki podporucznik artylerii bąknął półprzytomnie:

– Dalibyście spokój, wujaszku. Parowóz mikry, a ciągnie cztery lawety ciężkich armat funtowych, o nas i wagonach z żołnierzami nie mówiąc.

A jaki ja dla ciebie wujaszek? – obruszył się w myślach Igor Małyszew. – Na diabła wam ciężkie działa? Jedziecie tłumić polskie powstanie. Przyjdzie wam wojować z partyzantami, kryjącymi się w leśnych jarach i ostępach, a nie w twierdzach, które trzeba burzyć za pomocą ciężkich armat.

Młokosowi w każdym razie nie odpowiedział ani słowem.

Przytknął policzek do oparcia ławki i bezskutecznie usiłował zasnąć, zazdroszcząc Aleksemu, któremu udało się to od razu, gdy tylko w Petersburgu wsiedli do wojskowego eszelonu z listem przewozowym od generała majora Jewgienija Rożnowa, z którym znali się od lat.

Małyszew patrzył na podopiecznego spod półprzymkniętych powiek, szukając w jego twarzy okolonej długą mniszą brodą wspomnień wydarzeń sprzed trzydziestu lat.

Służbę dla samodzierzcy Wszechrusi zaczął w wieku dziewiętnastu lat. Pawłowski Korpus Kadetów ukończył z najlepszym wynikiem, co dało mu promocję do Lejb-Gwardyjskiego Przeobrażeńskiego Pułku Jego Wysokości, formacji reprezentacyjnej, a zarazem ochrony osobistej cesarza Rosji. Bywało, że Najjaśniejszego Pana widywał kilka razy w tygodniu.

Aleksander I był legendą. Powszechnie uznawano go za męża opatrnościowego, który ocalił Europę przed korsykańskim potworem i jarzmem bonapartyzmu. Wprawdzie Napoleona pod Moskwą pokonały pycha i mróz, ale miano zbawcy kontynentu przypadło w udziale carowi. I właśnie komuś takiemu służył młody lejb-gwardzista Igor Małyszew, prężąc się jak struna na dziedzińcu Pałacu Zimowego i grając jak struna tę samą melodię kilkudziesięciu gardeł:

– Zdrowia życzymy Waszej Imperatorskiej Wysokości!

Któregoś popołudnia, podczas przeglądu kompanii, Aleksander I przystanął akurat na wysokości Igora i sięgnął do kieszeni kamizelki po swój ulubiony zegarek. Gdzie tam zegarek! Cacko wykonane z kryształu, z platynowym mechanizmem widocznym w środku, zawieszona na misternym złotym łańcuszku. Kiedy car wyciągnął chronometr z kieszonki, nagle pękło jedno z ogniwek.

Regulamin Przeobrażeńskiego Pułku zabraniał nawet drgnąć w obecności Najjaśniejszego Pana. Dlatego Małyszew ocenił sytuację w ułamku sekundy, nieznacznie wysunął z szeregu stopę obutą w szeroki trzewik i lekko uniósł ją do góry. Kryształowe dzieło sztuki zegarmistrzowskiej, które niechybnie roztrzaskałoby

się o bruk dziedzińca, wylądowało miękko na wierzchu buta. Ordynans cara natychmiast je stamtąd podniósł, wytarł jedwabną chusteczką i podał imperatorowi.

Aleksander I spojrział na tarczę zegarka, a potem przeniósł wzrok na twarz Małyszewa.

– Punkt szósta – stwierdził. – Godzina początku twojej kariery, synku.

Car słowa dotrzymał.

Igor Małyszew wkrótce znalazł się w jego eskorcie, a potem został agentem tajnej Ochrony, która nie nosiła mundurów. Aleksander Romanow bezgranicznie mu ufał. Zabierał w zagraniczne podróże i często powierzał nader poufne misje. Chyba tylko Małyszew znał pełną listę imperatorskich kochanek.

Bywało, że wykonywał zadania najwyższej rangi państwowej. Kiedy w 1821 wybuchło powstanie w Grecji przeciwko Turkom, a oficerowie radzili, jak dyskretnie dotrzeć do prawosławnych przywódców zrywu niepodległościowego, aby szpiegzy Stambułu niczego nie wywąchali, car spojrział na zegar w gabinecie i rzekł nieoczekiwanie:

– Jest punkt szósta. Wyślijcie do Aten mojego Małyszewa. To jego godzina.

Często wracali do tej „punkt szóstej”, jakby była zaklęciem, formułą tajemnicy, którą znali tylko oni dwaj: cesarz i gwardzista. Co ciekawe – obaj w nią wierzyli. Igor z przekonaniem, że była pomyślnym zrządzeniem losu, Aleksander – z powodu silnych skłonności do mistycyzmu.

Cztery lata po greckiej misji Małyszewa, w 1825 roku, imperator wyjechał z cesarzową Elżbietą Aleksiejewną odpocząć nad Morze Azowskie i nagle gruchnęła wiadomość o jego śmierci z powodu choroby, którą skrzętnie przed wszystkimi ukrywał.

Igor nigdy w nią nie uwierzył. Aleksander I miał czterdzieści osiem lat i nie chorował. Coś się musiało stać, zwłaszcza że trumna z ciałem cara jechała z Taganrogu do Sankt Petersburga dwa miesiące. Tajna służba była gotowa podjąć dochodzenie, ale nowy imperator – Mikołaj Romanow, młodszy brat Aleksandra,

kategorycznie tego zabronił. Cóż było robić, Igora obowiązywała lojalność wobec nowego cesarza. Zamilkł i skoncentrował się na obowiązkach służbowych.

Późnym latem 1833 roku, urlopowany po ważnej misji państwowej, Igor odpoczywał na ganku dworu rodzinnego Małyszewów w guberni mohylewskiej. Siedząc w wiklinowym fotelu, rozkoszował się aromatem ogrodu i graniem świerszczy zwiastujących wieczór. W lewej ręce trzymał kieliszek szampana, prawą głaskał starego wyżła leżącego u jego stóp. W pewnym momencie pies uniósł łeb i popatrzył w stronę bramy wjazdowej do majątku. Kilka minut później na drodze prowadzącej do dworu pojawił się skromny powóz.

Wysiadł z niego elegancko ubrany mężczyzna, a za nim mały, najwyżej trzyletni chłopiec. Nieznajomy wziął go za rękę i podszedł do ganku.

– Czy mam zaszczyt z Igorem Siergiejewiczem Małyszewem? – zapytał uprzejmie.

– Do usług – odrzekł gospodarz, podnosząc się z fotela.

– Jestem hrabia Kalicyn – przedstawił się przybysz.

W Imperium Rosyjskim nie istniała rodzina arystokratyczna o tym nazwisku, czego Małyszew – agent Ochrony – bez wątpienia był świadom. Elegancki mężczyzna kłamał. Pytanie, dlaczego. Uważał Igora za idiotę? Raczej nie. Prędzej miał do spełnienia jakąś poufną misję i dyplomatycznie dawał do zrozumienia, że pragnie ukryć swoją tożsamość.

– Witam pana – rzekł spokojnie Igor Małyszew, celowo nie zadając żadnych pytań. Tym samym zręcznie przerzucił grę na stronę nieznajomego. Niech wyjaśni cel swojej wizyty, pomyślał i spojrzał na chłopca, który od kilku minut przyglądał mu się z ciekawością. Malec miał lekko skośne oczy i dziwnie znajomą twarz. Te rysy... Podobieństwo... Ale do kogo? – Igor szybko przeszukiwał pamięć, nie znajdując jednak żadnych pasujących skojarzeń.

Nieznajomy ukradkiem oceniał reakcję Małyszewa przyglądającego się chłopcu.

– Otóż... – odchrząknął – trzeba panu wiedzieć, że jestem kimś w rodzaju eskorty tego kawalera. Pan doskonale rozumie słowo „eskorta”, nieprawdaż? – I nie zaczekawszy na odpowiedź Igora, dodał: – W imieniu przyjaciela chciałem powierzyć chłopca pańskiej opiece.

– Za pozwoleniem – przerwał Małyszew. – To jakiś żart?

– Bynajmniej – odparł poważnie Kalicyn. – Prośba naturalnie wydaje się panu osobliwa. Potrafię to zrozumieć. Może zatem – przybysz zmienił ton na bardziej dobitny – powinienem złożyć ją panu nieco później? Powiedzmy: punktualnie o szóstej?

Igor Małyszew drgnął. Raz jeszcze spojrzął na twarz chłopca i w jednej chwili zrozumiał.

– Boże Wszechmogący – szepnął. – Czy to jest...? Czy car Aleksander...?

Kalicyn położył na ustach palec wskazujący.

– *Nie nado*, Igorze Siergiejewiczu – powiedział łagodnie. – Dzieciom nie zawsze trzeba opowiadać bajki przed snem.

Rozdział 58

Mały Paweł był pojętnym uczniem. Chwalili go guwernerzy i Leokadia Nikołajewna, matka Igora i Ignacego, która opiekowała się chłopcem, gdy jej synowie robili kariery w Sankt Petersburgu: jeden na carskim dworze, drugi w cerkwi. Dla sąsiadów Pawka był dalekim krewnym z Krymu, którego rodzice zmarli na cholere.

Rychło przywykł do mistyfikacji. Kiedy zmarła babcia Leokadia, wujek Igor umieścił go w Mikołajewskiej Szkole Wojskowej. Wcześniej, korzystając z pieniędzy pozostawionych przez Kalicyna, zmienił mu metrykę, życiorys i personalia. Paweł został Borysem.

Nie zadawał pytań. Przyzwyczyił się do faktu, że jest sierotą, a miłość rodziny Małyszewów w zupełności to rekompensowała. Poza tym wujek Igor nauczył go dyskrecji i zasad konspiracji. Kto wie, może zmienił mu tożsamość, żeby kiedyś umieścić go w tajnej służbie?

Niewykluczone, bo w ostatnim roku szkoły Paweł-Borys zniknął nagle z ewidencji wojskowej i wyposażony w kolejne nazwisko został Dymitrem – urzędnikiem pocztowym w Charkowie. Tu podczas odwiedzin Igora któregoś lata dowiedział się prawdy o sobie i razem wyjechali do wuja Ignacego – zwierzchnika klasztoru pod Petersburgiem noszącego nazwę Nadmorskiej Pustelni Świętej Trójcy i Świętego Sergiusza z Radoneża. Paweł-Borys-Dymitr został bratem Aleksym.

Tymczasem na tronie rosyjskim zasiadł Aleksander II Romanow, który po trzydziestu latach rozpoczął tajne śledztwo w sprawie śmierci swojego stryja Aleksandra I. Dręczyło go to od wczesnej

młodości, ale za życia ojca, cara Mikołaja, nie ważył się łamać jego kategorycznego zakazu, który nie pozwalał nawet mówić o zmarłym bracie. Teraz Aleksander II miał do dyspozycji cały aparat państwa, policji i tajnych służb, aby rozwikłać tę zagadkę.

Po przeczytaniu tajnego raportu sporządzonego po paru miesiącach śledztwa nowy car nie miał wątpliwości: jego stryj upozorował własną śmierć.

Tego samego dnia Aleksander II wezwał Małyszewa:

– Sługa Waszej Imperatorskiej Wysokości – ukłonił się tajny agent, starannie domykając drzwi prywatnego gabinetu cesarza Rosji.

– Igorze – rzekł car po dłuższej chwili namysłu. – Sprawa jest w najwyższym stopniu delikatna. Otóż mam przypuszczenie, a bodaj nawet pewność, że mój stryj, a twój protektor Aleksander Pierwszy zainscenizował swój zgon, wcale nie umarł w Taganrogu, a potem przepadł jak kamień w wodę. Znajdziemy go, o ile jeszcze żyje. Zacznieś od odnalezienia trumny cara, która zniknęła z grobu rodzinnego w podziemiach Soboru Pietropawłowskiego. Odszukasz ją – kontynuował car – i złożysz mi pełen raport. Ale tylko mnie, zrozumiano?

Tajny agent skinął głową, wykonał przepisowy zwrot i opuścił gabinet.

Odnalezienie trumny Aleksandra I nie było trudne. Spoczywała po prostu w innej petersburskiej cerkwi. Była pusta.

Tak oto Igor Małyszew rozpoczął poufną misję najwyższego priorytetu: odnaleźć siedemdziesięcioośmioletniego Aleksandra I Romanowa lub ustalić, co się z nim stało. Ucieszył się w duchu. Mógł bowiem sam decydować o wiadomościach, które trafiały do cara, tak aby mylić tropy prowadzące do Pawła-Borysa-Dymitra, obecnie brata Aleksego z Pustelni Świętej Trójcy. Kto wie, jak imperator zareagowałby na wieść, że stryj miał nieślubnego syna, albo jeszcze lepiej: jak zareagowałiby na to oponenci cara Aleksandra II, chętnie podważający jego prawa do tronu. Słowem, Małyszew prowadził podwójną grę: informował

tak, aby nie informować. A przynajmniej nie za wiele.

W krótkim czasie, po dwóch podróżach do Taganrogu, Igor był pewien, że Aleksander I nie umarł w listopadzie 1825 roku, i prawie pewien, że jakiś czas później związał się na Krymie z muzułmańską księżniczką z rodu chana Mamaja. Co wyjaśniało istnienie i lekko skośne oczy Pawła Aleksandrowicza Romanowa. Carewicza, choć z nieprawego łoża.

Potem – jak wynikało z materiału operacyjnego zebranego przez Igora Małyszewa – Aleksander popadł w mistycyzm i całkowicie poświęcił się religii. Bywał w klasztorach, wreszcie wyrzekł się dóbr doczesnych i ruszył na tułaczkę. Tajny agent Małyszew przez całe lata był jedynym człowiekiem w Sankt Petersburgu, który znał pewien epizod z guberni permskiej.

Otóż w 1836 roku zatrzymano tam starszego mężczyznę bez dokumentów, który nie potrafił podać swojego imienia. Władze osadziły go w Krasnorieczeńskiej Gorzelni Państwowej i nadały nazwisko: Fiodor Kuźmicz. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie kilka osobliwych szczegółów: Kuźmicz – niepiśmienny mnich, miał nienaganne maniere, dobrze mówił po francusku, potrafił opisywać ulice Paryża i szczegóły wojny 1812 roku z Napoleonem, które mogli znać jedynie oficerowie sztabu cara Aleksandra I. Kuźmicz był do niego łudzaco podobny.

Igor pragnął pojechać do guberni permskiej, aby choć z ukrycia na niego spojrzeć, ale nie mając pewności, czy sam nie jest śledzony, porzucił ten pomysł.

Zwłaszcza że Aleksander II powoli przestawał mu ufać, czemu trudno było się dziwić. Gra Małyszewa nie mogła trwać w nieskończoność. Cesarz okazywał rosnące niezadowolenie z wyników śledztwa, raz i drugi solidnie go obsobaczył, wreszcie pozbawił miejsca w tajnej służbie. Misję poszukiwań prawdy o stryju powierzył młodszemu i mniej opieszałym.

Nad Pawłem Aleksandrowiczem Romanowem, obecnie udającym mnicha Aleksego, zawisła groźba zdemaskowania.

Igor nie czekał, aż się spełni. Czym prędzej odebrał podopiecznego

z pustelni, ucałował w obydwie policzki archimandrytę Ignacego Małyszewa i ruszył do miasta, zastanawiając się, co też czynić dalej. Podpowiedź przyniosły „Sankt-Pietierburgskije wiadomości”, wciśnięte mu na ulicy przez gazeciarza. Tytuł wydrukowany na całą szerokość pierwszej kolumny, tuż pod winietą, donosił, że w Królestwie Polskim właśnie wybuchło powstanie przeciw Rosji. To było to.

Czas jakiś spędzili na stacji, udając podróżnych z Charkowa. Dwa dni wystarczyły, aby obejść paru zaprzyjaźnionych sztabowców. Dzięki nim Małyszew załatwił list przewozowy na wojskowy eszelon do Warszawy oraz przydział dla Aleksego do Radomskiego Oddziału Wojennego, dowodzonego przez starego znajomego generała Aleksandra Uszakowa. Dziecinnie łatwa wojna z polskimi szlachcicami, których poniosła fantazja, stwarzała sprzyjające okoliczności ukrycia Aleksego na jakiś czas. Był on idealnym ochotnikiem, każdy frontowy oddział potrzebował mnicha do podtrzymywania żołnierzy na duchu, a miejsce to było również bezpieczne: duchowni nie brali udziału w boju i z pewnością mogli liczyć na dobre traktowanie ze strony polskich powstańców.

Uspokojony tą myślą i rytmicznym stukotem kół eszelonu Igor Małyszew zasnął.

Rozdział 59

Wyczerpane i pobite wojsko powstańcze dotarło wieczorem 4 lutego w okolice opactwa na Łysej Górze. Obóz założono na południowy wschód od klasztoru, budując kilka prowizorycznych szałasów. Pierwszego dnia nawet nie wystawiono wart.

Drugiego dnia wszyscy milczeli, rozpamiętując klęskę pod Wąchockiem. Z tysiąca czterystu ludzi zostało trzystu.

Trzeciego dnia nieśmiało zaświeciło słońce. W obozie gotowano strawę, ćwiczone musztrę i współdziałanie piechoty z kawalerią. Morale wróciło na dobre, gdy pojawił się pułkownik Dionizy Czachowski.

Ludzie widzieli go w bitwie. Szybki jak wichur, nieustraszony, siejący wśród Moskali grozę i śmierć, potrafił porwać za sobą nawet asekurantów o zajętych sercach. Za Czachowskim szli w bój, nie zważając na kule i marząc tylko o tym, aby przez parę chwil zaświecić blaskiem jego sławy. Teraz witali go, potrząsając orężem, pozdrawiali, zapraszali do ognisk.

Wąsaty pułkownik o twardych rysach co raz unosił dłoń do czapki, przejeżdżając stępą wraz z kilkoma przybocznymi przez obozowisko. W tej chwili pragnął tylko jednego: wytchnienia w murach opactwa. Zakonnik, który otworzył furkę, zdawał się czytać w jego myślach:

– Na wieki wieków – odpowiedział, gdy Czachowski pochwalił Jezusa Chrystusa, i dodał: – Gość w dom, Bóg w dom. Zapraszamy waszmość pana pułkownika. O tu, do celi gościnnej. W mig przyniosę coś na rozgrzewkę.

Rzeczywiście wrócił po paru chwilach. Czachowski zrzucił półkożuszek i wziął z rąk braciszka gliniany garnek z gorącym mlekiem słodzonym miodem. Przez dłuższą chwilę ogrzewał nim dłonie i już niósł do ust, gdy rozległo się stukanie do drzwi celi.

– Wejść – rzucił zirytowany. Perspektywa wyciągnięcia się na pryczy choćby przez długość pacierza wyraźnie się oddalała.

Adiutant stanął w drzwiach i zasalutował.

– Melduję, panie pułkowniku, że ten tu chłop gwałtem domaga się, aby pan pułkownik dał mu posłuchanie – powiedział szybko, wskazując kciukiem za siebie.

– Co za chłop? – irytacja powstańczego dowódcy wyraźnie rosła.

– Melduję, że nie wiem, panie pułkowniku – wydukał adiutant, dodając na swoje usprawiedliwienie: – Tutejszy. Mnisi go znają.

– Dawaj go, byle szybko – powiedział niechętnie Czachowski.

Adiutant usunął się z drzwi, robiąc miejsce niskiemu, żylastemu mężczyźnie o długich lnianych włosach i twarzy naznaczonej bliznami. Przybysz ubrany był w białą sukmanę, w lewej dłoni trzymał futrzaną kozacką czapkę. Patrzył pułkownikowi w oczy, bez cienia pokory należnej poddanemu.

– No proszę – Czachowski wziął się pod boki. – Waszmość włościanin. A czemu to zawdzięczam zaszczyt? Przyszedłeś sprzedać mnie Moskałom jak twoi chłopscy bracia czynią z powstańcami po wsiach?

Twarz mężczyzny w sukmanie pociemniała, ale nie spuścił wzroku.

– Ja już nie chłop – powiedział pierwsze, co przyszło mu do głowy.

– Nie? A kimżeś jest? – Pułkownik wydawał się zaintrygowany odpowiedzią.

– Dezerterem – odparł tamten.

– Dezerterem – powtórzył Czachowski jak echo.

– Tak, wielmożny panie. *Riadawoj* Tomasz Gąsior. Sześćdziesiąty Dziewiąty Rianzański Pułk Piechoty z Lublina – wyrecytował.

– No – rzekł pułkownik. – To skoroś żołnierz, to nie tytułuj mnie

wielmożnym panem. Nie jesteśmy ani w czworakach, ani w armii Jego Wysokości Cesarza Wszechrusi.

– Tak jest, panie pułkowniku – odparł Gąsior, bardziej potwierdzając fakt, niż regulaminowo odpowiadając dowódcy.

– Czemuś zdezerterował? – zaciekawił się Czachowski, patrząc na niego badawczo.

W oczach przybysza błysnęło coś złowrogiego.

– Człowiek jestem – powiedział hardo – a w carskim wojsku byłem za psa. Dawali miskę zupy i tresowali od świtu do nocy. Za złe spojrzenie kije. Za warknięcie wiązanie do słupa i dwadzieścia wyciorów na gołe plecy. Mam grzbiet tak pokarbowany, że można na nim koszule prać jak na tarce. – Gąsior zaczął zdejmować sukmanę, aby dać świadectwo swoim słowom, ale pułkownik powstrzymał go gestem dłoni.

– Nie trzeba, Tomaszu – powiedział łagodniej. – I co cię do mnie sprowadza?

Zęby mężczyzny w białej sukmanie błysnęły jak u wilka.

– Chcę, za pozwoleniem pana pułkownika, bić Moskali.

– A potrafisz? – zapytał Czachowski.

Tomasz Gąsior przytaknął krótkim skinieniem głowy, wydobywając z tyłu zza paska prosty nóż oprawiony w kawałek jeleniego rogu. Adiutant przysłuchujący się rozmowie drgnął niespokojnie, ale pułkownik znów uniósł dłoń w uspokajającym geście.

Tymczasem człowiek w białej sukmanie wskazał na kilka nacięć na rękonożce.

– Pierwszy był ruski kapral w Lublinie. Podczas ćwiczeń w terenie, z których uciekłem – wyjaśnił. – Potem jeszcze paru psubratów tu, w okolicy. – Gąsior uniósł dłoń i zaprezentował kozacką czapkę, dodając: – O ile Bóg dał spotkać ich pojedynczo lub we dwóch. Umiejętności zacząć, panie pułkowniku. Znam tu każdy kamień. Z Bostowa jestem, pod Nową Słupią. Od zeszłej jesieni w lesie.

Czachowski wpatrywał się w niego z namysłem. Wreszcie skierował w stronę Tomasza Gąsiora wskazujący palec.

– Już kojarzę. Widziałem listy gończe wojskowego naczelnika powiatu. To ciebie Moskale nazywają świętokrzyskim diabłem? – zapytał.

Przybysz potwierdził skinieniem głowy, zmieszany brakiem pewności, czy to dobrze, czy źle.

– No, Tomaszu – uśmiechnął się Czachowski. – Takiego chwata przyjmuję do partii od razu. Tylko... – Podrapał się w głowę. – Tym kozikiem to w bitwie zbytnio nie podokazujesz.

– Mam jeszcze kosę osadzoną na sztorc – poinformował Gąsior. – Na dworze stoi, schowana za murem, coby braciszków nie trwożyć.

– A strzelać umiesz? – dopytał pułkownik.

Tomasz Gąsior nie zastanawiał się ani chwili.

– Ze stu kroków umiem z karabinu liniowego napisać na wrotach stodoły pierwszą literę swojego imienia bez skrzywienia linii. W koszarach w Lublinie brali mnie, żebym to pokazywał przyjezdnym oficerom.

– A skąd ja ci, bracie, wezmę karabin liniowy. – Czachowski się uśmiechnął. – Sam broń ojczyzny starym austriackim sztucercem na płową zwierzynę.

– To już moja głowa – odparł Gąsior. – Niech no mnie tylko pan pułkownik przydzieli do jakiego oddziału na zewnątrz, za murem klasztoru, to i karabin się znajdzie.

Czachowski wydał dyspozycję adiutantowi, aby tak właśnie się stało, a kiedy nowy żołnierz zgrupowania wykonał regulaminowy w tył zwrot niczym na placu musztry 69. Rianzańskiego Pułku Piechoty i wyszedł, pułkownik popatrzył tęsknym wzrokiem na pryczę.

– No i drzemkę diabli wzięli – rzekł do adiutanta, który spąsował jak pensjonarka.

– Pan pułkownik daruje, że przyprowadził tego tu... – Młodemu adiutantowi, po tym co usłyszał, brakowało słów na określenie Tomasza Gąsiora. – Ale w opactwie go znali i pomyślałem...

– Dobrześ zrobił – skwitował Dionizy Czachowski i dodał: – Spójrz przy okazji w jego oczy, chłopcze. Jeśli kiedyś jeszcze

spotkasz człowieka o takim spojrzeniu, pamiętaj: lepiej mieć go po swojej stronie.

Rozdział 60

Na mapie sztabowej dowódcy smoleńskiego pułku piechoty Łysa Góra wyglądała jak plama w kształcie nieregularnej elipsy z okrągłym płaskowyżem na szczycie. Pułkownik Ksawery Czengiery raz jeszcze ocenił topografię terenu i uznał, że zdobycie powstańczego obozu Langiewicza na wzgórzu nie będzie trudne.

Właśnie dostarczono meldunki i podczas wieczornej narady pułkownik Czengiery polecił rudemu oficerowi sztabowemu nanieść na mapę położenie wojsk. Jego smoleński pułk stał w Kielcach i stąd miał pójść na powstańców, z drugiej strony – od Ostrowca – nadciągało pięć rot piechoty, pół szwadronu dragonów i sześćdziesięciu kozaków pod wspólną komendą majora Gołubowa. Razem zamkną pierścień i rozgniotą Langiewicza jak wesz na kołnierzu, pomyślał.

Razem? Czengiery zaciągnął się dymem cygara. Czy zbieranina polskich oberwańców pobitych pod Wąchockiem rzeczywiście wymaga współdziałania obu carskich korpusów? Dziś – kiedy Langiewicz jest wielokrotnie słabszy – pułkownik Czengiery mógł go dobić paroma plutonami. Bez wysiłku i bez dzielenia się zwycięstwem z Gołubowem.

– Ruszamy – zakomenderował nieoczekiwanie oficerom pochylonym nad mapą. – Za kwadrans zbiórka na placu koszarowym. Wydać furaz, proch i ładunki. Kierunek marszu: Święty Krzyż. Jutro nocujemy w klasztorze.

– Za pozwoleniem waszej wielmożności – odezwał się cicho rudy porucznik. – Idziemy na noc? Nie czekając na majora Gołubowa?

Czengiery spojrzał na niego z teatralnym zdziwieniem.

– Węgier jestem – oświadczył – ale powiadają, że po rosyjsku mówię biegle. Której części rozkazu jaśnie pan porucznik nie zrozumiał?

Rudy lejtnant zaczerwienił się i wyprostował dłonie wzdłuż szwów spodni.

– *Tak toczno, wasze błagorodie.* Za kwadrans zbiórka.

Przez lornetkę zabudowania klasztorne nie wydawały się twierdzą. Smoleński pułk dotarł na Łysą Górę po jedenastu godzinach nocnego marszu 11 lutego 1863 roku i został rozlokowany na pozycjach zgodnie z zasadami sztuki wojennej.

Szturm na klasztor miały przeprowadzić dwie rotы dowodzone przez podpułkownika Sorniewa, które po opanowaniu opactwa otrzymały rozkaz uderzenia na obóz powstańców. Siły główne, w postaci trzech pozostałych rot, dragonów i kozaków, miały zaatakować szałas Langiewicza od strony Nowej Słupi pod buławą swojego węgierskiego wodza.

Pierwszy połamał zęby Sorniew. Ustawił rotы ostrzeliwujące klasztor, przyjmując oczywiste założenie, że jego żołnierze byli regularnym, karnym i wyszkolonym wojskiem, zaprawionym w bojach chociażby podczas wojny krymskiej, a powstańcy – zgrają rebeliantów bez dyscypliny i komendy. Jego żołnierze mieli świetne karabiny, powstańcy starą broń myśliwską. Jego żołnierze potrafili strzelać, powstańcy nie.

Rozumowanie Sorniewa było absolutnie logiczne i tragicznie błędne.

Batalion Czachowskiego wysłany do obrony opactwa rzeczywiście miał broń myśliwską, ale broni tej używali ludzie, którzy od dziecka polowali w sandomierskich i kieleckich lasach, uczeni przez ojców i dziadów, jak trafić biegnącego zająca w oko, aby nie popsuć mięsa. Rosjanie owszem byli szkoleni, ale w wielu pułkach piechoty, ze smoleńskim włącznie, pokutowało konserwatywne przeświadczenie, że piechota powinna strzelać salwą. Dzięki temu pierwszy szereg rotы wyrzucał grad kul bez ładu i składu, jakby sypał groch kaczkom, a drugi grzmocił

w powietrzu, żeby nie trafić pierwszego. „Salwami przegналиśmy Napoleona”, mawiała siwa generalicja, nie kłopotząc się doskonaleniem indywidualnych umiejętności strzeleckich żołnierzy Jego Imperatorskiej Wysokości. Podpułkownik Sorniew płacił za to na Świętym Krzyżu straszną cenę.

Z rozkazu Czachowskiego w jego oddziale strzelali tylko najlepsi. Reszta ładowała im broń. Po kilku minutach powstańcy rozpoczęli mordercze zawody, kto ubije więcej Moskali.

Sorniew zwinął rotę i uciekł, gdy lider rywalizacji Dionizy Czachowski głośno zameldował trafienie piętnastego.

Tymczasem w obozie Langiewicz ustawił oddziały, wyczekując podejścia pod wzgórze głównych sił Czengieryego. Powitano ich gromkim okrzykiem: „Niech żyje Polska!”, i taką palbą broni powstańczej, że ledwo sprostał jej zorganizowany ogień rotowy carskiej piechoty. Ruszyli kozacy. Im rzadko coś nie wychodziło w bojowej szarży, ale tym razem zlekceważyli drewniane armaty polskich buntowuszczyków. Łobuzerskie gwizdy zastąpił jęk konających i sygnał do odwrotu.

Mordercza wymiana ognia trwała jeszcze długo, bez wskazania zwycięzcy. Obrzucony kartaczami rosyjskiej artylerii obóz pod Świętym Krzyżem płonął. Przepadł furgon sztabowy z pieniędzmi i rzeczy generała Langiewicza, a szałas z jedliny paliły się niczym pochodnie. Jak stwierdził następnego dnia jeden ze smoleńskich oficerów, musiało to rozsierdzić Polaków. W pewnej chwili wszyscy jak jeden mąż runęli do ataku – z kolbami strzelb, szablami, kosami na sztorc i nożami. Pułk nie zdzierzył wściekłości. Zostawiwszy na polu wiele trupów, Czengiery wycofał się do Nowej Słupi.

Po drugiej stronie opactwa niewielki oddział z partii Czachowskiego prowadził morderczą wymianę ognia z dwoma doborowymi plutonami carskiej piechoty. Powstańcy ukryci na wzniesieniu w cieniu jodeł skutecznie szczyrbili szeregi Moskali. Naprzeciwko siebie mieli jegrów. Świetnie wyszkolonych i uzbrojonych w nowoczesne karabiny, niemniej stojących poniżej,

na środku białego pola, i stanowiących wymarzony cel. Ludzie Czachowskiego zabijali ich z zapamiętałym okrucieństwem, ładując wysłużone dubeltówki tak szybko, jakby na polowaniu szarżowała na nich rozwścieczona wataha dzików. Mimo mrozu pot ściekał im po karkach, a las spowijała gęsta mgła dymu cuchnącego prochem, która czyniła ich niewidzialnymi.

Nagle z czarnej czeluści jodeł okopconych nieustanną kanonadą wypadł żyłasty niewysoki człowiek z kosą osadzoną na sztorc. Długie jasne włosy i biała sukmana, którą miał na sobie, zlały się z białą śniegu, tak że smoleńscy strzelcy na prawym skrzydle kolumny, pochłonięci bitwą, zauważyli go, gdy było już za późno. Straszny zgrzyt ostrza o kości i krzyk przerażenia sprawił, że grupa rosyjskich piechurów zamykająca flankę rozpierzchła się jak stado zajęcy.

Tomasz Gąsior tylko na to czekał. Wykonał kolejny brawurowy zamach kosą – niemal zamykając okrąg straszliwego ciosu i tnąc twarze kolejnych kilku jegrów. Po czym cisnął na ziemię narzędzie krwawego żniwa, pochwyił karabin jednego z zabitych i pobiegł z powrotem do lasu. Wszystko rozegrało się tak błyskawicznie, że nikt nie zdążył nawet za nim wystrzelić.

Rudy lejtnant dowodzący oddziałem stał jak słup soli. Po chwili wróciła mu przytomność umysłu i wydał rozkaz cofnięcia się o sto kroków poza zasięg polskich strzelb oraz ponownego sformowania szyku. Grupa karnych piechurów, ćwiczonych latami na placach musztry, ruszyła w tył jak dobrze naoliwiona maszyna, zostawiając na czerwonym śniegu kilkanaście stygnących ciał. Powstańcy, uznając dzieło z jegrami za skończone, zniknęli w lesie jak cienie.

Tomasz Gąsior został sam. Zdjął sukmanę, która wśród drzew byłaby zbyt widoczna, i jej rąbkiem wytarł z krwi zdobyczny karabin. Następnie ostrożnie rozłożył odświętny przyodziewek na śniegu i starannie, w równych odstępach, umieścił na sukmanie ładunki. Przykucnął i oparł się plecami o pień jodły.

Najbardziej lubił strzelać w takiej pozycji. Drzewo dawało mu stabilność i sposobność niezawodnego zgrania przyrządów

celowniczych, a pozycja siadu na piętach sprawiała, że stał się o wiele trudniejszy do trafienia niż człowiek stojący. Spokojnie narychtował karabin i czekał.

Carski lejtnant, który przegrupował w tym czasie oddział piechurów, krótko przedstawił im plan ataku na bagnety, wskazując dłonią w rękawiczce skraj lasu. Następnie zajął miejsce na czele szyku, wy dobył szablę, uniósł ją i zdążył zrobić pół kroku do przodu, zanim jego głowa rozpadła się na kawałki. Tomasz Gąsior dobrze zapamiętał szkolenie strzeleckie, jakie odbył podczas licznych polowań z dziedzicem Raczkowskim.

Jako drugi padł wąsaty sierżant. Trafiony w serce, zakręcił na śliskim śniegu idealny lewy piruet i osunął się, umierając, zanim upadł. Kapral nie czekał na swoją kolej. Runął na ziemię jak długi, a reszta żołdatów poszła w jego ślady, ostrzeliwując się z pozycji leżącej. Może nie przyniosło to chluby elitarniej jednostce jegrów, ale zgodne było ze starą zasadą przetrwania: lepiej leżeć i żyć, niż umierać stojąc.

Zanim dwie kule przygwoździły Tomasza Gąsiora do pnia świętokrzyskiej jodły, zdołał wysłać do prawosławnego nieba jeszcze trzech Moskali.

Rozdział 61

Nazajutrz po śniadaniu grupa oficerów z rot majora Gołubowa wybrała się na polanę położoną w pobliżu klasztoru, gdzie banda buntowuszczyków z dubeltówkami zadała ciężkie straty carskim strzelcom smoleńskiego pułku. Panowie oficerowie poszli na pobojuwisko spacerem – z ordynansami i antałkiem krzepkiej polskiej wódki, aby ratowała od chłodu, oraz mnichem Aleksym, aby odmówił modlitwę za poległych. Całą drogę z Nowej Słupi, wiodącą kamienistym traktem pamiętającym Bolesława Chrobrego, rozprawiali o chytrym ruchu Langiewicza, który najpierw pobił, a potem wyprowadził w pole pułkownika Czengieryego.

Po wygranej bitwie polski dowódca wykonał iście szatański manewr. Nie czekając, aż smoleński pułk, który dziś dostał łupnia, jutro dostanie posiłki korpusu Gołubowa i bez trudu rozniesie powstańców, Langiewicz wydał swoim żołnierzom po trzy łyżki grochówki i rozkaz zachowanie absolutnej ciszy. Za rozmowę lub najmniejszy hałas groziła kula w łeb. Około pierwszej w nocy całe zgrupowanie zeszło dosłownie na paluszkach w dół do Nowej Słupi. Czaty Czengieryego minęli o parę metrów. Najpierw skierowali się w stronę Starej Huty, potem pomaszerowali na Kielce, zostawiając bardzo wyraźne ślady, aż nagle sprytnie je zatarli, wykonując ostry skręt w przeciwnym kierunku.

Węgier zorientował się, że powstańców nie ma w klasztorze na Świętym Krzyżu parę godzin później. Natychmiast postawił rotę w stan gotowości i – śledząc ślady niczym zwiadowca Apaczów – ruszył za Langiewiczem w przekonaniu, że ten prowadzi

zgrupowanie do Kielc. Przeświadczenie to Czengiery ścigał zdyszany przez parę godzin, wreszcie zawrócił, totalnie się ośmieszając. Polacy byli już bardzo daleko i bardzo bezpieczni. Na dodatek nikt ze smoleńskiego korpusu nie miał zielonego pojęcia, gdzie to „daleko i bezpiecznie” się znajduje, bo Węgier zagonił do pościgu wszystkich swoich żołnierzy otaczających okolicę, otwierając powstańcom dowolną drogę w dowolnym kierunku.

Od paru godzin fortel Langiewicza był tematem dnia.

– Jak oni zeszli z taborami wąziutką leśną ścieżyną do wsi? – głowił się przysadzisty kapitan z imponującymi bokobrodami. – No, powiedzcie, panowie, jakim diabelskim sposobem? Bez jednego szmeru. Toż patrole Czengieryego były tuż obok. Jak ta swołocz się przemknęła? Po nocy, po lodzie, po tych przeklętych wertepach. – Kapitan splunął na świętokrzyskie gołoborze i zaciągnął się dymem cienkiej białomorskiej cygaretki. – *Wot Polaczki* – skwitował, przywołując gestem ordynansa: – A nalej no, Kostia, po stakańczyku – rozkazał, co wszyscy przyjęli z entuzjazmem.

Wyszli na polanę. Trupy jegrów leżały poskręcane mrozem jak wielkie porcelanowe lalki. Kruki na jodłach przyglądały się im z niemym wyrzutem. Kapitan zdjął czapkę i szybkim ruchem uczynił prawosławny znak krzyża. Pozostali poszli za jego przykładem.

– *Hospody, pomiłuj* – szeptano, rozglądając się za mnichem, aby wspólnie odmówić modlitwę, ale Aleksego najwyraźniej coś zaintrygowało.

Na skraju lasu tkwił w pozycji siedzącej, przymarznięty plecami do drzewa, trup szczupłego mężczyzny w prostej chłopskiej koszuli i postrzępionym serdaku. Miał otwarte oczy, a w nich – mimo bielma śmierci – wyraz zadowolenia, jakby ostatnie chwile na ziemi przyniosły mu jakąś radość. W opuszczonych rękach, opartych o biodra, nadal trzymał sześcioliniowy rosyjski karabin z zamkiem kapiszonowym. Jego lufa skierowana była w stronę polany.

Aleksy spojrział na leżące tam ciała jegrów i zrozumiał. Radość tego człowieka wywołało zabicie Rosjanina, może nawet

niejednego. Nagle zawładnęło nim święte oburzenie. Podszedł do trupa, prawą dłonią chwycił karabin za lufę i szarpnął z całej siły, aby wyrwać broń. W tej samej chwili ciszę polany rozdarł huk wystrzału, aż oficerowie rot spełniający toast za zmarłych odruchowo odwrócili głowy w stronę lasu, a kruki zerwały się z jodeł z głośnym protestem.

Wieczorem na kwaterze majora Gołubowa w opuszczonym dworze koło Nowej Słupi tego pito, drwiono z Czengieryego, któremu setki Polaków przeszły po nagniotkach, a on – *durak* – nie poczuł, i grano w wista.

– I co tam jeszcze? – dopytywał w przerwach licytacji komendant korpusu. – Podjazd dragonów wrócił? Langiewicz namierzyli?

– Nie namierzyli – smutno pokiwał głową porucznik zwiadu. – Przepadł jak kamień w wodzie, przeklęty. – A z nowości nic, *wasze błogrodie*. Może tyle, że nasz mnich nie żyje.

– Jak to „nie żyje”? – Ręka Gołubowa trzymająca pikową damę, którą zamierzał trzasnąć o stół, zwiśla w powietrzu. – Jak „nie żyje”? Jak?

– Tak głupiej śmierci jak żyję, nie widziałem – wtrącił się pułkowy chirurg grający z majorem w parze. – Braciszek podszedł do trupa nadal dzierżącego karabin i chcąc go zabrać, pociągnął za lufę. A że tamten miał palec zamarznęty na spuście... Broń wypaliła. No i... Prosto w serce. Żal biedaka. Dobry był człowiek. Zawsze miał taką gładką, pogodną twarz. Nawet to znamię na czole jej nie szpeciło.

Major Gołubow jednak trzasnął pikową damą.

– Diabelska sprawka – szepnął. Sięgnął po szklanę i opróżnił ją jednym haustem.

– Czort z nim i jego znamieniem – skwitował oszołomiony wódką. – Graj, doktor, kierem, bo nas tu puszczą bez portek.

CZEŚĆ SIÓDMA

Misja

trzecie millenium

Rozdział 62

Detektywie, halo, halo, Sherlocku – Kasia zabawnie udawała nawoływanie, nagrywając wiadomość na poczcie głosowej Kuby. Starła się brzmieć naturalnie, jak w samolocie, podczas zawiadamiania pasażerów o silnych turbulencjach, ale powoli ogarniał ją niepokój.

Od wczorajszego wieczoru, kiedy z leśniczówki Dubity wrócili do Warszawy, Kuba zapadł się pod ziemię. Ostatni dzień urlopu miał spędzić w domu, ale od rana nie odbierał telefonu, a komórka była wyłączona. Kasia przypuszczała, że zapomniał o bożym świecie, studiując odnalezione dokumenty dotyczące *Chrzta Warneńczyka*, niemniej późnym popołudniem zaczęła się naprawdę martwić. Nieproszone myśli o zagadkowej śmierci dziadka i Pawła Włodarczyka, poszukiwaczy obrazu Matejki, pukały do jej świadomości z narastającym natręctwem. Po raz setny dziś spojrzała na zegarek. Minęła osiemnasta.

Nerwowo sięgnęła po torebkę pozostawioną na komodzie w przedpokoju i rozpoczęła poszukiwanie kluczyków, które w takiej sytuacji potrafią idealnie się ukryć w zmowie z pomadką, portfelem, karnetem na basen, tuszem do rzęs, dowodem rejestracyjnym auta, cieniem do powiek i innymi przedmiotami skompletowanymi staranniejszym niż mikroekwipunek agenta MI-6. Najskuteczniejszą procedurą jest wówczas wysypanie zawartości torebki na łóżko, co właśnie uczyniła w akompaniamencie grzechotu i przy wielkim zdumieniu, ile może pomieścić średniogabarytowy produkt włoskiej myśli kaletniczej.

Pochwyciwszy kluczyki, Kasia pospiesznie wsunęła granatowe

mokasyny, zatrzasnęła drzwi i zbiegła po schodach. Idąc szybkim krokiem na parking, u wylotu uliczki dostrzegła znajomą sylwetkę srebrnego peugeota Kuby.

Podjechał bliżej, znacznie przekraczając osiedlowe ograniczenia prędkości, i gwałtownie zahamował.

– Boże, Kuba – jęknęła. – Tak się nie robi. Dlaczego się nie odzywałeś? Właśnie chciałam jechać na Żoliborz sprawdzić, co się z tobą dzieje.

– Wiem, Kasiu, wiem. – Już trzymał ją w ramionach. – Przepraszam najmocniej. Wczoraj, jak zaniósłem ci walizkę na górę, położyłem na komodzie w przedpokoju komórkę i zapomniałem ją zabrać. Mam tam obydwie twoje numery. Dzwoniłem do LOT-u, ale nie chcieli mi podać. Pomyślałem, że skoro zobaczysz na komodzie mój telefon, to nie będziesz się denerwować.

– Dzwoniłam do ciebie – w głosie Kasi zabrzmiała ulga pomieszana z resztkami wyrzutów. – Komórka była wyłączona. Nie chcę cię martwić, ale nie ma jej na komodzie. Domowy też nie odpowiadał.

– Cały dzień przesiedziałem w Bibliotece Narodowej, szukając tropów wskazanych przez twojego dziadka. – Kuba podrapał się w głowę. – Ale co się mogło stać z tą cholerną komórką?

Wrócili na górę. Błat komody w przedpokoju rzeczywiście był pusty.

Twarz Kuby przybrała wyraz skupienia.

– Inaczej zapamiętałem ten mebel wczoraj wieczorem – stwierdził. – Czy coś się z nim zmieniło?

– Nic. – Kasia wzruszyła ramionami. – Stoi tak samo od czterech lat.

– A co stało na nim?

– Nic – powtórzyła. – Tylko moja torebka. Już wiem – rozpromieniła się. – Ty pierwszy położyłeś telefon, a potem ja, stawiając torebkę, zapewne zepchnęłam go w szczelinę między komodą a ścianą. Nic nie usłyszeliśmy, bo wykładzina jest dość gruba. Widzisz – powiedziała z triumfem, klękając na kolana

i pochylając się, aby zajrzeć pod mebel – potrafię dedukować nie gorzej niż sławny IPN-owski detektyw Kania.

Niestety, podniosła się rozczarowana.

– Kurczę, nie ma go tam. Teoria z torebką jest do bani.

Kuba badawczo obserwował komodę.

– Teoria z torebką pani detektyw jest świetna – powiedział z uznaniem. A kiedy chciała zaprotestować, żeby z niej nie żartował, odsunął mebel od ściany. Telefon, jak gdyby nigdy nic, spoczywał na wysokiej listwie przypodłogowej.

Kasia pokiwała głową.

– Jeśli ktokolwiek rozwiąże zagadkę *Chrzta Warneńczyka* – powiedziała z przekonaniem – to tylko ty. Pod warunkiem, że kupisz sobie lecytynę albo będziesz nosić telefon na sznurku jak dzieci rękawiczki – dodała z uśmiechem.

– Pod warunkiem, że zawsze będziesz miała dla mnie teorię torebki. – Kuba znów ją objął i zamknął dalszą dyskusję namiętnym pocałunkiem.

Rozdział 63

Rano, niczym w filmach, ona ubrana w jego koszulę z podwiniętymi rękawami przygotowywała jajecznicę, a on relacjonował wczorajsze odkrycia i opowiadał o zawartości teczki dziadka. Kasia dopytywała, czy dziadek odnalazł na obrazie jakąś zaszyfrowaną tajemnicę.

– Nie wspomina o tym w notatkach. – Kuba odstawił kubek z kawą, aby móc bezradnie rozłożyć ręce. – Może rzeczywiście istnieje coś takiego, ale brakuje wskazówek odczytu. Wiesz, jakiejś informacji, że w samo południe w dniu pięćsetnej rocznicy chrztu trzeba ustawić obraz przed ołtarzem idealnie tam, gdzie biskup Mikołaj Głębocki trzymał bet z królewiczem, a promień słońca wpadający przez witraż wskaże sekretne miejsce na płótnie, w którym niewidzialnym atramentem zapisano ciąg dalszy przesłania. Czyli – fantazjował dalej – współrzędne jaskini pod Warną kryjącej tajemniczy kryptogram, który można odczytać za pomocą kombinacji ksiąg Ewangelii i sur Koranu. I tak dalej, i tak dalej.

Kasia kroila szczypiorek.

– Wątpię – powiedziała zrezygnowana. – Matejko nie wygląda mi na konesera zagadek. Czytałam gdzieś, że był nudnym gościem. Chociaż – uniosła nóż – musiał mieć nieziemską wyobraźnię. Zauważyłeś, że jego obrazy są bardzo filmowe? Kiedyś w Malborku wpatrywałam się w oryginał *Bitwy pod Grunwaldem* i miałam wrażenie, że za moment namalowana scena ożyje. Serio. Byłam przekonana, że ktoś wciśnie „play” i postacie zaczną okładać się mieczami, a koń Witolda stanie dęba w centralnym punkcie kadru.

Ale nic takiego nie zaszło – wyznała niemal z rozczarowaniem. – To patetyczne malarstwo, obarczone patriotyczną odpowiedzialnością. Szyfry i szarady tu nie przystoją.

– Do wczoraj myślałem tak samo – rzekł Kuba.

Kasia spojrzała na niego pytająco.

– Wyobraź sobie... – Kuba przełknął łyk kawy – ...że Matejko miał skłonności do mistycyzmu. *Bitwie pod Grunwaldem* akurat bardzo to pomogło. W chwili gdy po raz pierwszy dotknął pędzlem płótna, na którym miał powstać obraz, nagle na Wawelu odezwał się Zygmunt. Pewnie była to jakaś próba techniczna, bo narodowy dzwon bije tylko przy wyjątkowych okazjach, ale malarz uznał, że to znak, wręcz wiadomość od dynastii Jagiellonów, której złoty wiek symbolizowało odlanie Zygmunta. Tworzył obraz jak w transie i... najwyraźniej uzyskał świetny rezultat. Mało tego... – Kuba sięgnął do notatek sporządzonych wczoraj w bibliotece. – Na kilku płótnach ukrył tajemnicze przesłania. W dziele zatytułowanym *Piotr Włost sprowadza cystersów do Polski* aż się roi od sekretnych napisów, postaci i scen, namalowanych tak, aby widz mógł dojrzeć je dopiero wtedy, gdy zmieni kąt spojrzenia. Na obrazie *Wyrok na Matejkę* w pieczęci widać postać kobiecą, a w *Alchemiku* jest scena, w której Sędziwój podaje królowi Zygmuntovi bryłkę złota. Historycy sztuki twierdzą, że ta bryłka zawiera słowa, które da się odczytać przez szkło powiększające. Mam tego więcej... – dodał, kartkując notes. – Chcesz?

– Panie Janku... – Kasia pokiwała nosem w stronę niewidzialnego Matejki. – Odwołuję wszystko, co powiedziałam o pana fantazji. – Na chwilę wróciła do krojenia szczypiorku, aby znów je przerwać.

– Kuba, czyli *Chrzest Warneńczyka* może mieć jakiś ukryty kod?

– Nie można tego wykluczyć – odparł z zawodową powściągliwością. – Niestety, na podstawie niewyraźnej przedwojennej reprodukcji i małej fotografii w internecie niczego się nie dowiemy. Do zbadania ewentualnej symboliki dzieła niezbędny jest oryginał. Tymczasem...

– No właśnie. – Kasia była coraz bardziej podekscytowana. – Czy

teczka dziadka zawiera jakieś podpowiedzi, gdzie teraz może znajdować się nasz obraz?

– Myślę, że tak. – Kuba z powagą kiwnął głową. – Jak pamiętasz, Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce na podstawie śledztwa twojego dziadka ustaliła, że *Chrzest Warneńczyka* może być ukryty w willi esesmana i grabieżcy dzieł sztuki Pietera Mentena w Blaricum w Holandii Północnej. Twój dziadek w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku zdołał uzyskać zgodę na przeszukanie posiadłości Mentena, ale dzień wcześniej dom nad jeziorem Gooimeer doszczętnie spłonął. To oficjalnie zamknęło śledztwo Komisji. Komisji – podkreślił, unosząc kubek jak w toaście – ale nie twojego dziadka.

– On nigdy nie uwierzył w tezę, że *Chrzest Warneńczyka* padł ofiarą tamtego pożaru. Przypuszczał, że obraz został wywieziony do Izraela przez żydowskiego współnika esesmana, przedwojennego krakowskiego antykwariusza Józefa Stieglitza. Przez ponad dziesięć lat twój dziadek deptał mu po piętach. W aktach, które zabrał z archiwum Głównej Komisji i ukrył w Dubitach, są kopie jego listów do Tel Awiwu. Co jakiś czas docierał do nowych informacji o obrazie i starannie je dokumentował. Wszystko jest w teczce z leśniczówki. Wiedzę, do której dotarł, zręcznie przemycał w pismach adresowanych do Stieglitza – dając mu do zrozumienia, że zaciska pierścień, i apelując o ujawnienie prawdy o obrazie. Na żaden z listów nie otrzymał odpowiedzi. – Kuba posmutniał, ale tylko na chwilę. – Na początku lat osiemdziesiątych twój dziadek nieoczekiwanie zyskał sojusznika. Debiutującego reportera, który dowiedział się o obrazie od rodziny Głębockich, prawowitych właścicieli płótna Matejki. Zgadnij, o kim mówię?

– Nie mam pojęcia – poddała się Kasia.

– O Pawle Włodarczyku.

Zamurowało ją.

– Naprawdę? To on już wtedy szukał *Chrzstu Warneńczyka*?

– Szukał to zbyt wiele powiedziane – Kuba lekceważąco machnął

ręką. – Włodarczyk w osiemdziesiątym trzecim roku opublikował dwa przeciętne teksty na temat obrazu, po czym się znudził i zajął czymś innym.

– Tymczasem dziadek był konsekwentny – westchnęła Kasia, przywołując wspomnienia z dzieciństwa.

– Właśnie tak – powtórzył Kuba. – Wycinki dwóch artykułów Włodarczyka niezwłocznie wysłał na adres Stieglitza przy Allenby Road w Tel Awiwie z informacją, że sprawą zainteresowały się media. Miało to wyrzucić presję na byłego krakowskiego antykwariusza. I wywarło. Wkrótce Główna Komisja otrzymała protest dyplomatyczny z ambasady Izraela, że prokurator Karewicz nęka szanowanego obywatela ich państwa. Twój dziadek musiał zaprzestać korespondencji służbowej, ale nadal prowadził prywatną. Jak przypuszczam... – Kuba obrócił w dłoniach kubek z resztką kawy – ...zmienił taktykę. Ważne, że pod koniec lat osiemdziesiątych znalazł wreszcie potwierdzenie swojej hipotezy, iż obraz Matejki został ukryty w rejonie Zatoki Perskiej.

– Jakim cudem się tego dowiedział? – ciekawość Kasi sięgała zenitu.

– Tego nie wiem – odparł Kuba. – W teczce znalezionej w leśniczówce jest notatka, z której wynika, że twój dziadek zyskał jakiegoś konspiracyjnego sojusznika o kryptonimie „Rabin”. Człowiek ten działał na Bliskim Wschodzie i miał na temat obrazu „wiedzę operacyjną”. Tak się wyraził.

– Kim mógł być „Rabin”? – zastanawiała się Kasia. – Masz jakieś przypuszczenia?

– Oficerem izraelskiego wywiadu? – Kuba odpowiedział pytaniem na pytanie. – Kryptonim i ta „wiedza operacyjna” wyraźnie za tym przemawiają, ale pewności nie mam żadnej. A może był to polski agent działający na tamtym terenie?

– I? – spytała.

– Co „i”? – nie zrozumiał.

– I co dalej?

Kuba wstał i zaczął spacerować po kuchni.

– Sądzę, że twój dziadek albo spotkał się z „Rabinem”

w Dubitach, albo tam otrzymał wiadomość od niego. Dwudziestego pierwszego czerwca osiemdziesiątego dziewiątego roku pojechał do komendy milicji w Ostródzie, skąd nadał telefonogram do Biura Śledczego Głównej Komisji, z informacją, że pojawiły się nowe dowody i trzeba wznowić dochodzenie w sprawie *Chrzta Warneńczyka*. Kopia depeszy, której nadano klauzulę poufności, jest w teczce z leśniczówki. Leży tam też i odpowiedź. Przyszła w ciągu dwudziestu minut. Wydział Śledczy zawiadamia w niej, że szef wyjechał na dwutygodniowy urlop, ale skontaktowano się z nim telefonicznie i polecił, aby prokurator Karewicz przyjechał do niego służbowo, do pensjonatu Promień w... – Jakub Kania nagle zamilkł.

– Powiedz! – Kasia poczuła przyspieszone bicie serca.

– W Szklarskiej Porębie – dokończył, podchodząc do niej z przeświadczeniem, że za moment będzie potrzebny.

– Gdzie go... – zaczęła Kasia, ale Kuba objął ją i szepnął do ucha:

– Gdzie go spotkał tragiczny wypadek. Wiem, co chciałaś powiedzieć, ale już to przerabialiśmy. Nie ma żadnego dowodu na to, że twój dziadek został zamordowany.

Spod niewiarygodnie długich rzęs Kasi wytoczyły się dwie łzy, które powoli spłynęły po policzkach.

Rozdział 64

Na Okęcie jechali w milczeniu, samochodem Kuby. Tuż za IPN-em, przy Towarowej barierka rozdzielająca pasy jezdni nadal była wygięta po tym, jak uderzyło w nią jedno z kół staranowanej toyoty Pawła Włodarczyka. Kuba, chcąc uchronić Kasię przed kolejną traumatyczną refleksją, zadał pierwsze pytanie, jakie przyszło mu do głowy:

– Kiedy wracasz?

– Nieprędko – Uśmiechnęła się blado i pieszczotliwie pogłaskała go po policzku. – Dziś Kopenhaga, jutro Nowy Jork. W piątek ląduję na Balicach, ale w niedzielę po południu znów Stany przez Monachium. Miałam zostać w Krakowie, ale odwołam hotel i złapię jakiś lot do Warszawy. Chcę być z tobą.

Ujął jej rękę i pocałował wewnątrz dłoni.

– Nie masz pojęcia, jak się cieszę – powiedział. – Ale mam plan B. Może to ja przyjadę w piątek do Krakowa? Będę machał chusteczką na tarasie widokowym lotniska. Chcesz? A w weekend powłóczymy się po Plantach i Rynku, pójdziemy na Wawel.

Kasia oswobodziła dłoń, aby użyć jej do entuzjastycznego klaśnięcia.

– Fantastycznie, Kuba. Świetna myśl! Wobec tego nie odwołuję hotelu, a powinieneś wiedzieć, że mam rezerwację pokoju z łóżkiem king size, co bardzo się przyda.

Kuba lekko się zarumienił.

– Założę się – dodała Kasia – że będziemy spali w nim we trójkę z Władysławem Warneńczykiem, zatem królewski rozmiar materaca jest wskazany. A co ty pomyślałeś? – Roześmiała się

zadowolona, że znów udało się jej wywołać u prokuratora IPN-u chłopięce zakłopotanie. Było naprawdę urocze.

W piątkowy wieczór jedli makaron z owocami morza w miłej restauracji przy Floriańskiej i pili znakomite portugalskie colares – wino z wydm. Kuba opowiadał o dawnych galisyjskich hrabiach i ich wojnach z Maurami oraz o krainie, w której wytwarza się wino, od którego boli kręgosłup.

Kasia uniosła pytająco brwi.

– Kręgosłup?

– Tak – Kuba się uśmiechnął. – Szczep colares uprawia się blisko Atlantyku na poletkach ogrodzonych niskimi kamiennymi murkami. Przez stulecia sprytne krzewy winorośli nauczyły się wykorzystywać te murki do ochrony przed oceanicznym wiatrem, więc karłowacieją i rosną coraz bliżej ziemi. Aby zebrać grona, trzeba się zginać jak na zajęciach z aerobiku.

Portugalskie opowieści były frapujące, ale obydwójce wiedzieli, że temat *Chrztu Warneńczyka* zbliża się nieuchronnie i wróci najdalej przy następnym łyku.

Pozwolił, aby to Kasia zaczęła.

– Kuba?

– Tak?

– Wspomniałeś, że dziadek na krótko zyskał sojusznika poszukiwań obrazu w osobie młodego Pawła Włodarczyka. Spotkali się?

Kuba przechylił kieliszek, obserwując, jak wino spływa po jego ściance.

– Raczej nie – odparł. – W teczce z leśniczówki znalazłem wycinki dwóch artykułów Włodarczyka z osiemdziesiątego trzeciego roku. Są pożółkłe, jakby miały sto lat – wtrącił. – Gazety po stanie wojennym drukowano na wybitnie marnym papierze. Momentami trudno było cokolwiek odczytać, bo tekst złożono nonparelem, najmniejszą z ówczesnych czcionek prasowych. Ale dałem radę. – Uśmiechnął się. – Niestety. Obydwa artykuły są zaledwie zapisem tego, co Włodarczyk dowiedział się

od Głębockich. Szczerze mówiąc... – Kuba odstawił kieliszek – ...debiutujący reporter nie zadał sobie zbyt wiele trudu. Opublikował to, co podano mu na tacy. Nie położył, nie poszperał. Nie dotarł nawet do twojego dziadka, bo prokurator Karewicz z pewnością sporządziłby notatkę z tego spotkania.

Kasia się zamyśliła.

– A może młody Włodarczyk nie wiedział, że dziadek prowadzi poszukiwania obrazu?

– Wiedział doskonale. Jego drugi tekst zawiera reprodukcję oficjalnego pisma, w którym Wydział Śledczy Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce powiadamia rodzinę Głębockich o poszukiwaniach *Chrzta Warneńczyka* i fakcie, że Stieglitz podczas wojny i po jej zakończeniu pracował dla Pietera Mentena, który prawdopodobnie wywiózł płótno Matejki z okupowanego Krakowa w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku. Dokument informuje również, że żydowski antykwariusz zeznawał w procesie holenderskiego esesmana w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym siódmym roku i przed sądem wyrażał się o nim w samych superlatywach. Zgadnij, czyj podpis widnieje pod pismem Wydziału Śledczego?

– Dziadka. – Tym razem Kasia nie miała wątpliwości.

– Tak jest. Prokuratora Kazimierza Karewicza, którego Włodarczyk miał dosłownie pod ręką. Wystarczyło wsiąść w tramwaj i podjechać parę przystanków do siedziby komisji albo pójść z twoim dziadkiem na spacer w Łazienkach. Nie. – Kuba zrobił kwaśną minę. – Włodarczyk zdecydowanie się wtedy nie popisał. Wypuścił z rąk fantastyczny temat.

– To co spowodowało – spytała Kasia – że po prawie dwudziestu latach do niego wrócił i tak się zaangażował w poszukiwania *Chrzta Warneńczyka*?

Kuba wzruszył ramionami.

– Wyrzuty sumienia? Wstyd? A może zawodowa dojrzałość, która sprawia, że po latach zupełnie inaczej patrzy się na tematy z młodości. Może siedział w tym swoim archiwum i jakiś szczegół sprawił, że nagle uświadomił sobie, co zmarnował. A może ocknął

się pod wpływem sytuacji politycznej? Kiedy do mnie zadzwonił, przekonywał, że odnalezienie obrazu kojarzonego z przesłaniem pojednania chrześcijaństwa z islamem mogłoby bardzo korzystnie wpłynąć na międzynarodowy wizerunek Polski i w zupełnie innym świetle pokazać obecność naszego kontyngentu wojskowego w Iraku czy Afganistanie.

– Wierzysz w to?

– Nie znam się na polityce – Kuba uniósł ręce do góry. – Ale coś w tym jest. Polski król zawiera pokój z muzułmanami, polski malarz tworzy tajemniczy obraz związany z ideą pojednania religii. O, tak. Takie ciekawostki łatwo trafiają do opinii publicznej, a potem już żyją własnym życiem. Ludzie je wyolbrzymiają i nadinterpretują, ale przekaz pozostaje ten sam: Polska zawsze starała się o dialog z islamem.

Kasia nie wydawała się przekonana.

– A jak to się ma do faktu, że nasz dzielny król pod Warną ścinał mahometanom głowy, a polscy żołnierze strzelają do ludzi w Iraku i Afganistanie? – spytała.

Kuba miał na końcu języka, że pod Warną to raczej mahometanie ścięli głowę naszego dzielnego króla, ale uznał, że mogłoby to zabrzmieć jak wymądrzanie się, albo jeszcze gorzej: sugerowanie, że Kasia opuściła tę lekcję historii. Dlatego zastanowił się przez moment i odparł:

– Strategie propagandowe oparte są na założeniu, że jeśli fakty do nich nie pasują, to tym gorzej dla faktów. Ostatnia bitwa Władysława Warneńczyka była rezultatem manipulacji, brudnej gry politycznej, w którą go wciągnięto. Ale bezprecedensowy pokój w Segedynie, zawarty nieco wcześniej, był jego autorskim dziełem i zasługą. Nasz dzielny król Władysław tak naprawdę doprowadził do pojednania chrześcijaństwa z islamem. Wprawdzie tylko na trzy dni, ale doprowadził.

– A Irak i Afganistan?

– No właśnie! – Kuba upił łyk wina. – Powiedziałaś, że polscy żołnierze strzelają tam do ludzi. Propaganda widzi to inaczej: nie do ludzi, tylko do terrorystów.

– To powiedz tej propagandzie, że Niemcy podczas drugiej wojny światowej polskich partyzantów i powstańców warszawskich walczących z okupantem o wolność swojego kraju też nazywali bandytami i terrorystami.

– Kasiu... – Kuba złączył dłonie w buddyjskim geście pokoju. – Ja tej teorii nie wymyśliłem i nie staram się lansować. Po prostu wyjaśniam mechanizm jej działania. Przesłanie pojednania religii związane z *Chrztem Warneńczyka* może być bardzo użyteczne wizerunkowo. Polska ma historyczne dowody, że zabiegała o pokój z islamem. Jesteśmy przyjaźni, mili i fajni. A w Iraku i Afganistanie walczymy nie z wyznawcami Mahometa, tylko z fanatykami i zwolennikami dżihadu. To się da logicznie poukładać.

Kasia przekrzywiła głowę.

– Wszystko okej. Poza małym szczegółem.

– Jakim?

– Kiedy mówiłeś, że nie lansujesz tej teorii, nos ci się bardzo wydłużył. Tyle mniej więcej... – Przytknęła otwartą dłoń do twarzy i powoli odsunęła ją na jakieś trzydzieści centymetrów. – Co kombinujesz, Sherlocku? Mów mi tu natychmiast.

Kuba uniósł kieliszek.

– Jeśli ta teoria może nam pomóc w poszukiwaniach obrazu, to wypiję za nią.

– Co zamierzasz? – spytała poważnie, zatrzymując palce na stopce swojego kieliszka.

– Pomyślałem, że pójdę do Palucha raz jeszcze. Powiem, że pojawiły się nowe dowody w sprawie obrazu, i podsunę mu propagandową ideę wykorzystania obrazu, najlepiej tak, żeby uznał ją za własną.

– Mówiłeś, że to mały człowiek pozbawiony wyobraźni.

– To prawda – przytaknął. – Ale jeśli dostrzeże w tym coś, co uzna za przydatne dla siebie lub swojej kariery, wyśle na poszukiwania *Chrzta Warneńczyka* połowę IPN-u.

Plan został zatwierdzony cichym brzękiem szkła, wywołanym delikatnym i dyskretnym stuknięciem kieliszków, aby nie spłoszyć

idealnej harmonii smaku wina z wydm.

Rozdział 65

We wrześniu Kraków przestaje być spocony po gorączce lata. Przerzedzają się turyści, do miasta wracają studenci skupieni na barażach sesji poprawkowej i pojawiają się pierwsze nieśmiałe mgły. Wawel jeszcze nie wygląda w nich jak na obrazach Wyspiańskiego, drzewa pod zamkiem jeszcze noszą letnie, zielone stroje, ale jest już w nich niedostrzegalna zapowiedź jesieni.

Kuba puścił dłoń Kasi, aby wchodząc na wawelskie wzgórze, mogła swobodnie rozmawiać z biurem LOT-u. Dzwonili z prośbą, aby w przyszłym tygodniu została szefową pokładu w rejsie do Tel Awiwu. Kuba szedł obok, stając się mimowolnym świadkiem uzgodnień dziesiątek szczegółów: procedur postępowania z trójką pasażerów niepełnosprawnych i jednym dzieckiem podróżującym pod kuratelą personelu kabinowego. Wyposażenia apteczki w sprawdzone medykamenty, bo personel nie zna zasad działania nowych. Ilości środków higienicznych. Dietetycznych i koszernych porcji cateringu oraz wielu innych angielskojęzycznych określeń, które słyszał po raz pierwszy. No, może z wyjątkiem boardingu.

Rozmowa trwała od placu Na Groblach do schodów katedry wawelskiej, utwierdzając Kubę w przekonaniu, że stewardesa nie jest podniebną kelnerką, jak się powszechnie sądzi, a boeing przenoszący ludzi znad Wisły nad Jordan to latające przedsiębiorstwo usługowe, wymagające niemałych talentów menedżerskich.

W katedrze panował lekki półmrok, było chłodno i pachniało historią – jakby wewnątrz świątyni przechowało aromat kadzideł towarzyszących chrztom, koronacjom i pogrzebom polskich

monarchów przez ostatnie kilka wieków. Było pusto – nie licząc paru starszych osób skupionych na modlitwie oraz grupy studentów wyglądających na cudzoziemców zasłuchanych w wykład profesora w rogowych okularach. Gromadka młodych ludzi ze szkicownikami zatrzymała się po lewej stronie od wejścia, kilkanaście kroków od kaplicy św. Stanisława. Kuba z Kasią dyskretnie przesunęli się w ich stronę.

Profesor mówił w języku Dantego. Kasia po maturze uczyła się włoskiego – w warszawskiej szkole językowej oraz w toskańskich winnicach podczas zbiorów winogron – zrozumiała więc i szepnęła do ucha Kuby, że studenci przyjechali z Akademii Sztuk Pięknych w Bolonii, a tematem ich wykładu jest rzeźba nagrobna władców Europy. Nie było w tym nic dziwnego. Bazylika archikatedralna na Wawelu, w której spoczywają szczątki siedemnastu polskich królów, mieści jeden z najciekawszych zbiorów sarkofagów i pomników pośmiertnych.

Studenci Accademii di Bella Arti Bologna na znak profesora niczym grupa baletowa wykonali taneczny w tył zwrot. Odwrócili się plecami do grobowca Władysława Jagiełły i wszyscy w tym samym momencie unieśli szkicowniki, aby rozpocząć naukową inwentaryzację sarkofagu naprzeciwko. Wykonano go w Rzymie na początku dwudziestego wieku z czerwonego greckiego marmuru. Należy do Władysława Warneńczyka.

Kasia bezwiednie chwyciła Kubę za rękaw wiatrówki.

– To tu spoczywają jego szczątki... – szepnęła z przejęciem.

Już otwierał usta, aby jej odpowiedzieć, gdy stojący tuż obok włoski profesor odezwał się najczystsą polszczyzną:

– Jeśli łaskawa pani ma na myśli króla Władysława III, to zmuszony jestem panią zmartwić. Nie spoczywają. To grób symboliczny. Jest pusty.

Profesor uklonił się i uznawszy, że należycie spełnił swoją naukową powinność, powrócił do włoskiego wykładu o stylobacie, tumbie i baldachimie grobowca. Kasia dygnęła, szepnęła „dziękuję” i na palcach przeszła w głąb głównej nawy katedry. Kuba podążył za nią.

Kiedy po kwadransie wyszli ze świątyni, profesor odpoczywał na pobliskiej ławce. Na ich widok uśmiechnął się, uchylił kapelusza i wykonał zapraszający gest. Podeszli. Starszy pan wstał, raz jeszcze się uklonił i rzekł do Kasi:

– Proszę wybaczyć, ale była pani uprzejma użyć przy grobowcu Władysława Warneńczyka sformułowania „jego” szczątki. To zaimek sugerujący zażyłość lub przynajmniej zainteresowanie królem, który opuścił nas w młodym wieku. Chyba że się mylę...

Katarzyna Karewicz spojrzała na niego z zaciekawieniem.

– Nie, nie myli się pan, panie...

– Najmocniej przepraszam. – Starszy pan autentycznie się zarumienił. – Karygodny brak manier. Nazywam się Olgierd Giecwicz. Jestem profesorem historii. Z Krakowa. Obecnie, na mocy wyroku Sądu Rejonowego, w roli przewodnika po katedrze Świętego Stanisława i Świętego Wacława na Wawelu – dodał z dumą.

– Został pan skazany? – wtrącił się nieco rozbawiony Kuba. Nie potrafił wyobrazić sobie dystyngowanego naukowca w roli złoczyńcy.

– Oczywiście, szanowny panie. – Profesor uroczyście się wyprostował.

Tym razem Kuba przedstawił Kasię i siebie w towarzyskim rewanżu, dodając, że jest prokuratorem IPN-u, co uzasadnia zainteresowanie przyczyną konfliktu pana profesora z prawem. Olgierd Giecwicz najwyraźniej czekał na to pytanie.

– Nazwałem jednego z polityków imbecylem – oświadczył z godnością. – W języku włoskim, który uwielbiam, brzmi to tak soczyście i tak adekwatnie...

– Publicznie go pan tak nazwał?

– W ogólnopolskiej audycji radiowej – wyjaśnił profesor. – Na żywo.

– Czy można wiedzieć, o kogo chodzi?

Profesor wymienił nazwisko polityka.

Kuba z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby.

– No tak – powiedział. – To było mało roztropne. Zaistniał jakiś

szczególny, choćby emocjonalny powód użycia tego epitetu? – W prokuratorze IPN-u odezwał się prawniczy instynkt poszukiwania linii obrony.

– Nie. – Olgierd Giecewicz uśmiechnął się rozbijając. – Po prostu mam niepoohamowaną skłonność do nazywania rzeczy po imieniu. Ale nie stójmy tak. – Machnął dłonią. – Mam pół godziny przerwy w odbywaniu kary. Zapraszam państwa na kawę.

Czarny płyn w tekturowym kubku okazał się zaskakująco dobry. Kiedy Kuba z Kasią delektowali się jego smakiem, profesor opowiadał o „swoim” polityku, który należał do prominentów partii rządzącej i natychmiast po pamiętnej audycji pozwał rozgłośnię. Ta miała jednak zręcznego mecenasa oraz jeszcze zręczniejsze zapisy o odpowiedzialności transmisji na żywo, zatem odium spadło na autora epitetu. W efekcie profesora skazano na pokąźną grzywnę, a że nie cierpiał on na nadmiar gotówki, Temida przeliczyła mu żadaną kwotę na godziny robót publicznych.

Starszy pan miał już przydział do Zakładu Oczyszczania Miasta, ale Bóg zesłał mu dawnego studenta zatrudnionego w magistracie, który zamienił zmiatanie ulic na oprowadzanie wycieczek po Krakowie. Swoją decyzję zaprzyjaźniony urzędnik uzasadnił faktem, że profesor biegle posługuje się trzema językami, za to miotłą nie posługiwał się nigdy.

– Odnoszę wrażenie – skwitował opowieść Kuba, zupełnie już nie kryjąc rozbawienia – że pan profesor nie przepada za politykami.

– Przyznaję się, panie prokuratorze. – Starszy pan położył dłoń na piersi w nieco teatralnym geście. – Mój ziomek i daleki krewny Józef Piłsudski, kiedy wrócił z twierdzy w Magdeburgu, powiedział do warszawskich ministrów: „Wam kury szczać prowadzać, a nie politykę robić”. Było to jedenastego listopada tysiąc dziewięćset osiemnastego roku. Czcimy tę datę do dziś. – Olgierd Giecewicz chytrze się uśmiechnął.

– Pytał pan profesor o moją zażyłość z Władysławem Warneńczykiem – przypomniała się Kasia. – Interesuje pana ten władca?

– A kimże ja się mogę interesować ze swoim nazwiskiem? –

zapytał starszy pan z wileńskim zaśpiewem. – Toż tylko Jagiellonami. A Władysław III to jeden z najciekawszych członków dynastii.

– Wspomniał pan, że grób w katedrze jest pusty.

– Jak głowa „mojego” polityka – przyznał profesor. – Ale mówmy serio. Muszą państwo wiedzieć, że nie ma ani jednego dowodu śmierci naszego króla pod Warną. Wiemy tyle, że nie wiemy, dlaczego nagle ruszył do szarży na janczarów. Czworobok doborowej tureckiej piechoty otworzył się przed jego galopującym rumakiem, a potem się zamknął i nikt więcej Władysława nie widział. Historycy anatolijscy twierdzą, że został zabity przez Kodzę Khizra. Jest kilka oficjalnych wersji brzmienia i pisowni nazwiska janczara, który miał ściąć głowę króla – wyjaśnił profesor. – Głowę tę – kontynuował – zatknęto na włócznie i uniesiono nad polem bitwy, a potem zakonserwowano miodem i pokazywano w miastach ówczesnego imperium osmańskiego. I tu pojawia się pierwsza wątpliwość. Z kronik tureckich wiemy, że była to głowa człowieka o jasnych, blond włosach. Król Władysław był zdecydowanym brunetem, a miód nie utlenia fryzur.

Wątpliwość kolejna: na polu bitwy nigdy nie odnaleziono jego ciała, choć to nie było trudne. Nawet pozbawione głowy i odarte z cennej zbroi, dawało się zidentyfikować, bo Warneńczyk miał sześć palców u jednej ze stóp. Niepewność uruchomiła lawinę poszlak.

Tuż po bitwie wódz węgierski Jan Hunyady dowodzący pod Warną pisze do biskupa krakowskiego Zbigniewa Oleśnickiego, de facto rządzącego Polską, że król Władysław został ranny i albo dostał się do niewoli, albo umknął z pobojuwiska w przebraniu. Przemawia za tym kilka argumentów. Po pierwsze, nikt, łącznie z rycerzami biorącymi udział w szarży na janczarów, nie widział śmierci polskiego monarchy. Po drugie, Turcy nie zaoferowali wykupu ciała, a robili to zawsze, żądając astronomicznych sum za szczątki poległych. Zwłoki króla, nawet bez głowy, warte były majątek. Po trzecie wreszcie, wiemy, że w Warnie czekał papieski statek, który zabrał na pokład zakapturzonego mnicha o twarzy

uderzająco podobnej do Władysława.

Inne przekazy są jeszcze bardziej sensacyjne. Wiele tygodni po bitwie widziano Warneńczyka na dworze księcia Bośni Stefana Vukcicia. Później kronikarze odnotowali, że polski król walczył w szeregach zakonu świętej Katarzyny oraz w ówczesnej Legii Cudzoziemskiej, czyli kompanii odkrywców portugalskiego księcia Henryka Żeglarza, który nadał mu ziemie w kotlinie Świętej Magdaleny na Maderze. Tu pojawiają się twarde dowody.

Miejscowy zakonnik Mikołaj Floris, wiele lat po bitwie, pisze w liście do Wielkiego Mistrza Zakonu Krzyżackiego w Królewcu, z radosną nowiną, że Władysław, niegdyś najdostojniejszy król Polski i Węgier, żyje na wyspach królestwa Portugalii, a on, Floris, jest jego towarzyszem. Inne dokumenty utrzymują, że były polski król poślubił na Maderze szlachciankę Annes i miał z nią dwoje dzieci o zupełnie nieportugalskich imionach: Zygmunt i Barbara. Na wyspie Warneńczyk znany był jako Enrique Alemao, czyli Henryk Niemiec. Ale przydomek Alemao Portugalczycy nadawali każdemu, kto pochodził z krajów na wschód od Renu i na północ od Alp.

– Wreszcie – westchnął profesor – kiedy jego tożsamość stała się niemal tajemnicą publiczną, król Alfons wezwał Warneńczyka do Lizbony i zalecił mu powrót na polski tron, ale Enrique Alemao odmówił. W drodze powrotnej na Maderę zginął na statku, ugodzony głazem, który runął z klifu Cabo Girao.

Zapadła cisza. Kasia i Kuba milczeli, jakby opowieść profesora przeniosła ich w czasie okilka wieków i kilka tysięcy kilometrów. Olgierd Giecewicz spojrział na zegarek i poruszył się na krześle.

– Czas na mnie – oznajmił. – Muszę z godnością przystąpić do odbywania kary. Niezwykle miło było mi państwa poznać.

– Panie profesorze... – Kuba podniósł się o parę sekund wcześniej niż starszy pan. – Czy mogę zadać jedno krótkie pytanie?

– Naturalnie, słucham pana.

– Jan Matejko namalował swego czasu cykl obrazów związany z Jagiellonami. Wśród nich dzieło poświęcone Władysławowi Warneńczykowi...

– Aaa... – Giecewicz zerknął spod okularów. – Naczytał się pan tych sensacji związanych z obrazem? Tabloidowe bzdury, niewarte uwagi inteligentnego człowieka. – Machnął ręką. – Zwykła ludzka chciwość i tyle. Nie warto dorabiać do niej legend. Ale dziennikarze to uwielbiają. Takie czasy. Zresztą dzieło, jak pan to określił, trudno nazwać obrazem. Nigdy nie zostało dokończone.

Kuba przenosił zdumiony wzrok z Olgierda Giecewicza na równie zaskoczoną Kasię i z powrotem. Wreszcie wydobył z siebie pytanie:

– O jakim obrazie pan profesor mówi?

– No jak to? *O Bitwie pod Warną*. Matejko namalował jej kadr. Przedstawia króla Władysława z odkrytą głową w szalonej szarży na janczarów. Wisiało to gdzieś w prywatnych zbiorach. Żeby ukraść i spieniężyć to płótno, jakiś wnuczek zamordował babcię czy siostrzeniec ciotkę, już nie pamiętam.

Kuba pokiwał głową.

– Miałem na myśli inny obraz – wyjaśnił. – *Chrzest Warneńczyka*.

Profesor Giecewicz przeszukał w myślach matejkowsko-jagiellońskie pliki.

– Tak – powiedział po chwili namysłu – coś sobie przypominam. To rzecz namalowana, zdaje się, na prywatne zamówienie. Chodziło chyba o osobę archidiakona poznańskiego Mikołaja Głębockiego herbu Doliwa, który podawał królewicza do chrztu. Co nie było normalną praktyką.

– To znaczy? – zainteresował się Kuba.

– To znaczy, że ojcami chrzestnymi europejskich następców tronu byli zazwyczaj papieże.

– Dlaczego w wypadku Władysława Warneńczyka tak się nie stało? – spytała Kasia.

Olgierd Giecewicz posłał jej serdeczny uśmiech.

– Cóż, może ojciec święty Marcin Piąty nie zdążył kupić biletu na tanie linie lotnicze z Rzymu do Krakowa? – zażartował. – Ale, o ile dobrze kojarzę, chodziło o jakiś kamuflaż. Coś tam było konspiracyjnego – dodał – ale zabijcie mnie, nie przypomnę sobie

teraz.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył z niej wizytówkę.

– Sprawdzę to – obiecał, wręczając Kubie biały kartonik z herbem uniwersytetu. – Proszę do mnie zadzwonić po niedzieli. A teraz – wyprężył się w postawie zasadniczej – skazany Giecewicz melduje swoje odejście.

I odszedł, zostawiając ich jak widzów pasjonującego serialu, którzy muszą się zadowolić planszą: „Ciąg dalszy w następnym odcinku”.

Rozdział 66

W poniedziałek wieczorem w życiu dyrektora Wiesława Palucha nastąpił przełom. Szef pionu śledczego IPN-u tradycyjnie w poczekalni u stomatologa oddawał się kartkowaniu magazynu dla panów, gdy jego uwagę przykuł wywiad ze znanym marszandem dzieł sztuki, zamieszczony w rubryce Trendy. Wywody i przygody handlarza obrazów obchodziły dyrektora Palucha tyle co zeszłoroczny śnieg, za to starannie zeskanował wzrokiem zdjęcia ilustrujące rozmowę. Marszand miał na tych zdjęciach intensywnie niebieskie dżinsy, czarne zamszowe mokasyny, błękitną koszulę i miękki granatowy blezer z metalowymi guzikami. Wizerunku dżentelmena, który poruszył w Paluchu najgłębsze pokłady jego drobnomieszcząskiej zazdrości, dopełniały kolorowy fular zawiązany pod szyją oraz designerski złoty sygnet na małym palcu lewej dłoni. Po chwili głębokiego namysłu dyrektor uznał fular za zbyt gejowski, sygnet natomiast rozświetlił jego myśli bardziej niż lampa nad fotelem dentystycznym. Wykonany w formie regularnego sześcianu, miał jeden bok zeszlifowany nieregularnie, wręcz topornie, co Wiesławowi Paluchu wydało się oszołamiająco eleganckie i ekscytujące.

Następnego dnia poinformował sekretarkę, że wyjeżdża prowadzić czynności w terenie i chociaż będzie w Warszawie, nie życzy sobie telefonów. Naturalnie z wyjątkiem tych, co to sekretarka wie których. Po czym pieczołowicie, na koszt podatnika, dyrektor zlustrował kilkanaście stołecznych salonów jubilerskich. Wczesnym popołudniem znalazł i nabył podobny sygnet.

Celebrował go od dwóch dni, polerując kawałkiem flaneli, przekładając z palca na palec oraz wpadając w lęk, że sygnet jest mniejszy niż marszanda i świat gotów nie zwrócić na niego uwagi.

Kuba zerknął na dłoń dyrektora i niemal nie zrobił miny znamionującej torsje, ale w porę się opanował. Dla zamaskowania tego, co przyszło mu na myśl, nawet blado się uśmiechnął, co miało ułatwić rozmowę.

– Prosił pan o spotkanie, panie kolego. – Paluch wskazał mu krzesło przed biurkiem.

– Tak, panie dyrektorze – Kuba za wszelką cenę starał się być uprzejmy. – Otóż odkryłem nowe fakty w sprawie *Chrzta Warneńczyka*, obrazu, o którym...

– Pamiętam – uciał Paluch. – Co to za rewelacje?

– Znalazłem się w posiadaniu ukrytych dokumentów prokuratora Kazimierza Karewicza z Głównej Komisji, który z dużą dozą prawdopodobieństwa ustalił miejsce, gdzie obecnie może się znajdować zaginione płótno. To nie wszystko. – Kuba starał się przyciągnąć uwagę dyrektora, zainteresowanego wyłącznie obserwacją własnych dłoni i ich najnowszej ozdoby.

– Co jeszcze? – zapytał znudzony Paluch.

– Wczoraj rozmawiałem telefonicznie z historykiem z Krakowa, wybitnym znawcą dynastii Jagiellonów. Przekazał mi bardzo interesujące informacje. Otóż istnieje stara przepowiednia, według której czterech wybrańców co czterysta czterdzieści cztery lata, począwszy od roku tysięcznego, będzie miało szansę pojednać chrześcijaństwo z islamem. Władysław Warneńczyk był jednym z nich. Proszę sobie wyobrazić, że papież nie przyjechał na jego chrzest, aby nie czynić rozgłosu wokół osoby małego królewicza i historycznej misji zaprowadzenia pokoju na świecie, którą już wówczas pragnęli udaremnić muzułmańscy dżihadyści. Czyż to nie fascynujące?

– Pokój na świecie – prychnął dyrektor. – Wszystkie kandydatki do tytułu Miss Polonia podczas *interwiew* mówią, że pragną pokoju na świecie.

– Trudno mi się do tego odnieść – rzekł chłodno Kuba, powoli

tracąc cierpliwość. – Pewnie dlatego że nigdy nie oglądałem tych eliminacji.

Cios był celny. Paluch lekko pobladł z gniewu.

– Do czego pan zmierza, panie kolego? – spytał szorstko.

Kuba przywołał się do porządku.

– Podczas naszej pierwszej rozmowy na ten temat uznał pan dyrektor, że międzynarodowy kontekst poszukiwań obrazu Matejki może być korzystny dla naszego kraju i dla Instytutu. Misje wojskowe w Iraku i Afganistanie dałoby się przedstawić w zupełnie innym świetle, podkreślając ich pokojowy charakter oraz dowody historycznych polskich starań o sprawę pojednania. Rozumie pan dyrektor, Warneńczyk, Matejko... Gdybyśmy wznowili dochodzenie Głównej Komisji, tak jak pan wtedy sugerował...

– Nie przypominam sobie – rzekł lodowato Paluch. – Za to pamiętam doskonale, że zabroniłem panu zajmować się tą sprawą.

– Tak, wiem – Kuba starał się brzmieć pokornie. – Ale wtedy nie znaleźliśmy faktów z ukrytej dokumentacji Głównej Komisji oraz informacji profesora Giecewicza.

– Kogo? – Paluch po raz pierwszy od początku rozmowy okazał zainteresowanie.

– Profesora Olgierda Giecewicza z Krakowa.

– Panie Kania... – Dyrektor wstał zza biurka, co zmusiło Kubę do pójścia w jego ślady. – Jakich ludzi mi pan tu rekomenduje? Komunistycznego prokuratora i reakcjonistę karanego sądownie? Czy pan ma świadomość, że ten stary... ten... – Paluch szukał odpowiednio mocnego słowa, ale nie znalazł. – Że ten Giecewicz – dyrektor wreszcie się wysłowił – obraził jednego z liderów mojej partii? Nazwał go...

– Imbecylem – dokończył Kuba nie bez satysfakcji.

– Ciszej – syknął Paluch. Teraz był purpurowy. Bębnił palcami w blat biurka, a sygnet w świetle gabinetowej lampy miotał złowrogie błyski, które mogłyby spalić Kubę na popiół, gdyby Paluch był Zeusem. Niestety nie był.

– Coś jeszcze? – warknął.

– Już nic – odparł Kuba tonem, który nagle wydał się

dyrektorowi niepokojący. Jak każdy asekurant Wiesław Paluch miał rozbudowany syndrom zajęczego serca.

Wyszedł zza biurka i odprowadzając podwładnego do drzwi, uznał, że na wszelki wypadek warto tego Kanię obłaskawić.

– Prywatnie panu powiem, panie Jakubie – dyrektor całkowicie zmienił ton, aż w powietrzu zrobiło się lepko – że choćbym nawet chciał, to nie dam rady z tym obrazem. Prezes męczy mnie o lustrację, rozliczenia komunistów i tak dalej. Sam pan widzi, jaki jestem znerwicowany – poskarżył się i protekcyjnie poklepał Kubę po ramieniu, co niemal wywołało u niego dreszcz obrzydzenia.

– Sądziłem, że gdyby pan dyrektor pokazał prezesowi raport na temat znaczenia obrazu, który chętnie bym panu przygotował, przedstawiając argumenty przemawiające za wznowieniem dochodzenia... – próbował ratować negocjacje, ale Paluch machnął upierścienioną dłonią, jakby odganiał się od natrętnego owada.

– Ma pan bujną wyobraźnię, panie kolego – skwitował. – W naszym zawodzie to niedopuszczalne.

Kuba smutno pokiwał głową, ale za moment się zreflektował.

– Niedopuszczalne? Pozwolę sobie nie zgodzić się z panem dyrektorem. To jednak zbyt kategoryczne stwierdzenie. Wie pan dyrektor, co powiedział pewien brytyjski lord, arbiter elegancji, gdy zapytano go, czy dopuszczalne jest, aby dżentelmen miał biżuterię?

Paluch stężał i ukradkiem posłał sygnetowi przestraszone spojrzenie.

– Ciekaw jestem – bąknął.

– Otóż powiedział, że oczywiście mężczyzna powinien mieć biżuterię...

Twarz dyrektora rozpromieniła się w ułamku sekundy, a wtedy Kuba dokończył:

– ...byle jej nie nosił.

Rozdział 67

Po raz pierwszy od wielu lat Kuba poczuł się samotny. Jeszcze nie zidentyfikował swojego dziwnego stanu, ale mieszkanie na Żoliborzu, stanowiące dotychczas idealną kryjówkę przed światem zewnętrznym, nagle wydało się mu puste i obce, jakby wyłączono w nim funkcję azylu, tak jak wyłącza się prąd lub ogrzewanie. Przez dobre piętnaście minut stał przed regałem z książkami, szukając lektury zapewniającej odprężenie, ale niczego nie umiał wybrać. Wziął prysznic w dopiero co naprawionej kabinie, żeby zmyć z siebie rozmowę z Paluchem, ale to też niewiele pomogło. Pozostawał jedyny niezawodny eliksir dobrego samopoczucia: wino.

Owinięty ręcznikiem otworzył szafkę w spiżarni, w której ocalała już tylko jedna butelka: barolo. Pomyślawszy przelotnie, że trzeba znaleźć środki na zakup kilku nowych win z listy wymarzonych, Kuba wyciągnął rękę po flagowy produkt Piemontu i nagle jego poczucie samotności zmaterializowało się tak wyraźnie, jakby ktoś wyświetlił slajd na ścianie.

Kasia.

Ileż by dał, żeby być teraz przy niej, słuchać jej głosu, móc ją objąć i poczuć magiczną moc bliskości i ciepła uścisku, w którym natychmiast zapominał o bożym świecie. Nic z tego. Kasia była w Izraelu. Wróci dopiero pojutrze. Wiedza o tym przynajmniej pozwala wyliczyć algorytm pocieszenia: pół butelki barolo dziś, pół jutro. Kuba poszedł do kuchni po kieliszek i korkociąg.

Wino zapowiadało się znakomicie. Miało sześć lat, co wróżyło dojrzałość smaku, choć najlepsi producenci nie pozwalają otwierać

swoich butelek przed upływem dwóch dekad. Podejmując męską decyzję, że nie będzie czekał następnych czternastu lat, Kuba sięgnął po korkociąg i wtedy dotarło do niego, że z tak dobrym winem powinien poczekać. Na Kasie.

Na palcach, przyłapany sam przez siebie na samolubnym zamiarze wypicia wina, ostrożnie odniósł je do spiżarni, ubrał się i po raz pierwszy od wielu lat kupił jakąkolwiek butelkę w sklepie przy placu Wilsona.

Przy drugim kieliszku zadzwoniła Kasia. Była w świetnym nastroju. Z koleżankami piły izraelskiego yardena w kawiarni przy ulicy Eliezera ben Jehudy w Tel Awiwie. Jedna butelka była już zapakowana w folię bąbelkową i czekała na transport do Warszawy, a następnie do kubków smakowych Kuby – Kasia cieszyła się z udanej gry tych dwóch słów.

Kuba zapewnił, że będzie zachwycony, a może nawet znajdzie się w siódmym niebie, jeśli yarden okaże się merlotem. Jeśli cabernetem sauvignon, to w szóstym. Nie chciał psuć jej humoru wiadomością o porażce rozmowy z Paluchem, dlatego chętnie wdał się w rozmowę o winie, plaży w stolicy Izraela i zakupach, ale Kasia знаła go już całkiem dobrze, więc nie uwierzyła tej grze.

– Coś poszło nie tak z twoim dyrektorem, prawda? – spytała w chwili, gdy nabierał przekonania, że już nie spyta.

– To dupek – starał się brzmieć lekceważąco, ale zawsze wypadał lepiej, kiedy się nie starał.

– Kuba?

– Kasiu – powiedział ciepło. – Nie przejmuj się tym. Wszystko się jakoś ułoży.

– Zabawne – odparła. – Chciałam wygłosić dokładnie ten sam tekst. Wiesz – dodała po chwili – mam teraz *déjà vu*. Jakbym znów była małą dziewczynką i pocieszała dziadka, że jednak znajdzie obraz Matejki.

– No cóż – westchnął Kuba. – Nie jestem już pierwszej młodości. Ale Kasia nie roześmiała się z żartu.

– Kuba – powiedziała nagle poważnie. – Może coś jest w tym *déjà vu*?

– Chyba nie nadażam – przyznał.

– Pomyśl. Dziadkowi Główna Komisja też zamknęła dochodzenie i odmówiła wsparcia po pożarze Willi Mentena. Pamiętasz, co wtedy zrobił?

– Znalazł sobie tajnego agenta. „Rabina”. Tylko że ja go nie mam.

– Jesteś pewien?

– Kasiu – jęknął i nagle go olśniło. – Jesteś cudowna! – krzyknął do słuchawki. – Cu-do-wna. Będę cię przez cały dzień nosił na rękach, jak wrócisz. Słyszysz mnie?

Ale odpowiedź zagłuszył jakiś metaliczny pisk i komunikat po hebrajsku, z którego Kuba nie zrozumiał ani słowa, ale domyślił się, że rozmowa została przerwana z przyczyn technicznych.

Nazajutrz wziął urlop na żądanie i już wczesnym popołudniem siedział z kubkiem herbaty przy kuchennym stole gdyńskiego mieszkania rodziców. Było coraz chłodniej, a drzewa na Kamiennej Górze powoli zmieniały makijaż na jesienne pastele.

Ojciec patrzył w przestrzeń. Nie okazał najmniejszych emocji na widok syna w drzwiach, nie odpowiedział na powitanie, nie spytał o Kasię, choć Kuba był pewien, że podczas ostatniej wizyty ją polubił. Słuchał. A przynajmniej należało mieć taką nadzieję.

Kuba opowiadał. O znalezieniu leśniczówki w Dubitach, a w niej teczki z dokumentami Karewicza. O Warneńczyku, Giecewiczu i Paluchu. Emerytowany bosman wydawał się nieobecny, choć kiedy Kuba wspominał o wojskowej mapie ojca, która bardzo się przydała na Mazurach, przez twarz Antoniego Kani przebiegł niemal niewidoczny, nieokreślony cień. Starszy pan dotychczas zajmował się rąbkiem obrusa, zwijając go i prostując na przemian, teraz sięgnął po leżący na stole telefon komórkowy i coś przy nim manipulował. Rzeczy, o których mówił Kuba, najwyraźniej były dla niego abstrakcją.

– Tato – Kuba zwrócił się do ojca zrezygnowany. – Mówiłem ci, że dziadek Kasi znalazł do jądca do jakiegoś zaufanego współpracownika w Izraelu, niewykluczone, że ze służb.

Pomyślałem ostatnio, że może ten twój dawny kolega, z którym spędzałeś dzieciństwo za okupacji, że może on...

Nie dokończył. Komórka ojca zatańczyła na blacie stołu wibrując i brzęcząc. Antoni Kania odebrał połączenie w milczeniu, po czym przekazał telefon synowi.

– Do ciebie – powiedział pierwsze słowa od chwili, gdy Kuba przekroczył próg mieszkania przy ulicy Bema.

Kuba, zdziwiony, ostrożnie ujął słuchawkę, słysząc radosny głos po drugiej stronie:

– Jakub? Nareszcie z tobą rozmawiam. Moje serce się raduje, drogi chłopcze. Jestem Leibowitz. Przyjaciel twojego ojca.

Kubę zamurowało.

– Dzień dobry – wydukał. – Właśnie ja tu z tatą rozmawiałem o panu... Pomyślałem, miałem go właśnie zapytać... – plótł bez sensu. – Chciałem zapytać, czy można by do pana zadzwonić, a tu pan sam... To niesamowite. – Wypuścił wreszcie powietrze.

– Mów mi Avi – głos po drugiej stronie znów eksplodował radością. A zaraz potem wyjaśnił: – Nic niesamowitego. Nic. Twój staruszek dziesięć minut temu wysłał mi *short message*, SMS, jak wy to nazywacie. Że będziesz potrzebował mojej pomocy.

Kuba popatrzył zaskoczony na ojca, ale w jego niezdradzającym żadnych emocji wyrazie twarzy nic się nie zmieniło.

– No właśnie – powiedział do słuchawki. – Chciałem zapytać...

Ale Avi Leibowitz najwyraźniej pielęgnował stare przyzwyczajenia:

– Jakub – powiedział łagodnie – po co mówić o prośbach przez telefon? Za dwa tygodnie będę w Polsce. W sobotę mam ślub kuzyna niedaleko Łomży, a na stare lata zrobiłem się rodzinny i sentymentalny. Możesz przyjechać? – Avi wymienił nazwę miejscowości i adres zajazdu, w którym zaplanowano wesele. – Usiądziemy gdzieś z boku, pogadamy.

– Wspaniale – ucieszył się Kuba. – Przyjadę na pewno.

– Ja też – odrzekł Avi. – Uściskaj tego starego mruka! – Roześmiał się i rozłączył.

Rozdział 68

Gdyby Andrzej W. i Dariusz L., znani bardziej jako Skwarek i Lufa, urodzili się kilka wieków wcześniej, być może zostaliby bohaterami ludowymi opiewanymi w balladach o zbójach grasujących na gościńcach. Niestety w czasach współczesnych ich czyny opiewały jedynie kartoteki policyjne i nieprzychylnie opinie mieszkańców podłomżyńskich wsi. Skwarek i Lufa golili głowy do gołej skóry, nosili sportowe obuwie, spodnie od dresu i bluzy z kapturami. Byli wytatuowani i niebezpieczni. Większość czasu spędzali w siłowni, marząc o tym, że któregoś dnia w miasteczku zatrzyma się czarne bmw z wołomińskimi tablicami rejestracyjnymi, a siedzący w nim boss dostrzeże ich potencjał i zatrudni obu w prawdziwej mafii.

Tymczasem żyli z przemytu, wymuszali haracz od kierowców litewskich ciężarówek, kradli, co się dało, i wynajmowali się do odzyskiwania długów oraz do spraw, którymi zleceniodawcy nie chcieli sobie brudzić rąk. Skwarek i Lufa brudzili je chętnie, zwłaszcza krwią ludzi pobitych za pieniądze. Nieustannie szukali okazji do bójki i byli postrachem okolicznych dyskotek, dopóki te nie zatrudniły profesjonalnej ochrony. Teraz przerwali się na wesela.

Ślub syna właścicieli kilku okolicznych sklepów, nazywanego pogardliwie Mośkiem z powodu podejrzeń o żydowskie pochodzenie, był wydarzeniem, na które Skwarek z Lufą czekali od dawna. Wykorzystując obyczaj, co chroniło ich przed ewentualną interwencją policji, urządzili tak zwaną bramę, zagradzając drogę na parking przed zajazdem, w którym miało odbyć się wesele.

Tradycja każe, aby brama była ozdobiona gałązkami, kwiatami i transparentem z życzeniami dla młodej pary, ale Skwarek z Lufą nie zaprzętała sobie głowy taki bzdurami. Przy wjeździe na parking rozciągnęli po prostu czarno-żółtą taśmę skradzioną z remontowanej ulicy w Łomży i czekali na gości. Bynajmniej nie zamierzali, jak to na weselu, udzielać prawa przejazdu przez bramę w zamian za butelkę wódki lub pęto kiełbasy. Interesowała ich przede wszystkim gotówka.

Przytomny ojciec pana młodego zauważył akcję lokalnych bandytów w czasie, gdy świeżo upieczona para małżeńska była u fotografa, a zaproszone osoby jeszcze nie przyjechały do zajazdu. W duchu przeklinając Skwarka, wynegocjował z nim likwidację bramy. Kosztowało to cztery półlitrowki najlepszej wódki oraz trzysta złotych, ale goście przynajmniej nie byli narażeni na widok wytatuowanych dresiarzy, nieprzyjemne odzywki, a może nawet rękoczyny, gdyby Skwarkowi czy Lufie coś się nie spodobało.

Pomysłodawcy bramy też byli zadowoleni. Taśmę zwinęli i wyrzucili w pobliskie krzaki, a sami usiedli obok na trawniku, aby popatrzeć. Właśnie kończyli pierwszą butelkę, kiedy kilkadziesiąt metrów od nich zaparkował srebrny peugeot, z którego wysiadł czarnowłosy gość w garniturze. Auto miało warszawskie blachy, dlatego Skwarek ryknął w jego kierunku:

– Leeegia pany!

Brunet nie zareagował.

– E! – krzyknął Lufa. – Głuchy jesteś, czy Legia ci nie pasi?

Człowiek z peugeota zamknął auto pilotem i skierował się w stronę zajazdu, nawet nie odwracając głowy w ich stronę.

Lufa zauważył w oczach kumpla błysk, który nieuchronnie zwiastował czyjeś nieszczęście. Skwarek odstawił półlitrowkę, podniósł się i ruszył za gościem z Warszawy. Lufa zrobił to samo. Byli o kilka kroków od bruneta, gdy z zajazdu wyszedł starszy pan w eleganckim garniturze.

– Czy mogę panom w czymś pomóc? – spytał dresiarzy.

– Spadaj, lamusie – warknął Skwarek. – Mamy temat z tym frajerem. – Wskazał ruchem głowy gościa z peugeota. – No już,

gub się.

Na starszym panu nie zrobiło to najmniejszego wrażenia.

– Jakubie – zwrócił się do czarnowłosego warszawiaka. – Wejdz, proszę, do środka, ja porozmawiam z tymi panami.

Kuba spojrzał zaskoczony, skąd dystyngowany dżentelmen, którego widzi pierwszy raz w życiu, zna jego imię, ale nie zdążył zadać pytania.

– „Jakubie” – Skwarek przedrzeźniał ton starszego pana. – Jesteś żydkiem, Jakubie? – spytał szyderczo. – Byłeś chrzczony scyzorykiem?

Lufa zarechotał.

– Nie, Jakub nie jest Żydem – odpowiedział za niego starszy pan. – Ja natomiast jestem.

Kuba domyślił się, że ma przed sobą Aviego Leibowitza.

Skwarek splunął i wyjął ręce z kieszeni bluzy. Na palcach lewej dłoni miał wytatuowane litery układające się w słowo „L.o.v.e”, na górze prawej – trupa czaszkę. Zdeformowane knykcie świadczyły aż nazbyt wyraźnie, że ich właściciel nie używa dłoni do prac biurowych. Spojrzał na Aviego z pogardą i zapytał:

– Prysnałeś z Jedwabnego?

Lufa znów zakrztusił się rechotem.

– Posłuchaj, młodzieńcze – powiedział spokojnie Leibowitz. – Zabierz swojego kompana i wynoście się stąd. Zrozumiałeś mnie?

– Ożeż ty, ku.... – syknął Skwarek i zrobił krok w kierunku starszego gościa.

Avi podniósł dłoń.

– Nie próbuj – rzekł bez cienia emocji. – Mam umiejętności, które sprawiają, że będziesz tego żałował.

Skwarek nie odpowiedział. Wymierzył szybki cios w środek twarzy Aviego. Nigdy mu się to nie zdarzyło, ale tym razem pięść jakimś cudem nie trafiła w cel. To samo stało się z drugim i trzecim uderzeniem. Kuba aż otworzył usta ze zdziwienia. Wyglądało to jak scena z planu filmowego, podczas której aktor odtwarzający rolę napadniętego wie doskonale, w jaki sposób zostaną zadane ciosy i perfekcyjnie ich unika. Tylko że atak

na parkingu nie był reżyserowany.

Wściekłość Skwarka rosła. Dyszał ciężko, na czoło wystąpiły mu krople potu. Uderzył jeszcze raz potężnym sierpem, ale trupia czaszka na pięści znów przeszła powietrze. A wtedy starszy pan, który dotąd nawet nie podniósł rąk, zgiął środkowy palec i krótkim, błyskawicznym ruchem, przypominającym działanie pneumatycznego pistoletu do wbijania gwoździ, ugodził bandytę w okolice krtani. Skwarek znieruchomiał, popatrzył na niego nienaturalnie wytrzeszczonymi oczami, po czym osunął się jak wielka dmuchana lalka, z której spuszczo powietrze.

W tym momencie Lufa podniósł pięści i runął na Aviego. Ten usunął się lekko jak w tańcu, przepuścił impet napastnika, a gdy znalazł się za plecami Lufy, precyzyjnie kopnął go w zgięcie prawej nogi. Lufa ryknął, osunął się na kolana i przez chwilę sunął po parkingu jak piłkarz w tryumfalnym ślizgu na klęczkach po zdobyciu bramki. Avi podszedł do niego powoli i uderzył łokciem w nasadę nosa. Rozległ się trzask łamanej kości i kolejny ryk, po którym Lufa dołączył do swojego nieprzytomnego towarzysza.

Krzyki sprawiły, że z zajazdu wybiegł wszędobyłski ojciec pana młodego. Wybiegł i zamarł.

– Co tu się stało? – zapytał drżącym głosem.

Avi machnął ręką.

– Nic takiego. – Uśmiechnął się. – Krav maga dla początkujących. – A zobaczywszy osłupiałą twarz kuzyna, dodał: – To taka izraelska sztuka walki, obowiązkowa w mojej dawnej firmie.

– Co teraz? – spytał przerażony ojciec pana młodego.

– Nic. Ten – Avi wskazał Skwarka – ocknie się za parę minut, jak dasz mu trochę wody. Tu – przeniósł palec w kierunku Lufy – potrzebny będzie ambulans. Ma złamany nos i strzaskane kolano. Parę miesięcy w gipsie.

– Boże święty – jęknął kuzyn. – Będą się mścić.

– Nie sądzą. – Avi ciągle był spokojny. Walka nie zrobiła na nim najmniejszego wrażenia. – Nie będą zainteresowani rozgłosem, że jakiś dziadek spuścił im manto. A na wszelki wypadek rozpuść

plotkę, że na weselu był boss żydowskiej mafii, współpracującej z...
Gdzie tu jest jakaś najbliższa mafia? – zapytał.

– W Wołominie – kuzyn odpowiedział na hasło jak w teleturnieju.

– Z Wołominem – skwitował Avi. – Masz ich z głowy, a jeszcze ci sklepów przypilnują. Dezinformacja jest skuteczniejsza niż krav maga. – Roześmiał się, wziął Kubę pod rękę i poszli w stronę zajazdu.

Rozdział 69

Dym tytoniowy był tak gęsty, że każdy następny amator palenia, który wszedłby do pokoju odpraw, nie potrzebowałby papierosa, aby dostarczyć płucom wymaganej dawki nikotyny. Wystarczyłoby kilka głębszych wdechów.

Mężczyźni siedzący przy stole, na którym stało kilka pełnych popielniczek i leżało parę paczek cameli, marki bardzo *à propos* na tej szerokości geograficznej, w większości mieli na sobie kombinezony lotnicze z naszywkami Hejl ha-Awir, Korpusu Powietrznego Izraela, i w większości byli pilotami myśliwców Mirage III, od tygodnia walczącymi w zmaganiach, które przejdą do historii jako wojna Jom Kipur.

Palili i przeklinali. Był 12 października 1973 roku. Siódmy dzień po wkroczeniu armii Egiptu i Syrii na półwysep Synaj oraz wzgórze Golan. Dla lotnictwa izraelskiego – siódmy czarny dzień. W ciągu tygodnia Korpus Powietrzny, przekonany, że w razie konfliktu gładko rozprawi się z niedoszkolonymi Arabami latającymi na sowieckich Migach 21, poniósł dotkliwą klęskę. Do dziś zestrzelono blisko osiemdziesiąt izraelskich maszyn, a co rusz napływały wiadomości o kolejnych.

Narada i przekleństwa w zadymionej salce, do złudzenia przypominającej pokój odpraw bazy lotniczej Tel Nof, poświęcone były właśnie tej sytuacji.

– Ci pieprzeni Beduini czytają w naszych myślach, czy co, do ciężkiej cholery? – Pułkownik o szczupłej, nieco ptasiej twarzy nerwowo obracał w dłoniach pudełko zapalek. – Ile walk powietrznych przegraliśmy? – zadał zgromadzonym oficerom

pytanie, na które wszyscy doskonale znali odpowiedź. „Ani jednej!” – Pułkownik cisnął zapalniczki na stół. – Wszystko pieprzona artyleria przeciwlotnicza! Ja rozumiem, że trudno wymknąć się naprowadzanym pociskom raketowym Kub, ale jakim cudem walą do naszych maszyn jak do kaczek z tych ruskich szyłek? Jak to się dzieje, że są tak dobrze wstrzelani?

– Dawidzie – rzekł spokojnie major o krótkich kręconych włosach. – Wiesz, że nie działamy w warunkach ciszy radiowej. Ile poleceń wydajesz pilotom eskadry podczas akcji bojowej? Przez cały czas meldujemy swoje położenie przez radio. Mówimy, skąd i jak nadlatujemy nad cel. Czy wy naprawdę wierzycie – zwrócił się do zebranych – że Egipcjanie i Syryjczycy nie znają hebrajskiego? Założę się, że w każdej baterii przeciwlotniczej jest sukinsyn, który dokładnie tłumaczy nasze rozmowy. Nie trzeba czytać w myślach.

Pułkownik wypuścił dym camela przefiltrowany przez płuca i w milczeniu pokiwał głową, uznając rację przyjaciela, który kilka lat temu podczas wojny sześciodniowej uratował mu życie.

Zapadła cisza.

– To co robić? – przerwał ją jeden z mniej doświadczonych pilotów. – Zarządzić ciszę radiową?

Pułkownik spojrzał na niego wzrokiem, który zawierał pytanie, czy autor pomysłu jest przy zdrowych zmysłach, i właśnie zamierzał to wypowiedzieć głośno, gdy nastąpiło coś nieoczekiwanego.

– Gdzie pan się urodził, panie pułkowniku? – zapytał kapitan wywiadu wojskowego, dotychczas w milczeniu przysłuchujący się naradzie. Pytanie sprawiło, że wszyscy oficerowie drgnęli i poruszyli się na krzesłach. Zostało zadane po polsku.

– Nie pańska sprawa – warknął pułkownik, bezwiednie odpowiadając w tym samym języku.

– W Brześciu nad Bugiem – kapitan nie dawał za wygraną. – Wiem to od pańskiego znajomego, który mieszkał przy tej samej ulicy i chodził do tej samej szkoły. Od pana Mieczysława Bieguna, obecnie noszącego nazwisko Menachem Begin. Swoją drogą – uzupełnił uprzejmie – to bardzo obiecujący polityk. Moim zdaniem

daleko zajdzie.

Pułkownik nabrał podejrzeń.

– Wywiad gromadzi informacje na mój temat? – Prychnął. W jego głosie krył się cień niepokoju.

– Ależ skąd – skłamał kapitan i przesadnie zamachał rękami jak podczas sporu prowadzonego w jeszowie. – Już odlatuję od pana pułkownika. – Obnażył w uśmiechu równe białe zęby i przeniósł wzrok na jednego z kapitanów.

– Jest pan jednym z asów naszego lotnictwa. – Kiwnął głową z uznaniem. – Czy można wiedzieć, gdzie pan się nauczył tak doskonale latać na myśliwcach szturmowych?

– Co to jest? Co to ma znaczyć? – Pilot zaczerwienił się z oburzenia i szybko spojrzał na pułkownika, szukając w nim wsparcia, ale dowódca tylko wzruszył ramionami.

– Proszę odpowiedzieć – nalegał kapitan.

Pilot dowodzący skrzydłem myśliwców Voutour II przełknął ślinę.

– W Szkole Orląt – powiedział po polsku. – Jak większość z nas.

Kapitan wywiadu wojskowego starannie zgasił papierosa w popielniczce.

– Panowie – rzekł poważnie. – Widzę przed sobą kilku znakomitych absolwentów Oficerskiej Szkoły Lotnictwa Wojska Polskiego w Dęblinie, w tym... – kiwnął głową majorowi o krótkich, kręconych włosach – ...jednego z najlepszych pilotów pułku myśliwskiego z Goleniowa. Jak wy macie problem z tym, że Arabowie rozumieją wasze rozmowy... – kapitan rozłożył ręce – ...to wy podczas akcji mówcie przez radio po polsku.

Słuchając opowieści Kuby w kawiarni zajazdu pod Łomżą, Avi Leibowitz nie wiedzieć czemu przypomniał sobie tamten epizod i poczuł coś w rodzaju dumy, że nadal swobodnie posługuje się językiem kraju, w którym się urodził. Nie wiadomo, czy pomysł, jaki podpowiedział pilotom podczas wojny Jom Kipur, okazał się skuteczny. Wiadomo natomiast, że załogi izraelskich myśliwców zaczęły przez radio mówić po polsku. Co nie było niczym

nadzwyczajnym. Czystki etniczne w Wojsku Polskim w 1967 i 1968 roku doprowadziły do zwolnienia trzech generałów ze ścisłego dowództwa Obrony Powietrznej Kraju, a stu pięćdziesięciu dobrze wyszkolonych oficerów pochodzenia żydowskiego zdegradowano do stopnia szeregowca, wyrzucono z armii i zmuszono do emigracji.

Jakkolwiek było, korpus lotniczy Hejl ha-Awir jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki przestał nagle ponosić dotkliwe straty i w ciągu czterech dni zniszczył ponad pięćdziesiąt procent arabskich „środków zwalczania celów powietrznych”, jak w raportach wojskowych nazwano wyrzutnie rakiet Kub, baterie przeciwlotnicze oraz poczwórnie sprzężone działka samobieżne ZSU-23-4, zwane popularnie szyłkami.

Wkrótce po naradzie w bazie lotniczej kapitan Avi Leibowitz otrzymał awans na majora i propozycję objęcia ważnej sekcji w Agencji Wywiadu Wojskowego, bardziej znanego jako Aman. Sekcja nosiła kryptonim Ali Baba, a jej zadaniem było stworzenie dokładnej mapy organizacji islamskich pielęgnujących idee dżihadu. Większość z nich ludzie Leibowitza zaliczyli do grupy „głośnych” – ograniczających się do wykrzykiwania haseł i drukowania ulotek propagujących obowiązek świętej wojny z niewiernymi. Nie poświęcono im zbyt wiele uwagi. Avi doskonale pamiętał z czasów dzieciństwa spędzonego na Kaszubach przysłowie mówiące o tym, że krowa, która dużo ryczy, daje mało mleka.

Niestety. W polu zainteresowań sekcji Ali Baba były też organizacje „ciche”, prowadzące dżihad w milczeniu i głębokiej konspiracji. Jedną z nich, noszącą nazwę Czarny Wrzesień, zrzeszała radykalnych bojowników Organizacji Wyzwolenia Palestyny i rok przed awansem Aviego dokonała podczas Olimpiady w Monachium masakry jedenastu izraelskich sportowców.

Kiedy myśli emerytowanego pułkownika Amanu odkurzały w pamięci dawne wydarzenia, Kuba siedzący twarzą do okna nieznacznie uniósł się na krześle i spojrzał na parking przed zajazdem. Akurat dwaj sanitariusze profesjonalnie usztywniali

kolano Lufy, umieszczali go na noszach i pakowali do wnętrza ambulansu. Postrach okolicy miał w nosie okazały tampon, ale i spod niego widać było kompletnie zdezorientowaną minę człowieka, którego trafił grom z jasnego nieba. Jego kompan wyglądał jeszcze gorzej.

Szczerze przerażony, z trudem chwycił powietrze i próbował ustać na miękkich nogach tuż obok karetki, która powoli ruszyła i potoczyła się w stronę wyjazdu. Obrażenia Lufy najwyraźniej nie wymagały włączania syreny ani sygnalizacji świetlnej. Skwarek rozpaczliwie rozejrzał się dookoła, dostrzegł ojca pana młodego, który nadzorował akcję ratowniczą, po czym podreptał w jego stronę z wyciągniętą ręką. Kuba uniósł się na krześle jeszcze bardziej i ze zdumieniem ujrzał, że dresiarz trzyma w dłoni zmięte banknoty.

– Co tam widzisz? – zainteresował się Avi siedzący tyłem do okna.

– Czarodziejskie działanie legendy o bossie żydowskiej mafii powiązanej z Wołominem – odparł Kuba.

– Jeszcze ze dwie lekcje krav magi i nasi przyjaciele z parkingu zaczęliby nosić pejsy. – Avi roześmiał się głośno. – To szmondaki.

Kuba popatrzył na niego z podziwem.

– Nawet nie podziękowałem – uświadomił sobie nagle. – Gdyby nie pan... Sorry, gdyby nie ty, Avi, skopaliby mi tyłek. Jestem pod wrażeniem twoich niezwykłych umiejętności.

Leibowitz nachylił się w jego stronę.

– Coś ci zdradzę, Jakubie – szepnął. – Byłem najgorszy na kursie krav magi. Ale sam rozumiesz, dwa treningi w tygodniu przez czterdzieści lat nawet z takiej łamagi jak ja zrobiły Bruce'a Lee.

Tym razem roześmiali się obaj.

Kuba wrócił do opowieści. Tajemnice obrazu Matejki i jego symboliczne znaczenie już omówił, skupił się zatem na zagadkowych okolicznościach śmierci poszukiwaczy *Chrzta Warneńczyka* oraz swoich ustaleniach. Gdy doszedł do telefonu od profesora Giecewicza, Avi Leibowitz odniósł wrażenie, że Kuba nie był pewien, czy dobrze zrobił, opowiadając staremu wydze

wywiadu bajkę o czterech wybrańcach, czterech szansach na pojednanie religii i dzielących je cezurze 444 lat. Prokurator IPN-u wydawał się nieco zawstydzony.

Avi położył rękę na jego dłoni.

– Jakubie – powiedział najbardziej serio, jak potrafił. – Znam tę przepowiednię. Mówisz o prorocztwie arby.

Kuba zaniemówił.

– To sekret tajnego islamskiego zrzeszenia religijnego, na które wpadliśmy przypadkiem w latach siedemdziesiątych – kontynuował były pułkownik Amanu. – Po masakrze sportowców w Monachium inwigilacja zorganizowanych grup muzułmańskich stała się naszą obsesją. Zresztą tak samo jak Mossadu. Sprawdzaliśmy każdy wątek, jaki pojawił się w raportach szpiegów, każdego podejrzanego człowieka, każdy drobiazg. Można powiedzieć, że doszło do zmiany nieprzyjaciela. Dotychczas Mossad zajmował się przede wszystkim rozliczaniem nazistowskich sprawców Holocaustu, teraz wróg zmienił nakrycie głowy – roześmiał się Avi. – Czarną czapkę z trupią główką zastąpił biały turban.

Akurat w Hajfie pojawił się pewien saudyjski kupiec zainteresowany solami potasowymi z Morza Martwego. Mieliśmy informacje, że dobrze sobie radzi w handlu ropą naftową i próbuje rozszerzyć rynek o inne surowce. Wiedzieliśmy również, że chętnie finansuje fanatycznych przywódców duchowych. Paru z nich mieliśmy na naszej „liście ulubionych”. Nie wolno było przepuścić takiej okazji... – Avi westchnął. – Zaprosiliśmy zatem tego dżentelmena do jednego z dyskretnych apartamentów Amanu na przedmieściach miasta i przez jedną noc trochę go przepytaliśmy.

– Porwaliście go? – spytał Kuba zarówno z zaciekawieniem, jak i przerażeniem.

Były pułkownik izraelskiego wywiadu uśmiechnął się przepraszająco, nie odpowiadając ani słowa. Najwyraźniej wolał, aby rozmówca sam się domyślił przebiegu wydarzeń. Nie wziął pod uwagę faktu, że Jakub jest synem Antoniego, upartego bardziej niż

najbardziej uparty z osłów hodowanych na całym Bliskim Wschodzie.

– Czy „przepytanie” oznaczało tortury? – drażył Kania junior.

Avi nie miał ochoty bawić się z synem przyjaciela w ochronę tajemnic sprzed trzydziestu lat. Zamachał rękami.

– Ależ skąd! Uchowaj, Boże! Cały ból, jaki mu zadaliśmy, był delikatnym ukłuciem bardzo cienkiej igły. Nie odczuł tego dotkliwiej niż ukąszenia komara.

– Zastrzyk?

– Tiopental, skopolamina, amytal sodu i szczypta LSD, żeby było milej. – Emerytowany pułkownik zadziwiająco dobrze pamiętał zawartość strzykawki. – Serum prawdy. Wtedy jeszcze nie było aż tak surowo zabronione... – Puścił oko do Kuby. – Po kilku minutach nasz gość zrobił się szalenie rozmowny, wręcz wylewny. Zanim rano ocknął się w hotelu, z wyłączoną pamięcią wsteczną ostatnich dwunastu godzin, opowiedział nam o wszystkich brodatych koleżkach, których sponsorował, a na deser dorzucił story o organizacji Bokira. Prastarym bractwie, liczącym z tysiąc lat, które zrzesza wybitne osobistości świata muzułmańskiego, strzeże proroctwa arby i gotowe jest zrobić wszystko, aby przepowiednia, o której mówisz, nigdy się nie spełniła.

– Co było dalej? – Serce Kuby biło mocniej niż wtedy, gdy dwóch osiłków zaczęło go na parkingu.

– No, jak wiesz, trzy próby udało się im zniweczyć. – Avi się uśmiechnął. – A czwartej raczej nie doczekamy.

– Jasne – uciał Kuba. – Ale co dalej z bractwem Bokira? O ile to nie tajemnica – zreflektował się.

Avi rozłożył ręce.

– Obserwowaliśmy ich przywódcę i jego najbliższych współpracowników przez kilka miesięcy, ale w końcu nie przydzieliliśmy Bokirze statusu organizacji wymagającej stałej aktywności wywiadowczej. Bractwo, które nota bene konsekwentnie potępiało metody terrorystyczne, trafiło do szuflady z nieszkodliwymi zrzeszeniami muzułmańskimi, rutynowo sprawdzanymi raz na jakiś czas. Tak było do mojego przejścia

na emeryturę. Po jedenastym września pewnie się to zmieniło. Jeśli ci zależy, zadzwonię w parę miejsc.

– Sądzisz, że to Bokira ukrywa *Chrzest Warneńczyka*? – spytał Kuba.

– Jeżeli dzieło Matejki ma coś wspólnego z prorocstwem arby, jest to wysoce prawdopodobne – powiedział Avi z przekonaniem.

Kuba głęboko spojrzał mu w oczy.

– Pomożesz mi w poszukiwaniach tego obrazu? – spytał cicho.

Avi Leibowitz odwzajemnił spojrzenie.

– Jakubie – wyszeptał. – Czy wiesz, gdzie dzisiaj byłbym, gdyby nie twoja babka i jej rodzina ze wsi pod Kartuzami?

Kuba przecząco pokręcił głową.

– Tam – głos Aviego nabrał dziwnej barwy – gdzie moi rodzice, krewni, wszyscy sąsiedzi z kamienicy przy placu Grzybowskiem w Warszawie i prawie sześć milionów ofiar Holocaustu: w atmosferze. Byłbym dziś, Jakubie, małym atomem atmosfery, do której przedostałbym się przez komin Treblinki. Ale nie jestem. A wiesz dlaczego? Dlatego że od czterdziestego trzeciego roku przez wiele lat nazywałem się Andrzej Kania. Więc jak myślisz: pomogę czy nie?

Rozdział 70

Nocą, tuż przed pierwszym Bożym Narodzeniem, które mieli spędzić razem z Kasią, spadł śnieg. Warszawie ładnie było w bieli, ale zima nie jest porą roku mile widzianą w miastach. Nazajutrz tysiące ludzi przepędzało ją łopatami z chodników i podjazdów, a na ulicach mechaniczne, połyskujące żółtymi światłami potwory za pomocą soli i piasku zamieniały śnieg w bure błoto. Kuba przeskakiwał przez jego pryzmy, przeklinając pomysł wybrania się do pracy tramwajem.

Mimo popsucia scenografii święta zapowiadały się kusząco. Ojciec Kasi, który po śmierci żony wyjechał do Nowej Zelandii, w tym roku wybierał się do Polski, aby spędzić święta z córką i jej nowym przyjacielem. Jego plany pokrzyżowała jednak nagła epidemia szkarlatyny. Był pediatrą i nie mógł opuścić swych pacjentów ze szpitala w Dunedin gdzieś na końcu świata. Obiecał przylecieć zaraz po Nowym Roku.

Wigilię więc mieli spędzić sami, dzieląc radość zakupów, przygotowań, ubierania choinki, lepienia pierogów i chwili, gdy pęknięcie kruchego opłatka sprawia, że moc truchleje, a noc staje się cicha i święta. W pierwszy dzień Bożego Narodzenia zamierzali odwiedzić groby matek: Kasi – na Powązkach i Kuby – na gdyńskim Witominie. Kolejne dwa dni planowali spędzić z Antonim Kanią – trochę na ulicy Bema, wspólnie z rodziną brata, trochę na Kaszubach, gdzie zima zachowała urodę, czując się jak w salonie piękności. Myśl o ojcu przypomniawszy Kubie, że mimo iż od spotkania pod Łomżą minęły już trzy miesiące, Avi Leibowitz wciąż jeszcze się nie odezwał.

– Nie odezwał się i nie odezwie – stwierdził ojciec, gdy w drugi dzień świąt spacerowali razem z Kasią zaśnieżonym Jarem Raduni, w połowie drogi między Gdynią a Kartuzami. – To nie tak działa – dodał. – Spodziewasz się, że Avi będzie ci składał telefoniczne raporty z tego, co poufnie załatwia w tej sprawie?

Kuba poczuł się skarcony, ale uznał, że umysł ojca – często całkowicie zamkniętego w sobie i obojętnego wobec otoczenia – pracuje bez zarzutu. W znacznej mierze przypisywał to Kasi, w której towarzystwie starszy pan najwyraźniej czuł się bezpieczny i szczęśliwy jak niegdyś przy żonie. Dało się to już zauważyć latem, podczas planowania poszukiwań leśniczówki Dubity, które bez pomocy i wojskowych map Antoniego Kani z pewnością by się nie powiodły. Kuba wysłał Kasi pełne uwielbienia spojrzenie, ale nie byłby sobą, gdyby nie wdał się z ojcem w dyskusję.

– Sądysz, tato, że Avi cokolwiek pomoże? – spytał z celowym powątpiewaniem.

– Tak – odparł emerytowany bosman.

– Przecież odszedł z wywiadu ponad dziesięć lat temu.

– Z wywiadu nigdy nie odchodzi się do końca.

– Ty też nie odszedłeś? – zapytał Kuba zaczepnie i natychmiast tego pożałował. Pytanie mogło poruszyć w psychice ojca jakąś czułą strunę i znów pograżyć go w autystycznym odrętwieniu.

– Ja też – rzekł spokojnie Kania senior.

– Tato – Kuba zdenerwował się, że starszy pan plecie bzdury. – Co ty opowiadasz? Dlaczego tak mówisz? Co? Nadal gromadzisz informacje, tak jak kiedyś?

– Tak.

– O kim? – Kuba tracił cierpliwość.

– O tobie.

– O mnie? W jaki sposób?

– Mam informatorów... – Ojciec jak otępiały cały czas wpatrywał się w mijane drzewa.

– Tato... – jęknął Kuba.

– A co ty myślałeś? – spytał emerytowany bosman. – Że stary

ojciec się tobą nie interesuje, baranku boży?

Kuba stanął jak wryty.

– Skąd znasz to określenie?

– Z kościoła – rzekł obojętnie Antoni Kania, a potem nagle roześmiał się po raz pierwszy od wielu lat. – Nabrałem cię. Kasia powiedziała mi, że jakiś człowiek z IPN-u tak cię nazwał.

Kuba ruszył w pościg za Kasią, która uciekała z piskiem w las, aby ją schwytać i wytarzać w śniegu, ale potknął się o korzeń sosny i zarył nosem w biały puch. Ojciec śmiał się do łez – tak naturalnie i radośnie, że Kubę nagle chwyciło za gardło niepoohamowane wzruszenie i musiał je ukryć, udając atak szaleństwa i nacierając twarz garścią śniegu.

Avi Leibowitz rzeczywiście nie zadzwonił. Zadzwonił natomiast człowiek, którego nazwisko Jakub Kania znał z gazet i telewizji, gdzie wymieniano je wraz z funkcją sekretarza stanu w kancelarii prezydenta RP. Spytał, czy pan prokurator lubi park w Łazienkach i czy da się namówić na spacer. Był początek stycznia, trzymał ostry mróz, ale Kuba zrozumiał od razu, że prezydenckiemu ministrowi zależy na dyskrecji.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie, obserwowani bacznie przez kilka łabędzi wiążących z nimi określone nadzieje, człowiek z Belwederu wyjął z kieszeni paczkę herbatników i rzucając je ptakom, powiedział bardziej do nich niż do Kuby:

– Ta rozmowa ma charakter poufny i będę zobowiązany, jeśli zostawi ją pan tylko dla siebie.

– Naturalnie – zapewnił Kuba, dodając zdanie, jakie usłyszał kiedyś na filmie szpiegowskim: – Nigdy się nie spotkaliśmy.

– Właśnie tak, panie prokuratorze – zaczął oficjalnie. – Podjęto decyzję, że grupa specjalna wyłoniona z polskiej formacji wojskowej działającej w ramach Międzynarodowych Sił Stabilizacyjnych w Republice Iraku przeprowadzi działania, których celem jest sprawdzenie typowanej lokalizacji oraz odzyskanie obrazu Jana Matejki *Chrzest Warneńczyka*. Jak pan wie, Polska pełni istotną funkcję w Radzie Koordynacji

Międzynarodowej w Iraku, niemniej próba odzyskania tego dzieła sztuki na drodze oficjalnej wymagałaby wszczęcia skomplikowanych procedur, wymiany dokumentów i koordynacji działań służb ministerialnych obu rządów. Potrwałoby to, w sprzyjających okolicznościach, około sześciu–siedmiu miesięcy, podczas których ludzie zainteresowani zawłaszczeniem obrazu zdążyliby go starannie ukryć i jeszcze staranniej zatrzeć ślady. Poza tym – kontynuował minister – jak panu doskonale wiadomo, pan prezydent nie może wpływać na działania rządu. Tak się jednak szczęśliwie składa, że jest zwierzchnikiem sił zbrojnych, zatem, dla dobra sprawy, zdecydowano, że prostsza i skuteczniejsza będzie operacja wojskowa. Z informacji sojuszniczych służb wywiadowczych wiemy, że obraz prawdopodobnie znajduje się w prywatnej willi w południowym Bagdadzie. Dom ten należy do pewnego profesora sztuk pięknych i eksperta od malarstwa europejskiego, który sympatyzuje z islamskim zgromadzeniem wyznaniowym o nazwie Bokira. Sądzymy, że to ono zleciło kradzież *Chrztu Warneńczyka*. Polecono mi... – wysłannik Belwederu ukradkiem spojrzął na zegarek – ...poinformować o tym pana prokuratora i nieoficjalnie podziękować za starania o odzyskanie obrazu dla polskiej kultury narodowej. Niech mi wolno będzie złożyć panu również moje prywatne wyrazy uznania. Rzecz jasna osobiście poinformuję pana prokuratora o wyniku operacji. – Minister dyskretnie skinął głową i wyciągnął dłoń na pożegnanie, zdejmując uprzednio elegancką rękawiczkę.

– Avi Leibowitz znów mi zaimponował. – Kuba uśmiechnął się, ściskając dłoń wysłannika Belwederu, ale tamtemu nawet nie drgnęła powieka. Kunszt maskowania prawdy miał opanowany do perfekcji.

– Daruje pan – oświadczył sztywno – ale nie wiem, o kim pan mówi. Dobrego dnia, panie prokuratorze.

O trzeciej nad ranem czasu lokalnego, dwie godziny przed wschodem słońca i pierwszą modlitwą dnia, na przedmieściu Al-

Dura w bagdadzkim dystrykcie Al Rashid zatrzymała się czarna toyota land cruiser, z której niemal jednocześnie wysiadło pięciu dobrze zbudowanych mężczyzn. Wszyscy mieli twarze pokryte pastą nadającą skórze śniady odcień, tradycyjne arabskie szaty i kefije ukrywające krótkie wojskowe fryzury. Dwóch z nich stanęło w pobliżu szerokich palmowych pni, tyłem do dymiących kominów pobliskiej elektrowni, i uważnie obserwowało teren. Dzielnica kontrolowana przez muzułmańskich ekstremistów nie należała do miejsc przyjaznych dla kogokolwiek, kto nie był sunnitą. Wizyta w Al-Dura, nawet w tym kamuflażu i z pistoletami maszynowymi MP5 ukrytymi w fałdach galabii, w ciągu dnia była równoznaczna z samobójstwem.

Pozostałych trzech mężczyzn wyjęło z bagażnika torby podróżne i weszło z nimi do ogrodu zadbanej willi z baterią klimatyzatorów na płaskim dachu. Wyglądali na lokatorów domu, którzy właśnie wrócili z podróży. Wrażenie to nie mogło potrwać długo, mieszkańcy bowiem najczęściej otwierają drzwi wejściowe kluczem, a nie taranem, którym okazała się jedna z toreb.

W chwili gdy jeden z mężczyzn strzaskał nim zamek, pozostali dwaj błyskawicznie nałożyli na głowy noktowizory, wyciągnęli karabinki HK416 i bezszelestnie znaleźli się we wnętrzu budynku. Trzeci z nich odłożył taran i ubezpieczał tyły, odwrócony do kolegów plecami. Czerwone punkciki celowników laserowych zatańczyły na ścianach willi jak niegdyś we śnie Pawła Włodarczyka, ale nie znalazły na swojej drodze niczego, co uzasadniałoby naciśnięcie spustów. W domu nie było żywej duszy.

CZEŚĆ ÓSMA

Obraz

styczeń 1881 – maj 1893 roku

Rozdział 71

Aromat świeżo mielonej kawy płynął z kuchni wołyńskiego dworu Janostwa Głębockich jak sonata, komponując się w symfonię radości ze słońcem poranka, śpiewem ptaków i wyjątkowo dobrymi wiadomościami, jakie przynosiło wtorkowe wydanie „Gazety Lwowskiej”. Na stole w jadalni niecierpliwiły się już pszenne bułki, o świcie wyjęte z pieca i poukładane na paterze w towarzystwie pająka drożdżowca z rodzynkami. Obok w specjalnych naczyniach stały konfitury i miód z pasieki pod Starokonstantynowem. W maselnicy odpoczywała osełka, a w misce czekał puszysty twaróg konkurujący bielą ze śmietanką w dzbanku, zebraną raptem przed kwadransem i uważaną przez pana Jana za nieodzowną ingrediencję śniadaniowej kawy.

Dziedzic Łaszek, ubrany w granatową bonzurkę i bordowy krawat, jak co dzień obrzucił stół wzrokiem admirała lustrującego szyk floty i jak co dzień z uznaniem skinął głową. Zastawa z miśnieńskiej porcelany, przedstawiająca sceny pasterskie, przygotowana została bez zarzutu. Od wazy ze słodką zupą z kaszy jaglanej i mleka po solniczkę wszystkie naczynia idealnie pełniły swoją służbę, a nakrycia dla dorosłych i dzieci nie ustępowały porządkowi wytwornej wiedeńskiej restauracji, pyszniąc się w otoczeniu lśniących sztuków i wykrochmalonych serwet. Jan Głębocki uważał, że wygląd stołu wzmaga apetyt.

Czekając na pozostałych domowników i wnuki wyłapywane przez nianię w rytualnej przedśniadaniowej gonitwie wokół salonu, dziedzic Łaszek przeglądał depesze prasowe. Z przyjemnością odnotowywał wzrost cen płodów rolnych w Galicji oraz doniesienia

z południa Afryki, gdzie Burowie znów dali łupnia brytyjskim pyszałkom. Dzieci ciągle były górą w pościgu, co pan Jan skwitował pobłaźliwie, kręcąc głową i przenosząc wzrok na szpalty wieści kulturalnych. Nagle uśmiech zastygł mu na twarzy.

– Coś złego? – zapytała Natalia z Mazarakich Głębocka, wchodząc do jadalni akurat w momencie dziwnej przemiany humoru męża.

– Przeciwnie... – Pan Jan nawet nie podniósł wzroku znad gazety, co mogło być usprawiedliwione tylko najwyższym stopniem zaabsorbowania. Szybko jednak zrozumiał nietakt i wstawszy od stołu, podszedł do żony z rozpostartą płachtą dziennika. Ucałował ją w czoło na przywitanie i wskazał wzrokiem nagłówek wiadomości na trzeciej kolumnie.

– Spójrz, moja droga. Po sukcesie *Bitwy pod Grunwaldem* Matejko ogłosił, że namaluje cały cykl jagielloński.

Pani Natalia w skupieniu ściągnęła brwi.

– Grunwald istotnie był sukcesem. Cały naród kibicował Mistrzowi, muzea i prywatni kolekcjonerzy zwozili do Krakowa eksponaty do skopiowania na płótnie, a prasa pisała o obrazie niemal codziennie. Sama przesłałam kolczyki, aby je stopiono na wielki złoty medal podarowany Matejce przez Polaków z okazji ukończenia *Bitwy pod Grunwaldem*. Na publicznych pokazach były tłumy. Ale – niemal niedostrzegalnie zmieniła ton – tylko u nas. Dasz wiarę? Rok temu podczas wystawy w Paryżu obraz uznano za anachroniczny, nudny antyk. Za malarskiego dinozaura. Tam się teraz podziwia impresjonistów: pochwycone chwile, kwiecie, promyki słońca. Oni są wolni. Nie potrzebują dokumentów narodowej tożsamości... Ale, ale – pani Natalia wróciła do wiadomości „Gazety Lwowskiej” – cykl jagielloński, powiadasz? Chwalebne. – Puknęła palcem wskazującym w blat stołu niczym sędzia wydający werdykt.

– Cykl, cykl – Jan Głębocki powtarzał to słowo z namysłem, jakby stanowiło jakiś rebus. – Dla każdego króla dynastii jedno płótno.

– Piękny projekt – przyznała pani Natalia, ale mąż najwyraźniej

oczekiwał od niej czegoś więcej.

– Moja droga – rzekł niemal z prośbą w głosie, unosząc rękę z gazetą. – Tu napisano, że Matejko zamierza malować *Bitwę pod Warną*. Ponoć nawet widział już gdzieś konia, którego naszkicował jako idealnego rumaka do szarży króla Władysława na czworobok janczarów.

Ostatnie zdanie Jan Głębocki wymówił niemal z rozpaczą.

W tym momencie żona zrozumiała.

– Niemądra jestem... – Pokiwała głową. – Toż jeśli Mistrz namaluje scenę śmierci Warneńczyka... ale nie namaluje...

– No właśnie! – wykrzyknął dziedzic Łaszek. – Muszę... Spróbuję go przekonać.

Natalia Głębocka zażartowała:

– Ruszasz już czy zjesz śniadanie?

Zreflektował się. Odwzajemnił uśmiech i serdecznie ucałował dłonie żony. Zawsze potrafiła go zrozumieć i wesprzeć.

– Jemy! – zawołał do wnuków dobrze już zdyszanych gonitwą. – Jemy... – powtórzył ciszej. – A najdalej pojutrze jadę do Krakowa.

Rozdział 72

Gość czekający w saloniku uosabiał typ, który na Teodorę Giebułtowską działał jak płachta na byka. Był nienaganny w każdym calu: od idealnie przyciętych wąsów po idealny kant sztuczkowych spodni opierających się w idealnym miejscu na idealnie wypolerowanych trzewikach. Wytworny, dystyngowany jaśniepan. Aż nią zatrzęśło. Bezceremonialnie otworzyła drzwi pokoju, w którym przysiadł na krześle, i spojrzała na niego z niechęcią i odrazą. Liczyła, że ten sztywny galant obrazi się i wyjdzie, ale do niczego takiego nie doszło.

Przeciwnie. Mężczyzna wyglądający na hrabiego albo i księcia na jej widok wstał i elegancko się uklonił. Teodorę Giebułtowską zirytowało to do tego stopnia, że trzasnęła drzwiami i niemal pobiegła do swojego buduaru, gdzie wściekłym ruchem strąciła z toaletki flakonik perfum.

Przyjeżdżają tacy – oburzenie na dobre zawładnęło jej myślami – a Matejko, ten kudłaty pokurcz, skacze koło nich jak małpa w lunaparku. Mamią go pięknymi słówkami o umęczonej ojczyźnie i dniach minionych polskiej chwały, a głupi Jasio rozdaje im obrazy za darmo. Nadęta księżna Czartoryska dostała portret hrabiego Tarnowskiego, nie zapłaciwszy złamanego guldena, a Maurycy Potocki kupił *Kazanie Skargi* za równowartość wystawnej kolacji.

– Niech piekło pochłonie arystokrację – syknęła, szybkim krokiem wyszła z pokoju i ponownie otworzyła drzwi saloniku, aby tym razem, stojąc w progu, pokazać minę pełną obrzydzenia i wywalić w stronę gościa język.

Jan Głębocki dyskretnie odwrócił głowę. Od kiedy przed trzema

dniami zatrzymał się w podkrakowskim majątku kuzynostwa i wysłał na ulicę Floriańską bilet wizytowy wraz z listem proszącym o audiencję u Mistrza, zdołał się co nieco o Matejkach dowiedzieć. Przeważnie były to peany na temat geniuszu malarza i jego misji ocalania historii zdeptanej przez zaborców, ale usłyszał również o zjawisku dotychczas mu nieznanym, czyli o dobroczynności Mistrza. Twórca *Bitwy pod Grunwaldem* wiele płócien ofiarował narodowi polskiemu, kilka polecił spieniężyć na cele charytatywne, niebagatelne dochody z wystaw w całości przeznaczal na sieroty, a swoim najuboższym studentom dawał całoroczne utrzymanie.

Kuzynka, która opowiadała mu o tym wszystkim – zastrzegając, aby broń Boże nie podejrzewać jej o skłonność do plotek – szepnęła przedwczoraj po kolacji:

– Nigdy bym ci tego nie powiedziała, drogi Janie, ale skoro zamierzasz zamówić u Mistrza obraz, moim obowiązkiem jest zadbać o twoją orientację. Wiedz zatem, że rodzina malarza, obdarzona piątką dzieci, bynajmniej nie jest zamożna, a pani Matejkowa, delikatnie rzecz ujmując, nie pochwała filantropii męża. Miewa też pewne niepokoje emocjonalne.

Widok mocno otyłej damy, z wyraźnym obłudem w spojrzeniu i językiem wywieszonym w całej okazałości sprawił, że Jan Głębocki uznał określenia kuzynki za niezwykle dyplomatyczne. Jego refleksję spłoszyło kolejne trzaśnięcie drzwiami wywołujące drżenie futryny.

Kiedy po kilku minutach drzwi otworzyły się ponownie, gość nie uznał za stosowne spojrzeć w ich stronę. Tym bardziej był zaskoczony, gdy nagle stanął przed nim człowieczek z długą siwiejącą brodą i mocno przerzedzonymi włosami opadającymi na ramiona. Miał niewiele ponad metr pięćdziesiąt wzrostu, ale szczupła zgarbiona sylwetka sprawiała, że wydawał się jeszcze niższy. Patrzył przepaszająco przez szkła okularów, tak grube, że Jan Głębocki zastanawiał się, czy cokolwiek przez nie widzi.

– Jan Matejko – przedstawił się, wyciągając na powitanie dłoń,

w której trzymał zapalonego papierosa. – Pan wybaczy – rzekł, przekładając go do lewej ręki, co nie okazało się fortunnym manewrem, bo papieros spadł na dywan. Malarz podniósł go, dusząc czubkiem buta okruchy żaru, przez co popadł w jeszcze większe zakłopotanie. Rezygnując z powitania, przeprosił, że kazał gościowi czekać, i spytał, czy Jana Głębockiego poza przymusową nudą nie spotkała jaka przykrość.

Dziedzic Łaszek kategorycznie zaprzeczył, co najwyraźniej poprawiło Matejce nastrój.

– Wolę się upewnić – wyjaśnił. – Moja żona, moja Gwiazda, Pani i Władczyni, jak zawsze ją nazywam, cierpi bowiem, biedaczka, na rozstrój nerwowy...

Głębocki uśmiechnął się kojąco, gasząc temat jakimś frazesem o wrażliwości kobiecej natury, co rzeczywiście podziałało na malarza jak balsam. Poskręcany artretyzmem, kruchy i nijak niewyglądający na kawalera francuskiej Legii Honorowej oraz obiekt podziwu całej Europy Matejko wdrapał się na olbrzymią sofę pokrytą szkarłatnym aksamitem i odpaliwszy nowego papierosa od niedopałka, który przed chwilą zgasił w doniczce z umierającym fikusem, chciwie zaciągnął się dymem. Wypuścił go i zapytał:

– Czym mogę służyć łaskawemu panu?

Jan Głębocki chrząknął podrażniony zapachem podrzędnego tytoniu.

– Drogi Mistrzu – zaczął, jakby sposobił się do laudacji Matejkowskiej podczas wystawy w Salonie Sztuk Pięknych. – Jak już napomknąłem w liście, przeczytawszy w „Gazecie Lwowskiej” o zamiarze namalowania cyklu jagiellońskiego, pragnąłbym zamówić u pana płótno dedykowane Władysławowi Warneńczykowi.

Matejko posmutniał i skurczył się jeszcze bardziej. Wyglądał teraz jak zagubiony chory ptak.

– To niewykonalne – szepnął.

– Dlaczego? – Głębocki również mocno się strapił. – Jeśli Mistrz ma na myśli koszty, to...

Malarz odpędził tę uwagę ruchem dłoni.

– Nie – wyjaśnił. – Nie o to chodzi. Gotów jestem sprzedać szanownemu panu *Bitwę pod Warną*, ale już ją zacząłem i – Matejko z wyraźnym zakłopotaniem podrapał się w głowę – maluję ją na desce, nie na płótnie. Zatem jeśli to łaskawego pana nie satysfakcjonuje... – zawiesił głos.

Jan Głębocki przez moment rozważał, czy się ucieszyć, czy zmartwić. Znow się uśmiechnął i rzekł:

– Nigdy bym się nie ośmielił ingerować w pana technikę, Mistrzu. *Bitwa* na desce niechże taką pozostanie ku chwale narodowej historii i pańskiej pracowni. Ale nie scena bitwy mnie tu przywiodła.

Matejko próbował przeniknąć adwersarza, wyteżając słabnący wzrok.

– Mam nadzieję pomówić z panem o namalowaniu sceny chrztu Władysława Warneńczyka. Otóż... – Tym razem to dziedzic Łaszek chrząknął uroczyście. – Antenat naszego rodu biskup Mikołaj Głębocki, archidiakon poznański, miał zaszczyt być ojcem chrzestnym królewicza w zastępstwie papieża Marcina Piątego. Uczyniłby pan naszej rodzinie niebywały honor, gdybyśmy mogli stać się posiadaczami dzieła pańskiego pędzla, poświęconego temu wydarzeniu. Dla nas i dla przyszłych pokoleń Głębockich, byłaby to rzecz bezcenna.

Jan Matejko milczał i jeszcze bardziej wcisnął się w sofę, jakby pragnął zniknąć w jej szkarłacie. Mówiąc otwarcie, biskup Mikołaj nie zrobił na nim wrażenia. Mistrz od lat był najbliższym przyjacielem i osobistym powiernikiem monarchów, wodzów, mężów stanu. Czytał w ich charakterach, malując wyrazy twarzy, i odgadywał myśli, przenosząc na płótno spojrzenia ich oczu. Był za pan brat z Bolesławem Chrobrym, Stańczykiem, Kopernikiem, Kościuszką. Ale archidiakona poznańskiego, który podawał Warneńczyka do chrztu, nie znał i nie był pewien, czy pragnie poznać.

Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, jakże ważną postacią biskup Mikołaj Głębocki jest dla tego miłego wołyńskiego szlachcica, noszącego to samo nazwisko.

– Sam nie wiem – powiedział bezradnie. – Mam coraz gorsze zdrowie. Wrzód żołądka odbiera mi wszelką chęć, a wzrok psuje się z dnia na dzień. Tymczasem tyle do zrobienia. Mam wizję sceny hołdu pruskiego – malarz nieznacznie się ożywił. – Olbrzymiej, monumentalnej. Kupiłem wielką drabinę, aby móc to wszystko namalować. – Rozłożył ręce, ilustrując rozmiar przedsięwzięcia.

Jan Głębocki posmutniał.

– Proszę nie odpowiadać dziś – powiedział przestraszony, że opuści mieszkanie na Floriańskiej z definitywną odmową. – Proszę pana pokornie, aby zechciał pan rozważyć kwestię przyjęcia tego zamówienia. Pomijając honorarium, które chętnie podwoję, szczerze liczę na pańskie wielkie serce, które okazuje pan tylu ludziom. Mam nadzieję, że znajdzie się w nim miejsce i dla naszej rodziny. Nie mówiąc już o tym, że malując ten obraz, przeżyłby Mistrz pewną przygodę.

– Przygodę? – spytał zdumiony Matejko. W ten sposób nikt go dotąd nie zachęcał do malowania.

– A tak, tak... – Dziedzic Łaszek ucieszył się, rad, że znalazł punkt zaczepienia. – Trzeba panu wiedzieć, że Władysław Warneńczyk był drugim wybranćem z bardzo starej przepowiedni, która mówi, że wybranćów będzie czterech, a każdy z nich co czterysta czterdzieści cztery lata, licząc od roku tysięcznego, otrzyma sposobność pojednania wrogich religii: islamu i chrześcijaństwa. Pierwszy wybraniec utonął gdzieś w odmętach dziejów, drugim był nasz chrześniak – Jan Głębocki wyraźnie pokraśniał – a trzeci stanie przed swoją sposobnością za siedem lat – w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku. Czwarty zaś – szlachcic machnął ręką – to dopiero za pięć wieków prawie. Każdy z nich ma takie samo znamię na czole, zatem gdyby na obrazie jakoś to uwypuklić...

Nie dokończył. Ze zdumieniem dostrzegł, że Jan Matejko zsunął się z sofy i słuchał go na stojąco. Popiół zapomnianego papierosa powoli osiągał środek ciężkości, aby za parę chwil spaść na dywan, a chore i zmęczone oczy Mistrza żarzyły się ciekawością.

Rozdział 73

Śniady, starannie ogolony mężczyzna, ubrany w prostą białą galabiję, przybył do miasta krótko przed południem. W oczekiwaniu na wieczorne spotkanie, do którego przykładał dużą wagę, wypił w ogrodowej kawiarni hotelu mocną herbatę z liśćmi świeżej mięty, potem zaś udał się na długi spacer. Dwa kroki za nim szedł służący, potężny śniady mężczyzna o zrosniętych czarnych brwiach i włosach ostrzyżonych tuż przy skórze, na wojskową modłę. O ile jego pryncypał przystawał co jakiś czas, stąpając coraz ciężiej i wycierając pot z twarzy, o tyle człowiek ze złączonymi brwiami, mimo swoich stu dwudziestu kilogramów, zdawał się lekko płynąć w falującym od upału powietrzu, co mogło oznaczać wieloletnie doświadczenie w pustynnych marszach, właściwe Tuaregom lub piechurom Legii Cudzoziemskiej.

Celem wędrowki była kazba. Stara forteca położona na wzgórzu nad miastem, z którego jak na dłoni widać było port, plażę w kształcie półksiężyca oraz wszystkie ulice i zabudowania Agadiru. Starannie ogolony mężczyzna lubił to miejsce. Może dlatego, że pochodził z berberyjskiego ludu Rifenów, a w języku jego narodu *agadir* oznacza mur. Bo lubił też mury. Od trzydziestu lat był właścicielem dużego przedsiębiorstwa budowlanego wznoszącego pałace, szpitale i meczety – ku zadowoleniu inwestorów, którzy wysoko cenili zarówno jakość usług, jak i uczciwość głównego udziałowca firmy.

Kazba fascynowała go od dawna. Podziwiał jej zamysł architektoniczny zawarty w kształtach i funkcjach bastionów.

Lubił odgadywać sekrety inżynierskie i zamykając oczy, wyobrażać sobie, jak wznoszono twierdzę cztery wieki temu, kiedy jedynymi maszynami transportowymi i budowlanymi byli ludzie i wielbłądy. Jak zawsze z głęboką zadumą przeczytał napis nad bramą: „Drżyj przed Bogiem i czcij króla”, po czym skinął dłonią na służącego. Ten podszedł w milczeniu i wysłuchał polecenia zorganizowania podwoju do hotelu. Droga powrotna w pełnym słońcu mogła okazać się zgubna, zwłaszcza że na spotkaniu powinien stawić się wypoczęty i w doskonałej formie.

Siedząc w niewielkim dwukołowym powozie ciągniętym przez osła, słuchał szeptów poganiacza, który po raz pierwszy widział Berbera bez brody i nie mógł się temu nadziwić. Myślał o nadchodzących wydarzeniach wieczoru.

Wezwano go, aby przyjął zaszczyt zostania trzecim następcą szejka Omara – świętego przywódcy bractwa Bokira. Jeden z trójki sukcesorów zmarł przed tygodniem na atak serca, a kodeks nakazywał niezwłocznie uzupełnić wakat. Zgromadzenie, które w takich sytuacjach zbierało się w trybie nadzwyczajnym, postanowiło powierzyć przywilej następstwa przedsiębiorcy budowlanemu z północy Maroka. Nominacja stanowiła wyraz wdzięczności za płomienne przemówienie, które wygłosił dziewiętnaście lat temu podczas wyboru obecnego szejka, proponując, aby nowy przywódca bractwa obrał imię Omar, bo przyniesie mu ono długie życie i zapewni siły do prowadzenia Bokiry ścieżką prawdy islamu.

Spontaniczna przepowiednia sprawdziła się co do joty. W ubiegłym roku szejk skończył siedemdziesiąt lat, cieszył się znakomitym zdrowiem, a wspólnota, którą kierował, przeżywała czasy świetności. Omar – niegdyś wzięty adwokat – zadbał przede wszystkim o ujednoczenie zasad funkcjonowania bractwa oraz jego stabilność finansową. Bokira nigdy nie narzekała na hojność darczyńców, ale w ciągu dwóch dekad panowania obecnego szejka zgromadziła i pomnażała fundusze, jakich mógłby jej pozazdrościć niejeden marokański bank.

Omar sprawnie zorganizował ekonomistów należących

do zgromadzenia, tworząc coś w rodzaju islamskiego „biura matrymonialnego” dla biznesu. Kilkuosobowa sekcja po prostu swatała pobożnych przedsiębiorców: jeśli dobry muzułmanin miał kopalnię srebra w Algierii, to za pośrednictwem bractwa inny dobry muzułmanin pomagał mu je sprzedać na giełdzie w Stambule. Ku chwale Allaha i wspólnoty, której przywódca doskonale rozumiał, jakich witamin potrzebuje religia stojąca na progu dwudziestego wieku.

Nic więc dziwnego, że Bokira krzewiąca naukę Proroka mądrze, ale i pokornie, zyskiwała coraz lepszą reputację wśród muftich będących ekspertami prawa teologicznego oraz tafsirów – interpretatorów Koranu. W 1881 roku, kiedy pewien malarz nikczemnego wzrostu gruntował płótno pod Chrzest Warneńczyka – obraz, który zmieni historię bractwa – Bokira była dumą i nadzieją elit islamu.

Istniał tylko jeden szkopuł, z powodu którego szejk Omar brał krople na bezsenność: przepowiednia arby i wyznaczona przez nią data trzeciego zagrożenia dla religii Mahometa. Przypadała za siedem lat, ale z każdym dniem była bliższa i bardziej niebezpieczna.

Mówca, który skończył piętnastominutowy referat podsumowujący rezultaty prac swojego zespołu, starannie zamknął aktówkę z tłoczonych skóry, odłożył ją i dołączył do grobowej ciszy, jaka zapadła po jego wystąpieniu. Kilkunastu mężczyzn tworzących Radę Bractwa Bokira zajmowało miejsca przy suto zastawionym stole sali bankietowej najlepszego hotelu w Agadirze, ale żaden z nich nie okazywał oznak apetytu. Na smakołyki pyszniące się na srebrnych tacach – w biżuterii świeżych fig i daktyli – nikt nawet nie patrzył.

Szejk Omar w obawie, że przygnębienie zdominuje wieczór, powoli sięgnął po maklubę, nabierając kęs – jak każe tradycja – palcami. Uniósł potrawę do ust, posmakował, podkreślił ruchem oczu idealną kompozycję siedmiu przypraw baharat, po czym rzekł z terapeutycznym spokojem:

– Dziękujemy, bracie, za trud, jaki wraz ze swoimi ludźmi włożyłeś w te poszukiwania. Twierdzisz zatem, że człowiek, którego przepowiednia arby nazywa trzecim wybrańcem, nie może być skojarzony z nikim z członków współczesnych rodzin panujących.

– Bezsprzecznie tak, szejku – mówca wytwornie się uklonił. Spędził wiele lat w służbie dyplomatycznej, znał doskonale gesty i etykietę protokołu. – Sprawdziliśmy skrupulatnie wszystkie dwory – dodał. – Mogę oświadczyć z pełną odpowiedzialnością, że człowiek, w którego żyłach płynęłaby królewska krew i który byłby dzieckiem dwóch wyznań naznaczonym znamieniem czwórki na czole, nie istnieje. – Ostatnie słowa mówca nie tyle wypowiedział, ile wygłosił dobitnie i stanowczo.

Omar znał ten ton z sal sądowych i wiedział doskonale, że kategorię stwierdzenia w trakcie procesu potrafią się łamać jak suche trzciny. Uporządkował myśli i zapytał z adwokacką przenikliwością:

– Jakie zatem okoliczności musiałyby zaistnieć, aby trzeci wybrańiec jednak pojawił się za siedem lat?

Autor referatu zbladł jak płótno.

– Moi ludzie musieliby popełnić niewybaczalny błąd przeoczenia. Ręczę...

– Tego nie zakładamy – uspokoił go szejk. Zależało mu na logicznym myśleniu, a nie wywoływaniu emocji.

– Musiałby... – włączył się jeden z sędziwych członków bractwa, w skupieniu skubiąc brodę. – Musiałby... – powtarzał, zbliżając się do odkrycia – ...dopiero się urodzić w jakiejś rodzinie panującej.

– Słusznie, czcigodny ojczu. – Omar pokornie skinął głową starcowi, choć zupełnie się z nim nie zgadzał. Pojednanie chrześcijaństwa z islamem miałoby być dziełem siedmiolatka? Nie, to niedorzeczne.

– Albo musiałby być królewskim synem z nieprawego łoża – dodał rzeczowo ktoś inny.

– Sprawdziliśmy to – odparł autor referatu z satysfakcją. – Monarchowie, to znaczy monarchowie chrześcijańscy – poprawił się

– zawsze mieli skłonności do cudzołóstwa. Tym bardziej dziwne, że ich współczesne pokolenie stanowi w tym względzie chlubny wyjątek. Podczas naszych poszukiwań trafiliśmy na podobne podejrzenia zaledwie trzykrotnie. – Były dyplomata otworzył aktówkę i zajrzał do notatek: – W Danii, Hiszpanii i Rosji. W pierwszym przypadku plotki nie znalazły najmniejszego pokrycia w rzeczywistości. W drugim – wyliczał – być może było coś na rzeczy, ale bez potomstwa. W Rosji natomiast trafiliśmy na nie lada zagadkę.

– To znaczy? – spytał zaintrygowany Omar.

– Mówi się, że stryj obecnego cesarza Aleksandra Drugiego, Aleksander Pierwszy Romanow, upozorował własną śmierć, a potem, zanim został mnichem, przez czas jakiś żył w rozpuście. Co oznacza, że mógł spłodzić królewskiego bękarta płci męskiej, który w tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym roku będzie miał pięćdziesiąt–sześćdziesiąt lat. Warto wiedzieć, że car uznawany w Europie za pogromcę Napoleona Bonapartego zawsze był rozwiązły i miał liczne kochanki. Niestety... – były dyplomata rozłożył ręce w geście bezradności – nie ma najmniejszych dowodów na to, że pogłoski o sfingowanej śmierci Aleksandra Pierwszego są prawdziwe. Jego bratanek zasiadający dziś na tronie Rosji prowadzi w tej sprawie prywatne dochodzenie, ale jest w nie wtajemniczonych zaledwie kilku zaufanych ludzi z jego najbliższego otoczenia.

– Warto byłoby to sprawdzić. – Omar słyszał szept intuicji, która nigdy go nie zawodziła.

– Próbowaliśmy, szejku. – Autor referatu nagle posmutniał. – Niestety wymaga to osobistego dotarcia do cara Aleksandra Drugiego i to w niezwykle drażliwej dla niego kwestii.

Zapadła cisza, w której rozległo się najpierw chrząknięcie, a potem usłyszano nieśmiały głos przedsiębiorcy budowlanego z północy Maroka, który od godziny był formalnym trzecim następcą przywódcy bractwa Bokira.

– Szejku – rzekł. – Dzięki twemu wstawiennictwu swego czasu realizowałem część prac przy Kanale Sueskim. Poznałem tam

pewnego rosyjskiego konstruktora, specjalistę od budowy świątyń prawosławnych i dalekiego krewnego domu Romanowów. Cerkwie, które wznosił, zachwyciły cesarza Aleksandra Drugiego tak bardzo, że obdarzył go swoją przyjaźnią. Trudno się dziwić. To bardzo barwny i miły człowiek, mający dar natychmiastowego pozyskiwania sympatii. Nie da się go nie lubić, choć pije dużo wódki, a jeszcze więcej gada. Mamy bliski kontakt. Od lat ponawia zaproszenie do Sankt Petersburga. „Przyjedź – zachęca – a przedstawię cię carowi. Sasza to mój druh serdeczny! Powierza mi najskrytsze sekrety”. Jak myślisz, czcigodny szejku, może trzeba spróbować tej drogi?

Omar ponownie usłyszał szept intuicji – teraz jakby głośniejszy i bardziej wyraźny. Z uznaniem pokiwał głową.

– Doskonale, bracie – pochwalił swego trzeciego następcę. – Odezwij się do swojego przyjaciela pod jakimś pretekstem i przyjmij zaproszenie do Rosji. Podrocz się trochę i ponarzekaj, a potem ustąp i jedź. Być może dotrzesz do tajemnicy cara Aleksandra i dokonasz dla naszego bractwa więcej, niż kiedykolwiek marzyłeś.

Przedsiębiorca budowlany zaczerwienił się jak cegła, z której wznoszono marokańskie kazby, i pokornie pochylił głowę. Gdy ją uniósł, po ponurym nastroju zgromadzenia nie było już ani śladu.

Dwa dni później polski student matematyki, odwrócony tyłem do kanału Gribojedowa w Sankt Petersburgu, energicznie chuchał w dłonie, aby mu nie zgrzybiały i nie utrudniły zamiaru, z jakim nosił się od dość dawna. Ogrzewanie rąk wyglądało dość komicznie, zważywszy fakt, że student usiłował utrzymać pod pachą sporej wielkości pakunek. Kiedy ujrzał nadjeżdżający powóz, chwycił paczkę w prawą dłoń, a następnie cisnął pod koła karety.

Siła wybuchu amatorskiej bomby była tak duża, że zmiotła go z trotuaru i odrzuciła o kilka metrów dalej, nie dając najmniejszych szans na ocalenie życia. Zginął w tej samej sekundzie, w której śmierć poniósł jadący powozem Samodzierzca Wszechrusi car Aleksander II Romanow.

Na miejscu zamachu wkrótce rozpoczęto budowę soboru Zmartwychwstania Pańskiego, bardziej znanego jako cerkiew Na Krwi. Świątynię żałoby zaprojektował archimandryta pobliskiego klasztoru Ignacy Małyszew, który wyznał kiedyś zaufanemu mnichowi, że będzie się w niej modlił za duszę zamordowanego Aleksandra, ale i „kogoś jeszcze z rodziny Romanowów”, kto też tej modlitwy potrzebuje.

Projekt soboru zrealizował pewien miejscowy inżynier, o którym mówiono, że znał osobiście nie tylko cara, ale i jego sekrety.

Rozdział 74

Precz stąd, precz, precz, precz – szeptała Teodora Matejkowa, powoli przesuając się wzdłuż ściany przedpokoju, do której przyłgnęła całym ciałem, jakby pełzła. Obląkany szept skierowany był do kobiety w eleganckim stroju, którą właśnie wprowadziła służąca. Na widok tego, co ujrzała po przekroczeniu progu mieszkania przy ulicy Floriańskiej, kobieta stanęła w miejscu, nie wiedząc, jak się zachować. Młodsze dzieci wtuliły się w nią, ukrywając twarze w fałdach jej sukni. Przez kilka chwil trwała pełna napięcia cisza.

Przerwało ją skrzypnięcie drzwi i szelest długiego poplamionego fartucha Jana Matejki, który na szczęście pojawił się w przedpokoju i energicznie zagarnął gromadkę gości do saloniku, w którym malował *Chrzest Warneńczyka*. Starannie domknął drzwi i uśmiechając się przepaszająco, przekręcił klucz w zamku. Natalia Głębocka pomyślała przelotnie, że jest więźniem sytuacji.

Przyjechała do Krakowa wraz z wnukami, aby pozować do postaci królowej Sonki – matki królewicza Władysława, otoczonej wianuszkami pacholąt, którym twarzy miało użyć potomstwo młodszego pokolenia Głębockich. Panią Natalię uprzedzono, że żona artysty ma coraz większy problem z chorobą nerwową, ale nie spodziewała się, że jest aż tak źle. Nie mogła wiedzieć, że atak Teodory Matejkowej wywołał silny impuls zazdrości. Dotychczas bowiem to ona była władczynią obrazów męża. Jej twarz miały królowa Bona i Barbara Radziwiłłówna, jej rysy nosiły najwybitniejsze historyczne Polki. Jakim prawem teraz miała zastąpić ją ta wołyńska przybłęda?! Niech idzie precz, precz,

precz. Przez kilka minut nieszczęsna pani Teodora tkwiła pod drzwiami saloniku, delikatnie naciskając klamkę, wreszcie rozplakała się głośno i odeszła.

Natalię Głębocką coś ścisnęło za gardło. Otarła batystową chusteczką niesforną łzę, rozebrała dzieci z płaszczyków i pomogła Mistrzowi posadzić je w najlepszym świetle. Tym razem były znacznie posłuszniejsze niż podczas przedśniadaniowych gonitw w Łaszkach, ale i one wołałyby czym prędzej opuścić to osobliwe krakowskie mieszkanie. Miały niepewne miny, które pozostaną na obrazie.

Jan Głębocki im nie towarzyszył, bo załatwiał jakieś pilne interesy z przedstawicielami spółdzielczej kasy Franciszka Stefczyka z Czernichowa, choć w mieszkaniu na Floriańskiej wydawał się wszechobecny. Zewsząd wзираł jego profil, naszkicowany przez Matejkę w wielu ujęciach, a papierowe oczy patrzyły jak żywe. Uwagę pani Natalii przykuł przypięty do sztalug rysunek finalny. Mąż, który miał wcielić się w postać archidiacona Mikołaja Głębockiego, ojca chrzestnego królewicza Władysława, został pozbawiony przez Jana Matejkę swoich wypielęgnowanych wąsów, a głowę wieńczyła mu wygolona biskupia tonsura. Pani Natalia była bliska eksplozji śmiechu, ale napotkała skupiony wzrok malarza, dający jej do zrozumienia, że podobna mina nijak nie przystoi królowej Zofii – czwartej żonie Władysława Jagiełły, która wydała na świat jego pierworodnego syna i następcę tronu poległego pod Warną w obronie wiary i ojczyzny.

Jan Głębocki odebrał żonę z wnukami wczesnym popołudniem. Odprowadził rodzinę do powozu czekającego na ulicy, w nagrodę za dzielność pozowania obiecał nazajutrz spacer do smoczej jamy oraz wizytę w cukierni, po czym wrócił do mieszkania Matejków i tam znów spotkał się z żoną i dziećmi syna – wyglądającymi na szkicach jak żywi. Z uznaniem pokiwał głową, ale Mistrz oczekiwał czegoś zgoła innego niż komplementy. Ujął Jana Głębockiego za przedramię, delikatnie odciągnął od sztalug i poprowadził w kierunku szkarłatnej sofy.

– Dręczy mnie pewna myśl – wyznał.

– Wyjaw ją, Janie, może coś poradzę – odparł dziedzic Łaszek. Podczas pracy nad *Chrztem Warneńczyka* zdążyli się polubić, niemal zaprzyjaźnić. Mimo że malarz był szesnaście lat młodszy, mówili sobie po imieniu.

– Nie wiem, w jaki sposób ująć na obrazie przepowiednię, o której mi opowiedziałeś. Trzeba ją pokazać – rzekł z błyskiem w oku. – Koniecznie. Wszak Warneńczyk był drugim wybrańcem, a za siedem lat pojawi się trzeci! – Matejko zerwał się z sofy i zaczął krążyć po saloniku. – Powinienem dać do zrozumienia, że wiem o tej tajemnicy. – Gestykulował. – Tylko nie mam pojęcia jak. Co myślisz? Jakiś szyfr? Może alegoria? Może te czwórki gdzieś, jakoś?

Jan Głębocki zrobił bezradną minę. Nic nie przychodziło mu do głowy, a poza tym obraz miał dla niego zupełnie inne znaczenie. Pragnął przede wszystkim uwiecznienia biskupa Mikołaja, ojca chrzestnego Warneńczyka i dumy rodu. Zdawał sobie sprawę, że bez opowieści o przepowiedni pewnie nie zdołałby namówić Matejki do namalowania *Chrztu*, ale coraz częściej żałował, że w ogóle o tym wspominał. Mistrz traktował legendę o czterech wybrańcach niemal obsesyjnie. Czas było zacząć to studzić.

– A może warto, drogi Janie – rzekł ostrożnie – po prostu uwiecznić historyczną scenę chrztu? Może nie przystoją tu żadne szarady?

– Dlaczego tak mówisz? – spytał malarz rozczarowany, zapalając papierosa.

Dziedzic Łaszek postanowił użyć twardego argumentu.

– Może to niezbyt bezpieczne... – zawiesił głos. Znał doskonale skłonność Matejki do lęku i łatwość, z jaką można było u niego ten lęk wywołać.

Malarz przystanął i chwycił dłonią poręcz krzesła.

– Niebezpieczne? – spytał z przejęciem.

– A tak, drogi Janie. – Głębocki zrobił minę człowieka, który zdecydował się ujawnić ukryty sekret. – Nie przyszło ci do głowy, że nie wszyscy mogą być radzi perspektywie pojednania wrogich

religii? Pierwszemu wybrańcowi w roku tysięcznym z jakichś przyczyn się to nie powiodło. Czterysta czterdzieści cztery lata później nasz Warneńczyk był tuż-tuż. W Segedynie... – dziedzic Łaszek uniósł palec wskazujący – ...gdzie istotnie pojednał się z sułtanem. Ale zaraz wciągnięto go w politykę i pod Warną padł ofiarą tych samych mahometan, z którymi zawarł pokój. A jeśli za obydwoma niepowodzeniami stoi siła, która je spowodowała? A jeśli istnieje ktoś, komu zależy, aby pojednanie się nie ziściło? Ani wtedy, ani teraz, za siedem lat? – Spojrzał wyczekująco w oczy malarza i nagle sam się przestraszył.

Żrenice Matejki były tak rozszerzone, że Głębocki zrozumiał swój błąd. Przeholował, zbyt nastraszył Mistrza i ten gotów jeszcze przerwać prace nad *Chrztem Warneńczyka*.

Mylił się.

– Tym bardziej! – malarz niemal wykrzyknął. – Tym bardziej trzeba użyć obrazu jako przesłania! Jeśli muzułmanie chcą wytoczyć bitwę Matejce jak niegdyś Warneńczykowi, to na pohybel im, pohańcom. Już wiem, co uczynić dla tej przepowiedni. – Nieoczekiwanie się rozpromienił, podszedł szybkim krokiem do dziedzica Łaszek, który podniósł się z sofy w bezgranicznym zdumieniu, i spontanicznie go uściskał.

Dwa miesiące później, podczas umówionej wizyty na ulicy Floriańskiej, Jan Głębocki zastał Matejkę z tą samą pół radosną, pół tajemniczą miną, jaką malarz miał na koniec poprzedniej rozmowy. Mistrz nie pozwolił mu nawet zdjąć płaszcza ociekającego deszczem.

– Chodź, mój Janie! – Swoim zwyczajem ujął go za łokieć. – Chodź prędko, bo muszę pokazać ci, co wymyśliłem dla naszej tajemnicy – rzekł konfidencyjnym szeptem, otwierając drzwi saloniku kluczem wydobytym z kieszeni surduta. – Nikt tu nie wchodził od dwóch miesięcy – wyjaśnił. – Kategorycznie zabroniłem. Dla dobra *Chrzta Warneńczyka* i przepowiedni. Zaraz zobaczysz dlaczego. – Lekko popchnął gościa do wnętrza pokoju.

Jan Głębocki ostrożnie przekroczył próg, spojrzał i osłupiał.

Rozdział 75

Rok 1888 przyniósł światu wiele wydarzeń. Zmieniło się kilku przywódców państw łącznie z cesarzem Niemiec i sułtanem Zanzibaru, a papież Leon XIII wydał encyklikę o niewolnictwie. Poza tym w Londynie powstała pierwsza liga piłkarska, w Kalifornii uruchomiono największy ówczesny teleskop, a w Paryżu rozpoczął działalność Instytut Pasteura. Szwed John Dunlop opatentował oponę, Niemiec Karl Benz samochód ze skrzynią biegów, a Amerykanin George Eastman – aparat fotograficzny o nazwie Kodak. Mimo że pewien norweski podróżnik przemierzył na nartach Grenlandię, a holenderski malarz Van Gogh obciął sobie ucho, bohaterem roku, o którym najczęściej pisano w gazetach, został niejaki Jack the Ripper – Kuba Rozpruwacz; jego spektakularne zbrodnie zelektryzowały świat. Do pojednania chrześcijaństwa z islamem, na które po raz trzeci dawała szansę przepowiednia arby, nie doszło. Nikt nie podjął nawet takiej próby.

Jeżeli ktokolwiek z bractwa Bokira powątpiewał w tych okolicznościach o prawdziwości legendy zagrażającej islamowi, pozostało to jego najskrytszą tajemnicą. Siedemdziesięcioośmioletni szejik Omar święcie wierzył w prorocstwo i często na tarasie swego domu w Agadirze, wpatrzony w ocean, rozmyślał o tym, co mogło się wydarzyć.

Bezsprzecznie trzecią próbę pojednania uniemożliwił Allah, do którego Omar modlił się żarliwie każdego dnia, składając dziękczynienie za tę łaskę. A jednak drzemała w nim dawna natura, dzięki której zyskał reputację doskonałego adwokata

o niezawodnej intuicji.

Ta ostatnia uporczywie podpowiadała, że trzeci wybrańiec musiał być związany z zagadką rosyjskiego cara Aleksandra I i utonął gdzieś w odmętach historii. Niestety. Jedyne szansa weryfikacji przypuszczeń została przekreślona wraz z nagłą śmiercią cesarza Rosji Aleksandra II, który prowadził poufne dochodzenie w sprawie tajemniczych losów swojego stryja. Omar westchnął. W najgłębszych zakamarkach duszy, potępiając się za grzech pychy, szejk miał nadzieję, że to on znajdzie i zgładzi trzeciego wybrańca, tak jak legendarny założyciel Bokiry Faris znalazł i zgładził pierwszego.

Nie udało się. Wszystko zniweczył w Sankt Petersburgu student matematyki, który rzucił bombę w stronę powozu swojego monarchy. Przeklęty Polak. Szejk miał silną awersję do tego narodu. Synowie państwa, którego nawet nie było na mapie, dwukrotnie ośmielili się stanąć na świętej drodze bractwa Bokira: polski król Władysław Warneńczyk był drugim wybrańcem i omal nie doprowadził do klęski pojednania religii, a Ignacy Hryniewiecki wysadził w powietrze siebie, cara i być może szansę na dowiedzenie się czegokolwiek o trzecim wybrańcu. Co gorsza, Omar miał niezwykle silne przeczucie, że to nie koniec kłopotów z Polakami. Cztery lata później, na łożu śmierci, przekazał tę obawę swojemu następcy.

Został nim przedsiębiorca budowlany z północy Maroka, który przyjął imię Hasan. Wprawdzie był dopiero trzeci w kolejce do przywództwa, ale dwóch członków bractwa mających przed nim pierwszeństwo zrzekło się tego przywileju, zgodnie twierdząc, że Bokira w nowych czasach potrzebuje kogoś, kto utrzyma i umocni potęgę ekonomiczną bractwa. Wiara Mahometa wymagała budowania nowych meczetów nie tylko w państwach i sułtanatach islamskich, ale też wszędzie tam, gdzie istniała muzułmańska mniejszość religijna.

Mimo że do czwartej i ostatniej próby pojednania miało dojść dopiero za czterysta czterdzieści lat, Hasan nie zrezygnował z kontrolowania sytuacji międzynarodowej. Znacznie ograniczył

budżet działań prowadzonych przed 1888 rokiem, ale nadal finansował sekcję, która regularnie dostarczała raportów z przeglądu prasy światowej, wyławiając newralgiczne hasła i frazy. Pomny przestróg starego szejka, nakazał zwracać szczególną uwagę na gazety z Polski – kraju, którego nie było na mapie.

Intuicja Omara okazała się niezawodna nawet po jego śmierci. Któregoś dnia przy śniadaniu Hasan przeglądał doniesienia sekcji prasowej z minionego tygodnia. Jak zwykle sprowadzały się one do krótkich depesz informujących o chrześcijańsko-islamskich kontaktach kulturalnych i handlowych. Tym razem jednak w teczce, którą służący położył przed nim na stole, znajdowało się tłumaczenie obszernego tekstu z „Tygodnika Ilustrowanego” wychodzącego w Warszawie.

Reportaż ukazał się w rubryce *Pałace polskie na kresach Rzeczypospolitej*. Hasan nie miał bladego pojęcia, co znaczą dwa ostatnie słowa, ale nie zamierzał w tej chwili uzupełniać swojej wiedzy. Trzymając filiżankę z kawą w pół drogi do ust, wpatrywał się we fragment tekstu zaznaczony kopiowym ołówkiem. Była to relacja dziennikarza Antoniego Urbańskiego z dworu państwa Głębockich w Łaszkach na Wołyniu: „Z sieni przechodziło się do ogromnej sali jadalnej wyłożonej boazerią dębową, gdzie u sufitu wisiał pajak kryształowy – pisał wysłannik „Tygodnika”. – W sąsiednim białym salonie widniały urny alabastrowe wielkiej wartości, dalej szedł salon pokryty stiukiem koralowym. W nim Chrzesz Warneńczyka pędzla Jana Matejki”.

Brząk łyżeczki spadającej na kamienną posadzkę wyrwał Hasana z osłupienia, przynosząc dwie refleksje jednocześnie. Po pierwsze, pospiesznie podziękował Allahowi za natchnienie, które kazało mu wprowadzić do kontroli polskiej prasy hasło „Warneńczyk”. Po drugie, nagle się przestraszył, że istnienie obrazu poświęconego drugiemu wybrańcowi może być związane z prorocstwem arby i przecuciami szejka Omara, że Polacy jeszcze narobią kłopotów. Święty mąż kierujący zgromadzeniem Bokira

ostrożnie odstawił filiżankę z kawą i nie przełknął już ani kęsa.

Rozdział 76

Danyło – służący Głębockich pełniący w pałacu funkcję ochmistrza – powoli odzyskiwał przytomność. Przenikliwy ból z tyłu głowy mącił mu myśli i utrudniał rekonstrukcję ostatnich wydarzeń, które wracały do niego mozolnie, jakby miały miejsce przed wieloma laty.

Tuż po południu pani dziedziczka kazała mu zaprząć i jechać do Starokonstantynowa z listem do aptekarza. Dzieci miały jakąś swędzącą wysypkę, a smarowanie oliwą i okłady z żywokostu nie pomagały. Do miasteczka dotarł przed wieczorem.

Maść miała być gotowa nazajutrz, zatem Danyło – zgodnie z poleceniem dziedziczki – najał na jedną noc stancję w gospodzie i wbrew poleceniu dziedziczki wstąpił do izby biesiadnej na kwaterkę wódki. Jakiś czas później wyszedł za swoją potrzebą, opróżnił pecherz w opłotkach koło karczmy i zapinając spodnie, poczuł silne uderzenie w potylicę. W sekundę ogarnęła go ciemność.

Ocknął się na skutek chłodu i głosów rozlegających się tuż obok. Należały do kilku mężczyzn mówiących po francusku. Danyło znał brzmienie tego języka – z wizyt zagranicznych gości odwiedzających Łaszki oraz lekcji prowadzonych w pałacu przez chudą panią guwernantkę, do której trzeba było zwracać się „Madame”.

Kolejnym odkryciem, jakie ochmistrz uczynił po rozpoznaniu francuskiego, była konstatacja, że siedzi oparty plecami o coś twardego, na głowie ma śmierzący worek, a ręce mocno skrępowane powrozem. Dla zyskania na czasie postanowił udawać nieprzytomnego, ale na nic się to zdało. Musiał się chyba poruszyć,

bo jeden z mężczyzn podszedł do niego i energicznym ruchem ściągnął mu z twarzy cuchnącą szmatę. Była noc.

Służący Głębockich przez jakiś czas nerwowo mrugał oczami, aby za chwilę rozpoznać czarci jar położony o kilka wiorst za Starokonstantynowem. Był związany, oparty, o stromą ścianę parowu, na którego dnie tliło się niewielkie ognisko. Wokół siedziało po turecku czterech ludzi, a szkarłatny blask wydobywał z mroku ich twarze, które wzbudziły w Danyłe paniczny lęk. Były to rysy zimnych, bezwzględnych łotrów, kto wie – może gorszych od kozaków terskich albo i Czeczenów słynących ze skłonności do zabijania. Ochmistrza przeszedł dreszcz. Zawsze w takich momentach żartował, że śmierć go powąchała, ale tym razem uświadomił sobie, że być może to prawda. Przełknął ślinę przesiąkniętą smrodem worka, w którym musiał spędzić wiele godzin, i odezwał się pokornie:

– Proszę łaski panów, czego panowie ode mnie chcą? Ja biedny sługa we dworze, niczego cennego nie mam. Dopraszam się miłosierdzia. Ciemny chłop jestem. Tutejszy. Niepiśmienny – dodał po ukraińsku, niemal z łkaniem, uznając, że trochę teatralnego dramatyizmu może tylko pomóc w sytuacji.

Mężczyźni nie zareagowali. Po chwili jeden z nich wstał od ogniska, wyciągnął z węgla rozżarzony do czerwoności wojskowy bagnet i podszedł z nim do Danyły.

– Będiesz dalej udawał głupiego? – zapytał po polsku z wyraźnym obcym akcentem. – Czy mam tego użyć?

Służący dopiero teraz zauważył jego jasne włosy. Pozostali czterej mężczyźni byli śniadzi, ale nie przypominali ani Tatarów, ani Ormian. Nawet Turków. Dowodził nimi śniady olbrzym o zrosniętych brwiach, spod których spoglądały zimne oczy mordercy.

– Najmocniej przepraszam łaskawego pana – ochmistrz w sekundę porzucił zarówno język ukraiński, jak i rolę nierozgarniętego chłopca. – W ciemności nie rozpoznałem, że mam okoliczność z ludźmi cywilizowanymi. Czy wolno spytać, czemu znalazłem się w tym położeniu?

Mężczyzna z bagnetem stygnącym w chłodzie nocy przetłumaczył jego słowa na francuski, na co człowiek ze zrosniętymi brwiami spokojnie wypowiedział kilka zdań. Jasnowłosy skinął głową, podszedł do Danyły i bagnetem rozciął mu więzy, aż konopny powróż zatlił się od gorąca stali. Ochmistrz roztarł zeszywniałe ramiona i z wdzięcznością przyjął metalowy kubek z wódką.

– Merci – wypowiedział słowo, którego używała Madame, kiedy chciała podziękować za jakieś jego drobne przysługi. Musiało to zabrzmieć komicznie, bo mężczyźni przy ognisku wybuchnęli śmiechem.

Jasnowłosy pochylił się nad służącym i rzekł niemal uprzejmie:

– Chcemy ci zadać kilka pytań o pałac i rodzinę twoich panów – wyjaśnił. – Będiesz rozmawiać? – zapytał, śmiesznie zniekształcając „r” i sugerując odpowiedź kiwaniem bagnetu.

– Oczywiście – przytaknął Danyło, woląc nie myśleć, do czego tym łotrom potrzebna wiedza o Łaszkach i Głębockich.

Udało mu się to na tyle, że przez pół godziny grzecznie wyjaśniał wszystko, co interesowało ludzi mówiących po francusku. Jaki jest rozkład pomieszczeń, ile służby jest w posiadłości, jak wygląda plan dnia, jak często przyjeżdżają goście. Uspokojony faktem, że jego porywacze nie pytają o kosztowności i interesują się bzdurami w rodzaju ubiegłorocznych zbiorów pszenicy, przeciekania dachu w oficynie i obrazków na ścianach – wyjawiał wszystko jak na spowiedzi. Nie mógł wiedzieć, że przesłuchujący go człowiek ze zrosniętymi brwiami spędził wiele lat w specjalnej jednostce Legii Cudzoziemskiej w Algierii, gdzie nauczył się techniki zdobywania informacji i nabył wiele innych umiejętności. Pozostali byli jego dawnymi żołnierzami, pracującymi dziś jako ochrona szajki Hasana i grupa operacyjna bractwa Bokira.

Trzecia porcja wódki i przyjazne miny dziwnych Francuzów sprawiły, że Danyło całkowicie się rozluźnił. Pytanie o obraz przedstawiający scenę chrztu polskiego królewicza Władysława Warneńczyka nie wydało mu się inne niż te, które padły dotychczas.

– Tak, jest taki obraz, a jakże – przytaknął z radością, że może być użyteczny i tym samym polepszyć swoje położenie. – Zmarły przedwcześnie pan Jan Głębocki, świeć panie nad jego duszą, przywiózł go prosto z Krakowa od samego Jana Matejki. Słynnego polskiego malarza – wyjaśnił obcokrajowcom, na których musiało to zrobić wrażenie, bo słuchali z wielkim zainteresowaniem, niecierpliwie oczekując tłumaczenia. – Zapamiętałem ten *Chrzest Warneńczyka* i to dobrze. – Danyło pogroził palcem, chytrze się uśmiechając. – Bo to było tak: jak nieboszczyk Jan Głębocki odpakował obraz po podróży, to okazało się, że wszystkie farby na nim dobrze wyschły, tylko czerwona wciąż była mokra i paćkała się na płótnie. Pani Natalia w krzyk, że to rzecz niepodobna, żeby takie arcydzieło miało niedoróbki, i że trzeba posyłać po Matejkę, aby swoją ręką obraz poprawił. Starszy pan Jan ani słyszeć o tym nie chciał. Zawsze zgodny z żoną, teraz aż na nią huknął, kazał wieszać *Chrzest* na ścianie w salonie koralowym i szlus. „Przyjdzie czas – powiada – to się te czerwone fragmenty podmaluje”. Ale cóż. – Danyło wzruszony wódką otarł łzę. – Zmarło się człowiekowi, a poczciwy był, że drugiego takiego ze świecą szukać.

Po jego śmierci Łaszki wziął starszy syn Bogdan Głębocki, ale rychło wymienił je na inny majątek z młodszym bratem, też Janem. I ten ci Jan sprowadził do pałacu malarza, też sławnego, a jakże, nazwiskiem Leon Wyczółkowski. W izbie czeladnej gadano, że artysta zamieszka na dłuższy czas i zajmie się *Chrztem Warneńczyka*, ale po kryjomu, bo... – Danyło wymownie spojrział na metalowy pusty kubek.

Jasnowłosy tłumacz, rad, że chwilę odsapnie w przekładaniu gawędy ochmistrza na francuski, niespiesznie nalał mu wódki.

– Zdrowie wielmożnych panów. – Danyło uniósł kubek, przełknął, splunął i kontynuował: – Bo ten Wyczółkowski strasznie się ponoć z Matejką nie lubi i gdyby się miało wydać, że będzie domalowywał na obrazie te popaprane czerwone plamy, to niech Bóg broni, jaka byłaby awantura. Rzecz trzymano w ścisłej tajemnicy nawet przed służbą. Wyczółkowskiemu dziedzic kazał wyszykować opuszczony pawilon w parku, gdzie miał poprawiać

Chrzest Warneńczyka i gdzie nikomu progu nie wolno było przestąpić. Wszystko po to, żeby się Matejko nie dowiedział. Ale panowie mnie nie zdradzą, prawda?

Olbrzym o zrosniętych brwiach przez cały czas słuchał uważnie, nie mówiąc ani słowa. Widać było, że głęboko się nad czymś zastanawia, może nawet układa w myślach jakiś plan. Na koniec opowieści Danyły zadał tylko jedno pytanie:

– Gdzie teraz wisi obraz?

– A czort go wie – rzekł ochmistrz dobrze już zaczerwieniony i rozochocony. – Wyczółkowski znowu do nas przyjechał i ciągle coś przy *Chrzcie Warneńczyka* majstruje. Nie wiem tylko, po jakiego diabła wiecznie przenosi obraz z pawilonu do salonu i z powrotem. Raz go widzę tu, raz tu. Zgłupieć można. Chociaż – Danyło konfidencjonalnie pochylił się do ucha tłumacza, aż ten odsunął się z odrazą – po mojemu to ten cały Wyczółkowski oszukuje moich państwa aż się patrzy.

– *Pourquoi?* – spytał dowódca dziwnych Francuzów. – Dlaczego?

– No bo tak: mieszkał u nas parę ładnych lat, obrazki po polach malował, wikt i opierunek miał za darmo, a teraz na nowo załagał się w pałacu, a Głęboccy jeszcze mu pieniądze dają za te poprawki po Matejce. A po mojemu – Danyło wyprostował się z pijacką godnością – to on żadnych poprawek nie robi. Raz podejrziałem przez okno pawilonu, jak rozmawiał z młodszym panem Janem przy stojaku, na którym stał *Chrzest Warneńczyka*. Tu gadał z naszym dziedzicem, a tu skakał koło obrazu jak zając, pędzelkiem machał, farbę czerwoną ucierał jak mak na Wigilię, ściereczką obraz przecierał i niby malował, aż się kurzyło. A godzinę potem jestem ja w pałacu, patrzę, a tu obraz już na ścianie. Podchodzę ci ja i przyglądam się bacznie, bo akurat nikogo w pobliżu nie było, a tu, klnę się na rany Chrystusa, żadnych świeżych śladów malowania nie widać. Udaje swołocz i tyle.

Śniady olbrzym ponowił pytanie o miejsce, w którym jest obraz, co Danyło uznał za dowód jego ograniczenia.

– Mówiłem już – burknął. – Albo w pawilonie, albo w salonie

koralewym.

Człowiek ze zrośniętymi brwiami podziękował mu szerokim uśmiechem i ulubionym słowem chudej guwernantki, po czym wstał, aby uścisnąć ochmistrzowi dłoń. Potrząsał jego prawicą z wyraźną wdzięcznością, co rozanieliło Danyłę tak bardzo, że nawet nie poczuł, jak olbrzym drugą ręką błyskawicznie chwycił go za szyję i w kilka sekund ponownie pozbawił przytomności. Jasnowłosy tłumacz, jak cień, pojawił się przy leżącym słudze Głębockich, wprawnym ruchem rozwarł mu szczęki, ścisnął nos i wlał do gardła pół flaszki wódki. Dwaj inni mężczyźni chwycili się nawzajem za przedramiona, budując z rąk krzeselko. Umieszczono na nim nieprzytomnego Danyłę, opierającego się bezwładnie na ramionach niosących go legionistów. Wypróbowany w pustynnych bitwach sposób przenoszenia rannych nawet na dalekie odległości sprawdził się i na Wołyniu. Ochmistra Głębockich przetransportowano nad brzeg pobliskiego stawu i delikatnie spławiono bez jednego plusku. Nikt nigdy w Starokonstantynowie nie wziął pod uwagę scenariusza innego niż ten powtarzany przez wszystkich: sługa Głębockich, znany ze słabości do wódki, najpierw się upił, a potem wpadł do wody i utonął. Miejscowy lekarz po wnikliwym zbadaniu zwłok orzekł dokładnie to samo.

Nikt też nie powiązał nieszczęścia Danyły z włamaniem, jakie następnej nocy miało miejsce w Łaszkach. Łupem złodziei padł jeden tylko przedmiot: obraz Matejki stojący na sztalugach w parkowym pawilonie, w którym w ciągu dnia pracował Leon Wyczółkowski. Uznano, że napad był dziełem miejscowych rzezimieszków, którzy nie mieli śmiałości porwać się na pałac pełen kosztowności, a ponadto słabo znali się na rzeczy, skoro pozostawili cenne pejzaże Wyczółkowskiego. Zabrali tylko Matejkę, którego – jak orzekł przybyły na miejsce urzędnik policyjny – znacznie łatwiej będzie sprzedać na jakimś pobliskim jarmarku, gdzie malunki historyczne cieszyły się niesłabnącym zainteresowaniem małomiasteczkowych kupców, fryzjerów

i rymarzy.

Jan Kanty Głębocki, wtajemniczony przez ojca, myślał inaczej, ale zachował te refleksje dla siebie, udając, że bierze za dobrą monetę zapewnienia policjanta, że obława na straganach niechybnie przyczyni się do odzyskania skradzionego dzieła. Wieczorem, gdy wszyscy poszli spać, pomodlił się za duszę zmarłego fundatora obrazu, po czym usiadł przy hebanowym biurku inkrustowanym srebrem we wzór rodowego herbu Doliwa i skreślił poufny list do Jana Matejki.

Wielce Szanowny Panie – napisał. – Dziś w Łaszkach zdarzyła się rzecz, którą Pan przewidział kilka lat temu w rozmowie z moim Ojcem. Zawiadamiam Pana o tym w przekonaniu, że pragnąłby tego zmarły Jan Głębocki, oraz z podziwem, że poza genialnym talentem malarskim ma Pan również nadprzyrodzoną intuicję. Kreślę się z życzliwością – JG.

Dochodzenie policyjne prowadzone na wołyńskich jarmarkach i w skrytkach okolicznych złodziei nie przyniosło rezultatu. Umorzono je po pięciu tygodniach i poinformowano o tym dziedzica Łaszek stosownym pismem urzędowym. Stało się to w tym samym dniu, w którym przywódca bractwa Bokira szejk Hasan ściągnął płócienną zasłonę z przesyłki dostarczonej przez niezawodnego sługę i po raz pierwszy ujrzał *Chrzest Warneńczyka*.

CZEŚĆ DZIEWIĄTA

Powrót

trzecie millenium

Rozdział 77

Przy Philharmonikerstrasse w Wiedniu, w wytwornym towarzystwie ambasad, galerii i drogich restauracji, znajduje się kawiarnia, której nazwa upamiętnia pewnego pomocnika kucharza na dworze jednego z najsłynniejszych polityków Europy – Klemensa Metternicha. Legendarny minister spraw zagranicznych Austrii, który potrafił hipnotyzować nawet pogromcę Napoleona, cara Aleksandra I, pewnego dnia zatrzymał na zapleczu swojego pałacu młodego kuchcika i głęboko patrząc mu w oczy, polecił wymyślić na deser coś wyjątkowego.

Pod wpływem tego spojrzenia rosyjski cesarz Aleksander Romanow przygotował Święte Przymierze, a wiedeński pomocnik kucharza Franz Sacher tort czekoladowy. Drugi z produktów inspirowanych przez księcia Metternicha spodobał się światu znacznie bardziej.

Przepis na tort Sachera, nazywany „królem deserów”, jest strzeżony bardziej niż receptura coca-coli. Pozornie składniki są łatwe do rozpoznania: mąka, cukier, jaja, czekolada i marmolada morelowa. Nic prostszego. A jednak właściwe dobranie ich proporcji od ponad stu siedemdziesięciu lat jest zagadką, której nie mogą rozgryźć cukiernicy. Próbowano wielu. Co jakiś czas pojawiały się imitacje tortu, a nawet próby przywłaszczenia nazwy, co firma Sacher zwalczała z bezlitosną konsekwencją, staczając więcej batalii sądowych niż cesarstwo Austrii bitew z Napoleonem. „Król deserów” jest jeden i ma setki tysięcy poddanych.

Profesor Ahmed El Absi z Instytutu Sztuk Pięknych

w Bagdadzie uważał się za jednego z nich. Bywało, że w duchu zadawał sobie pytanie, czy jego naukowe zainteresowania dziewiętnastowiecznym malarstwem szkoły wiedeńskiej nie biorą się przypadkiem z namiętności do tortu Sachera, ale nigdy nie udało mu się uczciwie rozstrzygnąć tej kwestii. Niemniej w swojej dziedzinie był ekspertem.

Zachwycanie się malarstwem europejskim w Iraku Saddama Husajna było tak samo rozsądne jak kibicowanie piłkarzom londyńskiego Tottenhamu w środku sektora chuliganów Arsenalu, ale profesor Absi nic sobie z tego nie robił. Opowiadał studentom o swoich ulubionych artystach z Wiednia, Budapesztu, Pragi, Lwowa i Krakowa, wyświetlał slajdy oraz wytrwale pogłębiał wiedzę o malarstwie historycznym tamtej epoki i tamtego obszaru. Jego prace tłumaczono na wiele języków i chętnie publikowano w opracowaniach naukowych. Przede wszystkim z powodu kompetencji, choć Ahmed El Absi – będąc pokornym muzułmaninem, noszącym jedno z imion Proroka – uważał, że apetyt na drukowanie artykułów jego autorstwa wynika z egzotycznego brzmienia nazwiska, robiącego oryginalne wrażenie w spisie treści dzieł brytyjskich, niemieckich czy polskich profesorów.

W Bagdadzie nie był niepokojony z tego powodu. Niezawodną polisę ubezpieczeniową profesora stanowił kuzyn pochodzący z Tikritu – miasta Saddama, z którego pochodzili wszyscy ludzie cieszący się zaufaniem dyktatora. Służbowo piastował ważne stanowisko w rządzie Iraku, prywatnie był członkiem pewnej wspólnoty islamskiej, nazywającej się bractwem Bokira. Dzięki niemu El Absi studiował sztukę niewiernych i bez trudu otrzymywał stypendia naukowe wraz z paszportem do Europy, gdzie czekały modre fale Dunaju, Kunsthistorisches Museum oraz flagowy wyrób kawiarni przy Philharmonikerstrasse.

O ataku na Irak koalicji dwukrotnie większej niż ta zmontowana niegdyś przeciwko Hitlerowi profesor Absi dowiedział się z ORF Eins – pierwszego programu austriackiej telewizji, przy śniadaniu w hotelu uniwersyteckim. W Wiedniu gościł od kilku dni.

Wcześniej spędził tydzień w Polsce, gdzie spotkał się z kilkoma znawcami techniki malarskiej Jana Matejki, dowiadując się rzeczy niebywalej i zaskakującej nawet dla eksperta o jego poziomie wiedzy. Zamierzał podzielić się tą rewelacją z kuzynem w Bagdadzie, ale George Bush junior właśnie przekreślił jego plany.

Przed kolejnym kęsem bagietki Ahmed El Absi uznał, że powrót do Iraku nie jest teraz najlepszym pomysłem.

Rozdział 78

Tego samego popołudnia, podczas wizyty w kawiarni w pobliżu opery, profesor Absi umieścił na widelczyku niewielki sześcian tortu Sachera, a diabeł szepnął mu do ucha sugestię, że napad Amerykanów na Irak być może ma swoje dobre strony. W nagłym przestraszeniu powtórzył modlitwę odpędzającą złe moce i starannie uporządkował myśli.

Miał gdzie mieszkać. Wiedeńska Akademia Sztuk Pięknych wynajmowała mu skromny, ale wygodny pokój dla stypendystów za naprawdę symboliczną opłatę. Był pewien, że w zaistniałej sytuacji władze uczelni okażą zrozumienie i zgodzą się na przedłużenie pobytu w Austrii o kilka tygodni. Zwłaszcza że był człowiekiem samotnym, spokojnym i stroniącym od polityki.

O pieniądze też się nie martwił. Stypendium otrzymane w Bagdadzie wystarczy na dwa–trzy miesiące, a poza tym w każdej chwili mógł zwrócić się o kolejną transzę honorarium za coś, co można by nazwać badaniami zleconymi. Chodziło o kwerendę naukową polskiego malarza Jana Matejki, a zwłaszcza jednego z jego płócien – *Chrztu Warneńczyka*. Oficjalnie zadanie to powierzył profesorowi El Absiemu renomowany uniwersytet ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, który wysyłał przelewy, ale za finansowaniem przedsięwzięcia stało zgromadzenie Bokira.

Reprezentujący je kuzyn wtajemniczył profesora w historię prorocstwa araby parę miesięcy temu podczas spaceru wokół meczetu Umm al-Qura w Bagdadzie. Absi słuchał w skupieniu. Od dziecka darzył stare przepowiednie nabożnym szacunkiem.

– To piękna historia – podsumował. – Ale i zwiastująca wierze

Mahometa wiele niebezpieczeństw.

– O to właśnie chodzi! – Minister Saddama ucieszył się, że tak łatwo znalazł zrozumienie profesora uchodzącego za człowieka o niepospolitej mądrości. Ruchem ręki nakazał dwóm agentom ochrony, aby pozostali o kilka kroków w tyle, i rzekł cicho, żeby go nie usłyszeli:

– Bractwo, w którego imieniu mówię, ma dla ciebie dwie propozycje.

– Zamieniam się w słuch – rzekł Ahmed El Absi. Znał Bokirę z wcześniejszych opowieści krewnego z Tikritu i szczerze ją podziwiał.

Minister Saddama ujął prawą dłonią kciuk lewej.

– Prosimy, abys złożył przysięgę i został kandydatem oczekującym na miejsce w naszej wspólnocie.

– To dla mnie zaszczyt. – Pofesor się uklonił. – Jestem głęboko wdzięczny.

– I rzecz kolejna. – Kuzyn dołączył do kciuka palec wskazujący. – Polski malarz Matejko stworzył obraz poświęcony drugiemu wybrańcowi. Nosi tytuł *Chrzest Warneńczyka*. Czy zechcesz podjąć się oględzin tego płótna?

Ahmed El Absi uśmiechnął się promiennie.

– Znam Jana Matejkę – powiedział z wyraźną radością. – Znam i wysoko cenię. Te wielopostaciowe sceny, dynamika, namietność gestów, a przy tym precyzja szczegółów. Tłum, energia, wyraźna kreska konturu...

Minister chrząknął znacząco.

– Wybacz – profesor przywołał się do porządku. – Chciałem tylko powiedzieć, że wielu krytyków potępia Matejkę za patetyczne nudziarstwo, więc moja fascynacja tym malarzem jest bardzo mile widziana wśród polskich historyków sztuki. Mam tam wielu przyjaciół, co z pewnością ułatwi ekspertyzę obrazu. W którym jest muzeum?

Kuzyn zignorował to pytanie.

– Nie musisz nigdzie jechać – odparł, dodając po chwili namysłu:
– Mamy ten obraz. Możesz go obejrzeć nawet w swoim domu.

El Absi stanął jak wryty, co automatycznie uruchomiło czujność dwóch cieni w ciemnych okularach.

– Matejko?! – spytał podekscytowany. – W Bagdadzie?

– Nie powiedziałem, że w Bagdadzie. Powiedziałem, że możemy ci go dostarczyć.

– Fascynujące! – Profesor kręcił głową z niedowierzaniem. – Oczywiście, chętnie, w każdej chwili. Co was interesuje? Ekspertyza autentyczności? Kompozycja? Kontekst historyczny przedstawionej sceny? Warsztat?

– Raczej coś ukrytego. Jakiś szyfr, kod. Wszystko, co może wiązać się z prorocstwem arby. Sądzisz, że twój Matejko mógł coś takiego zawrzeć na tym płótnie?

Ahmed El Absi uśmiechnął się filozoficznie.

– Spójrz na ten meczet. – Wskazał dłonią wieżę Umm al-Qura. – Zbudowano go niedawno dla upamiętnienia pierwszej wojny w Zatoce. Wiesz, ile ma wysokości?

Minister wzruszył ramionami.

– Wstydź się – rzekł profesor z przyganą. – Bo to dar twojego rządu. Ma czterdzieści trzy metry, a każdy metr to jeden dzień walk. Nie ma dzieła sztuki bez przesłania.

Kończąc deser, Ahmed El Absi miał już gotowy plan. Z wczorajszego „Newsweeka” dowiedział się, że jego wysoko postawiony kuzyn rozplątał się w bagdadzkiej mgłę. Zniknął z miasta i pojawił się w słynnej „talii kart”, czyli amerykańskim zestawie najbardziej poszukiwanych współpracowników Saddama. Pozwalało to na wyciągnięcie przynajmniej trzech wniosków. Że Absi zobaczy go nieprędko, o ile w ogóle. Że okoliczności zdematerializowania się kuzyna, które komentator tygodnika nazwał „godnymi iluzji Davida Copperfielda”, musiały być zaaranżowane przez Bokirę, oraz że tym samym profesor stracił kontakt z bractwem. Pozostawała skrzynka mejlowa, założona „na wszelki wypadek” i wyposażona w sprytną instrukcję obsługi. Mijając gmach opery i skręcając w Mahlerstrasse, Ahmed El Absi pomyślał, że ludzie Bokiry są wirtuozami w swoim fachu.

Kilka minut później wsiadł do metra przy placu Karola i podjechał do kawiarenki internetowej w pobliżu uniwersytetu, w której widok śniadego mężczyzny o arabskich rysach nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Profesor zamówił colę, uruchomił komputer, wszedł na popularny międzynarodowy portal, z którego korzystały miliony użytkowników, i dostał się do swojego konta pocztowego, używając loginu i hasła, wyuczonych na pamięć jeszcze w Bagdadzie. Następnie wpisał wiadomość, posługując się zgodnie z instrukcją młodzieżowym angielskim, jakiego używali studenci: *Cześć B. Pozdrowienia z Austrii! Wiedeń jest cool. Fajni ludzie i zarq̄biste muzea. Znalazłem fantastyczny materiał do mojej dyplomówki. Odkryłem genialną technikę malarską, o której nikt u nas na uczelni nie ma pojęcia. Totalny odlot. Muszę ci koniecznie opowiedzieć o tym osobiście. Nie mogę się doczekać, kiedy się zobaczymy. Na razie. A.*

Absi skończył pisać, po czym umieścił tekst w kopiach roboczych, nie adresując go do nikogo – jakby zapomniał adresu mailowego odbiorcy. Sekret wysyłania wiadomości za pomocą skrzynki na popularnym portalu polegał na tym, żeby tej wiadomości... nie wysyłać. Ktoś, do kogo zwracał się „cześć B.”, czyli człowiek Bokiry, dysponował tym samym loginem i hasłem, bez przeszkód wchodził do poczty elektronicznej i czytał wszystko, co się tam znajdowało. Odpowiadał w ten sam sposób. Informacje, których nie przekazywano za pomocą sieci, były praktycznie nie do wytropienia, bo nie pozostawiały śladu transmisji danych.

Niestety, odpowiedź się nie pojawiła. Absi przejrzał kilka witryn poświęconych malarstwu, odczekał pół godziny, skończył colę, wylogował się i wyszedł. Następnego dnia po południu sprawdził pocztę elektroniczną w innej kawiarence, ale sytuacja się powtórzyła.

We wtorek obok zakładki „kopie robocze” nadal nie było cyfry sugerującej pojawienie się nowego dopisku, ale w skrzynce wiadomości przychodzących profesor zauważył komunikat reklamowy zatytułowany: „Spotkajmy się w Emiratach”. Najechał kursorem na ikonę koperty, kliknął i przeczytał: *Centrum Podróży*

zaprasza na niezapomnianą wyprawę do Krainy Baśni z Tysiąca i Jednej Nocy. Czekają na Ciebie białe plaże nad szmaragdowymi wodami Zatoki Omańskiej oraz olśniewające atrakcje turystyczne Dubaju. Promocja tylko do końca tygodnia na hasło: Fudżajra. Bilety lotnicze i formularze wizowe do odbioru w naszym wiedeńskim biurze przy Zieglergasse.

Anons nie pozostawiał wątpliwości.

Wydarzenia najbliższych dni potoczyły się w tempie, jakie rzadko przydarza się statecznym profesorom historii sztuki. Nazajutrz Ahmed El Absi odwiedził biuro podróży, w którym czekał na niego bilet czarterowy do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, voucher, folder zachęcający do wycieczki jeepem po pustyni oraz zawieszka na bagaż, na której mógł wpisać swoje nazwisko.

Ujrzał je dwa dni później w hali przylotów portu lotniczego Abu Zabi, tym razem na tabliczce trzymanej przez niskiego, szczupłego mężczyznę o twarzy zeszpeconej jakąś katastrofą lub wojną. Profesor przywitał go uściskiem dłoni, dowiadując się, że mężczyzna ma na imię Asif i jest wysłannikiem „pani B.”. Mimo niepozornego wyglądu jego opiekun uniósł okazałą walizkę Absiego, jakby była pusta, i umieścił ją w bagażniku białego mercedesa o czarnych szybach. Po czym otworzył tylne drzwi i zaprosił gościa do klimatyzowanego wnętrza.

Auto majestatycznie wytoczyło się z lotniskowego parkingu i ruszyło na północ, aby po przejechaniu kilkudziesięciu kilometrów skręcić w kierunku wschodnim, zgodnie z drogowskazami prowadzącymi do sułtanatu Omanu. Na horyzoncie, w powietrzu drżącym od upału, majaczyły góry Al-Hadžar al-Gharbi. Profesor Absi zastanawiał się, czy zobaczy je z bliska, gdy Asif sięgnął do schowka przed siedzeniem pasażera i wyginając rękę do tyłu, podał mu czarny jedwabny worek.

– Szejk prosi o wybaczenie – powiedział – ale lepiej nie znać drogi do jego domu. Od czasu akcji al-Kaidy w Nowym Jorku jest jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi na Bliskim Wschodzie, choć potępił ten czyn. Ale co zrobić... – Asif pokazał w lusterku

uśmiech wyrażający bezradność. – Budżet CIA naliczany jest od liczby wrogów.

Ahmed El Absi poczuł dreszcz emocji. A więc jedzie na spotkanie z samym Matarem – świętym przywódcą bractwa, człowiekiem, o którym kuzyn z Bagdadu mówił z najwyższym szacunkiem. Bez słowa protestu naciągnął na głowę kaptur pachnący jakimś dziwnym olejkiem i po kilku sekundach zapadł w sen.

Rozdział 79

Obudził się na sofie, którą w pierwszym momencie wziął za tylne siedzenie samochodu. Zanim zrozumiał, że jest w błędzie, i zadał sobie pytania, gdzie się znajduje i jak się tu dostał, usłyszał łagodny głos należący do siwego, pomarszczonego mężczyzny w prostej, tradycyjnej szacie.

– *Salam alejkum.*

– *Wa alejkum salam* – odpowiedział machinalnie, rozglądając się po pomieszczeniu.

Było niewielkie i urządzone wręcz ascetycznie. Posadzka z płytek ceramicznych korespondowała z kremowym kolorem ścian i brązowym obiciem trzech identycznych sof ustawionych w kształcie litery „u” i otaczających niski stolik z kolonialnego drewna. Wewnątrz panowała umiarkowana temperatura, choć profesor Absi nie zauważył klimatyzatora.

– To naturalny chłód. – Starzec siedzący na sąsiedniej sofie wydawał się czytać w jego myślach. – Znajdujemy się we wnętrzu góry, ale tu możemy rozmawiać całkowicie bezpiecznie. Rad jestem cię poznać, bracie – dodał nieco na wyrost. Ahmed El Absi nie był jeszcze pełnoprawnym członkiem bractwa Bokira.

– Szejku – profesor wreszcie domyślił się, z kim rozmawia – jestem zaszczycony, że zechciałeś przyjąć mnie osobiście. Niech mi wolno będzie wyrazić też głęboką wdzięczność za pomoc, tę podróż, hotel...

Matar podniósł dłoń, skrępowany podziękowaniami.

– Nigdy nie zapominamy o naszych braciach i przyjaciółach – oświadczył. – Chcę, abyś wiedział, że doceniamy twoją ekspertyzę

polskiego obrazu i wszystkie cenne informacje, jakie nam dostarczyłeś na jego temat.

Mam jeszcze cenniejszą! – chciał zawołać Absi, ale w ostatniej chwili powstrzymał się przed nietaktem przerywania starcowi, na dodatek piastującemu tak wysoką godność.

– Bóg nas strzegł – kontynuował Matar. – Tuż po twoim wyjeździe do Europy, mimo restrykcji wprowadzonych w Bagdadzie przez amerykańskich okupantów, zdecydowaliśmy zabrać naszą własność z twojej willi w Al-Dura. Dwa dni później włamało się do niej kilku ludzi. Niczego nie ukradli, zniszczyli tylko zamek w drzwiach – szejk uspokoił swojego gościa, napotyając jego przestraszone spojrzenie. – Jesteśmy pewni, że włamywacze byli ucharakteryzowanymi żołnierzami i że chodziło im o Matejkę.

Przestrach profesora zamienił się w coś znacznie gorszego.

– Rozumiem – szepnął, z trudem panując nad drżeniem głosu – że nigdy już nie wrócę do domu. Skoro Amerykanie dowiedzieli się o tajemnicy *Chrztu Warneńczyka*, aresztują mnie, gdy tylko postawię stopę na irackiej ziemi. A potem przekażą Polakom. Obraz Jana Matejki znajduje się na ich liście zaginionych dzieł sztuki, stanowiących cenne dobro narodowe. Pewnie chętnie by mnie skazali za współudział w jego ukrywaniu, robiąc z tego międzynarodowy skandal w środowisku historyków sztuki.

– Mylisz się. – Matar pokręcił głową. – Jeden z twoich pobożnych sąsiadów na naszą prośbę dyskretnie obserwował dom. Nie zwolniliśmy go z tego nawet po zabraniu depozytu, dlatego zdał nam pełną relację z wszystkiego, co zaszło tamtej nocy. Mamy nawet nagranie z jego kamery monitoringu, którą skierował na twój dom. Kamere uruchamia czujnik ruchu, zatem mogliśmy wszystko dokładnie obejrzeć. Na tej podstawie wyciągnęliśmy wnioski, które, niezależnie od nas, potwierdził zaprzyjaźniony komisarz irackiej policji, biorący udział w dochodzeniu w sprawie włamania.

Ahmed El Absi nie potrafił ułożyć słów szejka w logiczną całość. W czym się myli? Dlaczego się myli? Jakie wnioski wyciągnęło

bractwo i co ma z tym wspólnego kamera sąsiada oraz śledztwo bagdadzkiej policji?

Matar znów odczytał jego myśli i klasnął w dłonie. W pokoju pojawił się Asif. Szejk wskazał mu profesora ruchem gałek ocznych, wypowiadając tylko jedno słowo:

– Wytłumacz.

– Wiele lat spędziłem w wojskowych siłach specjalnych – zaczął ochroniarz, poniekąd wyjaśniając zagadkę swojej oszpeconej twarzy. – Jestem w pełni przekonany, że włamanie do twojej willi to robota zawodowych komandosów. Ale – Asif zawiesił głos dla podkreślenia tego, co chciał oznajmić – komandosów działających prywatnie. Gdyby to była oficjalna operacja wojskowa, ulicę obstawiłyby dwa plutony marines, a niewielki oddział w hełmach i kamizelkach kuloodpornych wkroczyłby do środka, nie bawiąc się w arabskie szaty i przejażdżki kradzioną toyotą, którą porzucono tego samego dnia w centrum Bagdadu. Żołnierze, którzy dokonali włamania, moim zdaniem wiedzieli o obrazie i szukali go na dyskretne zlecenie kogoś, kto wymagał kamuflażu i konspiracji.

– Skąd pewność, że to byli żołnierze? – spytał Absi.

– Komandosi na całym świecie poruszają się tak samo. Rozpoznałbym ich w ciemnościach znacznie większych niż te, które panowały tamtej księżycowej nocy na przedmieściu Al-Dura. Poza tym jest jeszcze coś. – Wyciągnął w stronę profesora prawą dłoń, na której spoczywał niewielki strzęp brudnej tkaniny. – Zaprzyjaźniony policjant znalazł to w twoim przedpokoju – wyjaśnił. Ahmed El Absi ujął w dłoń postrzępioną metkę, która oderwała się od obszycia buta. Zawierała nazwę wzoru i producenta. Polskiego producenta.

– Sprawdziliśmy – Asif nie dopuścił Absiego do głosu, uprzedzając jego ewentualne wątpliwości. – Ten model obuwia w wojskach koalicji noszą tylko żołnierze polskiej jednostki specjalnej Grom. Tej nocy formacja ta nie przeprowadzała żadnej akcji. Ani oficjalnej, ani tajnej. Ludzi nagranych przez kamerę twojego sąsiada w Al-Dura w ogóle nie było. A to dowodzi ponad wszelką wątpliwość, że operacja miała charakter prywatny.

Wynajęci komandosi Gromu podjechali pod dom autem nie do namierzenia, w przebraniu, wtargnęli do środka, nie znaleźli obrazu, odjechali i natychmiast o wszystkim zapomnieli. Tak to działa.

– Kto mógł to zlecić? – zastanowił się profesor.

– Ktoś z Polski. Bardzo wysoko postawiony. Ktoś, kto nie ma problemu z wydaniem dyskretnego rozkazu żołnierzom elitarnej jednostki i kto z pewnością zagwarantował im ochronę, gdyby podczas akcji wpadli w ręce Amerykanów.

– Czyli ktoś w Polsce gra w prywatną grę, której stawką jest tajemnica Matejki – podsumował Absi.

Asif spojrzał pytająco na szejka. Matar skinął głową.

– Typujemy pewnego urzędnika z instytucji rządowej zajmującej się rozliczaniem przeszłości – rzekł ochroniarz. – Nazywa się Kania i raczej działa sam. Wyłynął w raportach rezydenta Bokiry w Warszawie, który prowadził pewnego dziennikarza próbującego dotrzeć do tajemnicy *Chrzta Warneńczyka*. Nasz człowiek już raz sprawdził tego Kanię, ale nie potwierdził jego związku ze sprawą. Obawiamy się, że Polak go przechytrył. Każdy spryciarz wcześniej czy później wpadnie na sprytniejszego od siebie. Dlatego dowiemy się, czy Kania rzeczywiście prowadzi własną grę, a wówczas...

Matar po raz kolejny podniósł dłoń.

– Dziękuję, Asifie. To wszystko.

Ochroniarz ukłonił się i wyszedł.

– Jestem pewien, że nic ci nie grozi – rzekł łagodnie szejk, kładąc woskową pomarszczoną dłoń na ramieniu Absiego. – Zaufaj mi. Ci ludzie w Bagdadzie szukali obrazu, nie ciebie. Od tamtej nocy na przedmieściu Al-Dura nie zaszło nic podejrzanego, nie pojawił się nikt obcy, nie przejechał żaden nieznany samochód. Nie masz się czego obawiać. Dlatego zostaniesz dwa tygodnie w Emiratach na swojej wycieczce, ochłoniesz, odpoczniesz, a potem spokojnie wrócisz do domu. Jesteś nam potrzebny jako profesor irackiego Instytutu Sztuki. Sprawa Matejki jeszcze się nie skończyła.

– Będzie, jak każesz, szejku – rzekł Ahmed El Absi, starając się

ukryć brak przekonania.

– A teraz opowiedz mi o swoim odkryciu w Europie – poprosił Matar i wygodnie usadowił się na sofie. Nie na długo. Po pierwszych zdaniach profesora wyprostował się i słuchał jego relacji w napięciu, czując, jak przyspiesza mu tętno.

Rozdział 80

Każdy, kto przejeżdża przez Mikolin na Opolszczyźnie drogą 458 wiodącą ze Skorogoszczy do Popielowa, musi w pewnej chwili odwrócić głowę i spojrzeć na kolosalny monument usadowiony nad brzegiem Odry.

Zbudowała go jesienią 1945 roku radziecka jednostka inżynierska, której znaleziono zajęcie, aby się nie zanudziła i nie zapała na śmierć. Efekt przeszedł najśmielsze oczekiwania. W pobliżu drogi stanął obelisk tak olbrzymi, że komisarze polityczni zaniemówili z wrażenia i z zakłopotaniem podrapali się w głowy pod przepoconymi uszankami. Pomnik był. Potrzebował tylko konkretnego bohatera.

Uradzono, że zostanie poświęcony czerwonoarmistom poległym pod Mikolinem podczas forsowania Odry. Z czterech stron obelisku szybko domurowano dzioby łodzi wielkich jak transatlantyki i odsłonięto tablicę. Przez najbliższe dziesięciolecia ludność Opolszczyzny składała pod nią wieńce przy każdej patriotycznej okazji, dzieci szkolne urządzały akademie, a jednostki radzieckie stacjonujące w niedalekim Brzegu uroczyste apele poległych. Podczas tych ostatnich warkot werbli wzywał na zbiórkę żołnierzy Armii Czerwonej zabitych pod Mikolinem. A było ich ponad czterdzieści tysięcy.

Kuba przeczytał o tym w przewodniku po Śląsku wydanym w 1997 roku i kupionym w księgarni przy opolskim Rynku, gdy prowadził śledztwo w sprawie Felczera. Nie byłby sobą, gdyby nie wsiadł w samochód i nie pojechał na miejsce apokalipsy. Przez chwilę stał w zadumie pod imponującym monumentem, potem

przyszło mu do głowy, żeby obejrzeć cmentarz ofiar. Musiał być olbrzymi i rozległy jak wojenne nekropolie pod Verdun.

Ale cmentarza nie znalazł. Ani w najbliższych miejscowościach, ani w Brzegu, ani w Kluczborku. Powiedziano mu, że bardzo wielu żołnierzy radzieckich pochowanych jest w Namysłowie, ale tam odkrył tylko wstydliwą tajemnicę, że sporo zmarłych krasnoarmiejców było wcześniej pacjentami frontowego szpitala dla chorych wenerycznie, który mieścił się parę ulic dalej.

Czterdzieści tysięcy ofiar Mikolina nie miało grobów. To zdecydowało o wszczęciu śledztwa. Z materiałów PRL-owskich wiało grozą. Dwudziestego siódmego stycznia 1945 roku od świtu radziecki generał Skryganow rzucał w siwe fale Odry dywizję za dywizją, a z drugiego brzegu pruły do nich dziesiątki faszystowskich cekaemów. Około południa wał trupów przed przeprawą był tak wysoki, że trzeba go było pokonywać za pomocą drabin zabranych z pobliskiego tartaku, a rzeka płynęła krwią. Gdy dowiedział się o tym towarzysz Stalin, gorzko zapłakał, a potem wytarł łzy i rozkazał natychmiast rozstrzelać Skryganowa.

Mimo talentu detektywistycznego Kubie nie udało się potwierdzić tego wstrząsającego wydarzenia. Dawni historycy wojskowości albo nie żyli, albo udawali, że nie żyją. Nie odbierali wezwań ani telefonów, nie otwierali drzwi. Jednego z nich, często prężącego się w galowym mundurze u boku generała Jaruzelskiego, znalazł Kuba śpiącego na osiedlowej ławce w brudnym szlafroku. Wydzielał woń nieprzetrawionego alkoholu i zapach człowieka, który przegrał wszystko, stawiając na niewłaściwego konia.

Kuba poczuł, że zabrnął w ślepą uliczkę, gdy nagle przypomniał sobie starego szperacza z Samodzielnego Referatu IPN-u, który pomógł mu w sprawie Obersturmführera SS ze Strzelec Opolskich. Rzucił długopis pogryziony w przyływie desperackiego poszukiwania tropu i natychmiast zbiegł po schodach instytutu.

– Co tam, baranku boży? – spytał Dzwonnik, nie podnosząc oczu znad gazety, jakby rozpoznał Kubę po pukaniu do drzwi. I nie

czekając na odpowiedź, rzucił: – Ładnie sobie poradziłeś z Winklerem.

– No właśnie, dziękuję – rzekł Kuba. – Powinienem przyjąć wcześniej uścisk panu dłoń.

– Drobiazg. – Dzwonnik machnął ręką. – Co cię sprowadza tym razem?

Kuba postanowił od razu przejść do rzeczy.

– Forsowanie Odry w styczniu czterdziestego piątego pod Mikolinem na Opolszczyźnie. Oficjalne źródła podają, że poległo tam wtedy czterdzieści tysięcy żołnierzy radzieckich.

Liczba nie zrobiła na Dzwonniku najmniejszego wrażenia. Mimo to właśnie na niej się skupił.

– Czterdzieści tysięcy, mówisz – zastanowił się. – A wiesz, jaki był stosunek zabitych do rannych podczas operacji wiślańsko-odrzańskiej?

– Nie mam pojęcia – przyznał Kuba.

– Jeden do trzech. Czyli?

– Czyli skoro zginęło czterdzieści tysięcy – liczył głośno – to rannych było sto dwadzieścia tysięcy.

– Czyli liczba ofiar wyniosła...

– Sto sześćdziesiąt tysięcy ludzi.

– Czyli? – dalej pytał Dzwonnik.

Kuba popatrzył na niego bezradnie.

– Nie wiem – odrzekł.

– Czyli Berlin nie został zdobyty. Po prostu nie miał kto go zdobyć, bo wszyscy żołnierze Pierwszego Frontu Ukraińskiego zostali wyeliminowani pod Mikolinem. Odkryłeś największą sensację drugiej wojny światowej, baranku boży – orzekł i wrócił do lektury gazety.

– I jak to się skończyło? – zapytała Kasia. Akurat skręcili w polną, wyboistą drogę, zarośniętą chwastami sięgającymi lusterek peugeota. Uderzenia kół o twarde nierówności przypomniały Kubie, że niegdyś była to promenada wyłożona betonowymi płytami prowadzącymi do mikolińskiego pomnika. Odkrycie

prawdy wyraźnie mu nie posłużyło: popękał, porósł mchem i wulgarnymi napisami. Rada gminy od jakiegoś czasu debatowała nad jego zburzeniem.

Kuba przez chwilę poczuł się okrutnym mordercą mitu, ale pytanie Kasi wybawiło go z opresji moralnej

– Jak się skończyło? – powtórzył. – Jak widzisz. – Wskazał ręką monument. – Dzwonnik pomógł mi dotrzeć do źródeł rosyjskich i niemieckich, z których wylazła prawda: żołnierze Armii Radzieckiej przekroczyli tu Odrę niemal bez trudu. Rzeczywiście użyli drabin z tartaku, ale nie do pokonywania stosu trupów, tylko do ułatwienia sobie przejścia przez zamarznąłą rzekę. Po prostu kładli je na taflach lodu. Nikt do nich nie strzelał. Na drugim brzegu nie było doborowych jednostek Wehrmachtu ani gniazd karabinów maszynowych, zostało tylko kilku dziadków z Volksturmu uzbrojonych w przedpotopowe karabiny. Operację istotnie nadzorował dowódca Czternastej Dywizji Piechoty Gwardii Wikientij Walentynowicz Skryganow, ale nie był szaleńcem, to prawdziwy bohater. Znakomity strateg i jeden z najlepszych radzieckich oficerów. Poległ na Opolszczyźnie, niedaleko stąd. Jeśli Stalin zapłakał, to po jego stracie. Rannego Skryganowa ratował zespół najlepszych chirurgów ściągniętych aż z Częstochowy. Nie udało im się. Generał zmarł. Miał opinię dowódcy, który prędzej palnąłby sobie w łeb, niż naraził życie swoich podwładnych. Podzielał pogląd słynnego George'a Pattona, który mawiał: „Śmierć za ojczyznę jest rzeczą tak piękną i wzniosłą, że oddaję ten przywilej naszym wrogom”. Skryganow nie pozwalał bezsensownie ginąć żołnierzom, jak czynili to inni radzieccy generałowie, wyznający zasadę: ludzi u nas mnogo.

– To ilu żołnierzy tu naprawdę zginęło? – spytała Kasia.

Kuba wzruszył ramionami.

– Piętnastu, może trzydziestu. Tylu mogła zmieścić pierwsza wojskowa ciężarówka, która rano dwudziestego siódmego stycznia wjechała na mikoliński most na Odrze, a wtedy dziadkowie z Volksturmu wcisnęli dźwignię detonatora połączonego z ładunkami podłożonymi parę dni wcześniej przez niemieckich

saperów i wysadzili ten most w powietrze. Radziecka ciężarówka spadła do rzeki, roztrzaskała łód i zniknęła pod nim. Jadący nią żołnierze wpadli do wody, ale mogli się uratować. Przynajmniej niektórzy. Niestety, tego nie wiemy. Wiemy natomiast, że stanowili jedyne ofiary forsowania Odry pod Mikolinem.

Kasia kręciła głową.

– I z piętnastu zabitych zrobiono czterdzieści tysięcy? Wierzyć się nie chce.

– A jednak – uśmiechnął się gorzko Kuba. – Historię tworzą nie jej uczestnicy, ale ci, którzy ją piszą. Nie ma bardziej zakłamanej nauki.

– Trudno przyjąć do wiadomości, że ludzie wierzyli w tę mistyfikację przez pięćdziesiąt lat.

– Wierzą do dziś – odparł Kuba. – Kilka lat temu w miejscowym ośrodku kultury zorganizowano mi odczyt na temat prawdy o Mikolinie. Przyszło mnóstwo ludzi. Gwizdali. Starszy człowiek krzyczał, że na własne oczy widział tysiące trupów i krew płynącą rzeką. Pozostali mu wtórowali. Wszyscy przyjechali tu pierwszym transportem repatriacyjnym zza Bugu jesienią czterdziestego piątego roku. Dziewięć miesięcy po forsowaniu Odry przez Armię Radziecką. Odechciało mi się z nimi polemizować, gdy po odczycie przebito mi wszystkie cztery opony w samochodzie. Może nie warto pozbawiać ludzi legend?

Kasia przytuliła się do niego.

– Dziękuję, że mnie tu przywiozłeś – szepnęła.

Od kilku dni podróżowali po Opolszczyźnie. Kuba wybierał się do Gliwic w sprawie pewnej zbrodni stalinowskiej i spontanicznie zaproponował Kasi wyprawę śladami zagadek, o których jej opowiadał. Zgodziła się z radością. Oboje wzięli po parę dni urlopu, łącząc je z weekendem. Odwiedzili Strzelce Opolskie i tajemniczą Górę Świętej Anny, potem bajkowy zamek w Mosznej. Dziś wybierali się na południe do Nysy i Głuchołaz, zaliczając po drodze Mikolin. Wczoraj w Opolu Kuba pokazał Kasi ulicę swojego imienia – nie przyznając się, że identycznie nazywał się znany śląski poeta i działacz polonijny. W ogóle przez cały czas żartował i zasypywał

ją ciekawostkami.

Tym razem nie domyśliła się, że ma coś do ukrycia.

Dzień przed wyjazdem odebrał telefon od prezydenckiego ministra, z którym spotkał się w Łazienkach, z propozycją kolejnego spaceru „tam, gdzie zawsze”. Poleciał jak na skrzydłach, ale tym razem mu je podcięto.

– Obawiam się, panie prokuratorze, że nie mam najlepszych wiadomości – rzekł mężczyzna na powitanie.

Kuba patrzył na niego pytająco.

– Miejsce wytypowane przez naszych sojuszników jako prawdopodobna lokalizacja ukrycia *Chrzta Warneńczyka* – wyjaśnił rzeczowo – zostało sprawdzone, ale bez oczekiwanego rezultatu. Obrazu w nim nie znaleziono. Przykro mi.

– Czy poszukiwania w Bagdadzie będą kontynuowane?

– Żałuję, ale muszę udzielić odpowiedzi odmownej – powiedział sekretarz stanu. – Nie dysponujemy w Iraku służbami wywiadowczymi zdolnymi wykonać tego typu zadania. Mogliśmy skorzystać jedynie z interwencji jednostki specjalnej, która kilka dni temu została oddelegowana przez dowództwo sił koalicyjnych do ważnej, długoterminowej operacji poza miastem.

Minister wyciągnął dłoń na pożegnanie.

– Polecono mi zapewnić pana prokuratora, że jeśli znów otrzymamy wiarygodną informację od sojuszników w sprawie dzieła Matejki, niezwłocznie podejmiemy działania, aby odzyskać obraz dla polskiej kultury.

Mężczyzna skinął głową i odszedł z identyczną powściągliwością jak poprzednio. Kuba odniósł wrażenie, jakby ktoś sfilmował tamto spotkanie i skopiował jego ostatni kadr. Został w parku sam, dzieląc głębokie rozczarowanie łabędzi, które prezydencki minister poprzednim razem poczęstował herbatnikami.

Postanowił, że powie o tym Kasi, ale jeszcze nie teraz. Nie w czasie podróży. Nie w sytuacji, gdy sam nie potrafił pogodzić się z niełatwą prawdą: poszukiwania *Chrzta Warneńczyka* zakończyły się w Łazienkach. Zrobił wszystko, co było w jego mocy, a nawet

więcej – zważywszy pomoc Aviego, izraelskiego wywiadu wojskowego i polskiej Kancelarii Prezydenta. Po ich interwencji nie istniała już żadna ścieżka dotarcia do tajemnicy. Koniec – pomyślał wpatrzony w nadodrzańskie pola. – Sprawa zamknięta.

Srebrny peugeot pokonywał piętnasty kilometr najdłuższej prostej drogi na Opolszczyźnie, przecinającej Bory Niemodlińskie między Ligotą Pruszkowską a Łącznikiem. Za szybą rozpostarła się zielona równina zwieńczona na horyzoncie pasmem Gór Opawskich zapraszających w głąb Sudetów. Kasia aż klasnęła w dłonie. Nie mogła się doczekać Głuchołaz i czeskiego Jesenika, gdzie Kuba obiecał jej prawdziwe knedliki oraz wizyty w kopalni złota i sanatorium założonym przez Vincenza Priessnitza, pioniera spa i wodolecznictwa, który wynalazł natrysk, a polscy sąsiedzi ochrzczili urządzenie jego nazwiskiem.

W pewnej chwili, wbrew ustalonej marszrucie wycieczki, Kuba skręcił w boczną uliczkę maleńkiego miasteczka przed Prudnikiem.

– Przejeżdżałem tędy wiele razy – wyjaśnił zdezorientowanej Kasi – i zawsze tak się spieszyłem na czeskie piwo, że nigdy nie starczyło mi czasu na obejrzenie tutejszego cmentarza żydowskiego. Ponoć jest przepiękny. Cud, że przetrwał nienaruszony w środku faszystowskiej Trzeciej Rzeszy. Idziemy?

Kasia przytaknęła z uśmiechem. Zaparkowali obok podmiejskiego śmietnika, przedarli się przez chaszczę niewielkiego zagajnika i zatrzymali z wrażenia. Na fałdach okazałego wzgórza jak okiem sięgnąć tkwiło blisko tysiąc pionowych, kamiennych steli. Niektóre nagrobki usadowiono na tak stromych zboczach, że zmarłych musiano chyba grzebać na stojąco.

– Boże, Kuba – powiedziała cicho Kasia. – To niesamowite.

W pełni podzielał jej refleksję.

– Nieprawdopodobne miejsce – szepnął, trochę do niej, a trochę do własnych myśli, dodając głośniej: – Kabaliści twierdzą, że z grobów cadyków, charyzmatycznych przywódców religijnych, można czerpać moc. Tu jestem skłonny uwierzyć, że cmentarze mają swoją energię. Spójrz na symbole na nagrobkach. Kielnia

to grób murarza, waga kupca, nóż rzeźnika, książka...

Nagle oniemiał, jakby istotnie przemówiła do niego moc kirkutu. Książka! Żydowski antykwariusz z Krakowa. Stieglitz! To ostatnia ścieżka prowadząca do *Chrztu Warneńczyka*. Avi dotarł do willi w Bagdadzie dzięki inwigilacji bractwa Bokira przez wywiad wojskowy. O Stieglitzu nic nie wie, a przecież ten jeszcze w latach osiemdziesiątych mieszkał w Tel Awiwie. Może na sąsiedniej ulicy.

Kasia, zaabsorbowana bogato rzeźbioną stalą z symbolem cyrkla, nie zwróciła uwagi na przemianę Kuby, dlatego aż krzyknęła, gdy nagle podskoczył, objął ją i uniósł w górę.

– Wstąpił w ciebie duch sztukmistrza z Lublina? – spytała.

Nie odpowiedział. Uśmiechał się do niej promiennie, myśląc, że zaraz po powrocie trzeba wszcząć poszukiwania obrazu. Musi niezwłocznie zadzwonić do Aviego. Kto wie – może nawet polecieć do Izraela.

Wtedy, na cmentarzu żydowskim w Białej Prudnickiej, prokurator IPN-u Jakub Kania nie mógł przewidzieć, że nie zdąży.

Rozdział 81

Kiedy na opolskim pogórzu Sudetów popołudnie jest w szczycie formy i bynajmniej nie zamierza ustąpić wieczorowi, we wschodniej części Półwyspu Arabskiego panuje już głęboki zmierzch. Reflektory białego mercedesa prowadzonego wprawna ręką Asifa rozcinały ciemność, wydobywając z niej roje owadów zmęczonych upałem. Ochroniarz przywódcy bractwa Bokira wracał z hotelu Hilton w Ras al-Chajma, do którego odwiózł profesora Absiego, martwiąc się o samopoczucie szejka, którego po raz drugi dziś zostawił samego na kilka godzin.

Po spotkaniu z historykiem sztuki Matar wydawał się zadumany, wręcz nieobecny, a jego gość blady i poruszony. Asif wiele by dał, aby dowiedzieć się, o czym rozmawiali, ale uznał, że zapytanie o to Absiego byłoby wysoce nieprofesjonalne.

Mimo późnej pory szejek na niego czekał i w milczeniu wskazał mu miejsce na sofie.

– Synu – zaczął niemal uroczyście. – Sytuacja wymaga naszych zdecydowanych działań. Po rozmowie z profesorem podjąłem decyzję, że musimy szybko zająć się tym polskim urzędnikiem. Nazywa się Kania, tak?

– Dokładnie tak, ojciec – potwierdził Asif.

– To kamień na ścieżce Proroka – rzekł Matar. – Największy z dotychczasowych. Trzeba go usunąć skutecznie i bez śladu.

– Bliźniacy? – upewnił się ochroniarz.

– Tak. – Szejek skinął głową. – Ale tym razem sprawa wymaga największej dyskrecji. Spraw, aby Samir Salmandżić przyleciał do Emiratów. Sam. Razem z bratem za bardzo rzucają się w oczy.

Spotkasz się z nim i osobiście przekażesz mu moje instrukcje.

Asif poczuł zapach krwi.

– Oczywiście, ojcze. Możesz uznać, że Kania jest już martwy.

Matar spojrzał na niego ze zdumieniem i przez chwilę porządkował myśli.

– Miałeś prawo tak sądzić – usprawiedliwił wiernego sługę. – Powinienem od początku wyjawić ci mój zamiar. Otóż Kani nie wolno zabijać. To wykluczone. Dotarł zbyt wysoko, wtajemniczył w sprawę ludzi tak wpływowych i potężnych, że potrafili wytropić willę Absiego i wysłać do niej elitarną jednostkę wojskową. Byli o włos od tajemnicy Matejki. Zdajesz sobie sprawę, jak się zachowają, gdy Kania raptem dostanie ataku serca lub zginie w wypadku jak Karewicz i Włodarczyk? Zaczną węszyć, a to zbyt ryzykowne.

– Czy mogę coś powiedzieć, ojcze? – spytał cicho Asif.

– Mów.

– Kania stwarza nie mniejsze ryzyko. Jest dociekliwy i uparty. Nie przestanie szukać *Chrzta Warneńczyka* nawet po porażce w Bagdadzie.

– To prawda – zgodził się Matar. – Dlatego trzeba go wyeliminować. Wytrącić mu broń z ręki tak, aby więcej po nią nie sięgnął. Skompromitować go i ośmieszyć.

– Ojcze, wnoszę z twoich słów, że masz już gotowy plan. – Oczy Asifa błysnęły z ciekawości.

– Wiem, co zrobić – odparł spokojnie szejk. – Szczegółowy plan wymyślą bliźniacy. Serbowie nie bez przyczyny nazywali ich duet „mózgiem”. A teraz posłuchaj mnie uważnie... – Matar spojrzał przenikliwie na ochroniarza. – *Chrzest Warneńczyka* Jana Matejki musi zostać odnaleziony w Polsce w maksymalnie wiarygodnych okolicznościach. Rozumiesz? Ma niezwłocznie trafić do muzeum w Krakowie lub w Warszawie.

Asif miał wrażenie, że śni.

– Jak to? – wydukał z największym zdumieniem – przecież...

Szejk skarcił go spojrzeniem. Nie znosił kwestionowania swoich słów. W innych okolicznościach po prostu rozkazałby słudze wyjść

z pokoju i przemyśleć swoje nieposłuszeństwo, ale Asifa rzeczywiście traktował jak syna. Dlatego stłumił gniew i spokojnie opowiedział mu o tajemnicy Jana Matejki odkrytej w Europie przez profesora Absiego.

Rozdział 82

Dyrektor Wiesław Paluch nerwowo zerkał na zegarek. Do chwili, o której marzył od wielu miesięcy, pozostało niecałe pół godziny. Zerwał się zza biurka, aby przejść się zdecydowanym krokiem po gabinecie i potrenować w lustrzanych drzwiach szafy bibliotecznej miny, jakie opracował rano przy goleniu. Składały się głównie z szyderczych grymasów oraz piorunujących spojrzeń, których mógłby pozazdrościć Paluchowi warszawski Bazyliszek. Ponownie obejrzał przegub lewej ręki opasany bransoletką chińskiej imitacji Omegi Constellation, po czym wrócił za biurko i kolejny raz starannie zlustrował leżące na nim dokumenty. Niektóre z nich miały przyklejone żółte karteczki z dopiskami zakończonymi znakami zapytania lub szeregiem wykrzykników.

Punktualnie o wyznaczonej godzinie sekretarka nacisnęła guzik interkomu, anonsując przybycie prokuratora Jakuba Kani.

Zapraszam – chciał powiedzieć dyrektor, ale w ostatnim ułamku sekundy zmienił zwrot na coś, co wydało mu się znacznie lepsze.

– Niech wejdzie – rzucił do mikrofonu urządzenia na tyle nonszalancko i głośno, aby ten pyszałkowaty Kubuś w sekretariacie usłyszał wyraźnie, że czeka go rozmowa ze zwierzchnikiem.

– Wszedłem – powiedział Kuba, przekraczając próg gabinetu.

Paluch zaczerwienił się z wściekłości i gorączkowo myślał, czy sam powinien w tej sytuacji powiedzieć kpiące „dzień dobry” albo zwrócić podwładnemu uwagę na jego maniery, ale opanował się i ruchem dłoni wskazał fotel stojący po drugiej stronie biurka.

– Jak tam wizyta w Gliwicach? – spytał, zanim Kuba zdążył

usiąść.

– Owocnie – odparł prokurator. – Znalazłem arcyciekawe rozkazy dowódców Wojska Polskiego z czterdziestego szóstego roku, dotyczące traktowania ludności autochtonicznej na Śląsku. Instruuja, jak obrażać i poniżać tych ludzi, znęcając się nad nimi psychicznie. Spodobałyby się panu dyrektorowi.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – Paluch znów spurpurowiał. Kuba zrobił zdziwioną minę.

– Mam na myśli wartość historyczną tych rozkazów – wyjaśnił. Paluch wolał uniknąć dalszej dyskusji na ten temat.

– W sumie to wezwałem pana w zupełnie innej sprawie – zaczął, uświadamiając sobie, że zaczyna się pocić. – Chciałbym wrócić do tematu tego obrazu Matejki. Jakżeż się on nazywał?

– *Chrzest Warneńczyka* – odparł zdziwiony Kania. – Czy coś się wydarzyło w tej sprawie?

Dyrektor zignorował pytanie.

– Panie kolego, proszę mi przypomnieć pańską koncepcję zaangażowania IPN-u w poszukiwanie tego płótna. O ile sobie przypominam, wspomniał pan o zakrojonych na dużą skalę działaniach międzynarodowych i zbudowaniu wokół nich kampanii politycznej związanej z polskim dążeniem do pojednania z islamem. Chciał pan użyć przesłania obrazu Matejki do pokazania w pokojowym świetle naszej obecności w Iraku i Afganistanie. Czy tak?

Kuba poczuł falę radosnego podniecenia. A jednak dyrektor dostrzegł w poszukiwaniach *Chrztu Warneńczyka* jakieś osobiste korzyści i gotów jest zaangażować instytut. Tego się nie spodziewał, więc ucieszył się jak dziecko.

– Właśnie tak, panie dyrektorze – powiedział z entuzjazmem. – Gdybyśmy zaczęli oficjalnie szukać obrazu, to...

– ...tobyśmy się oficjalnie ośmieszyli! – Paluch przeobraził się w ułamku sekundy i rąbnął pięścią w blat biurka, aż podskoczyła ramka z panoramiczną fotografią mieszczącą jego wszystkie dzieci.

– Czy właśnie o to panu chodziło, panie Kania?

Kubę замуrowało.

– Nie rozumiem, panie dyrektorze – wydukał.

– A mnie się zdaje, że rozumie pan doskonale – rzucił cynicznie Paluch. – Mało tego! Jestem przekonany, że chciał pan wciągnąć mnie w tę grę z pełną premedytacją, aby mnie skompromitować i pozbawić stanowiska. Wystarczyłoby, abym wyraził zgodę na dochodzenie w sprawie obrazu, a na drugi dzień pańscy kumple z mediów załatwiliby mnie jak trzeba. Byłbym ośmieszony i skazany na śmierć cywilną.

Kuba patrzył na niego w bezgranicznym osłupieniu.

– I co się pan tak gapi? – spytał Paluch, nie panując już nad emocjami. – Boli pana, że okazałem się sprytniejszy i przejrzałem pańską brudną grę? O tak, boli. Ale Wiesław Paluch nie jest idiotą. Niech pan to sobie zapamięta. Wiesław Paluch potrafi przewidzieć ruchy przeciwnika nie tylko na szachownicy – irytacja dyrektora ustąpiła miejsca samouwielbieniu. Oskarżycielsko wyciągnął wskazujący palec w stronę Kani, ale raptem wycofał go i sięgnął po plik papierów, na które wcześniej zerkał parokrotnie, zastanawiając się, w jakim momencie ich użyć. Podniósł dokumenty i cisnął je na przeciwległy skraj biurka, w stronę Kuby.

– Proszę bardzo! – Paluch dramatycznie podniósł głos. – Oto niezbity dowód pana intrygi. Chciał mnie pan wciągnąć w poszukiwania obrazu, który znajduje się w Muzeum Narodowym w Warszawie!

Kuba wpatrywał się w print screeny, wydruki stron internetowych z informacjami, które sprawiły, że jego tętno gwałtownie przyspieszyło. Lokalny portal donosił, że podczas niedawnej wystawy w Płocku pokazano kilka płócien Jana Matejki, w tym *Chrzest Warneńczyka*. Gdzie indziej wypowiedział się ekspert, który twierdził, że obraz był od jakiegoś czasu w depozycie na terenie Warszawy. Plik uzupełniała oficjalna metryka zbiorów Muzeum Narodowego – z numerem katalogowym oraz parametrami obrazu.

Kuba czytał chciwie i czuł, że coraz mocniej kręci mu się w głowie.

– Czy mogę dostać szklanek wody? – spytał dyrektora.

– Tylko mi tu bez hysterii – ostrzegł Paluch, ani myśląc spełniać prośby.

– Skąd pan to ma? – Kania uniósł dokumenty.

– Nie pańska rzecz. Mam swoje źródła – rzekł oschle dyrektor, nie przyznając się, że otrzymał wydruki pocztą od anonimowego nadawcy.

– Wierzyć się nie chce – powtarzał Kuba, kręcąc głową.

– Dość tego – uciął Paluch. – Koniec przedstawienia. Wszystko wyszło na jaw.

– Zapewniam pana dyrektora... – zaczął prokurator, ale nie dane mu było dokończyć.

– Mam gdzieś twoje zapewnienia! – Paluch ponownie uderzył pięścią w blat biurka. – Dociera to do ciebie? Czy mam powtórzyć? Od pierwszego dnia w IPN-ie budzisz we mnie odrazę i znoszę współpracę z tobą tylko dlatego, że taka jest wola szefa. Teraz niczego ci nie udowodnię, bo nie mam kwitów na to, że chciałeś mnie naciągnąć na to dochodzenie. Nie kazałem ci napisać oficjalnej prośby o wszczęcie działań, czego bardzo żałuję, bo już byłoby po tobie. Ale jeszcze nadarzy się okazja, a wtedy wylecisz z instytutu na zbity pysk. Zapewniam cię – dodał z szyderczym grymasem.

Wybuch dyrektora otrzeźwił Kubę i wyrwał go z szoku wywołanego informacjami o obrazie Matejki.

– No cóż. – Zdobył się na sztuczny uśmiech, choć wszystko w nim kipiało. – Będę musiał z tym żyć. Ale pogrożki sobie daruj, bo nie robią na mnie najmniejszego wrażenia.

– Tylko nie „ty”! – wrzasnął Paluch. – Tylko się tu nie spoufalaj! Świń z tobą nie pasłem.

– To akurat prawda. Bo ja w ogóle nigdy świń nie pasłem – wyjaśnił Kuba i wyszedł z gabinetu.

Tego samego dnia umówił się z jednym z kustoszów Muzeum Narodowego, uprzedzając telefonicznie temat rozmowy. Odniósł wrażenie, że człowiek po drugiej stronie słuchawki nie był tym zachwycony, ale funkcja prokuratora IPN-u zrobiła swoje.

– Zapraszam pana na piętnastą – powiedział chłodno.

Nie „o” piętnastej, ale „na” piętnastą. „Kolejne wezwanie”, pomyślał z niechęcią Kuba, czekając na tramwaj przy Towarowej. Mijając miejsce wypadku Pawła Włodarczyka, zauważył, że wgnieciona barierka została już zastąpiona nową. Przez głowę przebiegało mu mnóstwo myśli. Jeśli rzeczywiście ktoś pomógł dziennikarzowi opuścić ten świat z powodu *Chrzta Warneńczyka*, to jego śmierć była absurdem. Włodarczyk zginął, bo znalazł się zbyt blisko tajemnicy obrazu, który teraz – jak gdyby nigdy nie – wisi sobie w publicznym muzeum parę przecznic dalej? A może to był zwykły wypadek drogowy, a ja zaczynam tracić rozum? – dobił się i gdy drzwi tramwaju otwarły się na przystanku w Alejach Jerozolimskich, chciał wyskoczyć i dać sobie spokój z tą sprawą raz na zawsze. Powstrzymał się w ostatnim momencie.

Nie wiadomo, z jaką łatwością *Chrzest Warneńczyka* dostał się do wnętrza Muzeum Narodowego, ale można zaryzykować twierdzenie, że Kubie poszło trudniej. Najpierw został wylegitymowany i wnikliwie przesłuchany przez funkcjonariuszkę biura przepustek, potem czekał na korytarzu, bo linia telefoniczna sekretariatu kustosza była zajęta, co uniemożliwiało zaanonsowanie gościa. Kuba liczył, że wspólny przymiotnik w nazwie jego Instytutu oraz Muzeum będzie jakimś ułatwieniem, ale srodze się mylił. Kiedy po pięciu minutach poprosił o sprawdzenie, czy linia kustosza jest już wolna, pani z recepcji popatrzyła na niego, jakby był postacią z kina niemego. Widziała go, ale nie słyszała.

Wreszcie po upływie kolejnych minut z entuzjazmem kogoś, kto oddaje obcej osobie własną nerkę, podniosła słuchawkę i powiedziała krótko:

– Jest ktoś do kustosza. Kania na nazwisko.

Kuba, Kania na nazwisko, został oddany pod opiekę strażnika, który poprowadził go labiryntem korytarzy, obserwując go bacznie, jakby prokurator IPN-u przybył z oczywistym zamiarem rabunku jednego z ośmiuset trzydziestu tysięcy eksponatów przechowywanych w budynku przy Alejach Jerozolimskich 3. Kuba

nabrał podejrzeń, że gościnność personelu została zamówiona przez kustosza jako zestaw zniechęcający intruza, dlatego zdziwił się, gdy w drzwiach gabinetu stanął mężczyzna od pierwszego spojrzenia budzący sympatię.

Zamiast przykurzonego granatowego fartucha, w jaki z reguły ubrany jest filmowy stereotyp kustosza, miał na sobie dzinsy i gładki popielaty sweter, spod którego wyzierał kołnierzyk białej koszuli. Nosił eleganckie okulary, w niczym nieprzypominające gadżetu muzealników o grubych rogowych oprawkach i szklach powiększających bardziej niż teleskop Hubble'a. Patrzył przyjaźnie, choć z zauważalnym dystansem.

– Czy IPN prowadzi w sprawie *Chrzta Warneńczyka* oficjalne dochodzenie? – zapytał, gdy tylko usiedli w fotelach, które mogłyby zostać antykami za kilkaset lat, gdyby od dziś zaniechano ich używania.

Kuba spodziewał się podobnego pytania, dlatego zagrał pokerowo, kładąc na stoliku kserokopię pisma Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

– Poszukiwania obrazu rozpoczęła instytucjonalna poprzedniczka IPN-u – wyjaśnił rzeczowo, wskazując dokument. – Na wniosek pana Stanisława Lorentza.

Nazwisko robiło wrażenie na każdym muzealniku, zwłaszcza w tym gmachu, którego dziedziniec nosił imię profesora, identycznie jak aleja biegnąca na tyłach muzeum. Kustosz chrząknął znacząco, ale wolał się upewnić:

– Rozumiem, że sprawa jest kontynuowana?

Kuba uśmiechnął się rozbijając.

– W naszej działalności nie ma przedawnień. Sam pan rozumie.

Kustosz musiał uznać ten argument.

– Co pan prokurator chce wiedzieć?

– Nie zaskoczę pana – rzekł przyjaźnie Kuba. – Interesuje mnie, w jaki sposób obraz trafił do muzeum i czy zna pan okoliczności jego odnalezienia się.

Mężczyzna w popielatym swetrze zdjął okulary i przez dłuższą chwilę wycierał je chusteczką, po czym – sprawdzwszy własną

staranność – założył je i oświadczył:

– Płótno zostało przekazane jako proveniencja. Inaczej mówiąc, dar.

– Dar rodziny Głębockich?

– Pan wybaczy, ale proszono nas o dyskrecję. Jeśli istnieją jakiegokolwiek podejrzenia w tej kwestii, proszę pana o zakończenie rozmowy i wystąpienie na drogę proceduralną. Mogę jednak ręczyć, że wszystkie dokumenty obrazu są legalne, wraz z prawem własności i deklaracją woli przekazania *Chrzta Warneńczyka* polskiej kulturze narodowej. Nie ma tu nic sensacyjnego – dodał z lekką przyganą w głosie.

Kuba uniósł otwarte dłonie w geście znanym już ludziom jaskiniowym: nie mam broni, przychodzę w pokoju.

– Nie jestem dziennikarzem prasy brukowej. Sprawdzam tylko fakty, choć nie przeczę, że ta sprawa zaciekała mnie nie tylko służbowo. Przyzna pan, że obraz ma dość barwną historię. Namalowany przez Matejkę w wielkiej tajemnicy, został wywieziony do prywatnego majątku na Wołyniu, zanim zdążył dobrze wyschnąć. Skradziony przed rewolucją październikową, nagle się odnajduje, potem znów ginie, znów się odnajduje, ponownie ginie i nagle, hokus-pokus, trafia do Muzeum Narodowego. Możemy się umówić, że nie jest to historia sensacyjna, co nie zmieni faktu, że taka właśnie jest. Nie sądzi pan?

Tyrada prokuratora IPN-u nie zrobiła na kustoszu wielkiego wrażenia.

– Dla nas najważniejsze jest, że dzieło Matejki zostało odzyskane dla naszej kultury – oświadczył, jakby brał udział w konferencji prasowej, na którą przyszli wyłącznie reporterzy tabloidów.

– I stwierdza pan to tak beznamietnie? – drażył Kuba. – Przecież to było jedno z najbardziej poszukiwanych zaginionych dzieł polskiego malarstwa.

– Skąd pan prokurator zaczerpnął taką wiedzę? – spytał rzeczowo kustosz.

– Z portalu sztuka.pl. Kilka miesięcy temu *Chrzest Warneńczyka*

był tam w czołówce rankingu obrazów, po których ślad zaginął.

Mężczyzna w popielatym swetrze bez słowa wstał, podszedł do biurka i uruchomił stojący na nim laptop. Wpisał do wyszukiwarki adres podany przez Kubę, po czym odwrócił w jego stronę komputer, aby gość mógł wyraźnie obejrzeć rezultat.

– Taki portal nie istnieje, panie prokuratorze.

– Korzystałem z niego całkiem niedawno. Proszę sprawdzić raz jeszcze.

Kustosz spełnił prośbę.

– Niestety – powiedział z żalem, który wyglądał na szczery. – W internecie nie ma nawet informacji, co się z nim stało. Może został zamknięty z powodu swojej wątpliwej wiarygodności?

Kuba pokiwał głową.

– Czyli „nic nie było”, jak mawia się na meczach piłkarskich. Żadnych sensacji, żadnych kradzieży obrazu i żadnych jego poszukiwań. A to? – spytał, podnosząc ze stolika dokument Głównej Komisji. – Potraktujemy to jak Anglicy śnieg? Udajmy, że nie widzimy, to może zniknie?

– Panie prokuratorze – rzekł pojednawczo kustosz. – Emocje muzealników nie sięgają tej częstotliwości, co temperament detektywa, choć czasami występujemy w tej drugiej roli. Ale za tą ścianą, w salach wystawienniczych i w magazynach, jest przynajmniej pół miliona eksponatów, których dzieje mogłyby być tematem sensacyjnych opowiadań. Niektóre to gotowe scenariusze filmowe. Proszę mi wierzyć. Nie kręcę. – Porozumiewawczo mrugnął okiem.

– Mogę spytać o coś jeszcze?

– Naturalnie – uśmiechnął się kustosz.

– Jak to możliwe, że media nie odnotowały odnalezienia *Chrzta Warneńczyka* nawet najmniejszą wzmianką?

Rozmówca Kuby rozłożył ręce.

– Pytanie nie do mnie. Nie pojmuję dzisiejszego dziennikarstwa. Ale jeśli miałbym pomóc panu w myśleniu, to powiem tak: po pierwsze, *Chrzest Warneńczyka* nie jest arcydziełem kalibru *Bitwy pod Grunwaldem* ani *Hołdu pruskiego*. Tak zwana szeroka

publiczność medialna nie zna tego obrazu, a jeśli szeroka publiczność medialna czegoś nie zna, to znaczy, że to coś nie istnieje. Newsroomy tego nie kupują.

Po drugie, znajdujemy się w przestrzeni sztuki. Sztuka nie chodzi w mediach. Nie sprzedaje się pod nią ani centymetr kwadratowy powierzchni prasowo-internetowej i ani sekunda czasu antenowego reklamy radiowo-telewizyjnej. Po trzecie wreszcie, muzeum nie nagłaśnia takich wydarzeń. Kiedy moi koledzy z Krakowa zawiadomili media o sensacyjnym odnalezieniu za oceanem obrazu Jana Matejki *Zabicie Wapowskiego podczas koronacji Henryka Walezego*, lokalne wydanie „Gazety Wyborczej” wspomniało o tym w paru wierszach na dole kolumny. Na dodatek z sugestią, że wyrządziło tym niebagatelną grzeczność dyrekcji Zamku Królewskiego na Wawelu, gdzie wystawiono odzyskany obraz.

Kuba milczał, przytłoczony ciężarem usłyszanych dziś wiadomości.

– Odpowiedź brzmi: tak – powiedział nieoczekiwanie kustosz.

– Nie rozumiem – Kuba popatrzył na niego jak pacjent wybudzony z narkozy.

– Uprzedzam pańskie następne pytanie: „Czy mogę obejrzeć *Chrzest Warneńczyka?*”. Tak, może pan. Zapraszam.

Rozdział 83

Pod numerem identyfikatora MP5262 w warszawskim Muzeum Narodowym znajduje się pozycja zbiorów z dziedziny malarstwa, której pełna nazwa katalogowa brzmi: „Chrzest Władysława Warneńczyka 18 II 1425 roku”. Dzieło, wykonane techniką oleju na płótnie, ma 18 592 centymetry kwadratowe, które dogłębnie poznało tylko trzech ludzi. Pierwszym z nich był autor obrazu Jan Alojzy Matejko, drugim równie wybitny malarz Leon Wyczółkowski, który w Łaszkach uzupełniał fragmenty *Chrztu* uszkodzone podczas transportu z Krakowa, trzecim zaś prokurator IPN-u Jakub Kania.

Od chwili gdy po raz pierwszy ujrzał oryginał obrazu, Kuba spędził przed nim wiele godzin, studiując najdrobniejsze detale, najmniejszy ruch pędzla i fakturę farby. Pieczołowicie obejrzał postacie, ich szaty, twarze, gesty i spojrzenia. Przeanalizował każdą cegłę muru katedry wawelskiej, na tle której Matejko umieścił królewski orszak. Przemierzył oczami stopnie schodów i zlustrował tłum przybyły na uroczystość. Szukał tajemnicy: kodu wskazującego drogę do prorocstwa arby i pojednania chrześcijaństwa z islamem.

Muzeum nie robiło mu trudności. Kustosz, który przed kolejną wizytą zdążył prześwietlić Kubę w wyszukiwarce internetowej i dowiedział się, ile przysług wyrządził prokurator IPN-u polskiej historii, postarał się o stosowne zezwolenia dyrekcji muzeum i niewielką pracownię, w której ustawiono sztalugi z obrazem. Pomieszczenie miało częściowo przeszklone drzwi, zatem każdy, kto przechodził korytarzem części biurowej, mógł oglądać

niecodzienną scenę. Na środku pokoju, twarzą do sztalug i tyłem do drzwi stał nieruchomo niewysoki ciemnowłosy mężczyzna, wpatrzony, a raczej połączony wzrokiem z płótnem Matejki, jakby było ono źródłem jakiejś nieznannej energii. Mężczyzna miał ręce opuszczone wzdłuż ciała, a na dłoniach białe bawełniane rękawiczki, jakie noszą pracownicy muzeum dotykający dzieł sztuki. Było w nim coś wzbudzającego współczucie.

Kustosz też je poczuł, dlatego podczas kolejnej „sesji” dyskretnie zapukał do drzwi pracowni, co wyrwało Kubę z odrętwienia. Powoli odwrócił się od obrazu i zmobilizował do mizernego uśmiechu.

– Odkrył pan coś interesującego? – spytał łagodnie muzealnik.

Kuba przecząco pokręcił głową i przez moment zapanowała smutna cisza.

– Zna pan takie porzekadło – spytał kustosza – „Gadał dziad do obrazu, a obraz doń ani razu”? No, to mniej więcej mamy tu do czynienia z taką sytuacją. – Spojrzał na zegarek. – Czas na mnie. Jeszcze raz dziękuję za okazaną pomoc.

– Nie ma za co. Proszę zaglądać, kiedy tylko pan zechce – odpowiedział kustosz i uściśnął rękę, z której roztargniony Kuba w ostatniej chwili ściągnął bawełnianą rękawiczkę opinającą dłoń jak pokrowiec. Przez głowę przemknęła mu refleksja, że choć nie rozwiązał zagadki powrotu *Chrzta Warneńczyka*, to wie na pewno, że został on zorganizowany w białych rękawiczkach.

Pod koniec lata przyjechał Avi Leibowitz. Wieczorem miał być na Żoliborzu na kolacji, co stało się powodem entuzjazmu Kasi, która od tygodnia studiowała kulinarne reguły judaizmu, biorąc sobie za punkt honoru, aby na stole znalazły się wyłącznie kosherne potrawy. Kuba więc codziennie wysłuchiwał wykładu o tym, co Tora mówi o czystości pokarmów, oraz konsultował menu. Nie było to łatwe. Zwłaszcza że kunszt kulinarny prokuratora IPN-u sprowadzał się do umiejętności podgrzewania frankfurterek, o których *Pięcioksiąg Mojżesza* nie wspomina ani słowem.

Dwa dni przed kolacją, na którą ostatecznie miał być karp

z rodzynekami w galarecie, barszcz z fasolą i czulent z cielęciny, Kuba – wyciągnięty na sofie – dyplomatycznie zmienił temat i zagadnął Kasię krzątającą się przy blacie oddzielającym aneks kuchenny od salonu:

– Rozmawiamy z Avim o obrazie?

Kasia nie potrzebowała czasu do namysłu.

– Jeśli sam zaczniesz, to rozmawiamy. A jeśli nie, to nie. Wiem, dlaczego pytasz. – Pogroziła mu nożem do krojenia warzyw. – Chcesz wywołać temat.

Kuba podłożył ręce pod głowę i zrobił nadąsaną minę.

– Okej. Nie to nie.

– Kuba, nie kombinuj. Obiecałeś, że będziesz pantoflarzem – przypomniała z uśmiechem.

– To było po butelce merlota.

– Liczy się treść przyrzeczenia, a nie okoliczności.

– Od dziś nie piję ani kropli wina – zawyrokował.

– Dobrze – powiedziała Kasia pojednawczo. – Pojutrze jedziecie razem z Avim do Gdyni, gdzie będzie znacznie lepsza okazja do rozmowy. Chociaż, moim zdaniem, wypytywanie byłego oficera wywiadu o operację w Bagdadzie jest co najmniej nietaktowne. Nie sądzisz?

Zamyślił się. Ku jego zdziwieniu parę tygodni temu Kasia zareagowała na wieść o odnalezieniu *Chrzta Warneńczyka* zupełnie inaczej, niż przypuszczał. Spodziewał się jej totalnego zaskoczenia, zawodu, poczucia porażki, a ujrzał coś w rodzaju ulgi. Nie przyznał się, ale lekko go to ukłuło. Przez jakiś czas czuł rozzalenie, że ukochana osoba nie dzieli jego goryczy. Teraz, gdy minął szok niespodziewanej wiadomości i opadł dym po rozmowie z Paluchem, Kuba uświadomił sobie prostą prawdę: obraz się znalazł. A że nie on tego dokonał, to co? Do cholery, w końcu nie został stworzony – jak korporacyjne cyborgi coraz gęściej zaludniające Warszawę – wyłącznie do odnoszenia sukcesów. Nie spowodował, że *Chrzest* trafił do muzeum – trudno. Naraził się na absurdalne zarzuty Palucha – trudno. Nie rozszyfrował tajemnicy proroctwa? ...o, to jeszcze nie jest powiedziane, pomyślał i poczuł się jak wiking

przed podbojem nowego lądu.

Popatrzył ciepło na Kasię. Dla niej odnalezienie obrazu to koniec negatywnych emocji. Skoro dzieło Matejki tak łatwo trafiło do muzeum, to znaczy, że może nie istnieli źli ludzie, którzy strzegli mrocznej tajemnicy *Chrzta Warneńczyka*, bo tacy ludzie raczej nie odpuszczają. Może więc w tej sprawie wcale nie było złych ludzi? Może jej dziadek Kazimierz Karewicz i dziennikarz Paweł Włodarczyk zginęli w zwykłych wypadkach drogowych, jakie zdarzają się każdego dnia? Może jak mała dziewczynka bała się ciemności, w której kryje się zło, ale ta ciemność okazała się pusta. I nie ma w niej niczego, co mogłoby grozić ukochanemu.

Kuba był pewien, że Kasia tak właśnie myśli, a świadomość ta topiła mu serce jak wosk. Chciał to nawet oznajmić, ale wikingowie przed podbojem nowego lądu nie okazują słabości.

– I tak znajdę klucz do przepowiedni związanej z obrazem – oświadczył, starając się, aby zabrzmiało to walecznie.

– Szukaj – Kasia kiwnęła głową. – Będę ci kibicować. Mogę nawet nosić szalik z twoimi barwami. Ja już znalazłam w tej historii swój skarb.

– Mnie! – zawołał Kuba, nadmiernie utożsamiając się z rolą wikinga.

– Poniekąd – stwierdziła Kasia powściągliwie. – Ale nie tylko.

Avi przywiózł butelkę dziesięcioletniej gamli – wina z płaskowyżu wzgórz Golan. Kuba nalewał je do kieliszków niemal drżącymi rękami, zapominając o przedwczorajszej obietnicy. Dla takiego wina mógł zostać pantoflarzem.

Podczas kolacji Avi wspominał dzieciństwo w Warszawie i na Kaszubach, opowiadał o nieoczekiwanym wyjeździe do Izraela. Miał dziewiętnaście lat, gdy poznał Szymona Wiesenthala i ludzi z jego zespołu Łowców Nazistów. Dołączył do nich, dokładając swój mały kamyczek do ujęcia i postawienia przed sądem kilkuset zbrodniarzy hitlerowskich. Ekipa tropicieli nosiła nazwę Instytutu do spraw Wywiadu i Zadań Specjalnych, ale bardziej znana była jako Mossad. Światową sławę zyskała po porwaniu w Argentynie,

a następnie odurzeniu narkotykami, przetrzuceniu do Izraela, skazaniu i straceniu Adolfa Eichmanna, twórcy i gorliwego wykonawcy programu ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej.

– Po kilku latach spłaciłem dług pamięci rodziców zamordowanych w Treblince i przeszedłem do wywiadu wojskowego – wyjaśnił emerytowany pułkownik Amanu. – Ale do dziś mam bliskie relacje z ludźmi poszukującymi nazistowskich niedobitków. Moi dwaj przyjaciele schwytali Klausea Barbiego. Dzwonię do nich parę razy w miesiącu z pytaniem, co robią. Odpowiadają, że każdego dnia modlą się o zdrowie i długie życie dla zbrodniarzy hitlerowskich, aby to oni zdążyli ich dopaść, a nie zwykła biologiczna śmierć. Ciekawi ludzie – uśmiechnął się Avi. – W Polsce też mają swego idola.

– Kogo? – zainteresowała się Kasia.

Avi zrobił szelmowską minę:

– Twojego faceta, Kaśka – wymawiał jej imię z zabawnym akcentem. – Od kiedy złapał Erwina Winklera, jest w Izraelu bohaterem. Jedno słowo i ma u nas pracę.

Kuba wyduł wargi.

– Żarty.

– Wcale nie – zaprotestował Leibowitz. – Przecież zajmowałeś się tym w IPN-ie. Mógłbyś zostać dobrze płatnym konsultantem. Wystarczyłoby trochę polatać po świecie i raz w miesiącu pokazać się w Tel Awiwie. Przecież mówiłeś przez telefon, że masz dość swojej roboty, bo twój dyrektor to szmondak.

– Szekel jest kiepsko notowany na rynkach walutowych – Kuba starał się obrócić propozycję w żart.

– Właśnie – dodała Kasia. – Płaćcie mu w winie, a wyłapie wam hitlerowców co do jednego. Po winie przyrzekł nawet, że zostanie pantoflarzem.

– Pantoflarzem? – Avi szczerze się zdziwił. – Szewcem? Będziesz robić buty?

Kuba nie zdążył odpowiedzieć, bo oboje z Kasią wybuchnęli śmiechem.

Rozdział 84

Gdynia pachniała wiatrem. Był ciepły, ale niespokojny. Psotny – jak nazwaliby go autorzy książek dla dzieci. Bardziej powiewał, niż wiał. Wpadł do mariny i poszarpał linki łódek zacumowanych rufami w stronę Muzeum Marynarki Wojennej. Zerwał kapitańską czapkę otyłemu turyście ze śląskim akcentem, który krzyczał coś o pierońskiej wichurze. Rozrzucił papierki po lodach na patyku wypełniające kosz koło budki przy deptaku.

Avi Leibowitz z Antonim Kanią szli wzdłuż nabrzeża, na zmianę trzymając się pod ręce, jakby chcieli złożyć hołd przyjaźni, która nie zbladła mimo dziesiątek lat rozłąki orzeczonej przez los i historię. Wczoraj Kuba zabrał ich na Kaszuby. W rodzinnej wsi babci Janke śmiali się i żartowali, przywołując wspomnienia, ale na placu przed kolegiatą w Kartuzach nagle bez słowa i jak na zawołanie padli sobie w objęcia, trwając w uścisku przez długie minuty, zanim łzy nie zmyły żalu rozstania sprzed kilkudziesięciu lat. Czas zatoczył koło, pomyślał Kuba, patrząc jak dwóch twardych mężczyzn zahartowanych przez doświadczenia nie potrafi opanować łkania, i sam rozplakał się jak dziecko.

Wieczorem w mieszkaniu na Bema izraelska pejsachówka prowadziła dialog z nalewką z pigwy autorstwa bosmana Kani, co rano wymagało wietrzenia świadomości podczas długiego spaceru. Najpierw udali się na dworzec odebrać Olgierda Giecewicza, który przez ostatnie miesiące zaprzyjaźnił się z Kubą i przyjechał z Krakowa, aby dołączyć do męskiego meetingu w Gdyni. Po czym już w czwórkę pomaszzerowali na dziką plażę w Redłowie, zostawiając po drodze bagaż profesora w jednym

z nadmorskich pensjonatów.

Wiatr ustał. Antoni z Olgierdem rozmawiali o Wilnie, siedząc na pniu drzewa, które parę lat temu osunęło się z klifu po jesiennym sztormie. Kuba z Avim wybrali się na bukowe wzgórze, aby obejrzeć stanowiska artylerii broniącej wybrzeża we wrześniu 1939 roku.

– Powiedz mi, co zaszło w Bagdadzie – powiedział prosząco Kuba, gdy dotarli do betonowych postumentów, na których stały niegdyś ciężkie działa zdolne zatopić każdy nieproszony okręt zbliżający się do gdyńskiego skrawka Polski.

– W jakim Bagdadzie? – spytał Avi z intonacją przedrzeźnianą we wszystkich żydowskich dowcipach. – Ja nawet nie wiem, gdzie to jest.

– Proszę cię, Avi. Obraz nagle wrócił do muzeum w Warszawie. Pomóż mi to zrozumieć.

Były pułkownik Amanu swoim zwyczajem ujął go za przedramię.

– Powiem to tylko raz i nigdy więcej nie będziemy o tym rozmawiać – zastrzegł z pełną powagą. – Organizacja Bokira, o której ci opowiadałem wtedy pod Łomżą, musiała się bardzo przestraszyć, kiedy namierzono dom irackiego historyka sztuki zamieszanego w sprawę obrazu i paru chłopców złożyło mu niezapowiedzianą wizytę. Nie znaleźli ani właściciela willi, ani dzieła Matejki, ale sam fakt, że wdarli się do domu na przedmieściach Bagdadu wystarczył, aby islamskie zgromadzenie religijne wpadło w panikę. Moim zdaniem szybko oddali *Chrzest Warneńczyka*, do którego nie musieli przyczepiać kartki z napisem: „zabierzcie sobie obraz i dajcie nam spokój”, bo przekaz był ewidentny. Lepsze to niż dalsza inwigilacja, podczas której mogłyby wypłynąć różne rzeczy i różni ludzie. Żmija, nawet jeśli jest bardzo głodna, potrafi zostawić upolowaną mysz, aby zjadł ją jastrząb, a sama bezszelestnie znika pod kamieniem, spod którego wypęzła, bo przewiduje kłopoty ze skrzydlatym drapieżnikiem.

Kuba słuchał w milczeniu. Widać było, że argumenty trafiły mu do przekonania. Położył Aviemu dłoń na ramieniu w geście

podziękowania i wymownie skinął głową, co miało gwarantować dyskrecję. W milczeniu zeszli na plażę.

Olgierd z ojcem byli w świetnych nastrojach.

– Masz fajnego staruszka! – krzyknął profesor na widok Kuby, co przy jego skłonności do nazywania rzeczy po imieniu miało swoją wagę. – A co tam w IPN-ie? – spytał, gdy Kuba z Avim podeszli do pnia zwalonego drzewa. – Czy pan P., który urodził się dupkiem, nadal aktywnie rozwija się w tym kierunku?

Kuba otwierał usta, aby wyładować nieco emocji wywołanych przez przypomnienie dyrektora Palucha, ale Avi go uprzedził.

– Chłopak jest tak zestresowany tą robotą, że chciał już nawet zostać szewcem – wyjaśnił. – Ale to nic. Mamy dla niego propozycję pracy w bardzo podobnym instytucie historycznym w Jerozolimie. Będzie się tam czuł jak ryba w wodzie.

Antoni Kania pokręcił przecząco głową.

– Nie zgodzi się – zawyrokował. – Tam wszyscy mówiliby do niego Jakub, a on tego nie lubi.

Trzech starszych panów chichotało jak chłopcy z podstawówki. Kuba do nich nie dołączył.

– Tato ma rację – powiedział poważnie. – Nie zgodzę się.

Chichot ustał jak ucięty nożem.

– Z powodu imienia? – jęknął Avi.

– Nie. Kasia spodziewa się dziecka.

Zapanowała sekunda ciszy, a potem przerwało ją radosne *mazel tov* Aviego Leibowitza, któremu wtórowały wrzask Antoniego Kani oznajmiającego światu, że będzie dziadkiem, oraz głośne modlitwy Olgierda Giecewicza, aby Bóg dał Kubie córkę, bo syna z pewnością ochrzci Władysławem, a to imię dziś bardzo *passé*. Mewy medytujące na kamieniach popatrzyły zniesmaczone na czterech mężczyzn, którzy – objęci za ramiona – tańczyli na plaży jak szaleni.

W tym samym czasie w omańskim mieście Suhar inni czterej mężczyźni pogrążeni w głębokim smutku stworzyli kondukt żałobny odprowadzający na miejsce pochówku przywódcę bractwa

Bokira, który wiele lat temu przyjął imię Matar.

Poprzedniego wieczoru, gdy słońce zaszło za szczyty gór Al-Hadżar, szejek nieoczekiwanie zapragnął przechadzki na świeżym powietrzu. Asif troskliwie okrył go lekkim płaszczem i wyszli, udając się na wschód, w stronę Oceanu Indyjskiego. Mimo zmierzchu nadal panował upał.

Matar przez cały dzień pościł. Nie pił nawet wody, przez co jego krew gęstniała z godziny na godzinę. To musiało się źle skończyć. Zwłaszcza w takiej temperaturze. Po kilkudziesięciu krokach starzec stracił nagle władzę w lewej nodze i osunął się na ziemię. W ostatniej chwili ochroniarz zdołał go podtrzymać, zauważając przy tym, że lewa ręka szejka zwisa w całkowitym bezwładzie. Nie mógł wiedzieć, że to typowy objaw zatoru prawej tętnicy mózgowej. Paraliż zawsze występuje na odwrót, po przeciwnej stronie ciała.

– Synu – szepnął Matar. – Zadbaj o tajemnicę. Nie mów o niej mojemu następcy, jeśli tak postanowisz. Powierz ją osobie godnej, tak jak ja powierzyłem ją tobie. Pamiętaj o najważniejszym... – Szejek próbował przekazać coś jeszcze, ale jego słowa ginęły w bańkach śliny. Po sekundzie stracił przytomność. Po trzech już nie żył.

Asif upadł na kolana, ciągle trzymając w ramionach ciało świętego męża. Po raz pierwszy od czasu masakry urządzonej przez żołnierzy radzieckich w afgańskim mieście Heart po oszpeconej szrapnelem twarzy ciekły mu łzy bezsilności.

Islam każe grzebać zmarłych niezwłocznie po śmierci. Im szybciej, tym lepiej, bo to oznacza szacunek i ułatwia drogę do raju. Obrządek muzułmański praktycznie nie zna sekcji zwłok, instytucji prosektorium i zakładów pogrzebowych. Ciało mężczyzny myją mężczyźni, potem owijają je w białą tkaninę i składają do grobu. Bez trumny.

Pomny obowiązków religijnych, Asif uwinął się w ciągu nocy. Rankiem na cmentarzu stawili się dwaj kolejni następcy przywódcy bractwa, zawiadomieni telefonicznie. Czwartym uczestnikiem konduktu był imam z miasta Suhar, w którym

niegdyś urodził się Sindbad Żeglarz.

Matar pożeglował do raju w ciszy. Po zasypaniu grobu i nakryciu go prostą kamienną płytą, na której później wyryte zostaną prawdziwe imiona szejka, bez dat urodzin i śmierci, Asif pożegnał przybyłych w milczeniu i został na cmentarzu. Nagle poczuł się straszliwie samotny. Bez ojca, któremu służył przez kilkanaście lat. Bez przyszłości. Z ciężarem tajemnicy i brakiem odpowiedzi na pytanie, co z nią uczynić.

Rozdział 85

Rok później prokurator IPN-u Jakub Kania zapukał do drzwi krakowskiego mieszkania Olgierda Giecewicza przy ulicy Stolarskiej, tuż obok klasztoru Dominikanów. Zapowiedział się telefonicznie, obiecując, że wpadnie tylko na herbatę i nie będzie zanudzał gospodarza dysputami o Warneńczyku.

– Tak, tak – rzekł stary profesor trochę do słuchawki, a trochę do siebie. – Powiedz jeszcze, że korniki przestaną żreć drewno, a też ci uwierzę. Wpadaj, Kuba, i nie gadaj głupstw. Czekam jutro i bardzo się cieszę.

Uściskali się w przedpokoju, w którym unosił się zapach czegoś kuszącego.

– Zrobiłem racuchy z jabłkami. – Olgierd mrugnął, a zobaczywszy zaniepokojone spojrzenie Kuby, poklepał go po zaokrąglonym brzuchu i wyjaśnił:

– Nie martw się. Racuchy są z otrębów owsianych z kefirem beztłuszczowym. Słodzone stewią. Nie przytyjesz. Choć swoją drogą, to gdybyś tak czas spędzany w archiwach i muzeum zamienił na spacer, wyglądałbyś jak solista baletu. Kasia doniosła, że nadal tam łazisz. – Puścił do niego oko.

– Już prawie nie. – Prokurator się zarumienił.

– Prawie czyni zasadniczą różnicę – odparł profesor z nutą przygany.

– Uwierz mi... – Kuba położył dłoń na sercu. – Bardzo chciałbym rozwiązać zagadkę obrazu, ale szamoczę się i mam wrażenie, że szukam czegoś, czego nie ma.

Usiedli w salonie. Olgierd Giecewicz zaparzył herbatę i przyniósł

konstrukcję z racuchów zbudowaną na paterze pamiętającej cesarza Franciszka Józefa.

– Kuba – powiedział, gdy wrócił z talerzykami. – Poświęciłeś tyle czasu na badanie arcyciekawej tajemnicy, a teraz próbujesz ją kwestionować w odwecie za to, że ci się nie udało. To normalne. Historycy, którzy nie mogą znaleźć dowodów, często cierpią na syndrom negacji.

– Dzięki za pocieszenie – odparł Kuba – ale naprawdę zaczynam wierzyć, że przepowiednia jest fikcją, i chodzę do muzeum właśnie po to, aby się o tym przekonać.

– Dlaczego uważasz, że to fikcja?

– Po pierwsze, proroctwo mówi o pojednaniu światów dwóch religii. Czy Warneńczyk rzeczywiście był wybrańcem i mógł tego dokonać? Nie. Traktat w Segedynie był dokumentem podpisanym przez pana Władka, króla jakiejś tam Polski, z panem Muradem, sułtanem Turcji, a nie pokojem zawartym między całym chrześcijaństwem i całym islamem. Ci kolesie nie mieli do tego upoważnień. To tak, jakbym ja zjadł z tobą te racuchy, a potem wydalibyśmy komunikat o unii kulinarnej Polski i Litwy.

– Interesujący język, drogi chłopcze. – Olgierd Giecewicz uwielbiał, gdy dyskusja osiągała ten poziom emocji. – Tylko że nie masz ani trochę racji. Zamiast gapić się w ten obraz, zapisz się na korepetycje z historii. Warneńczyk w Segedynie reprezentował chrześcijaństwo. Jak myślisz, po co nuncjusz papieski gnał na Węgry na złamanie karku? Wystarczyłoby, żeby Watykan wydał oświadczenie, że to prywatny traktat pana Władka z Krakowa i cześć. Tylko że to nie był prywatny traktat. Władysław Trzeci Warneńczyk, król Polski i Węgier, zawarł pokój w imieniu chrześcijaństwa i w tym samym imieniu go niestety zerwał.

– Dobrze – zgodził się Kuba. – A co z sułtanem? Też reprezentował w Segedynie cały islam? Marokańczyków, Algierczyków, Egipcjan, Persów, Syryjczyków, Sudańczyków, Afgańczyków i kogo tam jeszcze?

Profesor pokręcił głową.

– Koniecznie na korepetycje – szepnął i dodał głośniej: – Tego akurat masz prawo nie wiedzieć, chociaż powinieneś, skoro badasz tajemnicę *Chrzstu Warneńczyka*. Otóż islam, w odróżnieniu od chrześcijaństwa, nie ma religijnej władzy centralnej odpowiadającej naszemu papieżowi. Ale kiedyś ją miał. W postaci kalifatu, czyli ustroju polegającego na tym, że monarcha największego państwa islamskiego był jednocześnie przywódcą religijnym wszystkich mahometan. Murad pełnił taką funkcję, choć przyjęło się uważać, że imperium osmańskie formalnie przejęło kalifat trochę później, po podboju Egiptu. Sułtani tureccy byli najwyższą muzułmańską władzą religijną jeszcze do niedawna, do czasów Mustafy Kemala Atatürka, który zniósł kalifat i turecką zwierzchność nad islamem zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Zatem Murad w Segedynie reprezentował wszystkich wyznawców Proroka, a traktat, który podpisał z Warneńczykiem, był pojednaniem chrześcijaństwa z islamem, czy ci się to podoba, czy nie.

Kuba milczał, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Czemu zatem na obrazie nie istnieje żadna wskazówka do prorocstwa arby? Nic. Królewicz nawet nie ma znamienia czwórki na czole.

Profesor odłożył racucha i wytarł usta serwetką.

– Spodziewałeś się kodu Leonarda da Vinci. Ukrytych symboli, znaczeń, których odkrycie będzie wymagało kryptografu i dotarcia do sekretów templariuszy. Nie mylę się, prawda?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, oświadczył:

– Moim zdaniem to sam obraz jest kodem. Prowadzi do przepowiedni, a ta do idei pojednania chrześcijaństwa z islamem. Bardzo karkołomnej idei. Dla niej kradziono i ukrywano *Chrzest Warneńczyka*. I jeśli zabijano z powodu obrazu, to też dla niej. Idea potrafi zawładnąć umysłami, a najbardziej niebezpiecznym miejscem na ziemi jest ludzki mózg.

– Idea – powtórzył Kuba jak echo.

– Właśnie tak – skinął głową Giecewicz. – Idee wywołały setki wojen, rewolucję październikową, faszyzm i komunizm, ale

również zrywy wolnościowe. Najsilniejsze dyktatury nie boją się niczego: ani opinii publicznej, ani presji międzynarodowej, ani embarga gospodarczego czy interwencji militarnej. Boją się tylko idei.

Profesor wstał i podszedł do regału zajmującego całą ścianę salonu. Przez kilka chwil przesuwając palcami po grzbietach książek, wreszcie wyjął z półki tom poezji Norwida.

– Znasz to? – spytał Kubę i przeczytał:

– Ogromne wojska, bitne generały,
Policje – tajne, widne i dwu-płciowe
Przeciwko komu tak się pojednały?

Przeciwko kilku myślom... co nie nowe!

U obrońców obowiązkowych poglądów – dodał, zamykając książkę – idee zawsze budziły paniczny lęk. Podobnie jak ich symbole: znaki na murach, hasła, obrazy. *Chrzest Warneńczyka* wiąże się z czymś, co jest nie do pomyślenia. Z pokojem między światami przekonanymi, że ich religie są wrogie.

– Dlaczego zatem trafił do muzealnego magazynu? – spytał cicho Kuba.

– To proste – odparł profesor. – Zaginiony obraz, wokół którego kumulują się sensacje, skandale, afery, domysły i tajemnice, budzi nieustanne zainteresowanie i emocje. Odnaleziony obraz nie obchodzi nikogo poza roztoczami kurzu.

– Założmy, że masz rację – zgodził się Kuba. – Tylko, skoro *Chrzest* jest nośnikiem tak niebezpiecznej idei, nie prościej było go zniszczyć?

– Nie. Bo żaden pobożny muzułmanin nie podniesie ręki na prorocstwo, bojąc się skutków. To naprawdę ludzie głębokiej wiary. Co ciekawsze, malarstwo w krajach muzułmańskich praktycznie nie istnieje. Islam nie uznaje obrazów. Ale uznaje zasadę, że to, co przepowiedziano przed wiekami, jest święte i nietykalne.

– Długo myślałem o *Chrzcie Warneńczyka* w ten sam sposób – wyznał Kuba. – Byłem przekonany, że obraz niesie istotne przesłanie i jest dziełem wyjątkowym. Dziś mocno w to wątpię,

podobnie jak w przepowiednię arby i w bajki o pojednaniu chrześcijaństwa z islamem.

– Trochę pokory, przyjacielu – skarcił go profesor. – My umrzemy, ale obraz zostanie. Skąd wiesz, jaką rolę odegra w roku dwa tysiące trzysta trzydziestym drugim, gdy nadejdzie czas czwartej, ostatecznej szansy na spełnienie proroctwa?

Kuba głęboko się zamyślił. Bezwiednie sięgnął po racucha i trzymając go w palcach, powiedział:

– Mam jeszcze kilka wątpliwości...

Olgierd Giecewicz położył mu dłoń na ramieniu.

– Wiesz, czytałem ostatnio wnuczce bajkę o myszach i ludziach, którzy żyją w tym samym labiryncie i są tej samej wielkości. Na środku labiryntu leży duży kawał sera, którym się wspólnie żywią. Ludzie odkrajają sobie po plasterku, a myszy odgryzają po kawałeczku. I wszyscy są szczęśliwi. Ale któreś nocy ser znika. Ktoś go kradnie. Myszy przez chwilę patrzą na puste miejsce po serze, a potem w milczeniu rozchodzą się po labiryncie w poszukiwaniu innego pożywienia, które wkrótce znajdują. Ludzie natomiast gromadzą się i zaczynają debatować, kto ukradł ser, jak to zrobił i dlaczego. Debata przeradza się w spór, a spór we wzajemne oskarżenia. Powstają wrogie obozy. Jedni drugim wywlekają sprawki i zachowania z przeszłości mogące sugerować powody kradzieży sera. Nie bacząc na perspektywę śmierci głodowej, ludzie analizują, roztrząsają i deliberują, co też mogło się stać z czymś, czego nie ma. Przyjacielu... – Profesor spojrział na Kubę z uśmiechem nieudolnie maskującym troskę. – Może warto zostać myszą?

Do Warszawy Kuba wracał wieczornym pociągiem. Po raz pierwszy od lat spędził podróż z Krakowa wpatrzony w pejzaż za oknem. Książka oraz odtwarzacz muzyki, wraz z małymi słuchawkami, jechały bezczynnie na sąsiednim miejscu w przedziale i gdyby mogły, wyraziłyby zdumienie takim stanem rzeczy.

Wysiadł na Dworcu Centralnym. Minął kiosk z gazetami i nagle

sobie coś przypomniał. Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął z niej niewielki notes, który rano kupił w tym właśnie kiosku, czekając na pociąg do Krakowa. W podróży zanotował w nim kilkanaście nowych szczegółów, które zamierzał sprawdzić w Muzeum Narodowym.

Zatrzymał się na środku peronu pełnego ludzi i dokładnie przeczytał zapiski. Potem powoli zamknął notes, przez chwilę ważył go w dłoni, po czym wrzucił do kosza na śmieci.

– Koniec z tym – powiedział na tyle głośno, że kilka osób przechodzących najbliżej spojrzało pytająco w jego stronę.

Kilka dni przed trzecimi urodzinami Marysi, jego pierwszej córki, Kuba przysiadł naprzeciwko pomnika Janusza Korczaka na Wzgórzu Herzla w Jerozolimie i zamyślił się nad tym, co przed chwilą usłyszał.

Od dwóch lat pracował jako konsultant Instytutu Jad Waszem, zajmującego się ofiarami Holocaustu. Avi Leibowitz nie żartował na plaży w Redłowie. Wkrótce po przyjeździe Marysi na świat Kuba rzeczywiście otrzymał propozycję pracy dla słynnego żydowskiego instytutu pamięci. Przyjął ją, tego samego dnia wysyłając Paluchowi wypowiedzenie umowy listem poleconym. W Izraelu spędzał kilka dni w miesiącu. Wszyscy tam nazywali go Jakubem.

Podczas pierwszego pobytu w Tel Awiwie nie mógł się oprzeć, aby przynajmniej nie spojrzeć na dom przy Allenby Road, w którym niegdyś mieszkał Józef Stieglitz. Miał do siebie pretensje, że obsesyjnie wraca do *Chrzta Warneńczyka*, ale było to silniejsze od niego. Musiał po prostu ten dom zobaczyć. Ten jeden ostatni raz.

Przez kilka minut Kuba wpatrywał się w piaskową elewację podniszczoną dwupiętrowej kamienicy, na stojące przed nią pojemniki na śmieci, skutery i ustawione na chodniku kawiarniane stoliki. Po chwili pokręcił głową z niedowierzaniem, uśmiechnął się do własnych myśli i wszedł do czekającej na niego taksówki.

Postanowił, że nie przyzna się Kasi do wizyty na Allenby Road, choć od jakiegoś czasu traktowali obraz Matejki jako swój

talizman. Dzięki niemu się poznali, znaleźli miłość życia i stworzyli rodzinę. Marysia Karewicz-Kania miała pokój pełen zabawek dla małych dziewczynek i nikt nie zadręczał jej opowiadaniem o rycerzach, zagadkach i tajemnicach religii. Wkrótce w tym pokoju miała zamieszkać nowa lokatorka. Kasia była w szóstym miesiącu ciąży, a badanie USG wykazało ponad wszelką wątpliwość, że Marysia będzie miała siostrzyczkę. Byli szczęśliwi.

Wczoraj Kuba przywiózł do instytutu odnalezione dokumenty „Żegoty” – jedynej organizacji w okupowanej Europie, która zajmowała się pomocą Żydom. Ludzie z Jad Waszem nie posiadali się z radości. Wieczorem świętowali sukces i premię Kuby, a następnego dnia rano znów spotkali się w biurze na Wzgórzu Herzla.

– Narzekałeś ostatnio, że musisz się grzebać w papierach – powiedział Szymon, nieoficjalny szef nieoficjalnej sekcji śledczej instytutu. – Tym razem mam dla ciebie coś ekstra.

Mówił po polsku. Z rodzinnej Warszawy wyjechał wiosną 1968 roku jako kilkuletni chłopiec. Niedawno skończył pięćdziesiąt lat. Miał sześcioro dzieci, znał sześć języków i cieszył się opinią człowieka obdarzonego szóstym zmysłem tropienia tajemnic przeszłości.

Kuba spojrzał na niego uważnie.

– Zamieniam się w słuch – odpowiedział.

Szymon opuścił ręce, które trzymał splecione z tyłu głowy, i pochylił się w fotelu.

– Pamiętasz sprawę Winklera? – spytał.

– Oczywiście.

– No, to będziesz miał okazję do niej wrócić. – Zabrzmiało to zagadkowo i Kuba nie ukrywał zaskoczenia, ale zanim zdążył zadać jakiegokolwiek pytanie, Szymon wyjaśnił jego wątpliwości.

– Twój Winkler działał w tak zwanej Organisation Schmelt. Pamiętasz? Ta zbrodnicza nazistowska grupa z siedzibą w Sosnowcu nadzorowała sto siedemdziesiąt siedem obozów pracy na Górnym Śląsku. Jeden z nich znajdował się niedaleko Strzelec Opolskich, na Górze Świętej Anny. Winkler był jego nieformalnym

opiekunem.

– Pierwsze słyszę – zdziwił się Kuba. – Nie znałem tego wątku biografii Winklera. A byłem pewien, że wiem o nim wszystko.

– Nikt nie znał – odparł Szymon. – Kilka tygodni temu zgłosiła się do nas grupa żydowskich przedsiębiorców z Antwerpii, tworzących coś w rodzaju prywatnego stowarzyszenia. Ludzie ci dotarli do pamiętnika pewnej kobiety, która po wojnie na własną rękę prowadziła na Opolszczyźnie poszukiwania grobu męża. Człowiek ten zginął w obozie na Górze Świętej Anny, a należał do tego samego stowarzyszenia w Antwerpii, tyle że przed wojną. Żona wynajęła fachowców, którzy spenetrowali okolice dawnego obozu. Ale niewiele wskórali, bo władze komunistyczne nie tolerowały na swoim terenie prywatnych detektywów, zwłaszcza zza żelaznej kurtyny.

– Słyszałem o tym obozie. O ile pamiętam, więźniowie pracowali przy budowie autostrady Berlin–Kraków, która dała podwalinę pod naszą dzisiejszą A-4. Ale wspomniałeś, że twoi goście z Antwerpii należą do prywatnego stowarzyszenia. Jakiego rodzaju? Rozwiązują zagadki historyczne?

– Niezupełnie. – Szymon spojrzał na niego spod okularów. – To grupa bajecznie bogatych szlifierzy i handlarzy diamentów.

Kuba gwizdnął.

– I ten człowiek, który zginął w obozie na Świętej Annie, też się do nich zaliczał?

Szymon pokiwał głową.

– Tu dochodzimy do sedna. *Zwangsarbeitslager Annaberg* dostarczał nie tylko siły roboczej do budowy autostrady, ale także prowadził głęboko utajnioną działalność. SS-Brigadeführer Albrecht Schmelt po cichu wyselekcjonował i zgromadził tu żydowskich jubilerów z Belgii i Holandii, którzy pracowali dla niego, a nie dla Trzeciej Rzeszy. Zanim jego organizacja została rozwiązana przez Berlin w czterdziestym trzecim, prywatny folwark Schmelta musiał zarobić fortunę na przeróbce złota i diamentów zrabowanych Żydom. Podejrzewamy, że właśnie tę działalność nadzorował Winkler. Jakubie – spytał poważnie – czy

możesz zająć się tą sprawą?

– Oczywiście – ożywił się Kuba, ale Szymon powstrzymał go ruchem dłoni.

– Chcę, żebyś to jednak przemyślał – dodał. – Musisz wiedzieć, że Schmelt nie był zwykłym esesmanem. Raczej gangsterem nieustępującym ówczesnym bossom mafii z Chicago i Nowego Jorku. Ba! O wiele potężniejszym, bo przez kilka lat korzystającym z nazistowskiego aparatu władzy. Nie wiemy, komu można nadepnąć na odcisk, poszukując diamentowych tajemnic Góry Świętej Anny. Musisz to rozważyć, Jakubie.

Kwadrans później siedząc przed pomnikiem Janusza Korczaka, Kuba zastanawiał się, które zdania z tej historii wykreślić, aby nie przstraszyły Kasi, a potem sięgnął po komórkę i wybrał numer Szymona.

– Biorę to – powiedział i się rozłączył^[1].

^[1] Historię poszukiwań tajemnicy obozu na Górze Świętej Anny znajdzie czytelnik w kolejnej powieści z Jakubem Kanią zatytułowanej *Miejsce i imię*.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

Chrzty

wiosna 1977 – lato 1989 roku

Rozdział 86

Kapitan boeinga 747 podchodzącego do lądowania od strony Morza Śródziemnego posadził maszynę z taką gracją, jakby była papierowym latawcem uwiązany na nitce, a nie kolosem ważącym ponad sto siedemdziesiąt ton. Dotknięcie kołami samolotu betonowego pasa, w żargonie lotniczym przyziemienie, z reguły ma postać solidnego łupnięcia, podczas którego pasażerowie podskakują w fotelach, a okładziny kół statku powietrznego protestują obłokiem białego dymu i swędu, którego i tak nikt nie czuje.

Idealne przyziemienie udaje się idealnym pilotom w idealnych warunkach. Najpierw trzeba we właściwym ułamku sekundy odpowiednio zmniejszyć ciąg zespołu napędowego i doprowadzić do tak zwanego wytrzymania, czyli nieodczuwalnego opadania samolotu z prędkością metra na sekundę w locie poziomym. Nagrodą za wzorowe wytrzymanie jest perfekcyjne przyziemienie, a potem doskonały dobieg – spokojne, bez szarpnięć i naprężeń, zatrzymanie maszyny na pasie przy użyciu hamulców podwozia i urządzeń zwanych odwracaczami ciągu.

Wtedy następuje jeszcze jeden bonus: nagroda publiczności, czyli oklaski pasażerów, których absolutna większość była przekonana, że dwieście ton stali lecącej z prędkością pięciuset kilometrów na godzinę na wysokości dwunastu kilometrów nie ma najmniejszego prawa osiąść na ziemi lekko jak piórko. Ludzie biją brawo własnym emocjom. Piloci, oddzieleni od kabiny pasażerskiej hermetycznymi drzwiami, ze słuchawkami na uszach, nie słyszą aplauzu i nie dzielają radości, że jednak się udało,

bo dla nich lądowanie to chleb powszedni.

Niemniej lot boeinga 747 z Republiki Federalnej Niemiec do Libanu tamtego kwietniowego poranka 1977 roku był mistrzostwem pilotażu i w pełni zasługiwał na brawa. Wtórował im przyklejony do szyby terminalu przylotów niewysoki mężczyzna o przerzedzonych włosach, klaszczący w dłonie na myśl o rychłym spotkaniu z synem, który właśnie przyleciał z Europy. Mężczyzna nazywał się Ibrahim Hariri i był anestezjologiem w szpitalu Makassed, niedaleko portu lotniczego w południowym Bejrucie. Jego syn odpinający pasy w kabinie samolotu miał na imię Fadi i studiował medycynę w dalekiej Polsce, w Łodzi, mieście, którego nazwę Arabowie w odróżnieniu od wszelkich innych nacji wymawiają niemal poprawnie.

Ibrahim urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Mimo ubóstwa rodziców mieszkających w gubernatorstwie Asz-Szamal na północy Libanu zdobył średnie wykształcenie i skończył studia medyczne, choć większość jego rówieśników z sunnickiej osady w pobliżu Trypolisu mogła marzyć najwyżej o szkole koranicznej. Gwiazda Ibrahima po raz pierwszy zabłysła w decyzji stryja – bogatego przedsiębiorcy włókienniczego, który sfinansował naukę bratanka. Stryj cudem przeżył wypadek drogowy, był inwalidą i nieraz doświadczył pomocy Ibrahima, który okazywał mu głęboki szacunek, nie bacząc na kalectwo.

Inwestycja okazała się niezwykle udana. Młody doktor Hariri nie tylko zatroszczył się o rehabilitację krewnego, który po wielu latach wstał z wózka, ale także zdobył uznanie lokalnej społeczności muzułmańskiej, lecząc ludzi, których nie stać było na prywatne przychodnie i kliniki. Jego prawość i pobożność wkrótce stały się niemal legendarne.

Nic więc dziwnego, że Allah nagroził swojego sługę dobrą żoną, pierworodnym synem Fadim i niewielkim mieszkaniem w pobliżu szpitala, w którym pracował. Z kolei Ibrahim – wdzięczny za łaskę Boga – odłożył trochę pieniędzy i pod koniec lat sześćdziesiątych wybrał się na pielgrzymkę do świętego miasta islamu Makkah al-

Mukarrama, bardziej znanego jako Mekka. Tam jego szczęśliwa gwiazda rozbłysła po raz kolejny.

Siódmego dnia zu al-hidżdża, czyli dwunastego miesiąca kalendarza muzułmańskiego, doktor Hariri obmył się w pokoju hotelowym, jak każe rytuał, po czym włożył sandały i specjalny strój składający się z dwóch niezszytych ze sobą kawałków białego płótna. Od tysięcy innych mężczyzn podążających w stronę olbrzymiego meczetu Al-Haram różnił się tylko tym, że w lewej dłoni trzymał butelkę z wodą oraz niewielki lniany woreczek z kilkoma kostkami cukru. Miały mu dodać energii podczas marszu w saudyjskim upale, a zmieniły życie.

Tłum gęstniał z minuty na minutę, posuwając się coraz wolniej, aż znieruchomiał na dziedzińcu świątyni zdolnej pomieścić trzysta tysięcy wiernych. Ibrahima otaczały natchnione twarze, na których malowało się religijne uniesienie. Wielu uczestników pielgrzymki, będącej piątym filarem islamu, marzyło o niej przez całe życie. Niektórzy obejmowali rękami własne głowy lub osuwali się na ziemię z nadmiaru emocji – jak kwiaty, które więdną na parę chwil, aby odbić się na nowo po podlaniu wodą życia. Pielgrzymi, reanimowani wiarą, podnosili się i gestykulowali niczym w transie, ulegając magii kilku minut, które spędzili w niemal rajskiej błogości.

A jednak pielgrzym, który zwiądnął tuż obok doktora Hariri, wyglądał zupełnie inaczej. Poblądł, a na twarz wystąpiły mu duże krople potu. Drżąc, upadł na kolana, a potem przewrócił się na dziedziniec. Jego ciało było wiotkie, jakby pozbawione kości i mięśni. Lekarz miał wrażenie, że człowiek ten niemal rozlał się na kamieniach posadzki.

Przykucnął, aby zbadać mu puls, a wtedy – ku swojemu zaskoczeniu – poczuł coś, co medycyna nazywa odorem kwasiczym. Znał tę woń doskonale. Podczas ostrych dyżurów w bejruckim szpitalu często diagnozował niewiernych, którzy upijali się do nieprzytomności, a nazajutrz ich oddechy cuchnęły acetonem. Ale czy to możliwe, że bogobojny uczestnik pielgrzymki mógł udać

się do czarnego kamienia al-hadžar – przedmiotu bezbrzeżnej czci milionów muzułmanów – w stanie ciężkiego kaca? To Ibrahimowi Hariri po prostu nie mieściło się w głowie.

Nieżłomna wiara w muzułmańską moralność w tej samej sekundzie podpowiedziała mu inne rozwiązanie: cukrzyca. Zaburzenia glikemii często wywołują omdlenia połączone z wysoką potliwością, drżeniem i zwiotczeniem ciała oraz identyczną jak u alkoholików wonią oddechu. Doktor Hariri rozpaczliwie rozejrzał się wokół. O ile rozpoznanie było trafne, człowiek leżący na dziedzińcu al-Kaaby miał przed sobą kilka, może kilkanaście minut życia. Pozostawienie go i poszukiwanie telefonu, przez który można by wezwać pomoc, groziło realnym niebezpieczeństwem, że tłum po prostu strati leżącego, co w Mekce zdarza się nader często. A nawet gdyby udało się go ochronić i natychmiast sprowadzić ambulans, to karetka i tak nie wjedzie na teren meczetu, a sanitariusze z noszami nie zdążą nawet precyzyjnie się przez ciżbę wiernych, nie mówiąc o transporcie chorego. Omdlały człowiek nie miał najmniejszych szans.

I wtedy Ibrahim Hariri przypomniał sobie o cukrze. Nie zastanawiając się, wyszarpnął kostkę z lnianego woreczka, uniósł głowę leżącego, w odpowiednim miejscu nacisnął mu żuchwę, powodując otwarcie ust, i wcisnął cukier pod język. Czekał, wpatrując się z napięciem w bladą, spoconą twarz pielgrzyma.

Najpierw drgnęły powieki, potem mężczyzna bezwiednie machnął prawą dłonią, jakby chciał odpędzić śmierć, wreszcie otworzył oczy, patrząc ze zdziwieniem, jak po przebudzeniu z głębokiego snu. Doktor pomógł mu usiąść.

– Jestem chory – wyjaśnił mężczyzna. – Rano zrobiłem sobie zastrzyk z insuliny, ale widać dawka była zbyt mała.

A potem spojrzał na kostki cukru rozsypane obok klęczącego Ibrahima i dodał:

– Uratowałeś mi życie, przyjacielu. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Rozdział 87

Tego samego dnia w apartamencie luksusowego hotelu w Mekce Ibrahim Hariri dowiedział się, że przyszedł z pomocą doradcy jednego z najpotężniejszych ludzi świata arabskiego, za którego uchodził Zajid ibn Sultan Al Nahajjan – władca emiratu Abu Zabi, którego majątek nie miał sobie równych nawet w imperiach finansowych Europy i Ameryki. Dalsze wypadki potoczyły się jak w baśni z tysiąca i jednej nocy.

W ciągu najbliższych lat skromny medyk z Bejrutu wielokrotnie odwiedzał swojego nowego przyjaciela w jego bajkowej ojczyźnie. Oglądał jego przedsiębiorstwo handlujące ropą naftową, poznał rodzinę, przyjaciół i pewien poufny sekret: człowiek uratowany przez niego w Mekce był pierwszym następcą szejka elitarnego bractwa islamskiego liczącego niemal tysiąc lat i noszącego nazwę Bokira. Niebawem, w 1971 roku, objął przywództwo zgromadzenia, przyjmując imię Ajman i wprowadzając w szeregi bractwa swojego libańskiego przyjaciela, który od trzech lat miał status kandydata i marzył o wstąpieniu do organizacji troszczącej się o wiarę Proroka.

Rok 1971 był datą znamioną. Poza tym, że Ajman został szejkiem Bokiry, a Ibrahim Hariri jej członkiem, powstały Zjednoczone Emiraty Arabskie, a Zajid ibn Sultan Al Nahajjan otrzymał urząd prezydenta nowego państwa i energicznie rozpoczął budowanie jego potęgi. Jednym z pierwszych projektów było unowocześnienie służby zdrowia. Szefostwo nowej, doskonale wyposażonej kliniki, planowanej do oddania w 1976 roku, miał objąć doktor Hariri.

To był dar od Boga. Życie w pogrążonym w chaosie Bejrucie było coraz bardziej niebezpieczne. Od dwóch lat nikt w mieście nie widział gwiazd. Zasłaniała je kurtyna dymów będących następstwem nocnych wybuchów rozbłyskujących złowrogo jak spojrzenie upiora. W ciągu dnia jeździły taksówki, funkcjonowały sklepy, bary i zakłady fryzjerskie, ale grzechotanie pistoletów maszynowych – choćby na sąsiedniej ulicy – nikogo już nie dziwiło, bo też nikt nie wiedział, kto z kim walczy. Palestyńscy uchodźcy z bojownikami chrześcijańskiej Falangi? Libańscy partyzanci z żołnierzami syryjskimi, którzy najechali kraj? Sunnici z szyitami? A może odwrotnie? W 1977 roku nieco się uspokoiło, Liban został podzielony na chrześcijańską północ i muzułmańskie południe, ale nadal był beczką prochu.

Rodzina doktora Hariri miała nie czekać na jej wybuch. Dziś witali Fadię, jutro kończyli pakowanie i odlatywali do Emiratów Arabskich. Mieli zgodę władz, wizy i miejsca w prywatnym samolocie szejka, który odlatywał do Abu Zabi o osiemnastej. Ibrahim myślał o tym wszystkim z bezgraniczną wdzięcznością Bogu, czekając, aż Fadi odświeży się po podróży i razem pójdą do niewielkiej restauracyjki w sąsiedztwie na hummus i kufę – pożegnanie ze smakami Libanu.

Tymczasem przyszły dyrektor kliniki w Abu Zabi popijał chłodną coca-colę i z nudów kartkował polskie czasopisma zabrane przez syna do samolotu. W pewnej chwili jego wzrok padł na rozkładówkę kolorowego tygodnika i doktor o mało nie wypuścił szklanki z dłoni. Na reprodukcji ilustrującej artykuł, z którego nie rozumiał ani słowa, widniał obraz, który miesiąc temu oglądał w domu szejka Ajmana. Obraz będący jedną z najpilniej strzeżonych tajemnic bractwa Bokira.

Niewiele myśląc, Hariri wpadł do łazienki i przekrzykując szum wody, zapukał w osłonę zaparowanej kabiny prysznicowej:

– Fadi, kończysz już? Mam coś naprawdę ważnego.

Zdumiony syn splukał szampon, wytarł się pobieżnie i wszedł do pokoju przewiązany ręcznikiem.

– Co się stało? – spytał z niepokojem. Od jakiegoś czasu

prześladował go niewytłumaczalny lęk, że ich wyjazd do Emiratów, praca ojca w nowoczesnej klinice i przeprowadzka do eleganckiego domu na przedmieściach Abu Zabi są zbyt piękne, aby się sprawdziły. Był przekonany, że za chwilę usłyszy, że wszystko runęło w gruzy.

Mylił się. Nagła bladość Ibrahima Hariri wynikała z zupełnie innych przyczyn. Ojciec wskazywał je palcem, którym dosłownie przygwoździł do blatu stolika jedno z polskich czasopism, aż zbieła mu paznokieć.

– Czy możesz mi przetłumaczyć ten tekst? – spytał nieswoim głosem.

Fadi ostrożnie wziął tygodnik do ręki i w milczeniu studiował treść artykułu.

– Nie czytałem tego w samolocie – usprawiedliwił się. – Daj mi parę minut.

Doktor Hariri był podekscytowany, choć bardzo starał się to ukryć.

– Tato... – Fadi spojrzał na niego podejrzliwie. – O co chodzi?

– Tłumacz – rzekł krótko ojciec, tonem zniechęcającym do zadawania kolejnych pytań.

– To historia zbrodniarza z czasów Hitlera – rzekł po kilku minutach Hariri junior. – Facet jest Holendrem, ale był w SS, takiej specjalnej formacji zajmującej się mordowaniem Żydów. Zresztą tu jest napisane, że bardzo to lubił... – Fadi potarł podbródek. – Może w Bejrucie nazwą jakąś ulicę jego imieniem? – zaśmiał się z własnego żartu, ale ojciec nie zareagował.

– Co dalej? – spytał głosem suchym i szorstkim jak pustynny piasek.

– No więc ten człowiek z SS, który nazywa się Pieter Menten, parę razy był sądzony za sprawki wojenne i zawsze go uniewinniano. Ale tym razem wpadł. Rosjanie udowodnili mu ludobójstwo i raczej się nie wywinie. Polski dziennikarz pisze, że uciekł i ukrywa się w Szwajcarii.

– Skąd ten obraz? – doktor Hariri znów użył palca, którym omal nie przebił strony tygodnika, na której zamieszczono reprodukcję

Chrzta Warneńczyka.

– Obraz? – zdziwił się Fadi. – Nie mam pojęcia. Zaraz.

Przebiegł wzrokiem kilka akapitów i zatrzymał się przy końcu tekstu.

– A jest – ucieszył się. – No więc piszą tu, że Menten jest szósty na liście najbogatszych ludzi w Holandii i że dorobił się na handlu dziełami sztuki, które rabował w krajach okupowanych przez Niemcy w czasie drugiej wojny światowej. Kradł je głównie w Polsce. A ten obraz namalował sławny polski malarz, Ma-tej-ko – przesyłabizował Fadi i dodał: – Jego dzieła są ponoć bardzo cenne. Pewnie dlatego Menten zwinął ten obraz. Polacy są przekonani, że dokonał tego razem ze swoim współnikiem Józefem Stieglitzem. – Fadi nagle wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

– Żydem! – zawołał. – Wyobrazasz sobie, tato? Żydem! Dziwne, nie? – zapytał ojca. – Hitlerowiec w spółce z Żydem?

Ale doktor Hariri milczał.

– To wszystko? – spytał pogrążony w myślach.

– Tak. No może jeszcze to, że polska komisja śledcza chce się domagać od władz holenderskich zgody na przeszukanie domu Mentena w Blaricum. Tu wypowiada się urzędnik tej komisji: Ka-si-miesz Ka-re-wisz. – Fadi przeczytał nazwisko prokuratora w sposób bardzo odległy od poprawności. – On twierdzi, że ten obraz może znajdować się w willi Mentena i że sąd w Amsterdamie powinien dać Polakom pozwolenie na rewizję, bo płótno Matejki to skarb ich kultury narodowej, w dosłownym tłumaczeniu. Tyle. – Hariri junior opuścił rękę z tygodnikiem.

Doktor patrzył na niego dziwnym wzrokiem. Myśli kłębiły mu się w głowie.

– Tato... – zaczął ostrożnie Fadi, ale wzrok ojca powstrzymał go od kolejnego pytania. Szybko zmienił temat: – Idziemy jeść?

Ibrahim Hariri nie odrzekł ani słowa. Ciężko podniósł się z kanapy i kiwnął na niego ręką.

Gdyby Fadi Hariri – student łódzkiej Akademii Medycznej – ujrzał dwa dni później reakcję szejka Ajmana po streszczeniu polskiego artykułu, bez wątpienia doszedłby do wniosku, że

przywódca bractwa Bokira skopiował zachowanie jego ojca: najpierw się zaniepokoił, po czym popadł w zadumę i zamilkł.

– To niemożliwe – Ajman postukał palcem w rozkładówkę tygodnika leżącego na stole.

Nagle wstał, ogarnięty niepokojem, i bez słowa udał się na tył domu, gdzie w sekretnym pomieszczeniu przechowywał *Chrzest Warneńczyka*. Wrócił do doktora Hariri czekającego w salonie wyraźnie uspokojony.

– To niemożliwe – powtórzył z uśmiechem. – Obraz, o którym pisze ten bezmyślny dziennikarz, znajduje się parę metrów za tą ścianą. – Ajman wykonał znaczący ruch głową. Bokira ma to płótno od dziewięćdziesięciu lat. Wysłannicy bractwa pozyskali je w pewnym polskim majątku pod koniec tamtego stulecia. A zatem żaden holenderski złodziej nie mógł ukraść obrazu w czasie drugiej wojny światowej w Polsce, bo dzieła Matejki od pół wieku już tam nie było. Głowę dam... – Szejk wskazał dłonią reprodukcję zamieszczoną w tygodniku – ...że to jakaś kopia.

– Prawdopodobnie. – Hariri skinął głową, ale nie wydawał się przekonany.

Ajman natychmiast to wyczuł.

– Masz wątpliwości?

– Polski dziennikarz... – doktor zerknął do tłumaczenia sporządzonego przez syna – ...pisze, że obraz, zanim został skradziony przez Mentena, przed wojną pojawił się na ważnej wystawie narodowej w Warszawie, gdzie wywołał wielką sensację, bo wszyscy w Polsce uznawali go za zaginiony. Potem toczył się w tej sprawie proces sądowy, który przerwał właśnie wybuch wojny. Sądysz, szejku, że w tych okolicznościach nie sprawdzono jego autentyczności?

Pytanie zawisło w powietrzu.

– Czyli my mamy kopię? – spytał Ajman, hamując gniew. – Mylisz się, Ibrahimie – oświadczył. – Gdy tylko Bokira weszła w posiadanie *Chrztu Warneńczyka*, eksperci od malarstwa sprawdzili go i orzekli, że to oryginał. Ponad wszelką wątpliwość.

– Wobec tego... – zaczął Hariri, ale sam sobie przerwał

machnięciem ręki i zamilkł.

– Dokończ – rzekł Ajman.

– Wpadniesz w gniew.

– Powiedz – syknął szejik przez zaciśnięte zęby, a potem spojrzał na doktora, jakby ten był przybyszem z innej planety. Zanim to się stało, libański lekarz rzekł cicho:

– Wobec tego obrazy są dwa.

Rozdział 88

Słupki drogowe przesuwały się za oknem samochodu niczym szpaler biegaczy zmierzających w przeciwnym kierunku. Wysłużony fiat 125p – jeden z pierwszych modeli produkowanych na Żeraniu, z dźwignią zmiany biegów umieszczoną w kolumnie kierownicy – mimo że zbliżał się do jubileuszu dziesięciolecia, na drodze ciągle radził sobie doskonale. Zwłaszcza że jego właściciel – prokurator Kazimierz Karewicz z Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, był rozsądnym i troskliwym kierowcą.

Karewicz wracał do Warszawy ze Śląska wygodną, dwupasmową arterią łączącą oficjalną stolicę Polski z Katowicami, które pod koniec lat siedemdziesiątych były stolicą nieoficjalną, dostarczającą krajowi kadr, strategii ideologicznych i górniczego trudu jako wzorca do naśladowania. Droga nazywała się Trasą Czynu Żołnierskiego, co miało przynajmniej podwójne uzasadnienie. Po pierwsze, budowały ją jednostki inżynieryjne Ludowego Wojska Polskiego, po drugie, upamiętniała heroizm pierwszego oddziału komunistycznej Gwardii Ludowej, który w 1942 roku w okolicach Piotrkowa Trybunalskiego stoczył swój pierwszy bój z Niemcami, stając się symbolem brawurowej odwagi porównywanej z Termopilami i Somosierrą.

Oddziałem dowodził Mały Franek – Franciszek Zubrzycki, którego imię nosiły w PRL-u ulice miast, szkoły, statki, warszawskie Zakłady Elektrotechniczne i ośrodek szkolenia Marynarki Wojennej w Ustce, z dumą celebrujące patronat bohatera. Tuż przy drodze, którą jechał fiat Karewicza,

w miejscowości Polichno, gdzie legendarny oddział walczył z przeważającymi siłami hitlerowców, wzniesiono okazały obelisk, pawilon Muzeum Czynu Partyzanckiego oraz skansen imitujący leśne obozowisko nieustraszonych junaków Małego Franka. Mijając je, prokurator Głównej Komisji kwaśno się uśmiechnął i pokręcił głową, bo tylko tyle mógł zrobić.

Ciekawe – pomyślał z goryczą – czy doczekam czasów, gdy w tym kraju zacznie się mówić prawdę? Choć pewnie prędzej wielbłąd przejdzie przez ucho igielne, przypomniał sobie cytaty z Ewangelii św. Mateusza i mocniej zacisnął ręce na kierownicy.

Refleksja Kazimierza Karewicza była uzasadniona.

Kilka lat wcześniej z ramienia Komisji prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa Franciszka Zubrzyckiego zastrzelonego w 1942 roku na dworcu w Tomaszowie Mazowieckim przez patrol niemieckiej żandarmerii. Prokurator jak zwykle wykonał swoje zadanie niezwykle sumiennie, chociaż w tym wypadku nie wyszło mu to na dobre. Z dokumentów i relacji świadków wyłoniła się bardzo nieciekawa prawda.

Oddział Zubrzyckiego złożony z grupki młodych mniej lub bardziej świadomych sympatyków komunizmu przebywał w lasach piotrzkowskich zaledwie przez kilka dni i nie brał udziału w ani jednej, nawet najmniejszej potyczce z Niemcami. Potem Mały Franek wyjechał do Warszawy, a jego żołnierze dokonali swojej jedynej akcji zbrojnej: napadli na leśniczówkę Jeremiego Kozłowskiego, należącego do AK, i zabrali mu dubeltówkę oraz pięć tysięcy złotych. Po dwóch dniach natknęli się na niewielki patrol niemieckiej żandarmerii, na którego widok uciekli, rozpraszając się po okolicy, i odtąd wszelki śluch po nich zaginął. Bohaterski oddział im. Stefana Czarnieckiego, dowodzony przez Małego Franka, tym samym przestał istnieć.

Kazimierz Karewicz wszystko to starannie udokumentował, napisał raport i położył go w służbowej szarej teczce na biurku szefa pionu śledczego Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

Dyrektor w milczeniu przeczytał jej zawartość. Potem powoli

zamknął kartonową okładkę i poświęcił dobrą minutę na uformowanie kokardki z tasiemek, którymi zawiązał teczkę.

– Kaziu – powiedział wreszcie do prokuratora Karewicza czekającego na krześle dostawionym do biurka szefa. – Uważam cię za swojego przyjaciela, dlatego proszę, abys potraktował to pytanie jako prywatne: – W ilu kopiach sporządziłeś ten raport?

– W trzech. Zgodnie z procedurą.

– Dobrze. – Dyrektor nadal udoskonalał kokardkę z tasiemek. – To teraz wróć do siebie i przynieś mi, proszę, dwie pozostałe oraz obydwa arkusze kalki, przez którą pisałeś.

– Kalkę wyrzuciłem do kosza – odparł Karewicz.

– To ją stamtąd wyjmij.

Prokurator sprawiał wrażenie zdezorientowanego. Otwierał usta, aby coś powiedzieć, ale szef przerwał mu ostentacyjnie, patrząc na zegarek:

– Masz pięć minut. To wszystko.

Tego samego dnia, późnym popołudniem, przed jedną z altanek ogródków działkowych na Mokotowie siedziało dwóch mężczyzn. Mimo chłodu palili niewielkie ognisko i strugali patyki, na których zamierzali upiec kiełbaski. Płomień tańczył na tle nieśmiałego zmroku, jak gimnastyczka wykonująca pokaz z szarfą, choć rekwizytem ognia były tylko tasiemki szarej teczki dopalającej się w żarze.

– Wybór był prosty – skwitował dyrektor pionu śledczego Głównej Komisji, wpatrując się w Kazimierza Karewicza skulonego z zimna, a może z zupełnie innych przyczyn. – Albo ty zniszczyłyś ten raport, albo ten raport zniszczyłyby ciebie.

Dyrektor nabił kiełbaskę na patyk, podał go przyjacielowi i napełnił wódką dwa kieliszki stojące na ogrodowym stoliku własnej konstrukcji.

– Na pohybel kłamstwu. – Uniósł kieliszek. – Raport diabli wzięli, ale jak cię znam, zachowałeś notatki, nazwiska świadków i kopie ich zeznań. Może przyjdą czasy, że to wszystko ujrzy światło dzienne. Tylko, proszę cię, Kaziu, dobrze to schowaj.

Prokurator Karewicz nie odpowiedział, ale stukając kieliszkiem o brzeg tego trzymanego przez szefa, pomyślał o ulubionej leśniczówce w mazurskich Dubitach, o której nikt nie wiedział i która idealnie nadawała się do ukrycia podobnych sekretów.

A potem przełknął gorzyc trunku.

Polichno wraz ze swoimi demonami zniknęło w lusterku wstecznym fiata, sprawiając, że Kazimierz Karewicz wrócił do rozmyślań o powodach, dla których wybrał się na Śląsk. Pierwszym z nich była służbowa wizyta w Komisji Okręgowej w Katowicach, drugim – rozmowa z emerytowanym kierownikiem stadniny koni w Koźlu Mieczysławem Głębockim, który kilka tygodni wcześniej napisał list do dyrektora Muzeum Narodowego profesora Stanisława Lorentza z prośbą o wszczęcie poszukiwań pewnego obrazu Jana Matejki należącego niegdyś do jego rodziny. Profesor przekazał list Głównej Komisji. W ten sposób pismo trafiło do rąk prokuratora Karewicza, a prokurator Karewicz do Koźla.

Mimo swoich siedemdziesięciu sześciu lat Mieczysław Głębocki trzymał się prosto jak trzcina. Zachował niemal młodzieńczą energię oraz kulturę i klasę zakodowaną w genach od pokoleń. Pochodził z Wołynia i należał do znakomitego rodu pieczętującego się herbem Doliwa. Jeden z jego antenatów, biskup Mikołaj Głębocki, był ojcem chrzestnym Władysława Warneńczyka, co zostało uwiecznione przez Jana Matejkę na płótnie. Dla Głębockich dzieło to miało znaczenie szczególne – w końcu zaszczyt podawania do chrztu królewskich dzieci nie przypadał każdemu.

– Zamykam oczy i widzę ten obraz na ścianie salonu koralowego w Łaszkach, jakby to było wczoraj – zwierzył się starszy pan Kazimierzowi Karewiczowi podczas spaceru po kozielskiej wyspie otoczonej szarymi wodami Odry. – Miałem wtedy kilka lat. Bywaliśmy w pałacu dziadków, właśnie tych, których Matejko uwiecznił na płótnie. Moi rodzice kiedyś tam mieszkali, potem ojciec zamienił się na majątki ze stryjem Janem, ale podczas wszystkich świąt i uroczystości rodzinnych wymykałem się z jadalni, aby popatrzeć na *Chrzest Warneńczyka*, który dla mnie

miał jakąś magię.

– Czy wie pan, co się stało z tym obrazem?

Mieczysław Głębocki czubkiem buta usunął patyk z parkowej ścieżki.

– Więcej informacji znajdzie pan w dokumentach mojego brata Andrzeja. Kiedy pan zadzwonił, zapowiadając się w Koźlu, przygotowałem dla pana fotokopie. W skrócie rzecz ujmując: w tysiąc dziewięćset szesnastym, kiedy na Wołyniu zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, a polskie dwory coraz częściej padały łupem ukraińskich chłopów i dezertersów z kilku armii, moi rodzice podjęli decyzję o wyjeździe do krewnych w Krakowie i przeczekaniu zawieruchy. Ale jak nam obu wiadomo – starszy pan uśmiechnął się smutno – ona nigdy nie przeminęła. Przed wyjazdem stryj Jan oddał bogate zbiory łaszeckiego malarstwa do depozytu w pałacu biskupim w Żytomierzu. Dziś są dumą kolekcji Muzeum Narodowego Ukrainiejskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Wiszą tam wszystkie. Z wyjątkiem *Chrzta Warneńczyka*. Zniknął już w tysiąc dziewięćset szesnastym i tak rozpoczęła się jego odyseja wiodąca przez Wiedeń, Pragę, przedwojenny antykwariat Stieglitza w Krakowie, depozyt prokuratorski i schowki złodziei, aż do specjalnego pociągu, którym w czasie okupacji wyjechał z Polski słynny grabieżca dzieł sztuki Pieter Menten.

Kazimierz Karewicz chrząknął znacząco.

– Rozumiem, że zamieszanie wokół tego osobnika skłoniło pana do napisania listu do profesora Lorentza.

– Nie inaczej – stwierdził Mieczysław Głębocki. – Przeczytałem w prasie, że wreszcie pojawiły się twarde dowody zbrodni Mentena, pomyślałem zatem, że nadarza się znakomita okazja, aby upomnieć się o *Chrzest Warneńczyka*. Mój brat ustalił, że holenderski esesman wywiózł obraz z Polski – starszy pan przerwał i wskazał ruchem głowy dwie urodziwe panny w strojach jeździeckich z niezwykle gracją dosiadające karych wierzchowców na manezu stadniny.

– Moje wnuczki – powiedział z dumą, po czym wrócił do tematu.

– Naturalnie chcemy odzyskać obraz dla polskiej kultury narodowej – dodał z nutą obawy, że prokurator Głównej Komisji mógłby to zrozumieć opacznie. – Rodzina pragnie, aby znalazł się w muzeum, gdzie chętnie go prześlemy wraz z wszelkimi prawami własności.

– To piękny gest – rzekł z uznaniem Kazimierz Karewicz, domyślając się, ile może być warty oryginalny Matejko. – Dobrze się składa – dodał po chwili. – Akurat Rosjanie poprosili Główną Komisję o pomoc w dochodzeniu przeciwko Mentenowi i zebraniu dowodów jego działalności przed wojną, kiedy był konsulem honorowym Królestwa Holandii w Polsce, no i potem, podczas okupacji, gdy przechadzał się po Krakowie w mundurze SS. To doskonała sposobność, aby zająć się zaginionym płótnem Matejki. A wie pan – ożywił się – słuchając pana, zaczynam czuć dreszczyk emocji na myśl o poszukiwaniach *Chrzta Warneńczyka*. Jakby i dla mnie ten obraz nabierał dziwnej magii.

– To jesteśmy kolegami – rozpromienił się starszy pan. – A teraz dość już o tym. Zapraszam na domowy biszkopt i mocną kawę. Przyda się przed podróżą – uśmiechnął się i ujmując prokuratora pod ramię, poprowadził go w stronę budynków stadniny.

Parę godzin później sześćdziesiąt koni mechanicznych fiata Kazimierza Karewicza kłusowało w stronę Warszawy, wioząc na tylnym siedzeniu teczkę z dokumentami mecenasa Andrzeja Głębockiego, niestrudzonego poszukiwacza obrazu Matejki przed wojną i podczas okupacji. Prokurator Głównej Komisji nie byłby sobą, gdyby przed wyjazdem z Koźła do niej nie zerknął. Na pierwszym miejscu znajdowała się fotokopia jednej ze stron pamiętnika pana Andrzeja, który w 1937 roku wybrał się na wystawę matejkowską zorganizowaną w gmachu Zachęty Sztuk Pięknych w Warszawie i omal nie przyplacił tego zawałem. Wchodząc do głównej sali ekspozycyjnej wraz z wujem Janem Mazarakim, ujrzał wiszący tam *Chrzest Warneńczyka* – obraz, który dwadzieścia lat wcześniej rozpląnął się jak kamfora.

Rozdział 89

Znalezienie odpowiednich ludzi, zdolnych rozwiązać problem drugiego obrazu, zajęło szejkowi Ajmanowi niecałe sześć godzin. Przywódcy bractwa Bokira od wieków zatrudniali i hojnie wynagradzali ekspertów od spraw trudnych, wymagając w zamian bezgranicznego zaufania oraz unikatowych umiejętności, jakie z reguły nabywa się w służbach i jednostkach specjalnych lub w profesjonalnych organizacjach przestępczych. Człowiek, do którego szejk zadzwonił niezwłocznie po wyjściu doktora Ibrahima Hariri, był absolwentem obydwu tych kursów. Oficjalnie piastował stanowisko zastępcy dyrektora ochrony przedsiębiorstw naftowych Ajmana, nieoficjalnie wykonywał usługi, których próżno szukać w książce telefonicznej.

Był wysoki i chudy jak patyk, dobiegał pięćdziesiątki. Pochodził z dumnego narodu Kabylów, zamieszkującego góry na północnym wschodzie Algierii, jak wielu współplemieńców miał idealnie proste czarne włosy odróżniające ich od Arabów, wyznawał islam sunnicki i nie przepadał za socjalistycznym rządem swojego kraju. Właśnie dlatego wraz z setkami innych górali wyemigrował do Francji, która od wieków ceniła Kabylów za inteligencję, sumiennosc i lojalność. Przyjął imię Marcel, pomyślnie przeszedł szkolenie i dosłużył się stopnia sierżanta GIGN – oddziału komandosów żandarmerii narodowej, powołanego do życia po zamachu na olimpiadzie w Monachium w 1972 roku. Oficerom elitarnego „Ze-i-zen” podobało się, że biegle włada nożem i językiem arabskim, co okazywało się przydatne w licznych akcjach antyterrorystycznych jednostki. Niestety dowództwo żandarmerii

nie podzielało tych zachwyków, demobilizując Marcela z przyczyn, które można uznać za rasistowskie.

Wylądował w Marsylii. Próbował uczciwej pracy, ale w tym mieście miało to niemal takie same szanse powodzenia jak znalezienie posady rzymskokatolickiego proboszcza w Mekce czy Medynie. Rychło zwąchał się z grupą Algierczyków sprzedających kałasznikowy marsylskim gangom narkotykowym, co okazało się niezawodną przepustką do okrytego ponurą sławą więzienia Baumettes, które nie miało nad bramą napisu: „Witamy w piekle”, choć mieć powinno.

A jednak zakład karny, wyposażony w ponad tysiąc trzyosobowych cel, koszmarnie przeludnionych, cuchnących i często pozbawionych elektryczności, stał się dla byłego sierżanta GIGN ważnym etapem kariery. Dzięki pewnemu Marokańczykowi z celi, z którym przez dwa lata czytał Koran i toczył nocne dysputy religijne, znalazł się na ścieżce wiodącej do świętego zgromadzenia Bokira, a dzięki pewnemu incydentowi mógł po latach odwdziżyć się bractwu za to, że go przygarnęło, zatrudniło i zapewniło luksusowe życie w Emiratach.

To było wczesną wiosną 1975 roku. Do celi Marcela i dwóch innych wyznawców islamu trafił ambitny holenderski gangster, który w Marsylii poszukiwał nowych rynków zaopatrzenia rodzinnego kraju w kokainę i haszysz. Nazywał się Ruud van den Berg, nieźle mówił po francusku i doskonale zdawał sobie sprawę, że od pierwszego dnia stał się obiektem zakładów, jak długo pożyje. Doświadczeni bukmacherzy z Baumettes obstawiali trzy opcje: tydzień, dziesięć i piętnaście dni. Jasnowłosym cudzoziemcom wtrącanym do piekła sektora muzułmańskiego, rządzonego przez najgorsze szumowiny z Algierii, Tunezji i Maroka, raczej nie udawało się przetrwać dłużej. Władze więzienia uwielbiały eksperymenty, kwitowane potem lakonicznymi raportami, że na skutek konfliktu religijnego i rasowego doszło do pobicia ze skutkiem śmiertelnym i tak dalej. W konsekwencji następowało dochodzenie prefekta, który czytał te raporty, mrużąc: „o jednego bandziora mniej”, po czym wrzucał je do szuflady stanowiącej coś

w rodzaju prosektorium dla akt, przed ich ostatecznym pochówkiem w archiwum.

Tym razem miało być tak samo. Piegowaty Holender po trzech dniach odbywania kary został otoczony na więziennym boisku do koszykówki przez kilku tunezyjskich rzezimieszków. Mimo przewagi liczebnej napastników nie okazał strachu. Przeniósł ciężar ciała na lewą nogę gotów do boksterskiego tańca, skulił się i uniósł gardę, jaką pochwaliby każdy zawodowy trener. Ale zanim najbardziej krewki z młodych Tunezyjczyków ruszył do ataku, jak spod ziemi wyrósł przed nim Marcel i warknął:

– Czterech na jednego? Zostawcie go. To mój kumpel spod celi.

– Białasa bronisz?! – syknął tunezyjski bandzior, a pozostała trójka chętnych do walki poruszyła się nerwowo. Posypały się wyzwiska, sytuacja robiła się coraz bardziej napięta, osiągając punkt kulminacyjny w chwili, gdy Marcel wyciągnął nóż. Tunezyjczycy zawyli z wściekłości. Ich lider przyczał się i właśnie wypuszczał zwinne złodziejskie ręce, aby wytrącić przeciwnikowi broń, gdy chwycił go za koszulę stary recydywista z Tunisu, szepcząc do ucha:

– Uważaj! To komandos „Ze-i-zen”. Jeśli wyjął nóż, to nie po to, aby cię postraszyć. Chcesz na niego iść, to najpierw pomódl się przed śmiercią.

Młody Arab, zaprawiony w bójkach ulicznych, ujrzał dokładnie tę samą przestrogę w oczach Marcela, dlatego przytomnie ostygł i zawiadomił kompanów, że z białasem i jego obrońcą policzą się w bardziej sprzyjających okolicznościach. Ruud van den Berg odetchnął ze świadomością, że właśnie ocalono mu życie. Baumettes opuścił kilka tygodni później, po ekstradycji do Holandii, gdzie niemal natychmiast objęła go amnestia. Z Marsylii wyjeżdżał z długim wdzięczności wobec arabskiego kumpla, dlatego szczerze się ucieszył, słysząc wiosną 1977 roku jego głos w słuchawce telefonu, poprzedzony informacją paniienki z centrali międzynarodowej, że łączy rozmowę z Dubajem.

– Marcel, stary draniu! – Ruud przekrzykiwał zakłócenia techniczne na linii – co u ciebie? Kiedy wreszcie zleziesz

z wielbłąda i wpadniesz do Amsterdamu posmakować przyjemności, których twój Allah tu nie widzi.

– Jutro – odparł krótko były sierżant GIGN i też się roześmiał.

Ruud van den Berg na chwilę zaniemówił.

– Serio? Czy jaja sobie robisz?

– Ani mi to w głowie – zapewnił Marcel. – Mam zabukowany bilet. Jutro o dziewiętnastej piętnaście mogę być na lotnisku Schiphol.

– To fantastycznie – Holender uradował się jeszcze bardziej. – Tak się zabawimy, że będziesz to wspominał przez cały ramadan. No, przyjacielu... a to niespodzianka. Jak długo zostaniesz?

– No właśnie – chrząknął Marcel. – Chciałbym trochę zwiedzić wasz region, do czego będę potrzebował dobrego przewodnika. Najlepiej twojego brata.

Po drugiej stronie słuchawki zapanowało parę sekund ciszy, po której Ruud odrzekł rzeczowo:

– Rozumiem. Możesz uznać sprawę za załatwioną. Brat od dawna chce cię poznać, zwłaszcza gdy opowiedziałem mu naszą marsylską przygodę. Wiesz jaką. No, to czekamy jutro. Masz się gdzie zatrzymać czy coś zorganizować?

– Zarezerwowałem pokój w Grand Hotelu Krasnapolsky przy placu Dam – poinformował Marcel. – Czytałem w folderze biura podróży, że to miejsce związane z Polską, a powodem mojego przyjazdu są właśnie polskie pamiątki w Holandii.

Ruud van den Berg głośno wciągnął powietrze.

– No, no – rzekł z uznaniem. – To widzę, że ci się nieźle powodzi. Hotel pierwsza klasa.

Poszukiwanie „polskich pamiątek” puścił mimo uszu, choć mocno go to zaintrygowało. Przez wiele lat działalności przestępczej nauczył się, że tematów intrygujących nie omawia się przez telefon.

Wim van den Berg, starszy od brata o kilka lat, cieszył się szacunkiem amsterdamskiego półświatka, choć oprychy z okrytej ponurą sławą dzielnicy Zuidoost kpiły z jego garniturów szytych

na miarę u londyńskiego krawca, drogich butów, rolexa i jaguara, którym jeździł na tylnym siedzeniu, z kierowcą – ponurym blondynem o kartotece policyjnej grubości encyklopedii.

Van den Berg starszy pozował na włamywacza dżentelmena w rodzaju Arsena Lupina, którego przygody namiętnie oglądał we francuskim serialu w telewizji na początku lat siedemdziesiątych, nie opuszczając ani jednego odcinka. Poza wspomnianą już troską o wygląd Wim dbał o maniery, cenił wytworne restauracje, prowadził dwa eleganckie kluby i bywał w filharmonii. Chodziły słuchy, że sam gra na instrumentach smyczkowych, co sprawiło, że w środowisku przestępczo-policyjnym zyskał pseudonim Violist, czyli Skrzypek. Trzeba przyznać uczciwie, że miał wyjątkowo zręczne palce.

Specjalizował się w czynności, którą kodeksy karne całego świata definiują jako kradzież z włamaniem, i był w tej dyscyplinie prawdziwym wirtuozem. Kradł wyłącznie drogie kamienie, dzieła sztuki, biżuterię i precjoza, zdobywając taką sławę, że w chasydzkiej dzielnicy Antwerpii, uchodzącej za światowe centrum handlu diamentami, jego fotografie tkwiły przyczepione pinezkami tuż obok czerwonych przycisków uruchamiających alarmy. Personel miał zapowiedziane, aby używać tych przycisków bez wahania, nawet w sytuacji, gdyby osobnik ze zdjęcia przechadzał się legendarną Pelikaanstraat pod rękę z głównym rabinem Flandrii.

Sława Wima van der Berga wynikała z jeszcze jednego, kto wie, czy nie najbardziej istotnego faktu. Skrzypek nigdy nie został aresztowany, a policji wymykał się jak duch, nie pozostawiawszy choćby mikroskopijnych śladów na miejscu włamania. Pielęgnował to równie obsesyjnie jak manicure czy polysk butów, w których można się było przejrzeć.

Na widok Marcela podchodzącego do stolika braci van den Berg w imponującym ogrodzie zimowym hotelu Krasnapolsky Ruud aż podskoczył i trzasnął pięścią prawej dłoni w otwartą lewą dłoń. Wim wstał, okazując szacunek człowiekowi, który uratował

mu brata, po czym zaprosił go dyskretnym gestem na krzesło obok siebie. Przez kwadrans rozmawiali o niczym. Po przystawkach starszy z van den Bergów dotknął ust wykrochmaloną serwetką i zadał pytanie, które Ruud przetłumaczył na francuski:

– Brat wspomniał, że zależało ci na spotkaniu ze mną. Co mogę dla ciebie zrobić?

Marcel wyczuł rezerwę w jego głosie, mimo to odpowiedział wprost:

– Chodzi o wizytę w pewnej posiadłości niedaleko stąd. Chwilowo nikt tam nie mieszka. Właściciel wyjechał do Szwajcarii i raczej będzie się starał przedłużyć pobyt, ale dom może obserwować policja.

Skrzypek spojrzał na niego ze zdumieniem, po czym obaj z bratem wybuchnęli śmiechem.

– Opuszczony dom? – upewnił się Ruud z rozbawieniem. – Sorry, myśleliśmy, że to polskie coś tam, o czym gadałeś przez telefon, to *klein Warschau*, dzielnica jubilerów w Antwerpii. Tak ją nazywają, bo większość Żydów po wojnie przeniosła się tam właśnie z Polski. Byliśmy z Wimem przekonani, że potrzebujesz trochę błyszczących kamyczków dla swoich szejków, kapujesz? Wim trochę się martwił, bo jest tam spalony, ale jakby co... dałoby się zrobić. No nie, brat?

Skrzypek zrobił nieprzeniknioną minę i uniósł brwi, co miało być wyrazem potwierdzenia, że jeśli trzeba, to czyni cuda. Zlecenie, jakie miał dla niego kumpel brata z więzienia w Marsylii, cudu nie wymagało.

– Załatwione – powiedział spokojnie. – Podaj adres i powiedz, co to ma być.

– Obraz – odparł Marcel. – Polski obraz – dodał, mimowolnie obrzucając wzrokiem eleganckie wnętrze hotelu zbudowanego blisko sto lat temu przez Adolfa Wilhelma Krasnopolskiego w miejscu tak zwanej polskiej kawiarni przy Warmoesstraat. – Jest w Blaricum – uzupełnił, niezbyt poprawnie wymieniając nazwę holenderskiego miasteczka.

Wim van den Berg w milczeniu skinął głową, zanim brat zdążył

przetłumaczyć.

– Jak chcesz go odebrać? – zapytał, jakby przedmiot rozmowy już zmienił właściciela.

Marcel rozłożył ręce.

– Doradźcie mi. Myślałem, żeby wyciąć płótno z ram, dobrze ukryć w wypożyczonym samochodzie i przewieźć do portu w Marsylii. Tam bym już sobie poradził.

Wim w skupieniu pracował nad mankietami koszuli, aby wystawały spod marynarki, odsłaniając fragment monogramu.

– Niegłupie, ale ryzykowne – ocenił, nie podnosząc wzroku. – Kilka granic do pokonania, a nuż się trafi nadgorliwy celnik? Nie – pokręcił głową. – Stanowczo nie. Z Blaricum jest trochę ponad osiemdziesiąt kilometrów do portu w Rotterdamie. A tam to my sobie radzimy. – Zerknął na Ruuda, który rozpromienił się w uśmiechu. – Dostaniesz obraz za kilka tygodni w dowolnym porcie Zatoki Perskiej – zdecydował, nie czekając na zdanie Marcela. Ale śniady przyjaciel brata był najwyraźniej zadowolony.

– Co do kosztów... – zaczął, ale Skrzypek powstrzymał go wytwornym gestem dłoni.

– Ja pracuję gratis – wyjaśnił. – W rewanżu za Ruuda. Wynagrodzisz tylko ludzi. Czy w domu są inne cenne rzeczy?

– No właśnie – westchnął Marcel. – Nie powiedziałem najważniejszego. Nikt nie może się zorientować, że stamtąd cokolwiek zginęło. Myślałem o pożarze, w miarę wiarygodnym, więc jeśli kiedykolwiek wypłynie jakikolwiek fant, to sam rozumiesz...

– Jasne – odparł Wim. – Wysoce cenię przemyślane plany polegające na minimalizowaniu ryzyka. Masz moje słowo: będzie pożar, który strawi wszystko, choćby i oryginalnego Van Gogha, jeśli będzie wisiał nad kominkiem. Ale skoro nie bierzemy fantów, to honorarium mojej ekipy będzie dość wysokie: – Trzy, może cztery tysiące dolarów.

Marcel podał mu rękę na znak zgody.

– To pewni ludzie? – zapytał.

– Pytasz, czy potrafią wykonać takie zlecenie, czy o dyskrecję?

– O dyskrecję – odparł Marcel, czego Ruud nie musiał tłumaczyć. Słowo brzmiało w obydwu językach niemal identycznie.

– Bądź spokojny. Gdybym pracował z innymi, miałbym podobne przygody jak wy w Marsylii.

Przybysz z Dubaju kiwnął głową ze zrozumieniem.

– A policja? – dopytał. – Pewnie pilnuje domu.

Skrzypek lekceważąco machnął ręką.

– Witaj w Holandii, przyjacielu – oświadczył z uśmiechem. – Tu policja wierzy, że papierowa taśma z pieczętkami komisariatu przyklejona do drzwi strzeże trefnego domu lepiej niż oddział antyterrorystów.

Trzy dni później, w środku nocy, papierowa taśma zabraniająca wstępu do domu w Blaricum spłonęła w ułamku sekundy, pochłonięta przez ogień, który szybko ogarnął cały budynek. W lusterku wstecznym wysłużonej simki, która skręciła na drogę do Utrechtu, w kierunku Rotterdamu, rosła coraz większa łuna.

Rozdział 90

Zieleń Ogrodu Saskiego była bujna i soczysta, ale dwójka ludzi spacerująca alejką na tyłach Grobu Nieznanego Żołnierza zdawała się tego nie dostrzegać.

– Kaziu – zaczęła ostrożnie Zofia Sowińska, wahając się, czy położenie dłoni na ramieniu kolegi z pracy nie będzie gestem zbyt poufałym. – Nie zamartwiaj się rzeczami, na które nic nie poradzisz. Dom Mentena spłonął. Koniec. Im szybciej się z tym pogodzisz, tym szybciej odzyskasz lepsze samopoczucie. Potraktuj to jak zrządzenie losu.

– *Dubito ergo sum*. Wątpię, więc jestem – odrzekł prokurator Kazimierz Karewicz. – Prędzej uwierzę, że wiewiórki w tym parku zaczną mówić ludzkim głosem, niż w to, że to było zrządzenie losu. Ten dom ktoś podpalił, Zosiu. Aby zatrzeć ślady. A wcześniej zabrał z niego *Chrzest Warneńczyka*. Na milion procent.

– Wiesz, że twoja intuicja to zbyt mało, aby kontynuować oficjalne poszukiwania obrazu – dodała rzeczowo, chcąc oszczędzić mu niepotrzebnych nadziei, a w konsekwencji nieuchronnych rozczarowań.

– Wiem, Zosiu – Karewicz uśmiechnął się blado. – Smutno mi tylko, że nie przywiozę ci tulipanów, choć mam holenderską wizę i dziesięć dolarów oficjalnego przydziału dewiz – próbował żartować. – Szef polecił mi jutro oddać paszport.

Zamyślił się.

Czyżby wszystko na nic? Kilka tygodni, które spędził na studiowaniu dokumentacji mecenasa Andrzeja Głębockiego otrzymanej od jego brata w Koźlu, pozwoliło Kazimierzowi

Karewiczowi dojść do przekonania, że obraz Matejki musiał mieć jakieś szczególne znaczenie. Czyżby chodziło o przepowiednię zachowaną w zapiskach rodzinnych? Czy scena chrztu królewicza została zamówiona u sławnego malarza tylko po to, aby upamiętnić postać biskupa Mikołaja Głębockiego, czy też by podkreślić przesłanie pojednania chrześcijaństwa z islamem? Wiele na to wskazywało, ale i wiele elementów nie pasowało do układanki.

Człowiek, który wystawia płótno w Zachęcie w 1937 roku, Józef Stieglitz z Krakowa, ma legalne papiery kupna obrazu od czeskiego antykwariusza Rudolfa Mastnego, który z kolei nabył *Chrzest w Wiedniu* za pośrednictwem marszanda renomowanej firmy V. Horejs. Na wszystko są umowy, rachunki i dokumenty celne. Mimo to rodzina przedstawia dyrektorowi Zachęty certyfikat własności podpisany przez Jana Matejkę i obraz trafia do depozytu prokuratorskiego, a bracia Andrzej i Mieczysław Głęboccy pozywają Stieglitza do sądu. I tu zaczynają się rzeczy dziwne. *Chrzest Warneńczyka* nagle znika z depozytu, a żydowski antykwariusz o niczym nie wie i bezradnie rozkłada ręce. W sądzie ktoś wyraźnie mataczy. Sprawdzanie transakcji w Czechach i Austrii zajętej przez Hitlera wlecze się w nieskończoność, a zawiadomienia o rozprawach w ogóle nie docierają do prawowitych właścicieli obrazu. Wreszcie wybucha wojna. Mieczysław Głębocki na początku okupacji przebywa w Krakowie i postanawia zagrać *va banque*. Idzie do antykwariatu Stieglitza, by zapytać personel o *Chrzest Warneńczyka*. Uzyskuje potwierdzenie, że obraz był tu dosłownie kilka dni wcześniej, ale szef go zabrał wraz ze swoim nowym przyjacielem, panem Mentenem z SS.

– Kaziu? – Zofia Sowińska zaniepokoiła się milczeniem prokuratora Głównej Komisji.

– Tak, moja droga? – odpowiedział z roztargnieniem i dodał: – Wybacz, zamyśliłem się.

– Zdradzisz mi, co teraz zamierzasz?

Kazimierz Karewicz rozłożył ręce.

– A co tu zamierzać – w jego głosie wyraźnie zabrzmiała

rezygnacja. – Holendrzy wczoraj przysłali dalekopis z informacją, że willa w Blaricum spłonęła, wobec czego wizyta polskiej komisji traci rację bytu. Za wstawiennictwem profesora Lorentza i naszych służb dyplomatycznych zgodzili się tylko na oględziny domu Mentena i sprawdzenie, czy jest tam nasz obraz, ale dom przestał istnieć. I tyle.

– Myślisz, że szef zamknie sprawę?

– Myślę, że już zamknął. Sekretarka – spojrzał na zegarek – pewnie przepisuje teraz decyzję na maszynie. Rano będę ją miał na biurku.

Pani Zofia przystanęła.

– A może Główna Komisja włączy się w dochodzenie w sprawie ludobójstwa, o jakie oskarżony jest Pieter Menten? Jesteś naszym najlepszym śledczym. Może zostaniesz w to włączony i będziesz miał sposobność kontynuowania poszukiwań obrazu?

Karewicz przecząco pokręcił głową.

– Nic z tego, Zosiu. Komisja, jak sama nazwa wskazuje, zajmuje się badaniem zbrodni hitlerowskich w Polsce. Ziemie, na których Menten dokonywał przestępstw wojennych, już do Polski nie należą. Jeszcze by nas uznano za rewizjonistów – zaśmiał się gorzko. – Dochodzeniem zajmą się towarzysze radzieccy. I powiem ci w zaufaniu – zniżył głos – że jak ich nie lubię, tak teraz z serca życzę im powodzenia. Niechby dopadli tego drania.

– Opowiesz mi o Mentenie? – spytała.

Prokurator Głównej Komisji milczał przez chwilę, jakby układał w myślach mowę oskarżycielską.

– Typ spod ciemnej gwiazdy – zaczął. – Od zawsze miał skłonności do zła. Dzięki kłamstwom o rzekomych związkach rodzinnych z założycielami koncernu Unilever oraz Royal Dutch Petroleum, bardziej znanego jako Shell, młody Menten długo przed wybuchem wojny zyskał dostęp do elity holenderskiego biznesu. Miał dwadzieścia trzy lata, gdy założył w Wolnym Mieście Gdańsku spółkę, dzięki której bardzo szybko zarobił miliony i stał się największym eksporterem drewna z Europy Wschodniej. Ale równie szybko wyszło na jaw, że zbił kapitał dzięki oszustwom,

i musiał uciekać do Lwowa, prosząc polskie władze o azyl z powodów politycznych. No, szczyt bezczelności – zaperzył się prokurator Głównej Komisji, przerywając na chwilę. Zofia Sowińska słuchała jak urzeczona.

– Kaziu – spytała. – Skąd to wszystko wiesz?

– Z prasy – Karewiczowi znów błyszczały oczy, jak wtedy, gdy planował wyprawę do Blaricum tropem *Chrztu Warneńczyka*. – Wiesz, jak wspaniałe i nowoczesne są dzisiejsze wyszukiwarki? Zakładasz rolkę z mikrofilmem do czytnika i kręcąc korbką, możesz przewijać strony dowolnego tytułu, którym dysponuje czytelnia czasopism Biblioteki Narodowej. Wprawdzie kolumny sfotografowane są w postaci negatywu, ale i tak widać doskonale. Więc wszystko mam, biało na czarnym. Zgromadziłem artykuły holenderskiego magazynu „Accent”. Kolega, który zna niderlandzki, mi przetłumaczył. Pokażę ci w biurze. Jest tam o współpracy Mentena z niemiecką Abwehrą w latach trzydziestych, o jego lwowskiej spółce z żydowskim biznesmenem Isaakiem Pistynierem, z którym razem kombinowali, dopóki się nie pokłócili. O machlojkach gospodarczych. Wiesz, jak go nazywali na Kresach? – spytał nieoczekiwanie, a widząc minę Zofii Sowińskiej, sugerującą, że nie ma pojęcia, wyjaśnił:

– Petro Menten. To trochę od ukraińskiego brzmienia imienia Piotr, a trochę od branży naftowej, w którą zaangażował się na Podkarpaciu. Wyobraź sobie, że wszyscy go tam uwielbiali, dopóki nie wyszło na jaw, że współpracuje z nazistami. Po podziale Polski siedemnastego września trzydziestego dziewiątego został nawet aresztowany przez Ukraińców, ale udało mu się wydostać z więzienia i uciec do Krakowa, gdzie oficjalnie pojawił się w mundurze SS. Potem, po napaści Hitlera na ZSRR – Kazimierz Karewicz posmutniał – Menten wziął za to krwawy odwet, mordując wszystkich, którzy przed wojną nadepnęli mu na odcisk, łącznie z całą rodziną Pistyniera. Uroczy Petro Menten, popularny w okolicach Stryja, stał się katem setek, a może tysięcy Żydów, pacyfikując Podhorodce i Urycz jako dowódca specjalnego komanda działającego w ramach grupy Brigadeführera SS Eberharda

Schöngartha. Rosjanie natrafili na ślady tych zbrodni dopiero trzydzieści lat po wojnie, ale mają twarde dowody, poparte relacjami świadków, którym udało się przeżyć i wyjechać do Izraela. Bardzo aktywnie działa tam niejaki Chaviv Kaanan, dziś współpracownik magazynu „Accent”, a niegdyś najbliższy przyjaciel Mentena na Kresach, któremu Petro zamordował rodziców, brata i wszystkich krewnych.

Zofia Sowińska zupełnie straciła ochotę na zadawanie dalszych pytań.

– Pewnie interesuje cię, gdzie w tym koszmarze jest *Chrzest Warneńczyka*? – wyręczył ją Kazimierz Karewicz.

W milczeniu skinęła głową.

– Otóż, wyobraź sobie, że jesienią trzydziestego dziewiątego Hauptscharführer Pieter Menten został administratorem majątków wrogów Rzeszy: polskich i żydowskich profesorów, właścicieli ziemskich, arystokratów, przemysłowców. Z przedwojennych herbatek znał ich kolekcje sztuki, a w selekcji dóbr pomagał mu doskonale zorientowany ekspert, krakowski antykwariusz...

– Józef Stieglitz – uzupełniła Zofia Sowińska. – Zapamiętałam – dodała jakby na usprawiedliwienie za przerwanie monologu prokuratora.

– No właśnie – potwierdził. – Funkcjonariuszowi SS najwyraźniej nie przeszkadzało, że Stieglitz jest Żydem. Zresztą musiał oddać Mentenowi nieocenione zasługi, skoro ten pomógł mu przedostać się na Węgry, a stamtąd do Palestyny, dosłownie kilka tygodni przed atakiem Wehrmachtu na ZSRR. Zanim to się stało, obaj zapełnili dziełami sztuki kilka sal szkoły SS w Rabce Zdroju, gdzie mieścił się główny magazyn zrabowanych dóbr. Jestem przekonany, że był wśród nich *Chrzest Warneńczyka* zagarnięty przez Mentena, skoro Mieczysław Głębocki potwierdził, że obraz znajdował się w krakowskim antykwariacie we wrześniu trzydziestego dziewiątego, o czym opowiadał mi, gdy parę tygodni temu odwiedziłem go w Koźlu.

– Zagarnięty? – zastanowiła się Zofia Sowińska. – Nie zagarnia

się dóbr komuś, komu ratuje się skórę. Spójrz: Menten mógł bezkarnie zastrzelić żydowskiego antykwariusza i jeszcze by go za to pochwalono. A jednak tego nie zrobił i narażał się, przemycając Stieglitza do Palestyny. Może zatem obraz został podarowany, nie zagarnięty? Może to był prezent krakowskiego antykwariusza dla przyjaciela i współpracownika z SS?

Tym razem Kazimierz Karewicz przystanął i popatrzył na koleżankę z wyraźnym uznaniem.

– Wiesz, nigdy nie pomyślałem o tym w ten sposób. To wielce prawdopodobne. Przeczytałem, że Stieglitz ma być najważniejszym świadkiem obrony, gdy tylko uda się przeprowadzić ekstradycję Mentena ze Szwajcarii i postawić go przed holenderskim sądem. Co dobitnie świadczy o tym, że przez te wszystkie lata mieli dobry kontakt. Dlatego woń spalenizny z Blaricum zalatuje mi czymś jeszcze – dodał tajemniczo, nieoczekiwanie chwycił koleżankę za ramię i odwrócił w stronę pobliskiego klombu.

– Zobacz, tu też kwitną tulipany – powiedział prawie wesoło, nie przyznając się do pomysłu, który przed chwilą przyszedł mu do głowy.

Rozdział 91

W tym samym czasie trzech mężczyzn rozmawiających na tarasie posiadłości w Satwie, starej dzielnicy Dubaju, rozkoszowało się zachodem słońca i smakiem mocnej herbaty parzonej ze świeżymi liśćmi mięty.

– Miałeś dobry lot? – spytał szejk Ajman, przenosząc wzrok znad szklaneczki z naparem na Marcela, który dosłownie przed kilkoma minutami dotarł z lotniska.

– Tak, szejku. Kapitan pilotujący samolot, który witał pasażerów przez głośniki pokładowe, miał polskie nazwisko – odparł i wszyscy trzej się roześmiali.

– Dobrze się spisałeś. – Ajman położył mu dłoń na ramieniu. – Obaj dobrze się spisaliście – uzupełnił, odwracając się w stronę doktora Hariri. – Gdyby nie twoja czujność, Ibrahimie, nie wiedzielibyśmy o tym obrazie w Holandii i Bóg wie, jakie mogło to mieć konsekwencje. Tymczasem teraz płynie do portu Al-Dżubajl, skąd za parę tygodni odbiorą go nasi saudyjscy bracia i dostarczą do Dubaju.

Tak jak rozkazał wcześniej, to, że *Chrzty Warneńczyka* są dwa, miało pozostać ścisłą tajemnicą, którą znali tylko oni dwaj: Ajman i Hariri.

– *Ma sha' Allah* – powiedział lekarz. – Dzięki Bogu wszystko dobrze się skończyło.

– Czy mogę o coś spytać, szejku? – odezwał się Marcel ośmielony pochwałami.

– Słucham.

– Dlaczego ten obraz jest dla bractwa tak ważny? Człowiek,

który wykonał dla nas zadanie w Blaricum, dobrze się zna na sztuce i był zdumiony, że interesujemy się akurat Matejką. Powiedział, że jego dzieła niezwykle rzadko pojawiają się na aukcjach i nie osiągają tak wysokich cen, jak Rembrandt czy Van Gogh.

– Nie chodzi o wartość materialną – odrzekł Ajman. – Obraz zawiera bardzo niebezpieczne przesłanie związane ze starą przepowiednią.

– To może lepiej było go spalić wraz z domem? – wypalił Marcel i natychmiast pożałował swojej zuchwałości. Nie jemu było decydować o sprawach bractwa.

Ale Ajman zamiast w gniew wpadł w zadumę.

– Może i lepiej – stwierdził po namyśle. Ale przywódcy Bokiry wraz z tajemnicą obrazu przekazują sobie przestrożę, aby go strzec jak źrenicy oka, bo kiedyś okaże się bezcenny dla naszej wiary. Nie potrafię tego zrozumieć, ale głęboko szanuję wolę świętych mężów kierujących bractwem od wieków.

Tym razem były komandos GIGN pochwalił imię Allaha i spytał:

– Czy mam jeszcze coś uczynić w tej sprawie?

– Tak – odpowiedział Ajman. – Cała ta historia z polskim tygodnikiem to znak od Boga. Myślę, że powinniśmy postarać się o kogoś w Polsce, kto będzie tam naszymi uszami i oczami. Wiecie, co mam na myśli?

Lekarz z ochroniarzem popatrzyli na siebie, szukając wzajemnego potwierdzenia, że dobrze rozumieją słowa szejka. Widząc ich niepewność, Ajman wyjaśnił:

– Trzeba śledzić polskie gazety i trzymać rękę na pulsie. Zorientować się, kto interesuje się tym obrazem lub, co gorsza, zamierza go szukać. Pożar w Blaricum, jak sądzę, zniechęci polską komisję do dalszego dochodzenia, ale warto byłoby się przyjrzeć temu prokuratorowi Karewiczowi – dopowiedział, niemal poprawnie wymawiając nazwisko.

– Mam tam jechać? – spytał rzeczowo Marcel.

– Jeśli będzie trzeba. Tymczasem musimy mieć kogoś na miejscu, kto zna język i przebywa w Polsce na stałe. – Ajman

jak zwykle miał już wszystko poukładane. – Myślałem o twoim synu, Ibrahimie.

Hariri głośno przełknął ślinę.

– To wielki zaszczyt, szejku – ukłonił się. – Ale, choć moje ojcowskie serce krwawi, gdy to mówię, Fadi nie jest odpowiednim kandydatem. Albo źle go wychowałem, albo zepsuły go studia w Polsce. To dobry chłopak, ale zbyt wiele uwagi przykładam do rozrywki i jest nadmiernie gadatliwy. Chociaż to mój syn, to ponad więzy rodzinne przedkładam dobro bractwa. – Ale... – Hariri nagle sobie coś przypomniał – Fadi ma kolegę. Starszego o parę lat. To Palestyńczyk, który też skończył medycynę w Łodzi i już jest cenionym ortopedą. Znam go i uważam, że to idealny kandydat. Pobożny muzułmanin, a poza tym człowiek konsekwentny. Zamierza zostać w Polsce, wie, czego chce, jest dyskretny i ma duży talent aktorski. Odnosił sukcesy w teatrze studenckim. Nazywa się Dżabir Al-Gazi. Jestem przekonany, że bractwo może mieć z niego wiele pożytku.

Nazajutrz po spacerze w Ogrodzie Saskim prokurator Kazimierz Karewicz odebrał z rąk szefa Wydziału Śledczego jednozdaniową informację o umorzeniu przez Główną Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce dochodzenia „w sprawie zaginionego dzieła Jana Matejki pod nazwą *Chrzest Warneńczyka*, prawdopodobnie znajdującego się w willi obywatela Królestwa Niderlandów Pietera Mentena”. Przeczytał ją, starannie złożył i schował w wewnętrznej kieszeni marynarki, nie mówiąc ani słowa. Dyrektor, z którym przyjaźnili się od lat, pomyślał, że coś tu nie gra, ale podejrzenie, że Kazik będzie prowadził śledztwo na własną rękę, wydało mu się niedorzeczne.

Mylił się. Niecały tydzień później prokurator Głównej Komisji po raz pierwszy w życiu sprzeniewierzył papier firmowy swojej instytucji i wysłał na adres Józefa Stieglitza w Tel Awiwie pismo z żądaniem udzielenia informacji na temat obrazu Matejki.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, po miesiącu wysłał kolejny list, a potem następny i jeszcze jeden. Po szóstym stracił nadzieję,

po siódmym przyszła oficjalna skarga z warszawskiej Ambasady Izraela przy ul. Krzywickiego. Powód: nękanie szanowanego żydowskiego obywatela.

Dyrektor się wściekł i wlepił Kazimierzowi Karewiczowi nagane z wpisaniem do akt, nie mogąc się nadziwić jego zadowolonej minie.

– I z czego się cieszysz? – spytał zirytowany. – Z tego, że do końca roku nie zobaczysz premii?

– Nic nie rozumiesz. – Prokurator machnął ręką. – Mam niezbity dowód. Stieglitz mieszka pod adresem, na który wysyłałem listy. Teraz wiem, że korespondencja do niego dochodziła i że się przestraszył. A przestraszył się, bo ma obraz! Jeszcze się do niego dobiore, zobaczysz.

– Nie słyszałem tego – stwierdził dyrektor i wskazał przyjacielowi drzwi, życząc mu w duchu powodzenia.

Rześki poranny wiatr komponował coś na strunach szuwarów. Kazimierz Karewicz napompował wyjęty z bagażnika fiata gumowy kajak – dumę PRL-owskiej turystyki, sprawnie poskładał wiosło i z cichym pluskiem ruszył w stronę Wyspy Orzechowej, na której miał swoje sanktuarium zadumy. Tafla Jeziora Drwęckiego była lekko zmarszczona, ale wokół panowała absolutna cisza. Kilka kormoranów, które można było spotkać tylko tu i w starej piosence Piotra Szczepanika, odwróciło dystyngowane głowy w stronę intruza, ale nie stwierdziwszy niczego niepokojącego, powróciło do wypatrywania ryb na śniadanie.

Po trzech kwadransach, dotleniony i pełen endorfin prokurator Głównej Komisji dotarł do brzegu. Rozbił namiot, rozłożył biwakowe krzeselko, do dolnego pojemnika kochera wrzucił kilka białych kostek paliwa, a do górnego wlał wodę na kawę, przywiezioną w plastikowym kanistrze. Zamierzał zostać na wyspie do jutra i wszystko przemyśleć.

Od procesu Pietera Mentena w 1977 roku minęło sześć lat. Holenderski esesman został skazany za zbrodnie wojenne, ale Sąd Najwyższy w Amsterdamie dokonał kasacji wyroku. Kolejną

rozprawę wytoczono mu rok później w Hadze, ale Menten znów się wywinął. Został uniewinniony. Holandię dosłownie zalała fala protestów. Pod ich wpływem sprawę rozpatrzył specjalny trybunał w Rotterdamie, który bezapelacyjnie skazał go na dziesięć lat więzienia. Menten właśnie odsiadywał trzeci rok.

Pozostawała kwestia obrazu.

Tak naprawdę Kazimierz Karewicz przypląnął na Wyspę Orzechową odpowiedzieć sobie samemu na pytanie, czy temat go nie przerasta. Momentami miał wrażenie, że *Chrzest Warneńczyka* i jego dziwna przepowiednia wiodą krętą ścieżką do obłędu. Prowadził prywatne dochodzenie w sprawie obrazu, kradnąc czas przeznaczony dla rodziny, zamęczał tą historią przyjaciół, nachodził profesora Lorentza i nękał Bogu ducha winnych referentów Ministerstwa Kultury i Sztuki. Nawet bajki, które opowiadał swojej ukochanej wnuczce, kilkuletniej Kasi, były o królu Warneńczyku, dobrych chrześcijańskich rycerzach i złych wojownikach w turbanach. Odzyskanie dla polskiej kultury obrazu Matejki dawno przestało być w jego życiu służbową powinnością. Płótno to wtargnęło w prywatność prokuratora Głównej Komisji, rozprzestrzeniając się jak infekcja.

Karewicz fascynował się jego tajemnicą, a jednocześnie się jej bał. A co, jeśli wchodzi w drogę ludziom, dla których obraz znaczy więcej, niż można przypuszczać? Dlaczego drugorzędne dzieło Matejki, niewiele warte w porównaniu z jego sławnymi płótnami, było obiektem takiej determinacji? Kradziono je, odzyskiwano, znów kradziono. Kręcili się wokół niego dziwni ludzie: złodzieje, włamywacze, czescy i austriaccy marszandzi podejrzanego autoramentu, skorumpowani sędziowie, esesman spod ciemnej gwiazdy, wreszcie złoczyńcy, którzy spalili willę Mentena. Kazimierz Karewicz nie miał cienia wątpliwości, że powodem pożaru w Blaricum było zatarcie śladów obrazu.

Przełknął łyk mocnej aromatycznej kawy, dochodząc do wniosku, że dobrze zrobił, przewożąc część dokumentacji poszukiwań do leśniczówki w Dubitach i nie nadając sprawie publicznego rozgłosu. Był moment, że chciał iść z historią obrazu do gazet, ale

coś go powstrzymało. Zresztą, co by przez to osiągnął? W 1977 ukazał się na temat Mentena obszerny artykuł w popularnym tygodniku, który zamieścił nawet reprodukcję zaginionego *Chrzta Warneńczyka*. Bez echa. Sześć lat później, na początku 1983 roku, regionalny miesięcznik kulturalny wydrukował dwa teksty niejakiego Pawła Włodarczyka, który najwyraźniej otrzymał materiały na temat obrazu od rodziny Głębockich. Autor zamieścił je, opatrując sensacyjnymi tytułami i dużą liczbą znaków zapytania, po czym zamilkł. Nadzieja prokuratora Głównej Komisji na błyskotliwe śledztwo dziennikarskie zgasła równie szybko, jak rozbłysła.

Patrząc na majaczące w oddali żaglówki dopływające do przystani w Ostródzie, Karewicz połączył ten widok z refleksją, że *Chrzest Warneńczyka* też powinien znaleźć swoją przystań. Obraz trzeba odnaleźć i przekazać Muzeum Narodowemu. Tylko jak dotrzeć do Stieglitza?

Kiedy pod pretekstem kościelnej pielgrzymki do Ziemi Świętej złożył parę lat temu podanie o wizę izraelską, otrzymał odmowę w postaci olbrzymiego czerwonego stempla, który pewnie zarezerwowano dla byłych nazistów, bojowników Organizacji Wyzwolenia Palestyny oraz polskiego prokuratora, który znęcał się listownie nad pobożnym Żydem. Był na czarnej liście.

Przyszło mu jednak do głowy, jak zwykle w czarodziejskim otoczeniu Wyspy Orzechowej, że skoro Ambasada Izraela w Warszawie zatrzasnęła mu drzwi, to może uchyli je... Polska ambasada w Tel Awiwie.

– Tak, to jest myśl – powiedział głośno sam do siebie, postanawiając, że natychmiast po powrocie z urlopu poszuka kogoś, kto tam pracuje i może pomóc. Tymczasem, dla zmylenia tropów, nadal będzie pisał do Stieglitza listy (już prywatne), sugerując, że to jedyna forma aktywności uprzykrzonego prokuratora z Polski, i usypiając tym samym jego czujność

Zacierając ręce, dziarsko poderwał się z turystycznego krzeselka, aby uruchomić specjalne urządzenie własnego patentu służące do wywabiania spod ziemi dżdżownic, które doskonale nadają się

jako przynęta na okonia. „Czas pomyśleć o obiedzie, będzie okoń, a nie śledzie” – nucił pod nosem naprędce skomponowaną piosenkę. Kormorany, które podpłynęły w pobliże wyspy, obserwowały go z rosnącą dezaprobatą.

Rozdział 92

Izaak Cohen – skromny listonosz dostarczający pocztę na Allenby Road w Tel Awiwie – był święcie przekonany, iż dwaj sanitariusze, którzy wyrosli przed nim jak spod ziemi, mają problem ze znalezieniem adresu. Dlatego jako człowiek uczynny zrobił krok w ich kierunku, zachęcająco się uśmiechając. Zdążył zauważyć szybki ruch ręki jednego z nich, poczuł na ustach tampon gazy nasączonej czymś o mdłym zapachu i już za moment spadał w czarną otchłań. Przechodnie z uznaniem obserwowali, jak dzielna załoga ambulansu szybko i sprawnie umieszcza w nim mizernego poczciarza, który najwyraźniej zemdlał z powodu upału.

Ocknął się w jakiejś piwnicy. Ręce i nogi miał przywiązane do metalowego krzesła, co szczerze go przeraziło. Przerazenie zaś ustąpiło za chwilę miejsca jeszcze silniejszej panice, która go ogarnęła, gdy pojął, że dwaj ludzie w pomieszczeniu rozmawiają po arabsku. Wyższy, w którym Izaak rozpoznał jednego z sanitariuszy, wskazał go ruchem głowy, co miało być komunikatem dla drugiego z porywaczy, że listonosz właśnie odzyskał przytomność.

Ten drugi wstał, podszedł do stołu, na którym leżał czarny biurowy neseser, i wyjął z niego plik dużych zdjęć. Podszedł do Izaaka i w milczeniu przekładał je przed jego oczami, obserwując jak rośnie w nich przerażenie. Na wszystkich fotografiach był siedmioletni Natan – synek listonosza. Wychodził ze szkoły, grał w piłkę, kupował na straganie owoce szesek, zmierzał do synagogi. Wszędzie sam, całkowicie bezbronny. Izaakowi o mało nie wyskoczyło serce.

– Poznajesz? – spytał ten drugi porywacz po hebrajsku.

Tak, oczywiście, poznaję, chciał powiedzieć listonosz, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– Błagam – wychrypiał. – Zrobię wszystko.

– To dobrze – odrzekł ten drugi. – Bo chcemy niewiele. Posłuchaj mnie uważnie: jeden z mieszkańców rejonu, który obsługujesz od lat, otrzymuje regularnie listy z Polski. Zawsze od tego samego człowieka.

– Tak jest – skwapliwie potwierdził Izaak, uradowany, że chodzi tylko o jakieś listy, a nie o Natana. – Pan Stieglitz – uzupełnił. – Wiem doskonale. Przychodzą z Warszawy, z ulicy, na której kiedyś mieszkałem.

– No widzisz... – Ten drugi położył mu dłoń na ramieniu. – Jak dobrze się składa. Chcemy dostawać te listy jako pierwsi.

Listonosz, znany z solidności, znów wpadł w przerażenie – tym razem z powodów służbowych.

– Nie bój się – wyjaśnił ten drugi. – Tylko na jeden dzień. Potem oddamy list w stanie nienaruszonym, a ty wrzucisz go do skrzynki jakby nigdy nic. Rozumiesz?

Izaak mimowolnie spojrział na fotografie Natana i gorliwie pokiwał głową.

– Dobrze – pochwalił go ten drugi. – Zasada działania jest taka: gdy przyjdzie list, zatrzymasz go, udasz się do najbliższej budki telefonicznej i zadzwonisz do mnie na numer, który zapamiętasz. Potem ja podjadę i dyskretnie przekażesz mi list. Umówimy się na następny dzień, co do godziny i miejsca, w którym ci go oddam. Przecież musi dotrzeć do adresata. Izraelska poczta działa bez zarzutu. – Uśmiechnął się szeroko, odwracając się do swojego kompana, ale tamten, wysoki i chudy mężczyzna o prostych czarnych włosach, nie zareagował. Najwyraźniej nie znał hebrajskiego.

– Nie muszę dodawać – kontynuował, patrząc prosto w oczy listonosza – że nikt nie może się zorientować. To będzie taka nasza mała tajemnica. Gdyby przyszło ci do głowy iść do kierownictwa poczty lub na policję, to mały Natan...

– Nie... – Izaak Cohen nieomal krzyknął. – Przysięgam, że nikt nigdy się nie dowie.

Mężczyzna z karetki pochwalił jego mądrość, a potem przeprosił za czarny worek, który listonosz musiał mieć na głowie do momentu, gdy nie wypuszczono go z ambulansu na Allenby Road.

Przekonanie Ibrahima Hariri, że doktor Al-Gazi – młody adept ortopedii w jednym z warszawskich szpitali – okaże się cennym nabytkiem bractwa, sprawdziło się co do joty. Palestyński lekarz uznał współpracę z Bokirą za zaszczyt i niezawodnie wykonał dwa pierwsze zadania. Wkrótce wysłał zaszyfrowany raport, w którym zawiadamiał, że wkradł się w łaski dziennikarza Pawła Włodarczyka, uporczywie głoszącego o konieczności poszukiwania *Chrzta Warneńczyka*, choć nic w tej sprawie nie robił. Druga część raportu zawierała informacje operacyjne, po lekturze których Marcel gwizdnął z uznaniem.

– Sprytny gnojek – powiedział sam do siebie, zastanawiając się, jak Dzaber Al-Gazi dowiedział się tak wiele o Kazimierzu Karewiczu, łącznie z tym, że wysyła on prywatne listy do pewnego człowieka w Tel Awiwie zamieszanego w historię obrazu Matejki. Nazwisko tego człowieka Marcel znał doskonale z artykułu w polskim tygodniku przechowywanym przez szejka Ajmana. Teraz, aby poznać stan wiedzy, a może i zamiary prokuratora Głównej Komisji, Marcel potrzebował dwóch rzeczy: informacji o listonoszu dostarczającym pocztę Stieglitzowi oraz czajnika z wrzątkiem wytwarzającym parę, która szybko i bez śladu otwierała każdą zaklejoną kopertę.

Kazimierz Karewicz nie znalazł dojścia do nikogo w Polskiej Ambasadzie w Tel Awiwie.

Znalazł je jego syn – ojciec Kasi. Startując przez kilka lat bez powodzenia na Wydział Lekarski AM w Warszawie, Karewicz junior machnął wreszcie ręką i wybrał Wojskową Akademię Medyczną w Łodzi, gdzie dostał się natychmiast po włożeniu munduru podchorążego. Studia skończył z wyróżnieniem,

co gwarantowało mu miejsce w prestiżowym szpitalu Ministerstwa Obrony Narodowej przy ulicy Szaserów w Warszawie. Tu uratował trzustkę i zyskał dozą życzliwość pewnego pułkownika służb informacyjnych, który często odwiedzał polskich attaché wojskowych na Bliskim Wschodzie.

Wtajemniczony w poszukiwania *Chrzstu Warneńczyka* prowadzone przez ojca pułkownik bacznie spojrzał na lekarza, po czym opuścił gabinet z sakramentalnym: „Zobaczę, co się da zrobić”. Dało się. Kilka miesięcy później, wiosną 1989 roku, przekazał wiadomość, że płótnem *Matejki* interesowała się religijna organizacja islamska, której sympatyk wyznał izraelskiemu wywiadowi, że prawdopodobnie są w posiadaniu obrazu. Pułkownik zastrzegł, że pod żadnym pozorem nie wolno się na niego powoływać, po czym obiecał zweryfikować miejsce przechowywania zaginionego dzieła, ale następnym razem, bo właśnie zbliżały się czerwcowe wybory i był dość mocno zajęty.

Kazimierz Karewicz promieniał z radości. Biegał po mieszkaniu, śmiał się, a potem porwał do tańca jedenastoletnią Kasię i wywijął z nią coś, co babcia uznała za walca wariatów. Wieczorem przystąpił do sporządzania notatki, w której zawarł informacje, że zyskał sojusznika w krajach Bliskiego Wschodu, któremu sam nadał kryptonim „Rabin”. Dokument na razie zamierzał ukryć w teczce w Dubitach, a Główną Komisję zawiadomić dopiero, gdy pozna miejsce ukrycia obrazu.

W trakcie pisania ogarnął go nagły wstyd. Wstał, przeszedł się po pokoju, po czym ponownie usiadł do biurka, sięgnął po czysty arkusz papieru i rozpoczął list do Józefa Stieglitza: *Szanowny Panie! Przez tyle lat nękałem Pana pytaniami o Chrzest Warneńczyka będący swego czasu w Pana posiadaniu, za co zmuszony jestem dziś Pana przeprosić. Znalazłem się bowiem w posiadaniu informacji, z których wynika ponad wszelką wątpliwość, że obraz Matejki przechowuje pewna muzułmańska organizacja...*

...na której tropie jestem i przeciwko której, gdy tylko zbiorę

materiał dowodowy, ponownie uruchomię oficjalne śledztwo – dokończył Marcel dwa tygodnie później, trzymając w dłoni tłumaczenie listu, które odczytał szejkowi Ajmanowi. Fotokopię oryginału dostarczonego przez listonosza z Tel Awiwu położył przed nim na stoliku.

Przywódca Bokiry długo myślał, po czym wydał dyspozycje, uznając Kazimierza Karewicza za kamień na ścieżce Proroka. Wyraził też nadzieję, że Marcel rozwiąże problemy w Polsce, zanim prokurator Głównej Komisji zdąży zawiadomić swoich zwierzchników.

Po wyjściu byłego sierżanta GIGN szejk Ajman pomyślał, że na wszelki wypadek trzeba poszukać Matejce innego schronienia, może w bagdadzkim domu jednego z potężnych ludzi bractwa – zaufanego ministra Saddama Husajna, pochodzącego z jego rodzinnego miasta Tikritu. Uznawszy pomysł za dobry, Ajman sięgnął do szuflady, w której mimo upływu dwunastu lat nadal przechowywał polski tygodnik. Z czasem kazał przetłumaczyć wszystkie zawarte w nim artykuły i starannie je przeczytał, choć wielu niuansów nie rozumiał. Najbardziej polubił rubrykę rozrywkową, a zwłaszcza zabawę polegającą na zamieszczeniu dwóch pozornie takich samych rysunków, a jednak różniących się dziesięcioma szczegółami, które trzeba było znaleźć. Zabawa nazywała się „Wyteż wzrok”. Szejk znał ją na pamięć.

Mimo że na pamięć znał też obydwie *Chrzty Warneńczyka*, wszedł do pokoju, w którym stały obok siebie na sztalugach. Usiadł przed nimi na krześle i kolejny raz wyteżył wzrok, choć obrazy wydawały się identyczne.

CZEŚĆ JEDENASTA

Pancerzyki biedronek

rok 2332

Rozdział 93

Każdy z kilkunastoosobowej grupy starców zajmujących wygodne przezroczyste fotele w centrum parku Khor Kalba dokładał wszelkich starań, aby nawet nie drgnąć. Najmniejszy ruch oznaczał utratę tlenu, tymczasem oni należeli do szczęśliwców, którzy raz w tygodniu mogli przez godzinę przebywać w Ogrodzie Życia na terenie emiratu Fudżajra i rozkoszować się naturalnym tlenem produkowanym przez rosnące wokół palmy daktyłowe, akacje i drzewa ghaf o korzeniach sięgających na osiemdziesiąt metrów w głąb ziemi.

Takiej sposobności nie można było marnować ani przez sekundę. Miejsc, w których zachowała się prawdziwa zieleń na terenie dawnej Arabii, już prawie nie było, a dostępu do nielicznych strzegły precyzyjne systemy zabezpieczeń oraz strażnicy, co do których starcy nie mieli pewności, czy jeszcze są ludźmi, czy już awatarami. Właśnie jeden z nich pojawił się w alejce i uśmiechając się przepaszając, oznajmił koniec sesji. Miał nieskazitelnie biały uniform i twarz przypominającą maskę z jakiegoś tworzywa – bez kropelki potu, choć wokół panowała szalona wilgotność, a średnia temperatura w basenie Oceanu Indyjskiego, na skutek efektu cieplarnianego, w ciągu ostatnich trzech stuleci podniosła się o 12 stopni Celsjusza.

Fotele wyposażone w systemy mobilne bezszelestnie dostarczyły starców do sferycznej granicy ogrodu, gdzie przez specjalną strefę kwarantanny przeszli na zewnątrz, wracając do świata, który kazano im nazywać normalnym. Jeden z nich ukradkiem otarł łzę i odwrócił wzrok w stronę skromnego budynku, w którym mieściły

się biura słynnego na cały świat arabski bractwa Bokira, powszechnie uważanego za nadzieję cywilizacji islamu.

– *Salla Allahu alayhi wa salam* – szepnął starzec, życząc urzędnikom bractwa pokoju i błogosławieństwa Boga w ich arcytrudnej misji, przez wielu uznawanej za niewykonalną.

Rozdział 94

Irfan, przywódca Bokiry od 2320 roku, patrzył na grupę starców opuszczających Ogród Życia zza szklanej tafli swojego gabinetu na ostatniej kondygnacji siedziby bractwa i narastało w nim przygnębienie – jakby czytał w ich myślach. Nagle zrobiło mu się duszno. Wystarczyło mrugnąć, aby za pomocą inteligentnych szkieł kontaktowych włączyć klimatyzację, ale urządzenie indywidualnej konsumpcji energii, jakie posiadał każdy mieszkaniec planety, było bezwzględne: jeśli teraz zużyje kolejną dawkę dzuli z dziennego limitu, wieczór spędzi przy świeczce, w mieszkaniu nagrzanym przez bezlitosne słońce, popijając ciepłą wodę. Mimo to mrugnął.

Wystarczyło powiedzieć słowo, aby Urząd Energetyczny przydzielił mu dodatkowy limit, ale podobna prośba nie przeszłaby szejkowi przez gardło. Poświęcił się pomocy ludziom i pragnął żyć tak, jak najubożsi z tych, dla których pracował. Od wielu lat był bohaterem mediów, a kierowane przez niego międzynarodowe zgromadzenie islamskie cieszyło się najwyższym szacunkiem w świecie arabskim, chorym i zniszczonym przez zmiany klimatyczne, utratę bogactw naturalnych i zgubną politykę początku trzeciego milenium. Cenę za przejęcie idei kalifatu przez fanatyków trzy wieki temu, czyli wspólnego Państwa Islamskiego, społeczność muzułmańska płaciła do dziś.

Kiedy Irfan przerabiał tę gorzką lekcję historii, po raz setny zastanawiając się, jakim cudem niespełna sto tysięcy fundamentalistów mogło wtedy reprezentować dwa miliardy wyznawców islamu i w ich imieniu siać nienawiść, sensory monitorujące jego zdrowie natychmiast wyświetlały w przestrzeni

gabinetu pełnowymiarowy hologram ciała szejka z zaznaczonymi miejscami zagrożeń wywołanych wzrostem ciśnienia. Rewanżem za zamachy i krew tysięcy ofiar była dziś okrutna obojętność Zachodu wobec geopolitycznej i ekonomicznej agonii świata wyznawców Allaha.

W takich momentach refleksja Irfana była tym bardziej gorzka, że bractwo Bokira od ponad tysiąca lat nie popierało dżihadu, choć głosiło bezwzględną odrębność wobec chrześcijaństwa. Przekonanie to wysychało wraz ze złożami ropy naftowej, a potem – identycznie jak one – przestało istnieć. Państwa islamskie znalazły się na drodze wiodącej do upadku.

Pielęgnowana przez wieki ideologia pokonania religii Chrystusa liczebnością wielodzietnych rodzin spowodowała kolosalne przeludnienie krajów arabskich. Tymczasem medycyna była coraz mądrzejsza, życie ludzkie się wydłużało, a miejsca dla zdrowszych i długowiecznych ludzi wciąż ubywało. Ponad połowa terytorium państw Bliskiego Wschodu została zdegradowana przez efekt cieplarniany do roli pustyni, na której panowało tylko słońce – bardziej okrutne niż starożytni Beduini.

Wyczerpanie złóż surowców naturalnych przewracało naftowe sułtanaty jak domki z kart. Bajkowe pałace popadły w ruinę, niebotyczne wieżowce miast – stolic pychy – stały puste, sztuczne wyspy pochłonęło morze. Na wielu ulicach i opuszczonych parkingach centrów handlowych beżowy kurz pokrywał mercedesy i jaguary, pozbawione szyb i powietrza w oponach. Były mieszkaniem szczurów, ponadczasowych lokatorów świata, które doskonale odnajdywały się w każdej epoce. Niegdyś ekskluzywne samochody wyglądały jak zaniedbani pensjonariusze lichych przytułków w brudnej odzieży i rozdeptanych kapciach.

Ich właściciele od dawna mieszkali w zamkach w dolinie Loary, w kamiennych pałacach Toskanii, luksusowych apartamentach Londynu lub rezydencjach rozsianych po zakątkach Europy, w których metr kwadratowy trawnika kosztował drożej niż cała Sahara. Wyjechali, zostawiwszy własnemu losowi wszystkich współplemieńców, których nie stać było na bilet do lepszej

rzeczywistości. I tylko czasem, po kryjomu, aby nie narazić się nowym sąsiadom, wpłacali po paręset tysięcy dolarów na konto pocziwego bractwa Bokira, które z inkwizycji stało się Caritasem. Spełniali w ten sposób święty muzułmański obowiązek jałmużny, kupując przy okazji spokój sumienia. Ich filantropia była kroplą w morzu potrzeb mieszkańców krajów arabskich, których rządy zmuszone były wydawać bająnskie sumy na coraz droższą azjatycką żywność i niemal bezcenną wodę.

Jedyną szansą cywilizacji islamu był dialog prowadzący do pojednania z chrześcijańskim Zachodem: likwidacji gospodarczego i mentalnego embarga, uruchomienia inwestycji wysoko rozwiniętych państw Starego Kontynentu na Bliskim Wschodzie i importu technologii, dzięki którym państwa te obfitowały w dostatek niczym trzysta lat temu Kuwejt w ropę. Od dwóch wieków bractwo Bokira robiło wszystko, aby ten dialog rozpocząć, odbijając się od europejskiego muru milczenia i obojętności.

Irfan, który dokonywał podobnego podsumowania przynajmniej raz w tygodniu, dziś, patrząc na przygnębionych starców opuszczających Ogród Życia, doszedł do wniosku, że jest złym szejkiem, i postanowił, bez wtajemniczania kogokolwiek, zrealizować wymyślony właśnie plan.

Rozdział 95

Głos muezina wzywającego na poranną modlitwę Fadżr zastał profesor Nadię Al-Churi pod prysznicem, choć Wincenty Priessnitz – dziewiętnastowieczny lekarz samouk z czeskiego Jesenika, uznawany za wynalazcę natrysku, pewnie poczułby się zdumiony urządzeniem, które funkcjonowało w łazience pani profesor.

W emiracie Fudżajra, cztery stulecia po Priessnitzu, kąpiel w wodzie byłaby droższa niż w szampanie. Dlatego dawno zastąpiono ją kapsułą sferyczną przypominającą kabinę prysznicową i nadal – z przyzwyczajenia – tak nazywaną. Po domknięciu pneumatycznych drzwi kapsuła dokładnie skanowała skórę, a potem emitowała mieszanę suchej pary o właściwościach usuwających wszelkie zanieczyszczenia, pielęgnujących ciało i dostarczających komórkom środków dermatologicznych – w miejscach i w dawce zaordynowanej przez skaner. Zadanie osoby korzystającej z kąpeli sprowadzało się do wybrania linii zapachowej spośród kilkudziesięciu proponowanych przez producenta kapsuły, współpracującego z koncernami kosmetycznymi. Doktrynerzy islamu sprzed tysiąca pięciuset lat, którzy zalecali, aby do pierwszej modlitwy przystąpić po bardzo starannym obmyciu ciała, nie mogli sobie wymarzyć niczego lepszego.

Podobnie jak kąpiel sztuczny był też głos muezina. Na prośbę Nadii Al-Churi koledzy z uniwersytetu zrekonstruowali go z nagrań archiwalnych i umieścili w systemie nagłośnieniowym jej mieszkania.

Ubierała się, gdy otrzymała połączenie przychodzące od Irfana.

Odebrała, używając opcji pośredniej, a kiedy postać szejka zwizualizowała się w jej salonie, przeprosiła:

– Wybacz, że mnie nie widzisz, ale przed chwilą wyszłam spod prysznic. Jeśli pozwolisz, ograniczę się do głosu.

– Oczywiście – odparł hologram Irfana i lekko się uklonił.

Nadia odniosła wrażenie, że szejek brzmi nieco nienaturalnie. Normalnie w takiej sytuacji poczułby się mocno zakłopotany, proponując, że skontaktuje się później. A jednak tego nie zrobił.

– Czy coś się stało? – zapytała z troską.

– Nie, nie – zaprzeczył hologram, siląc się na uśmiech. – Chciałem się tylko upewnić, że twoje czwartkowe spotkanie z Radą Bractwa jest aktualne – oświadczył, a kiedy potwierdziła, pozdrowił ją i przerwał połączenie.

Nadia Al-Churi dopiero teraz zaniepokoiła się na dobre. Znała Irfana od ponad dwudziestu lat. Szejek nigdy nie zadzwoniłby do niej tak wcześnie z błahego powodu, nie mówiąc o weryfikacji jej słowności, z której pani profesor wręcz słynęła. Coś się musiało stać.

W czasach gdy Irfan nie był jeszcze przywódcą Bokiry i nazywał się zupełnie inaczej, a Nadia Al-Churi dopiero rozpoczynała studia, sympatyzowali ze sobą na uniwersytecie Jumeira w Dubaju. Miała wielką nadzieję, że ten urodziwy szczupły mężczyzna wykładający historię krajów arabskich pokocha ją, poślubi i obdarzy potomstwem, ale on najwyraźniej oddał serce wierze Allaha, nie zostawiając w nim miejsca na prywatną miłość. Kiedy patrzył na nią płomiennym wzrokiem podczas islamskich spotkań uniwersyteckich, nigdy nie wiedziała, czy adoruje ją, czy jej religijność – a takiej wątpliwości nie zniesie żadna kobieta. Jak w hollywoodzkich melodramatach sprzed trzech stuleci zaproponowała, żeby zostali przyjaciółmi, a on smutno pokiwał głową, ale nie zaoponował. Tak zostało.

Po kilku latach zwrócił się do niej z prośbą, aby została członkinią zgromadzenia Bokira, w którym pełnił ważną funkcję. To był ogromny zaszczyt. Bractwo, od kiedy zaczęło działać

otwarcie i przyjęło brzemie odpowiedzialności za świat islamu, zapraszało kobiety, ale dochodziło do tego niezwykle rzadko: takie przypadki można było policzyć na palcach obu rąk. Tymczasem profesor Nadia Al-Churi w kilka lat oszołomiła Radę Bractwa swoją pobożnością oraz wiedzą koraniczną i jako pierwsza kobieta w dziejach Bokiry została pierwszym następcą szejka. Weszła na miejsce swojego dawnego wykładowcy, który po śmierci przywódcy objął jego godność, przyjmując imię Irfan.

Przerywając połączenie, szejk ganił się w duchu za to, że w ogóle do niego doprowadził. Co chciał osiągnąć? Dać kolejny dowód swojej słabości i niezdecydowania? Cech, które prześladowały go jak demony. Wiele lat temu stracił przez nie ukochaną kobietę, a potem patrzył, jak oddaje się nauce, podobnie jak on nie ułożywszy sobie życia. Gdy zaproponował jej wstąpienie do Bokiry, miał cień nadziei, że to powtórnie ich zbliży. Nie mylił się. Nadia okazywała mu wielki szacunek i nie mniejszą przyjaźń, ale już nie było w tym ani odrobiny uczuć, które wtedy zmarnował. Mimo to uwielbiał ją.

Podziwiał jej mądrość, umiejętność zjednywania sobie ludzi i zmysł organizacyjny, którego jemu zawsze brakowało. Był dumny, widząc, jak wysoce ceni ją Rada Bractwa, choć osobiście uważał, że pani profesor zbyt wiele uwagi poświęca ostatniej z tajemnic, jaką zachowała Bokira – obrazowi polskiego malarza, którego kazali strzec poprzedni szejkowie i jakaś niejasna przepowiednia. Nadia Al-Churi żarliwie studiowała ten temat od lat i właśnie on miał być przedmiotem jej czwartkowego wystąpienia przed Radą. Przykładała do tego ogromną wagę, a jeśli ona tak twierdziła, coś musiało być na rzeczy.

Irfan kolejny raz pożałował, że nie wyjawił jej swojego sekretu, usprawiedliwiając się, że jeszcze to uczyni, a potem przymknął powieki i półgłosem wymówił jej imię: Nadia.

Co po arabsku znaczy „ta pierwsza”.

Rozdział 96

Sala konferencyjna siedziby bractwa Bokira z urzekającym widokiem na zieleń ogrodu Khor Kalba mogła pomieścić piędziesiąt osób, ale dziś zgromadziło się w niej tylko dziesięć najbardziej zaufanych postaci zgromadzenia. Rada Bractwa, która omawiała najważniejsze sprawy i podejmowała kluczowe decyzje, z reguły spotykała się w skromnym gabinecie szejka, ale dziś zmieniła ten zwyczaj ze względu na wyposażenie sali konferencyjnej, które umożliwiało przedstawienie materiału przygotowanego przez profesor Al-Churi.

Kilka minut przed rozpoczęciem, kiedy większość islamskich mężów stanu nie zajęła jeszcze miejsc, a w pomieszczeniu słychać było szmer ich przyciszonych rozmów, do sali weszła następczyni szejka ubrana w tradycyjną szatę, z głową owiniętą nikabem i – pomijając powitania – oświadczyła głośno i dobitnie:

– Dwadzieścia milionów dolarów.

Rozmowy umilkły jak ucięte nożem, a większość członków Rady zmarszczyło czoła, wytyżając słuch, lub zaczęło się nerwowo rozglądać w poszukiwaniu źródła własnej konsternacji.

– Dwadzieścia milionów dolarów – powtórzyła Nadia Al-Churi.

Ponownie odpowiedziała jej kłopotliwa cisza, którą przerwał skarbnik bractwa – pewnie dlatego, że dziwne zachowanie pani profesor dotyczyło pieniędzy.

– Ale o co chodzi? – zapytał.

– O dwadzieścia milionów dolarów – powiedziała po raz trzeci następczyni szejka Irfana. – Od kiedy mam zaszczyt uczestniczyć w pracach bractwa na rzecz społeczności muzułmańskiej, dokładnie

tyle wydaliśmy na kampanie wizerunkowe, które miały zmienić postrzeganie islamu na Zachodzie. Zatrudnialiśmy najlepsze agencje public relations z Londynu i Nowego Jorku, a one szukały skutecznego przekazu. Opłacaliśmy opiniotwórczych dziennikarzy i tysiące ekspertów amplifyingu tworzących korzystne dla nas wpisy na forach dyskusyjnych, urządziliśmy setki konferencji i mitingów demonstrujących naszą przyjazną postawę. Ale Zachód, adresat naszych starań, miał na to wszystko jedną milczącą odpowiedź: zdjęcia z World Trade Center sprzed trzech wieków i wstrząsające dokumenty fotograficzne z innych zamachów.

– Robiliśmy wszystko, co w naszej mocy, aby przeciwstawić się terroryzmowi – rzekł pojednawczo Irfan. – Komunikowanie prawdy kosztuje najwięcej – dodał gorzko.

– To prawda, szejku – odparła profesor. – Tu liczy się albo duży budżet, albo dobry pomysł. – Zaczepnęła powietrza i oświadczyła: – Jestem przekonana, że zamiast wydawać topniejące środki bractwa na kolejne kreacje medialne naszej przyjaznej postawy wobec chrześcijaństwa, powinniśmy użyć czegoś, co od stuleci mamy pod ręką.

– Co masz na myśli? – nie wytrzymał jeden z członków Rady, mężczyzna o długiej siwej brodzie, który od kilku minut zadawał sobie pytanie, czy powołanie kobiety do kręgu dostojników bractwa na pewno było dobrym pomysłem.

– Myślę o starym obrazie polskiego malarza Jana Matejki niosącym przesłanie pojednania islamu z chrześcijaństwem – powiedziała Nadia Al-Churi.

Siwobrody sceptyk machnął dłonią.

– Znam tę historię, czytałem dzieje bractwa. Ten obraz okazał się bezwartościowy – dodał. – Na początku trzeciego milenium jeden z przywódców Bokiry, którego imienia nie pamiętam, ale mogę sprawdzić – uzupełnił niemal ostrzegawczo – polecił oddać ten obraz do Polski, żeby uniknąć kłopotów.

Nadia z Irfanem popatrzyli na siebie porozumiewawczo.

– Masz rację – odpowiedziała pani profesor. – Obraz nazywa się *Chrzest Warneńczyka* i od ponad trzystu lat wisi w Muzeum

Narodowym w Warszawie, choć nie wiadomo, jak się tam znalazł. Tylko że – na sekundę zawiesiła głos, znów zerkając na Irfana – Jan Matejko namalował dwa identyczne obrazy. Drugi jest w naszych rękach, co od stuleci stanowi pilnie strzeżoną tajemnicę znaną jedynie przywódcom bractwa i ich następcom.

Sceptyk drgnął urażony faktem, że kobieta wie o sekretach Bokiry, o których on nie ma pojęcia, a reszta zgromadzenia znów zaczęła szeptać.

– Zapraszam was, bracia – Nadia Al-Churi celowo użyła archaicznej formy dla podkreślenia powagi sytuacji – do poznania tajemnicy, której z woli naszego szejka Irfana poświęciłam kilka lat studiów. Oto ona.

Rozdział 97

Słońce zachodzące za skalny płaskowyż w jakimś obcym kraju było jeszcze na tyle intensywne, że wyraźnie oświetlało mężczyznę w turbanie, który powoli podszedł do człowieka w stroju starożytnego chrześcijańskiego rycerza i zadał mu cios sztyletem. Zanim ostrze zagłębiło się w ciało, profesor Al-Churi zatrzymała projekcję, a pełnowymiarowa scena zbrodni zastygła w sali konferencyjnej bractwa Bokira.

– Przypuszczam, że tak właśnie się to odbyło – oświadczyła następczyni szejka Irfana, chcąc przykuć uwagę Rady Bractwa mocnym akcentem początku opowieści.

– Rzecz dzieje się tuż przed rokiem tysięcznym – kontynuowała.
– Islam, licząc od śmierci Proroka Mahometa, ma niespełna czterysta lat. Jego wyznawcy z północy Afryki dokonują podboju ziem dzisiejszej Portugalii, głosząc ideę świętej wojny z niewiernymi. Ale nie wszyscy muzułmanie są zwolennikami dżihadu. Wielu z nich uważa, że z chrześcijanami należy handlować i wymieniać doświadczenia, a nie wzajemnie się mordować. Jest wśród nich potężny emir Al-Hakan, którego chętnie byśmy dziś witali w szeregach bractwa – dodała, a kilku członków Rady odpowiedziało uśmiechem.

– Emir – Nadia Al-Churi mówiła dalej – zna starożytną przepowiednię arby, której nie muszę wam przypominać. – Pani profesor na wszelki wypadek przebiegła wzrokiem po twarzach słuchaczy, ale wszyscy kiwali głowami na znak, że doskonale orientują się w temacie. – Al-Hakan wie, że za chwilę, w roku tysięcznym, nadarzy się pierwsza z czterech sposobności, o których

mówi prorocstwo, i wiara Mahometa może pojednać się z religią Chrystusa. Traf chce, że to właśnie stary emir trafia w Portugalii na pierwszego wybrańca, który może tego dokonać. Rozpoznaje go po znamieniu na czole. Cała reszta też się zgadza: młodzieniec pochodzi z królewskiego rodu i jest dzieckiem dwóch religii. Al-Hakan nie ukrywa radości. Wysyła wybrańca do kalifa Kordoby pod eskortą zaufanego sługi Farisa, który podczas podróży morduje portugalskiego młodzieńca, ukrywa jego zwłoki w jaskini, gdzie zostaną odnalezione po czterech wiekach, po czym ucieka do Maroka i tam nadal przewodzi bractwu Bokira głoszące przez następne stulecia nienawiść wobec chrześcijaństwa i uznające ludzi pokroju Al-Hakana za zdrajców islamu. My również... – pani profesor znów obiegła wzrokiem twarze zebranych – ...zostalibyśmy zaliczeni do tej kategorii.

Zapadła niezręczna cisza, przerwana przez jednego z najmłodszych członków Rady, na co dzień wysokiego funkcjonariusza administracji publicznej emiratu Adżman.

– Skąd znasz takie szczegóły? – spytał z podziwem.

Nadia Al-Churi wykonała płynny gest dłonią, usuwając z przestrzeni sali konferencyjnej zakrwawione ciało pierwszego wybrańca i zastępując je kolejnym obrazem, starego dokumentu spisane na jedwabiu.

– Ten list emira Al-Hakana bractwo kupiło w piętnastym wieku od jakiegoś portugalskiego łotra – wyjaśniła. – Jest w nim wszystko, o czym mówiłam. Ale to zaledwie preludium, bo najważniejszą postacią w naszej opowieści jest drugi wybrańiec, polski król Władysław Warneńczyk, który w tysiąc czterysta czterdziestym czwartym roku...

– ...zmarnował drugą szansę – dopowiedział ktoś ze słuchaczy.

– I tak, i nie – odparła zagadkowo pani profesor. – Jemu akurat udało się pojednać obydwie religie, chociaż tylko na trzy dni. Tyle trwał pokój zawarty przez Władysława z sułtanem tureckim, jedynowładcą państwa islamskiego. Ale tym razem wszystko zepsuł papież z powodów, które dziś nazwalibyśmy biznesowymi. Zmusił polskiego króla do zerwania traktatu, a resztę załatwił pod

Warną miecz pewnego muzułmańskiego wojownika, który przeszedł do historii, zabijając Władysława, choć historycy mocno w to wątpią – dodała, puszczając przez salę konferencyjną szarżę polskiej jazdy prowadzoną przez rycerza w zamkniętym hełmie, który za parę minut potoczył się po polu bitwy wraz z głową, którą miał chronić.

Scenę, jaka rozegrała się w czworoboku janczarów, zastąpił wielowymiarowy portret Władysława Warneńczyka pochodzący z *Pocztu królów polskich* Jana Matejki.

– To najważniejszy z wybrańców – podkreśliła profesor. – Najwięcej osiągnął i najwięcej o nim wiemy, bo na przykład o trzecim nie wiemy nic. Rozpłynął się jak kropla wody w oceanie historii. Były jakieś przypuszczenia, że chodziło o nieślubnego syna cara Rosji, ale nie udało się ich potwierdzić. Zaczekamy, aż fizycy udoskonalą tunele czasoprzestrzenne, a wtedy wyślemy kogoś w przeszłość i poznamy prawdę. – Uśmiechnęła się. – Tymczasem wracajmy do Warneńczyka. Urósł do rangi symbolu prorocstwa arby, kiedy cztery wieki później wspomniany Matejko... – Nadia Al-Churi wskazała portret. – ...namalował scenę jego chrztu.

Ostatnie słowa wypowiedziała z intonacją, która wyraźnie poruszyła słuchaczy. Zbliżała się najważniejsza część opowieści.

Dym papierosowy, który zasnuł salę konferencyjną siedziby bractwa Bokira, był tak sugestywny, że ktoś z członków Rady odruchowo zakrył usta dłonią. Z dymu wyłonił się poskręcany człowiek o wzroście dziecka, ubrany w poplamiony fartuch, i zapalając kolejnego papierosa, podszedł do sztalugi, na której stał gotowy do pracy blejtram.

– Matejko – szepnął Irfan.

– Tak jest – potwierdziła jego następczyni. – Malował sceny polskiej chwały, był sławny i uwielbiany. I właśnie do niego przybył w tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym roku bogaty właściciel ziemski Jan Głębocki, którego przodek, wysokiej rangi katolicki duchowny noszący to samo nazwisko, podawał królewicza do chrztu w zastępstwie papieża. Głębocki opowiedział o tym

Matejce. Niestety – westchnęła – opowiedział też o przepowiedni arby, która za siedem lat mogła się spełnić po raz trzeci. Matejko, skłonny do mistycyzmu, przewrażliwiony i wszędzie wietrzący niebezpieczeństwo, natychmiast wyczuł istnienie wrogów pojednania i postanowił pokrzyżować im szyki, malując dwa identyczne obrazy.

W sali zapanowała absolutna cisza.

– Jeden z nich – kontynuowała profesor Al-Churi – Bokira wykradła z siedziby Głębockich niedługo potem, ale właściciele niespecjalnie się tym zmartwili. Myślę, że wręcz przeciwnie. Byli w posiadaniu drugiego *Chrztu Warneńczyka*, o czym bractwo nie miało pojęcia. Więc odetchnęli z ulgą, że przeciwnicy idei zawartej w prorocztwie nasycą się skradzionym pierwszym *Chrztem Warneńczyka* i dadzą im spokój. Nie pomylili się. Bokira dowiedziała się o istnieniu drugiego, identycznego obrazu dopiero po blisko stu latach i to tylko dlatego, że ten drugi też został skradziony.

– Też przez nas? – wypalił jeden ze słuchaczy z wypiekami na policzkach.

– I nie, i tak – profesor Al-Churi odwróciła swoją własną kwestię sprzed kilkunastu minut. – Drugi *Chrzest Warneńczyka* najpierw ktoś ukradł podczas pierwszej wojny światowej, a potem, podczas kolejnej wojny, zrabował go niejaki Menten, pracujący dla nazistów holenderski grabieżca dzieł sztuki. Sądy zaczęły mu deptać po piętach dopiero trzydzieści lat później. Pisała o tym prasa – profesor ruchem dłoni przywołała rozkładówkę polskiego tygodnika z reprodukcją poszukiwanego obrazu i fotografią butnego mężczyzny w hitlerowskim mundurze. – W ten sposób Bokira dowiedziała się, że *Chrzest Warneńczyka* ma brata bliźniaka. Ówczesny szejik szybko się z tym uporał – uśmiechnęła się kwaśno – i od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku bractwo miało obydwa obrazy. Najpierw w Emiratach, potem w Iraku, później znów w Emiratach.

– Miało? – szepnął siwobrody sceptyk, w którym zaszła cudowna przemiana i teraz patrzył na panią profesor ze szczerym

podziwem.

– Tak, miało – potwierdziła. – O obrazie zrobiło się głośno pod koniec lat siedemdziesiątych z powodu tego holenderskiego hitlerowca i zagadkowego pożaru jego domu. Potem, na początku trzeciego milenium, tajemnica przesłania *Chrzta Warneńczyka* posłała do grobu kilka osób, które się nim nadmiernie interesowały, co znów spowodowało niepotrzebny rozgłos, a na dodatek uruchomiło czujność polskich i izraelskich służb specjalnych. Zrobiło się na tyle niebezpiecznie, że szejk Matar, ówczesny przywódca Bokiry, do którego prowadziło zbyt wiele nitki, roztropnie doszedł do wniosku, że skorzysta z pomysłu Matejki.

– Nie rozumiem – jęknął siwobrody członek Rady, autentycznie przejęty.

Nadia Al-Churi uśmiechnęła się przyjaźnie.

– To proste – wyjaśniła. – Polski malarz stworzył dwa takie same obrazy, aby zmylić tropy tych, którzy obawiali się przesłania *Chrzta Warneńczyka*. Pomyślał, że jak znajdą jeden, to zawsze zostanie ten drugi, starannie ukryty przed światem. Szejk Matar zrobił dokładnie to samo. Poleciał dyskretnie podrzucić jeden z obrazów do muzeum w Warszawie, co zakończyło wszelkie śledztwa i poszukiwania, a Polacy są przekonani, że odnalazł się cudem i przez myśl im nie przejdzie, że może istnieć identyczne płótno Matejki ukryte w specjalnym pomieszczeniu siedziby bractwa Bokira w emiracie Fudżajra. Za tą ścianą – dodała, a efekt jej ostatnich słów podkreślił hologram obrazu przedstawiający orszak uroczystości chrztu, który nagle drgnął i dostojnie ruszył w kierunku wejścia do katedry wawelskiej.

W sali konferencyjnej rozległy się brawa, a kiedy ucichły, Irfan spojrział z uwielbieniem na swoją uniwersytecką miłość.

– Jak zamierzasz to wykorzystać? – spytał.

Nadia Al-Churi wzięła głęboki oddech.

– Ujawnienie istnienia drugiego obrazu, a przy okazji przesłania *Chrzta Warneńczyka* uczyni mnóstwo dobrego rozgłosu wokół idei pojednania z chrześcijaństwem. Pokażemy naszą dobrą wolę, oddając obraz Polsce, zadbamy o oprawę tego gestu. To bardzo

medialne. Myślałam, żeby...

– Jeśli można – wtrącił się młody urzędnik z Adżmanu, a wszyscy spojrzeli w jego stronę. – Nie spieszmy się z tym. Stwórzmy strategię i postępujmy zgodnie z jej założeniami. To się sprawdza. – Pokiwał głową jakby na potwierdzenie własnych słów. – Rekomenduję – dodał oficjalnie – aby na razie zostawić obraz w ukryciu jako kartę atutową, której użyjemy w kulminacyjnym momencie, gdy stawka będzie największa. Tymczasem podkreśmy grę. Zaczniemy od przepowiedni arby i wokół niej zbudujemy kampanię w mediach. W tym roku przypada czwarta, ostatnia szansa pojednania religii. Trzeba niezwłocznie poszukać czwartego wybrańca, a jeśli nie istnieje, to... – zawahał się – ...to trzeba go stworzyć.

Rozdział 98

Adam Piwnik, od dwudziestu trzech lat prezydent Polski i zwierzchnik Chrześcijańskiej Ligi Europy, usadowił się w głębokim wygodnym fotelu w innym wymiarze swojego gabinetu i – całkowicie niewidoczny – obserwował spotkanie z delegacją węgierską, w którym uczestniczył jego własny awatar. Osobista weryfikacja prezydenta była ostatnią, najważniejszą fazą testu syntetycznego sobowtóra, którego sztuczność miała być na tyle doskonała, żeby osiągnąć ideał naturalności. Jak dotąd wszystko szło zgodnie z planem.

Węgrzy zupełnie się nie zorientowali. Żartowali i byli uprzedzająco mili, a awatar marszczył brwi i pocierał podbródek identycznie jak prawdziwy prezydent Polski. W ogóle zachowywał się bardzo przekonująco. W pewnym momencie, kiedy rozmowa doszła do celu wizyty, czyli zwiększenia liczby myśliwców bezzałogowych w bazach wokół Budapesztu, awatar nieoczekiwanie wspomniał wspólnego króla Polski i Węgier – Władysława Warneńczyka, czym wzruszył gubernatora Istvana Molnara, a polskiego przywódcę wprowadził w zdumienie. Adam Piwnik spojrzał pytająco na swojego elektronicznego asystenta, a ten w tej samej sekundzie wysłał w jego stronę okrągły prompter z informacją, że Warneńczyk żył w XV wieku i walczył z Turkami. Polski prezydent z uznaniem pokiwał głową.

Turcja była krajem, który ponad sto lat temu, podczas trzeciej wojny światowej, zdecydował się zaatakować Polskę i blok jej sojuszników siłami lądowymi^[2]. Żołnierze piechoty stanowiący podstawę sił konwencjonalnych posługiwali się wówczas

archaicznymi kombinezonami, które zapewniały im transport, dawały ochronę i gwarantowały sporą siłę rażenia – ale były zasilane energią elektryczną z dużych i ciężkich akumulatorów, które co jakiś czas trzeba było zabierać do ładowania i zastępować pełnymi. Turcy, którzy sprawnie opanowali część podległych Polsce Bałkanów i południe Węgier, zdecydowanie wygrali pierwszą rundę zmagania, ale w kolejnej zostali powaleni na deski, co śmiało można nazwać nokautem technicznym.

Po wzajemnym zniszczeniu elektrowni przez siły powietrzne Europa od Wyżyny Anatolijskiej po Żuławy pogrążyła się w ciemnościach, a żołnierze piechoty obu stron zatrzymali się na polach bitew jak dziecinne zabawki, którym wyczerpały się baterie. Warszawa wykorzystała tę sytuację w kilka godzin, sięgając po olbrzymie rezerwy energii produkowanej w kosmosie przez jej największego sojusznika – Waszyngton. Energia słoneczna generowana przez gigantyczne instalacje, między innymi na Księżycu, została niezwłocznie przesłana na Ziemię drogą mikrofalową i jednym naciśnięciem guzika przekształcona w energię elektryczną.

Kolejny guzik zasilił akumulatory polskich i węgierskich żołnierzy piechoty, a ci tym samym stali się jedynymi reżyserami teatru wojny – mając naprzeciwko siebie Turków, którzy opuścili bezużyteczne kombinezony i laserom oraz broni szybkostrzelnej przeciwnika mogli ewentualnie przeciwstawić jedynie maczugi i kamienie. Jedną z najbardziej spektakularnych klęsk ponieśli w okolicach Warny.

Trzecia wojna światowa nie trwała długo. Liczba jej ofiar sięgnęła pięćdziesięciu tysięcy żołnierzy, którzy zginęli w kosmosie podczas globalnego starcia japońsko-amerykańskiego, polegali na frontach chińskim oraz europejskim: w rejonie Bałkanów i na linii Odry, którą przekroczyły siły lądowe Niemiec nakłonionych do agresji przez Turcję i rozbite w pył wkrótce potem przez wrocławskie i szczecińskie jednostki taktyczne.

Strat wśród ludności cywilnej nie odnotowano. Po pierwsze, ówczesna broń balistyczna była już na tyle precyzyjna, że

likwidowała wyłącznie cele wojskowe, a po drugie śmierć starca, kobiety lub dziecka mogła wywołać emocje, z których chłodna wojna militarna była wyzuta. A emocje to bardzo zły pomysł w sytuacji, gdy ma się w zasięgu ręki przycisk odpalający rakiety nuklearne.

Węgrzy zbierali się do wyjścia. Wylewnie dziękowali za dodatkowe myśliwce, potrząsając dłonią awatara tak energicznie, że Adam Piwnik zaczął się obawiać, iż w systemie sztucznej inteligencji jego sobowtóra odezwie się jakiś impuls ostrzegawczy. Na szczęście nic takiego się nie stało, co pozwoliło uniknąć skandalu dyplomatycznego. Gubernator Molnar pomachał jeszcze dłonią, stojąc w drzwiach, które zamknęły się za nim automatycznie. W tym samym momencie awatarowi wyłączono zasilanie, co sprawiło, że zastygł z serdecznym uśmiechem na twarzy.

– Jak tam twoi Węgrzy? – spytał prezydent Stanów Zjednoczonych, który parę minut później pojawił się w przestrzeni trzeciej, zarezerwowanej do rozmów prywatnych.

– Dałem im trochę myśliwców bezzałogowych – odparł Adam Piwnik lekko znudzonym tonem.

– Niech zgadnę – uśmiechnął się jego amerykański rozmówca. – Wzięli cię na strach przed Turkami.

– Nie uwierzysz... – polski przywódca usiadł za biurkiem. – Oni rzeczywiście się ich boją. Podczas spotkania zeskanowaliśmy im fale mózgowe i wyszła jakaś paskudna fobia sięgająca czasów trzeciej wojny światowej.

– Jak to zeskanowaliście? Wsadziłeś im głowy do starożytnych suszarek fryzjerskich czy latały wokół nich drony? – Prezydent USA przez chwilę się zastanawiał, wreszcie rzekł konfidencyjnym tonem: – Nie mów, że rozmawiał z nimi robot... Serio?

– Coś przerywa – Piwnik użył chwytu ze starych powieści początku dwudziestego pierwszego wieku, na co odpowiedziała mu eksplozja śmiechu po drugiej stronie biurka i Atlantyku. – Wpadnij na lunch, to ci opowiem – rzekł pojednawczo.

– Okej – odpowiedział szef administracji USA. – Pod warunkiem, że będą pierogi.

– Będą, będą. – Polski prezydent machnął ręką, jakby opędzał się przed komarem. – Powinniśmy też sięgnąć po przepis na maklubę albo chociaż kebab – dodał. – Pojutrze zapowiedział się do mnie jakiś arabski książę.

[\[2\]](#) Wizja trzeciej wojny światowej, jej uczestników, przebiegu i techniki wojskowej na podstawie książki George’a Friedmana *Następne 100 lat*.

Rozdział 99

Informacje, reportaże i wywiady, jakie pojawiły się w mediach arabskojęzycznych na temat prorocstwa arby, sprawiły, że do bractwa Bokira zgłosiło się dwustu trzech mężczyzn, gotowych ratować islam i utrzymujących, że są prawdziwymi wybrańcami. Po weryfikacji ich królewskich rodowodów – pierwszego kryterium przepowiedni – zostało czterech, a po zbadaniu, czy są dziećmi różnych religii – jeden. Był nim następca tronu Jordanii Abdullah bin Abdulaziz al Saud, syn islamskiego władcy państwa oraz egipskiej laureatki literackiego Nobla, która pochodziła z niewielkiej katolickiej diaspory wyznawców Kościoła koptyjskiego w Kairze.

Książę, który po śmierci ojca miał zostać królem Jordanii i przyjąć imię Abdullaha XXIII, był absolwentem Oxfordu i dosłownie olśnił Radę bractwa Bokira, która z euforii wpadła w przygnębienie, kiedy przyleciał do Fudżajry, a wszyscy z przerażeniem spojrzeli na jego gładkie czoło.

– Wiem, co was martwi – zareagował na to Abdullah, po czym wyświetlił w sali konferencyjnej bractwa kilkanaście scen ze swojego dzieciństwa i wczesnej młodości, zarejestrowanych przez prestiżowe media relacjonujące wydarzenia z życia rodziny panującej. Na każdym z ujęć książę Jordanii miał wyraźne znamię w kształcie czwórki tuż nad prawą brwią.

– Usunąłem je przed wyjazdem do szkoły w Londynie i dopiero kilka dni temu dowiedziałem się z mediów, jakie ma znaczenie – wyjaśnił i uśmiechnął się wyrozumiale, gdy skaner medyczny, na prośbę Rady, przesunął się w pobliżu jego czoła, dokładnie

odtworząc przebieg zabiegu chirurgii plastycznej oraz kształt zoperowanego znamienia. Nie było najmniejszych wątpliwości. Przed Bokirą stał czwarty wybraniec.

Równie dobre wrażenie wywarł tydzień później na polskim prezydencie podczas spotkania w Warszawie. Następca tronu Jordani doskonale orientował się w sprawach europejskich. Ze szczególnym uznaniem odniósł się do polskiego modelu ustrojowego, co było czułym punktem Adama Piwnika. Książę przed przyjazdem najwyraźniej starannie odrobił lekcję.

– To prawda. – Kiwnął głową polski prezydent, zadowolony, że gość poruszył jego ulubiony temat. – Mój kraj od dawna zrezygnował z wadliwego szablonu demokracji. To była droga donikąd – wyjaśnił. – Pod pozorem wolności przekonań w Polsce co cztery lata odbywały się powszechne elekcje, podczas których, posługując się kłamstwem i obietnicami bez pokrycia manipulowano społeczeństwem bez najmniejszych skrupułów. W efekcie zahipnotyzowany elektorat wprowadzał do parlamentu dokładnie tych polityków, których mu wskazano, czyniąc to w naiwnym przekonaniu, że bierze udział w wolnych wyborach, a nie w konkursie socjotechniki. Tak powstała hegemonia partii politycznych, które rządziły Polską, prowadząc ją ku przepaści. Wzdrygam się na samą myśl, że tu, w Warszawie, kiedyś liczyły się nie kompetencje, ale przynależność partyjna. Na dodatek siły prawicowe, które jako pierwsze w Europie obaliły komunizm, nazajutrz po zdobyciu władzy przyjęły tę samą zasadę politycznej lojalności i certyfikowania ludzi. Polska przez dziesięciolecia była sparaliżowana walką o utrzymanie władzy przez ugrupowania, które się do niej dorwały. Co z reguły kończyło się porażką, bo w takich warunkach i na takich zasadach po prostu nie da się zarządzać państwem. Co cztery lata mieliśmy wymianę kolegów tych, którzy przegrali wybory, na kolegów tych, którzy je wygrali. Dotyczyło to nie tylko ministrów, ale też szefów największych państwowych przedsiębiorstw i instytucji. Czy pan to sobie wyobraża, książę?

Abdullah z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Mój kraj od stuleci jest monarchią – rzekł zakłopotany – ale dziękuję Bogu, że się z tym uporaliście.

– Święte słowa – polski prezydent podchwycił religijną konwencję. – Na szczęście to już przeszłość.

Następca tronu Jordanii uśmiechnął się przyjaźnie.

– Za to obecny polski Konwent Ministrów i rezultaty jego prac od lat zasługują na podziw.

– Dziękuję – odparł Adam Piwnik. – Jak mawiali Rzymianie: historia vitae magistra est. Historia jest nauczycielką życia. Mądrość narodów polega na umiejętności wyciągania wniosków z własnych błędów. Długo to trwało... – Piwnik potarł podbródek. – Dziś w Polsce szefem resortu w Konwencie Ministrów może być wyłącznie ktoś, kto najlepiej zda test kompetencji. Bardzo trudny test. Wymagający eksperckiej wiedzy, doświadczenia w danej dziedzinie i najwyższych predyspozycji osobistych do pełnienia funkcji publicznych, co weryfikujemy, skanując fale mózgowe podczas specjalnych warsztatów. To taki wariograf intencji i osobowości. – Prezydent się uśmiechnął.

Abdullah słuchał z wyraźnym zainteresowaniem.

– Ale co z polityką? – zapytał. – Przecież to ogromna ludzka namiętność. Zakazaliście jej?

– Ależ skąd. – Polski prezydent rozłożył ramiona, jakby chciał objąć wszystkich rodzimych polityków. – Można ją uprawiać do woli. Jak każde inne hobby. Chodzi tylko o to, aby miała taki sam wpływ na funkcjonowanie państwa jak windsurfing, hodowanie kaktusów czy taniec towarzyski. Ale dajmy spokój Polsce. Co pana do nas sprowadza, książę?

– Propozycja – odparł rzeczowo Jordańczyk. – Pragnę ją złożyć w imieniu bractwa islamskiego od dwóch stuleci dążącego do pojednania z chrześcijaństwem i reprezentującego cały współczesny świat arabski.

– Zdaje pan sobie sprawę – przerwał polski prezydent – jak świat, o którym pan mówi, jest dziś postrzegany przez cywilizacje Zachodu? Proszę nie mieć do nikogo pretensji. Dbaliście o tę

reputację przez wieki, głosząc nienawiść prowadzącą prostą drogą do świętej wojny. Pokora pojawiła się dopiero wówczas, gdy skończyła się ropa, a Amerykanie całkowicie wyeliminowali terroryzm.

Następca tronu Jordanii ze smutkiem pokręcił głową.

– To było ponad dwieście lat temu, panie prezydencie. Błądziliśmy. Tak jak pana kraj. Pozwoliliśmy się mieć fundamentalistom, jak niegdyś Polska politykom – odparł. – Ale to minęło. Bezpowrotnie. Świat przeżył trzecią wojnę. Jak pan doskonale wie, Blok Polski został w niej zaatakowany przez Turcję, która próbowała wtedy używać ideologii dżihadu, aby zyskać aliantów. Czy chociaż jeden Arab stanął wtedy po jej stronie przeciwko wam?

Adam Piwnik nie odpowiedział.

– Wyciągamy do was rękę w geście przyjaźni i współpracy, nie z prośbą o jałmużnę – kontynuował Abdullah bin Abdulaziz. – Po wojnie Stany Zjednoczone stały się monopolistą w kosmosie i jedynym właścicielem produkowanej tam energii. Nawet Polska, ich największy sojusznik na Starym Kontynencie, musi za tę energię słono płacić, pozostając w całkowitej zależności od producentów i mikrofalowych systemów przesyłowych należących do Stanów. Chcemy zaoferować o wiele tańszą i wygodniejszą alternatywę.

Polski prezydent patrzył na niego badawczo.

– Gdyby zechciał pan – kontynuował Jordańczyk – przedstawić krajom Chrześcijańskiej Ligi Europy propozycję budowy elektrowni słonecznych na opustoszałych terenach krajów arabskich, w zamian za pomoc naszemu regionowi, mógłby pan osiągnąć bardzo wiele. Dla Polski i krajów Ligi, którym pan przewodzi: Ukrainy, Czech, Słowacji, Węgier, Rumunii, Bułgarii, Chorwacji – wyliczał. – Baterie fotowoltaiczne potrzebują słońca i przestrzeni, a jednego i drugiego nam nie brakuje. Powoli stajemy się pustą planetą. – Jordański książę wyraźnie posmutniał. – Ale tu, na Ziemi – wskazał palcem podłogę – o ile bliżej i taniej macie do nas niż na Księżyc? Nie chcę mówić o korzyściach, bo są

ewidentne. Gdyby tylko Liga zechciała się w to zaangażować...

– Projektuje pan reanimację i odbudowę potęgi świata arabskiego, książę – przerwał mu polski prezydent. – A jaką ma pan gwarancję, że wraz z nią nie odżyją stare demony?

– Islam to pokój – rzekł uroczyście Jordańczyk. – Dobrowolny. Ale nawet gdyby zło próbowało podnieść głowę, to przy współczesnych systemach kontroli każdej sekundy naszego życia i każdej komórki naszego ciała nigdy nie będzie miało najmniejszych szans rozwoju.

Zapadło milczenie.

– To utopia – przerwał je Adam Piwnik. – Nasze światy nigdy się nie spotkały i nie spotkają.

– Przykro mi, że stwierdza to Polak – odrzekł książę Abdullah. – Dziewięć wieków temu wasz król Władysław Warneńczyk udowodnił, że pojednanie naszych światów i religii jest możliwe. Jego dzieło zostało zepsute, ale dowód pozostał.

Polski prezydent pomyślał, że w ciągu trzech dni ponownie słyszy nazwisko władcy i być może pod wpływem tego impulsu powiedział:

– Dobrze. Ma pan moje słowo, książę. Przedstawię tę propozycję Lidze. Spotykamy się rzadko, raz na kwartał, czasem nawet rzadziej. Dlatego proszę odwiedzić mnie – przez chwilę się zastanawiał – w pierwszych dniach września. Ale uprzedzam – dodał – osobiście jestem przeciwnikiem tego pomysłu i nie zamierzam tego przed Ligą ukrywać.

Rozdział 100

Dłoń Nadii była miękka i ciepła. Irfan ujął ją jak niegdyś podczas spacerów po kampusie uniwersyteckim Jumeiry. Było mu to teraz niezwykle potrzebne. Otwierał usta, aby powierzyć przyjaciółce swoją tajemnicę, na wyjawienie której ostatnio zabrakło mu odwagi, ale profesor Al-Churi go ubiegła:

– Co sądzisz o wizycie księcia Abdullaha w Warszawie?

– Znasz mnie – odpowiedział. – A zwłaszcza mój pesymizm.

– A ja wierzę, że się uda – odparła z uporem. – Zobacz: przez ostatni tydzień Bokira osiągnęła więcej niż w ciągu minionych stu lat. Popularyzacja przepowiedni arby przysporzyła bractwu tysięcy sympatyków w krajach islamskich i nadspodziewanie wiele pozytywnych komentarzy w mediach międzynarodowych. Znaleźliśmy i przedstawiliśmy światu czwartego wybrańca. I to jakiego – dodała z podziwem. – Zauważ, ile już dokonał. Opracował koncepcję budowy elektrowni słonecznych na Bliskim Wschodzie i sprawił, że jego projekt zostanie wkrótce przedstawiony Lidze Europy. Chrześcijańskiej Lidze. – Nadia Al-Churi podkreśliła przymiotnik wymownym gestem palca wskazującego. – Czy to nie są przesłanki pojednania? Mamy rok dwa tysiące trzysta trzydziesty drugi, ostatnią z dat szansy następującej co czterysta czterdzieści cztery lata. Wierzę w to proroctwo – zakończyła z przekonaniem.

– Ten pomysł z produkcją energii słonecznej na opuszczonych terenach Bliskiego Wschodu księżę wymyślił sam? – spytał Irfan.

– Sam – potwierdziła. – To bardzo mądry człowiek, a przy tym doskonale wykształcony. Świat arabski potrzebuje takich liderów.

Szejka ukłuło ostatnie stwierdzenie, ale nie dał tego po sobie poznać. Sposepniał, co Nadia wzięła za wątpliwości.

– Mamy jeszcze obraz Matejki – dodała. – Też możemy go użyć.

– Chyba przeceniasz jego znaczenie – odparł lekko poirytowany Irfan. – To tylko kawałek płótna o niewielkiej wartości. Sam nie wiem, po co go trzymamy.

– Złóścisz mnie. – Nadia puściła jego dłoń. – Wszystko kwestionujesz. Po pierwsze, obraz jest wzmocnieniem prorocstwa. Symbolizuje misję drugiego wybrańca, który udowodnił, że obydwie religie da się pojednać. Po drugie, wiąże się z historią Polski, kraju, który ma teraz dla nas kluczowe znaczenie. Po trzecie wreszcie, poprzedni szejkowie polecili go strzec, bo byli przekonani, że *Chrzest Warneńczyka* jeszcze odegra swoją rolę. Skąd wiesz, że tak nie będzie?

Irfan nie odpowiedział. Szli w milczeniu alejką ogrodu Khor Kalba, wyciszając w sobie zgrzyt sprzeczki.

– Wierzę – rzekł wreszcie szejk pojednawczo – że jeśli to wszystko się uda, to tylko tobie.

Awaria na stacji orbitalnej Dallas, służącej do przesyłu energii słonecznej na Ziemię za pomocą promieniowania elektromagnetycznego kiedyś określanego jako mikrofała, trwała jedną tysięczną sekundy. Roboty, pełniące w poniedziałek wieczorem dyżur serwisowy, natychmiast zablokowały system, po czym wymieniły uszkodzony rezystor. W mikroskopijnym międzyczasie na Ziemię dotarła jedna fala promieniowania, której nie zdołano sprofilować i która uległa w atmosferze niemal niedostrzegalnej automodyfikacji. Na szczęście nic się w związku z tym nie wydarzyło. Raport wysłany natychmiast do stacji kontrolnych potwierdził, że emisję niezapowiedzianej fali odebrano w wielu miejscach globu, ale „efekt milisekundy”, jak go później nazwano, nie wywołał żadnych niespodzianek. A jednak trwał o jedną tysięczną sekundy za długo.

Karol Cieślak, inspektor Eskorty Dóbr Kultury, w piątkowe popołudnie, kwadrans przed zamknięciem Muzeum Narodowego

w Warszawie, wyszedł ze służbowej toalety i trzymając dłonie pod pielęgnacyjnym podmuchem pary, z satysfakcją spojrzął w lustro. Był w znakomitej formie. Osiągnął już wiek średni, przed rokiem świętował siedemdziesiąte urodziny, a jednak zachował młodzieńczą sylwetkę, nie miał zmarszczek, zbędnej tkanki tłuszczowej i ani jednego siwego włosa. W każdy piątek, korzystając z przywileju pakietu ochrony zdrowia pracowników państwowych trzeciej klasy, Cieślak korzystał ze specjalnej toalety w muzeum, która natychmiast badała laboratoryjnie produkty jego fizjologii i w ciągu minuty wizualizowała wyniki analiz wraz z zaleceniami lekarskimi. Identycznie jak przed tygodniem zaleceń nie było. Zdrowie inspektora Eskorty Dóbr Kultury pozostawało w idealnym stanie.

Zawdzięczał je regularnej kontroli oraz trosce o tryb życia, ale również świadomemu wyborowi wyjątkowo spokojnego zawodu, który nigdy przez czterdzieści lat pracy nie dał Karolowi Cieślakowi powodu do zdenerwowania. Aż do teraz.

Po przejściu z modułu higienicznego do kopuły mikroklimatycznej mieszczącej ekspozycję wielkich dzieł polskiego malarstwa inspektor zauważył, że coś dziwnego dzieje się z nogą Stańczyka na obrazie Jana Matejki. Szybkim krokiem podszedł do platformy, na której wisiał obraz, i skamieniał: prawą kończynę królewskiego błazna pokrywał jakiś dziwny nalot. Cieślak natychmiast przywołał obraz czujnika odpowiedzialnego za ochronę płótna, ale czujnik milczał, choć znał wszystkie bakterie i dysponował substancjami stanowiącymi coś w rodzaju wirtualnych antybiotyków. A jednak nie widział zagrożenia, czego o Karolu Cieślaku nie dało się powiedzieć.

Inspektor zbliżył twarz do kolana Stańczyka, aby lepiej przyjrzeć się nalotowi, a wtedy prawa górna kieszeń jego służbowego kombinezonu otwarła się bezszelestnie, wyrzucając plaster idealnie przezroczystej plazmy, która zamknęła głowę inspektora w antyseptycznej kuli, wyposażonej w zastępczy system oddychania, dostarczający większej dawki tlenu oraz środka stabilizującego emocje. W tej samej sekundzie czujnik *Stańczyka*

zasygnalizował swoją bezradność i rozplynął się w powietrzu.

Karol Cieślak nie zwrócił na to uwagi. Przerażony, podbiegł do sąsiedniego obrazu Chełmońskiego i odetchnął z ulgą. Nic się nie działo. Fałat i Gierymski też byli w porządku. Ale kolejnego Matejkę – niewielki i mniej znany portret – szary nalot pokrywał niemal w całości. Karola Cieślaka tknęła straszna myśl. Obiegł sąsiednie kopyły ekspozycji, znajdując potwierdzenie koszmaru, który działał się naprawdę: *Batory pod Pskowem* miał już zniszczone sztandary, na *Kazaniu Skargi* brakowało głowy tytułowego bohatera, a niebo nad *Kopernikiem* przybierało postać mikroskopijnych bąbli. Inspektor Eskorty Dóbr Kultury stracił przytomność.

Roboty szybkiego reagowania znalazły go kilka sekund później, umieszczając w kapsule ratunkowej. One też stwierdziły nieznaną infekcję płócien Jana Matejki i natychmiast odizolowały je w specjalnych sarkofagach sferycznych.

Profesor Konstanty Zachariasz, mikrobiolog, nie spał od dwudziestu godzin. Konsylium, które skompletował wczoraj wieczorem niezwłocznie po ogłoszeniu alarmu wysokiego priorytetu, pracowało w laboratorium Konwentu, mając do dyspozycji urządzenia najnowszej generacji, a jednak nie potrafiło zweryfikować bakterii, która niszczyła obrazy najwybitniejszego malarza polskiej historii. Profesor przenosił zrozpaczony wzrok znad płaszczyzny diagnostycznej, na której, jak na stole prosektoryjnym, leżało to, co zostało po *Chrzcie Warneńczyka*, na przestrzeń medialną, wyświetlającą coraz gorsze wiadomości. Kraków ogłosił żałobę po stracie *Bitwy pod Grunwaldem* i *Hołdu pruskiego*, a serwisy międzynarodowe – sprofilowane tematycznie – donosiły o nieznannej, ale śmiertelnej chorobie obrazów Jana Matejki w światowych muzeach, galeriach i kolekcjach prywatnych.

Nad ranem jeden z młodszych kolegów podszedł do Konstantego Zachariasza i niemal dotykając swoją osłoną plazmową identycznej kuli otaczającej głowę profesora, szepnął:

– Czujniki w muzeum, identycznie jak nasza aparatura, ustawione są na diagnostykę bakterii. A może to wcale nie jest bakteria? Może sztuczna inteligencja nie rozpoznaje czegoś, czego nie zna? Uważam, że powinniśmy przeszukać przeszłość.

Rozdział 101

Szejk Irfan zmarł o czwartej nad ranem. Nie wyjawiał swojej tajemnicy, ale Nadia Al-Churi domyśliła się wszystkiego, oglądając skan uruchomiony automatycznie przez ostatni impuls jego mózgu, jak zapis czarnej skrzynki stosowanej przed wiekami w statkach powietrznych. Przywódca bractwa Bokira miał raka prostaty. Nic poważnego. Medycyna od dwustu lat radziła sobie z nowotworami skuteczniej niż z katarem, pod warunkiem że chory rozpoczynał leczenie po zdiagnozowaniu zagrożenia. Irfan nie rozpoczął.

Dzięki osobistemu urządzeniu monitorującemu miał pełną świadomość choroby i jej skutków, a jednak pozwolił, aby rozprzestrzeniła się w organizmie, nie podejmując żadnych działań poza maskującymi. Przez ostatnie dwa tygodnie nie chciał nikogo widzieć. Ogłosił stan medytacji, który tak naprawdę miał być czasem potajemnej agonii.

Nadię Al-Churi przeraziła myśl, że szejk zrobił to wszystko z jej powodu. Ostatnio często podkreślał własną słabość, sugerował najbliższemu, że jest złym przywódcą Bokiry, a odpowiedzialność za ratowanie islamu wyraźnie go przytłaczała. Zwłaszcza w roku ostatniej szansy określonej prorocstwem arby, które wydawał się lekceważyć, ale kto wie, jak było naprawdę. Równoległe podkreślał przymioty swojej następczyni, a żegnając się z nią w ogrodzie Khor Kalba, wypowiedział słowa, które zapamiętała aż nazbyt dobrze: „Wierzę, że jeśli to wszystko się uda, to tylko tobie”. Czyżby sekret Irfana polegał na tym, że ustąpił jej miejsca? Bokira nie uznawała rezygnacji ani dymisji. Przywódcą bractwa zostawał tylko wcześniej wskazany następca i tylko po śmierci szejka.

Jeśli tak – gorączkowo myślała Nadia Al-Churi – to znaczy, że popełnił ciężki grzech samobójstwa? Nie odebrał sobie życia, ale też nie zapobiegł chorobie... Najchętniej porozmawiałaby o tym z imamem, ale nie mogła. Tuż przed śmiercią szejka zarejestrował obraz pożegnania z bractwem, który przywołano podczas uroczystości pogrzebowej. Irfan pojawił się na cmentarzu w pełnym wymiarze, jak żywy. Przez kilka sekund stał nieruchomo, po czym wypowiedział jedno słowo:

– *Inszallah.*

Nadia zrozumiała. Skoro Bóg tak chciał, to wolą zmarłego było, aby nie dochodziła przyczyn decyzji. Dylematy w kwestii intencji szejka powinna na zawsze zachować dla siebie.

Na pogrzeb przybyło wielu przywódców świata arabskiego wraz z księciem Jordanii Abdullahem, który przyjął propozycję wstąpienia do bractwa, obejmując wolne miejsce jako wyraz czci dla szejka Irfana. Zgodnie z tym samym rytuałem profesor Nadia Al-Churi została nowym przywódcą Bokiry, otrzymując oficjalny tytuł szeichi – należny jej pobożności i wiedzy koranicznej. Przyjęła imię córki Proroka – Fatimy, mając świadomość, że spodoba się ono w świecie chrześcijańskim.

Po złożeniu ciała Irfana do grobu spacerem wracali z księciem Abdullahem do siedziby bractwa. Czwarty wybraniec przygotowywał się do kolejnej wizyty w Warszawie, opowiadając przy okazji o tragedii, jaka dotknęła polską kulturę. Fatima o niczym nie słyszała, dlatego z ciekawością nastawiła uszu.

– Dwa tygodnie temu miała miejsce awaria amerykańskiego systemu przesyłu energii słonecznej z kosmosu – relacjonował księżę. – Trwała ułamek sekundy i nie spowodowała niczego złego, poza jednym: wywołała nieznaną dotąd reakcję na poziomie łańcucha DNA niewielkiego, sympatycznego stworzonka, biedronki.

– Biedronki? – zdziwiła się przywódczyni Bokiry.

– Właśnie tak – potwierdził. – Otóż wyobraź sobie, że organizm tego małego czerwonego chrząszcza w czarne kropki jest

wymarzonym środowiskiem dla wyjątkowo złośliwych drobnoustrojów, z którymi biedronka jest bardzo blisko spokrewniona. Spójrz. – Książę zatrzymał się i ruchem dłoni przywołał prompter informacyjny. – Te drobnoustroje, o których świat zafascynowany bakteriami kompletnie zapomniał, nazywają się archeonami i zobacz tu: należą do tej samej domeny eukariontów, co biedronki. Dlatego tak doskonale się porozumiały.

– Przeciwno polskiej kulturze? – w Fatimie odezwała się naukowa dociekliwość. – Bo nic z tego nie rozumiem...

– Dobrze powiedziane. – Jordańczyk kiwnął głową. – Właśnie tak. Przeciwno polskiej kulturze. Bo ta wiązka mikrofal, która wymknęła się Amerykanom, jak już wspomniałem, przypadkiem dostroiła się w atmosferze do częstotliwości termalnej, która reaktywowała tę jedną grupę archeonów, a one wywołały nieznaną infekcję. W ciągu doby na całej planecie wyginęły biedronki, a parę dni później, z tej samej przyczyny, uległy zniszczeniu płótna polskiego malarza Matejki.

Fatima stanęła jak wryta.

– Jakim cudem? – spytała, nie kryjąc zaskoczenia.

– Takim, że ten Matejko miał swoją, skrzętnie skrywaną tajemnicę – wyjaśnił Abdullah. – Do farby dodawał sproszkowane pancerzyki biedronek, aby wzmocnić trwałość i intensywność swojej czerwieni, której inni malarze mu zazdrościli. No i przez to... – Jordańczyk przerwał, patrząc na przywódczynię bractwa, która mocno pobladła. – Dobrze się czujesz? – spytał.

Nie odpowiedziała. Nagle chwyciła go za rękę.

– Czy ta infekcja zniszczyła wszystkie obrazy Matejki? – spytała nieswoim głosem.

– Wszystkie – odparł. – Na całym świecie. Ale dlaczego cię to tak... – Znów nie dokończył, zdumiony siłą, z jaką Fatima pociągnęła go za rękę i biegiem ruszyła w kierunku siedziby bractwa.

EPILOG

rok 2332

Chrzest Warneńczyka wiszący w specjalnym, ukrytym pomieszczeniu biur bractwa w Fudżajrze, wyglądał na nietknięty. Po dwóch godzinach potwierdziła to analiza przeprowadzona przez urządzenie o sztucznej inteligencji, które wcześniej dosłownie naszpikowano wszystkim, co przez ostatnie dwa tygodnie świat dowiedział się o archeonach i domenie eukariantów.

– Wiedziałam – szepnęła Fatima, ciężko opadając na fotel. – Wiedziałam o pancerzykach biedronek – wyjaśniła. – Tajemnicę Matejki ponad trzysta lat temu odkrył profesor Al Absi, którego imię nosi dziś Uniwersytet Sztuki w Bagdadzie. Bractwo wysłało go z misją do Europy, skąd wrócił, powierzając sekret polskiego malarza ówczesnemu szejkowi Matarowi, który w chwili śmierci przekazał je swojemu ochroniarzowi. Ten, z wojskowego nawyku, sporządził raport i umieścił go na pendrive'ie, takim archaicznym nośniku pamięci, zachowanym w dokumentacji obrazu. Gimnastykowaliśmy się z jego otwarciem, ale się udało, i tak poznałam sekret Matejki – oświadczyła Radzie bractwa, która przybyła bezpośrednio z pogrzebu. – Niestety, uznałam rzecz za banalną i bez znaczenia, dlatego niczego nie powiedziałam wam o tym podczas wystąpienia poświęconego *Chrztom Warneńczyka*.

– Jak to *Chrztom*? – zapytał ksiązę Abdullah.

Fatima popatrzyła na niego z zakłopotaniem.

– No tak – powiedziała – przecież ty o niczym nie wiesz. Chcieliśmy cię wtajemniczyć przed wyjazdem do Polski, ale sprawy potoczyły się tak szybko – dodała tonem usprawiedliwienia. – Zatem krótko: Matejko znał prorocstwo arby, wiedział, że Warneńczyk był twoim poprzednikiem, drugim wybrańcem, i że temat wywołuje silne emocje religijne, zwłaszcza w świecie islamu. Dlatego, dla zmylenia nas, namalował dwa identyczne płótna. Trzeba przyznać, zagrał sprytnie. Jeden z obrazów Bokira wykradła z posiadłości prywatnych właścicieli *Chrzto* *Warneńczyka* gdzieś na wschodzie Polski, nie mając pojęcia o istnieniu drugiego. Obraz – wskazała dłonią na płótno wiszące w pomieszczeniu obok – skradziono tuż po transporcie z krakowskiej pracowni Matejki. Był niedokończony i pracował nad nim inny polski malarz Wy-czol-kow-sky – przeczytała z przywołanego promptera. – Ten Wyczolkowsky, nielubiany przez Matejkę, potrafił dokładnie naśladować jego warsztat, dlatego dokończył akurat ten *Chrzest*. Musiał nanieść na płótno swoją własną czerwień – powiedziała refleksyjnie.

– Bez sproszkowanych pancerzyków biedronek – dokończył Abdullah. – Tu ich nie ma, a zatem nie ma i archeonów i morderczej kombinacji kodu eukariontów.

Przywódczyni Bokiry uśmiechnęła się gorzko.

– Przez sześć wieków światy islamu i chrześcijaństwa zastanawiały się nad kodem Matejki, który okazał się kodem DNA powszechnie znanych czerwonych chrząszczy z czarnymi kropkami.

Prezydent Adam Piwnik wydawał się zirytowany prośbą jordańskiego księcia o przyspieszenie terminu spotkania. Otwierał usta, żeby uznać je za bezcelowe przed posiedzeniem Chrześcijańskiej Ligi Europy oraz przedstawieniem arabskiej propozycji, i rzeczywiście otworzył je, ale ze zdumienia, wysłuchawszy informacji Abdullaha. Spotkali się dwa dni później,

23 sierpnia 2332 roku.

Czwarty wybraniec przyrzekł Fatimie, że skontaktuje się z nią natychmiast po rozmowie w Warszawie, podczas której zamierzał opowiedzieć polskiemu prezydentowi o prorocत्वie arby, dwóch *Chrtach Warneńczyka* i ich przesłaniu. Postanowił nawiązać również do niebezpieczeństw mikrofalowego przesyłu energii z kosmosu i projektu budowy elektrowni słonecznych na Bliskim Wschodzie, które to ryzyko eliminowały. Chciał raz jeszcze poprosić polskiego prezydenta o poparcie tej idei, proponując w dowód przyjaźni i pojednania cenny dar: jedyny obraz Jana Matejki, który ocalał na świecie.

Abdullah bin Abdulaziz al Saud dotrzymał słowa. Jego hologram zamajaczył w gabinecie przywódczyni Bokiry, która usilnie próbowała wyczytać z twarzy księcia, jaką przynosi wiadomość, ale obraz był jeszcze nieostry.

Wzięła głęboki oddech i lekko drżącą dłonią uruchomiła połączenie.

Post scriptum

Opowieść, choć wygląda na wytwór wybujałej wyobraźni, oparta jest na faktach. W 1881 roku Jan Matejko rzeczywiście maluje *Chrzest Warneńczyka* i od tego momentu zaczyna się zagadkowa historia obrazu. Mimo że stworzony w celach, które dziś nazwalibyśmy promocyjnymi (uwiecznienie postaci biskupa Mikołaja Głębockiego, płótno zostaje niezwłocznie wywiezione do kresowego majątku rodziny w Łaszkach. Nie jest wystawiane ani pokazywane, a poprawki malarskie konfidencjonalnie nanosi na nim Leon Wyczółkowski. Oddany do depozytu biskupa Dybowskiego w Żytomierzu, obraz ginie w tajemniczych okolicznościach. W równie tajemniczych odnajduje się ponad dwadzieścia lat później na wystawie w Zachęcie. Znów ginie, tym razem z depozytu prokuratorskiego w Warszawie, tuż przed wybuchem wojny. Po wojnie jest jednym z najbardziej poszukiwanych zaginionych polskich dzieł sztuki, ale jakiś czas temu odnajduje się i zostaje przekazany do Muzeum Narodowego w Warszawie. Kto, kiedy i dlaczego tego dokonał, pozostaje sekretem strzeżonym przez muzeum z uwagi na życzenie darczyńcy. Tych okoliczności, choć dzieją się współcześnie, trudno nie nazwać tajemniczymi. Być może wiąże się to z przepowiednią arby, która ma postać przekazów ustnych i próżno szukać jej w Google'u.

Holenderski esesman Pieter Menten i żydowski antykwariusz Józef Stieglitz oraz wszystko, co znalazło się w powieści na temat ich wspólnej działalności oraz związków z *Chrztem Warneńczyka*, jest prawdziwe. Tak samo jak poszukiwania obrazu przez Główną

Komisję Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, choć prokurator, który je prowadził, nazywał się inaczej i nie zginął na sudeckim Zakręcie Śmierci. Zarówno w powieści, jak i w rzeczywistości trop poszukiwań urwał się po nagłym pożarze willi Pietera Mentena w Blaricum.

Prawdziwa jest zagadka cara Aleksandra I i choć nie odnaleziono dowodu na to, że sfingował własną śmierć, to trafiono na całe mnóstwo poszlak. Na Świętym Krzyżu rzeczywiście doszło do bitwy, a postacie dowódców polskich i rosyjskich oraz Tomasza Gąsiora, z którym mam zaszczyt być spokrewniony, brały w niej udział. Mam nadzieję, że mój prapradziadek wybaczy mi, że go uśmierciłem w cieniu jodeł, bo z bitwy wyszedł cało.

Prawdziwe jest trzydniowe pojednanie chrześcijaństwa z islamem w Segedynie i dokonał tego Władysław Warneńczyk. Chazer Kodża przeszedł do historii jako janczar, który ściął głowę polskiego króla w bitwie pod Warną, choć nie ma ani jednego dowodu na to, że Władysław III tam zginął. Są za to arcyciekawe i wiarygodne przekazy na temat jego późniejszego życia na Maderze.

Produktem fantazji nie są również wydarzenia przedstawione w powieściowej wizji roku 2332. Oparte zostały na hipotezach naukowych, które omawia George Friedman w książce *Następne 100 lat*.

Prawdziwe jest wreszcie pozyskiwanie barwników z wysuszonych i zmielonych owadów, czego dowodem jest chociażby karmina otrzymywana ze sproszkowanych czerwców kaktusowych żyjących w Meksyku i dających barwnik, jaki nie ulega degradacji z upływem czasu.

Postacie występujące w powieści

ROK 998 (cz. 1)

Rodrigo da Tarragona – galisyjski hrabia z prowincji Portucale

Abelardo da Tarragona – jego syn

Muszira (Afra) – matka Abelarda

Aurelio (Ahmet) – piastun Abelarda, sługa jego matki

Belduino Varela – dowódca wojsk chrześcijańskich w bitwie nad rzeką Mondego

Al-Hakan – emir południowych marchii muzułmańskich na terenach dawnej Luzytanii

Hiszam II – kalif Kordoby w latach 976–1008

Faris – wojownik mauretański, założyciel bractwa Bokira

LATA 1440–1444 (cz. 3)

Jacinta, Francisco – dzieci z Fatimy

Raul – ich ojciec

Ramiro Alves da Silva – szlachcic z okolic Leiry, kawaler Zakonu Rycerzy Chrystusa

Manuel – jego zaufany sługa

Nabil – mauretański pasterz, wcześniej kronikarz zarządcy Ukszunuby

Zidan – przywódca bractwa Bokira

Ali ben Imran – nakib (przełożony) prowincji Habi na północy Maroka

Abu Said – kupiec z Tangeru

Władysław III – król Polski i Węgier, któremu historia nada

przydomek Warnieńczyk

Mikołaj Głębocki – archidiakon poznański, wysłannik papieża Marcina V na chrzest Władysława III

Murad II – sułtan turecki, władca Imperium Osmańskiego

Mehmed – jego syn

Julian Cesarini – kardynał, legat papieża Eugeniusza IV

Abdul Malik – posłaniec bractwa Bokira do Polski

Pelhowicz – Tatar, sługa króla Jagiełły, a potem jego syna Władysława

Karadża-pasza – członek bractwa Bokira, dowódca spahisów w bitwie pod Warną

Kodża Chazer – janczar, który według kronikarzy ściął głowę króla Władysława III w bitwie pod Warną

Jan Hunyady – wódz węgierski, postrach Turków, nazywany przez nich „Przeklętym Janem”

ROK 1863 (cz. 5)

Ignacy Małyszew – archimandryta, przełożony klasztoru Świętej Trójcy i św. Sergiusza z Radoneża w Strielnie pod Petersburgiem

Igor Małyszew – jego brat, tajny agent cara Aleksandra I

Paweł Aleksandrowicz Romanow (brat Aleksy) – nieślubny syn cara Aleksandra I

Omar – przywódca bractwa Bokira od 1862 roku

Hrabia Kalicyn – posłaniec

Aleksander I – imperator Rosji w latach 1801–1825

Aleksander II – jego bratanek, na tronie carskim w latach 1855–1881

Marian Langiewicz – dyktator powstania styczniowego

Dionizy Czachowski – pułkownik, jeden z najwybitniejszych dowódców powstania styczniowego

Tomasz Gąsior – chłop z Bałtowa, uczestnik bitwy pod Świętym Krzyżem

major Gołubow – dowódca radomskiego korpusu carskiego

Ksawery Czengiery – Węgier z pochodzenia, dowódca

smoleńskiego pułku piechoty

podpułkownik Sorniew – dowódca rot atakujących klasztor na Świętym Krzyżu 11 lutego 1863 roku

LATA 1881–1893 (cz. 7)

Jan Matejko – jeden z najwybitniejszych polskich malarzy, twórca słynnych obrazów historycznych

Teodora z Giebułtowskich Matejkowa – jego żona

Jan Głębocki – dziedzic kresowych Łaszek, potomek rodu biskupa Mikołaja, który podawał do chrztu Władysława Warneńczyka

Natalia z Mazarakich Głębocka – jego żona

Jan Kanty Głębocki – ich syn, właściciel Łaszek po śmierci ojca
wnuki Jana i Natalii Głębockich (w tekście bez imion)

Danyło – służący Głębockich

Leon Wyczółkowski – wybitny polski malarz, gość dworu w Łaszkach w latach 1883–1887

Omar – przywódca bractwa Bokira do 1892 roku

Hasan – przywódca bractwa Bokira od 1892 roku

człowiek o zrosniętych brwiach – zaufany sługa szejka Hasana (w tekście bez imienia)

Ignacy Hryniewiecki – student matematyki, który dokonał w 1881 roku zamachu na cara Aleksandra II

ROK 1977 (cz. 9)

Pieter Menten – przedsiębiorca z Rotterdamu, szósty na liście najbogatszych Holendrów. W czasie wojny Hauptscharführer SS, zbrodniarz wojenny, jeden z największych grabieżców dzieł sztuki

Józef Stieglitz – żydowski antykwariusz z Krakowa, w czasie wojny wspólnik Pietera Mentena

Stanisław Lorentz – historyk sztuki, dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie

Kazimierz Karewicz – prokurator Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce

jego syn – ojciec Katarzyny Karewicz (w tekście bez imienia)

Rabin – pułkownik Wojskowych Służb Informacyjnych PRL (w

tekście bez nazwiska)

dyrektor pionu śledczego GKBZHWP (w tekście bez nazwiska)

Zofia Sowińska – pracownica archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni, Hitlerowskich w Polsce, później IPN

Mieczysław Głębocki – dyrektor stadniny koni w Koźlu, pochodzący z rodu Mikołaja Głębockiego, ojca chrzestnego Władysława Warneńczyka

Andrzej Głębocki – jego brat, warszawski prawnik i poszukiwacz obrazu Matejki

Ibrahim Hariri – libański lekarz należący do bractwa Bokira

Fadi – jego syn, student medycyny w Łodzi

Dżabir Al-Gazi – Palestyńczyk, kolega Fadiego, młody lekarz ortopeda i późniejszy rezydent bractwa Bokira w Polsce

Ajman – przywódca bractwa Bokira od 1971 roku

Marcel – były komandos francuskich sił specjalnych, zaufany szefka

Ruud van den Berg – holenderski gangster, przyjaciel Marcela

Wim van den Berg – jego brat, słynny włamywacz

Izaak Cohen – listonosz z Tel Awiwu

LATA DWUTYSIĘCZNE (Prolog, cz. 2, cz. 4, cz. 6, cz. 8)

Jakub Kania – prokurator gdańskiej Prokuratury Rejonowej, potem Instytutu Pamięci Narodowej (IPN)

Antoni Kania – ojciec Jakuba, emerytowany bosman sztabowy Marynarki Wojennej

Katarzyna Karewicz – stewardesa Polskich Linii Lotniczych LOT, wnuczka Kazimierza Karewicza

Wiesław Paluch – szef Departamentu Śledczego IPN-u

Piotr Korn – poprzednik Palucha

Dzwonnik – pracownik jednoosobowej samodzielnej sekcji IPN-u do zadań specjalnych

Hubert Smolorz – major Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, wcześniej oficer kontrwywiadu SB

Kinga – pierwsza żona Jakuba Kani

Stefan G., pseudonim King – były cinkciarz, uważany za jednego z przywódców trójmiejskiej mafii, ojciec Kingi i teść Jakuba Kani

Jan Osęka – sędzia Sądu Rejonowego w Gdańsku

mecenas B. – gdański adwokat

Tomasz Jodłowski – kolega Jakuba Kani z Prokuratury Rejonowej w Gdańsku

Waldemar T., pseudonim Felczer – były porucznik Służby Bezpieczeństwa, po 1989 roku na usługach mafii

sierżant o niemiecko brzmiącym nazwisku – szef wywiadowców Komendy Miejskiej Policji w Opolu (w tekście bez nazwiska)

oddziałowy Zakładu Karnego nr 1 w Strzelcach Opolskich (w tekście bez nazwiska)

Erwin Winkler – były Obersturmführer SS ze Strzelec Opolskich

Konrad Małek – gospodarz leśniczówki Dubity koło Miłomłynna (województwo warmińsko-mazurskie)

Paweł Włodarczyk – dziennikarz, archiwista jednej z warszawskich gazet

Barbara Włodarczyk – żona Pawła

Włodarczyk junior – syn Pawła i Barbary (w tekście bez imienia)

profesor Lipski – znawca malarstwa polskiego XIX wieku

Olgierd Giecewicz – profesor historii z Krakowa

minister w Kancelarii Prezydenta RP (w tekście bez nazwiska)

kustosz Muzeum Narodowego w Warszawie (w tekście bez nazwiska)

Skwarek – lokalny bandyta spod Łomży

Lufa – jego kompan

Avi Leibowitz (Andrzej Kania) – przyjaciel Antoniego Kani z dzieciństwa w czasie wojny, późniejszy pułkownik Amanu – izraelskiego wywiadu wojskowego

Matar – współczesny przywódca bractwa Bokira

Asif – zaufany służący i ochroniarz szejka Matara

Raszid – mieszkaniec emiratu Ras al-Chajma, posłaniec bractwa

Semir Salmandžić – były matematyk z Mostaru w Hercegowinie, zawodowy zabójca należący do bractwa Bokira

Mustafa Salmandžić – jego brat bliźniak

Farat – kierowca z Tirany, albański kuzyn braci Salmandžić

Bosajna Džananović – muzułmańska bojowniczką, należąca do zespołu braci Salmandžić

Ahmed El Absi – profesor Instytutu Sztuk Pięknych w Bagdadzie
minister w rządzie Saddama Husajna – kuzyn Absiego (w tekście bez imienia)

ROK 2332 (cz. 10, Epilog)

Irfan – przywódca bractwa Bokira od 2320 roku

Nadia Al-Churi – następczyni Irfana, która przyjęła imię Fatima
starzec z ogrodu Khor Kalba (w tekście bez imienia)

członkowie Rady bractwa Bokira (w tekście bez nazwisk)

Abdullah bin Abdulaziz al Saud – następca tronu Jordanii

Adam Piwnik – prezydent Polski i zwierzchnik Chrześcijańskiej Ligi Europy

Istvan Molnar – gubernator Węgier

prezydent USA (w tekście bez nazwiska)

Karol Cieślak – inspektor Eskorty Dóbr Kultury zatrudniony w Muzeum Narodowym w Warszawie

Konstanty Zachariasz – profesor mikrobiologii

członek konsylium (w tekście bez nazwiska)

Spis treści

Okładka

Karta tytułowa

Dedykacja

CZEŚĆ PIERWSZA **Wypadek** trzecie millenium

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

CZEŚĆ DRUGA **Przepowiednia** kwiecień 998 roku

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

CZEŚĆ TRZECIA **Tajemnica** trzecie millenium

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34

CZEŚĆ CZWARTA **Warneńczyk** maj 1440 – listopad 1444 roku

Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42

CZEŚĆ PIĄTA **Wyspa** trzecie millenium

Rozdział 43
Rozdział 44
Rozdział 45
Rozdział 46
Rozdział 47
Rozdział 48
Rozdział 49
Rozdział 50
Rozdział 51
Rozdział 52
Rozdział 53
Rozdział 54

CZEŚĆ SZÓSTA **Znamie** styczeń 1863 roku

Rozdział 55

Rozdział 56

Rozdział 57

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Rozdział 61

CZEŚĆ SIÓDMA **Misja** trzecie millenium

Rozdział 62

Rozdział 63

Rozdział 64

Rozdział 65

Rozdział 66

Rozdział 67

Rozdział 68

Rozdział 69

Rozdział 70

CZEŚĆ ÓSMA **Obraz** styczeń 1881 – maj 1893 roku

Rozdział 71

Rozdział 72

Rozdział 73

Rozdział 74

Rozdział 75

Rozdział 76

CZEŚĆ DZIEWIĄTA **Powrót** trzecie millenium

Rozdział 77

Rozdział 78

Rozdział 79

Rozdział 80

Rozdział 81

Rozdział 82

Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

CZEŚĆ DZIESIĄTA **Chrzty** wiosna 1977 – lato 1989 roku

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

CZEŚĆ JEDENASTA **Pancerzyki biedronek** rok 2332

Rozdział 93

Rozdział 94

Rozdział 95

Rozdział 96

Rozdział 97

Rozdział 98

Rozdział 99

Rozdział 100

Rozdział 101

EPILOG rok 2332

Post scriptum

Postacie występujące w powieści

Karta redakcyjna

Projekt okładki
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autora
Katarzyna Łukasik

Redakcja
Maja Lipowska

Korekta
Magdalena Kędzierska-Zaporowska
Anna Kędziorek

Copyright © by Maciej Siembieda, 2017
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2017



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa
www.wielkalitera.pl

Odwiedź
nas na 

ISBN 978-83-8032-163-2



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

**Dlaczego obraz Matejki przepowiadający losy świata
do dziś pozostaje w ukryciu?**

Sensacyjna powieść oparta na prawdziwej historii



444

MACIEJ SIEMBIEDA

 WIELKA LITERA